

DENIS
JOHNSON

DRZEWO
DYMU

POWIEŚĆ WYRÓZNIONA PRESTIŻOWĄ
NATIONAL BOOK AWARD 2007!

**DENIS
JOHNSON**

**DRZEWO
DYMU**

Z języka angielskiego przełożyła

Alina Siewior-Kuś



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:
TREE OF SMOKE

Copyright © 2007 by Denis Johnson
Published by arrangement with Farrar, Straus and Giroux, LLC, New York
Copyright © 2009 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2009 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt okładki: Wydawnictwo Sonia Draga
Zdjęcie na okładce: CORBIS

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta: Anna Rzędowska, Iwona Wyrwisz

ISBN: 978-83-7508-139-8

Sprzedaż wysyłkowa:
www.merlin.com.pl
www.empik.com
www.soniadraga.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp, z o, o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-950 Katowice
tel. (32) 782 64 77, fax (32) 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl

Skład i łamanie: DT Studio s.c, tel. 032 720 28 78, fax 032 209 82 25

Katowice 2009. Wydanie I

Drukarnia:
Perfekt S.A.

PODZIĘKOWANIA

Mam wielką przyjemność złożyć podziękowania osobom i organizacjom, których zachęty oraz uprzejma pomoc umożliwiły napisanie tej książki.

Są to: Fundacje Lannana, Whittinga i Guggenheima; Ośrodek Bellagio Fundacji Rockefellera; Texas State University - San Marco's Department of English; Bob Cornfield, Robert Jones i Will Blythe; Rob Hollister, Ida Miller, Nick Hoover, Margaret, Michael i French Fry, William F. X. Band III; piękna Cindy Lee.

Szczegóły początków kariery wojskowej pułkownika Sandsa autor zawdzięcza pamiętnikom Williama F. X. Banda *Warriors Who Ride the Wind* (Castle Books Inc., 1993).

Raz jeszcze dla H. P., i...

1963

Wczoraj o trzeciej nad ranem zamordowano prezydenta Kennedy'ego. Marynarz Houston i dwaj inni rekruci spali, kiedy pierwsze relacje obiegały świat. Dowiedzieli się o tym od dwóch marines, którzy prowadzili jedyny nocny lokal na wyspie, zrujnowany bar z wielkimi kręcącymi się pod sufitem wentylatorami i flipperem. Marines obudzili Houstona i jego kolegów, żeby im powiedzieć, co się stało z prezydentem. Siedzieli potem w piątkę na pryzkach w baraku dla przerzucanych żołnierzy, patrzyli, jak woda z klimatyzatora kapie do puszki z kawą, i pili piwo. Wojskowe służby łącznościowe dla obszaru zatoki Subie pracowały całą noc, nadając wiadomości o niewiarygodnej zbrodni.

Teraz był późny ranek i starszy marynarz William Houston Junior zaczął trzeźwieć, chodząc po dżungli na Grande Island z pożyczonym karabinem kaliber 22. Podobno dziki grasowały na terenie ośrodka wojskowego, jedynej na razie części Filipin, którą Houston widział. Nie miał pojęcia, co myśleć o tym kraju, chciał tylko urządzić sobie polowanie w dżungli. Podobno były tu dziki.

Stawiał ostrożnie kroki, pamiętając o węzach i starając się zachowywać cicho, żeby usłyszeć dziki, zanim go zaatakują. Zdawał sobie sprawę, że jest strasznie niespokojny. Dobiegało go dziesięć tysięcy odgłosów dżungli oraz wołania mew i szum odległych fal. Jeśli na minutę nieruchomiał, słyszał także pulsowanie krwi we własnym ciele i spływające krople potu. Po kilku dalszych sekundach odnajdywały go owady i rojem wirowały mu wokół głowy.

Oparł karabin o bananowiec karłowaty, zdjął z włosów opaskę, wykręcił ją i wytarł sobie twarz. Stał przez chwilę, odganiając moskity i z roztargnieniem drapiąc się w krocze. W pobliżu mewa zdawała się klócić sama ze sobą;

serii protestujących pisków sprzeciwiały się niższe pohukiwania, które brzmiały jak „Hu! Hu! Hu!”. Uwagę marynarza Houstona zwróciło coś przeskakującego z drzewa na drzewo.

Nie odrywając wzroku od miejsca, w którym to zobaczył, ujął broń w rękę. Znowu dostrzegł ruch. Teraz widział, że to jakaś małpa, niewiele większa od psa chihuahua. Nie był to co prawda dzik, ale małpa stanowiła przynajmniej obiekt, któremu można się było przyglądać: czepiając się lewą ręką i obiema nogami pnia drzewa, szarpała cienką korę z jakimś rozpaczliwym pośpiechem. Marynarz Houston wziął drobne plecy małpki na cel. Uniósł lufę i w jego polu widzenia pojawiła się głowa zwierzęcia. Nie myśląc właściwie o niczym, nacisnął spust.

Małpa rozpląszczyła się na pniu, entuzjastycznie rozkładając kończyny, a potem uniosła ręce, jakby chciała podrapać się w głowę, i bezwładnie spadła na ziemię. Marynarz Houston z przerażeniem patrzył, jak zwierzę zwija się w konwulsjach. Podpierając się na jednej ręce, podniosło się z ziemi i usiadło oparte o drzewo z rozrzuconymi nogami, jak ktoś odpoczywający po ciężkiej harówce.

Marynarz Houston zrobił kilka kroków i z odległości metra zobaczył, że błyszczące futro małpki wraz z poruszeniami liści mieni się, w cieniu przybierając kolor henny, w świetle barwę złota. Małpka wodziła oczami na boki i gwałtownie łykała powietrze. Przy każdym oddechu jej brzuch nadymał się jak balon. Kula trafiła nisko, w żołądek.

Houston miał wrażenie, że jego brzuch rozrywa się na dwoje.

- Jezu Chryste! - krzyknął na małpkę, jakby mogła coś poradzić na swój kłopotliwy i okropny stan. Myślał, że głowa mu pięknie, jeśli przedpołudniowe słońce nadal będzie zmieniało dżunglę w piec, mewy nie zaprzestaną swoich krzyków, a małpka wciąż będzie się rozglądać, kręcąc ostrożnie łebkiem i wodząc czarnymi oczami z boku na bok, jak ktoś, kto śledzi rozwój rozmowy, debaty, walki, którą dżungla - poranek - chwila - prowadzi sama ze sobą. Marynarz Houston podszedł do małpki. Odłożył karabin i uniósł zwierzątko, jedną ręką chwytając za tyłek, drugą za głowę. Z fascynacją, a potem z odrazą uświadomił sobie, że małpka płacze. Szlochala gwałtownie, a kiedy mrugała, z kącików jej oczu płynęły łzy. Rozglądała się na boki i sprawiała wrażenie, że mężczyzna nie budzi w niej większego zainteresowania niż reszta otoczenia.

- Hej - powiedział Houston, ale małpka nie zareagowała.

Serce przestało jej bić. Houston potrząsnął małpką, choć wiedział, że nic to nie da. Ogarnęło go poczucie, że sam wszystkiemu jest winien, a ponieważ nikogo wokół nie było, rozplakał się jak dziecko. Miał osiemnaście lat.

Kiedy Houston wrócił do klubu nad wodą, zobaczył, że fala wyrzuciła na szarą plażę ławicę fioletowo zabarwionych meduz. Były ich setki, każda wielkości ludzkiej głowy, przezroczysta i kurcząca się w promieniach słońca. Mały port był pusty. Nie przybijały tu żadne statki poza promem z bazy morskiej po drugiej stronie zatoki Subie.

Kilka metrów dalej nad pasem piasku pod okazałymi drzewami, które obspypywały dachy purpurowymi kwiatami, stało kilka bambusowych chat. Z jednej dobiegły krzyki pary uprawiającej seks; marynarz Houston uznał, że to kurwa i żołnierz. Przykucnął w cieniu i słuchał, wreszcie głosy ucichły, ucichły oddechy, a pod okapem odezwała się jaszczurka: obwieściła swoją obecność krótkim świergotem, po którym nastąpiły ostre, krótkie chichoty - ge-ko, ge-ko, ge-ko...

Po chwili z chaty wyszedł mężczyzna, krótko ostrzyżony, po czterdziestce, z białym ręcznikiem pod brzuchem i papierosem w zębach. Stał na rozstawionych nogach, jedną ręką przytrzymał ręcznik na biodrach i kołysał się na boki, wpatrzony w jakiś bliski, acz niewidzialny obiekt. Prawdopodobnie oficer. Ujął papierosa kciukiem i palcem wskazującym, zaciągnął się i wypuścił kłęb dymu.

- Kolejna misja zakończona.

Drzwi sąsiedniej chaty otworzyły się i naga Filipinka, ręką zasłaniając krocze, powiedziała:

- On nie lubić tego robić.

- Hej, Lucky! - krzyknął oficer.

W progu stanął drobny Azjata w mundurze polowym.

- Nie sprawiłeś jej przyjemności?

- To mogłoby przynieść pecha - odparł Azjata.

- Karma - powiedział oficer.

- Niewykluczone.

- Szukasz piwa? - zapytał oficer.

Houston zamierzał się stąd zwinąć. Dopiero teraz uświadomił sobie, że o tym zapomniał i że oficer mówi do niego. Oficer wolną dłonią wyrzucił niedopałek i odsunął ręcznik. Ulżył sobie, kierując pieniący się strumień moczu prosto na niedopałek, który rozpadał się w kałużę, i dodał:

- Jak zobaczysz coś wartego oglądania, daj mi znać.

Czując się jak głupiec, Houston wszedł do klubu, gdzie dwie młode Filipinki w jaskrawych kwiecistych sukniach grały na flipperze i pod wirującymi wentylatorami terkotały z taką szybkością, że marynarzowi Houstonowi zakreśliło się w głowie. Sam, jeden z marines, stał za barem.

- Zamknij się, zamknij się - powiedział. Podniósł rękę, w której trzymał chochlę.

- Coś powiedziałem? - zapytał Houston.

- Przepraszam. - Sam nachylił się ku radiu, jak ślepiec skupiając na płynącym z niego głosie. - Złapali tego faceta.

- Mówili o tym przed śniadaniem. Już to wiemy.
- Teraz podają więcej szczegółów.
- Okay - powiedział Houston.

Napił się lodowatej wody i słuchał radia, ale głowa tak go bolała, że nie był w stanie rozróżnić słów.

Po chwili do klubu wszedł tamten oficer, teraz ubrany w gigantyczną hawajską koszulę. Towarzyszył mu młody Azjata.

- Pułkowniku, złapali go - powiedział Sam. - Nazywa się Oswald.

- A cóż to za nazwisko? - Najwyraźniej pułkownika w równej mierze oburzało nazwisko mordercy, jak potworność jego zbrodni.

- Pierdolony skurwysyn - dodał Sam.

- Skurwysyn - zgodził się pułkownik. - Mam nadzieję, że odstrzelą mu jaja. Mam nadzieję, że odstrzelą mu dupę. - Bez śladu zakłopotania wytarł łzy. - Oswald to jego imię czy nazwisko?

Houston pomyślał, że najpierw widział, jak ten oficer sika na ziemię, a teraz widzi go płaczącego.

- Sir, jesteśmy diabelnie gościnni, ale z zasady nie obsługujemy filipińskich wojskowych - powiedział Sam do młodego Azjaty.

- Lucky jest z Wietnamu - poprawił pułkownik.

- Z Wietnamu. Zgubił się pan?

- Nie, nie zgubiłem.

- Ten facet jest już pilotem odrzutowca. To kapitan sił powietrznych Wietnamu Południowego.

- No to jak, jest tam wojna czy nie? - zapytał Sam młodego kapitana. - Wojna? Trach, trach, trach. - Złożył dłonie w kształt karabinu maszynowego, równocześnie je podrywając. - Tak? Nie?

Kapitan odwrócił się od Amerykanina, ułożył w myślach zdania i przećwiczył je, po czym spojrzął na Sama i powiedział:

- Nie wiem, czy wojna. Mnóstwo ludzi nie żyje.
- To wystarczy - zgodził się pułkownik. - To się liczy.
- Co tutaj robisz?
- Jestem na szkoleniu pilotów śmigłowców.
- Wyglądasz ledwo na trójkolowca - powiedział Sam. - Ile masz lat?
- Dwadzieścia dwa roku.
- Dam temu małemu żółtkowi piwo. Lubisz san miguel? Nie masz nic przeciwko, że nazywam cię żółtkiem? To złe przyzwyczajenie.

- Mów do niego Lucky - powiedział pułkownik. - Facet stawia, Lucky. Czym lubisz się truć?

Chłopak zmarszczył czoło, przybrał tajemniczą minę i odparł:

- Lubię lucky lager.
- A jakie papierosy palisz? - zapytał pułkownik.
- Lubię lucky strike.

Wszyscy się roześmiali.

Nagle Sam spojrzął na młodego marynarza Houstona, jakby dopiero teraz go rozpoznał.

- Gdzie mój karabin?

Przez ułamek sekundy Houston nie miał pojęcia, o czym Sam mówi, potem zaklął:

- Cholera. Zaraz przyniosę.

Musiał wracać do dżungli. Panował ten sam wilgotny żar, te same zwierzęta wydawały te same odgłosy, sytuacja była tak samo okropna, Houston znajdował się daleko od miejsc, które pamiętał, marynarka miała nad nim władzę jeszcze przez dwa lata, a prezydent, prezydent jego kraju wciąż był martwy - za to małpka zniknęła. Karabin Sama leżał w krzakach, gdzie Houston go zostawił, a małpki nie było. Zabrało ją jakieś inne zwierzę.

Houston przygotowany był, że znowu ją zobaczy, więc wracał do klubu ogarnięty ulgą, że nie musiał patrzeć na to, co zrobił. Bez większego strachu czy niepokoju rozumiał jednak, że ten widok nie będzie mu oszczędzony na zawsze.

Marynarz Houston raz dostał awans, a potem go zdegradowano. Odwiedził niektóre z wielkich stolic Azji Południowo-Wschodniej, w duszne noce wędrował ulicami, gdzie latarnie chwiały się od powiewów stęchłego wiatru,

nigdy jednak nie spędził na łądzie dość czasu, by pozbyć się marynarskiego kroku, zawsze wystarczało go tylko na zamęt w myślach, widok rozkołysanych twarzy, odgłos udręczonego śmiechu. Kiedy dwuletnia tura dobiegła końca, zaciągnął się po raz drugi, zauroczony nade wszystko mocą budowania swego losu samym tylko podpisem.

Houston miał dwóch młodszych braci. Bliższy mu wiekiem James zaciągnął się do piechoty i wysłano go do Wietnamu; niedługo przed zakończeniem drugiej tury Houston pojechał pociągiem z bazy marynarki wojennej w Yokosuka do Yokohamy, gdzie umówił się z Jamesem w Peanut Bar. Był rok 1967, od zamordowania Johna F. Kennedy'ego minęły ponad trzy lata.

W wagonie Houston czuł się olbrzymem, kiedy spoglądał ponad czarnymi jak sadza głowami. Mali Japończycy patrzyli na niego bez rozbawienia, bez współczucia, bez wstydu, i w końcu miał wrażenie, że gardło mu się skręca. Wysiadł i przez wieczorną mżawkę mokrymi torami tramwajowymi szedł do Peanut Bar. Nie mógł się doczekać, kiedy powie coś po angielsku.

Peanut Bar był wielkim lokalem, zatłoczonym marynarzami i schludnie wyszorowanymi chłopcami ze statków handlowych, głosy dudniły Houstonowi w głowie, dym wypełniał płuca.

Znalazł Jamesa pod sceną. Podszedł do niego z wyciągniętą do uścisku dłonią.

- Wypylum z Yokosuka, stary! Wracam na okręt! - powiedział na powitanie.

Jego słowa zagłuszył zespół, kwartet japońskich naśladowców Beatlesów w oślepiąco białych strojach zdobionych frędzlami. Ubrany po cywilnemu James siedział przy stoliku i gapił się na nich, nieświadom niczego poza przedstawieniem. Bill strzelił orzeszkiem w jego otwarte usta.

James wskazał muzyków.

- To idiotyczne! - Musiał krzyżeć, żeby jego głos wybił się ponad muzykę.

- Co mogę powiedzieć? To nie jest Phoenix.

- Prawie tak idiotyczne jak ty w marynarskim mundurze.

- Zwolnili mnie dwa lata temu i znowu się zaciągnąłem. Nie wiem, po prostu to zrobiłem.

- Byłeś nawalony?

- Porządnie nawalony.

Bill Houston ze zdziwieniem stwierdził, że jego brat nie jest już małym chłopcem. James miał krótko ostrzyżone włosy, które nadawały jego szczęce

wygląd mocnej i szerokiej, siedział wyprostowany, nie wiercił się. Nawet w cywilnym ubraniu wyglądał na żołnierza.

Zamówili dzban piwa i uzgodnili, że poza kilkoma dziwnymi rzeczami w rodzaju Peanut Bar obaj lubią Japonię - chociaż James na razie spędził w tym kraju sześć godzin, a rano wsiadał w samolot do Wietnamu - i tak czy owak mają uznanie dla Japończyków.

- Muszę ci powiedzieć - odezwał się Bill, kiedy zespół ogłosił przerwę i znowu wzajemnie się słyszeli - że u Japońców jest porządek pierwsza klasa, za to w tropikach, stary, jest jedno wielkie gówno. Wszyscy mają mózgi rozgotowane na miękko.

- Tak mi mówili. Chyba niedługo sam się przekonam.
- A co z walką?
- Co z walką?
- Co mówią?
- Zazwyczaj mówią, że strzelasz do drzew, a drzewa strzelają do ciebie.
- Nie, serio. Jest źle?
- Dopiero się dowiem.
- Boisz się?
- Podczas szkolenia widziałem, jak facet przypadkiem zastrzelił innego.
- Taa?
- Trafił mu w dupę, uwierzysz? To był przypadek.
- W Honolulu widziałem, jak jeden facet zamordował drugiego - powiedział Bill.
- Jak, w bójce?
- No, ten skurwysyn był winien tamtemu skurwysynowi pieniądze.
- Gdzie to było, w barze?
- Nie, nie w barze. Gość obszedł blok, w którym tamten mieszkał, i zawołał go do okna. Mijaliśmy ten dom i gość mówi: „Poczekaj, muszę pogadać z nim o długi”. Rozmawiali minutę, a potem gość, z którym byłem, zastrzelił tamtego. Wsadził łufę w siatkę na oknie i strzelił raz. Miał automatyczną czterdziestkę piątkę. Tamten przewrócił się na plecy.
- Żartujesz.
- Nie, nie żartuję.
- Poważnie? Byłeś tam?
- Chodziliśmy po mieście. Nie miałem pojęcia, że on chce kogoś zabić.
- I co zrobiłeś?

- O mało się nie zesrałem. On się odwraca, wsuwa broń pod koszulę i mówi: „Hej, chodźmy na piwo”. Jakby nic się nie stało.

- Powiedziałeś coś?

- Wiesz, jakoś nie miałem ochoty o tym wspominać.

- Wiem, cholera, bo co powiedzieć?

- No i zastanawiałem się, co on myśli o mnie jako o świadku. Dlatego spóźniłem się na okręt. Był na naszym okręcie. Gdybym z nim wypłynął, przez osiem tygodni nie mógłbym zmrużyć oka.

Bracia równocześnie napili się piwa, potem każdy z osobna poszukał w myślach tematu do rozmowy.

- Kiedy tamten facet dostał w dupę - odezwał się James - natychmiast doznał szoku.

- Cholera. Ile masz lat?

- Ja?

- Taa.

- Prawie osiemnaście.

- Przyjęli cię do wojska, choć masz dopiero siedemnaście lat?

- Nie. Skłamałem.

- Boisz się?

- Taa. Ale nie ciągle.

- Nie ciągle?

- Nie widziałem walki. Chcę zobaczyć prawdziwą walkę, prawdziwe gówno. Po prostu chcę.

- Mały pierdolec.

Zespół zaczął znowu grać. Tym razem piosenkę Kinksów pod tytułem *You Really Got Me*:

Naprawdę masz mnie

Naprawdę masz mnie

Naprawdę masz mnie

Nie minęło wiele czasu i bracia pokłócili się o nic, a Bill Houston wylał dzban piwa na kolana siedzącej przy sąsiednim stoliku japońskiej dziewczyny, która ze zgarbionymi ramionami wyglądała na smutną i upokorzoną. Była z koleżanką i dwoma Amerykanami, smarkaczami niemającymi pojęcia, jak zareagować.

Piwo kapało ze stołu, James niezgrabnie postawił pusty dzban.

- Czasami tak się dzieje - powiedział. - Po prostu tak się dzieje.

Młoda dziewczyna nie wykonała żadnego ruchu. Wpatrywała się w swoje kolana.

- Co z nami nie tak? - zapytał James brata. - Jesteśmy popierdoleni czy co? Za każdym razem, kiedy się spotykamy, dzieje się coś złego.

- Wiem.

- Coś popierdolonego.

- Popierdolonego, gównianego, wiem. Bo jesteśmy rodziną.

- Łączą nas więzy krwi.

- Te bzdury nie mają już dla mnie znaczenia.

- Jakież muszą mieć - upierał się James - bo w przeciwnym wypadku po co byś się włókł tak daleko, żeby spotkać się ze mną w Yokohamie.

- Taa - potwierdził Bill. - W Peanut Bar.

- W Peanut Bar!

- I dlaczego spóźniłem się na okręt?

- Spóźniłeś się na okręt? - powtórzył James.

- Powinienem być na pokładzie o czwartej po południu.

- I nie poszedłeś?

- Okręt może jeszcze stoi w porcie, choć myślę, że teraz już wypłynęli.

Bill Houston czuł, jak oczy zalewają mu łzy i gardło ściska się od nagłych emocji dotyczących jego życia i tego miejsca, gdzie wszyscy jeżdżą po lewej stronie.

- Nigdy cię nie lubilem - powiedział James.

- Wiem. Ja też.

- Ja też.

- Zawsze uważałem, że jesteś skurwysynem z małym kutasem - powiedział Bill.

- Zawsze cię nienawidziłem - odparł jego brat.

- Boże, przepraszam - powiedział Bill Houston do Japonki. Wyjął pieniądze z portfela i rzucił na mokry stół, sto jenów albo tysiąc, nie widział wyraźnie. - To mój ostatni rok w marynarce - wyjaśnił dziewczynie. Rzuciłby więcej pieniędzy, ale portfel miał pusty. - Przepląnąłem przez ten ocean i umarłem. Równie dobrze mogli przywieźć moje kości. Zupełnie się zmieniłem.

W tamto popołudnie listopadowego dnia roku 1963, nazajutrz po zamachu na Johna F. Kennedy'ego, kapitan Nguyen Minh, młody pilot sił powietrznych

Wietnamu, nurkował z maską i rurką niedaleko brzegu Grande Island. To była nowo odkryta namiętność. Doświadczenie musiało przypominać doznania ptaków unoszących się nad ziemią dzięki pracy własnych mięśni, naprawdę latających, w przeciwieństwie do lotnika prowadzącego samolot. Dzięki płetwom przymocowanym do stóp przecinał wodę mocnymi ruchami, pływając pod wielką ławicą papugoryb żerujących na rafie. Ich małe dziobki bębniły o koral niczym ulewny deszcz. Amerykańscy marynarze lubili nurkować, zdążyli rozedrzeć koral i nastraszyć ryby; gdy podpłynął bliżej, cała ławica w mgnieniu oka zniknęła.

Minh nie należał do dobrych pływaków, a ponieważ był sam, mógł sobie pozwolić na strach.

Poprzednią noc spędził z prostytutką, za którą zapłacił pułkownik. Dziewczyna spała na podłodze, on w łóżku. Nie chciał jej. Nie był pewien Filipińczyków.

Rano przed południem poszli do klubu i tam usłyszeli, że prezydent Stanów Zjednoczonych, prezydent John Fitzgerald Kennedy, został zamordowany. Były z nimi dwie Filipinki, każda ujęła pułkownika pod solidne ramię, jakby kotwicząc go na ziemi, podczas gdy on zmagał się z zaskoczeniem i żalem. Całe rano siedzieli przy stole i słuchali wiadomości.

- Na litość boską - mówił pułkownik. - Na litość boską.

Po południu pułkownik poweselał, na stole raz po raz lądowało piwo. Minh starał się pić mało, ale że nie chciał być niegrzeczny, solidnie się zamroczył. Dziewczęta zniknęły, potem znowu się pojawiły, pod sufitem wiorował wentylator. Przyłączył się do nich bardzo młody marynarz i ktoś zapytał Minha, czy gdzieś w Wietnamie naprawdę toczy się wojna.

Wieczorem pułkownik zaproponował, żeby wymienili się dziewczynami, i Minh postanowił, że tak jak poprzedniej nocy dostosuje się do życzeń pułkownika, przez co wprawi go w dobry humor i okaże mu szczerą wdzięczność. Zresztą i tak ta druga bardziej mu się podobała i lepiej mówiła po angielsku. Ale ona chciała włączyć klimatyzację, on zaś nie. Nic nie słyszał przy pracującej klimatyzacji. Wołał otwarte okna, lubił odgłos owadów odbijających się od siatki. W jego rodzinnym domu w delcie Mekongu ani nawet w domu wuja w Sajgonie nie było takich siatek.

- Czego chcesz? - zapytała dziewczyna. Nie kryła pogardy.

- Nie wiem. Rozbierz się.

Nadzy, w mroku położyli się obok siebie na podwójnym łóżku i nic nie robili. Minh słyszał, jak w którejś z sąsiednich chat amerykański marynarz

głośno rozmawia z przyjacielem, może opowiada mu jakąś historię. Nie rozumiał ani słowa, choć swoją angielszczyznę uważał za niezłą.

- Pułkownik ma wielkiego. - Dziewczyna pieściła jego penis. - To twój przyjaciel?

- Nie wiem - odparł Minh.

- Nie wiesz, czy to twój przyjaciel? Więc dlaczego z nim jesteś?

- Nie wiem.

- Jak dawno go znasz?

- Tydzień albo dwa. - Nie chciał, żeby dotykała jego łądźwi, więc przyciągnął ją do siebie.

- Wolisz ciało do ciała?

- Co to znaczy? - zapytał Minh.

- Ciało do ciała. - Dziewczyna wstała i zamknęła okno. Położyła dłoń na klimatyzatorze, ale nie nacisnęła klawiszy. - Daj mi papierosa.

- Nie mam papierosów.

Włożyła suknię przez głowę, wsunęła stopy w sandały. Nie nosiła bielizny.

- Daj mi kilka ćwiartek.

- Co to znaczy?

- Co to znaczy? - powtórzyła. - Co to znaczy? Daj mi kilka ćwiartek.

Daj mi kilka ćwiartek.

- To pieniądze? - zapytał Minh. - Ile pieniędzy?

- Daj mi kilka ćwiartek. Chcę zobaczyć, czy on sprzedaje mi papierosy. Chcę parę paczek, jedną dla mnie, drugą dla kuzynki. Dwie paczki.

- Pułkownik może ci kupić.

- Jedna winstony. Jedna lucky strike.

- Wybacz, noc jest chłodna. - Minh wstał i ubrał się.

Wyszedł przed chatę. Za plecami słyszał, jak dziewczyna grzebie w torebce, stawia ją na stole. Klasnęła dłońmi i potarła nimi o siebie. Obłok perfum wypłynął przez okno. Minh wciągnął w nozdrza aromat. W uszach mu dzwoniło, łąy przesłaniały widok. Odchrząknął, zwiesił głowę, splunął między stopy. Tęsknił za ojczyzną.

Kiedy wstąpił do lotnictwa i przeniesiono go do Da Nang na szkolenie oficerskie, miał siedemnaście lat i przez kilka tygodni co noc płakał. Zaczął pilotować odrzutowce w wieku dziewiętnastu lat, czyli prawie trzy lata temu. Dwa miesiące temu skończył dwadzieścia dwa lata i mógł się spodziewać przydziału na misje lotnicze, aż w którejś spotka go śmierć.

Usiadł na płóciennym krześle na ganku, łokciami oparty o kolana, i palił - miał jednak paczkę lucky strike'ów - kiedy z klubu wrócił pułkownik, obejmując obie dziewczyny. Dziewczyna Minha niosła paczkę papierosów i machała nią z radością.

- Więc zbadaleś dzisiaj morską toń.

Minh nie był pewien, co to znaczy.

- Tak - powiedział.

- Byłeś kiedyś w którymś z tych tuneli? - zapytał pułkownik.

- Co to są tunele?

- Tunele - powtórzył pułkownik. - Tunele pod całym Wietnamem. Byłeś w którymś z nich?

- Jeszcze nie. Nie sądzę.

- Ja też nie byłem, synu - powiedział pułkownik. - Ciekawe, co tam jest.

- Nie wiem.

- Nikt nie wie.

- Kadra korzysta z tuneli - powiedział Minh. - Viet Minh.

Pułkownik chyba znowu opłakiwał prezydenta, bo stwierdził:

- Ten świat wypluwa pięknych ludzi, jakby byli trucizną.

Minh już wcześniej zauważył, że można długo rozmawiać z pułkownikiem i nie zorientować się, że jest pijany.

Poznał pułkownika kilka dni temu, przed hangarem remontowym helikopterów w bazie Subie, i od tamtej chwili obaj szukali swojego towarzystwa. Nie przedstawiono mu pułkownika - pułkownik sam się przedstawił - i nic nie wskazywało na to, że łączy ich jakaś służbowa zależność. Mieszkali z innymi żołnierzami w koszarach, które według pułkownika zostały zbudowane, a potem szybko porzucone przez CIA.

Minh wiedział, że pułkownik to człowiek, którego należy się trzymać. Minh miał zwyczaj oceniania ludzi i sytuacji w kategoriach szczęścia i pecha.

Pił piwo lucky lager, palił lucky strike. Pułkownik nazywał go „Lucky”.

- John F. Kennedy był pięknym człowiekiem - powiedział pułkownik. - I to go zabiło.

1964

Nguyen Hao, ubrany w spodnie od garnituru i koszulę, z pomadą topniejącą mu na włosach, w okularach przeciwsłonecznych na nosie, dojechał bezpiecznie do świątyni Nowej Gwiazdy na swoim japońskim motocyklu honda 300. Miał do spełnienia smutny obowiązek: jako jedyny reprezentował rodzinę na pogrzebie siostrzeńca jego żony. Żona Hao była przeziębiona, rodzice chłopca nie żyli, a jego jedyny brat brał udział w wojskowych misjach lotniczych.

Hao obejrzał się na miejsce, gdzie podrzucił przyjaciela z młodości imieniem Trung Than, którego wszyscy nazywali Mnichem i który po podziale kraju wyjechał na północ. Dzisiaj po południu Hao zobaczył Mnicha po raz pierwszy od dziesięciu lat, a teraz znowu nigdzie go nie widział. Zeskoczył z motocykla, zdjął sandały i boso ruszył ścieżką.

Przez całą drogę Hao pilnował, by wolno przejeżdżać przez wszystko, co wyglądało jak kałuża, przy ryżowych tarasach z niezwykłą ostrożnością prowadził motor wzdłuż rowów. Musiał mieć czyste ubranie; spędzi tu noc, przypuszczalnie w sali klasowej przyległej do świątyni. Wieś położona była blisko Sajgonu i w lepszych czasach Hao mógłby po zmroku wrócić do domu, ale niebezpieczne strefy ostatnimi czasy bardzo się poszerzyły i po trzeciej po południu jazda bocznymi drogami do trasy dwadzieścia dwa wiązała się ze sporym ryzykiem.

Położył słomiany siennik na klepisku tuż za drzwiami klasy, tak by wieczorem móc bez trudu odnaleźć posłanie.

W otaczających świątynię chatach jedyne przejawy życia stanowiły kury poszukujące ziarenek na podwórzach i nieruchome staruszki widoczne przez otwarte drzwi. Hao odsunął drewniane wieko cementowej studni i spuścił wiadro, żeby z mrocznego wnętrza zaczerpnąć wody. Studnia była głęboka,

wydrażona przez maszynę. Nabrawszy w dłonie przejrzystej, chłodnej wody, spryskał sobie twarz.

W świątyni panowała cisza, mistrz zapewne drzemał. Hao wprowadził motocykl do środka: ściany z surowego drewna, dach pokryty dachówką ceramiczną, podłoga z ubitej ziemi mniej więcej piętnaście na piętnaście metrów, czyli pomieszczenie niewiele większe niż parter domu Hao w Sajgonie. Nie chcąc przeszkadzać mistrzowi, Hao wyszedł, zanim jeszcze oczy przywykły mu do mroku, choć stęchlizna podłogi i aromat kadzidełek obudziły wspomnienia z dzieciństwa, kiedy przez kilka lat służył w tutejszej świątyni. Ogarnęła go nostalgia za tamtymi czasami, nić łącząca się ze smutkiem, który zasadniczo pozostawał w uśpieniu i szybko pozwalał o sobie zapomnieć. Tak wiele spraw zdarzyło się później.

Dręczyła go także dziwna śmierć siostrzeńca. Nie do wiary. Kiedy się o tym dowiedział, założył, że chłopak zginął w przypadkowym pożarze. Tymczasem sam spalił się żywcem, tak jak ostatnio zrobiło to kilku mnichów. Tylko że tamci popełnili spektakularne samobójstwa na ulicach Sajgonu, żeby zaprotestować przeciwko powszechnemu chaosowi. I byli starzy. Thu miał dopiero dwadzieścia lat. W samotności podpalił się w zaroślach za wsią. Nie do pojęcia, szalone.

Kiedy mistrz obudził się i wyszedł, nie miał na sobie odświętnych szat, ale ubranie robocze. Hao wstał i skłonił się. Mistrz odpowiedział mu głębokim ukłonem. Był to drobny człowieczek o szerokiej klatce piersiowej i cienkich jak patyki kończynach, z głową pokrytą szczecinią; Hao pomyślał, że pewnie golił go Thu. Biedny martwy Thu.

- Miałem zamiar pracować w polu - powiedział mistrz. - Cieszę się, że mnie powstrzymałeś.

Usiedli na ganku, prowadząc uprzejmą rozmowę. Kiedy lunął deszcz, weszli do środka. Mistrz najwyraźniej uznał, że szum deszczu sprzyja luźnej pogawędce, bo gdy przestało padać, natychmiast zaczął mówić o śmierci Thu. Przyznał, że jej nie rozumie.

- Ale sprowadziła cię do nas. Każdy uścisk dłoni to dar.
- Atmosfera świątyni jest bardzo silna - powiedział Hao.
- Zawsze wydawałeś się tu niepewny.
- Ale robię to, co mi zaproponowałeś. Przekształciłem zwątpienie w powołanie.
- Nie tak należy to ujmować.

- Takich słów użyłeś.
- Nie. Powiedziałem, że musisz pozwolić, by zwątpienie stało się twoim powołaniem, musisz się na to zgodzić. Nie mówiłem, żebyś sam do tego dążył, tylko żebyś na to pozwolił. Niechaj zwątpienie będzie twoim powołaniem, bo wówczas stanie się niewidzialne. Będziesz w nim żył jak w powietrzu.

Mistrz poczęstował go kawałkiem champooy, ale Hao odmówił. Starzec wrzucił do ust pikantny suszony owoc i zaczął energicznie ssać, krzywiąc się przy tym.

- Na ceremonię przyjdzie pewien Amerykanin - dodał.
- Znam go. To pułkownik Sands - powiedział Hao. Ponieważ mistrz milczał, poczuł się zmuszony mówić dalej: - Pułkownik zna mojego siostrzeńca Minha. Poznali się na Filipinach.

- Tak mi powiedział.
- A ty poznałeś go osobiście?
- Przychodził kilka razy - odparł mistrz. - Utrzymywał znajomość z Thu. Myślę, że dobry z niego człowiek, a przynajmniej ostrożny.

- Interesują go praktyki. Chce studiować oddech.
- Jego oddech cuchnie mięsem bydła, cygarami i alkoholem. A ty? Ćwiczysz oddech?

Hao nie odpowiedział.

- Ćwiczysz oddech?
- Nie.

Mistrz wypluł pestkę. Chudy jak szkielet szczeniak wyskoczył spod ganku i trzęsąc się na całym ciele, szybko ją połknął, po czym zniknął.

- W swoich snach - rzekł starzec - psy przenoszą się z tego świata na tamten i z powrotem. We śnie odwiedzają życie przed i życie po.

- Amerykanie planują coś u nas, jakieś niebezpieczne akcje.
- Skąd wiesz? - Pytanie było niedyskretne i chociaż Hao milczał, mistrz nalegał: - Od tego Amerykanina?

- Od brata Thu.
- Minha?
- Nasze lotnictwo będzie brało w tym udział.
- Młody Minh zbombarduje własny kraj?
- Minh nie lata na bombowcu.
- Ale lotnictwo nas zniszczy?

- Minh powiedział mi, żeby cię stąd zabrać. Nic więcej nie mogę powiedzieć, bo sam nic więcej nie wiem. - Ponieważ przekazanie informacji bardziej szczegółowych przerażało go. Każdego by przeraziło. Przeraziłoby pewnie mistrza. Hao podniósł inną kwestię. - Niedawno widziałem Mnicha. Przeszedł do mnie do domu i poprosił o pieniądze. Przywiozłem go tutaj na swoim motorze.

Mistrz bacznie mu się przyglądał.

Hao domyślał się, że mistrz musiał mieć wiadomości od Trungu.

- Kiedy ostatnio go widziałeś?
- Niedawno - przyznał mistrz.
- Dawno wrócił?
- A kto to wie? A ty? Kiedy ostatnio go widziałeś?
- Wiele lat temu. Teraz ma północny akcent. - Hao powstrzymał się od powiedzenia czegoś jeszcze, spuścił wzrok na stopy.

- Jego widok cię zaniepokoił.
- Przeszedł do mojego domu. Chciał pieniędzy dla sprawy.
- Dla Viet Minhu? W mieście nie pobierają podatków.
- Jeśli prosił, to znaczy, że mu kazali. To wymuszenie. A potem uparł się, żebym przywiózł go tutaj na motorze.

- Wie, że jest bezpieczny - powiedział mistrz. - Wie, że nie wydasz go jego wrogom.

- Może powinienem. Jeśli stanie się tak, jak chce Viet Minh, nasz rodzinny interes przestanie istnieć.

- I przypuszczalnie nasza świątynia. Ale ci obcy niszczą cały kraj.
- Nie mogę dawać pieniędzy komunistom.
- Może przekażę Trungowi, że nie masz pieniędzy, bo je na coś wydałeś.

- Na co?

- Jakiś cel, za który nie będzie można cię potępić.

- Zrób to, proszę.

- Powiem mu po prostu, że uczyniłeś wszystko, co w twojej mocy.

- Jestem twoim dłużnikiem.

Hao czuł, jak jutrzejsza poranna mgła zaczyna się tworzyć niemal w tej samej chwili, gdy słońce schowało się za najbliższe wzgórze na zachodzie, zwane Górą Szczęśliwego Trafu. Jednakże losy góry uległy zmianie. Oddziały amerykańskiej armii budowały tam obóz, ludzie podejrzewali, że będzie to stałe lądowisko dla helikopterów. Do Hao dotarła wiadomość, że planują

rozzrucić wzdłuż dróg numer jeden i dwadzieścia dwa mieszanki, które zabiją tam całą roślinność. Pozbawienie partyzantów możliwości tworzenia zasadzek uważał za dobry pomysł. Z drugiej zaś strony to najśliczniejsza ziemia na świecie. Teraz panują tu smutek i wojna, ale choroba rozpaczy nigdy wcześniej nie drążyła samej ziemi. Hao nie chciałby widzieć jej zatrutej.

Ze względu na możliwy przyjazd amerykańskiego pułkownika czekali z uroczystością pogrzebową, ale minęła czwarta, a pułkownik się nie pojawił, uznali więc, że teraz ryzyko zasadzki z pewnością powstrzymuje go od wyruszenia w drogę, i zaczęli bez niego. Ceremonia odbywała się w świątyni. W pogrzebie brało udział ośmiu wieśniaków, siedmiu starców i wnuk jednego z nich, siedzieli w świetle świec wokół głównego miejsca świątyni, gdzie nie było zwłok, tylko liczne, głównie drewniane i pozłacane figury Buddy. Całości dopełniała migotliwa dekoracja na baterie, jaką znaleźć można w wojskowych barach: kula, na której ruchome pasy światła obracały się zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Mistrz mówił głośno, jak do uczniów. Jakby ktoś kiedykolwiek czegoś się nauczył.

- My, Wietnamczycy, mamy wsparcie dwóch filozofii. Konfucjusz mówi nam, co robić, gdy los nagradza nas pokojem i porządkiem. Budda uczy, jak godzić się z losem, który przynosi krew i chaos.

Amerykanie przyjechali tuż przed zapadnięciem zmroku w otwartym dziedzińcu. Albo nie bali się zasadzek na drogach, albo biwakowali z wojskową grupą budowlaną na Górze Szczęśliwego Trafu. Krzepki pułkownik, jak zawsze ubrany po cywilnemu, prowadził z karabinem wetkniętym między kolana i cygarem w ustach. Towarzyszyli mu żołnierz piechoty oraz Wietnamka w białej bluzce i szarej spódnicy. Przedstawił ją jako panią Van, pracownicę Służb Informacyjnych Stanów Zjednoczonych.

Przywieźli projektor oraz składany ekran, jako że zamierzali wyświetlić mieszkańcom wioski godzinny film.

Pułkownik Sands skłonił się przed mistrzem, po czym amerykańskim zwyczajem energicznie uściśnieli sobie dłonie.

- Panie Hao, ustawimy projektor w głównej sali, jeśli można. Byłby pan tak uprzejmy i przetłumaczył mu to?

Hao spełnił prośbę. Powiedział pułkownikowi, że mistrz nie widzi żadnych przeszkód. Młody żołnierz przygotował sprzęt, kable i cztery płócienne składane krzesła - „dla starszyny”, jak powiedział pułkownik - a także mały generator, który włączony kilka metrów za drewnianymi ścianami świątyni

napęłnił dolinę warkotem i odorem spalin. Hao wyjaśnił, że razem z mistrzem muszą odwiedzić chorego wieśniaka, ale chyba wrócą na drugą część filmu. Pułkownik odparł, że rozumie, chociaż Hao wcale nie był tego taki pewien. Zapadł zmierzch, potem noc i kiedy stało się jasne, że absolutnie nikt nie przyjdzie, pułkownik Sands kazał wyświetlić film dla siebie. Projektor uruchomiony przez hałaśliwy generator napęłnił świątynię migotliwym światłem, niskim dudniącym głosem i ostrą muzyką. Film zatytułowany *Setki błyskawic, jeden grzmot*, przedstawiał krótki, tragiczny, heroiczny okres życia prezydenta Johna F. Kennedy'ego. Oglądali go także amerykański żołnierz i pani Van, która miała tłumaczyć narrację widzom, choć naturalnie takiej potrzeby nie było. Pułkownik powiedział, że film trwa pięćdziesiąt pięć minut, tak więc na pięć minut przed końcem Hao i mistrz ukradkiem wśliznęli się do sali. Mistrz usiadł na swojej poduszce za przenośnym ekranem, skąd w gruncie rzeczy nic nie widział, a Hao na krześle obok młodego żołnierza. Pani Van, która zajmowała miejsce za pułkownikiem, spojrzała na Hao, ale najwidoczniej uznała, że sam sobie może tłumaczyć. To nie była prawda. Aby zrozumieć angielski, Hao musiał widzieć twarze i gesty, poza tym pułkownik, który siedział z założonymi rękoma, zagłuszał lektora, gorzkim tonem mówiąc do siebie. Film przy wtórze podniosłej muzyki kończył się zbliżeniem na wieczny płomień na grobie Johna F. Kennedy'ego, solidną pochodnię, która zgodnie z zamierzeniami Amerykanów miała nigdy nie zgasnąć.

- Wieczny płomień? - powtórzył pułkownik. - Wieczny? Jeśli można zabić człowieka, to równie dobrze można też zgasić jego płomień, do diabła. Problem jest taki: w ostatecznym rozrachunku wszyscy jesteśmy martwi. Spójrzmy prawdzie w oczy, cała nasza cywilizacja to warstwa w skale osadowej. W końcu jakiś skundlony barbarzyńca budzi się rano i staje jedną nogą na skale, drugą na przewróconym naczyniu z wiecznym płomieniem Kennedy'ego. Naczynie jest zimne i puste, a ten skurwysyn nawet nie wie, na czym stoi, bo on po prostu odlewa się z rana. A kiedy ja wstaję rano i wychodzę za namiot, żeby puścić bąka i opróżnić pęcherz, na czyj grób sikam? Panie Hao, czy mówię za szybko? Rozumie mnie pan?

Hao rozumiał intencję pułkownika i pragnął przyznać mu rację. Tak, wszystko to strumienie łączące się z coraz większymi morzami, a uratować nas może tylko to, co robimy w tej chwili... Zasób słownictwa pozwolił mu powiedzieć:

- To prawda. Tak sędę. Tak.

Uwagę obu mężczyzn przyciągnęło jakieś zwierzątko, mały szczur albo żaba, które bezczelnie wskoczyło do sali przez otwarte drzwi. Pułkownik zareagował gwałtownie, ku zdumieniu Hao rzucając się na niego całym ciałem i przewracając go z krzesłem na plecy. W rezultacie Hao uderzył potylicą o twardą podłogę i ból przeszył mu oczy niczym eksplozja lodowatych igieł. Odzyskał jasność widzenia, kiedy przedmiot, bo to był przedmiot, a nie gryzoń, zatrzymał się o metr przed jego twarzą, i pojął, że to chyba granat, że to jego śmierć. Żołnierz przykrył granat hełmem, po czym wolno, z jakimś ociąganiem w ruchach położył się na hełmie, wpatrzony najpierw w podłogę, potem prosto w twarz Hao oddaloną o kilkanaście centymetrów, przez co ten widział wyraźnie oczy Amerykanina ogarniętego bez reszty przerażeniem. W pełnym ech milczeniu minęło kilka sekund.

Cisza trwała przez kilka następnych długich sekund. Twarz żołnierza nie uległa zmianie, wciąż nie oddychał, ale w jego oczy powróciła dusza i spoglądał na Hao z niejakim zrozumieniem.

Hao uświadomił sobie, że pułkownik leży mu na piersiach, że rzucił się na niego w tej samej chwili, w której żołnierz rzucił się na hełm. Uświadomił sobie ból w łydkach i w głowie, a także ciężar potężnego amerykańskiego pułkownika. Z trudem oddychał, dusił się. Wreszcie żołnierz wypuścił długo wstrzymywane powietrze i Hao czuł, jak oddech tamtego owiewa mu twarz. Pułkownik położył dłonie na podłodze, podniósł się na kolana i Hao mógł napełnić płuca.

Pułkownik wstał jak bardzo stary człowiek i pochylił się, łapiąc żołnierza za ramię.

- Nic się nie dzieje, synu. - Żołnierz ogłuchł. - Wstawaj. Wstawaj, synu. No już, synu, wstawaj. - Młodzieniec odnalazł w sobie życie, otrząsnął się z szoku i poturlał po podłodze. Pułkownik szybkim gestem podniósł hełm, złapał granat i rzucił nim w kierunku drzwi, ale trafił w ścianę. Granat spadł przed progiem.

- Do jasnej cholery - powiedział. Zbliżył się, mocno chwycił granat i poszedł z nim do studni. Odsunął wieko i spuścił granat do środka, potem wrócił za budynek, by wyłączyć generator.

Pozostali poszli za nim, co być może było nierozsądne. Pani Van zajmowała się żołnierzem, szybko mówiąc po angielsku, otrzepując mu koszulę i spodnie ruchami energicznymi, niemal histerycznymi, jakby dusiła płomień. Skończywszy z żołnierzem, zaczęła czyścić koszulę Hao.

- To są źli ludzie - powiedziała po angielsku. - Oto co się dzieje przez tych strasznych ludzi.

Mistrz wyszedł ze świątyni. Ze swego miejsca za ekranem niemal nic nie widział. Kiedy Hao powiedział mu o granacie, dwoma wielkimi susami odsunął się od studni.

- Słuchajcie, przepraszam - powiedział pułkownik. - Studnia jako pierwsza przysłała mi na myśl.

Hao przetłumaczył przeprosiny pułkownika i odpowiedź mistrza:

- Sądzę, że to bezpieczne miejsce.
- Jeśli granat wybuchnie, zmaci wam wodę.
- Ale potem znowu się oczyści - odrzekł mistrz.
- Studnia musi być głęboka. Jest betonowa?
- Konstrukcja betonowa - potwierdził Hao.
- Pierwszorzędna.
- Pierwszorzędna?
- Bardzo dobra.
- Tak. Zrobił ją Szwajcarski Czerwony Krzyż.
- Kiedy to było?
- Nie wiem.
- Usłyszeli ten przeklęty generator, prawda?

W odpowiedzi Hao ściągnął usta.

Stał obok uprzejmie, podczas gdy goście spakowali sprzęty i przez radio połączyli się z obozem na Górze Szczęśliwego Trafu.

- Pojedziemy na wzgórze - powiedział pułkownik.
- Dobrze. Tam jest bezpieczniej - zgodził się Hao.

W ciągu kilku minut pojawił się patrol składający się z trzech dżipów i wielu żołnierzy. Po krótkim czasie konwój z rykiem odjechał w noc.

Hao po cichu wszedł do sali szkolnej i po omacku poszukał na ścianie gwoźdźcia. Rozebrał się, powiesił koszulę i spodnie, po czym dłońmi wygładził słomiankę i rozwinął kawałek lnu, który miał chronić go przed moskitami. Mistrz usłyszał go przez ścianę, ze świątyni, i życzył mu dobrej nocy. Hao cicho odpowiedział i w kompletnej ciemności położył się na macie, ubrany tylko w bieliznę.

Ten pułkownik - Hao nigdy nie widział go w mundurze. To wydawało się właściwe. Jakimś sposobem o wszystkich Amerykanach myślał jak o cywilach, aczkolwiek w całym swoim życiu widywał jedynie Amerykanów z rządu,

Amerykanów z armii i nielicznych amerykańskich misjonarzy. Mimo to myślał o Amerykanach jak o kowbojach. Zdumiała go odwaga młodego żołnierza. Może to dobrze, że przyjechali do Wietnamu.

Chociaż rozdzielala ich ściana, wyczuwał, że mistrz jest zły na siebie z powodu konszachców z pułkownikiem. Amerykanin był atrakcyjny, fascynujący, ale w ostatecznym rozrachunku Amerykanie to tylko kolejna horda aktorów pociągających za sznurki w teatrze kukielkowym. Kurtyna spada, kończąc przedstawienie Francuzów, kurtyna się podnosi dla marionetek poruszanych przez Amerykanów. Ale czasy niewolników i marionetek minęły. Tysiąc lat pod panowaniem Chin, potem dominacja francuska - wszystko to skończone. Teraz nadchodzi wolność.

Hao przemawiał cicho do mistrza. Życzył mu szczęśliwych snów. Sam nie potrafił zasnąć. Wnętrznosci płonęły mu ze strachu. A jeśli następny granat potoczy się ku niemu z mroku nocy? Nasłuchując, czy nie zbliżają się mordercy, uzmysłowił sobie męczące życie dżungli, ryk owadów tak głośny jak miejskie hałasy w środku dnia. Na wszystkim ciąży kłątwa. Jego żona jest chora, siostrzeniec martwy, wojny nigdy się nie kończą. Stopami odnalazł sandały, wyszedł na dwór do studni, w ciemności napił się z wiadra i odzyskał panowanie nad sobą. Nic nie jest w stanie go zranić. Żył, poznał miłość, spotkał się z wielką dobrocią. Szczęśliwe życie!

Wrzuciwszy granat do świątyni, Trung odwrócił się i za chatami cicho pobiegł w stronę szlaku. Po kilku metrach zwolnił. Usłyszał głosy, poruszenia, ale wybuch nie nastąpił.

Minęła minuta, dwie minuty. Nawet gdyby doszło do eksplozji, mógłby jej nie usłyszeć, bo krew tak dudniła mu w żyłach.

Stał na środku wąskiej ścieżki, trzymając się za brzuch. Ogarniał go żal. Nie spodziewał się, że ci głupcy usiądą obok Amerykanów. Od lat nie płakał.

Gdybym naprawdę ich zabił, pewnie mniej bym płakał.

Szloch dobrze mu zrobił. Stare kobiety powiadają: Lej łzy, są korzystne dla zbiorów. W młodości płakał z wielu powodów. Później nie tak często.

Ruszył ścieżką. W Sajgonie dali mu tylko jeden granat. No dobrze.

Powiedzieli mu, żeby czekał na amerykańskiego cywila, który przywiezie projektor filmowy. Konkretny cel. Nie zapytał, dlaczego nie posłali dobrego strzelca z karabinem. Przypuszczał, że śmierć Amerykanina miała wyglądać na przypadkową.

Musiał zejść do strumienia, żeby okrążyć wioskę z hałaśliwymi psami. Wzdłuż brzegu dotarł do domu szefa regionu. Wszyscy już spali. Trung przysiadł pod drzewem w miniaturowym ogródku za domem, owinął głowę szmatą i oparł twarz o kolana. Odpoczywał przez dwie godziny.

Nie miał pojęcia, dlaczego poprosił starego przyjaciela Hao o fundusze. Instrukcje nie przewidywały nawiązywania kontaktów. Nie sądził, by rzeczą słuszną było bliższe badanie własnych motywów.

Natychmiast po drugim pianiu koguta obudził szefa i zdał raport ze swojej porażki. Przydzielono mu chiński karabin typ 56 i dwa magazynki po trzydzieści nabojów oraz rozkazano wrócić do obozu wykończonych chłopców nad rzeką Van Co Dong, „zagubionej komendy” partyzantów Hoa-hao. Zadeklarowali gotowość do zmiany miejsca i poddania się indoktrynacji.

- Były jakieś kłopoty? - zapytał szefa.
- Nikt nic im nie zrobił. Nie natkniesz się na żadne napięcia.
- Bardzo dobrze. Zachowaj broń, a mnie daj latarkę.

Rzeka wezbrała. Trung musiał dojść do brodu wysoko ponad obozem, przejść na drugi brzeg i zawrócić, w sumie miał do pokonania pięć, sześć kilometrów.

Koło budki strażnika zbudowanej z liści banana i bambusa dał sygnał, ale nikt nie odpowiedział.

Ścieżka prowadziła do czarnego, pobrużdżonego placu nad rzeką, gdzie dawniej był targ. Ludzi wypędziła stąd zaraza, a później uzdrowiciel kazał spalić wszystkie zabudowania w zabobonnej ceremonii. Zachowała się tylko stodoła, która obecnie służyła jako koszary.

Młodzięncy zebrali się przed nią, by pogrzebać jednego z towarzyszy. Wyjaśnili, że wykończył go dwutygodniowy atak malarii. Rozebrali nieboszczyka, wsypali ziarna ryżu do jego otwartych ust. Nagie ciało bez trumny złożyli do głębokiego na metr grobu i przykryli je wilgotnymi, żółtawymi grudami ziemi.

Trung obserwował ich z boku, odganiając muchy od ust. Chłopcy w milczeniu stali przy mogile jakąś minutę. Wreszcie jeden powiedział:

- Fatalnie. Odszedł kolejny.

Byli bardzo młodzi, wielu jeszcze nie skończyło dwudziestu lat. Ich grupa nigdy nie należała do Viet Minhu. Byli ciemnymi góralami z Ba Den, którzy nie wiedzieli, jak grzebać swoich zmarłych.

Po pogrzebie zebrał ich przed barakiem, żeby do nich przemówić, choć mógł tylko powtórzyć to, co wcześniej powiedzieli inni.

- Dostarczymy wam lekarstwa na malarię. Możemy przenieść was na północ, do kolektywnego gospodarstwa, które nazywamy kolchozem, gdzie będziecie żyć w pokoju i porządku. Jeśli jednak chcecie walczyć, umożliwimy wam to.

Jesteśmy scentralizowani. Mamy żelazną strukturę. Jesteśmy zamknięci w jednej pięści, która znika w rękawie, kiedy zachodzi taka potrzeba. Naszej woli nic nie złamie. Nasza wola jest naszą bronią. Nie pokonają jej największe armie kolonialistów. Wypędziliśmy Francuzów i wypędzimy Amerykanów, zarżniemy i pogrzebiemy ich marionetki. Twierdzą, że odnoszą zwycięstwa? Niech sobie twierdzą. Najeźdźcy walczą z oceanem. Nieważne, ile fal pokonają, ocean naszej determinacji zawsze tu będzie.

Chcecie być wolni? Wyzwolenie osobiste to wyzwolenie narodowe. Ludzie, którzy dowodzili wami na początku, rozumieli to, nauczyli się tego od Hoa-hao i doprowadzili was aż tutaj. Teraz musicie przyłączyć się do nas, by dojść do końca, a jest nim początek tego, na co wszyscy mamy nadzieję, świt pierwszego dnia naszej wolności narodowej.

Dawno temu przestał chodzić na zajęcia i sam nie wiedział, o czym mówić.

Przysłano go tutaj, ponieważ przez jakiś czas służył w świątyni Nowej Gwiazdy w pobliskiej wiosce, i uznano, że przypuszczalnie zna tych ludzi. Drobne nieporozumienie. Osieroceni chłopcy we wczesnym dzieciństwie zostali zwerbowani - porwani - wysoko w górze rzeki przez partyzantów Hoa-hao, pochodzących wprawdzie z delty Mekongu, ale do wycofania się na wzgórze zmuszonych przez Viet Minh. Przywódcy albo porzucili młodziutkich rekrutów, albo zostali zabici, tymczasem ich rodzinna wioska przestała istnieć, mieszkańcy rozproszyli się, uciekając przed walkami. Przez lata chłopcy wędrowali wzdłuż Van Co Dong, nigdzie nie spotykając się z serdecznym przyjęciem, i wreszcie zatrzymali się w miejscu dobrze znanym w rejonie z wyjątkowo zjadliwej odmiany malarii, zwanej „krwawymi sikami”. Nikt im nie przeszkadzał, gdy jeden po drugim umierali.

Trung powiedział im, że pochodzi z Ben Tre, ale wiele lat spędził na północy. Obecnie, aż do czasu ponownego zjednoczenia, serce Wietnamu znajduje się na północy.

- Po zjednoczeniu cały Wietnam będzie naszym domem. Miliony kilometrów kwadratowych bez podziałów, bez przesiedleń, bez przerywania tkanki narodowej. Wieczorami będziemy kładli się spać w pokoju i budzili

rano w pokoju. Ci z nas, którzy po drodze umrą, tak jak wasi przyjaciele, odnajdą pokój w grobie.

Popatrzcie na siebie, pomyślał, od narodzin do śmierci tylko wygnanie, wędrówka, wojna.

- Jak jest w tych kolchozach?
- Chcecie pracować? Tam będziecie mieć pracę i wolność.
- Ale od dawna sami o sobie decydujemy. Już jesteśmy wolni.
- W kolchozie jest inny rodzaj wolności.

Tak, tak, nic tylko gówno, co za ohyda, przeklinał siebie. Chciał powiedzieć: umierajcie tu, umierajcie tam, tylko trzymajcie się z daleka od kolchozu.

- Czas, żebyście dołączyli do grupy ruszającej na północ. Koło Bau Don jest obóz. To długi marsz, ale dojdziemy tam w ciągu jednego dnia, jeśli wyruszymy jutro wczesnym rankiem.

- Już o tym rozmawialiśmy - odparł jeden z mężczyzn. - Nie mamy innego wyjścia, pójdziemy na północ. Ale dzisiaj w nocy jest pusty księżyc i nie możemy wyruszać w drogę. To zły omen rozpocząć podróż po pustym księżycu. Z powodu złego omenu straciliśmy następnego kolegę.

- Malarii nie powoduje zły omen ani złośliwi bogowie, tylko żyjące istoty za małe, żeby je zobaczyć, jadowite jak węże, ale mniejsze od drobinki kurzu. Nazywamy te istoty mikrobami.

Młodzi bracia, posłuchajcie uważnie. Wszyscy umrzemy. Chcecie umrzeć przez mikroba? Ostateczne zwycięstwo składać się będzie z wielu porażek. Chcecie, by pokonał was mikroba? Im szybciej wyruszymy, tym lepiej.

Patrzyli na niego tak, jakby go nie rozumieli. Pewnie wielu rzeczywiście nie rozumiało, jako że pochodzili z daleka, gdzie mówiono innymi dialektami.

- Zastanowimy się nad tym - zaproponował któryś.

Kiedy się naradzali, Trung stał z boku i nie patrzył na nich. Ten sam mężczyzna, który zaproponował naradę, teraz podszedł i dotknął jego ramienia.

- Pójdziemy jutro.
- Jeśli taka jest wasza decyzja, to dobrze - odparł Trung.

Cała grupa poprzednią noc czuwała przy chorym towarzyszu i wszyscy byli zmęczeni. Nie mieli nic do roboty, wystawili więc wartowników, a reszta poszła do baraku. Trung usiadł pod ścianą. Zauważył zgniecione paczki papierosów zakrywające dziury w słomianym suficie. Kilka wychudłych

kotów wałęsało się koło nich, wyjadając śmieci z podłogi.

Jednooki chłopak przyniósł naręczce kokosów. Pokazał na siebie.

- Moje Mosa - rzekł do Trunga w jakiejś odmianie góralskiego dialektu.
- Moje imię - poprawił go inny.
- Moje imię Mosa - powtórzył jednooki, przekrzywiając głowę na bok, by dobrym okiem objąć Trunga. Uśmiechnął się: zęby miał spiłowane, jak u wszystkich górskich plemion. Maczetą wielką jak swoje udo odciął wierzchołki kokosów. Wypili mleczko, a kawałkami skorupy wyskrobali miękki przezroczysty miąższ.

Dali Trungowi pryczę, a nawet małą poduszkę. Sami rozłożyli się jak na biwaku: na dworze stał wartownik, w środku pięciu grało w karty, jeden kibicował, jeden chrapał. Trung bez powodzenia próbował się zdrzemnąć. Podejrzewał, że chłopcy wiele dni spędzili w taki sposób. Wiatr ucichł, Trung słyszał, jak wezbrana rzeka ociera się o brzegi. Zapadł zmrok. Wartownicy porzucili stanowiska i przyszli na wieczorny posiłek. W sumie było ich kilkunastu, wychudzonych mężczyzn zwiedzionych tym odcinkiem rzeki Van Co Dong. Ochraniali siebie przed wszystkimi, którzy mogą nadejść, nieważne kto to będzie, i najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, że nie nadejdzie nikt.

Przez całą noc utrzymywali kopcający się ogień, by odpędzić moskity. Trung spał z bandaną na nosie i ustach, pozostałym dym chyba nie przeszkadzał.

Deszcz zaczął padać późno w nocy. Mężczyźni przestawiali sprzęty w miejsca, gdzie nie ciekło z dachu, i sami zmieniali pozycje, powtarzając:

- Ruszajcie się! Szybko!

Potem znowu się położyli. Nikt nic nie mówił, bo wszystko zagłuszał deszcz lejący się przez dach. W świetle świec Trung widział ich twarze wpatrzone w nicość. Za to wyraźnie poprawił się im nastrój. Rozległy się śmiechy i śpiewy. To byli dobrzy chłopcy. Robili to, co przynosił los. Kiedy deszcz przybrał na sile, wetknęli więcej zgniecionych paczek papierosów w sufit.

O północy do stodoły wsunęły się cztery psy. Trung jako jedyny nie spał; wycelował latarkę w poruszające się bezszelestnie zwierzęta, które wypadły na dwór, kiedy oślepiło je światło. Snop przebił się przez dym z ogniska, igrając na mężczyznach i chłopcach śpiących po dwóch, po trzech. Leżeli obok siebie, obejmowali się wzajemnie albo dotykali w swobodny sposób, jak członkowie rodziny.

O świecie Trung wymknął się na dwór, usiadł po turecku na mokrej ziemi i oczyścił umysł, skupiając uwagę na powietrzu wchodzącym i wychodzącym przez nozdrza; w dzieciństwie robił tak codziennie rano i wieczorem w świątyni Nowej Gwiazdy. Ponad rok temu wrócił do tej praktyki, choć nie miał pojęcia dlaczego. Z jej powodu był marnym komunistą. Prawdę mówiąc, stracił przekonanie, że krew i rewolucja to użyteczne narzędzia zmiany ludzkiego umysłu. Kto to powiedział? - pewnie Konfucjusz: „Nie zdołam wielkim młotem wykuć rzeźby z kamienia, nie zdołam przemocą uwolnić ludzkiej duszy”. Pokój był tu i teraz. Pokój obiecywany w innym miejscu lub czasie był kłamstwem.

Cztery psy zeszłej nocy to były Cztery Szlachetne Prawdy, odpędzające jego kłamstwa w mrok.

Tracił wątek. Świadomie skupił się na oddechu.

Znowu zadał sobie pytanie, dlaczego poprosił Hao o pieniądze.

Twarz Hao, kiedy mnie zobaczył: jak u szczeniaka, którego zbyt brutalnie potraktowałem. Ten malec zaczął się mnie bać. Cudowne uczucie. Ach, nie...

...Wcześniej czy później umysł czepia się myśli i podąża za nią w labirynt, jedna myśl łączy się z drugą. Potem labirynt zamyka się w sobie, a ty stwierdzasz, że jesteś na zewnątrz. Nigdy nie znajdowałeś się w środku, to był sen.

Trung skupił uwagę na oddechu.

Poranek - mgła kryjąca się nad rzeką i chmura złapana na górskich szczytach. Trung słyszał, jak chłopcy zaczynają się ruszać, budząc się do największego ziemskiego triumfu: następnego dnia nie w grobie. Nie całkiem przytomni, owinięci kocami człapali na dwór, żeby się wysikać.

- Młodzi, dopóki żyjecie, uczcie się, jak budzić się z koszmaru - powiedział im Trung. Patrzyli na niego zaspanymi oczami.

1965

Jak co tydzień w poniedziałek wieczorem William „Skip” Sands z CIA testował swoją energię, towarzysząc mieszanemu patrolowi złożonemu z armii i policji filipińskiej w bezowocnym poszukiwaniu niewidzialnych ludzi w mrocznych górskich zakątkach. Tym razem jego przyjaciela, majora Aguinaldo, coś zatrzymało, a nikt poza nim nie miał pojęcia, co począć z Amerykaninem. W milczeniu jeździli po wyboistych drogach hałaśliwym konwojem trzech dżipów, jak zwykle wypatrując śladów partyzantów Huk i jak zwykle żadnych nie znajdując. Tuż przed świtem Sands wrócił do sztabu i stwierdził, że nie ma światła, a klimatyzacja nie działa. Po raz trzeci w tym tygodniu miejscowa elektrownia miała awarię. Otworzywszy drzwi sypialni na dżunglę, spływał potem w łóżku.

Cztery godziny później klimatyzacja ożyła i Sand obudził się w mokrej od potu pościeli. Zaspał, pora śniadania pewnie minęła i będzie musiał opuścić poranne ćwiczenia. Wziął szybki prysznic, ubrał się w spodnie khaki i miejscową obszerną koszulę z gazy zwaną barong tagalog, prezent od filipińskiego przyjaciela majora Aguinaldo.

Na dole zobaczył, że nakryto dla niego przy pustym poza tym mahoniowym stole. W szklance z wodą zdążył się roztopić lód. Obok leżała gazeta, w rzeczywistości wczorajsza, dostarczona przez kuriera z Manili. Służący Sebastian wyszedł z kuchni:

- Dzień dobry, Skip - powiedział. - Będzie fryzjer.
- Kiedy?
- Już jest.
- Gdzie?

- Jest w kuchni. Chcesz najpierw śniadanie? Chcesz jajko?
- Proszę tylko o kawę.
- Chcesz bekon i jajko?
- Wytrzymasz, jeśli poprzestanę na kawie?
- Jakie jajko? Na miękko.
- Przynieś, przynieś.

Sands usiadł przed szerokim oknem, które wychodziło na szaloną scenę przedstawiającą dwudolkowe pole golfowe otoczone przez bujną dżunglę. Ten miniaturowy ośrodek - dom mieszkalny, pomieszczenia dla służby, szopa i warsztat - został zbudowany jako ośrodek wczasowy dla personelu Del Monte Corporation. Sand nie spotkał jeszcze nikogo z Del Monte i teraz przestał się już tego spodziewać. Poza nim mieszkali tu tylko dwaj inni ludzie, jednym był angielski ekspert od moskitów, drugim Niemiec - Sands podejrzewał, że to bardziej ponury specjalista, może strzelec wyborowy.

Bekon i jajka na śniadanie. Małeńkie jajka. Bekon zawsze był smaczny. Ryż, żadnych ziemniaków. Miękki chleb, nikt nie słyszał o tostach. Filipińczycy krzatali się po ośrodku w białych uniformach, mopami i szmatami rozprawiając się z pleśnią i brudem. Młody mężczyzna, ubrany tylko w bokserki, minął wejście do głównej sali, ślizgając się na odwróconych połówkach orzecha kokosowego, którymi polerował drewnianą podłogę.

Sands zajął się lekturą pierwszej strony „Timesa” wydawanego w Manili. Gangster Boy Golden został zamordowany w swoim salonie. Sands przyjrzał się fotografii przedstawiającej trupa w szlafroku, z dziwnie rozrzuconymi kończynami i językiem wystającym pomiędzy zębów.

Pojawił się fryzjer, starzec taszczący drewnianą skrzynkę.

- Wyjdźmy na zewnątrz - powiedział Skip. Przez przeszklone drzwi wyszli na taras.

Dzień był pogodny i sprawiał wrażenie łagodnego, ale Skip wciąż bał się nieba. Łało bez przerwy od sześciu tygodni, od chwili gdy w połowie czerwca przyjechał do Manili, a potem pewnego dnia jakby ktoś zakręcił kurek. To była jego pierwsza podróż poza granice Ameryki. Mieszkał w Kansas do dnia, gdy z czerwonopomarańczową walizką wsiadł do autobusu jadącego do Bloomington w Indianie, by podjąć studia na uniwersytecie, choć kilka razy jako dziecko i później nastolatek był z wizytą w Bostonie u rodziny ze strony ojca. Przy ostatniej okazji spędził prawie całe lato z gromadą krewnych, irlandzką bandą glińiarzy i żołnierzy weteranów potężnych jak mastify oraz

ich wiecznie zatroskanych żon przypominających pudle. Przytłoczyli go nieświadomą wulgarnością i hałaśliwą towarzyskością, przyjęli do swojego grona, pokochali, przedstawili siebie jako rodzinę, której nigdy nie mógł znaleźć pośród krewniaków matki ze środkowego zachodu, traktujących się wzajemnie jak dalecy znajomi. Ledwo pamiętał ojca, ofiarę Pearl Harbor. Irlandzcy stryjowie z Bostonu pokazali Skipowi jego przyszłość, wyznaczyli kształt, który pewnego dnia jako dorosły mężczyzna miał wypełnić. Nie sądził, by spełnił ich oczekiwania. To tylko dowodziło jego małości.

Teraz ze strony Filipińczyków, tych uroczych miniaturowych Irlandczyków, czuł to samo ciepło i serdeczność. Na Filipinach był od ośmiu tygodni. Lubił tutejszych ludzi, za to nienawidził tutejszego klimatu. Tak rozpoczął piąty rok służby dla Stanów Zjednoczonych jako agent Centralnej Agencji Wywiadowczej. Skip uważał, że zarówno Agencja, jak i cały kraj są wspa- niale.

- Chcę przystrzyc boki - powiedział starszce. Pod wpływem zmarłego prezydenta Kennedy'ego przestał obcinać się na jeża, a niedawno, być może pod wpływem hiszpańskich pozostałości w regionie, zapuścił wąsy.

Kiedy fryzjer szczekał nożyczkami, Sands przeglądał drugą gazetę, manilskiego „Enquirer”; największy artykuł na pierwszej stronie zapowiadał, że jest pierwszym z serii przedstawiającej relacje filipińskich pielgrzymów o niezwykłych cudach, w tym o uleczeniu z astmy, o drewnianym krzyżu, który zmienił się w złoty, o kamiennym krzyżu, który się poruszał, o płaczącym gipsowym posągu i o krwawiącym gipsowym posągu.

Fryzjer podsunął mu niewielkie lustro. Dobrze, że nie musi pokazywać się w tej fryzurze w stolicy. Wąsy istniały tylko jako nadzieja, włosy osiągnęły stan średni, za długie, by przejść niezauważone, za krótkie, by nad nimi zapanować. Ile lat strzygł się na jeża? Osiem, dziewięć - od dnia rozmowy z oficerami Agencji, którzy przyjechali do Bloomington rekrutować studentów. Obaj ubrani byli w garnitury i mieli krótkie włosy, co zaobserwował poprzedniego popołudnia, podpatrując ich przybycie do hotelu dla gości w kampusie - przybycie obciętych na jeża oficerów z Centralnej Agencji Wywiadowczej. Spodobał mu się pierwszy członek tej nazwy.

Tutaj, w miejscu oddalonym o dzień jazdy od Manili, nie czuł się w żadnym centrum. Czytał zabobonne gazety. Gapił się na winorośle na gipsowych ścianach, plamy pleśni na ścianach, jaszczurki na ścianach, pryszcze błota na ścianach.

Ze swojego punktu obserwacyjnego na tarasie Sands wyczuwał napięcie w powietrzu, coś w rodzaju powstrzymanej kłótni między pracownikami w domu - nie lubił nazywać ich służącymi. To podrażniło jego ciekawość. Wychowany w sercu Ameryki, dokładał jednak starań, by unikać osobistych kontrowersji, ignorować dąsy, szanować uniki, odgradzać się od podniesionych głosów dobiegających z innych pomieszczeń.

Na patio wyszedł Sebastian, sprawiający wrażenie zdenerwowanego.

- Ktoś do ciebie - oznajmił.
- Kto?
- Sami powiedzą. Nie każ mnie powiedzieć.

Ale minęło dwadzieścia minut i nikt nie przyszedł.

Po skończonym strzyżeniu Sands wszedł do chłodnego salonu z wypolerowaną drewnianą podłogą. Pusto. W jadalni był tylko Sebastian, który nakrywał stół do lunchu.

- Ktoś chciał się ze mną widzieć?
- Ktoś? Nie... myślę, że nikt.
- Ale mówiłeś, że mam gościa?
- Nikt, sir.
- Świetnie, wielkie dzięki, trzymaj mnie w niepewności.

Sands usiadł na rattanowym fotelu na tarasie. Tutaj mógł albo czytać gazetę, albo obserwować angielskiego entomologa, człowieka nazwiskiem Anders Pitchfork, który zagrywał kijem trójką piłeczkę golfową pomiędzy dwoma pełnowymiarowymi greenami bardzo małego pola golfowego, zajmującego mniej więcej dwa akry starannie utrzymanego i jednorodnego biologicznie trawnika. Za otaczającym je wysokim łańcuchem roślinność pieniała się bujnie, tworząc mroczny i niezbadany gąszcz. Pitchfork, siwiejący londyńczyk w bermudach i żółtej koszulce polo, ekspert od widliszków, spędzał na polu golfowym poranki, póki nie wyгнаło go słońce wznoszące się ponad dach budynku. Wówczas szedł do pracy, którą było zlikwidowanie malarii.

Sands widział gościa z Niemiec; w piżamie jadł śniadanie na prywatnym tarasie przed swoim pokojem. Niemiec przyjechał, żeby kogoś zabić - Sand był o tym przekonany, choć rozmawiał z nim tylko dwa razy. Z Manili przywiózł go szef sekcji, a chociaż pozornie celem wizyty było ustalenie spraw z Sandsem, szef cały czas spędził z Niemcem, natomiast Sandsa poinstruował, żeby „był pod ręką i zostawił go samego”.

Co do Pitchforka, faceta od malarii z niezapomnianym nazwiskiem - ten

zbierał informacje. Przymuszczałnie miał swoich ludzi w okolicznych wioskach.

Sands lubił domyślać się profesji innych. Ludzie przyjeżdżali i zajmowali się niejasnymi sprawami. W Brytanii miejsce takie jak to pewnie nazwano by „bezpiecznym domem”. Ale w Stanach, w Wirginii, Sandsa nauczono, by żadnego domu nie uważać za bezpieczny. By nie szukać żadnej wyspy na morzu. Pułkownik, który go szkolił, kazał wszystkim swoim podopiecznym nauczyć się na pamięć fragmentu „Brzegu od zawietrznej” z *Moby Dicka* Melville'a:

*„Ale jako że w bezkresności jedynie tkwi prawda najwyższa, bezbrzeżna, nieogarniona jak Bóg - przeto lepiej już iść na zagładę w owej zawierusze nieskończoności, niż zostać ciśniętym na brzeg, choćby ten miał być ratunkiem! O, bowiem natenczas, któż by chciał nikczemnie jak robak wypełznąć na ląd!”**

* Przełożył B. Zieliński.

Pitchfork wybrał z torby kij z wielką główką i z rzutni posłał piłeczkę ponad płotem głęboko w zarośla.

Tymczasem według „Enquirera” piraci na morzu Sulu porwali tankowiec i zabili dwóch członków załogi. W Cebu City brat kandydata na burmistrza zrobił sito z niego i jednego z jego zwolenników. Zabójca popierał w wyborach rywala, którym był ich ojciec. Gubernator prowincji Camiguin zginął z rąk „szaleńca w amoku”, jak napisano w gazecie, który zabił też dwóch innych ludzi, „kiedy ogarnęła go furia”.

A teraz Niemiec ćwiczył strzelanie do kauczukowca z dmuchawki, raczej niebędącej prymitywnym rękodziełem, co Sands wywnioskował z faktu, że składała się z trzech części. W całości miała długość ponad półtora metra, rzutki natomiast, długie na jakieś dwadzieścia centymetrów, były białe, zwiężające się na końcach; w gruncie rzeczy przypominały wydłużone golfowe rzutnie. Niemiec posyłał je zręcznie do celu, często przerywając, by chusteczką otrzeć twarz.

Skip umówił się we wsi ze swoim przyjacielem, majorem armii filipińskiej, Eddiem Aguinaldo.

Skip i niemiecki zabójca, który może wcale nie był zabójcą ani nawet Niemcem, zjechali na targ znajdujący się w połowie zbocza. Wzięli klimatyzowany

samochód, przez zamknięte okna z tylnego siedzenia oglądając drewniane chaty pokryte słomą, przywiązane kozy, chodzące wolno kury, wałęsające się psy. Kiedy mijali staruszki, które siedząc w kucki na zakurzonych gankach, pluły czerwonym betelem, gromadka małych dzieci odłączyła się od opiekunek i pobiegła za wozem.

- O co chodzi? Coś mówią.
- Ałki - wyjaśnił Sands.
- Co takiego? Powiedziały: „Ałki”? A co to znaczy?

- Ich rodzice prosili żołnierzy o zapalki. „Zapalki! Zapalki!”. Teraz krzyczą tylko „ałki, ałki, ałki”. Same nie wiedzą, co to znaczy. Żołnierzy już tu nie ma, a jeśli chcą zapalki, mówią „posporo”.

Stare kobiety agresywnie rzuciły się za dziećmi, w sposób, jakiego Skip nigdy wcześniej nie widział.

- Co jest z tymi ludźmi? - zapytał Niemca.
- Muszą lepiej się odżywiać. Mają za mało białka.
- Czujesz to? Coś się kroi.
- Wysoko w górach jest za mało ryb. Mają za mało białka.
- Ernest. - Skip nachylił się ku kierowcy. - Czy dzisiaj w wiosce coś się dzieje?

- Może i tak, ale nie wiem - odparł Ernest. - Mogę popytać. - Ernest pochodził z Manili i władał doskonałym angielskim.

Major Eduardo Aguinaldo w świeżo odprasowanym mundurze polowym czekał na tylnym siedzeniu czarnego mercedesa przed Monte Mayon, restauracją prowadzoną przez Włocha i jego filipińską rodzinę. Włoch Pavese serwował wszystko, co ludzie gotowi byli kupić, a nie było tego wiele. Dla gości przyrządził całkiem smaczne spaghetti po bolońsku z mnóstwem koziej wątroby. Major przywitał się z Niemcem, nalegając, by ten mówił mu po imieniu, i zaproponował wspólny lunch.

Ku zdziwieniu Skipa Niemiec się zgodził. Jadł z apetytem i dużo. Nie był otyły, ale wyglądało na to, że jedzenie to jego druga pasja. Skip nigdy nie widział go tak zadowolonego. Był to misiwaty, brodaty typ w okularach o szerokich brązowych oprawkach. Jego skóra należała do tych, które raczej się przypiekają, niż opalają, wielkie miękkie usta przy mówieniu wilgotniały.

- Zamówmy u Pavese kawę. Jego espresso jest pełne życia - powiedział Aguinaldo. - Skip był na nogach przez całą noc. Jest zmęczony.

- Nigdy! Nigdy nie jestem zmęczony.

- Moi ludzie byli dla ciebie dobrzy?
- Okazali mi wielki szacunek. Dziękuję.
- Ale nie zlokalizowaliście żadnych Huków.
- Nie, chyba że się kryli przy drogach, a my ich nie widzieliśmy.
- A chłopcy z PF?
- PF? - To była policja filipińska. - Zachowywali się w porządku. Mało się odzywali.

- Nie chcę pomocy wojska. Nie powiem, żebym miał o to do nich pretensje. To nie jest wojna, a Hukowie to zwykli renegaci. Zostali zdegradowani do rangi bandytów.

- Słusznie. - Ale te wycieczki stanowiły całą strategię Sandsa, by zdobywać punkty i zasłużyć na przeniesienie do Manili albo, jeszcze lepiej, do Sajgonu. Przede wszystkim patrole w dżungli zwalniały go z nieprzyjemnego uczucia, że przeszedł surowe szkolenie, kołysał się na linach zwisających z wysokich skał, skakał na spadochronie w burzowe chmury, pokonywał drut kolczasty, w kompletnych ciemnościach przeprowadzał się przez rwące strumienie, przywiązany do krzesła godzinami znosił przesłuchania, a wszystko po to, żeby zostać urzędnikiem, nikim więcej, tylko urzędnikiem. Który zbiera. Porządkuje. Robi to, co mogłaby zrobić każda zgorzkniała stara bibliotekarka. - Jak ci minął wieczór? - zapytał Eddiego.

- Mnie? Położyłem się wcześniej i czytałem *Jamesa Bonda*.
- Żartujesz.
- Może dzisiaj wieczorem pojedziemy na patrol. Chcesz jechać z nami?

- spytał Aguinaldo Niemca. - Bywa podniecająco.

Niemiec nie krył dezorientacji.

- O co w tym chodzi? - zapytał Sandsa.
- Nasz przyjaciel nie weźmie udziału - zwrócił się Sands do Eddiego.
- Jadę w dół - wyjaśnił Niemiec.
- W dół?
- Do pociągu.
- A, na dworzec. Wyjeżdżasz do Manili - rzekł Aguinaldo. - Szkoda. Nasze patrole dostarczają czasem orzeźwiających przeżyć.

Jakby często byli pod ostrzałem. O ile Skip się orientował, nic takiego nigdy się nie zdarzyło. Eddie był jak mały chłopiec, chociaż lubił sprawiać wrażenie groźnego.

Trzy tygodnie temu Sands w Manili oglądał Eddiego w roli Henry'ego Higginsa w spektaklu *My Fair Lady* i nie mógł wyrzucić z pamięci obrazu przyjaciela majora, który nadmiernie uróżowiony i upudrowany chodził po scenie w smokingu, przystawał, zwracał się do pięknej filipińskiej aktorki i pytał: „Liza, gdzie do diabła są moje papucie?”. Widownia złożona z filipińskich biznesmenów i ich rodzin skręcała się ze śmiechu. Sands także był pod wrażeniem.

- Co to za rzecz, z którą ćwiczysz? - zapytał Niemca Sands.
- Chodzi ci o sumpit. Tak.
- Dmuchawa?
- Tak. Z plemienia Moro.
- Sumpit to słowo z tagalskiego?
- Myślę, że jest powszechnie używane - powiedział Eddie.
- Jest to słowo używane wszędzie na tych wyspach - zgodził się Niemiec.

- A z czego jest zrobiona?
- Pytasz, z czego jest zbudowana?
- Tak.
- Z magnezu.
- Z magnezu. Na litość boską.
- Dość solidna. Dość lekka.
- Kto ci ją wykuł?

Zadał to pytanie, żeby podtrzymać rozmowę, i wstrząśnięty dostrzegł spojrzenie, które wymienili Eddie i zabójca.

- Jacyś ludzie w Manili - odparł Niemiec i Sands nie kontynuował tematu.

Po posiłku wszyscy trzej zamówili espresso w małych filiżankach. Przed przybyciem do tej odległej wioski Sands nigdy nie pił takiej kawy.

- Co się dzisiaj dzieje, Eddie?
- Nie wiem, o co ci chodzi.
- Czy jest jakaś, sam nie wiem, jakaś smutna rocznica? Na przykład dzień śmierci wielkiego wodza? Dlaczego wszyscy wydają się tacy posępni?
- To znaczy spięci.
- Tak. Spięci i ponurzy.
- Są wystraszeni, Skip. Tu jest wampir. Wampir zwany aswangiem.
- Wampir? - wtrącił Niemiec. - Jak Drakula?

- Aswang może zmienić się w jakąkolwiek osobę, przyjmując każdą postać. Widzisz od razu, w czym problem: to znaczy, że każdy może być wampirem. Kiedy taka plotka zaczyna się rozchodzić, zalewa wioskę jak trucizna. Jednego wieczora w zeszłym tygodniu, w ostatnią środę około ósmej widziałem tłum przed targiem. Bili staruszkę i krzyczeli: „Aswang! Aswang!”.

- Bili staruszkę? - powtórzył Skip. - Czym ją bili?

- Wszystkim, co wpadło im w ręce. Nie widziałem dokładnie. Było ciemno. Wydawało mi się, że uciekła za róg, ale później sklepikarz powiedział mi, że zmieniła się w papugę i odfrunęła. Papuga dziobnęła niemowlę i niemowlę umarło po dwóch godzinach. Książd nic nie może poradzić. Nawet książd jest bezradny.

- Ci ludzie są jak nedorozwinięte dzieci - stwierdził Niemiec.

Kiedy zjedli i ich towarzysz ruszył w dół zbocza ku torom prowadzącym do Manili, Skip zapytał:

- Znasz tego faceta?

- Nie - odparł Eddie. - Naprawdę myślisz, że jest Niemcem?

- Myślę, że jest obcokrajowcem. I dziwnym gościem.

- Spotkał się z pułkownikiem, a teraz wyjeżdża.

- Z pułkownikiem? Kiedy?

- Znaczące jest to, że się nie przedstawił.

- Zapytałeś go o nazwisko?

- Nie. Jak się nazywa?

- Nie pytałem.

- Nigdy nie mówił o płaceniu. Ja zapłacę. - Eddie odbył naradę z pulchną Filipinką, która w przekonaniu Skipa była panią Pavese, po czym wrócił i powiedział: - Chodźmy kupić owoce na jutrzejsze śniadanie.

- Jak rozumiem, mango i banany są dobre o tej porze roku. Jak wszystkie owoce tropikalne.

- Czy to żart?

- Tak.

Wkroczyli na targ przykryty łatanym brezentowym dachem, pod którym unosił się odór krwawej jatki i zgniłych owoców. Niewiarygodnie zdeformowani i okaleczeni żebracy powlekli się za nimi po ubitej ziemi. Pojawiły się też dzieci, ale żebracy na wózkach, z kikutami osłoniętymi łupinami kokosa, z bliznami na twarzach, ślepi i bezzębni, odpędzili je łaskami albo obciętymi kończynami, sycząc i przeklinając. Aguinaldo wyciągnął broń i

wycelował w kłębiącą się grupę, a ta cofnęła się zgodnie i zniknęła. Potargował się szybko ze starszą sprzedającą papaje, po czym wrócili na ulicę.

Eddie swoim mercedesem zawiózł Sandsa z powrotem do Del Monte House. Na razie nic ważnego sobie nie powiedzieli. Sands powstrzymywał się od zapytania, czy ich spotkanie miało konkretny cel. Eddie wszedł z nim do środka, ale najpierw otworzył bagażnik i wyjął ciężki obły przedmiot zapakowany w brązowy papier i obwiązany sznurkiem.

- Mam coś dla ciebie. Prezent pożegnalny. - Nalegał, więc znowu usiedli na tylnym siedzeniu, gdzie skórzaną tapicerkę przykrywało poszarzałe białe prześcieradło.

Eddie położył paczkę na kolanach i odpakował karabin M1, używany przez komandosów, ze składanym metalowym łożem. Drewniana nasada lufy została wymieniona i pokryta skomplikowanym rytym wzorem. Eddie wręczył broń Skipowi.

Sands obrócił ją w dłoniach. Eddie wycelował latarkę na zdobienia.

- Niesamowite, Eddie. Rewelacyjna robota. Jestem ci bardzo wdzięczny.

- Pas jest ze skóry.

- Tak, widzę.

- Jest bardzo dobra.

- Czuję się zaszczycony i bardzo wdzięczny. - Sands mówił to szczerze.

- Karabinem zajęło się kilku chłopców z Narodowego Biura Śledczego. Są wspaniałymi rusznikarzami.

- Niezwykła robota. Ale powiedziałaś, że to prezent pożegnalny. Kto wyjeżdża?

- Więc jeszcze nie dostałeś rozkazu?

- Nie. Nic. A jaki jest ten rozkaz?

- Nieważne. - Major uśmiechnął się afektowanym uśmiechem Henry'ego Higginsa. - Ale może dostaniesz przydział.

- Nie wysyłaj mnie w dżunglę, Eddie, nie wysyłaj mnie na deszcz! Nie każ mi mieszkać w przeciekającym namiocie!

- Czy ja coś mówiłem? Tyle wiem, co ty. Rozmawiałeś o tym z pułkownikiem?

- Nie widziałem go od wielu tygodni. Jest w Waszyngtonie.

- Jest tutaj.

- To znaczy w Manili?

- Tutaj, w San Marcos. Prawdę mówiąc, na pewno jest w domu.

- W domu? Na litość boską. Nie. To żart.
- Rozumiem, że należy do twojej rodziny.
- To żart, prawda?
- Nie, o ile on nie żartuje. Rano rozmawiałem z nim przez telefon. Powiedział, że dzwoni z tego domu.
- Ho. Ho. - Sands czuł się głupio, tak pomrukując, ale zabrakło mu słów.
- Znasz go dobrze?
- Tak dobrze jak... ehm. Szkolił mnie.
- To znaczy, że go nie znasz. To znaczy, że on zna ciebie.
- Racja.
- Czy to prawda, że pułkownik jest twoim krewnym? Wujkiem albo coś w tym rodzaju?
- Takie krążą plotki?
- Może jestem wścibski.
- Tak, jest moim stryjem. Bratem ojca.
- Fascynujące.
- Przykro mi, Eddie. Niechętnie się do tego przyznaję.
- Ale to wielki człowiek.
- Nie w tym rzecz. Nie lubię wykorzystywać jego nazwiska.
- Powinieneś być dumny ze swojej rodziny. Zawsze bądź z niej dumny.

Sands wszedł do środka, żeby się upewnić, że to pomyłka, ale okazało się, że Eddie miał rację. Pułkownik, jego stryj, siedział w salonie i pił koktajle z Andersem Pitchforkiem.

- Widzę, że jesteś ubrany na wieczór - rzekł pułkownik, mając na myśli barong Skipa. Wstał i podał mu silną dłoń, wilgotną i chłodną od drinka. Sam ubrany był w jedną ze swoich ulubionych hawajskich koszul. Miał szerokie bary i spory brzuch, krzywe nogi oraz mocną opaleniznę. Nie był wiele wyższy od Filipińczyka, ale wydawał się potężny. Srebrne włosy miał ostrzyżone na kowadło. Był teraz pijany i w pionie utrzymywała go własna historia: gra w drużynie footballowej Knute'a Rockne na uniwersytecie Notre Dame, misje dla Latających Tygrysów w Birmie, antypartyzanckie operacje w tutejszej dżungli z Edwardem Landsdale'em, a ostatnio także w Wietnamie Południowym. W 1941 roku spędził w Birmie kilka miesięcy w obozie jenieckim, z którego uciekł. Walczył z Malajskimi Tygrysami i Pathet Lao; stawał przeciwko wrogom na wielu azjatyckich frontach. Skip kochał go, ale nie cieszył się na jego widok.

- Eddie - pułkownik oburącz ujął dłoń majora; lewą ręką przesunął mu po przedramieniu i złapał majora ponad łokciem, masując mu biceps. - Upijmy się.

- Za wcześnie!

- Za wcześnie? Cholera, a za późno dla mnie, żeby zmienić kurs!

- Za wcześnie! Proszę o herbatę - zwrócił się Eddie do służącego. Skip poprosił o to samo.

Pułkownik z ciekawością spojrział na paczkę, którą Skip trzymał pod pachą.

- Ryba na kolację?

- Pokaż mu! - polecił Eddie i Skip rozłożył paczkę na stoliku z brązu.

Pułkownik usiadł i wziął karabin w ręce, tak jak Skip niedawno zrobił w samochodzie, palcami przesuwając po skomplikowanych zdobieniach.

- Fantastyczna robota. - Uśmiechnął się, choć na nikogo przy tym nie patrzył. Sięgnął za siebie i wręczył Skipowi brązową torbę. - Zamieńmy się.

- Nie, dziękuję - odparł Skip.

- Co jest w torbie? - zapytał Eddie.

- Przesyłka kurierska z ambasady - wyjaśnił pułkownik.

- Ach! Tajemnica!

Jak zwykle pułkownik pił z dwóch szklanek naraz. Pomachał pustą na służącego.

- Sebastian, zabrakło wam bushmillsa?

- Irlandzka whisky bushmills nadchodzi! - odparł młodzieniec.

- Służba najwyraźniej pana zna - powiedział Pitchfork.

- Nie jestem tu częstym gościem.

- Myślę, że pana szanują.

- Może dają sute napiwki. - Pułkownik wstał, podszedł do kredensu, gdzie palcami nabral lodu do szklanki, po czym stał, patrząc przez okno z miną kogoś, kto zaraz podzieli się swoimi przemyśleniami. Pozostali czekali, ale on bez słowa napił się whisky.

- Pułkowniku, gra pan w golfa? - zapytał Pitchfork.

Eddie się roześmiał.

- Jeśli zwabi pan tam naszego pułkownika, zdziesiątkuje krajobraz.

- Unikam tropikalnego słońca - odparł pułkownik. Czule spojrział na tyłek pokojówki, która ustawiała filiżanki z herbatą na stoliku. Kiedy wszyscy trzymali coś w dłoniach, uniósł szklankę: - Do ostatniego Huka. Niechaj szybko spocznie w grobie.

- Do ostatniego Huka! - powtórzyli.
- Pułkownik upił wielki łyk, odetchnął i powiedział:
- Niechaj wrogowie będą nas warci.
- Racja! - powiedział Pitchfork.

Skip zaniósł papierową torbę i piękny karabin do swojego pokoju. Położył obie rzeczy na łóżku, z ulgą korzystając z chwili samotności. Pokojówka otworzyła pokój w ciągu dnia. Skip zamknął okna z żaluzjami i włączył klimatyzację.

Wysypał zawartość torby na łóżko: tuzin ośmiouncjowych słoików kleju kauczukowego. Taka była materia jego egzystencji.

Cały system kart katalogowych pułkownika, ponad dziewiętnaście tysięcy wpisów ułożonych od najstarszego do najnowszego, spoczywał na czterech składanych stolikach ustawionych po obu stronach drzwi łazienki Skipa, ponad dziewiętnaście tysięcy kart dziesięć na piętnaście centymetrów ułożonych w wąskich drewnianych szufladkach wykonanych, jak powiedział mu pułkownik, w departamencie fizyki ośrodka rządowego Seafront w Manili. Na podłodze pod stolikami czekało siedem trzydziestofuntowych pudeł z pustymi kartami oraz dwa pudła pełne tysięcy fotokopii, zawierających cztery karty na stronie, duplikat tego samego dziewiętnastotysięcznego zbioru. Główną pracą Skipa, podstawowym zadaniem na tym etapie życia, celem pobytu w tym wielkim pokoju koło miniaturowego pola golfowego było stworzenie drugiego katalogu według ustalonych przez pułkownika kategorii, a następnie połączenie obu odnośnikami. Sands nie miał sekretarki, żadnej pomocy - to była prywatna wywiadowcza biblioteka pułkownika, jego tajny skład, kryjówka. Twierdził, że sam zrobił wszystkie fotokopie, że poza nim Skip jest jedynym człowiekiem, który miał w ręce te tajemnice.

Wielki, podobny do gilotyny przecinak do papieru i długie, długie rzędy słoików z klejem. A także szufladki, solidne, długie na metr korytka jak te w bibliotekach, z wypisanymi ołówkiem czterema cyframi:

2242

- szczęśliwa liczba pułkownika: 2 lutego 1942 roku, data jego ucieczki z japońskiej niewoli.

Słyszał, jak pułkownik opowiada jakąś historię. Jego ryk niósł się przez dom przy wtórze śmiechu pozostałych. Sands w obecności stryja czuł wstydliwą i dziewczęcą rozpacz. Czy kiedykolwiek zdoła przemienić się w kogoś tak czystego i empatycznego jak pułkownik Francis Sands? Skip dość wcześnie

stwierdził, że jest słaby i podatny na wpływy, dlatego postanowił znaleźć dla siebie odpowiednich bohaterów. Jednym był John R Kennedy. Lincoln, Sokrates, Marek Aureliusz... Uśmiech pułkownika, kiedy oglądał karabin - czy z góry wiedział, że Skip go dostanie? Czasami pułkownik uśmiechał się w sposób, który Skipa irytował: wszystkowiedzące wygięcie ust.

Na długo przedtem, zanim śladem stryja wstąpił do wywiadu, prawdę mówiąc zanim jeszcze powstała CIA, już w dzieciństwie, Skip uczynił z Francis Sanda osobistą legendę. Francis podnosił ciężary, uprawiał boks, grał w football. Lotnik, wojownik, szpieg.

Tamtego dnia przed dziewięciu laty w Bloomington oficer rekrutujący zapytał:

- Dlaczego chcesz wstąpić do Agencji?
- Bo mój wujek mówi, że chce, żebym był jego kolegą.

Oficer nawet nie mrugnął. Jakby spodziewał się takiej odpowiedzi.

- A kto jest twoim wujkiem?
- Francis Sands.

Teraz oficer zamrugnął.

- Nie pułkownik?
- Tak. W czasie wojny był pułkownikiem.
- Pułkownikiem jest się na zawsze - skwitował tamten.

Skip był wtedy na pierwszym roku, miał osiemnaście lat. Wyjeżdżając na Indiana University, zmieniał miejsce pobytu po raz pierwszy od roku 1942, kiedy po śmierci ojca na „Arizonie” w Pearl Harbor jego świeżo owdowiała matka przywiozła go z San Diego w Kalifornii z powrotem na swe rodzinne równiny do Clements w Kansas. Tu spędził z nią dzieciństwo w cichym domu, pogrążony w smutku, który pochodził z nieznanego Skipowi źródła. Matka przywiozła go do Clements na początku lutego, dokładnie w tym samym miesiącu, kiedy jej szwagier Francis Xavier, wzięty w niewolę Latający Tygrys, uciekł z japońskiego okrętu, skacząc do Morza Chińskiego.

Po skończeniu college'u Skip został pracownikiem CIA, ale jeszcze przed szkoleniem kazano mu wrócić na studia i zrobić magisterium z literatury porównawczej na George Washington University, gdzie pomagał chińskim nacjonalistycznym emigrantom w tłumaczeniu esejów, opowiadań i wierszy z rządzonego przez komunistów kraju. Kilka drukujących je czasopism było niemal w całości finansowanych przez CIA. Skip dostawał miesięczne stypendium z World Literature Foundation, organizacji należącej do CIA.

Tamtego dnia w 1955 roku obaj oficerzy uśmiechnęli się, słysząc o jego wuju. Skip także się uśmiechnął, ale tylko dlatego, że zrobili to oni.

- Jeśli interesuje cię kariera u nas - powiedział drugi - znajdziemy dla ciebie miejsce.

Rzeczywiście znaleźli. Oto rozciągała się przed nim ta kariera: dziewiętnaście tysięcy notatek z przesłuchań, z których prawie wszystkie były kompletnie niezrozumiałe...

Duval Jacques (?), właściciel 4 łodzi rybackich
(helios, souvenir, devinette, renard).
[Zatoka Da Nang], żona [Tran Lu (Luu??)]
inf dot łodzi możliwe wykorzystanie
kryminalne/wywiadowcze. Łowienie ryb
nie przynosi mu zysków. CXR

...ostatnie trzy litery oznaczały śledczego, który dokonał wpisu. Skip nabrał zwyczaju dodawania na kartach własnych notatek, cytatów ze swoich bohaterów - „Nie pytaj, co kraj może zrobić dla ciebie...” - oznaczonych JFK, LINC, SOC, najgrubszy plik pochodził z *Medytacji* Marka Aureliusza, rozważań starego rzymskiego cesarza, obłąconego i samotnego na krańcach swojego imperium, pisanych do siebie samego w drugim wieku po Chrystusie:

*Nic nie jest dobre dla człowieka, co go nie robi sprawiedliwym, rozsądnym, dzielnym, wolnym, a nic złe, co nie stwarza cech sprzecznych z wymienionymi. * MAM*

* Przetłumaczył M. Reiter.

Kiedy Skip zbliżał się do jadalni, Pitchfork krzyczał:

- Racja!

Już im podano posiłek złożony z ryby i ryżu. Skip zajął miejsce przy pustym talerzu po lewej stronie pułkownika i służący przyniósł mu jego porcję. Jedli w przytłumionym świetle kandelabrow. Kiedy w elektrowni dochodziło do awarii, atmosfera niewiele się zmieniała. Cichł szum klimatyzatora, wentylator pod sufitem salonu przestawał obracać się i mruczeć.

Tymczasem pułkownik perorował, widelcem głównie przecinając powietrze, drugą ręką ścisnął szklankę, jakby przygwaździł ją do stołu. Mówił z akcentem bostońskich Irlandczyków, przytłumionym latami spędzonymi w bazach wojskowych w Teksasie i Georgii.

- Jedynym prawdziwym celem Landsdale'a jest poznanie narodu, uczenie się od niego. Zrobił z tego prawdziwą sztukę.

- Racja! - krzyknął Pitchfork. - Zupełnie nieistotne, ale racja!

- Edward Landsdale jest wyjątkowym człowiekiem - powiedział pułkownik. - Mówię to bez zażenowania.

- A co Landsdale ma wspólnego z aswangiem albo innymi naszymi legendami? - zapytał Eddie.

- Jeszcze raz to powtórzę i może teraz uważnie mnie wysłuchasz - odparł pułkownik. - Edwarda Landsdale'a nade wszystko fascynuje sam naród, jego pieśni, historie, legendy. Pożytki, które z tej fascynacji ma wywiad - łapiesz? - są tylko produktem ubocznym. Boże, ale ta ryba była chuda. Sebastian, gdzie jest moja mała rybka? Gdzie się podziała? Hej, dajesz mu moją rybę? - W tej akurat chwili służący Sebastian proponował Skipowi dodatkę bangos. Skip wiedział, że to ulubione danie pułkownika. Czy nawet kucharz został uprzedzony o jego wizycie? - Dobra, trafiłem na wieloryba - powiedział pułkownik, biorąc repetę. - Później opowiem wam historię o aswangu.

Sebastian nieproszony przełożył trzecią rybę na talerz pułkownika i wrócił do kuchni, śmiejąc się do siebie. Z zaplecza dochodziły wesołe i głośne rozmowy personelu. W obecności pułkownika i jego żartów Filipińczyków ogarniała radość. Okazywana im przez niego sympatia wręcz doprowadzała ich do szaleństwa. Eddiego także. Rozpiął tunikę i przerzucił się z wody z lodem na chardonnay. Skip widział już, jak na koniec wieczoru płyty leżą na podłodze, a wszyscy tańczą limbo rocka, lądując na tyłkach.

- Znałem Eda Landsdale'a! - oznajmił nagle Eddie. - Dużo z nim pracowałem!

Naprawdę? Eddie? Skip nie sądził, by to mogła być prawda.

- Anders, jak brzmi nazwa gatunkowa tej ryby? - zapytał Pitchforka Skip.

- Bangos? To ryba mleczna. Tarło ma w górze rzeki, ale żyje w morzu.

Chanos salmoneus.

- Pitchfork mówi kilkoma językami - stwierdził Eddie.

Bangos były dobre, podobne do pstrąga, w smaku wcale nie rybne. Agencja do spraw Rozwoju Międzynarodowego pomogła założyć staw u podnóża góry. Pułkownik jadł bez przerwy i ostrożnie, widelcem oddzielając kawałki mięsa od cienkich ości i popijając je kilkoma szklaneczkami whisky. Jego zwyczaje nie uległy zmianie: po piątej po południu pił dużo i nikogo nie przeproszał. Nie do końca wypowiedziana rodzinna zasada głosiła, że Irlandczycy piją, ale kto pije przed piątą, jest niezdyscyplinowany, dekadentcki i wielkopański.

- Opowiedz o aswangu. Opowiedz historię - zwrócił się pułkownik do Eddiego.

- No dobrze - zgodził się Eddie, po raz kolejny przyjmując niektóre cechy Henry'ego Higginsa, tak przynajmniej odbierał to Skip. - No to tak. Dawno, dawno temu, jak wszystkie te opowieści się zaczynają, żyli sobie brat i siostra z matką, która była wdową, bo ojciec zginął w jakimś tragicznym wypadku, przykro mi, nie pamiętam, co to było, ale jestem pewien, że to była śmierć bohatera. Szkoda, że nie powiedzieliście mi wcześniej, to bym się zapytał babki! Tak czy owak spróbuję sobie przypomnieć tę historię. Dwoje dzieci, brat i siostra, ale tu znowu muszę przeprosić, ponieważ byli sierotami, oboje rodzice zostali zabici i jednak to nie ich matka, ale stara ciotka matki opiekowała się nimi w chacie w jednej z naszych wiosek w Luzon. Może w naszej wiosce San Marcos, tego nie mogę wykluczyć. Chłopiec był silny i odważny, dziewczyna piękna i dobra. Ciotka - cóż, nie wątpię, że to przewidzieliście - dręczyła dzieci, dając im za wiele pracy, rugając je i popędzając miotłą. Rodzeństwo bez skargi wypełniało polecenia, ponieważ oboje byli bardzo posłuszni.

Wioska przez długi czas żyła w szczęściu, ale potem spadła na nią klątwa, krwiożerczy aswang karmił się jagniętami i kózkami, a co gorsza dziećmi, w szczególności dziewczynkami, takimi jak siostra. Czasami aswang ukazywał się jako stara kobieta, czasami przybierał postać potężnego dzika z ostrymi kłami, a kiedy indziej uroczonego dziecka, żeby zwabiać najmłodszych w mroczne zakątki i wysysać ich niewinną krew. Mieszkańcy byli przerażeni, przestali się uśmiechać, nocami siedzieli w domach przy świecach, nigdy nie chodzili do lasu, do dżungli, żeby zbierać awokado i inne rośliny czy polować na zwierzęta. Każdego popołudnia gromadzili się w kaplicy i modlili o śmierć aswanga, ale nic nie pomagało, a nawet niektórzy ginęli okrutną śmiercią, kiedy po modłach wracali do domów.

Jak to zwykle w tych opowieściach, bratu i siostrze ukazał się święty, święty Gabriel w łachmanach wędrowca pewnego dnia pojawił się w dżungli. Spotkał dzieci przy studni, kiedy przyszły po wodę, i dał chłopcu łuk i worek strzał - jak nazywacie ten worek?

- Kołczan - odparł Pitchfork.

- I kołczan ze strzałami. Piękny zwrot. Dał chłopcu kołczan strzał i bardzo mocny łuk i kazał mu całą noc czekać w spichlerzu u podnóża góry, ponieważ tam miał zabić aswanga. Nocą mnóstwo kotów gromadziło się w spichlerzu, a jednym z nich był aswang, który tak się kamuflował. „Ale, panie, jak rozpoznam aswanga, skoro nie dałeś mi dość strzał, żeby zabił wszystkie koty?” Święty Gabriel odpowiedział: „Aswang nie będzie igrał ze szczurem, kiedy jakiegoś złapie, tylko natychmiast rozerwie go na strzępy i wypije krew. Kiedy zobaczysz, że któryś kot tak czyni, musisz od razu go zabić, bo to właśnie będzie aswang. Nie muszę dodawać, że jeśli poniesiesz porażkę, aswang także ciebie rozerwie swoimi kłami i wypije twoją krew do ostatniej kropli”.

„Nie boję się”, odrzekł chłopiec, „bo wiem, że jesteś świętym Gabrielem w przebraniu. Nie boję się, a z pomocą świętych nie poniosę porażki”.

Kiedy chłopiec wrócił do domu ze strzałami i resztą, ciotka jego zmarłej matki nie pozwoliła mu wyjść. Powiedziała, że co noc musi spać we własnym łóżku. Rzuciła się na niego z miotłą, skonfiskowała mu broń i ukryła w słomianym dachu. Ale po raz pierwszy chłopiec nie posłuchał opiekunki, nocą wykradł łuk i strzały, z jedną świecą wymknął się do spichrza i czekał w cieniu. Zapewniam was, że to były bardzo posępne cienie! Pomiędzy nimi przebiegały sylwetki szczurów. I wszędzie skradały się sylwetki kotów, a było ich ze trzy tuziny. Który z nich to aswang? Powiem wam tylko, że widać było płonące czerwono kły, słychać było syk aswanga, potem krzyk, i straszliwa postać rzuciła się chłopcu do gardła. Wypuścił strzałę i stwór z tąpnięciem padł na plecy. Rozległy się zduszone jęki i skrobanie pazurów, gdy zraniony demon włókł się w bezpieczne miejsce. Rozglądając się dokoła, młody bohater znalazł odciętą łapę potężnego kota, lewą przednią łapę przebitą strzałą.

Młody bohater wrócił do domu, a jego brzydka stara opiekunka ostro go zganiła. Jego siostra także nie spała. Ciotka podała im herbatę i ryż. „Gdzie byłeś, bracie?”. „Walczyłem z aswangiem, siostrze, i myślę, że go zraniłem”. A siostra zapytała: „Ukochana ciotko, ciebie także w nocy nie było. Dokąd poszłaś?”

„Ja?”, odparła ukochana ciotka. „Nie, byłam tu z tobą przez całą noc”. Ale szybko podała im herbatę i powiedziała, że idzie się położyć.

Później tego dnia dzieci znalazły staruchę wiszącą na drzewie. Na ziemi zebrała się kałuża krwi, kapiąca z odciętej ręki. Wcześniej, gdy nalewała herbatę, ukryła pod suknią swoje obrażenia, choć krew z niej wyciekała, jadowna krew aswanga.

To stara historia - mówił Eddie. - Słyszałem ją wiele razy, ale ludzie wierzą, że znowu się wydarzy, a teraz wierzą, że zdarzyła się tutaj, wczoraj, w tym tygodniu. Mój Boże. - Przy wtórze okłasków małej widowni nalał sobie wina, odwracając butelkę do góry dnem nad kieliszkiem. - Czy opowiadając, wypilem całą butelkę?

Pułkownik już wbijał korkociąg w następny korek.

- Masz coś z Irlandczyka, przyjacielu. - Wzniósł toast: - Dzisiaj są urodziny komodora Andresa Pitchforka. *Salud!*

- Komodora? - powtórzył Eddie. - Żartujesz!

- Żartuję z rangi, ale nie z urodzin. Pitchfork, pamiętasz, gdzie byłeś w swoje urodziny dwadzieścia cztery lata temu?

- Dokładnie dwadzieścia cztery lata temu w bardzo ciemną noc kołysałem się pod spadochronem nad Chinami. Nawet nie znałem nazwy prowincji. A kto pilotował samolot, z którego wyskoczyłem? Kto dał mi pół tuzina batoników i kopniakiem posłał mnie w noc? A sam wrócił na wygodną przycę!

- A komu się to nie udało, bo ci dranie mnie zestrzelili? I komu dałeś jajko na twardo w obozie jenieckim dwadzieścia dni później?

Pitchfork pokazał na pułkownika.

- Zrobiłem to nie dlatego, że jestem szczodry, ale dlatego, że to były urodziny tego biedaka.

Eddie otworzył usta.

- Przeżyliście japoński obóz?

Pułkownik odepchnął krzesło i wytarł twarz serwetką. Pocił się, mrugał.

- Jako że byłem zhańbionym gościem Japończyków... jak by to ująć... Wiem, co to znaczy być więźniem. Pozwólcie, że ujmę to inaczej, pozwólcie, że ujmę to inaczej, dajcie mi minutę i pozwólcie, żebym inaczej to ujął... - Wpatrywał się tępo, głównie w Skipa, którego ogarnęło nieprzyjemne wrażenie, że pułkownik zapomniał, o czym mówi, i teraz w oszołomieniu zmienił temat.

- Japończycy - odpowiedział, zabrakło mu bowiem sił, żeby tego nie zrobić.

Pułkownik siedział daleko od stołu z rozstawionymi kolanami, w prawej dłoni trzymał szklaneczkę i opierał ją o udo, plecy miał wyprostowane jak struna, po purpurowej twarzy pot spływał mu strumyczkami. To jest wielki człowiek, oznajmił w duchu Sands. Wyraźnie, acz bezgłośnie powiedział: Człowiek o udręczonej wielkości. W takich jak ta chwilach nie mógł powstrzymać się od dramatyzowania, bo wszystko to było aż za piękne.

- Brakowało im cygar - powiedział pułkownik. Jego sztywna postawa budziła podziw, choć niekoniecznie zaufanie. W końcu był pijany. Pocił się tak, że równie dobrze mogli patrzeć na niego przez potraskane szkło. Ale był też wojownikiem.

Sands złapał się na tym, że znowu w duchu do siebie przemawia: Dokądkolwiek ta podróż nas zaprowadzi, nie zrezygnuję z niej.

- W czasie tamtej wojny dokładnie wiedziałem, kogo nienawidzić - odezwał się Pitchfork. - To my byliśmy partyzantami. To my byliśmy Hukami. Teraz też musimy nimi być, żeby pokonać tych drani z Wietnamu. Landsdale jest tego dowodem, gdyby ktoś mnie pytał. Musimy być partyzantami.

- Powiem wam, kim moim zdaniem musimy być - przemówił pułkownik. - Powiem wam, kim Ed Landsdale nauczył się być: aswaniem. Tym jest Ed Landsdale. Aswaniem. Tak. Wezmę dwa głębokie oddechy, wytrzeźwięję i powiem wam. - Nabrał powietrza, ale zaraz przerwał i zwrócił się do Pitchforka: - Nie, nie, tylko nie krzycz: racja, racja.

- Racja, racja! - zawołał Eddie.

- W porządku, oto moja historia o aswangu: W górach nad Angeles, nad bazą sił powietrznych Clark, Landsdale kazał filipińskim komandosom, z którymi pracował, porwać na patrolu dwóch partyzantów Huk. Zabrał chłopców na koniec grupy. Udusił ich, powiesił za nogi i spuścił z nich krew - tu pułkownik przystawił dwa palce do gardła - robiąc dwa otwory w szyi. Zostawił trupy, żeby nazajutrz towarzysze ich znaleźli. Co też się stało... Następnego dnia cała partyzantka zniknęła z okolicy.

- Racja, racja! - powiedział Pitchfork.

- Zastanówcie się nad tym przez chwilę - zaproponował pułkownik.

- Przecież Hukowie i tak żyli w cieniu śmierci. Landsdale i jego komandosi zabijali ich po kilku, powiedzmy sześciu na miesiąc. Jeśli nie robiło na nich wrażenia codzienne zagrożenie, co takiego było w śmierci tych dwóch chłopców, że uciekli z Angeles?

- Cóż, to strach zabobny. Strach przed nieznanym - odrzekł Eddie.

- Nieznany czym? Powiem, że musimy spojrzeć na to w kategoriach, które możemy wykorzystać - mówił pułkownik. - Powiem, że ci chłopcy znaleźli się na poziomie mitu. A wojna to w dziewięćdziesięciu procentach mit, prawda? Żeby prowadzić wojny, podnosimy je na poziom poświęcenia, zgodzicie się ze mną, i natychmiast przywołujemy naszego Boga. Musi chodzić o coś więcej niż umieranie, bo w przeciwnym wypadku wszyscy od razu byśmy zdezerterowali. Myślę, że powinniśmy wyraźniej zdawać sobie z tego sprawę. Myślę, że powinniśmy przywołać także bogów naszego przeciwnika. A także jego diabły, jego aswanga. On bardziej boi się swoich bogów, diabłów i aswanga, niż kiedykolwiek będzie bał się nas.

- To chyba miejsce, w którym powinienes powiedzieć: „Racja, racja!” - zwrócił się Eddie do Pitchforka. Ale ten tylko dopił wino.

- Pułkowniku, przyjechałeś z Sajgonu? - zapytał Eddie.

- Nie. Z Mindanao. Byłem w Davao i Zamboanga. Oraz w Damulog, małym miasteczku w dżungli. Ty tam byłeś, prawda?

- Kilka razy, tak. W Mindanao.

- W Damulog?

- Nie, ta nazwa nie brzmi znajomo.

- Zaskakujesz mnie - powiedział pułkownik.

- Dlaczego? - zapytał Eddie.

- Powiedziano mi, że jeśli chodzi o pewne aspekty Mindanao, ty jesteś człowiekiem, z którym należy rozmawiać.

- Przykro mi, nie mogę ci pomóc - odparł Eddie.

Pułkownik machnął serwetką przed twarzą Skipa.

- Co to jest?

- Ach! Zapowiedź wąsa - powiedział Eddie. - Tak, chce wyglądać jak Wyatt Earp. - Sam zgodnie z nową modą Filipińczyków miał rzadkie czarne włoski, zarys wąsów.

- Mężczyzna z wąsem musi odznaczać się specjalnym talentem - oznajmił pułkownik - jakąś umiejętnością, która uzasadni jego próżność. Łucznictwo, sztuczki karciane...

- Palindromy - dodał Anders Pitchfork.

Pojawił się Sebastian:

- Lody na deser - poinformował. - Musimy wszystkie zjeść, bo beznaście się roztopią.

- My? - zapytał pułkownik.

- No bo jak wy nie zjecie, my skończymy w kuchni.
- Ja nie chcę deseru - oznajmił pułkownik. - Oddaję się moim nałogom.
- Och, na litość boską! - zawołał Eddie. - Na minutę zapomniałem, co to palindrom! Palindromy! Tak!

Zapaliło się światło, klimatyzacja z wysiłkiem ożyła w kilku miejscach budynku.

- I tak zjedzcie te lody - powiedział pułkownik do Sebastiana.

Po kolacji wyszli na taras na brandy i papierosa, słuchali elektronicznego urządzenia na owady i rozmawiali o sprawie, której unikali przez cały wieczór, choć w końcu każdy codziennie o niej wspominał.

- Mój Boże - odezwał się Eddie - do Manili wiadomość dotarła około trzeciej nad ranem. O świcie wiedzieli wszyscy. Nawet nie przez radio, ale z ust do ust. Filipińczycy wylegli na ulice Manili i płakali.

- Nasz prezydent. Prezydent Stanów Zjednoczonych. Fatalna sprawa. Bardzo zła - powiedział pułkownik.

- Płakali jak po wielkim świętym.
 - Był pięknym człowiekiem - oznajmił pułkownik. - Dlatego go zabiliśmy.

- My?

- Granica pomiędzy światłem a mrokiem biegnie przez środek każdego serca. Każdej duszy. Nie ma wśród nas nikogo, kto nie byłby winny jego śmierci.

- To brzmi... - Skip nie chciał tego powiedzieć. Religijnie. Ale powiedział: - To brzmi religijnie.

- Mam religijny stosunek do cygar. Poza tym... religia? Nie, to coś więcej niż religia. To cholerna prawda. Rzucamy się i niszczymy wszystko, co dobre i piękne! Widzicie te biedne stworzenia? - Wskazał klatkę, do której owady wpadały i krótko płonęły. - Buddyści nigdy nie marnowaliby w taki sposób prądu. Wiecie, co to jest karma?

- Znowu wpadasz w religijny ton.

- Na Boga, słusznie. Mówię, że to wszystko, ta wojna, jest w nas. A to chyba jest religia?

- O jakiej wojnie mówisz? O zimnej wojnie?

- To nie jest zimna wojna, Skip, tylko trzecia wojna światowa. - Pułkownik przerwał, by strząsnąć popiół z cygara o podeszwę buta. Eddie i Pitchfork milczeli, wpatrując się w ciemność; Skip nie wiedział, czy byli

pijani, czy znużyła ich energia pułkownika, który zgodnie z przewidywaniami wynurzył się całkiem przytomny z otaczającej go wcześniej mgły. Ale Skip był rodziną, musiał udowodnić, że dorósł. Do czego? Ano do zdobycia towarzyskiego Mount Everestu: kolacja i drinki z pułkownikiem Francisem X. Sandsem. Żeby się przygotować do wspinaczki, podszedł do kredensu.

- Dokąd się wybierasz?
- Nalewam sobie brandy. Jeśli to trzecia wojna światowa, lepiej napiję się czegoś porządnego.

- Toczymy ogólnoświatową wojnę od prawie dwudziestu lat. Nie sądzę, żeby Korea dostatecznie nam to uświadomiła, w każdym razie nie widzieliśmy wyraźnie dowodu. Ale od powstania na Węgrzech jesteśmy gotowi stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością. To ukryta trzecia wojna światowa. Zastępczy Armagedon. Pojedynek między dobrem a złem, a prawdziwym polem bitwy jest serce każdego człowieka. Teraz odejdę trochę od tematu. Coś ci powiem, Skip: czasami się zastanawiam, czy to nie jest cholerne Alamo. Ten świat już poległ. Gdziekolwiek spojrzeć, ktoś przechodzi na stronę czerwonych.

- Ale to nie jest pojedynek między dobrem a złem, tylko kwestia szaleństwa i zdrowia psychicznego - powiedział Skip. - Wystarczy poczekać, aż komunizm upadnie pod ciężarem własnej ekonomicznej głupoty, własnego szaleństwa.

- Komuchy może są wariatami - odparł pułkownik - ale nie są nieracjonalni. Wierzą w centralne zarządzanie i niewiarygodne poświęcenie. Obawiam się. - Po tych słowach pułkownik łyknął whisky; ta przerwa sprawiła, że końcem jego wypowiedzi zdawały się być słowa o strachu... Odchrząknął i dodał: - Obawiam się, że przez to nie można ich powstrzymać.

Taka rozmowa krępowała Sandsa. Nie podzielał tych poglądów. Odnalazł radość i widział prawdę tutaj, w dżungli, gdzie poświęcenia wykrwawiały fałszywą wiarę, centralne dowództwo gniło, komuniści umierali. Wybili do nogi Huków w Luzonie, później wybiją każdego, wszystkich komunistów na świecie.

- Pamiętasz rakiety na Kubie? Kennedy się im przeciwstawił. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej przeciwstawiły się Sowietom i pokonały ich.

- W Zatoce Świń podkulił ogon i zostawił wielu dobrych ludzi na śmierć w brudzie... nie, nie, nie, nie zrozum mnie źle, Skip. Jestem człowiekiem Kennedy'ego i patriotą. Wierzę w wolność i sprawiedliwość dla

wszystkich. Nie jestem na tyle wyrafinowany, żeby się tego wstydzić. Ale to nie znaczy, że patrzę na swoją ojczyznę przez różowe okulary. Pracuję w wywiadzie. Dążę do odkrycia prawdy.

Z ciemności przemówił Pitchfork:

- Znałem kupę dobrych Chińczyków w Birmie. Narażaliśmy dla siebie wzajemnie życie. Niektórzy z nich są teraz dobrymi komunistami. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę ich z kulką w głowie.

- Anders, jesteś trzeźwy?

- Troszeczkę.

- Boże, wolałbym, żeby nie umarł! - powiedział Skip. - Jak to się stało? Dokąd zmierzamy? I kiedy wreszcie nadejdzie taki dzień, kiedy nie będziemy ciągle od nowa tych wszystkich rzeczy powtarzać?

- Nie wiem, czy o tym wiesz, Skip, ale są tacy na Kapitolu, którzy myślą, że my to zrobiliśmy. My. Nasi ludzie. W szczególności wzięto pod lupę przyjaciół Kuby, ludzi, którzy zarządzali Zatoką Świń. Zaczęło się śledztwo, komisja, Earl Warren, Russell i inni. Dulles robił wszystko, żeby odsunąć podejrzenia. Tak się wysilał, że wyglądaliśmy na diabelnie winnych.

Eddie zerwał się z krzesła. Twarz miał w cieniu, ale wydawało się, że nie czuje się dobrze.

- Nie przychodzi mi na myśl ani jeden palindrom - oznajmił. - Pożegnaj się.

- Dobrze się czujesz?

- Muszę pojeździć i nabrać powietrza w płuca.

- Niech idzie - powiedział pułkownik.

- Odprowadzę cię do samochodu... - Skip poczuł dłoń pułkownika na ramieniu.

- Nie trzeba - powiedział Eddie i niedługo potem usłyszeli warkot mercedesa po drugiej stronie drogi.

Cisza. Noc. A właściwie nie cisza - mroczna, skrzekliwa, gorąca owadzia kakofonia dżungli.

- No tak - westchnął pułkownik. - Nie udało mi się nic wydobyć z Ediego. Nie wiem, co planują. I dlaczego mówił, że dużo pracował z Edem Landsdale'em? W czasach Landsdale'a nosił krótkie spodenki. W pięćdziesiątym drugim musiał być niemowlakiem.

- Cóż - odparł Sands; myślał, że kiedy namiętność porusza serce majora Ediego, ma on tendencję do poetyzowania, a nazywanie tego stylu kłamstwem nie oddaje mu sprawiedliwości.

- Miałeś dużo zajęć?
- Jeździłem na nocne patrole z Aguinaldo. Zgodnie z instrukcją zapoznawałem się z katalogiem, nawiasem mówiąc ta instrukcja jest straszna. Wycinanie i klejenie.

- Doskonale. Bardzo dobrze. Jakieś pytania?
- Taa: dlaczego w tych dokumentach nie ma żadnych odnośników do tego regionu?

- Ponieważ nie tutaj były tworzone. Pochodzą z Sajgonu i okolic. A także z Mindanao, które odziedziczyłem. Tak, jestem oficerem sekcijnym dla Mindanao, które nie ma sekcji. Potrzebujesz czegoś?

- Kiedy kopie mają odpowiedni rozmiar, wkładam je z powrotem do pudeł. Potrzebuję więcej szufladek.

Pułkownik usiadł okrakiem i przysunął się bliżej do Skipa.

- Na razie korzystaj z pudeł, dobra? Niedługo je stąd wywieziemy. - Znowu wyglądało na to, że alkohol przejął nad nim władzę, miał mętne oczy i gdyby nie mrok, pewnie widać by było czerwony nos, bo taką reakcję na napoje wysokokowe przejawiali wszyscy mężczyźni z tej rodziny, ale mówił szybko i pewnie. - Inne pytania?

- Kim jest Niemiec? Jeśli faktycznie nim jest.
- Niemiec? To człowiek Eddiego.
- Eddiego? Dzisiaj jedliśmy z nim lunch i Eddie najwyraźniej go nie znał.

- Cóż, jeśli nie Eddiego, to nie wiem, czym człowiekiem może być. Ale nie jest mój.

- Eddie mówił, że się z nim spotkałeś.
- Eddie Aguinaldo to filipiński ekwiwalent przeklętego kłamcy - oznajmił pułkownik. - Jeszcze coś?

- Taa. Anders, co to są te małe grudki błota na ścianie?
- Słucham?
- Te grudki błota? Mają coś wspólnego z owadami? Jesteś podobno entomologiem?

Obudziwszy się z drzemki, Pitchfork z namysłem umoczył usta w brandy.

- Zajmuję się raczej moskitami.
- Bardziej niebezpiecznymi szkodnikami - powiedział pułkownik.
- Zajmuję się raczej osuszaniem bagien - dodał Pitchfork.
- Anders zdaje mi bardzo dobre raporty na twój temat. Bardzo cię chwali - powiedział pułkownik.

- To dobry chłopak. Odznacza się odpowiednim rodzajem ciekawości - odparł Pitchfork.

- Czy ktoś z naszych z Manili kontaktował się z tobą?

- Nie, chyba że nazwiesz kontaktem Pitchforka, który tu mieszka.

- Pitchfork nie jest od nas.

- Więc od kogo?

- Jestem trucicielem - powiedział Pitchfork.

- Anders jest szacownym pracownikiem Del Monte Corporation. Bardzo się przyczyniają do likwidacji malarii.

- Interesuje mnie DDT i rekultywacja bagnisk. Ale nie mam pojęcia, jaki gatunek mógł zbudować te grudki.

Pułkownik Francis Sands odchylił głowę i wlał połowę szklaneczki do gardła, zamrugał w ciemności, zakaszłał i rzekł:

- Twój ojciec, a mój brat, stracił życie podczas tego plugawego ataku Japońców na Pearl Harbor. Kto był naszym sojusznikiem w tamtej wojnie?

- Sowieci.

- Kto jest dzisiaj naszym wrogiem?

Skip znał scenariusz.

- Sowieci. A kto jest naszym sojusznikiem? Plugawi Japońcy.

- A z kim walczyłem w malajskiej dżungli w pięćdziesiątym pierwszym i drugim? - zapytał Pitchfork. - Z tymi samymi chińskimi partyzantami, którzy pomagali nam w Birmie w czterdziestym i czterdziestym pierwszym.

- Nie możemy zapominać o swoich ideałach, kiedy przedzieramy się przez ten labirynt - rzekł pułkownik. - Powinienem rzec: przez tor przeszkód. Tor zbudowany z diabelnie trudnych przeszkód.

- Racja, racja! - zawołał Skip. Nie lubił, kiedy wuj dramatyzował w sprawach oczywistych.

- Przetrwanie to fundament triumfu - stwierdził Pitchfork.

- Kto na pierwszej? - zapytał pułkownik.

- Ale w ostatecznym rozrachunku jest albo wolność, albo śmierć - powiedział Pitchfork.

Pułkownik uniósł w jego stronę pustą szklanę.

- W Forty Kilo Anders obsługiwał radio kryształkowe przez siedem miesięcy. Do dzisiaj nie chce mi powiedzieć, gdzie je ukrywał. W obozie był co najmniej tuzin małych japońskich skurwysynów, którzy nie robili nic, tylko się zastanawiali, jak namierzyć to urządzenie. - W Forty Kilo był

birmański kolejowy posterunek, w którym Japończycy w 1941 roku internowali ich oddział. - Skorupy orzechów kokosowych używaliśmy jako miski do ryżu. Każdy miał własną skorupę. - Złapał bratanka za przegub.

- Oho - powiedział Skip. - Tracę cię?

Pułkownik gapił się na niego pustym wzrokiem.

- Uch.

Skip skoczył, by sprowadzić wuja z powrotem.

- Pułkowniku, w którymś momencie katalog wraca do Sajgonu, mam rację?

Pułkownik patrzył na niego w ciemności, lekko się kołysząc, dokonując drobnych poprawek w pozycji, jakby balansował głową na karku. Oglądał niedopałek cygara w jakimś rodzaju ćwiczenia wzrokowego, przysuwał go i odsuwał, wreszcie najwidoczniej doszedł do siebie i usiadł prosto.

- Pracuję nad moim francuskim - powiedział Sands. - Załatw mi przydział do Wietnamu.

- A jak twój wietnamski?

- Musiałbym go odświeżyć.

- Nie znasz ani jednego słowa.

- Nauczę się. Wyślij mnie do szkoły językowej w Kalifornii.

- Nikt nie chce do Sajgonu.

- Ja chcę. Zorganizuj mi tam biuro. Zajmę się twoim katalogiem. Wyznacz mnie na swojego kustosza.

- Mów mi do tyłka, głowa mnie boli.

- Uporządkuję to tak, że każda najmniejsza informacja będzie osiągalna i dostępna; wystarczy, że przelecisz po kartach dwoma palcami i proszę, wszystko, czego szukasz, natychmiast się pojawi.

- Taki jesteś zakochany w tych dokumentach? Zauroczył cię klej?

- Pokonamy ich. Chcę przy tym być.

- Nikt nie chce jechać do Sajgonu. Wolisz Tajwan.

- Pułkowniku, z największym szacunkiem muszę powiedzieć, że to, co wcześniej sugerowałeś, jest całkowitym błędem. Pokonamy ich.

- Nie miałem na myśli tego, że ich nie pokonamy, Skip. Chodziło mi o to, że nie pokonamy ich automatycznie.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Spodziewam się, że będą nas godni.

- Aaa, chociaż starałem się, jak mogłem, jesteś jednym z tych nowych chłopców. Należysz do innej rasy.

- Wyślij mnie do Wietnamu.
- Do Tajwanu. Tam, gdzie życie jest dobre i spotykasz wszystkich, którzy jadą na północ. Albo do Manili. Powiedziałbym, że Manila to numer drugi.

- Mój francuski jest coraz lepszy. W czytaniu jestem dobry, zawsze byłem. Wyślij mnie do szkoły językowej i wyląduję w Sajgonie, mówiąc jak tubylec.

- Daj spokój. Sajgon to drzwi obrotowe, wszyscy wchodzi i wychodzą.

- Potrzebuję recepturek. Długich i grubych. Chcę podzielić karty na regiony, dopóki nie dostarczysz mi szufladek. I więcej szafek. Przydziel mi pokój i dwóch pomocników w Sajgonie. Napiszę ci encyklopedię.

Pułkownik zaśmiał się nisko i przeciągle - sarkastycznie, przesadnie - ale Skip wiedział, że to dobry znak.

- Dobrze, Will. Wyślę cię do szkoły, potem będziemy się dalej zastanawiać. Ale najpierw mam dla ciebie zlecenie. Mindanao. Jest tam człowiek, o którym chcę więcej wiedzieć. Powieszysz w Mindanao?

Sands zdusił strach i z entuzjazmem odparł:

- Jestem na twoje usługi.

- Jedź tam. Prześpij się z wężami. Posmakuj ludzkiego mięsa. Naucz się wszystkiego.

- To dość rozległe zlecenie.

- Jest gość nazwiskiem Carignan, ksiądz, mieszka tam od dziesiątków lat. Ojciec Thomas Carignan. Znajdziesz go w archiwum. Zapoznaj się z materiałami dotyczącymi Carignana. Obywatel amerykański na zadupiu, *padre*. Dostaje broń albo coś w tym rodzaju.

- Co to znaczy?

- Nie wiem, co to znaczy. Taki styl. Otrzymuje broń. Nic więcej o nim nie mam.

- A potem co?

- Pojedziesz. Poszukasz tego gościa. Wygląda na to, że sfinalizujemy teczkę.

- Sfinalizujemy?

- Kładziemy podwaliny pod ten cel. Takie są rozkazy.

- „Finalizacja” wydaje się... - Nie potrafił skończyć.

- Wydaje się?

- To brzmi tak, jakby chodziło o coś więcej niż teczkę.

- Miną miesiące do podjęcia decyzji. Na razie chcemy wszystko uporzędkować. Nie my będziemy jej realizatorami. Ty tylko masz zdać mi raport. Prześlesz go ze stacji Głosu Ameryki na Mindanao.

- A potem jestem twoim bibliotekarzem w Wietnamie?

- W Wietnamie. Lepiej wyślij swojego M1 do mamy. Takiej amunicji już nie wydajemy.

- Cholera. Chyba jeszcze napiję się brandy.

Pułkownik uniósł swoją szklankę.

- Toast, ale nie za Wietnam. Za Alaskę. Hura!

Anders i Skip także unieśli szklanki.

- Co za szczęśliwy zbieg okoliczności. Ponieważ chciałem zlecić ci małe zadanie i myślę, że jeśli twoje zachowanie w polu okaże się tak wyjątkowe, jak przewiduję, będę miał wszelkie powody do przeniesienia cię.

- Bawisz się ze mną? Robisz to przez cały wieczór?

- Wieczór?

- Nie. Nie wieczór, ale odkąd...

- Od kiedy, Skip? - Pułkownik zaciągnął się cygarem i jego tłusta twarz w mroku rozkwitła na pomarańczowo.

- Jesteś komediantem.

- Bawię się tobą?

- Odkąd skończyłem dwanaście lat.

- Wiesz, kiedyś byłem na Alasce - powiedział pułkownik. - Podróżowałem drogą z Alaski do Kanady, którą zbudowali w czasie wojny. Fantastyczne. Nie droga, tylko krajobraz. Potężna droga była tylko nic nieznaczącą rysą na tym krajobrazie. Nigdy nie widzieliście takiego świata. Należał do Boga, który był Bogiem przed Biblią... Bogiem, nim się przebudził i zobaczył siebie... Bogiem, który ma własne koszmary. Tam nie ma zmiłuj. Popelnisz jedną drobną pomyłkę i ten krajobraz zrobi z ciebie krwawą plamę, i to od razu. - Powiódł nabiegłymi krwią oczami, jakby tylko częściowo rozpoznawał otoczenie. Sands zmusił się, by także nie pozwolić sobie na rozproszenie uwagi. - Poznałem kobietę, która mieszkała tam kilka dobrych lat, to znaczy spotkałem ją później, tę przyjemność miałem w ostatnie Boże Narodzenie. To starsza osoba, młodość i większą część wieku średniego spędziła nad Yukonem. Kiedy zacząłem mówić o Alasce, miała tylko jedno do powiedzenia: „To kraina zapomniana przez Boga”.

Wy biedne, ugrzecznione sukinsyny. Odczytuję wasze milczenie jako

wyraz szacunku. Doceniam to. Pozwolicie, że przejdę do sedna?

Uwaga tej kobiety skłoniła mnie do zastanowienia. Oboje mieliśmy takie samo doświadczenie związane z tym miejscem. To było coś więcej niż tylko obce środowisko. Oboje wyczuwaliśmy zarządzanie obcego Boga.

Kilka dni wcześniej, najwyżej dwa albo trzy, czytałem Nowy Testament. Dostałem go od mojej córeczki. Mam go tutaj w plecaku. - Pułkownik lekko się uniósł, ale zaraz z powrotem usiadł. - Oszczędzę was. Sedno tkwi w tym: Aha! tak! drań trafia w sedno i nie jest zbyt pijany, żeby je przedstawić, w tym rzecz, Will. - Nikt nigdy nie nazywał go Willem. - Święty Paweł powiada, że jest jeden Bóg, potwierdza to, ale mówi: „Jest jeden Bóg i wielu zarządców”. Rozumiem przez to, że możesz przejść z jednego uniwersum do drugiego, stawiając po prostu stopy i idąc naprzód. Że możesz dojść do krainy, gdzie los istot ludzkich jest całkowicie różny od twojego pojmowania. A to kompletnie odmienne uniwersum jest zarządzane przez samą ziemię. Przez glebę, cholera jasna.

W czym więc tkwi sedno? Sednem jest Wietnam. Sednem jest Wietnam. Sednem jest Wietnam.

Pod koniec sierpnia Sands wsiadł do pociągu jadącego od podnóża góry do Manili. Było gorąco, zajął miejsce przy otwartym oknie. W wagonach pojawili się sprzedawcy z pokrojonymi owocami mango i ananasami, papierosami i gumami do żucia w otwartych opakowaniach do kupowania na sztuki. Mały chłopiec usiłował wcisnąć mu trzycentymetrową fotografię; minęła długa chwila, nim pojął, że to zbliżenie kobiecej waginy.

Zgodnie z rozkazami nie mógł pojawić się w ambasadzie ani kontaktować z nikim w sprawie swojej misji. W Manili był major, ale szczególnie przestrzeżono go, by trzymał się z daleka od Eduarda Aguinaldo. Nie zabroniono mu natomiast pójścia do klubu oficerskiego w ośrodku Seafront, gdzie serwowano najlepszą wieprzowinę, jaką w życiu jadł. Na dworcu w Manili Sands pośpiesznie przedarł się przez hordę zebraków i dziwek, prawą dłonią ściskając portfel w kieszeni spodni, po czym do ośrodka przy Dewey Boulevard pojechał taksówką, w której unosił się mocny zapach benzyny.

W klimatyzowanym klubie mógł oglądać słońce zanurzające się w zatoce przez południowe okno albo basen widoczny z północnego okna po drugiej stronie sali. Dwaj dobrze zbudowani mężczyźni, pewnie strażnicy z ambasady,

ćwiczyli skoki z wieży. Zaszokowała go czarnowłosa Amerykanka w dwuczęściowym kostiumie w cętki. W gruncie rzeczy to było francuskie bikini. Rozmawiała z nastoletnim synem, który siedział na końcu leżaka i wpatrywał się w swoje stopy. Nie była młoda, ale olśniewająca. Wszystkie pozostałe kobiety na basenie miały kostiumy jednoczęściowe. Skip bał się kobiet. Kelner przyniósł kotlety wieprzowe, soczyste i wilgotne. Skip nie znał się na gotowaniu, więc nawet nie próbował odgadnąć, jakie sztuczki zastosowano, żeby kotlety takie były.

Wychodząc, kupił od kasjera płaską paczkę papierosów benson & hedges, chociaż nie palił. Chciał je komuś dać.

Przed klubem czekał na taksówkę, stał w późnym świetle, spoglądając na rozległy teren, dzakarandy i akacje, drut kolczasty na murze i amerykańską flagę przy bramie. Na widok flagi poczuł smak łez w gardle. W niej łączyły się wszystkie namiętności jego życia, przywołując bolesną miłość do Stanów Zjednoczonych: kochał brudne, proste, szczere twarze żołnierzy na fotografiach z drugiej wojny światowej, kochał ulewny deszcz smagający zielone boisko pod koniec roku szkolnego, hołubił wspomnienia zmysłowe letnich miesięcy w Kansas, wielu letnich miesięcy w Kansas, zdobywanie baz, nieszkodliwe upadki na trawę, dudnienie w głowie z upału, nieruchome ulice w bezwietrzne popołudnia, gęsty, namacalny cień potężnych więzów, mruczenie radioodbiorników z otwartych okien, trzepot skrzydeł epoletników krasnoskrzydłych, smutek dorosłych wiecznie i niezrozumiale za czymś goniących, głosy niosące się nad podwórkami w coraz później zapadającym zmierzchu, pociągi przejeżdżające przez miasto i kierujące się prosto w niebo. Jego miłość do kraju, do ojczyzny, była miłością do Stanów Zjednoczonych latem.

Flaga zwinęła się w podmuchu słonego wiatru, widoczne za nią słońce chyliło się ku zachodowi. Skip nigdy w naturze nie widział równie wybuchowej czerwieni, co podczas zachodów słońca nad Zatoką Manilską. Umierające światło nadawało wodzie i niskim chmurom przerażającą żywotność. Tuż przed nim zatrzymała się odrapana taksówka, wysiedli z niej dwaj starannie nieokreśleni młodzi ludzie z Foreign Service, a ich miejsce zajął anonimowy młody człowiek z CIA.

Spocony i rozdygotany Carignan obudził się ze snu, który musiał być koszmarem. Ale co w tym śnie mogło tak go przerazić? Sen albo wizyta - mnich z bladą plamą w miejscu twarzy mówił mu: „Twoje ciało jest jak gałązka, która

rozpala namiętność pomiędzy miłością do Jezusa a łaską Boga”. Carignan tak daleko odszedł od angielszczyzny, że pewne frazy wydawały się puste, mimo że obracał je w myślach i próbował wypowiedzieć: namiętność, rozpalać. Minęło wiele lat, odkąd choćby szeptem wypowiadał takie słowa. Zaskoczyło go też, że przyśnił mu się sen o Jezusie Chrystusie i łasce, ponieważ dawno temu przestał zadrećcać się takimi sprawami.

Samotność mojego życia - Judaszowy powrót do domu w pojedynkę.

Wstał z łóżka w rogu stęchłego kościoła i poszedł nad jasnobrazową rzekę z kawałkiem jasnobrazowego mydła. Przyglądali mu się dwaj mali chłopcy, którzy z szerokiego grzbietu carabao, udomowionego bawołu, łowili ryby na sznurki. W pobliżu drugie zwierzę taplało się w błocie przy brzegu, widać było tylko jego nozdrza i kawałki rogów. Nie zdejmując japonek i bielizny, Carignan namydlił się pod ubraniem i umył pośpiesznie, żeby nie dać pijawkom czasu na atak.

Po powrocie do domu przebrał się w czyste spodenki, szorty khaki i T-shirt, a także założył koloratkę. W tym czasie Pilar zaparzyła herbatę.

Ksiądz usiadł na pniaku koło chybotliwego stołu pod palmą, zapalił pierwszego w tym dniu papierosa i napił się z porcelanowej filiżanki.

- Jadę dzisiaj na spotkanie z burmistrzem Damulog. Nazywa się Luis.
- Aż do Damulog?
- Nie. Obaj jedziemy do Basig i tam się spotkamy.
- Dzisiaj?
- Powiedział, że dzisiaj.
- Skąd wiesz?
- Od datu* z Basig.

* Datu: przywódca społeczności muzułmańskiej na Filipinach, głównie w prowincji Mindanao [przyp. tłum.].

- Bardzo dobrze. Zabiorę wszystko do mojej siostry i tam zrobię pranie.
- Do niedzieli rano nie będzie nabożeństw. - Wystarczy, że powiadomi Pilar, i wszyscy się dowiedzą.
- Bardzo dobrze.
- Spotkamy się z trzema innymi datu. Chodzi o misjonarza; pamiętasz tego, który zniknął?
- Misjonarz z Damulog.
- Myślą, że go znalezione.
- Jest ranny?
- Nie żyje. O ile to on.

Pilar się przeżegnała. Była wdową w średnim wieku, miała liczne grono krewniaków, zarówno katolików, jak muzułmanów, i dobrze się nimi opiekowała.

- Przynies mi moje tenisówki, proszę - powiedział Carignan.

Dzień był szary, ale gdy szedł dziesięć kilometrów czerwoną polną drogą do Basig, i tak na głowie miał słomiany kapelusz. Zerwał się wiatr, poruszyły się i zatrzęsły żdźbła traw, a także palmy, a także domy. Roje maleńkich czarnych chrząszczy, liczne jak krople deszczu, płynęły ryszotkiem. Dzieci bawiące się na miedzach na jego widok uciekły z krzykiem. W Basig skierował się na rynek, jak zawsze myśląc, że jego życie byłoby lepsze, gdyby mieszkał tutaj, w mieście. Ale miasto było muzułmańskie i nie zgodziliby się na kościół.

Zanim dotarł na rynek, z obu stron dołączyli do niego datu z Basig i dwaj datu z Tanday, wioski w górach, wszyscy trzej dobiegający sześćdziesiątki, w poszarpanych dżinsach albo spodniach khaki, w stożkowatych kapeluszach jak kapelusz Carignana, jeden z długą włócznią w dłoni. Dzieci, czując się bezpiecznie w mieście, wołały cicho spod słomianych okapów:

- Pa-dair, pa-dair... - Książd, książd.

Czterej mężczyźni weszli do kawiarni, żeby zabić czas do przybycia burmistrza Luisa. Carignan zamówił ryż z kozim mięsem i kawę rozpuszczalną. Pozostali wzięli ryż i kalmary.

Carignan kupił paczkę papierosów union i zapalił; jeśli muzułmanom się to nie podoba, trudno. Ale poprosili, żeby ich poczęstował, i wszyscy czterej siedzieli, wypuszczając kłęby dymu.

W zeszłym tygodniu burmistrz Luis przesłał wiadomość, że ludziom, u których był trup i należące do niego przedmioty, przekazano, jakich cech identyfikacyjnych należy szukać. Trzej datu zapowiedzieli, że wrócą do Basig z werdyktem - czy to jest zaginiony amerykański misjonarz? - we wtorek. Carignan był przekonany, że dzisiaj jest już czwartek. To nie miało znaczenia.

Przyjechał jeepney z Carmen zatłoczony pasażerami i pozbył się ich niczym wielka łupina. Wśród nich był burmistrz Damulog.

Ludzie stanęli przed kawiarnią, zajrzeli do środka, ale nikt nie wszedł. Siedzący samotnie przy sąsiednim stoliku bezzębny pijany starzec mruzczał pod nosem pieśń. Zupełnie inny rodzaj muzyki dobiegał z zaplecza, gdzie kilku smarkaczy kucało wokół rozstrojonego radia amerykańskiej armii.

Najczęściej nadawała stacja z Cotabato. Amerykańskie przeboje pop sprzed kilku miesięcy. Gorące rytmy albo smutne ballady.

Drobny, ale brzuchaty burmistrz Luis z Damulog wszedł do kawiarni. Uśmiechał się i klaskał w dłonie, zachowując się jak własna świta. Przysiadł się do stolika i rozejrzał dokoła.

- Pytałeś ich? - rzucił po angielsku.
- Nie.
- Ludzie, którzy znaleźli trupa w rzece Pulangi - rzekł Luis w języku cebuano do Salilinga, najstarszego, tego z włócznią.
- Tak.
- Kazaliśmy im szukać butów. Posłaliśmy rysunek. I sprawdzić metkę na koszuli. Posłaliśmy rysunek.
- Mają tylko kości - powiedział Saliling. - I pierścionek z palca.
- Z lewej dłoni? Złoty pierścionek?
- Nie powiedzieli.
- Tej dłoni. Lewej dłoni.
- Nie, nie powiedzieli.
- Zajrzeli mu w zęby? Miał metal w zębach. Mówiłeś im? - Dźgnął palcem we własne usta, po czym zwrócił się do Carignana: - A ty masz? Możesz im pokazać?

Carignan otworzył szeroko usta, demonstrując zęby trzonowe trzem starcom, którym to przedstawienie najwyraźniej sprawiło wielką uciechę.

- Znaleźli metal w zębach? - zapytał burmistrz.
- Sprawdzimy, czy ma takie zęby - odparł Saliling. - Ale chcemy porozmawiać o problemie w naszej barangay*.

* Barangay: najmniejsza jednostka podziału administracyjnego na Filipinach, wioska.

- Nie jestem datu, wy nim jesteście. To wasze stanowisko, nie moje.
- Nasza szkoła wymaga remontu. Dach chroni przed słońcem, ale nie przed deszczem.
- On chce pieniędzy - po angielsku powiedział burmistrz do Carignana.
- Znam cebuano - odrzekł Carignan.
- Wiem, ale chcę powiedzieć coś, czego ci muzułmanie nie rozumieją. Jestem chrześcijaninem, sir. Dnia siódmego. Jestem dnia siódmego. Ale wszyscy tworzymy jedną rodzinę przeciwko muzułmanom.
- Ten zaginiony misjonarz też był dnia siódmego, tak?

- Tak. To bardzo smutne dla miasta Damulog.
- Daj mu pięćdziesiąt peso.
- Myślisz, że mam pięćdziesiąt peso? Nie jestem bogaty!
- Powiedz mu, że zapłacę później.
- Ile za remont szkoły? - zapytał Luis Salilinga.
- Dwieście.
- Mogę dać dwadzieścia. Nie teraz, w przyszłym tygodniu.
- Deski są drogie. Co najmniej sto na deski.
- Mam deski w Damulog. Jeśli potrzebne wam deski, mogę je wam dać.
- W takim razie trochę desek i trochę pieniędzy.
- Dwadzieścia pięć.

Saliling zwrócił się do pozostałych starców. Luis spojrzął na Carignana, ale ten pokręcił głową. Nie znał tego dialektu.

- Dziesięć desek długich na co najmniej trzy metry - oznajmił Saliling w języku cebuano. - Grube.

- Tak.
- Ile dasz pieniędzy?
- Najwyżej czterdzieści. Nie udaję.
- Pięćdziesiąt.
- Dobrze, pięćdziesiąt peso i dziesięć grubych desek. W przyszłym tygodniu.

Trzej datu zaczęli się naradzać. Przyszła właścicielka kawiarni, zgarbiona, stroskana kobieta, i przyniosła dwie bułki dla księdza, a także metalową łyżkę, chociaż wzorem pozostałych zjadł mięso, rwąc je palcami. W przekonaniu, że biali wolą chleb, a nie ryż, zawsze kupowała na rynku bułki, kiedy ksiądz przybywał do miasta.

- W porządku, jeśli poczekać tydzień - przemówił Saliling. - Teraz musimy wrócić do Tanday, a stamtąd przez wzgórza udać się nad rzekę Pulangi.

- Oni jeszcze nie byli nad rzeką! - powiedział po angielsku Luis.
- Rozumiem.
- Muzułmanie są powolni. Lubią marnować nasz czas.

Misjonarz zaginął przed rozpoczęciem pory deszczowej. Wiadomość o trupie nadeszła miesiąc temu.

- Spotkamy się tutaj za dwa tygodnie - powiedział datu Saliling. - Albo przyjedziemy do Damulog. My przyniesiemy odpowiedź, a wy drewno i pieniądze.

- Nie dwa tygodnie, tylko tydzień, bardzo proszę! Pani Jones czeka. Biedna pani Jones!

Starcy wymienili kilka zdań w dialekcie.

- Nie - oznajmił datu - tego nie da się zrobić w tydzień. Do rzeki Pulangi jest daleko, a tamtejszym ludziom nie można ufać. Nie są muzułmanami ani chrześcijanami. Mają innych bogów.

Carignan współczuł pani Jones, żonie misjonarza. Wpadł mu do głowy pomysł:

- Może przyłączymy się do nich i przywieziemy zwłoki do Damulog.
- Jestem gotów jechać do Tandy, jeśli będziemy we dwóch. Co do przeprawy przez rzekę Pulangi - nie, nie chcę umierać. Chcę długo żyć.

- Bardzo dobrze.

- Pojedziesz z nimi, ojczu?

- Tak.

- Sam?

- Skoro będę z nimi, to nie sam.

Zgodzili się: starcy za dwa tygodnie spotkają się z Luisem w Damulog. Luis zamówił piwo san miguel.

- Lubię katolickie restauracje - powiedział do towarzyszy. - W naszych dnia siódmego nie ma piwa. Piwo jest niezdrowe.

Właścicielka nalegała, by poczęstowali się mięsem z wielkiego słoja. Mieszkańcy miasteczka, słóczeni po obu stronach drzwi, gapili się z otwartymi ustami.

- Mogę przynieść awokado - powiedziała do Carignana. - Przyjdź na lunch, to zrobię ci koktajl z awokado.

Ksiądz skosztował mięsa carabao w przyprawach, niewiarygodnie kruchego. Kiwnął głową z uznaniem, więc przynieśli mu cały talerz. Nie było złe, ale smak, który pozostał mu w ustach, za bardzo przypominał odór bawołu. Tłumek przy drzwiach skandował:

- Pa-dair, pa-dair, pa-dair.

Judasz poszedł i powiesił się.

- Pomodłę się za was! - zawołał ksiądz.

Saliling podniósł się i ruszył ku intruzom. Tupnął bosymi stopami, potrząsnął włócznią. Grupa cofnęła się o kilka kroków.

Właścicielka słabą dłonią biła starego pijaka przy sąsiednim stoliku, wykrzykując coś niezrozumiale. Pijak sprawiał wrażenie kompletnie nieprzytomnego.

- Ha, twoi wyznawcy chcą się wypowiadać - powiedział Luis.

Judasz rzucił się z wysoka, jego brzuch pękł na kamieniach. Carignan zastanawiał się, czy ci ludzie, żyjący w skrajnej nędzy, wiedzą coś o winie. Sękaty mahoniowy stwór kuśtykający, żeby się wypowiadać. Wyszedł z pozostałymi, trzej daty odepchnęli wieśniaków na boki.

- Idę się pomodlić. Wszyscy muszą się modlić. Modlić się do świętych w niebiosach.

Ustalono, że z dwoma daty pójdzie do ich barangay zwanej Tanday. Pójdzie pieszo, jako że do Tanday nie kursował jeepney, a od pewnego miejsca nie było także drogi. Carignan rozumiał tylko, że ludzie, u których znajdują się szczątki misjonarza, mieszkają nad rzeką Pulangi. Nie miał pojęcia, jak długo potrwa podróż. Starcy mówili, że to dwadzieścia pięć kilometrów, ale głupio zrobił, pytając ich o to, bo skąd niby mają wiedzieć? Z uprzejmości podali mu swój szacunek: dwa dni. Starcy nalegali, by wyruszyć od razu, dzięki czemu w Tanday będą o zmroku.

W południe dotarli do Magindy, gdzie starcy okazali wielkodusność, pożyczając dla niego konia, rozmiarami przypominającego kucyka, z drewnianym siodłem. Podążając za trzema starcami, chude zwierzę uginało się pod ciężarem Carignana przez kilka kilometrów. U stóp góry, na której położona była barangay Tanday, musiał zsiąść i pieszo wspinać się ścieżką w mroku zapadającym nad nieskończonym łańcuchem wzgórz.

Ścieżka w górę zbocza była wygodnie szeroka, wydeptana przez wieśniaków, ale stroma, i Carignanowi brakowało tchu. Był już za stary na takie przygody - jak stary? Miał prawie sześćdziesiąt lat, nie pamiętał dokładnie.

W połowie drogi usłyszeli ciche gwizdanie i przyłączył się do nich czwarty.

- Dobry wieczór, pa-dair - powiedział po angielsku. - Będę ci towarzyszył.

Młody człowiek przedstawił się jako Robertson, bratanek Salilinga. Twarz Robertsona była niewidoczna w wieczornym mroku.

Przez cały dzień powracały do niego myśli o Judaszu, obrazach, mnichu, śnie. Mnich ze snu ze srebrnym obłokiem zamiast twarzy. Może poszuka kogoś, kto zinterpretuje ten sen.

Wspięli się na szczyt i na noc udali do budynku szkoły. Starcy przynieśli mu kolację złożoną z klejącego się białego ryżu i zielonej rośliny, którą nazywali hwai-an. Niedługo potem, jako że noc była ciemna, nie pozostało mu

nic innego, jak położyć się spać. Tak jak inni leżał na boku na gołej drewnianej podłodze, bez maty ani przykrycia. Nie potrafił zasnąć. Powietrze miało tu inny zapach niż w jego sypialni nad cuchnącą rzeką pod Basig, w sali szkolnej panował zaduch, okna zakrywały wielkie liście bananowca i nawet odzywające się pod okapami jaszczurki brzmiały obco. Około północy zaczął padać deszcz, przybierał na sile, aż rozpętała się burza wprawiająca w drżenie metalowy dach. Powodowała potężny hałas i groziła zalaniem wodą. Pojedyncze strużki przeciekały przez spojenia blachy falistej, Carignan zestawił więc dwa stoliki i wczółgał się pod nie. Wieśniacy, którzy w domach mieli jeszcze bardziej przeciekające dachy, przyszli do czarnej jak sadza sali; w końcu zebrało się ich dwudziestu paru. Kiedy ulewa się skończyła, Carignan przez wiele godzin słyszał, jak woda z rykiem splywa po zboczu.

Obudził się o świcie, w zasadzie nie zmrużywszy oka, i wyszedł na dwór, żeby sobie ulżyć pod ścianą szkoły. Po nocnym deszczu panował chłód, choć nie wiał wiatr. O tej porze ziemia wydawała się otwierać, gotowa ujawnić wszystkie swoje tajemnice.

Jaką ofiarę złożyłbym u stóp krzyża, na którym wisi złodziej?

Puścił wiatry, a dzieci zerkające na niego zza węgła ściągnęły usta, naśladując ze śmiechem odgłos.

Jaka pociecha w godzinie jego śmierci?

Bez wstępów, bez pożegnań trzej datu ruszyli w dalszą drogę. Nic nie nieśli, więc on też nic nie niósł. Chociaż starcy szli boso, Carignan miał na nogach sportowe buty.

Śliską ścieżką zeszli na długą półkę, która doprowadziła ich do kolejnej góry. Jeden kraniec świata poczerwieniał, słońce weszło im nad głowami, wypalając wilgoć i tworząc z samej mgły wspanialszy i bardziej skomplikowany krajobraz złożony ze wzgórz, dolin, migotliwych strumyków i roślin zabarwionych nie tylko niezliczonymi odcieniami zieleni, ale też srebrem, czernią, fioletem. Na sąsiednim wzgórzu zatrzymali się w barangay liczącej kilka chat, gdzie wypili miejscową kawę i zjedli po misce ryżu. Saliling rozmawiał z szefem w dialekcie bisayan; Carignan słyszał, jak dyskutują o ostrzale z broni palnej, który rano słyszeli z drugiej strony doliny.

- Ostrzegł, że przed nami toczy się jakaś walka - wyjaśnił Robertson.

- Słyszałem - odparł Carignan.

Ruszyli w drogę.

Zeszli na szeroki, prosty trakt wydeptany kopytami carabao. Stopniowo się zwężał, aż wreszcie Carignan musiał kulić ramiona, żeby z obu stron nie

pokłuły go ciernie. Prowadził Saliling, ostrze włóczni trącało liście i spryskiwało twarz Carignana resztkami deszczu. Dwaj pozostali starcy kroczyli za księdzem. Nieoczekiwanie Saliling zbiecził ze szlaku w morze trawy słoniowej, przez którą gdzieś w okolicach ich stóp biegła szeroka na dwadzieścia centymetrów ścieżka. Teraz mieli palące słońce nad głowami, a pod sobą gęste czerwone błoto, które sprawiało wrażenie żywej istoty, klejąc się do podeszew butów Carignana, oblepiając boki, sięgając do kostek. Pozostali swobodnie stawiali boscie stopy, podczas gdy on włókł się w tenisówkach oklejonych czerwoną ziemią, ciężkich jak beton. Zdjął je, żeby błoto mu ich nie ukradło, związał za sznurówki i niósł w rękę.

Kiedy z płaskowzgórza zaczęli schodzić ku strumieniowi płynącemu na dnie głębokiej doliny i Carignan z rozpaczą myślał o kolejnym zejściu, kolejnym wejściu, gdzieś zza sąsiedniego szczytu dobiegły słabe trzaski. Z nieba padł na nich cień wielkiego słupa dymu, czarnej kolumny unoszącej się w bezwietrzny dzień. Będzie krew i ogień, i palmowe drzewa dymu - to z Joela, czy tak? Niewiarygodne, jak powraca angielszczyzna. I Biblia także powraca z mroku. Joel, tak, z rozdziału drugiego, fraza zwykle tłumaczona na „słupy dymu”, choć w hebrajskim oryginale mowa jest o „palmowych drzewach dymu”.

Podczas przeprawy przez strumień na dnie doliny Carignan usiłował oczyścić buty. Błoto nie rozpuszczało się w wodzie, musiał je zdrapywać i ścierać palcami. Woda wyglądała na czystą. Zastanawiał się, czy jest zdatna do picia. Gdzieś nad każdym strumieniem w regionie żyło plemię albo wioska, ludzie brali wodę i wlewali brudy, zwierzęta się kąpały. Carignana dręczyło straszne pragnienie, całe jego ciało pulsowało pragnieniem, ale pozostali nie pili, więc on też nie pił. Włożył mokre buty na gołe stopy. Teraz szli prosto na czarny monolit dymu.

Wspięli się na grań, po czym zeszli w dół ścieżką pełną błota i kamieni ku wiosce liczącej kilka chat, wszystkie spłonęły prawie do szczytu, ostatnie deski żarzyły się jeszcze i dymiły. Saliling przyłożył dłoń do ust i zahukał. Nadeszła odpowiedź. Obok słupa znaleźli starca w spodniach z grubego płótna.

Carignan usiadł na kępie szorstkiej trawy, ręką odpędzając dym sprzed oczu, podczas gdy Saliling i jego bratanek rozmawiali z wieśniakiem.

- Mówi, że przyszli Tad-tad, żeby zniszczyć - powiedział Robertson do księdza. - Ale wszyscy uciekli. On jest za stary na ucieczkę. Postrzelili go w rękę i się ukrył.

Tad-tad to była sekta chrześcijańska. Ich nazwa oznaczała „trach-trach”.

Z mieszkańców pozostał tylko starzec z dziurą po kuli w ręce, którą owi-
nął okładem z liści i muszycach jajeczek.

- W tym klanie nigdy nie odcinają sobie członków, nawet jeśli mają
brzydki ranę - wyjaśnił Robertson. - To nie jest konieczne, rany nigdy nie
ropieją, bo z jajeczek wykluwają się muchy i wyjadają zgniliznę z ciała.

- Ach. Aha - mruknął Carignan.

- To dobry sposób. Choć czasami człowiek z tego choruje i umiera.

Starzec ze swoją pomarszczoną małpią twarzą i suchym ciałem, które w
stawach odpadało od kości, wydawał się niezwykle sędziwy. W kąciку ust
miał dwa albo trzy zęby, które w tej chwili wykorzystywał do wgrzyzania się
z ogromnym skupieniem w owoc mango. Odpowiedział burkliwie na pytania
Salilinga, ale rozprawivszy się z owocem, wyrzucił pestkę i pokazał Cari-
gnanowi swoje anting-anting, bransoletę z płaskich nasion, którą miał na
brzuchu. To magia, wyjaśnił, gwarantuje mu spokojną śmierć. W tej sytuacji
rana po pocisku nic nie znaczy.

Starzec mówił dialektem cebuano-bisayan, który Carignan dobrze rozu-
miał, mimo to młody Robertson tłumaczył:

- Musi napić się krwi małpy i znowu będzie jak nowy.

- Weźcie mnie ze sobą nad rzekę - mówił starzec. - Chcę się napić bło-
ta.

- Teraz chce iść z nami - powiedział Robertson.

- Tak. Rozumiem.

- Ten klan mówi, że błoto daje życie. On chce nad rzekę.

- Wiem, co mówi - upierał się ksiądz.

Starzec wskazał na wschód ponad wzgórzem, mówiąc o baśniowej kra-
inie, legendarnym miejscu.

- Mówi, że za tą górą jest miejsce zwane Agamaniyog.

- Dzieci opowiadają te historie - odparł Carignan.

Wciąż wskazując na wschód, starzec powiedział:

- Agamaniyog. To kraina kokosów.

- Agamaniyog jest dla dzieci - oznajmił Carignan.

- W takim razie tam nie chodź - rzekł starzec.

Ruszyli w dalszą drogę, brodząc środkiem strumienia przez wąską dolinę,
po czym wdrapali się na skałę, chwytając się pęków zielska. Carignan przy
każdym kroku dręczył się zarzutami Oskarżyciela: jestem złem z własnej
suwerennej woli i nie w pełni odczuwam skruchę. Tylko częściową, częściową

skrucę. Ale nie w pełni. Zawiodłem ducha mego synostwa. Stłumił głos diabła, który był jego własnym głosem, i nastawił uszy na inne dźwięki, szelest mokrych liści na wietrze, krzyki papugi, nieszczerze słówka małpek w zaroślach. Nad ich głowami zamknęły się gałęzie. Ścieżka była teraz tylko wytworem wyobraźni Salilinga. Carignan parł do przodu, w pozycji pionowej utrzymywał go strach, że jeśli się przewróci, zginie wśród roślinności. Ubranie miał przemoczone, nawet kieszenie pełne były potu. Ścieżka znowu się rozszerzyła i wyszli na grań, z której rozciągał się widok na świat. Teraz szło się łatwiej. Po niecałych dwóch godzinach stanęli w dolinie Arakan, szerokiej na pięć kilometrów, przez którą płynęła oliwkoszara rzeka Pulangi. Tereny nadbrzeżne zakrywały gigantyczne akacje w kształcie grzybów, wysokie na dziesięć pięter, z koronami o średnicy trzydziestu metrów. Saliling, który do tej pory nie odzywał się do Carignana, teraz powiedział:

- Obejrzyj się, zobacz, ile przeszliśmy. Tutaj jest dwadzieścia kilometrów.

Carignan spojrzął na zachód: szarozielona dżungla zalana różowym światłem, rozpadająca się na kawałki w saganie zachodu.

Jeszcze godzinę schodzili w dół do zrujnowanej barangay Tatug. Zeszłoroczne powodzie zalały łąki, woda nappełniła domy stojące na niskich palach, ale ludzie wciąż tutaj mieszkali. Carignan wyczerpany do tego stopnia, że nie był w stanie unieść ręki, by zdjąć kapelusz, usiadł na kopczyku, choć mgliście uświadamiał sobie, że to pewnie grób. Otaczały go inne mogiły, nie całkiem jeszcze porośnięte przez nieustraszoną trawę i winorośle. Coś zdzięsiatkowało tutejszych, zabrało kilkanaście, a może więcej, dwadzieścia, dwadzieścia pięć osób: zaraza,- powódź, maruderzy. Carignan odnalazł siły, by zdjąć kapelusz. Słyszał śmiech dzieci, słyszał płacz kobiety.

- Chodź, wstawaj, nie możesz tam siedzieć - powiedział Robertson. Saliling ujął go pod ramię. - Patrz, mamy skrzynię - dodał Robertson. W dłoniach trzymał skrzynię zbitą ze spróchniałych, uratowanych z powodzi desek. - To są kości twojego krajana.

Realizując swoją pierwszą operację wywiadowczą, Sand o 4.15 rano w niedzielę przyjechał na lotnisko krajowe w Manili, żeby samolotem DC-3 polecieć do Cagayan de Oro, najdalej położonego na północy miasta na wyspie Mindanao, i dołączył do grona oblepiającego kasy. Ludzie drzemali z chusteczkami zarzuconymi na szyje, wachlowali się zwiniętymi w rulon gazetami, powolutku, ale skutecznie zbliżając się ku nieuprzejmym twarzom urzędników,

a potem gdzieś znikali, by wreszcie wsiąść do samolotu. Nazwisko Sandsa zajmowało czterdziestą pozycję na liście oczekujących wypisanej kredą na ścianie, ale pierwszych trzydziestu dziewięciu pasażerów nie przyszło, tak więc jako pierwszy wkroczył na pokład DC-3, który przeniósł pięć osób nad połyskliwą dżunglą i czarnym morzem, by pomyślnie wylądować na wyboistym pasie czerwonej ziemi. Sands wiedział, że DC-3 mogły latać z odstrzeżonym skrzydłem, pułkownik często o tym opowiadał.

Sands znalazł taksówkę, która zawiozła go na rynek w De Oro, zrezygnował ze śniadania i wsiadł do autobusu jadącego przez wyspę na południe. Miał przy sobie tani aparat fotograficzny, imperial mark XII w pastelowym zielonym etui, bez flesza, ale większość czasu spędził, oglądając dojrzałe, gąbczaste krajobrazy. Jechali szybko, kierowca zwalniał, by pasażerowie wysiedli, ale nigdy całkiem się nie zatrzymał. W każdej wiosce sprzedawcy biegali wzdłuż autobusu z pokrojonymi owocami mango i ananasami zawiniętymi w papier oraz coca-colami w plastikowych workach z rurką. Tym żywił się Sands aż do wieczora, kiedy zatrzymali się na noc w Malaybalay, mieście w górach.

Przez całą drogę odczuwał przyływy nostalgii, nie za Stanami, Kansas czy Waszyngtonem, ale za domem w Luzon z klimatyzowanymi sypialniami, zupą Campbella i masłem orzechowym z bufetu ambasady. Owe drobne ataki paniki witał jako świadectwo coraz głębszego wtopienia się w środowisko. Intrygowała go myśl, którą zaszczerpił w nim pułkownik: Bóg, ale różne administracje. Obawy dotyczyły też końca obecnego zlecenia: kto będzie czytał jego raport o księdzu Thomasie Carignanie, jaki wpływ będzie miał jego raport na tych ludzi?

Malaybalay, choć biedne i zbudowane głównie ze sklejki i blachy cynkowanej, było ludne, pełne ruchu i głosów. Obok katolickiego kościoła znalazł hotel i pokój z łazienką w stylu muzułmańskim: kabinę z otworem toaletowym w podłodze i kran z zimną wodą z dołączonym wężykiem gumowym długości metra. Ten egzotyczny system wywołał u niego duchowe mdłości. Oczekiwał, że podczas wypełniania misji będzie doświadczał osamotnienia i przerażenia, ale nie na widok urządzeń hydraulicznych. Leżał na łóżku i z trudem chwytał oddech, czując, jak siła wyparowuje z wrzącej krwi. Okna w wąskim pokoju były za wysoko, żeby wyjrzeć na dwór. Zdawało się, że w powietrzu tego świata nie ma tlenu, tylko bekanie dzieci i hałas ulicy. Zszedł na dół z aparatem i usiadł na kamiennej ławce na skwerze, by wyczyścić buty. Pucybut, siedmio-, ośmioletni zaledwie, pracował ciężko, grube krople

potu perlily się nad jego górną wargą; uderzył szczotką w pudło, dając znać klientowi, że powinien zmienić stopy. Sands zrobił mu zdjęcie. Chłopiec przyjął pozę i udawał, że nic nie zauważył. To powinno wystarczyć, to go uspokoi, buzia tego dziecka. Zapłacił mu dużo, wszedł do kościoła - nie było ścian, tylko wielka kopuła nad rzędami ławek - i czekał na wieczorne sobotnie nabożeństwo. Pojawiło się kilkoro wiernych. Zapadł zmierzch. Nad rynkiem latały nietoperze. Łacina podziała na niego kojąco. Młody ksiądz wygłosił kazanie w języku bisayan, ale Skip wyłapał wiele angielskich zwrotów: „demoniczne opętanie”, „egzorcyzmy”, „upadłe anioły”, „badania duchowe”, „badania psychologiczne”. Kiedy wierni wstali, by przyjąć komunię, zostawił ich i wrócił do straszliwie obcego miasta.

Zatrzymywał przechodniów, aż wreszcie trafił na takiego, który znał angielski i powiedział mu o zachodniej restauracji; wkrótce też siedział w La Pastera, włoskim lokalu, gdzie część serwowanych potraw pochodziła prawdopodobnie z puszek, ale była też świeża sałata oraz makaron z rzodkiewką i selerem, nawet oliwkami. Białe obrusy, świece w butelkach po chianti i gramofon, na którym personel puszczał płyty na siedemdziesiąt osiem obrotów z nagraniami dixielandowymi.

Otwarte drewniane okiennice wpuszczały do środka wieczorny wiatr tak chłodny, jak to możliwe pod tą szerokością geograficzną. Pod jednym z okien siedziała samotnie kobieta, młoda z wyglądu, choć niesprawiająca wrażenia młodej, coś w rodzaju zgorzkniałej bibliotekarki albo niezamężnej siostry pastora; Sands był przekonany, że to Brytyjka albo Amerykanka. Przez cały posiłek na każde jego spojrzenie odpowiadała z kłopotliwą szczerością.

Kiedy kelner uprzątnął jej talerz, wstała, zabrała filiżankę z kawą i podeszła do Skipa. Usiadła obok niego.

- Przez cały wieczór patrzymy na siebie - powiedziała, wyciągając rękę.
- Równie dobrze możemy się poznać. Jestem Kathy Jones.

Uściśnęła jego dłoń i przytrzymała. Nie był to zwykły przyjacielski gest. Wpatrywała się w niego wzrokiem niemal łzawym, rozpalonym pragnieniem. Sandsowi odjęło mowę. Nigdy nie potrafił radzić sobie z kobietami. Jej fałszywy, przepojony desperacją uśmiech sprawił, że serce załało mu współczucie. Była pijana albo chora, a może jedno i drugie.

- Och, na litość boską - powiedziała, po czym odwróciła się ze śmiechem lub cichym szlochem. Zostawiwszy kawę na jego stoliku, pośpiesznie wyszła.

Sands dygotał od środka i nie mógł jeść, mimo to zamówił cannoli na deser. Kelter je przyniósł, ale nie odchodził, ze straszliwym zakłopotaniem kręcił się koło stolika. Wreszcie wykrztusił:

- Pani nie zapłaciła dzisiaj. Czy pan zapłaci?

Skip zapłacił.

Nazajutrz po południu wysiadł z autobusu na niebrukowaną główną ulicę wioski Damulog. Powitał go niewysoki pulchny mężczyzna, który najwyraźniej miał zwyczaj sprawdzania nowo przybyłych i który przedstawił się jako burmistrz Emeterio D. Luis. Zaprowadził Skipa do jedynego hotelu, należącego do człowieka nazwiskiem Freddy Castro, i po drodze pokazywał wszystkie ważne miejsca w Damulog: rynek, restauracja, budynek, gdzie odbywają się walki kogutów, sklep.

Damulog położone było na końcu betonowej drogi, na końcu trasy autobusu, na końcu linii elektrycznej. Chociaż mieli tu prąd, w miasteczku nie było systemu ścieków ani - o ile Sands potrafił stwierdzić - kanalizacji w domach, z całą pewnością nie w hotelu; choć zbudowano go z solidnego drewna, tego popołudnia deszcz przedostawał się do środka nie tylko przez dach, ale dwa piętra, i kapał z sufitu jego pokoju na parterze. Uratowanie łóżka i bagażu przed zamknięciem wymagało przemyślnych manewrów. O zmierzchu burmistrz i Castro, młody mężczyzna dobrze posługujący się angielskim, zabrali Sandsa do jednego z pięciu źródeł, gdzie ubrany w kraciaste bokserki i żółte japonki wykąpał się w wodzie wypływającej z rury w zboczu góry na oczach kobiet i dzieci z otwartymi buziami.

- Myj się, myj się, tu jesteś bezpieczny - zapewniał burmistrz. - Nie mamy tu krokodyli. Nie mamy malarii. Nie mamy maruderów. Wydaje mi się, że obserwujemy zorganizowane akcje muzułmańskich grup na południu, ale tylko w Cotabato. My nie jesteśmy w Cotabato. Tu jest Damulog. Witaj w Damulog.

Kiedy Skip był odwrócony plecami, dzieci wołały do niego. W głębi wyspy Mindanao nie widziano amerykańskiej armii, dlatego nikt nie nazywał go „Joe”. Dzieci wołały: „Pa-dair, pa-dair...” Ojciec... Wzięły go za księdza.

Boże, te dziwne sny ostatniej nocy...

Siedziała na ławce na rynku, składając w całość fragmenty nocnych koszmarów; czekała na odjazd autobusu o szóstej, czekała na kawę, podczas gdy w pobliżu dwie na wpół przytomne kobiety otwierały swój kram. Stałam

przed Sądem Ostatecznym, ale co było przedtem, zaraz, miałam torebkę, weszłam do sklepu, żeby kupić ołówkę, ale sklep był sceną na wielkim czarnym stadionie na końcu świata, a ja umarłam i musiałam zdać rachunek ze swoich grzechów. Nie potrafiłam. Ciemność była moją wieczną śmiercią.

Czyj głos szeptał we śnie? Kramarka już się przygotowała do handlu, zalewała gorącą wodą z termosu łyżkę nescafé w plastikowym kubku. Włączyła radio tranzystorowe: stacja DXOK z Catabato nadawała popularne przeboje, o szóstej nastąpiła przerwa na odmówienie pięciu Zdrowaś Mario.

Autobus czekał, ale kierowca nie przyszedł. Nie interesowało jej, czy odjadą punktualnie. Nie nosiła zegarka, od lat żadnego nie miała.

A to kto? Kilka metrów dalej przy następnym kramie z rogalikiem w dłoni siedział mężczyzna, wobec którego zachowała się jak idiotka w restauracji, w La Pasterii. Idiotka, idiotka! Ale wczoraj wieczorem na jego widok poczuła taki ból, takie pragnienie. W swoim ubraniu filipińskiej produkcji, brązowych spodniach, brązowych sandałach, sportowej koszuli, w mrocznym świetle świec, z wąsami i gęstą czupryną tak bardzo przypominał Timothy'ego, który wreszcie przyjechał, Timothy'ego przynoszącego dobre wieści i miłe towarzystwo. Rzuciła się więc na tego Amerykanina na oślep, tak jak rzuciłaby się na Timothy'ego, gdyby Timothy wrócił do niej ze strefy pustego pytania, w której się zdematerializował.

Jeszcze nie zaczął się świt. Dziwna pogoda panuje na tej górze, promienie słońca padają na ciebie jak kowadło, choć w cieniu jest chłodno, a po zmroku wręcz zimno. Skuliła się, kryjąc twarz pod kapturem bluzy, i obserwowała oddalonego o kilka metrów Amerykanina. Przez tę pierwszą chwilę wczoraj wieczorem myślałam, że on to ty, Timothy, i krew napłynęła mi do głowy i opuszków palców, przez co ledwo widziałam, a teraz, kiedy o szóstej rano pije coca-colę z bawełnianą torbą na ramieniu, wciąż wygląda jak ty. Przyszedł inny mężczyzna, pewnie kierowca autobusu, usiadł obok Amerykanina i zamówił kawę. Pod metalowym okapem sączy się słabe jarzeniowe światło, wokół którego roją się skrzydlate owady... Zaspane kramarki owinięte w lekkie koce krzątają się, otwierając drewniane skrzynie z gotowanymi jajkami, papierosami, cukierkami, rogalikami. Timothy, czy ty żyjesz? Kobieta w kramie obok mnie plecie z kokosowych liści maleńkie pudełeczka na prezenty, inna zamiata, schylona nad krótką miotłą, w gruncie rzeczy pękiem słomy... Niech na zawsze zapamiętam prawdę, którą odczuwam w tej chwili... Timothy, żyjemy, umieramy.

Kierowca otworzył autobus, Amerykanin wsiadł. Wykluczone, by pojechała tym autobusem, by się pokazała. Wsiądzie w następnym. Odwróciła się, zamówiła jajko, rogalik i następną kawę, po czym zabrała swoje rzeczy i poszła. Rzeczy niosła zawinięte w brązowej papierowej torbie z uchwytnymi ze sznurka.

Usiadła na ławce na Rizal Plaza i patrzyła, jak grupa kobiet i dzieci uprawia ryż na boisku do koszykówki, grabiami odwracając ziarna. Nie miała dokąd pójść. Lepiej zaryzykować mniej pewny popołudniowy autobus niż zostać tu na następną noc. W mieście nie było kościoła adwentystów, musiała więc zatrzymać się w pensjonacie, gdzie samotnie podróżująca kobieta budziła pełną napięcia troskę, którą odbierała jak nienawiść. Wszyscy starali się być uprzejmi, poszła do La Pasterii, chociaż ledwo mogła sobie na to pozwolić - miała więc pretekst do samego pobytu w lokalu, ale żadnego do takiego otwarcia się przed nieznanym.

Czy on naprawdę wyglądał jak Timothy? Z papierowego bagażu wyłowiła stos zdjęć, jedyny powód tej podróży. W zeszłym tygodniu pośród należących do Timothy'ego rzeczy znalazła rolkę filmu i przebyła całą tę drogę, by znaleźć człowieka z ciemnią. Większość klatek wyszła, w sumie dwadzieścia parę zdjęć. Trzy przedstawiały Timothy'ego, na dwóch pojawiał się gdzieś na obrzeżu: Timothy z grupą inżynierów z Manili patrzą na miejsce, gdzie ma powstać elektrownia wodna, w tle jak wielki uszczęśliwiony gryzoń przemyka burmistrz Luis. Timothy z bliska, choć obraz jest zamazany: przypuszczalnie dawał instrukcje początkującemu fotografowi. Na kolejnym Timothy obejmuje Kathy, z filipińskim orszakiem ślubnym pozując przed kościołem z różowymi stiukami. Pozostałe zdjęcia z Catabato zamierzał posłać nowożeńcom; Kathy rozpoznała różowy kościół. Była przy jego boku w „gracie”, jak go nazywał, gdy z ponad dwudziestoma innymi pasażerami jechali ponad sto kilometrów rozmytymi drogami w jeepneyu przeznaczonym na osiem osób. W kościele w Cotabato przyjęli go jak boga, prosili o rozwiązanie kłopotów, zarzucili drobnymi prezentami, namówili do udziału w ślubie nieznanym parą i pozwolili uwiecznić ceremonię niemieckim aparatem.

Poza zdjęciami w papierowej torbie miała wczorajsze ubranie i małą poduszkę, którą położyła na drewnianym siedzeniu, gdy zjeżdżała z góry popołudniowym autobusem. Droga zniżala się stopniowo, przed nimi rozciągał się piękny i rozległy widok, tysiąc odcieni zieleni pod wolno gromadzącymi się czarnymi i szarymi chmurami. Przez otwarte okna wpadało z szumem powietrze,

najpierw pachnące sosną, później fermentującymi nizinami. Autobus przejechał przez ulewę i wciąż ociekając wodą, dotarł do Damulog o czwartej po południu.

Dzisiaj na przystanku nie było burmistrza Luisa. Pewnie robi zakłady. Słyszała mężczyzn krzyczących podczas walk kogutów w budynku po drugiej stronie rynku. Kiedyś przypatrywała się walkom z ulicy. Ptaki miały do łap przywiązane żyłki i w kilka sekund rozcinały się wzajemnie na kawałki.

Kathy i Timothy mieszkali niedaleko rynku w domu z trzema sypialniami, żaluzjami na oknach i szczelnym dachem; razem z nimi mieszkała służąca Corazón i zwykle dwie albo trzy jej siostrzenice, nie zawsze te same. Dom był pusty. W soboty i niedziele dziewczyny wracały do rodzinnej wioski Kinipet.

Po sosnowym aromacie i relatywnym chłodzie górskiego miasta znowu czuła zapach domu, zapach wilgotnego drewna i przepoconej pościeli. We wszystkich pomieszczeniach było ciemno. Kathy pociągnęła za łańcuszek przy suficie - elektrownia pracowała. Karaluchy rozbiegły się, szukając schronienia w kątach. Cory zostawiła ryż w przykrytej misce. Już zajęły się nim mrówki. Cóż to za rozpaczliwe, okropne miejsce bez Timothy'ego.

Wyrzuciła jedzenie razem z miską za granicę podwórka i wyszła, choć do domu wróciła przed trzema minutami.

Zjadła kolację w Sunshine Eatery, gdzie na dłużej zatrzymała ją druga tego dnia ulewa. W mieście nie było prądu. Kathy czekała, aż deszcz ustanie, w świetle świec rozmawiała z mężczyzną imieniem Romy, który przyjechał tu z Manili z ekipą geodetów, i z Boyem Sedosą w mundurze policjanta. Romy popijał Old Castle Liquor, a Sedosa rum Tanduay. Właścicielka jadłodajni, Thelma, siedziała na wysokim stołku za kontuarem i słuchała radia tranzystorowego.

Amerikanin, który wyglądał jak Timothy, przemoczony do suchej nitki, z przedmiotem wyglądającym na aparat fotograficzny zwisającym mu z przegubu, wszedł do środka. Przystanął niepewnie tuż za progiem. Wszyscy umilkli. Usiadł przy sąsiednim stoliku i poprosił o kawę. Jeśli ją rozpoznał, był zbyt uprzejmy, żeby to okazać.

Ach, mogła się domyślić. Damulog leży na końcu linii autobusowej i jako jedyna miejscowość na trasie oferowała miejsca do spania.

Amerikanin położył aparat na stoliku. Wszyscy patrzyli, jak pije kawę. Deszcz lał nieprzerwanie.

Banda młodych pijaków wpadła do kawiarni, szalejąc i przewracając sprzęty. W świetle świec ich sylwetki były przerażające, pełne przemocy. Thelma klaskała w dłonie ze śmiechem, jakby byli jej rodzonymi synami. Kiedy wyszli, zajęła się ustawianiem mebli. Policjant Sedosa ocknął się i skierował za nimi w deszcz światło swojej latarki. Po chwili pojawiła się żebrząca wariatka. Objęły się z Thelmą jak krewne, którymi zresztą mogły być.

Policjant Sedosa, choć brodę i ramiona trzymał prosto, nachylił się ku świecy. Wpatrywał się w Amerykanina przy sąsiednim stoliku, aż ten zmuszony był to zauważyć.

- Proszę pana o podanie nazwiska.
- Nazywam się William Sands.
- Aha. William Sands. - Twarz Sedosa była jak z filmu: martwe pijane oczy w rozmytych, tłustych rysach. Nos miał ostry, arabski. Nie mrugał.

- Absolutnie nic do pana nie mam, ale czy może mi pan pokazać jakieś dokumenty pozwalające na podróż do naszej prowincji?

- Nie mam przy sobie dokumentu tożsamości - odparł Amerykanin. - Mam tylko jedną kieszeń. - Ubrany był w biały T-shirt i spodenki wyglądające na kąpielówki.

- Rozumiem. - Sedosa gapił się na niego, jakby o nim zapomniał.
- Jestem przyjacielem burmistrza Luisa - powiedział Sands. - Wyraził oficjalną zgodę na moją wizytę.

- Pracuje pan może dla armii Stanów Zjednoczonych?
- Pracuję w Del Monte Corporation.
- Rozumiem. To dobrze. Ja tylko sprawdzam.
- Naturalnie.
- Niech pan pyta o Boya Sedosę, jak będzie pan potrzebował mojej pomocy - powiedział policjant.

- Okay. A mnie nazywajcie Skip.
- Skip! - powtórzył Sedosa.
- Ach! Skip! - zawtórował mu Romy z ekipy geodetów.

Thelma ze swojego stołka za słojami z jedzeniem klasnęła w dłonie i zawołała:

- Witaj, Skip!
- Zdrowie, Skip - powiedziała Kathy.

Czy zdawał sobie sprawę? Podał im swoje przezwisko. W tym mieście żaden więcej kłopot go nie spotka.

Uniósł szklanę do zebranych.

- Widzę, że w deszczu chodzi pan z aparatem - powiedziała Kathy.
- Dzisiaj nie zachowuję się rozsądnie - przyznał.
- Zawsze go pan nosi?
- Nie. Staram się do niego nie przywiązywać. Jeśli człowiek nie uważa, aparat może zmienić się w jego oko, jedyne marzenie, przez które patrzy.
- Powiedział pan „marzenie”?
- Słucham?
- Powiedział pan, że aparat zmienia się w jedyne marzenie, przez które pan patrzy?
- Tak? Miałem na myśli „oko”. Kamera staje się okiem.
- Dziwne przejęzyczenie, proszę pana. W dzieciństwie marzył pan, by zostać fotografem?
- Nie, proszę pani, nie marzyłem. A pani marzyła, by zostać Zygmuntem Freudem?
- Ma pan coś przeciwko Freudowi?
- Jest odpowiedzialny za połowę zła naszego stulecia.
- Naprawdę? A za drugą połowę kto jest odpowiedzialny?
- Karol Marks.

To ją rozśmieszyło, chociaż się z nim nie zgadzała.

- Przypuszczalnie nigdy wcześniej nikt nie wymienił żadnego z tych nazwisk w miasteczku.

Geodeta Romy pochylił się z wysiłkiem ku dłoni Amerykanina, by ją uścisnąć.

- Zaszczyci nas pan swoim towarzystwem? - Ciągnął tak długo, aż Amerykanin przesunął krzesło do ich stolika. - Wypije pan z nami kawę? A może coś jeszcze przyjemniejszego?

- Jasne. Ma ktoś ochotę na papierosa? Trochę zamokły.
- Wszystko w porządku - oznajmił policjant Sedosa. Wziął papierosa, po czym przysunął go do płomienia świecy, żeby wysechł. - Ach! Benson & Hedges! Są dobre!

Widząc znowu Amerykanina, tym razem z jeszcze mniejszej odległości, Kathy nic nie poczuła. Żałowała, że tak jest. Miasteczko zalewało błoto, w powietrzu unosił się odór wszelkiego rodzaju odchodów i zgnilizny. Teraz, gdy zobaczyła to miejsce bez Timothy'ego, nie chciała tu być ani z nim, ani bez niego.

Mężczyźni rozmawiali o filipińskich bokserach wagi koguciej, o których

nigdy nie słyszała. Małeńkie ćmy roiły się na stole wokół świecy wsadzonej w galonowy słój po Tamis Anghang Banana Catsup, cokolwiek to było. Mężczyźni rozmawiali o politykach, którzy jej nie interesowali. Rozmawiali o koszykówce, która była czymś w rodzaju narodowej namiętności. Kiedy ją to znużyło, poszła do domu w lekkiej mżawce i kompletnej ciemności, wchodząc w kałuże; miała szczęście, że trzymała się drogi, i jeszcze większe, że znalazła dom.

Ustawiła buty za progiem, po omacku poszła do sypialni. Poszukała laski na nocnym stoliku i rozebrała się w jej słabym świetle. Na stoliku leżała też książka Timothy'ego, była wśród jego rzeczy, przerażające eseje o Janie Kalwinie i jego doktrynie predestynacji, obiecujące Piekło pełne dusz z góry skazanych na potępienie. Kathy nie wiedziała, co z nią zrobić, trzymała blisko siebie, nie mogąc nic poradzić na to, że wracała do tej duchowej pornografii jak pies do swoich rzygowin. Poszukała zapalek, zapaliła owadobójcze kadzidelka w miseczce, wczłogała się pod moskitierę, naciągnęła pościel do brody... Jedni ludzie bezwzględnie i ostatecznie wybrani do zbawienia, inni bezwzględnie skazani na zniszczenie... Leżała w odorze swojego życia z włosami wciąż mokrymi od deszczu. Nie tknęła książki.

Obudziło ją jaskrawe światło: lampa pod sufitem. W elektrowni usunięto awarię. Na dworze wciąż panowała ciemność, deszcz przestał padać. Zabrała sandały do kuchni, wrzuciła je do zlewu, żeby przepłoszyć karaluchy, zapaliła światło, nalała do szklanki zimnej wody z lodówki (gazowej) i usiadła przy stole, patrząc na fotografie. Wywołanie filmu pozwoliło jej zająć czymś czas oczekiwania, aż ktoś przyniesie jej obrączkę, która może, choć nie musi być złota, zdjętą z palca trupa wyrzuconego na brzeg Pulangi. Ludzie znad rzeki nie przysłali pierścionka. Nie chcąc niepokoić gości ani tej jedynej ozdoby, woleli poszukać białych, którzy przyznaliby się do pokrewieństwa ze szczątkami. Po tygodniach deliberowania ustalili nic nieznaczącą opłatę, zaledwie pięćdziesiąt peso.

Patrzyła na ślub jego oczyma.

Wiedzieli, że będą fotografowani, i przygotowali się. Niektóre z małych dziewczynek upięszono szminką i pudrem, czarne włosy nasmarowano błyszczącą pomadą.

Jego oczy widziały, jego umysł wychwycił ten moment na zniszczonych stopniach różowego kościoła. Po prawej w tle znajdował się szyld - „TREAD- SETTERS - nowy horyzont w świecie bieźnikowania” - oraz unoszące

się nad orszakiem ślubnym posągi świętego Michała z mieczami owiniętymi celofanem. Był dzień św. Michała. Muzułmanie, katolicy, wszyscy tańczyli na cześć świętego wojownika. Timothy majstrował przy fleszu i rodzina pana młodego zaczęła ze śmiechem coś wykrzykiwać, kiedy więc flesz błysnął, porzucili wszelkie skrupuły i piszcząc, usiłowali ukryć się jeden za drugim w przypiływie wstydlivej paniki.

Kathy wyjęła z pudełka w lodówce jedno z filipińskich cygar Timothy'ego, usiadła przy stole, przytknęła zapalną do płomienia w misce i kilka razy się zaciągnąwszy, zgasła cygare w zlewie, po czym znowu usiadła, otoczona zapachem męża, choć w głowie jej się kręciło. W pustce szukała najdrobniejszych wspomnień. Cygara, fotografie, przedmioty, których dotykał, powracające komentarze, wszystko to obsesyjnie zbierała jako coś w rodzaju dowodów.

Wróciła do łóżka, nie gasząc lampy, i otworzyła książkę z pismami Kalwina, książkę, którą Timothy gdzieś wyszukał i czytał wciąż od nowa. Wstrząsnęło ją, że istnieje frazeologia ujmująca w słowa bluźnierstwa, idee, o których sądziła, że tylko ją nawiedzają, wątpliwości wyjątkowo grzeszne, nigdy niewypowiedziane - a Timothy musiał odczuwać to samo, ponieważ nigdy nie rozmawiał z nią ani o nich, ani o książce. Na marginesach ołówkiem zaznaczył niektóre akapity. Kathy zamknęła oczy, odczytując je opuszkami palców...

„Chociaż więc rzeczy owe, które są złe, przez to, iż są złe, nie są dobre, to jednak dobrze jest, że istnieją rzeczy złe”.

„A skoro Bóg przewidział, iż będą złe, to złe pozostaną, choćby teraz opromieniał je pozorny blask dobra”.

„Czy jesteśmy dziećmi? Czy będziemy kryć się przed prawdą, że Bóg w swej odwiecznej łaskawości wybrał tych, których do zbawienia wybrać mu się podobało, a całą resztę odrzucił?”

Trzepoczące serce, dreszcz na widok otchłani, nieunikniona prawda o moim predestynowanym potępieniu.

Zasnęła przy palącej się lampie, tuląc te przerażające potwierdzenia do piersi.

Kolejny poranek był słoneczny i niemal chłodny, z niebem pełnym pięknych obłoków, całkowicie odmienny od wieczornego kotła ulewy. Przyszła Cory, przynosząc z targu chleb oraz trzy malutkie jajka, i zrobiła śniadanie. Po posiłku Kathy spotkała się z ośmioma pomocnicami pielęgniarскими, które

wyszkoliła. Kobiety prowadziły punkty sanitarne w odległych wioskach, obecnie były cztery takie punkty, w zeszłym kwartale sześć, a w następnym kto to wie, jeden, sześć albo dziesięć, fundusze pojawiały się i znikaly.

W spotkaniu wzięła udział przedstawicielka Fundacji Wsparcia Rozwoju, pani Edith Villanueva, która zupełnie niepotrzebnie robiła notatki. Osiem pomocnic Kathy, wszystkie młode, wszystkie zamężne, wszystkie matki wielu dzieci, wszystkie rzadko opuszczające swoje wioski, wykorzystały okazję do urzędzenia przyjęcia. Miały ryż i cukier smażone w oleju kokosowym i zawinięte w liście bananowca, ryż owinięty w liście kokosa i sam ryż.

- To wszystko jest ryż - powiedziała pani Villanueva cokolwiek przeprasającym tonem.

Kobiety bardzo lubiły męża Kathy, słyszały o jego zaginięciu i mówiły o nim z szacunkiem w sposób sugerujący, że Timothy nie jest żywy ani martwy. Nazywały go Timmy.

Po lunchu nadeszła pora na wizytę u burmistrza Emeterio D. Luisa, który zajmował swe wysokie stanowisko dzięki cnotcie zbierania wszelkich wiadomości o każdym mieszkańcu Damulog i byłby burmistrzem nawet wtedy, gdyby taka funkcja w radzie miejskiej nie istniała. Kathy przyniosła mu resztki słodczy ułożone na mahoniowej tacy i nakryte jedwabnym szalem. Mimo że w Damulog poczta i ratusz mieściły się w trzypokojowym budynku z pustaków przy rynku, burmistrz rzadko tam bywał, preferując salonik we własnym domu, gdzie mógł korzystać z cienia i przewiewu. Posadził Kathy w trzcinowym fotelu koło biurka, gromkim głosem poprosił o zimną wodę, po czym zapytał ją o szczepienia przeciwko polio. Znała go od dwóch lat, on jednak witał ją przez kilka minut, jakby dopiero co przybyła tu jako emisariusz.

- Możemy dostarczyć szczepionki przeciw polio do odległych przysiółków? Mamy spore problemy na terenach wiejskich. Nie każdy jest w stanie drogami przyprowadzić gromadkę dzieci do Damulog. To są biedni z najbiedniejszych. A czasami na drogach czyhają rabusie. Nie chcemy, żeby ludzie padali ofiarą tych łamiących prawo elementów. To są biedni z najbiedniejszych. - Kathy słyszała, że ostatnio kilkakrotnie używał tej frazy. Za każdym razem ją przekręcał. Tak: Emeterio D. Luis, przy czym „D”, jak głosił wyryty napis na granitowym przycisku do papieru, oznaczało „Deusa”.

Powiedział, że choć do wyborów pozostało dużo czasu, konkurent do fotela burmistrza już go znieważał, nazywał tchórzem, facetem z „białymi jajami”. W jego oczach pod troskami zawodowymi płonęło zadowolenie.

Jego siostra, która wykładała na Southern Mindanao University, śpiewała ludowe piosenki przez niewielki wzmacniacz na patio. Słuchał jej z satysfakcją, splecione dłonie złożony na biurku koło wazonu ze sztucznymi kwiatami.

Rozmawiał z Kathy o Amerykaninie, Skipie Sandsie, tak samo jak musiał rozmawiać ze Skipem Sandsem o Kathy. Oczywiście wiedział już, że spotkała Amerykanina w Sunshine Eatery.

- Zapytałem Skipa Sandsa, czy zna amerykańskiego pułkownika, i tak, łączy ich interesujący związek... Zapytasz mnie, jaki to związek?

- Nie chciałabym plotkować.

- Plotki są niechrześcijańskie! - potwierdził. - Chyba że rozmawiasz z burmistrzem.

Kathy odkryła tacę z deserami. Burmistrz wpatrywał się w tacę, jakby to była szachownica, i poruszał nad nią dłońmi.

- Tak wielu gości!

- Myślę, że ich wyczarowujesz.

- Wyczarowuję ich! Tak! Wyczarowałem amerykańskiego pułkownika i majora armii filipińskiej, i wyczarowałem tego trzeciego, chyba był Szwajcarem, jak myślisz?

- Nie poznałam go. Filipińczyka też nie. Poznałam tylko pułkownika.

- I wyczarowałem ekipę inżynierów. Pani Luis - zwrócił się do swojej pulchnej żony, która wyszła z kuchni, ślizgając się po wyłożonej linoleum podłodze w zori, japonkach na słomianej podeszwie. - Jak myślisz, jestem czarodziejem?

- Myślę, że masz bardzo donośny głos!

- Kathy uważa, że potrafię wyczarować różne rzeczy - zawołał za żoną, która kierowała się na tyły domu. - Kathy, chciałbym, żeby geodeci wykonali dla mnie pewną pracę. Myślę, że mogłabyś pomóc mi ich do tego namówić.

- Nie mam nad nimi żadnej władzy, Emeterio.

- Ja ich wyczarowałem! Muszą dla mnie pracować!

- Cóż, sam musisz to załatwić.

- Kathy, wiesz, co mi powiedział ten Amerykanin Skip? Pułkownik jest jego krewnym. Jego wujem, mówiąc ściśle.

- Hm - odparła Kathy. Pułkownik zrobił na niej silne wrażenie, ale nie potrafiła sobie przypomnieć - przywołać - jego twarzy, by poczynić jakieś porównania.

- Kiedy zapytałem Skipa o filipińskiego oficera i tego drugiego, udawał,

że ich nie zna.

- A dlaczego miały ich znać?
- Ci ludzie wszyscy się znają, Kathy. Są tu w tajnych rządowych mi-
sjach.

- Cóż, wszyscy mają jakąś przykrywkę. - Sama pozornie przebywała tu pod auspicjami Międzynarodowej Organizacji Pomocy Dzieciom, pozbawio-
nej jakichkolwiek związków religijnych, gdy w rzeczywistości przyjechała jako żona swojego męża: robotnika w winnicy Jezusa Chrystusa.

Burmistrz rzucił sandałem w psa, który zabłąkał się do saloniku; rzut był idealny, trafił prosto w zad. Pies zaskrzeczał jak ptak i wyskoczył za drzwi.

- Hazard jest całkowicie niezgodny z naszymi ideami - stwierdził nieo-
czekiwanie burmistrz. - Hazard jest sprzeczny z ideami Adwentystów Dnia
Siódmego. Próbuję się go pozbyć.

- Założę się, że to ci się uda.
- Dziękuję. Och - „założę się”! Tak! Ha, ha! „Założę się”! - Błyska-
wicznie spoważniał. - Ale widzisz, chodzę na walki kogutów. To mój obo-
wiązek.

Chcę włączyć się w namiętności ludzi.

- Założę się, że to robisz.

Minął kwadrans i młoda kobieta - służąca, sąsiadka albo krewna - posta-
wiła dwie szklanki zimnej wody na biurku. Burmistrz Luis wierchem dłoni
otał pot z czoła. Westchnął.

- Twój mąż Timmy. - Wszyscy Filipińczycy tak o nim mówili, po raz
pierwszy w jego życiu nazywali go „Timmy”. - Czekamy na wiadomość o
szczątkach. To potrwa trochę dłużej. Nie tracę nadziei, Kathy, bo możliwe,
że nagle odezwią się jakieś kryminalne elementy, które porwały go żywego.
Padamy ofiarą wielu bandytów i porywaczy, ale tym razem można powie-
dzieć, że dają nam nadzieję. - Popijał wodę w absolutnie szczerym milczeniu:
Nie. Nie ma żadnej nadziei.

O drugiej po południu, kiedy skończyły się lekcje i miasteczko zapadło w
drzemkę, Kathy otworzyła drzwi swojej przychodni, która znajdowała się w
jednej z czterech sal szkoły z pustaków. Edith Villanueva ze Wsparcia Roz-
woju przyszła obserwować młode matki przynoszące niemowlęta na szcze-
pienia. W kolejce stało ich kilkadziesiąt, dziewczęta zaledwie dwunasto-,
trzynastoletnie, a wyglądające na dziewięć, dziesięć lat, mocno trzymały
rączki swoich dzieci podczas zastrzyku. Każda dostawała puszkę mleka w
proszku, stanowiącego dla nich rzeczywistą treść tej wizyty.

Tymczasem Amerykanin Skip Sands siedział na betonowym chodniku z książką. Miał na sobie szorty, biały T-shirt i gumowe zori. Nic nie wskazywało na to, że płacze dzieci mu przeszkadzają.

Wychodząc, Kathy poznała Amerykanina z Edith. Zaczął się podnosić, ale Edith usiadła obok niego, wyglądając spódnice.

- Co to za książka? - zapytała. - Tajemny kod?
- Nie.
- A co, greka?
- Marek Aureliusz.
- Potrafi pan to przeczytać?
- Do samego siebie. Z zasady tłumaczone jako *Medytacje*.
- Lingwista. Jest pan lingwistą?
- Czytam, żeby nie wyjść z wprawy. W hotelu mam angielski przekład.
- U Castry? Boże, w życiu bym się tam nie zatrzymała - powiedziała Edith. - Wyjeżdżam stąd o czwartej.
- Dach u pana Castry ma dziury, ale następny hotel jest bardzo, bardzo daleko.

- Jest pan sam? - Edith była mężatką w średnim wieku, w przeciwnym razie nigdy by z nim nie flirtowała.

Uśmiechnął się i Kathy nagle zapragnęła kopnąć go w bok - obudzić - kopnąć w miękkie ciało pod żebrami. Zmieść dobry humor z jego jasnej amerykańskiej twarzy.

- Mogę zobaczyć? - zapytała. Książka była bardzo tania i zwykła, wydana przez Catholic University Press. Oddała ją Amerykaninowi. - Jest pan katolikiem?
- Irlandzkim katolikiem ze środkowego zachodu. Lubimy mówić, że to bardzo skomplikowana mieszanka.
- Mówił pan, że pochodzi z Kansas, czy tak?
- Z Clements w Kansas. A pani?
- Z Winnipeg w stanie Manitoba. A raczej z okolicznej wsi. To ta sama szerokość geograficzna co Kansas.
- Długość.
- Okay. Jesteśmy dokładnie na północ od was.
- Ale w różnych krajach - powiedziała Edith.
- W różnych światach - odparła Kathy. Oto one, dwie znużone żony napierały na niego. - W takim razie chodźmy. - Podała mu rękę i pomogła wstać.

Ruszyli w kierunku ulicy, przy której mieszkała Kathy.

- Więc jest pan ze środkowego zachodu? - zapytała Edith.
- Tak, z Kansas.
- Tak samo jak mój mąż. Pochodzi ze Springfield w Illinois - powiedziała.
- Ach.
- Zaginął.
- Wiem, słyszałem. Burmistrz mi mówił.
- Mówił panu burmistrz, a któż by inny! - powiedziała Edith.
- Emeterio wszystkim wszystko mówi - stwierdziła Kathy. - Dzięki temu dowiaduje się więcej. Im więcej sam mówi, tym więcej ludzie mówią jemu. Czekal pan na mnie?
- Właściwie tak - przyznał - ale czekałem za długo. Muszę biec.
- Biec! - powtórzyła Edith. - To nie jest bardzo filipińskie zajęcie. - Po jego odejściu stwierdziła: - Nie zdawał sobie sprawy, że jestem z tobą. Chciał widzieć się z tobą sam na sam.

Około czwartej po południu, kiedy Kathy czekała z Edith na autobus, dostrzegły Amerykanina przechadzającego się między kramami na rynku, w bermudach odsłaniających opalone nogi, z kędzierzawym brązowym kokosem w dłoni.

- Szukam kogoś, kto mi to rozłupie - powiedział.

Rynek, plac z ubitej ziemi wielkością odpowiadający kwartałowi w mieście, otaczały kryte słomą budki. Szli wzdłuż jego granic, szukając kogoś, kto rozprawi się z kokosem gościa. Nadjechał autobus, rozpętał się chaos, pasażerowie chwyтали swoje rzeczy, przywoływali dzieci, kołysali trzymanymi za łapy kurami.

- Kierowca na pewno ma bolo - powiedziała Edith. Ale Skip znalazł sprzedawcę z maczetą, a ten zręcznie odciął czubek kokosa, uniósł owoc jak w toaście i wręczył Amerykaninowi. Skip wyciągnął kokos w stronę kobiet:

- Komuś chce się pić?

Obie kobiety wybuchnęły śmiechem. Skip posmakował mleka.

- Na litość boską, wylej to, człowieku - powiedziała Edith. - Będziesz miał niestrawność.

Skip opróżnił kokos na ziemię, potem poczekał, aż sprzedawca podzieli owoc na ćwiartki.

Edith zamieniła kilka słów z kierowcą i wróciła do nich.

- Kazałam mu umyć reflektory. Nigdy ich nie myją. Kiedy robi się ciemno, jadą przez to błoto, jakby mieli przepaski na oczach. - Zaczęła się żegnać z Kathy, dziękować jej, przez długą chwilę podsumowywała swoją wizytę. Podała dłoń Skipowi, który niezręcznie ujął jej palce. - Bardzo dziękuję - powiedziała. - Sądzę, że dla Damulog będzie pan inspiracją. - W jej tonie było coś wyniosłego i nieprzyzwoitego.

Edith niosła potężną wielobarwną słomianą torbę z konopnym zapięciem. Machając nią, kroczyła płasko w sandałach bez obcasów, pod jedwabną spódnicą jej pośladki przewalały się jak zad carabao. Doskonale. Pojechała. Przez całe popołudnie Kathy czuła w karku i ramionach napięcie, gotowość do otrząśnięcia się z brzemienia, jakim było towarzystwo tej kobiety. Koniec każdego dnia kradł światło z jej serca, potem nadchodziło smutne szaleństwo nocy, bezsenność, płacz, rozmyślania, czytanie o Piekle.

Z drugiej strony Amerykanin rozkładający dla niej białą chusteczkę na spleśniałej ławce wydawał się bez sensu, głupi, kojący.

- *Voulez-vous parler français!*

- Słucham? Och nie, w Manitoba nie mówimy po francusku. Nie należy do tych Kanadyjczyków. Naprawdę jest pan lingwistą?

- Tylko hobbystycznie. Jestem przekonany, że prawdziwy lingwista mógłby przepracować tu całe życie. O ile się orientuję, nikt nie próbuje studiować dialektów Mindanao w żaden zorganizowany sposób.

Wziął ćwiartkę kokosu, ale już dobrały się do niej mrówki. Zdmuchnął je i granatowym skautowskim scyzorykiem odciął plaster.

- Pani praca jest trudna.

- O, tak - odparła Kathy. - Źle oceniłam naturę całej tej sprawy.

- Tak?

- Jej głębię i powagę.

Miała ochotę krzyknąć, by on też zrobił bilans swojego życia.

- Właściwie chodziło mi o to, że musi pani radzić sobie z wieloma ludźmi.

- Wejście między pogan wszystko zmienia. Wiele zmienia. Wszystko staje się o wiele jaśniejsze, o wiele bardziej pełne życia, staje się wyraziście jasne. Och, to jedna z tych spraw, które bardzo się komplikują, kiedy człowiek o nich mówi.

- Pewnie tak.

- W takim razie nie mówmy o niej. Zgodziłby się pan, żebym czasami zapisała parę zdań i przekazała panu? Na papierze?

- Jasne - odparł Skip.

- A pan? Jak się panu pracuje?

- To raczej wakacje.

- A co tutaj robi Del Monte? Nigdy bym nie pomyślała, że na równinach Maguindanao wyrośnie dużo ananasów. Zbyt często są powodzie.

- Jestem na urlopie. Zwiedzam.

- Więc przyjeżdża pan bez żadnego uzasadnienia. Taki zagubiony ambasador.

- No cóż, pewnie bym patrzył na to jako na rodzaj ambasadorskiej misji, gdyby świetni ludzie tacy jak pani o wiele lepiej nas nie reprezentowali.

- Nas, czyli kogo, panie Sands?

- Stany Zjednoczone, pani Jones.

- Jestem Kanadyjką. Reprezentuję Ewangelię.

- Tak samo robią Stany Zjednoczone.

- Czytał pan książkę *Brzydki Amerykanin**?

* *Ugly American* - książka W. J. Lederera i E. Burdicka z 1958 roku przedstawiająca Amerykanów w Azji w niepochlebnym świetle.

- Dlaczego miałbym czytać taką książkę? - zapytał.

Patrzyła na niego bez słowa.

- Ach, okay, czytałem ją - powiedział. - Uważam, że to stek bzdur. Samobiczowanie staje się modne. Ja tego nie kupuję.

- A *Spokojny Amerykanin*?

- *Spokojnego Amerykanina* też czytałem.

Kathy zauważyła, że tej książki nie uznał za bzdury.

- My, ludzie Zachodu, cieszymy się wieloma błogosławieństwami. Nasza wolna wola jest większa. Jesteśmy wolni od określonych... - pogрузyła się w myślach.

- Mamy prawa. Wolność. Demokrację.

- Nie o to mi chodzi. Nie wiem, jak to ująć. Jest kilka pytań dotyczących wolnej woli. - Pragnęła zapytać go, czy przypadkiem nie czytał Jana Kalwina... Nie. Nawet to pytanie było otchłanią.

- Dobrze się pani czuje?

- Panie Sands, zna pan Chrystusa?

- Jestem katolikiem.
- Tak. Ale czy zna pan Chrystusa?
- Cóż, nie w sposób, o jaki, jak się domyślam, pani chodzi.
- Ja też nie.

Nic na to nie odpowiedział.

- Myślałam, że znam Chrystusa - dodała Kathy - ale całkowicie się myliłam.

Zauważyła, że Skip siedzi nieruchomo, kiedy nie ma nic do powiedzenia.

- Wie pan, nie wszyscy tutaj jesteśmy zwariowani - powiedziała. Kolejne zdanie, na które nie miał odpowiedzi. - Przykro mi.

Odchrząknął ostrożnie.

- Mogłaby pani wrócić do domu, prawda?
 - Och, nie. Nie mogłabym. - Wyczuwała, że Skip boi się zapytać o powody. - Bo wtedy nigdy niczego bym nie uporządkowała.

Ten Amerykanin tworzył ciszę, której trudno było się oprzeć. Kathy musiała ją zapełnić:

- Wie pan, to nie jest niezwykle, nie jest upiorne, nie jest niespotykane, żeby żyć dalej w środku tragedii. Niech pan popatrzy, gdzie jesteśmy! Słońce wciąż wschodzi i zachodzi. Każdy dzień kopnięciami robi więcej miejsca w naszym sercu... jak by to ująć... miłość się nie poddaje, nieustępliwie prze naprzód, prze i kopie jak dziecko w brzuchu. Więc dobrze! To tyle o mnie! - O mało nie krzyknęła: Ależ jestem głupia!

Zachodzące słońce wynurzyło się spod chmur i uderzyło w nich w taki sposób, że nagle całe miasteczko zdawało się pulsować szkarłatnym światłem.

Amerykanin tego nie skomentował.

- A co będzie, kiedy to wszystko się... skończy?
 - Gratulacje, znalazł pan odpowiednie słowo.
 - Przepraszam.
 - Jeśli Timothy nie żyje, o to panu chodzi?
 - Jeśli... cóż, tak. Przepraszam.
 - Nie wiemy, co się z nim stało. Wsiadł do autobusu do Malaybalay i wciąż czekamy na jego powrót. Nie czuł się dobrze, przyrzekł, że pójdzie do lekarza w tamtejszym sanatorium, zanim uda się na inne spotkania. O ile wiemy, nikt w sanatorium go nie widział. Nie jesteśmy nawet pewni, czy dojechał do Malaybalay. Byliśmy w każdym miasteczku pomiędzy Damulog a Malaybalay i nic, żadnych wiadomości.

- Domyślałam się, że to już trochę trwa.
- Siedemnaście tygodni - powiedziała Kathy. - Zrobiliśmy wszystko.
- Wszystko?
- Skontaktowaliśmy się ze wszystkimi, z władzami, ambasadą i oczywiście naszymi rodzinami. Wykonaliśmy tysiące telefonów, każdy tysiąc razy wariował. Jego ojciec w lipcu przyjechał, wyznaczył nagrodę.

- Nagrodę. Jest bogaty?
- Wręcz przeciwnie.
- Och.
- Ale nastąpił pewien postęp. Znalezione czyjeś szczątki.

Jak przysłało na człowieka wychowanego na środkowym zachodzie, Amerykanin przyjął tę informację, mrużąc „Ach” i „Uch”.

- Więc teraz czekamy na wiadomość o rzeczach znalezionych przy zwłokach.

- Mówił mi o tym burmistrz Luis.
- A jeśli to Timothy? Zostanę tu przez jakiś czas, a potem znajdę nową posesję, co zresztą i tak planowaliśmy. A jeśli Timothy zaskoczy nas swoim powrotem, czego wykluczyć się nie da, nie zna pan Timothy'ego, więc jeśli wróci, przypuszczalnie zrealizujemy nasze plany. Timothy gotów jest na zmiany. Pragnął zmiany, nowego wyzwania. Co oznacza stare problemy w zupełnie nowej lokalizacji. Jestem pielęgniarką, przyjmą mnie wszędzie. W Tajlandii, Laosie, Wietnamie.

- Północnym czy południowym?
- Mamy ludzi w północnym - powiedziała Kathy.
- My, Adwentyści Dnia Siódmego?
- ICRE, International Childrens' Relief Effort, Międzynarodowej Organizacji Pomocy Dzieciom.

- Jasne, ICRE. - Nieoczekiwanie wybuchnął z pasją: - Niech pani posłucha, ci ludzie tutaj nigdy nie będą mieli się o wiele lepiej niż teraz. Ale ich dzieci mogą. Wolna przedsiębiorczość oznacza innowacje, wykształcenie, prosperity, wszystkie te oklepane frazesy. Wolna przedsiębiorczość będzie się rozprzestrzeniać, bo taka jest jej natura. Ich praprawnukom będzie powodzić się lepiej niż nam obecnie w Stanach.

- No cóż - powiedziała skonsternowana - to miłe pomysły, pełne nadziei słowa. Ale „ci ludzie” nie najedzą się słowami. Muszą choć trochę napchać brzuchy ryżem, i to dzisiaj wieczorem.

- Pod rządami komunistów ich dzieci może i porządnie się dzisiaj wieczorem najedzą, natomiast prawnuki umrą z głodu w świecie, który jest jednym wielkim więzieniem.

- A jak w ogóle zeszliśmy na ten temat?

- Wie pani, że ICRE uważane jest za organizację komunistyczną?

- Nie. Naprawdę? - Rzeczywiście nie słyszała o tym i niewiele ją to obchodziło.

- Amerykańska ambasada w Sajgonie uważa ich za Trzecią Siłę.

- Cóż, panie Sands, nie jestem piątą kolumną ani trzecią siłą. Nawet nie wiem, czym jest trzecia siła.

- Nie jest ani komunistyczna, ani antykomunistyczna, choć sprzyja tym pierwszym.

- Czy wy z Del Monte spędzacie dużo czasu w ambasadzie amerykańskiej w Sajgonie?

- Dostajemy zewsząd biuletyny.

- ICRE to małe przedsięwzięcie. Działamy dzięki dotacjom z kilkunastu organizacji charytatywnych. Mamy biuro w Minneapolis i mniej więcej czterdzieści pielęgniarek w sama nie wiem ilu krajach. Piętnastu albo szesnastu, tak sądzę. Panie Sands, wygląda pan na zdenerwowanego.

- Tak? Pani też musiała być porządnie zdenerwowana tamtego wieczoru.

- Kiedy?

- W Malaybalay.

- W Malaybalay?

- Och, niech pani da spokój, w tej włoskiej knajpie. Kiedy burmistrz wspomniał o Kathy Jones, adwentystce Dnia Siódmego, nie myślałem, że to pani, choć nazwisko było to samo.

- A dlaczego?

- Tamtego wieczoru nie wyglądała pani na adwentystkę Dnia Siódmego-

Amerikanin w swoich barwnych bermudach zdawał się czekać na jakieś słowo od niej, choć wyraźnie nie było na co.

- Burmistrz i jego rodzina byli dla mnie bardzo dobrzy.

- Chodziło mi... niech pani da spokój.

- Nie zawsze mówimy wszystko o sobie, prawda? Burmistrz na przykład myśli, że pan wcale nie jest tym, za kogo się pan podaje. Mówi, że jest tu w pan w tajnej misji.

- To znaczy, że nie jestem z Del Monte? Że jestem szpiegiem z Dole Pineapple?

- Pana wuj powiedział, że jest z Agencji do spraw Rozwoju Międzynarodowego.

- Miała pani okazję z nim porozmawiać?
- To barwny stary drań.
- Czyli miała pani. Z kim był?
- Z nikim.
- Ale burmistrz wspomniał o innych. Chyba o Niemcu.
- Ci inni byli tu później.
- Było ich dwóch? Pamięta pani?
- Wyjechałam w piątek, więc byli tu w czwartek.
- W zeszły czwartek, mówi pani. Cztery dni temu.
- Jeden, dwa, trzy, cztery, tak, cztery dni. To źle?
- Nie, nie, tylko żałuję, że się z nimi rozminąłem. Był z nimi Niemiec?
- Niech się zastanowię. Filipińczyk, wojskowy.
- Aha, major Aguinaldo.
- Właściwie go nie widziałam.
- To nasz przyjaciel. Ale nie jestem pewien tego Niemca. Jest Niemcem? Nie jestem pewien, czy go znam. Burmistrz mówił, że miał brodę.
- Burmistrz mówił, że to Szwajcar.
- Z brodą?
- Nie widziałam go.
- Ale widziała pani pułkownika.
- Nie widujemy tu wielu mężczyzn z brodą. To musi kłuć. Założę się, że tak samo jak pański wąs.

Patrzył na nią w milczeniu, jakby wyzywająco oczekiwał na jej badawcze spojrzenie: brak kapelusza, pot kapiący z przemoczonych włosów, a także z opadającego wąsa... Teraz pozwolił sobie rozejrzeć się dokoła, zauważyć otaczającą ich cynobrową poświatę, która zaczynała blaknąć.

- Ojej - powiedział.
- Moja babcia nazywała to zmierzchaniem.
- Czasami taki widok trafia w człowieka jak obuchem.
- Za pięć minut zaroi się od komarów, które zeżrą nas żywcem.
- Zmierzchanie. Brzmi gaelicko.
- No tak. Było niemal płynne.

- Człowiek utwierdza się w pewności, że jest Niebo.
- Nie jestem pewna, czy Niebo istotnie jest rzeczą godną wielkiego pożądanego - odparła Kathy.

Założyła, że te słowa nim wstrząsną, ale on powiedział:

- Chyba wiem, co pani ma na myśli.
- Podróżuje pan z Pismem?
- Pismem?... Och.
- Czy ma pan ze sobą Biblię, to znaczy w hotelu?
- Nie.
- Możemy panu dostarczyć Biblię.
- No... dobrze.
- Dla katolików Pismo nie znaczy tak wiele, jak dla reszty z nas.
- Nie wiem. Nie wiem, co reszta was robi.
- Panie Sands, czym pana uraziłam?
- Bardzo przepraszam - odparł. - Nie o to chodzi. Po prostu nie jestem zbyt uprzejmy i powinienem się wstydzić.

Poruszyły ją te przeprosiny. Szukała w myślach sposobu na ich przyjęcie.

- Kto jest z burmistrzem Luisem? - zapytał Sands. - Facet ma włóczęgę.

Kathy zobaczyła burmistrza idącego z dwoma mężczyznami ścieżką z udeptanego błota, pełną płytkich kałuż. Biała sportowa koszula niczym hawajska koszula muumuu okrywała jego wielki brzuch. Jeden z jego towarzyszy ostrym czubkiem długiej włócznie celował w chmury, drugi palił papierosa. Nie musieli nic mówić, już wiedziała.

- O mój Boże! - wykrzyknęła. - Burmistrzu Luis! Burmistrzu!

Wstała i Skip Sands zrobił to samo. W lewej dłoni trzymała białą chusteczkę, na której wcześniej siedziała. Mężczyźni odwrócili się i ruszyli ku nim.

- Ona jest tu, ona jest tu - powiedział burmistrz. Zdawało się, że przynoszą ze sobą zmrok. Czubek papierosa żarzył się w ciemności. - Kathy, to bardzo smutne.

Nie potrafiła sobie teraz przypomnieć, czy naprawdę żywiła choć cień nadziei.

Można było odnieść wrażenie, że burmistrz mówi do Skipa:

- Bardzo mi smutno, że to ja. Na nieszczęście jednak wciąż jestem burmistrzem.

Podał jej pierścionek i żeby go wziąć w palce, upuściła białą chusteczkę Amerykanina.

- Kathy, wszystkim nam dzisiaj jest bardzo smutno.
- Nie widzę grawerunku.
- Jest wygrawerowany. Z wielkim smutkiem przynoszę ci ten dowód.
- Więc jest po wszystkim.
- Tak - powiedział Luis.

Trzymała obrączkę Timothy'ego w dłoni.

- A teraz co? Co mam z tym zrobić? - Włożyła pierścionek na palec wskazujący prawej dłoni.

- Zostawię was i pożegnam się - powiedział Skip.
- Nie, proszę nie odchodzić. - Kathy ujęła go za rękę.
- To prawdziwa tragedia - dodał.
- Chodźmy, Kathy - powiedział burmistrz. - Skip później złoży kondolencje.

Młodszy towarzysz burmistrza wyrzucił niedopałek do kałuży.

- Odbyliśmy dla pani długą podróż.

Trzeba im zapłacić. Kto to robi?

- Czy ja mam dać wam pięćdziesiąt peso? - Nikt nie odpowiedział. - I czy macie... czy przynieśliście coś więcej? - Odwróciła się do starca z włócznią, ale jego twarz była pusta, nie znał angielskiego.

- Tak. U mnie w domu są szczątki Timmy'ego - powiedział burmistrz. - Jest z nimi moja żona, czuwa przy nich, dopóki ciebie nie przyprowadzę.

Tak, Kathy, nasz Timmy odszedł. Teraz czas na żałobę.

Sands minął dom pani Jones trzy albo cztery razy, zanim w środku zapaliło się światło. Wtedy było już po jedenastej wieczorem, ale ludzie tutaj mieli długie sjesty i wieczorem siedzieli do późna.

Wszedł po schodkach na ganek, pod neonową lampę oznaczoną maleńkimi owadami. Przez okno widział ją stojącą na środku salonu i sprawiającą wrażenie zagubionej. W jednej dłoni trzymała butelkę za szyjkę.

Ona też go zobaczyła.

- Masz ochotę na cygaro?
- Co?
- Masz ochotę na cygaro?

Nie potrafił odpowiedzieć na to absolutnie proste pytanie.

- Dzisiaj wieczorem trochę sobie łyknęłam.

Musiał się cofnąć, kiedy pehnięciem otworzyła drzwi i usiadła na balustradzie ganku. Chwiała się i Skip spodziewał się, że spadnie w ciemność.

- Chciałabym, żebyś tego skosztował.

- Co to jest?

- Brandy.

- Nie lubię mocnych alkoholi.

- To brandy ryżowe.

- Ryżowe?

- To brandy ryżowe. To... brandy ryżowe.

- Czujesz się... - Skip urwał. Co za idiotyczny początek. Jej mąż nie żyje.

- Nie.

- Nie?

- Nie.

- Jesteś...

- Nie czuję.

- Pani Jones - powiedział.

- Nie idź. Przedtem też prosiłam, żebyś został, ale odszedłeś. Posłuchaj, nie przejmuj się, od początku wiedziałam, że mu się nie uda. Dlatego w tamtej restauracji złapałam cię za rękę. Wiedziałam, że sprawa jest beznadziejna. Jest beznadziejna, więc czemu po prostu nie pójdziemy do łóżka.

- Jezu.

- Nie mówiłam, że w tej chwili. Tak, w tej chwili. Zamknij się, Kathy, jesteś pijana.

- Lepiej coś zjedz.

- Mam trochę wieprzowiny, o ile się nie zepsuła.

- Nie wydaje ci się, że powinnaś coś zjeść?

- I bułki.

- Bułki pewnie... - Zamilkł. Chciał powiedzieć, że pewnie wchłoną trochę brandy, ale było gorąco, palił go spieczony słońcem kark i jaki sens w omawianiu właściwości absorpcyjnych różnych rodzajów potraw?

- O co chodzi, młody człowieku?

- Mieszkam bez klimatyzacji.

Przyjrzała mu się uważniej. Sprawiała wrażenie bardziej szalonej niż pijanej.

- Przykro mi z powodu twojego męża - powiedziała.

- Co?

Bluzkę miała rozpiętą niemal do pępka. Jej stanik zdobiły zaskakujące drobne kwiatki. Pot spływał po brzuchu. Skip miał bolesną i swędzącą wysypkę od pach do sutków. Marzył o lodowym okładzie na skórze. Marzył o śniegu.

- Jeśli wejdiesz i napijesz się brandy, coś zjem - powiedziała pani Jones. - W środku jest klimatyzacja.

Klimatyzacja była w sypialni. Poszli do łóżka i odbyli stosunek. Przez cały czas czuł się niezręcznie. Nie, brzydko. Kiedy skończyli, natychmiast odsunął jej dłonie, ubrał się i wrócił do hotelu z wyrzutami zapełniającymi jego umysł czernią, zatykającymi głowę jak brudny smar. Świeża wdowa, i to w dzień, gdy otrzymała wiadomość... Ona natomiast nie okazała wstydu i wcale nie była aż taka pijana. Wydawała się tylko zła na męża, że umarł.

Nazajutrz wieczorem przeszedł koło jej domu, ale w środku było ciemno. Kiedy zapukał, nie zareagowała. Gdyby zaczął walić mocniej, obudziłby sąsiadów. Zrezygnował.

Sucha pora jeszcze się nie zaczęła, choć nie padało. Natychmiast po zachodzie słońca pokrywa chmur wpychała zar do Damulog, miażdżyła kwiaty i siłą wkradała się do głów mieszkańców. Całe miasteczko wolno popijało rum. Romy, młody geodeta, wdał się w awanturę z jakimiś muzułmanami w Sunshine Eatery, którzy pobili go na rynku, ale nikt nawet nie wstał od stolika, żeby popatrzeć.

W sobotę wieczór jarzeniówkę w Eatery szczelnie pokryły prążkowane osy i małe ważki. Energicznie kopulując, spadały do talerzy. Pojawiały się kolejne roje, pełzały po lampie i znikwały. Burmistrz Luis złapał Sandsa w kawiarni. Był już po sabacie i szukał towarzystwa.

- Uratuję cię przed takimi samymi wieczorami - rzekł Luis i zabrał go na kolację do swojego domu z drewna i cegieł, z dziwaczną podłogą z linoleum. Zjedli pikantną wieprzowinę adobo i pili painit, miejscową kawę. A także Old Castle Liquor- nie brandy, nie burbon, tylko po prostu alkohol. Bez Romy'ego, który nie opuszczał hotelu, ukrywając swoje siniaki przed ludźmi, Skip mógł liczyć tylko na rozrywkę w towarzystwie burmistrza. A co z Kathy Jones?

- We wtorek rano pojechała do Manili - wyjaśnił burmistrz. - Będzie towarzyszyć szczątkom męża na lotnisko.

Ta wiadomość powaliła go jak cios.

- Wyjechała na dobre?
- Spotka się z teściem, który zabierze szczątki do Stanów Zjednoczonych.
- Ona z nim nie jedzie?
- Zamierza tylko odprowadzić kości męża do samolotu, potem wraca do Damulog. Nie poleci do Stanów ze względu na swoje powołanie.

Następnego dnia Skip z majorem Luisem i pękiem czterocalowych żelaznych rur pojechał w wielobarwnej ciężarówce isuzu z kierownicą po prawej stronie na miejsce budowy przyszłej elektrowni wodnej, gdzie na rozległym polu stała wielka betonowa stacja filtrów. Jasne było, że układanie rur dopiero się rozpoczęło. Burmistrz Luis widział pewnego dnia w tym miejscu także stadion. Maszerował po granicach pensjonatów, boisk i basenu w samym środku pustej równiny porośniętej słoniową trawą, gestykułując drobnymi dłońmi.

W trzecią z kolei noc deszcz także nie padał. Wypędzeni z dusznych domów, ludzie leżeli na boisku do koszykówki, jedynej betonowej powierzchni w Damulog, wpatrując się w zamknięte czarne niebo, prawie nie rozmawiając, czekając na świt.

Co wieczór Sands włączył się po mieście i kilka razy mijał dom pani Jones, ale światło zobaczył dopiero czwartego dnia.

Odpowiedziała na jego pukanie, choć nie zaprosiła go do środka. Wyglądała strasznie.

- Wróciłaś.
- Idź sobie.
- Jutro wyjeżdżam z miasta.
- To dobrze. Nie wracaj.
- Niewykluczone, że uda mi się wrócić, może za kilka tygodni.
- Nie jestem w stanie cię powstrzymać.
- Mogę wejść i porozmawiać?
- Zapomnij.

Odwrócił się na pięcie.

- Dobrze, dobrze! - zawołała. - Chodź.

W poniedziałek przed południem na rynku pojawił się jeepney i czekał z podniesioną budą. Kilku mężczyzn pochylało się nad silnikiem, nogi kolejnego wystawały spod podwozia, a kierowca siedział w środku, naciskał hamulce i krzyczał.

Pierwszy wsiadł Sands. Korzystał z tych przerobionych na minibusy dzi-pów podczas krótkich przejazdów po Manili, ale nigdy nie wyprawiał się żadnym w góry tak jak dzisiaj. Przeznaczone były dla kilkunastu osób, w rzeczywistości jednak wchodziło tyle, ile się dało bez złamania osi, i pokonywały każdy teren. Zawsze malowano je w jaskrawe kolory oraz ozdabiano proporczykami, chromowanymi trofeami i Bóg wie jakimi jeszcze innymi cudami w guście nastoletnich pogromców szos, zawsze też na przedniej szybie widniała namalowana farbą nazwa, tytuł i powód do chwały: *Komando*, *Mistrz Świata* i tak dalej. Ten nazywał się *Wciąż Żywy*.

Naprawa trwała, Sands siedział w pojeździe, wpatrując się w podłogę poznaczoną ryżowymi ziarnkami; razem z nim byli inni pasażerowie oraz ludzie szukający po prostu cienistego miejsca. Kiedy po dwóch godzinach awarię usunięto i wsiadło ponad dwadzieścia objuczonych torbami i workami osób, Sands uznał, że nadeszła pora odjazdu. Ale liczba pasażerów wciąż rosła. Doliczył się co najmniej trzydziestu dwóch, włączając w to dwanaście par nóg zwisających z dachu oraz dwoje niemowląt, z których jedno spało, drugie marudziło. Słyszał też kurczęta. Pasażerowie stłoczyli się tak bardzo, że widzieli spowodowane upałem maleńkie czerwone plamki w gałkach ocznych sąsiadów, a gdyby chcieli, mogliby wyciągnąć język i posmakować potu na ich policzkach... Kiedy pojazd ruszył, pokonując przestrzeń za sprawą nadprzyrodzonej mocy, wytaczając się z miasta jak tłusta, spocona góra lodowa - na co przydadzą się hamulce w obliczu takiej nieustępliwości? - ostateczny rachunek wynosił czterdzieści jeden: dwudziestu jeden pasażerów siedziało z nim z tyłu, trzech z przodu, dwunastu na dachu. Oraz kierowca. Paru wsiadło w ostatniej chwili, inni gonili, by wdrapać się na dach, wreszcie jeepney nabral dostatecznej prędkości i zostawił maruderów, którzy ze śmiechem machali na pożegnanie. Sands miał naprzeciwko starca podobnego do małpy, kobietę jak jaszczurka i dziewczynkę ze stopami stuletniej wiedźmy. Za miastem skręcili w las, pod niskie korony bananowców, które tłumyły i filtrowały żar słońca, mijali małe, senne wioski złożone z dębowych chat, a w pewnym momencie przejechali przez ognisko palące się na samym środku wyboistej drogi. Kołysząc się i jęcząc, jeepney zaczął wspinać się po krętej górskiej drodze. Później złapali gumę. Prawie wszyscy wyskoczyli na dwór i Sands miał okazję zrobić fotografię. Czterdzieści siedem osób zgromadziło się wokół pojazdu, popiskując z podniecenia, gdy Sands nacisnął przesłonę.

O trzeciej po południu wysiadł w Carmen: główna droga z asfaltową nawierzchnią, kilka piętrowych tynkowanych budynków, najwspanialsza

cywilizacja od czasu, gdy tydzień temu opuścił Malaybalay. Znalazł pokój na noc, położył się na chwilę i obudził dopiero dobrze po drugiej w nocy. Miasto było pogrążone we śnie, całe miasto z wyjątkiem psów i grzeszników... W tej samotnej godzinie Sands pokutował za pożądanie Kathy Jones. W myślach leżał u stóp Krzyża i błagał Jezusa, by wylał na niego swą oczyszczającą krew. Pani Jones była solidna, stworzona do wieku średniego, choć jeszcze parę lat jej brakowało. Miała okrągłą twarz, pulchne policzki, gęstwinę kręconych włosów przypominających owcze runo, bardzo łagodne i dobre brązowe oczy, a także bardzo łagodne, choć silne dłonie. Mówiąc, dotykała czubkiem języka małych, bardzo równych przednich zębów. Była intrygująca, przyjemna, atrakcyjna, choć jej widok nie zwał z nóg. Jego dusza czółgała się tam i z powrotem pomiędzy Jezusem a panią Jones, aż wreszcie usłyszał pianie kogutów.

Skip miał mapy. Codziennie przesiadywał nad nimi, łakomie, radośnie, uwolniony od ciała, swobodny jak jastrząb. Pułkownik powiedział mu, gdzie znajdzie tego księdza Carignana; na jego mapie Mindanao nie było śladu po miejscowości Nasaday czy rzece o nazwie Rio Grande. Na mapie prowincji Cotabato Północne zaznaczono jednak kościoły diecezji, dlatego z samego rana poszedł do Domu Formacyjnego, dość wakacyjnej w charakterze kwatery głównej na obrzeżach Carmen. Powiedziano mu, że ojciec Haddag odpoczywa. Ksiądz pojawił się po dwudziestu minutach, stary żylasty Filipińczyk o oddechu pachnącym mszalnym winem. Razem spojrzeli na mapę. Ksiądz zrobił znaczek ołówkiem.

- Wydaje mi się, że kościół jest tu albo tu - powiedział. - To sensowne przypuszczenie.

W fantastycznym odruchu wielkoduszności pożyczył Skipowi motocykl honda 50cc. Skipowi przebycie dwudziestu mil zajęło niewiele ponad dwie godziny, może nawet było to trzydzieści mil, jeśli wziąć pod uwagę, że nieustannie manewrował, omijając wyboje. Kościół czekał na zrobionym ołówkiem znaczku, przekrzywiony betonowy blok z oliwkowym płótnem przykrywającym dach albo pełniącym funkcję dachu. Skip przejechał przez kilka osad w drodze z Carmen, ale ta budowla stała w niezręcznej samotności niecały kilometr od najbliższej wioski, nad brzegiem rzeki najwyraźniej wyrywającej spod niej ziemię.

Ksiądz Carignan, z pochodzenia francuskojęzyczny Kanadyjczyk, białowłosy, chudy, nieśmiały, z zamglonymi oczami, mieszkał tu od tak dawna -

od trzydziestu trzech lat, mówiąc ściśle, w czasie których był świadkiem japońskiej okupacji, muzułmańskich powstań, sławnych tajfunów i katastrofalnych w skutkach zmian biegu rzeki, posługiwał się językiem cebuano i odprawiał nabożeństwa dla spalonych słońcem tubylczych katolików - że całkiem gubił się w angielszczyźnie. Zapytał Skipa, kim byli jego potomkowie, mając na myśli przodków.

Jak przystało na gospodarza, kazał podać herbatę i posadził przy stojącym w cieniu stole. Sam usiadł naprzeciwko, bose stopy chowając pod krzesłem i rozstawiając kolana. Miał na sobie spłowiałe džinsy i T-shirt, który zbrązowił od rzecznej wody. Oddychał przez usta, palił papierosy union, których nazwę wymawiał „onion”. Kiedy nie palił, trzymał dłonie na udach i kołysał się lekko na krześle, wodząc wzrokiem na boki i w dół jak pensjonariusz domu wariatów. Dołożył wysiłków, by zaangażować się w rozmowę; słuchał gościa z wyrazem (Sands był pewien, że niezamierzonym) maskowanego szoku lub przyjacielskiego niedowierzania, jakby Sands przyjechał tu bez spodni. W żadnym razie nie sprawiał wrażenia człowieka zdolnego do handlu bronią.

- Czy ktoś mówi do pana Sandy?
- Czy mówi! Ale przyjaciele nazywają mnie Skip.
- Skip - powtórzył ksiądz, przeciągając samogłoskę, jak robili to Filiścińcy.
- Rozumiem, że pomógł pan odnaleźć zaginionego misjonarza. To znaczy sprowadzić jego szczątki.
- Tak. Tak było, prawda?
- Znad rzeki Pulangi?
- Tak. W drodze powrotnej przy wejściu na wzgórze zemdląłem.
- Ale czy rzeka Pulangi nie płynie tutaj? Tak wynika z mojej mapy.
- To oddział, jak to nazywamy, nie pamiętam - gałąź, rozumie pan. Ta część to Rio Grande.

- Odnoga.
- Żeby dotrzeć do odnogi Pulangi, musieliśmy iść wiele mil. Wiele mil. W nocy mi się śni, że wciąż idę! Czy herbata jest dobra?

- Bardzo dobra, dziękuję.
- Woda jest w porządku. Mamy dość do picia, ale nie do kąpieli. Zbiornik przecieka. - Mówił o bardzo popękanej betonowej cysternie, która stała kilka metrów dalej.
- Czy w parafii jest dużo katolików?

- O, tak. Tak. Ochrzcilem setki, setkom udzieliłem pierwszej komunii. Nie wiem, co potem robią. Nie widzę ich.

- Nie przychodzą na mszę?

- Przychodzą tutaj, kiedy mają kłopoty. Dla nich nie jestem księdzem Boga.

Wolą o pomoc prosić czarownice. Jestem bardziej kimś w tym rodzaju.

- Ach.

- Przyjdą jutro. Kilku. Bo jutro jest dzień Świętej Dionizji. Wierzą, że ma moc.

- Aha.

- A pan.

- Ja?

- Jest pan katolikiem?

- Moja mama nie była katoliczką, za to ojciec był.

- Cóż, ojcowie zwykle nie są bardzo religijni.

- Mój ojciec zginął na wojnie. Często odwiedzałem jego irlandzkich krewnych w Bostonie. Byli zaciekłymi katolikami.

- Ale był pan konfirmowany?

- Tak, w Bostonie.

- Powiedział pan, w Bostonie. Wychowałem się w Bridgewater. Blisko.

- Tak. - Większą część tej rozmowy prowadzili po raz drugi.

- Kiedy wyjechałem z domu - mówił ksiądz - ojciec i matka przeprowadzili się do Bostonu. W 1948 roku rozmawiałem z matką przez telefon. Dzwoniłem z nowego ważnego hotelu w Davao. Nowego w tamtym czasie. Może wciąż jest ważny, co? Powiedziała, że modli się za mnie zawsze. Jej głos sprawił, że wydawała się jeszcze bardziej odległa niż zawsze. Kiedy wróciłem do tej parafii, to było tak, jakbym znowu zaczynał od początku. Czułem się znowu daleko od domu.

Czworo drobnych, ubranych tylko w bieliznę dzieci stało przy budynku i gapiło się na nich. Kiedy Sands się uśmiechnął, z krzykiem uciekły.

- Poznałem drugiego - powiedział ksiądz. - On też nas odwiedził.

- Nie bardzo wiem, kogo ma ksiądz na myśli.

- Pułkownika, pułkownika Sandsa.

- Och, oczywiście, pułkownika.

- Ale on nie miał munduru. Myślę, że w mundurze jest za gorąco. Więc nie wiem, z jakiego rodzaju wojska był.

- Jest na emeryturze.

- On też jest Sands.
- Tak. To mój stryj.
- Pański stryj, rozumiem. Pan też jest pułkownik?
- Nie, nie jestem wojskowym.
- Rozumiem. Jest pan tu z Korpusem Pokoju?
- Nie. Pracuję dla Del Monte. Chyba o tym wspomniałem.
- Niektórzy ludzie są bardzo podekscytowani Korpusem Pokoju. Każdy chce wizytatora, jeśli to możliwe.

- Przykro mi, ale niewiele o tym wiem.

- I ci dwaj wczoraj. Filipiński żołnierz i ten drugi.

- Wczoraj?

Carignan ściągnął brwi.

- To nie było wczoraj?

- Pozwoli ksiądz, że uporządkujemy wypadki - powiedział Sands. - Kiedy przyjechał pułkownik?

- Och, kilka tygodni temu. Koło świętego Antoniego.

- A tamci dwaj byli tu wczoraj?

- Nie widziałem ich. Mówiła mi Pilar. Byłem w dole rzeki z ostatnim namaszczeniem dla bardzo starej kobiety. Pilar mówiła, że był Filipińczyk i biały. Nie Joe. Obcokrajowiec. Mieli łódź motorową.

- Rozumiem, łódź motorową - powiedział Sands, czując, jak grunt usuwa mu się spod nóg.

- Boston; powiada pan.

- Tak, Boston - odparł Skip.

- Mówił pan, Del Monte?

- Tak, mówiłem. Ale ci dwaj goście - jakie to dziwne, co?

- Wydaje mi się, że wciąż są na rzece. Zapytam Pilar. Ona zna wszystkie wiadomości, ludzie jej mówią.

- Pilar to gospodyni? Kobieta, która podała nam herbatę?

- Jest dobra? Nie mamy mleka - przypomniał ksiądz, jak zrobił to na samym początku.

- Jezu - powiedział Skip.

Ksiądz zdawał się wyczuwać dezorientację Skipa. Okazał troskę.

- Wszyscy mamy do przejścia duchową próbę. Kiedy byłem małym chłopcem, bardzo nienawidziłem Żydów, ponieważ mówiłem, że to oni krzyżowali. Bardzo też pogardzałem Judaszem z powodu jego zdrady.

- Rozumiem - powiedział Sands i nic nie rozumiał.

Carignan wydawał się prowadzić wewnętrzne zmagania. Słowa więzły mu w gardle. Położył palce na ustach.

- Cóż, każdy człowiek wiele musi doświadczyć samotnie - rzekł. Cokolwiek chciał wyrazić, jego oczy świadczyły o prawdzie tych słów.

- Mogę zrobić księdzu zdjęcie?

Carignan, nagle obojętny i pełen złych przeczuć, przycisnął dłonie do piersi. Skip wyregulował ostrość i nacisnął przesłonę, w tym samym momencie Carignan się odprężył.

- Jest pan kimś w rodzaju pielgrzyma, co? Tak. Ja też. Wybrałem się na długi marsz nad rzekę Pulangi.

- Możemy się za siebie modlić - powiedział Skip.

- Ja się nie modlę.

- Nie?

- Nie, nie, nie. Nie modlę się.

Joe lubił herbatę. Upierał się, że sam ją sobie zaparzy. Dużo rozmawiał z Pilar o innych gościach.

Tajemnicą było, dlaczego ci ludzie ciągle tu przychodzą.

Joe najwyraźniej lubił swój motocykl, podskakując na wybojach wjechał na podwórko z paskiem przeciągniętym przez uchwyt płóciennego worka, który kołysał mu się u boku.

Pod nieobecność Joego dzieci zmaterializowały się przy maszynie, z otwartymi ustami dotykały jej opuszkami palców.

- Oto nadchodzi! - zawołał po angielsku Carignan i dzieci się rozpierzchły.

Dlaczego angielszczyzna w ostatnich kilku tygodniach do niego powraca? Bo myślał o amerykańskim misjonarzu? O kościach w skrzynce, które nic nie mówiły w żadnym języku? Może powodem jest to, że otworzył dziurę w swoim umyśle, kiedy po raz pierwszy rozmawiał z amerykańskim gościem, pułkownikiem, pierwszym od wielu lat Amerykaninem. Od dziesięcioleci.

Ten pułkownik był tu dwa razy. Przybywał sam i zachowywał się z szacunkiem. Był dobry, miejscowi reagowali na niego entuzjastycznie. Ale dobry czy zły, silny człowiek wywołuje kłopoty.

Świadom, jak to musi wyglądać w oczach gościa, Carignan spojrział na błotnistą czerwoną ścieżkę prowadzącą nad rzekę, na popękaną cysternę, na

brezentowy dach, na pleśń pełzającą po ścianach. Joe przypuszczalnie korzystał z betonowej izby, „łazienki” na dole - mrocznej, brudnej, oddzielonej tylko niskim murkiem od kuchni, w której Pilar gotowała teraz ryż i śpiewała piosenkę. Gdyby chciała, mogłaby spojrzeć w twarz Amerykanina kucającego nad dziurą. Joe będzie chciał papier toaletowy. W łazience była rolka, ale pogoda namoczyła ją i wysuszyła, i nie nadawała się do użytku.

Pilar przestała śpiewać i wyszła na dwór z następną tacą. Pokrojone mango i ananas.

- Pilar, mówiłem ci: jeśli Amerykanin znowu przyjdzie, powiedz, że mnie nie ma.

- To nie jest ten sam.

- Nie podoba mi się, że jest tu tak dużo Amerykanów.

- Jest katolikiem.

- Pułkownik też nim był.

- Nie lubisz katolika? Ty jesteś katolikiem. Ja jestem katolikiem.

- Znowu zachowujesz się głupio.

- Nie. To ty jesteś głupi.

Miała do niego pretensje, że jej nie wykorzystał. Rozumiał to. Komu by przeszkadzało, gdyby to zrobił? Rzecz w tym, że bardzo się wstydził każdego dotyku.

- Ten starzec idzie drogą, żeby się z tobą zobaczyć - powiedziała Pilar. - Widziałam go z kuchni. Nie dawaj mu jedzenia. On zawsze wraca.

- Gdzie jest Amerykanin?

- W łazience - odpowiedziała po angielsku.

Starzec poczekał, aż Pilar zniknie w domu, dopiero wtedy wyłonił się zza kościoła, z szacunku idąc bokiem. Ubrany był tylko w szorty khaki z nogawkami podwiniętymi do krocza i związanymi w pasie sznurkiem. Kiedy Carignan dał mu znak, podszedł i usiadł. Jak wszyscy oni, był skurczony i niemal pozbawiony ciała, ożywiona mumia. Miał płaskie, znużone rysy bardzo mądrego Eskimosa. Często się uśmiechał. Był prawie bezzębny.

- Pobłogosław mnie, padair, bo mam grzech - powiedział po angielsku, nie sprawiając wrażenia, że rozumie, co mówi. - Pobłogosław i proszę cię o wybaczenie.

- *Te absolvo*. Weź ananasa.

Starzec zgarnął kilka plastrów w dłonie.

- Maraming salamat po - podziękował w tagalog, dialekcie Luzonu. Starzec zaczął rozmowę od uwag w różnych językach.

- W zeszłym miesiącu w snach odwiedzał mnie gość - zdradził Carignan. - Myślę, że przyniósł mi wiadomość.

Starzec nic nie powiedział, koncentrując się na jedzeniu. Twarz miał pustą jak u psa.

Amerykański gość wyszedł z kuchni, ale nie przyniósł herbaty. Ten pielgrzym Joe chodził zawiadaczko, jego członki poruszały się swobodnie wokół wielkiego rozgrzanego pieca w środku, ognia cierpienia, o którym zdawał się nic nie wiedzieć.

Kiedy Joe zbliżył się, starzec wstał z krzesła i na płaskich stopach przykucnął obok.

- Pytam go o sen. Może odkryje jego przesłanie - wyjaśnił Carignan Amerykaninowi.

- Witaj, padair - odezwał się starzec.

- Nazywa cię ojcem - wyjaśnił Carignan.

Oblizawszy palce z soku, starzec zwrócił się do księdza w języku cebuanu:

- Dlaczego mówisz, że w śnie była wiadomość?

- To był potężny sen.

- Obudziłeś się?

- Tak.

- Potem znowu zasnąłeś?

- Nie spałem przez całą noc.

- W takim razie miałeś potężny sen.

- Mnich, święty mąż, przyszedł do mnie.

- Ty jesteś świętym mężem.

- Miał kaptur. Jego twarz była jak srebrna chmura.

- Mężczyzna?

- Tak.

- Z twojej rodziny?

- Nie.

- Widziałeś jego twarz?

- Nie.

- Widziałeś jego dłonie?

- Nie.

- Pokazał ci stopy?

- Nie.

Starzec zaczął mówić do Skipa Sandsa z wielkim entuzjazmem i trochę za głośno.

- Tak. Jak się masz - powiedział Sands.

Starzec złapał Amerykanina za rękę. Przemówił. Urwał. Ksiądz przetłumaczył: .

- Mówi, że we śnie, kiedy śpisz, duchy opuszczają twoje ciało. I pasterz czy przewodnik duchów zabiera je w górę, i... - Zapytał o coś starca - ...pasterz duchów zbiera duchy, prowadzi je jak owce na wybrzeże, nad morze.

Starzec znowu coś powiedział, ksiądz go o coś zapytał, starzec pociągnął Amerykanina za rękę i Carignan poskładała opowieść w całość: Prowadzi je na wybrzeże, duchy zanurzają się w morzu i w nim odnajdują świat snów, którego granicy strzeże żółty wąż. Każdy, kto próbuje przechodzić tam i z powrotem między tymi dwoma światami, zostanie uduszony przez węża i umrze we śnie. Carignan nie potrafił znaleźć angielskich słów, by wszystko przekazać.

- Opowiada skomplikowaną historię. Myślę, że jest trochę szalony.

- Ten świat nie ma żadnych wspomnień o życiu poprzednim, a życie następne nie ma żadnych wspomnień o naszych smutkach. Bądź więc szczęśliwy, że nadchodzi śmierć.

Mówiąc to, starzec wstał i odszedł.

- Czekaj. Czekaj. Jaka jest przepowiednia z mojego snu?

- Nie słyszałeś mnie? - zapytał starzec.

Ksiądz Carignan nalegał, że spędzi noc w hamaku w kościele, a Sands będzie spał z hostią świętą w pokoju Carignana, to znaczy hostia stała bezsennie na komodzie, a Sands usiłował zasnąć na łóżku z drewnianych desek i słomy pod gazową siatką. Cela mnicha, całkowicie odpowiednia do jego pielgrzymki. Leżał w ciemności. Przy siatce bzyczały moskity. Sands zanotował w myślach, żeby zapytać Carignana o tamten cytat pułkownika z Biblii, coś o jednym Bogu i wielu administracjach. Taka idea pociągała człowieka pracującego dla rządu. Kosmologiczna biurokracja... Ogarnął go niepokój. Pułkownik, Eddie Aguinaldo, Niemiec. Wszyscy tu przyjechali i nikt mu o tym nie powiedział. Fatalnie, jeśli pułkownik ukrywa przed nim informacje. Znowu odezwały się od dawna żywione wątpliwości dotyczące kompetencji pułkownika, jego osądu, zdolności postrzegania. Pułkownik był

trochę szalony. Ale kto nie jest? Problem polegał na tym, że pułkownik mógł nie dowierzać talentom bratanka, mógł wysłać go na lipną misję. Sands obudził się w którymś momencie ze snu o biblijnej sile, z profetycznego snu, w przekonaniu, że na wyspie Mindanao Stany Zjednoczone nie mają żadnego interesu, że katolicki ksiądz w żadnym razie nie może przekazywać broni muzułmanom, że życie wezwało jego, Skipa Sandsa Spokojnego Amerykanina, Brzydkiego Amerykanina, do tego miejsca tylko po to, by lepiej wszystko zrozumiał, co pomoże mu w przyszłych pracach. Ponieważ tutaj pracy nie było. Nie pamiętał żadnego szczegółu snu. Pozostała mu po nim tylko pewność.

Carignan wyjaśnił Joemu, że może kilka osób przyjdzie na poranną liturgię, ponieważ dzisiaj czczą świętą, która jest bliska im sercom, Dionizję.

Joe nigdy nie słyszał o świętej Dionizji. Nikt nie słyszał.

- Tak, ona jest tutaj bardzo potężna. Na podstawie swoich cudów nad rzeką mogłaby zostać kanonizowana, gdyby już nie była świętą. Została zamęczona w piątym wieku w Afryce Północnej. Poruszające męczennictwo.

W kazaniu wygłaszanym kilkadziesiąt lat temu Carignan plastycznie przedstawił przedśmiertne tortury Dionizji niezwykle licznie zgromadzonym wiernym i teraz nad całą rzeką cieszyła się ona statusem postaci legendarnej. Ludzie przypisywali jej wiele uzdrowień, wiele objawień i wizji, wiele znaków i przesłań.

- Staram się przypominać ludziom, kiedy przypada jej święto. Ale ludziom znad rzeki nie zawsze łatwo jest zorientować się w datach. Nie mają kalendarzy.

Na nabożeństwo przyszła garstka. Przed mszą ksiądz na brzegu rzeki ochrzcił noworodka, polewając błotnistą wodą jego czółko.

- Nie mamy święconej wody - wyjaśnił Amerykaninowi - więc biskup wydał dekret, że cała rzeka jest święta. Tak im mówię.

Owinięte w szal dziecko było bezwładne, oczy miało zamknięte, buzię otwartą, przy oddechu pojawiały się bąbelki flegmy. Matka też była jeszcze dzieckiem.

- To dziecko wygląda na bardzo chore - powiedział Joe.

- Zdziwiłbyś się, które umierają, a które żyją - odparł ksiądz. - To zawsze jest niespodzianka.

Zgromadzili się na wieczorną mszę. Carignan widział wszystko od nowa oczami gościa: małe szare pomieszczenie, spacone drewniane ławki,

spleśniałe klepisko i wierni, grupka ignorantów, dziesięcioro, jedenaścioro - w sumie czternastu uczestników, włącznie z Amerykaninem. Kilka starych kobiet, kilku starych mężczyzn, ciemnookie i zakatarzone niemowlęta. Dzieci nie płakały, czasem któreś zakaszła albo chrząknęło. Staruszki biadoliły w odpowiedzi, starcy wymijająco pomrukiwali.

Gość, siedzący pomiędzy nimi na ławce w spodniach khaki i brudnym białym T-shircie, wyróżniał się spośród zebranych, jakby był ostatnim Amerykaninem, szczerym, przyjacielskim, uważnym słuchaczem, ale w jego oczach malowała się przerażająca samotność.

Jakie są dzisiejsze czytania? Ksiądz znowu zgubił księgę, plan liturgii. W gruncie rzeczy nie zaglądał do niej od lat, czytał to, co chciał, te wersy, na których otworzyła się Biblia.

- Tutaj coś mamy. - Odczytał po angielsku: - „Jeśli więc jest jakieś przypomnienie w Chrystusie, jeśli - jakaś moc przekonująca Miłości, jeśli jakiś udział w Duchu, jeśli jakieś serdeczne współczucie...”* - Usiłował w miejscowym dialekcie wyjaśnić sens tego zdania i na koniec powiedział: - Nie jestem pewien, co to znaczy. Może nasze uczucia wobec rodziny. - Odnalazł Ewangelię Św. Mateusza, 27, 5: - „Rzuciwszy srebrniki ku przybytkowi, oddalił się, potem poszedł i powiesił się”.

* Wszystkie cytaty z Biblii według Biblii Tysiąclecia.

A teraz kazanie.

- Dzisiaj po angielsku. - Nie podał powodu. Może rozumiało się samo przez się, że obecność Joego wymaga takiej uprzejmości. Co nie znaczy, że któreś z nich zrozumiałoby jego myśli w jakimkolwiek języku. Przesądni czciciele wampirów. Ale on sam widział raz aswanga lecącego z zakrwawioną kończyną dziecka w szczękach.

- Powiedziałem im, że dzisiaj kazanie wygłoszę po angielsku. Niczego właściwie nie przygotowałem. Pomówimy o dzisiejszym czytaniu o Judaszu Iskariocie, zdrajcy: „Rzuciwszy srebrniki ku przybytkowi, oddalił się, potem poszedł i powiesił się”.

Wraca do świątyni, do tych, którzy zapłacili mu za zdradę Mistrza. Chce oddać brudne srebrniki, ale oni odmawiają. Zawsze myślę: dlaczego? Dlaczego rezygnują z tej sporej sumy? Dlaczego tak jest? „Rzuciwszy srebrniki ku przybytkowi, oddalił się, potem poszedł i powiesił się”.

Dokonałem ostatniej spowiedzi. Kto w Biblii jest najbardziej do mnie podobny - do kogo jestem podobny? Do Judasza. Judasz zdrajca to ja. Co jeszcze

miałbym wyznać? Nikt nigdy nie zapłacił mi za zdradę Jezusa, ale jakie to ma znaczenie? Nigdy nie mógłbym zwrócić im długu. Oni nigdy nie wzięliby z powrotem swoich brudnych pieniędzy.

Od ponad trzydziestu lat nie mówił tak długo w ojczystym języku. Pozwolił płynąć słowom, angielski wychodził z jego głowy jak z głośnika.

- Moja babka często używała tego zwrotu „serdeczne współczucie”. Nigdy jej nie zapytałem, co ono dokładnie znaczy.

Pamiętam, jak odepchnąłem moją babkę. Bardzo ją kochałem, byłem jej ulubieńcem, ale później, kiedy miałem dwanaście, trzynaście lat, zamieszkała z nami i bardzo źle ją traktowałem. Była starą kobietą, a ja źle ją traktowałem.

Nie lubię sobie o tym przypominać. Te wspomnienia są bardzo gorzkie. Babka kochała mnie, a ja nie okazywałem jej szacunku. Do nikogo nie czułem miłości.

Naturalnie tutaj, gdzie ludzie są tacy biedni, tacy chorzy, nie można ich kochać, bo to wciągnęłoby człowieka w odmet. Zatonąłbyś. Wszyscy tutaj wiedzą, jak kochać, ale odwzajemniać im miłość - to ruchome piaski. Nie jestem Chrystusem. Żaden człowiek nie jest Chrystusem.

Innym razem jesteśmy złodziejem na krzyżu, tym, którego ukrzyżowali obok Jezusa, złodziejem, który odwraca się do Jezusa i mówi: „Pamiętaj o mnie, gdy wejdiesz do swojego Królestwa”. A Jezus okazał mu łaskę i odparł: „W tym dniu będziesz obok mnie w Raju”. Naprawdę myślę, że musimy być jednym albo drugim. Jesteśmy albo zdrajcą, albo złodziejem.

Rozglądałem się i myślałem: Jak dostałem się do Nasaday? Jak się tu dostałem? To jest zakątek w labiryncie. Wyspa na trzęsawisku. Judasz skoczył do dziury i Bóg raczy wiedzieć, Bóg jeden wie, czy kiedykolwiek się z niej wydostał, hę? To zależy wyłącznie od Boga. Kim jesteśmy? Czasami jesteśmy Judaszem. Ale Judasz... Judasz poszedł i powiesił się.

Te trzydzieści lat, nawet więcej, spędziłem, żyjąc między barbarzyńcami, żyjąc z ich potężnymi bogami i boginiami, przyjmując w swoje wnętrze ich tradycje, rozumiesz, które nie są baśniami, są prawdziwe, są prawdziwe od chwili, gdy je przyjmujesz, i przyjmowałem w moje myśli wszystkie obrazy z ich opowieści, i żyłem przygodami przodków, i te lata, które spędziłem, spotykając się twarzą w twarz z ich groźnymi demonami i świętymi, świętymi noszącymi imiona katolickich świętych, ale tylko po to, by się zamaskować... Ile razy omal całkiem się nie zgubiłem, ile razy omal nie zawędrowałem

do tej części labiryntu, z której nie ma powrotu... ale zawsze w ostatniej chwili, zanim bogowie i boginie zdążyli mnie zniszczyć, czułem dotknięcie Ducha Świętego, zawsze w ostatniej chwili pojawiała się przypomnienie, kim jestem i dlaczego tutaj przybyłem. To była tylko przelotna wizja, tylko przypomnienie, kim naprawdę jestem. A potem wracałem do tunelu.

Po mszy wierni poszli do domów. Carignan rozebrał się do bielizny i w japonkach poszedł umyć się do rzeki.

Warkot łodzi motorowej, rzadko spotykanej na tej rzece, kazał mu przystanąć i obserwować. Łódź pojawiła się w zasięgu jego wzroku, zwolniła, silnik cichł. Dwaj mężczyźni na pokładzie wpatrywali się w brzeg. Byli coraz bliżej. Carignan pomachał. Zniknęli za niskimi palmami sago rosnącymi wzdłuż brzegu.

Carignan wszedł do wody po pas i umył się.

Co za niemądre kazanie. Angielszczyzna obudziła dawne udreki, które podnosiły się chybottliwie w brudnych bandażach - jego dusza i choroby jego duszy.

Jak tu się dostałem? - Judasz skoczył w labirynt.

Wyszedł z wody z pochyloną głową, choć nie patrzył pod nogi, dręczony złymi uczynkami z młodości; żaden nie był poważny, ale przerażały go teraz, ponieważ dokonane zostały z rodzajem amoralności, która gdyby w nim trwała, uczyniłaby go bardzo niebezpiecznym dla świata.

Odwrócił się i pomiędzy liśćmi sagowca zobaczył niezwykle dziwny widok: człowiek z Zachodu w zachodnim ubraniu trzymał przy ustach długą rurkę. Coś jak lodygę bambusa. Podczas gdy Carignan przyglądał się tej scenie i przygotowywał do powitań, policzki tamtego zapadły się. Coś ukłuło księdza nad jabłkiem Adama. Podniósł rękę, by to zrzucić. Poczł mrowienie w języku i policzkach, po kilku sekundach ogarnęło go wrażenie, że wcale nie ma głowy, zaraz potem stracił kontakt z dłońmi i stopami, i nagle nie miał pojęcia, gdzie znajduje się jakakolwiek część jego ciała, wszystkie zniknęły. Nie czuł, że przewraca się ku wodzie. Kiedy wpadł do rzeki, był martwy.

Ulżywszy sobie koło krzaka nad rzeką, Sands wyszedł na ścieżkę biegnącą pod kościołem i spotkał dwóch chłopców jadących na grzbiecie carabao rowem irygacyjnym. Uśmiechnęli się nieśmiało i niepewnie.

- Padair, padair...

Może myśleli, że jest Carignanem - może myśleli, że we wszechświecie istnieje tylko jeden ksiądz, który przyjmuje wiele postaci.

Rzucił chłopcom parę gum. Jedna chybiła, zsunęła się po szerokim grzbiecie zwierzęcia i wpadła w trawę nad rowem.

- Padair, padair.

- Nie jestem waszym ojcem - powiedział Sands.

W promieniach zachodzącego słońca obserwował motorówkę, która pędziła przez magiczną tęczową mgłę wzbijaną przez sporą śrubę. Na pokładzie znajdowały się dwie osoby. Nic w ich wyglądzie zniekształconym przez odległość i woal mgły nie skłoniłoby go, żeby w tych okolicznościach powiedzieć: „To Eddie Aguinaldo i Niemiec”, żadne na tyle mocne przekonanie nie kazałoby mu w każdym razie umieścić tego, powiedzmy, w raporcie. Ale ci dwaj najpierw się czaili, a teraz stali wyprostowani. Już miał odwrócić się i pobiec do kościoła po lornetkę, kiedy nagle zauważył, że ksiądz odpływa od brzegu. Twarzą w dół. Kto tak pływa? Topielec. Sands ruszył za nim. Wpadł do dziury i woda zamknęła się za nim. Wypłynął na powierzchnię, zobaczył Carignana dryfującego w dół strumienia. Zaczął za nim płynąć, zmienił jednak zdanie. Wyskoczył na brzeg i pobiegł ścieżką wzdłuż rzeki. Kiedy zrównał się z Carignanem, zrzucił sandały, wszedł do głębszej wody i próbował złapać księdza. Przeliczył się. Z bezwładnymi kończynami, jak trup - pewnie martwy - ksiądz błyskawicznie skręcił w bok, ku środkowi szerokiej na trzy-sta metrów rzeki.

Sands ponownie wgramolił się na brzeg i bosy ruszył ścieżką. Zboczył ku jakiemuś domowi, zobaczył przewróconą do góry dnem łódź banca na trawie, krzyknął, ale nikogo w domu nie było, próbował więc przewrócić łódź na bok, próbował zawlec ją do rzeki. Zatrzymał go mężczyzna, młody i muskularny, bosy, z nagim torsem, zdumiony, w czerwonych szortach. Szybko zorientował się, że sprawa jest pilna, i złapał wiosło oparte o dom. We dwóch wzięli łódź i zanieśli nad rzekę, ostrożnie weszli na pokład, po czym ruszyli w pogoń za zwłokami, Filipińczyk wiosłował, Amerykanin pokazywał. Nie-wielka łupina z wolna doganiała zamordowanego, podróżującego do Królestwa, Które Przyjdzie.

Nazajutrz Sands na hondzie wrócił do diecezji i poinformował o utonięciu Carignana. Wiadomość o stracie zasmuciła księdza Haddaga, ale zaskoczyło go, że dowiedział się o niej tak szybko.

- Czasami mijają tygodnie, nim dochodzą do nas wieści od rzecznych ludzi - powiedział.

Ta sprawa zajęła całe popołudnie. Później Sands wynajął pokój w Carmen i zjadł kurczaka z ryżem z trzema ludźmi z Ministerstwa Rolnictwa, na których wpadł na prowadzącej przez miasto szosie, kiedy wszyscy wędrowali w poszukiwaniu restauracji. Wybrali jedno z przydrożnych stoisk, gdzie sprzedawca piekł solidne udka na węglach z kokosowych łupin, polewając je mieszaniną sosu sojowego, przypraw i coca-coli. Jedli, obserwowani przez wychudłe psy. David Alvelor, najważniejszy z pracowników ministerstwa, chciał poszaleć po mieście z Amerykaninem, ale Sands był śmiertelnie wyczerpany. Pozostali dwaj zachowywali dystans, natomiast David Alvelor wydawał się tak podniecony spotkaniem Amerykanina, że w rezultacie Amerykanin obawiał się o zdrowie psychiczne Davida. Powtarzał się, kilka razy się przedstawił, twarz jaśniała mu od potu, a także od wewnętrznego światła. Co dwie minuty proponował, żeby Amerykanin poszedł do jego domu „na dialog”.

- Jesteś bardzo wesoły - powiedział. - Mój typ gościa. Nie możesz pójść z nami na pół godziny?

Ku zakłopotaniu swoich kolegów David coraz bardziej nalegał, że łzami w oczach pijacko błagał Amerykanina, kiedy ten wysiadł z ich rządowego dżipa przed swoim hotelikiem:

- Proszę, proszę, sir, tylko pół godziny, sir, błagam cię, tak, proszę...

Sands umówił się z nimi na jutro, choć uprzedził, że plan zajęć może mu przeszkodzić w dotrzymaniu słowa. Tak się rozstali, Sands i tamci dwaj ze świadomością, że nigdy więcej się nie zobaczą, David Alverol przekonany, że spotkają się z samego rana.

Sands nie powiedział księdzu Haddagowi o dwudziestocentymetrowej strzałce wystającej z szyi martwego Carignana.

Leżał w swoim pokoju w Carmen i rozmyślał o niemieckim zabójcy. To co przedtem wydawało się kobiece, teraz było poetyckie: okulary, wydane usta, jasna skóra. Niemiec blisko stykał się ze śmiercią, wiedział różne rzeczy. Wcześniej Sands uważał go za pompatycznego i irtującego. Teraz wydawał się nosicielem transcendentnego brzemienia.

Zaraz po jego powrocie do Damulog małe czerwone mrówki zaatakowały miasteczko. Chodziły po jego stole w Sunshine Eatery, po łóżku w hotelu Castry.

Mógłby jechać dalej do Davao na południowym końcu wyspy i złapać tam samolot do Manili. Wrócił jednak do Damulog. Mógłby w najgorszym razie spędzić tu noc, czekając na autobus. Spędził jednak trzy tygodnie, podczas których pisał raport niezawierający żadnych ważnych informacji, oparty wyłącznie na pogłoskach usłyszanych od burmistrza Emeterio D. Luisa, i niewyciągający żadnych wniosków dotyczących kontaktów księdza czy sprawców jego śmierci.

W rezultacie Sands przez ten okres był dezserterem. Pogrzebał swój upadek pod bezsensownym zajęciem i ćwiczył się w żołnierskiej obojętności na własne rozgoryczenie. A noce spędzał z panią Jones.

1966

Przepustka w Honolulu zaczęła się dla Billa Houstona od przedpołudniowej wachty, zbyt wcześnie dla człowieka, który ma pieniądze do wydania: na domiar złego marynarka zamierzała pozbawić go nocnego życia. Wsiadł do autobusu kursującego pomiędzy miastem a bazą, przez otwarte tereny bazy lotniczej i miasto pojechał na plażę Waikiki, wałęsał się zniechęcony pomiędzy wielkimi hotelami, siedział na piasku w lewisach, jaskrawej hawajskiej koszuli i bardzo czystych butach - białych, z czerwonymi gumowymi podeszwami - zjadł wieprzowinę z rusztu w jednym z kiosków, autobusem miejskim przeniósł się na Richards Street, zarezerwował łóżko w hostelu YMCA dla wojska i w nadbrzeżnych barach zaczął pić o pierwszej po południu.

Wszedł do klimatyzowanego lokalu, szczególnie lubianego przez młodych oficerów, gdzie siedział sam przy stoliku, paląc lucky strikes i pijąc lucky lager. Dzięki temu poczuł się jak szczęściarz. Kiedy nabierał dość drobnych, zadzwonił do domu w Stanach i pogadał ze swoim bratem Jamesem.

To wpędziło go w jeszcze większą depresję. Jego brat James był głupi. Jego brat James zamierzał skończyć w wojsku jak on.

Spacerował po nabrzeżu z piwem dudniącym mu w głowie, samotnością ściskającą serce. O trzeciej po południu chodniki w Honolulu były tak rozgrzane, że roztopiały gumowe podeszwy jego butów.

Schronił się w Big Surf Club, gdzie pił piwo z dwoma mężczyznami trochę starszymi od siebie; jeden nazywał się Kinney i niedawno dołączył do cywilnej części załogi tankowca USNS Bonners Ferry, na którym służył Houston. Ale Kinney nie wszedł tanecznym krokiem na pokład, żeby odbyć tropikalny rejs. Życie spędził w marynarce, przenosił się ze statku na statek i na stałym lądzie nie miał prawdziwego domu. Kinney skumplował się z

bosonogim menelem z plaży, który sprawiał wrażenie naćpanego. Menel postawił dwa dzbany piwa pod rząd i w końcu ujawnił, że służył w Trzeciej Dywizji Piechoty Morskiej w Wietnamie, zanim przedwcześnie zwolniono go do domu.

- Taa, dziecinko - powiedział menel. - Dostałem zwolnienie lekarskie.
- Dlaczego?
- Dlaczego? Bo jestem psychicznie upośledzony.
- Wydajesz się całkiem w porządku.
- Wydajesz się całkiem w porządku, skoro stawiasz nam piwo - powiedział Kinney.

- Nie ma sprawy. Dostaję rentę. Dwa czterdzieści dwa miesięcznie. Mogę wypić sporo piwa, stary, skoro śpię na plaży jak moke i jem to, co je moke.

- Co je moke? Kto to jest?

- Tutaj są moke i howlie. My jesteśmy howlie. Moke to miejscowy skurwysyn. Co je? Tanio je. Pewnie zauważyliście, że jest tu mnóstwo Japońców i Chińców. Podpadają pod kategorię żółtków. Wiecie, czemu jedzenie żółtków tak okropnie śmierdzi? Bo smażą je z gównami szczurów, karaluchami i co tam jeszcze wpadnie do ryżu. Im to nie przeszkadza. Pytasz ich, czemu tu tak kurewsko śmierdzi, a oni nawet nie wiedzą, o czym mówisz. Taa, widziałem sporo rzeczy - mówił menel. - A tam żółtki noszą te śmieszne słomiane kapelusze, pewnie je widzieliście, takie spiczaste? Dziewczyny jeżdżą na rowerach, więc łapiasz za kapelusz, jak je mijasz, i o mało nie urywasz im głowy, bo kapelusze mają związane sznurkiem. Zrzucasz ją z rowera, stary, i leży rozpieprzona w błocie. Raz widziałem jedną, jak była cała pocięta. Kark jej strzelił. Była martwa.

Bill Houston był kompletnie zbity z tropu.

- Co? Gdzie?
- Gdzie? W Wietnamie Południowym, stary, w Bien Hoa. W samym środku miasta.

- To kompletnie popierdalone, stary.

- Taa? I to też jest popierdalone, kiedy jeden z tych cukiereczków rzuci ci granat na kolana, bo pozwoliłeś jej wsiąść do auta, stary. One znają zasady. Wiedzą, że powinny trzymać się z daleka. Te, które nie trzymają się z daleka, przypuszczalnie mają granaty.

Houston i Kinney milczeli. Nie mieli żadnych porównywalnych tematów do poruszenia. Facet pił swoje piwo. Ogarnęło ich coś w rodzaju snu. Nadal

nikt nic nie mówił, ale w pewnej chwili menel powiedział, jakby komuś odpowiadał:

- To nic. Widziałem różne rzeczy.
- Lepiej, żebyśmy zobaczyli piwo - powiedział Kinney. - To chyba twoja kolejka?

Menel najwyraźniej nie pamiętał, kto ostatnio stawiał. Zamawiał kolejne dzbany.

W ostatni dzień trzeciej klasy James Houston wrócił do domu szkolnym autobusem; gdy wysiadał, pokazał środkowy palec kierowcy, wiwatując.

Matka zabrała się z kimś do pracy i tak jak prosił, zostawiła ciężarówkę na podjeździe. Jego młodszy brat Burris stał przed domem z palcem w uchu, celując z pistoletu na kapiszony i raz po raz naciskając spust.

- Uważaj na oczy, Burris. Słyszałem o smarkaczu, któremu do oka wpadła iskra i musiał iść do szpitala.

- Z czego są zrobione kapiszony?
- Z prochu strzelniczego.
- Co?! Z prochu?

W domu zadzwonił telefon.

- Nie wolno mi odbierać - powiedział Burris.
- Włączyli telefon?
- Nie wiem.
- Ale dzwoni, no nie?
- Zamknij się.
- Teraz przestał, ty idioto.
- I tak bym nie odebrał. To brzmi tak, jakby w środku gadały robaki, a nie ludzie.

- Śmieszny z ciebie gość - powiedział James, po czym wszedł do domu, gdzie było gorąco i unosił się słaby odór śmieci. Matka zabroniła włączać parowe chłodzenie, dopóki temperatura nie dojdzie do stu stopni Fahrenheita.

Ze szkoły przyniósł plik papierów: prace domowe, świadectwo, podsumowania roku. Wszystko wrzucił do pojemnika na śmieci pod zlewem.

Telefon znowu zadzwonił: jego brat, Bill Junior.

- Gorąco w Phoenix?
- Prawie sto stopni, taa.
- Tutaj też jest gorąco. I parno.

- Skąd dzwoniisz?
- Z Honolulu na Hawajach. Godzinę temu stałem na plaży Waikiki.
- Honolulu?
- Tak.
- Widziałeś jakieś tancerki hula?
- Widuję tylko kurwy. Ale założę się, że potrafią tańczyć hula.
- Ja też się założę!
- A co ty o tym wiesz?
- Ja? Nic nie wiem - powiedział James. - Tak tylko mówiłem.
- Cholera, żałuję, że nie jestem w starej dobrej Arizonie.
- To nie ja drugi raz się zaciągnąłem.
- Możesz wysłać mnie na porządną pustynię, ile razy chcesz. Tam jest porządnie gorąco, no nie? Sucho i upalnie. Tutaj jest brejowato, tak tu jest. Hej, mały, wyobraź to sobie: czy podniosłeś kiedyś pokrywę z czajnika, w którym gotują się ścieki? To tak, jakbyś wyszedł tutaj na ulicę.
- A poza tym jak leci? - zapytał James.
- Ile ty masz lat?
- Zaraz skończę siedemnaście.
- I co chcesz robić?
- Co chcę robić? Nie wiem.
- Skończyłeś szkołę?
- Nie wiem.
- Jak to nie wiesz? Skończyłeś czy nie?
- Musiałbym chodzić jeszcze rok.
- Poza chodzeniem do szkoły niewiele jest do roboty, co?
- Ja w każdym razie nic nie widzę. Ale myślałem o wojsku.
- Czemu nie o marynarce?
- W marynarce za dużo marynarzy, koleś.
- Przemądrzały dupek z ciebie, koleś. Lepiej wstąp do armii, koleś. Bo w marynarce codziennie kopaliby cię w dupę.
- James nie wiedział, co powiedzieć. W gruncie rzeczy nie znał tego faceta.
- Odezwała się telefonistka i Bill musiał włożyć kolejne monety.
- Jesteś w barze czy co? - zapytał James.
- Taa, w barze. Jestem w barze w Honolulu na Hawajach.
- Myślę, że to jest... - Ale James nie wiedział, czym to jest.

- Taa. Byłem na Filipinach, w Hongkongu, w Honolulu, niech się zastanowię, gdzie jeszcze, sam nie wiem, i powiem ci, że tropiki to wcale nie jest tropikalny raj. Pełno tu zgnilizny: róbale, pot, smród i sam nie wiem, co jeszcze. A najpiękniejsze owoce tropikalne, jakie widzisz, są zgniłe. Leżą rozgniecione na ulicy.

- No cóż... Cieszę się, że zadzwoniłeś.

- Taa - powiedział Bill.

- Okay.

- Okay - powtórzył Bill. - Hej, powiedz mamie, że dzwoniłem, dobra? I powiedz, że ją pozdrawiam.

- Okay.

- Okay... Powiedz jej, że ją kocham.

- Okay. To na razie.

- Hej. Hej, James.

- Taa?

- Jesteś tam?

- Jestem.

- Idź do marines, stary.

- Oni są przereklamowani.

- W marines dostają szable.

- Marines to marynarka wojenna - powiedział James. - Są częścią marynarki.

- Taa... cóż...

- Cóż...

- A zresztą szable dostają tylko oficerowie - powiedział Bill Junior.

- Taa...

- No, muszę znaleźć sobie dupę - powiedział Bill.

- Koniecznie!

- A co ty o tym wiesz? - roześmiał się Bill, odkładając słuchawkę.

James przeszukał szuflady w kuchni i znalazł opróżnioną do połowy paczkę salemów matki. Nim doszedł do drzwi, zadzwonił telefon: Bill Junior.

- To znowu ty?

- Kiedy ostatnio sprawdzałem, to tak.

- Co jest?

- Pozdrów ode mnie South Mountain.

- Nie widzimy już South Mountain. Widzimy Papago Buttes.

- Jesteście na wschodzie miasta?
 - Na East McDowell.
 - East McDowell?
 - Gówniana sprawa, no nie?
 - Mieszkacie na pustyni!
 - Mama pracuje w stadninie koni.
 - Niech mnie szlag.
 - Zna się na koniach, odkąd była małą dziewczynką.
 - Uwważaj, żeby cię nie ugryzł jakiś wąż.
 - Nie ma tu cienia, ale jest fajnie. Mieszkamy obok rezerwatu Pirna.
 - A ty chodzisz do szkoły.
 - Przez jakiś czas, chyba od października, chodziłem do Palo Verde.
 - Palo Verde?
 - Taa.
 - Palo Verde?
 - Taa.
 - Jak mieszkaliśmy na South Central, nasza szkoła grała z Palo Verde w koszykówkę czy coś tam, chyba w football. Jak się nazywała nasza szkoła?
 - Ja chodziłem do podstawówki. Carson Elementary.
 - Niech mnie szlag. Nie pamiętam nazwy mojego liceum.
 - Gówniana sprawa, no nie?
 - Jeździsz czasem do Florence?
 - Nie.
 - Widujesz tatę?
 - Nie - powiedział James. - On nie jest moim tatą, dlatego.
 - Nie pakuj się w kłopoty. Ucz się na jego przykładzie.
 - Nie biorę z niego przykładu. Nawet go nie widuję.
 - No tak - powiedział Bill Junior. - Tak czy owak...
 - No tak. Taa. Naprawdę jesteś na plaży Waikiki?
 - Nie, teraz nie.
 - Mieszkamy blisko skrzyżowania Pięćdziesiątej Drugiej i McDowell.
- Mają tu małe zoo.
- Co takiego?
 - Taa, małe zoo.
 - Hej, powtórz coś mamie - kiedy będzie w domu?
 - Później. Za kilka godzin.

- Może do niej zadzwonię. Chcę jej coś powiedzieć. Na moim okręcie jest dwóch gości z Oklahomy i wiesz, co mi obaj powiedzieli? Że mówię z akcentem z Oklahomy. Powiedziałem: „Nigdy tam nie byłem, sir, ale moi starzy byli”. Powtórz to mamie, dobra?

- Powtórzę.

- Powiedz, że miała mnie w brzuchu w Oklahomie i mówię, jakbym stamtąd pochodził.

- Okay.

- Okay! - to skrót od Oklahomy.

- Niech mnie szlag - powiedział James.

- Taa. Gówniana sprawa, nie?

- Okay.

- Okay. Na razie.

Obaj odłożyli słuchawki.

Pijany jak świnia, pomyślał James. Pewnie alkoholik jak jego ojciec.

Do domu wmaszerował Burris z pistoletem na kapiszony w jednej i lizakiem w drugiej ręce, ubrany tylko w szorty. Wyglądał jak mały człowieczek z patyczków.

- Chyba mam iskrę w oku.

- Muszę się zbierać - powiedział James.

- Według ciebie mam iskrę w oku?

- Nie. Zamknij się, cudaku.

- Mogę jechać na pace?

- Nie, chyba że chcesz wylecieć i się zabić.

James wziął prysznic i przebrał się. Już wychodził, kiedy zadzwonił telefon. Znowu brat.

- Hej... James.

- Taa.

- Hej... James.

- Taa.

- Hej. Hej. Hej...

James rozłączył się i wyszedł z domu.

James zabrał Charlotte, potem Rolla, potem dziewczynę, którą Rollo lubił, a która nazywała się Stevie (zdrobnienie od Stephanie) Dale, i ruszyli w kierunku McDowell Mountains. Słyszeli, że podobno gdzieś na pustyni, daleko

od drogi i od wszystkiego, jest szalona impreza na dworze, ale nawet jeśli istotnie się odbywała, nie potrafili jej znaleźć w labiryncie suchych jak pieprz wzgórz, wrócili więc na autostradę i na pacy ciężarówki pili piwo.

- Nie mogłeś się postarać o zimniejsze? - zapytał James.
- Ukradłem je z lodówki w stodole - odparł Rollo.
- Nie umiemy nawet znaleźć imprezy maturalnej - powiedział James.
- Dzisiaj nie jest dzień matur - zauważyła Charlotte.
- Więc co to jest?
- Po prostu ostatni dzień szkoły. Ja jeszcze nie kończę szkoły. A ty?
- Ciepłe piwo - rzucił James.
- Nigdy nie zdam matury - stwierdziła Charlotte - ale guzik mnie to obchodzi.
- Jasne, kogo to, kurwa, obchodzi - powiedział Rollo i wszyscy się roześmiali z jego wulgarności. - My jesteśmy ze wsi.
- Nie - sprzeciwił się James.
- Twoja matka pracuje w stadninie. Mój tata męczy się z rowami irygacyjnymi. I za moim domem jest wielka stodoła, stary.
- Tu jest przyjemniej - powiedziała Stevie Dale. - Nie ma glin.
- To prawda - zgodził się James. - Nikt ci nie przeszkadza.
- Tylko uważajcie na węże.
- Uważaj na tego węża - powiedział Rollo i dziewczyny, pokrzykując, głośno się roześmiali.

James był rozczarowany, że kiedy dziewczyny się śmiały, to właśnie Charlotte piwo wyszło nosem. Stevie była młodsza, skończyła dopiero pierwszą klasę, ale wydawała się sympatyczniejsza i nie tak nerwowa. Stevie trzymała się prosto i seksownie paliła. Co on robi z Charlotte, skoro bardziej lubi Stevie?

Podrzucił Rolla, potem odwiózł Charlotte do domu. Tak jakoś wyszło, że Stevie została w ciężarówce. James dopilnował, żeby Charlotte pozbyć się pierwszej.

Pocałował Charlotte na pożegnanie, kiedy stali przed jej domem. Zarzuciła mu ramiona na szyję i mocno do niego przywarła, usta miała luźne i wilgotne. James obejmował ją z mniejszą siłą i tylko lewą ręką, prawą bezwładnie opuścił. Starszy brat Charlotte, bezrobotny, wyszedł i gapił się na nich z progu.

- Zamknij drzwi albo wyłącz ten cholerny wentylator! - zawołała za jego plecami matka.

- Musisz wracać do domu? - zapytał James, gdy wrócił do ciężarówki.
- Właściwie nie. Nie - odparła Stevie.
- Chcesz pojeździć?
- Jasne. Może być fajnie.

Wylądowali w miejscu, gdzie godzinę temu byli z pozostałymi, patrzyli na niewysokie góry, słuchali radia.

- Jakie masz plany na lato? - zapytała Stevie.
- Czekam na znak.
- To znaczy, że nie masz żadnych.
- Czego nie mam?
- Żadnych planów.
- Nie wiem, czy szukać roboty na lato, czy znaleźć coś prawdziwego i stałego, ale do szkoły nie wrócę.
- Chcesz zrezygnować?
- Myślałem, żeby wstąpić do wojska jak mój tata.

Nie skomentowała. Położyła palec na desce rozdzielczej i przesuwiała go tam i z powrotem.

Jamesowi zabrakło tematów do rozmowy. Kark miał tak sztywny, że wątpił, by kiedykolwiek mógł odwrócić głowę. Nie przychodziło mu na myśl żadne słowo, które mógłby wypowiedzieć.

Chciał, żeby Stevie wspomniała o Charlotte, ale ona tylko zapytała:

- Czemu jesteś taki ponury?
- Cholera.
- Co.
- Chyba muszę zerwać z Charlotte. Naprawdę muszę.
- Taa... Według mnie ona to wyczuwa.
- Naprawdę?
- Ty przy niej wcale się nie rozpalasz, James, zupełnie nie.
- Widzisz to, co?
- Masz nad sobą chmurę, z której na ciebie pada.
- A w tej chwili?
- Co.
- W tej chwili na mnie nie pada, co?
- Nie. - Uśmiechała się, była słońcem. - Naprawdę chcesz się zaciągnąć?
- Tak. Do armii albo marines. Wydaje mi się, że teraz chcesz mnie pocałować, no nie?

- Zabawny jesteś - roześmiała się Stevie.

Długo ją całował, potem powiedziała:

- To mi się w tobie podoba. Stajesz się zabawny, jak jesteś zadowolony
I jesteś przystojny, to też.

Całowali się, dopóki w radiu nie zaczęły się reklamy i James chwilę spędził na szukaniu innej stacji.

- Hm - mruknęła.

- Co jest, Stevie?

- Zastanawiam się, czy ten facet całuje jak piechota czy marines? Hm...

- powiedziała, nie przestając go całować. Potem się odsunęła. - Może jak lotnictwo.

Pocałował ją, bardzo delikatnie pogładził po ramionach, policzkach, szyi. Wiedział, że lepiej nie pchać rąk tam, gdzie by wolał.

- Zostało jedno ciepłe piwo - powiedział.

- Bierz. Mnie się nie chce pić.

Usiadł oparty o drzwi od strony kierowcy, ona oparła się o swoje. Był zadowolony, że słońce zachodzi, bo nie musiał się martwić o swój wygląd. Czasami nie był pewien, czy wyraz jego twarzy ma jakikolwiek sens.

Musiał beknąć. Zrobił to głośno, po czym powiedział:

- Pozdrowienia z wnętrzości.

- Twój tata jest w więzieniu, tak? - zapytała Stevie.

- A skąd to wiesz?

- Jest?

- Nie, to raczej mój ojczym - odparł James. - Właściwie obcy facet. Pomyłka mojej mamy, nie moja.

- A twój prawdziwy tata jest w wojsku?

James zarzucił ręce na kierownicę i oparł na nich brodę, patrząc przed siebie... Więc ona teraz nagle uważa, że powinni zwierzyć się sobie z najgorszych sekretów.

Wysiadł i poszedł odlać się za krzak. Słońce schowało się za górę Camelback na południowym zachodzie. Niebo wciąż miało odcień czystego błękitu, tylko na horyzoncie barwiło się różową żółcią, która znikala, kiedy na nią patrzyłeś.

Wróciwszy do ciężarówki, powiedział:

- Zdecydowałem się: wstąpię do piechoty.

- Naprawdę? Do piechoty?

- Tak.
- A potem co? W czym chcesz się specjalizować?
- Pojadę do Wietnamu.
- A potem co?
- Rozpierzdołę mnóstwo ludzi.
- Boże - powiedziała. - Nie jesteś z kumplami. Wiesz, jestem kobietą.
- Przepraszam, szefie.

Położyła mu dłoń na karku i czule pogładziła po włosach. Usiadł prosto, żeby przestała to robić.

- Powiedziałeś straszną rzecz, James.
- Co?
- To co przed chwilą powiedziałeś.
- Tak mi się wymknęło. Nie mówiłem poważnie, nie myślę tak.
- Więc tak nie mów.
- Cholera. Myślisz, że jestem zły?
- Każdy ma w sobie podłość. Tylko nie można pozwolić, żeby urosła.

Znowu się całowali.

- No tak - powiedział James. - Masz ochotę trochę pojeździć?
- Co... Nie wiem. Mamy benzynę?
- Jasne. - Czuł dreszcz podniecenia, kiedy mówiła „my”.
- W takim razie dobra. Rozejrzemy się tu i tam.
- Pojedziemy dłuższą drogą. - To oznaczało, że on poważnie będzie się do niej przystawiał.
- Okay. - To oznaczało, że ona nie będzie się sprzeciwiać.

James stał w zmroku przed domem, kiedy matka wróciła z pracy kabrioletem chevy Toma Mooneya; patrzyła przez okno od strony pasażera z otwartymi ustami, z twarzą ukrytą pod postrzępionym słomkowym kapeluszem, z bandana osłaniającą szyję. Mooney pomachał do Jamesa, James rzucił niedopałek na ziemię, przydeptał go i też pomachał. Ale wtedy auto już odjechało.

Matka weszła do środka, słowem nie odzywając się do syna. To milczenie było zarówno niezwykle, jak i pożądane.

Trwało, dopóki nie poszedł za nią do kuchni.

- Jeśli myślisz, że ta stadnina mnie nie wykończy, to sprawdź, jak mięśnie dygoczą mi w ręce. Jak zagrzeję puszkę zupy, lepiej ją zjedz. Nie każ mi się męczyć, skoro masz zamiar siedzieć sobie i śnić na jawie. - Zapaliła lampę

i stała pod nią, wyglądając na drobną i znużoną. - Mam mielonkę i pomidory. Chcesz kanapkę? Siadaj, zrobię kanapki i zupę. Gdzie jest Burris?

- Kto?

- Zaraz przyjdzie. Zawsze jest głodny. Schudłam okropnie, kiedy byłam z nim w ciąży. Zaczynałam od pięćdziesięciu czterech kilogramów, a w dziewiątym miesiącu zesłam do pięćdziesięciu. Zżerał mnie od środka. - Po brudzie z dłoni, którą wytarła twarz, zostały smugi.

- Mamo, umyj się, zanim zaczniesz gotować.

- O Boże, taka jestem zmęczona, że zapomniałam, że żyję. Otwórz puszkę, skarbie.

Jedli masło orzechowe, galaretkę i zupę Campbella.

- Pokroję pomidora.

- Już zjadłem. Nie chcę.

- Musisz jeść warzywa.

- Warzywa są w zupie. Stąd nazwa: „Zupa jarzynowa”.

- Nie uciekaj, chcę z tobą porozmawiać. Kiedy kończy się szkoła?

- Dzisiaj się skończyła.

- No to zacznij pracę w stadninie.

- Nie wiem.

- Czego nie wiesz? Nie wiesz, co to dolar, jeśli żadnego nie widzisz?

Bo ja nie widzę żadnego.

- Myślałem o wojsku. Może o piechocie.

- Kiedy? Teraz?

- Mam siedemnaście lat.

- Masz siedemnaście lat i jesteś wariat.

- Bill Junior miał siedemnaście lat. Podpisał za niego.

- Chyba mu to nie zaszkodziło.

- Dzwonił dzisiaj.

- Dzwonił? Co mówił?

- Nic. Jest w Honolulu.

- Nigdy nie zobaczyłam od niego ani centa. Co nie znaczy, że prosiłam.

- Jak pójdę do wojska, będę ci przysyłał pieniądze.

- Raz czy dwa coś mi posłał. Ale rzadko. Ostatnio nie posyła. A ja nie mogę go prosić, bo duma zamyka mi usta.

- Przysięgam, że będę ci oddawał część każdego żołdu - powiedział James.

- Sam decyduj.

- Czy to znaczy, że podpiszesz?

Nie odpowiedziała.

James wziął widelec i zaczął jeść pokrojonego pomidora.

- Jak co miesiąc będziesz mi przysyłała kopertę, będę ją odsyłał z pieniędzmi.

- Rozmawiałeś już z komisją rekrutacyjną?

- Porozmawiam.

- Kiedy?

- Porozmawiam.

- Porozmawiasz kiedy?

- W poniedziałek.

- Jak pokażesz mi papiery w poniedziałek wieczór i będziesz mógł przedstawić solidne powody, może podpiszę. Ale jeśli to tylko mrzonki, to lepiej we wtorek wstań i idź ze mną do stadniny. Telefon nam włączyli, ale jak zapłacę czynsz, tylko Bóg wie. Gdzie jest Burris?

- Przyjdzie, jak zgłodnieje.

- On zawsze jest głodny - powiedziała i zaczęła od nowa powtarzać to samo, co mówiła wcześniej, bo nie była w stanie się powstrzymać.

Matka nie potrafiła być cicho. Ciągle czytała Biblię. Była za stara na jego matkę, za bardzo zniszczona i za głupia, żeby być jego matką.

Bill Houston z wielką przyjemnością pił piwo, ale nastąpiła chwila, kiedy zaczęło więznąć mu w gardle. Tawerna musiała wychodzić na zachód, bo palące słońce wlewało się przez otwarte drzwi. W knajpie nie było klimatyzacji, ale przywykł do tego w miejscach, w których pił. Straszna spelunka.

Kiedy wrócił z toalety, Kinney wciąż przesłuchiwał menela z plaży:

- Co zrobiłeś? Powiedz dokładnie, co zrobiłeś.

- Nic. Pierdolić to.

Bill Houston usiadł i powiedział:

- Nic przeciwko wam nie mam. Mój młodszy brat chce wstąpić do marines.

Menel był zalany.

- To nic. Widziałem różne rzeczy.

- Mówi, jakby tam zrobił coś kobiecie - powiedział Kinney.

- Gdzie? - zapytał Houston.

- W Wietnamie, cholera - odparł Kinney. - Nie słuchasz?

- Widziałem różne rzeczy - powiedział chłopak. - A było tak. Trzymali tę kobietę i jeden rozciął jej cipkę. Takie rzeczy ciągle się tam zdarzają.

- Jezu. Nie pierdolisz?

- Ja też to robiłem.

- Robiłeś to?

- Byłem tam.

- Naprawdę... - Houston nie był w stanie powtórzyć. - ...naprawdę to zrobiłeś?

- Rozciąłeś cipkę jakiejś suce? - zapytał Kinney.

- Byłem tam, kiedy to się stało. W pobliżu, w tej samej... prawie w tej samej wiosce.

- To byli twoi chłopcy? Z twojego oddziału? Ktoś z twojego plutonu?

- Nie, Koreańczycy, z koreańskiego oddziału. Te skurwysyny są kompletnie pojebane.

- A teraz się zamknij, kurwa - powiedział Kinney - i powiedz nam, kurwa, coś ty zrobił.

- Tam dzieje się dużo złych rzeczy.

- Pierdolisz. Amerykańscy marines nigdy czegoś takiego by nie zrobili.

Pierdolisz.

Włóczęga podniósł obie dłonie jak aresztant.

- Hej, stary, po się tak denerwować?

- Powiedz mi, że żywą kobietę rozciąłeś na pół, a zgodzę się, że nie pierdolisz.

- Ty! Mówiłem ci! - krzyknął barman, wielki tłusty Hawajczyk bez koszuli. - Chcesz wołowinę? Chcesz kawałek?

- To prawdziwy moke - powiedział włóczęga, kiedy barman rzucił ścierkę i podszedł do nich.

- Mówiłem ci, żebyś się wynosił.

- To było wczoraj.

- Mówiłem, żebyś się wynosił, jak masz tak gadać. To znaczy, że nie chcę cię widzieć wczoraj, dzisiaj i jutro.

- Hej, mam piwo.

- Weź je, guzik mnie to obchodzi.

Kinney wstał.

- Zabierajmy się z tej gównianej nory, kurwa. - Położył dłoń na pasku pod koszulą.

- Jak wyciągniesz broń, wylądujesz w pace, o ile wcześniej cię nie zabiją.
- W upalne dni całkiem wariuję.
- Wyoście się wszyscy.
- To przez ciebie tak świruję?

Młody włóczęga śmiał się jak wariat i skakał w stronę drzwi, machając rękami jak małpa.

Houston też ruszył do wyjścia.

- Chodźcie, chodźcie, chodźcie - powtarzał. Był całkiem pewny, że dostrzeżę lufę broni za paskiem Kinneya.

- Widzicie, taki jest moke - powiedział włóczęga. - Wszyscy zachowują się jak twardziele. Atakujesz ich, to płaczą jak dzieci.

Każdy kupił butelkę Mad Dog 20/20 od sprzedawcy, który uparł się, żeby wzięli też po trzy bochenki Wonder Bread, ale to i tak był korzystny targ. Zjedli po kawałku chleba, resztę rzucili psom. Wkrótce też otoczeni watahą kundli pijani szli w kierunku olśniewająco białej plaży, czarnego morza i niebieskiej piany rozbijającej się na piasku.

Mężczyzna zatrzymał samochód, białego, oficjalnie wyglądającego forda galaxie, i opuścił okno. Miał na sobie mundur admirała.

- Chłopcy, diabelnie dobrze się bawicie?
- Tak jest, sir! - odparł Kinney, przykładając środkowy palec do czoła w geście salutowania.
- Mam nadzieję, cholera, bo ciężkie czasy przychodzą na takich dupków jak wy - powiedział admirał, po czym zamknął okno i odjechał.

Przez resztę popołudnia pili na plaży. Kinney siedział oparty o palmę. Menel leżał na plecach z winem postawionym na piersi.

Houston zdjął buty i skarpety, bo chciał poczuć piasek pod stopami. Czuł, jak serce mu rośnie. W tej chwili rozumiał znaczenie zwrotu „raj tropikalny”.

- Jeśli chodzi o tych moke - powiedział do towarzyszy - to myślę, że mają związek z Indianami z mojej okolicy. I nie tylko z nimi, ale z Hindusami i wszystkimi innymi, którzy podobnie wyglądają, mają w sobie coś orientального, i dlatego myślę, naprawdę tak myślę, że na ziemi wcale nie ma aż tak dużo różnych typów ludzi. I dlatego jestem przeciwko wojnie... - Dłonią, w której trzymał wino, zatoczył okrąg. - I dlatego jestem pacyfistą. - Cudownie było stać na plaży przed słuchaczami, gestykulować pół galonem wina i wygadywać kompletne brednie.

Ale Kinney zachowywał się niepokojąco. Z rozmarzonym wyrazem twarzy odwrócił butelkę do góry dnem nad swoimi błyszczącymi butami do garnituru i patrzył, jak wino kapie na noski. Obrzucił kilkoma garściami piasku menela, zasypując mu pierś, twarz, usta. Menel otarł się i udawał, że nie wie, co się stało.

Kinney zaproponował, żeby przenieśli imprezę do domu jego znajomego.

- Chcę, żebyś go poznał - powiedział do menela - i załatwimy te twoje brednie.

- Mnie to pasuje, dupku - odparł menel.

Kinney zetknął palec wskazujący z kciukiem.

- Przyciśniemy cię do ściany, zostanie ci tyle miejsca - powiedział.

Ruszyli przez plażę w stronę domu przyjaciela Kinneya. Houston cierpiał straszliwie, idąc boso najpierw po rozgrzanym piasku, potem po czarnym asfalcie.

- Gdzie masz buty, kretynie?

Houston niósł białe skarpetki w tylnej kieszeni dżinsów, ale buty zniknęły.

Przystanął, żeby za siedemnaście centów kupić japonki. Na Thunderbird była wyprzedaż, ale Kinney powiedział, że kumpel jest mu winien pieniądze i później pójdą do miasta.

Houston uwielbiał swoje buty barwy kości słoniowej. Żeby zachować ich biel, posypywał je talkiem. A teraz? Porwała je fala.

- Czy to jest baza wojskowa? - zapytał. Byli na osiedlu złożonym z tanych różowych i niebieskich domków.

- To są bungalowy - powiedział menel.

- Hej, jak ty się nazywasz, stary? - zapytał go Houston.

- Nigdy nie mówię.

- To kompletny gówniarz - powiedział Kinney.

Może te bungalowy sprawiały wrażenie slamsów, ale nie w porównaniu z tym, co Houston widział w Azji Południowo-Wschodniej. Mgiełka białego piasku pokrywała asfaltowe podjazdy i kiedy szli pomiędzy palmami kokosowymi, Houston słyszał z daleka bicie fal. Kilka razy był w Honolulu i bardzo je lubił. Panował tu duszny upał i odór jak wszędzie w tropikach, ale tu były Stany Zjednoczone i nie widać było ruin.

Kinney sprawdzał numery nad drzwiami.

- To dom mojego kumpla. Chodźmy od tyłu.
- Czemu nie zadzwonimy? - zapytał Houston.
- Ja nie chcę dzwonić do drzwi. A ty chcesz?
- O nie, stary. To nie jest mój kumpel.

Poszli za Kinneyem na tyły budynku.

W jednym z okien paliło się światło. Kinney stanął na palcach i zajrzał do środka, potem przycisnął się do palmy.

- Wyświadczyć mi przysługę, zastukaj w okno - powiedział do menela.
- Dlaczego ja?
- Chcę go zaskoczyć.
- A czemu?
- Zrób to, dobrze? Ten gość jest mi winien pieniądze i chcę go zaskoczyć.

Menel podrapał paznokciami po framudze. W środku zgasło światło, w oknie pojawił się mężczyzna, ledwo widoczny przez siatkę siatką na owady.

- O co chodzi?
- Greg - odezwał się Kinney.
- Kto tam jest?
- To ja.
- A niech mnie, Kinney.
- Słusznie, to ja. Masz dwieście sześćdziesiąt?
- Nie widziałem cię, stary.
- Masz moje dwieście sześćdziesiąt?
- Teraz wróciłeś na wyspę? Gdzie byłeś?
- Chcę moje dwieście sześćdziesiąt.
- Cholera, człowieku. Mam telefon, czemu nie zadzwoniłeś?
- Napisałem ci, że przyplływamy w pierwszym tygodniu czerwca. A według ciebie co mamy? Mamy pierwszy tydzień czerwca, a ja chcę moją forszę.

- Cholera, stary, ja ich nie mam.
- A ile masz, Greg?
- Cholera, stary, trochę mógłbym skołować.
- Kłamiesz, kurwa, od początku do końca - powiedział Kinney.

Wyciągnął zza pasa niebieską automatyczną czterdziestkę piątkę i wycełował w człowieka w oknie. Facet padł jak marionetka, której przecięto sznurki, i dokładnie w tej samej chwili Houston usłyszał eksplozję. Usiłował zrozumieć, skąd pochodzi ten hałas, znaleźć jakieś wytłumaczenie inne niż to, że Kinney strzelił tamtemu prosto w pierś.

- Ruszajcie się, już - powiedział Kinney.

W okiennej siatce widniała dziura.

- Houston!

- Co?

- Załatwione. Idziemy.

- Idziemy?

Houston nie czuł własnych stóp. Ruszał się, jakby był na kółkach. Mijali domy, zaparkowane samochody, budynki. Wokół nich nic się nie poruszało. Wydawało się, że pokonali długą drogę w najwyżej trzy, cztery sekundy.

Houstonowi brakowało tchu i był zlany potem.

- Śmierząca sprawa, stary - powiedział zwariowany menel. - Myślę, że w tej rozmowie byłeś górą.

- Nie zapominam o swoich dłużnikach. Nie wybaczam tym, którzy coś mi zrobili.

- Muszę się zbierać.

- Taa, lepiej idź, głupi skurwysynie.

- Gdzie jesteście? - zapytał Houston.

Menel poruszał się po skosie, z chodnika na jezdnię.

- Hej, nie podoba mi się twoja gęba - powiedział Kinney, kiedy tamten zaczął się oddalać. - Ty zwariowany zdraziecki tchórz.

- Co? Słuchaj, nie pogrywaj ze mną.

- Nie pogrywać z tobą?

- To chyba mój autobus - powiedział włóczęga, sprintem pobiegł przez ulicę pomiędzy hamującymi z piskiem autami, po czym schronił się za autobusem.

- Hej! Marine! Pierdol się! Taa! Semper fi! - zawołał za nim Kinney.

Houston zgiął się w pół i zwymiotował na skrzynkę pocztową.

Kinney nie wyglądał dobrze. Oczy przesłaniała mu tłusta mgła.

- Napijmy się - powiedział. - Piłeś kiedyś ubota? Kieliszek burbona w dzbanie piwa?

- Taa.

- Mógłbym sporo wypić tych drani.

- Tak, tak - powiedział Houston.

Znaleźli knajpę z klimatyzacją, Kinney kupił piwo i burbona, znalazł boks w mrocznym kącie i zaczął przygotowywać uboty.

- To nada ci rozpędu - powiedział. - Piłeś to kiedyś?

- Jasne, wrzucasz kieliszki do piwa.
- Piłeś to?
- No, wiem, jak to się robi.

Nie mając najmniejszego pojęcia, ile godzin mogło minąć, Houston obudził się spocony, pogryziony przez moskity i plażowe pchły, z bólem rozsadzającym czaszkę. Leżał na namokniętym materacu, który żywcem go pożerał. Pierwszą świadomą myślą było to, że widział, jak jeden człowiek strzela do drugiego, ot tak.

Wyglądało na to, że jest w jakiejś sypialni na otwartym powietrzu. Dowlóknął się do kąta, gdzie z kranu napił się słodkiej wody i wysikał się do zlewu, wpiersz usunawszy z niego mokre prześcieradło z wypaloną pośrodku wielką dziurą. Odnalazł swój zegarek, portfel, spodnie i koszulę, ale przypomniał sobie, że na plaży zgubił buty, i na pewno zostawił plecak w hostelu YMCA.

Japonki za siedemnaście centów odeszły same.

W portfelu miał piątkę i dwa centy. Z bambusowej podłogi zebrał dziewięćdziesiąt centów. Wyszedł na dwór, żeby się zorientować, gdzie jest.

W głowie mu się kręciło. Od wody, którą łapczywie połknął, od nowa robił się pijany.

Szyld głosił: HOTEL KING KANE. Pod nazwą widniało zdanie: MARYNARZE MILE WIDZIANI.

Rozglądał się za Kinneyem, ale nikogo nie widział, dokoła nie było żywego ducha, jak na bezludnej wyspie. Palmy, jasna plaża, mroczny ocean. Ruszył w kierunku przeciwnym niż na plażę, w stronę miasta.

Nie wrócił na Bonners Ferry. Nie miał zamiaru zbliżyć się do statku ani pojawiać nigdzie tam, gdzie mógłby wpaść na Kinneya, ostatniego człowieka, którego chciałby oglądać. Nie stawił się na statek i bez pozwolenia spędził dwa tygodnie na lądzie, nocując na plaży i jedząc raz na dzień w misji baptyistów. Kiedy miał całkowitą pewność, że Kinney znajduje się bliżej Hongkongu niż Honolulu, oddał się w ręce Straży Przybrzeżnej i spędził tydzień w areszcie.

Obniżono mu kategorię do E-3 i znowu był marynarzem, co oznaczało, że automatycznie stracił uprawnienia palacza. To była druga degradacja w jego karierze. Pierwsza nastąpiła z powodu „powtarzających się drobnych naruszeń regulaminu” podczas służby w bazie marynarki wojennej w zatoce Subie, kiedy to nabrał upodobania do przybytków uciech poza tejsze bazy terenem.

Następne osiemnaście miesięcy spędził na pracach porządkowych w bazie w Yokosuka w Japonii, głównie z brutalnymi, czarnymi, mało inteligentnymi kretynami i bezwartościowymi frajerami jak on sam. Częściej niżby chciał, przypominał sobie słowa admirała z Honolulu, który otworzył okno swojego białego forda galaxie i zapowiedział: „Nadchodzą ciężkie czasy”.

Jako że miał teraz dziewczynę, która na wszystko mu pozwalała, James na jakiś czas zapomniał o wojsku. Raz albo dwa razy w tygodniu ładował nadmuchiwany materac i śpiwór do pickupa matki, zabierał Stevie Dale z jej nieświadomego domu i kochał się z nią w chłodzie wczesnego poranka na pustyni. Każdej nocy po dwa, czasami trzy razy. Prowadził statystykę. Pomiedzy dziesiątym czerwca a dwudziestym października zrobili to co najmniej pięćdziesiąt razy. Ale na pewno nie sześćdziesiąt.

Stevie nie brała w tym udziału, leżała tylko. Chciał zapytać: „Podobało ci się?”. Chciał zapytać: „Nie mogłabyś się trochę poruszać?”. Ponieważ jednak po stosunku ogarniała go rozczarowanie i zwątpienie, nie był w stanie zupełnie się z nią porozumieć, mógł tylko udawać, że jej słucha. Mówiła o szkole, o przedmiotach, nauczycielach, cheerleaderkach (należała do zespołu, choć na razie jako rezerwowa, ale miała nadzieję, że w przyszłym roku wejdzie do podstawowego składu), słowa nieustannie wlewały mu się do ucha. Jej zadowolenie było pięścią głębiej wpychającą go do sedesu.

Miał więcej na głowie niż tylko życie miłosne. Martwił się matką. Nie zarabiała dużo w stadninie. Traciła siły. Wychudła, kości jej sterczały. Każde niedzielne przedpołudnie spędzała w kościele Tabernakulum Wiary i każde sobotnie popołudnie jechała sto mil do więzienia we Florence, by zobaczyć się ze swoim prawowitym mężem. James nigdy nie towarzyszył jej w tych pielgrzymkach, a Burris, niemal dziesięcioletni, nie chciał służyć jako eskorta, po prostu uciekał w płataninę okolicznych szop, przyczep i tumanów kurzu, kiedy w soboty i niedziele biedna staruszka przygotowywała się do drogi.

James nie wiedział, co czuje do Stevie, wiedział natomiast, że matka łamie mu serce. Ilekroć wspominał o wstąpieniu do wojska, sprawiała wrażenie, że zgodzi się podpisać papiery, ale gdyby zostawił ją teraz, co by się z nią stało? Nie miała na tym świecie nic oprócz swoich dwóch rąk i zwariowanej miłości do Jezusa, który ze swej strony najwyraźniej nigdy o niej nie słyszał. James podejrzewał, że matka się oszukuje, czepiając się Biblii i zawartych w niej obietnic jak owad siatki. Podjąwszy decyzję o zrezygnowaniu

ze szkoły i zaciągnięciu się do armii, przez wiele tygodni zwlekał, stojąc na szczycie wysokiej wieży. Albo na krawędzi gniazda.

- Mamo - powiedział - każdy orzeł musi latać.
- Więc leć - odparła.

Wojsko go odrzuciło. Nie przyjmowali niepełnoletnich.

- Siedemnastolatka wezmą marines, ale nie piechota - powiedział matce.

- Nie możesz poczekać pół roku?
- Raczej trzy kwartały.
- W szkole mógłbyś dojrzeć i wiele się nauczyć. Po zrobieniu matury byłbyś gotowy do służby, do przejścia przez służbę.

- Muszę teraz.
- Więc idź do marines.
- Nie chcę.
- Dlaczego?
- Są strasznie zarozumiali.
- W takim razie czemu rozmawiamy o marines?
- Bo piechota mnie nie przyjmie, dopóki nie skończę osiemnastu lat.
- Nawet jeśli podpiszę?
- Nieważne, kto podpisze. Potrzebuję metryki urodzenia.
- Mam twoją metrykę. Jest na niej napisane „1949”. Nie mógłbyś tego zmienić na „1948”? Przerób ósemkę na dziewiątkę.

W ostatni piątek października James po raz drugi zgłosił się do komisji poborowej z podrobioną metryką; wrócił do domu z poleceniem, żeby zgłosił się w poniedziałek.

Pierwsze dwa tygodnie szkolenia w Fort Jackson w Karolinie Południowej były najdłuższe w jego życiu. Każdy dzień wydawał się wiecznością wypełnioną niepewnością, poniżeniem, dezorientacją, zmęczeniem. Wszystko to ustępowało miejsca wszechogarniającemu przerażeniu, gdy zaczęła wypełniać mu umysł refleksja, że będzie zabijał i że sam może zostać zabity. Czuł się dobrze w polu, w szeregu, pośród innych, gdy wrzeszczeli jak potwory, dźgając bagnietami słomiane kukły. Zostawiony sam sobie, ledwo mógł zebrać myśli z powodu tego strachu. Ratowało go tylko znużenie. Doprowadzenie na skraj wytrzymałości fizycznej postawiło szklany mur pomiędzy nim a całą resztą: nie słyszał dobrze, nie potrafił sobie przypomnieć, na co przed chwilą patrzył, co mu pokazywano. Czekał tylko na sen. Śnił historyczne sny, ale spał tak długo, jak mu pozwalano.

Dostał przydział do Wietnamu. Wiedział, że już jest martwy. Nie złożył podania, nie pytał nawet, jak to zrobić, po prostu wręczyli mu jego los. Cztery dni po zakończeniu szkolenia niósł swój talerz w stołówce, czując w nozdrzach odór odgrzewanych gniecionych ziemniaków; miał wrażenie, że nogi ma jak z gumy, kiedy kroczył ku przyszłości pełnej pułapek i min lądowych: na patrolu w dżungli wysunie się za bardzo przed pozostałych, będzie na przedzie i nadeptnie na coś, co wyrwie mu żyły z ciała, rozrzuci go dokoła jak farbę, i zanim hałas uderzy go w uszy, nie będzie już miał uszu, może tylko zarejestruje cichutki syk. Nie miało sensu siedzieć tutaj i jeść lunch z podzielonej na przegródki tacy. Powinien ratować życie, zniknąć w jakimś wielkim mieście, gdzie kina ze sprośnymi filmami otwarte są na okrągło.

Dosiadło się do niego dwóch gości. Zaczęli mówić o śmierci na polu walki.

- Próbujecie wystraszyć mnie jeszcze bardziej? - zapytał James, siłąc się na żartobliwy ton.

- Są szanse, że nie zginiesz.

- Zamknij się.

- Naprawdę, tam wcale nie dochodzi do wielu bitew.

- Widzicie tamtego faceta? - zapytał James. Wszyscy spojrzeli: trzy stoły dalej siedział bardzo niski czarny w połowym mundurze, sierżant. Nie wyglądał na dostatecznie dużego, żeby wstąpić do wojska, ale na jego piersi widniało wiele baretek, w tym błękitna z pięcioma białymi gwiazdkami oznaczająca Medal Honoru przyznawany przez Kongres.

Zawsze gdy widzieli żołnierza z odznaczeniami, James i pozostali specjalnie przechodzili tuż obok niego, żeby uważniej się przyjrzeć. To było coś, no nie? - to picie kawy z duszą stwardniałą i osmaloną od heroicznych czynów, podczas gdy smarkacze przechodzą obok ze ściśniętym brzuchem, usiłując się nie gapić. Ale żeby mieć tę przyjemność, musisz wrócić do domu żywy.

Tamci poszli, a James wrócił do kolejki po repetę. Ludzie narzekali na jeżdżenie, dlatego James także narzekał, ale w gruncie rzeczy je lubił.

Czarny z niebieską baretką na piersi gestem przywołał go do swojego stołka.

James nie widział innego wyjścia, jak wykonać polecenie.

- No, siadaj - powiedział sierżant. - Masz ten wygląd.

- Taa? Jaki wygląd?

- Siadaj - powtórzył sierżant. - Aż taki czarny nie jestem.

James usiadł.

- Mówię, że masz ten wygląd.
- Taa?
- Wygląd mówi: chcę jeździć czołgiem albo pracować przy silnikach helikopterów, ale zamiast tego wysyłają mnie do dżungli, skąd żywy nie wyjdę.

James nie odpowiedział, chociaż w duchu z tego powodu płakał.

- Powiedział mi twój sierżant, Conrad, Conroy.
- Sierżant, taa. - James był okropnie zdenerwowany. - Sierżant Connell.
- Więc czemu nie pomyślałeś o zgłoszeniu się gdzie indziej na ochotnika, żeby się wypłatać?

Teraz James bał się, że wybuchnie śmiechem.

- Bo jestem głupi.
- Idziesz do dwudziestej piątej, tak? Która brygada?
- Trzecia.
- Ja jestem z dwudziestej piątej.
- Taa? Poważnie?
- Ale nie z trzeciej brygady, tylko z czwartej.
- Trzecia... oni, oni, no wie pan, walczą?
- Niektóre oddziały tak. Niestety tak.

James czuł, że gdyby tylko stać go było na wyznaczenie: „Sierżancie, nie chcę walczyć”, uratowałby się na pewno.

- Martwisz się, że cię zabiją?
- W pewnym sensie, to znaczy tak.
- Nie masz się czym martwić. Zanim Rzecz cię pożre, będziesz pusty, bez jednej myśli w głowie. Pozostanie tylko zamęt.

Jamesa nie do końca pocieszyło to stwierdzenie.

- Tak. - Mały czarny mężczyzna zgiął się nad stołem, pośpiesznie przebijając palcami. - Chodź tu. Posłuchaj. - James pochylił się ku niemu, trochę się obawiając, że tamten złapie go za ucho albo coś w tym rodzaju. - W strefie walk nie chcesz być szpilką na mapie. Wcześniej czy później wróg zacznie z ogromną siłą walić młotkiem w tę szpilkę. Musisz mieć jakieś możliwości ruchu, no nie? Musisz mieć jakiś udział w decydowaniu. Dlatego zgłaszasz się do oddziałów rozpoznania. Przyjmują do nich na ochotnika. I ty to zrobisz. Potem nigdy, przenigdy nie zgłosisz się do niczego na ochotnika,

nawet żeby skoczyć do łóżka z rozgrzaną do czerwoności kobietką, nawet z dziewczyną Jamesa Bonda. To zasada numer jeden, nigdy nie zgłaszać się na ochotnika. Zasada numer dwa, kiedy jesteś w obcym kraju, nie traktujesz brutalnie kobiet, nie robisz krzywdy zwierzętom domowym, a jeśli to możliwe, nie niszczysz dobytku, wyjątkiem jest palenie chat, to należy do obowiązków.

- Ma pan Medal Honoru.
- Tak. Słuchaj, co mam do powiedzenia.
- Dobra. Okay.
- Mogę być czarny jak węgiel, ale jestem twoim bratem. Wiesz, dlaczego?
- Chyba nie wiem.
- Bo jedziesz do dwudziestej piątej jako wymiana, tak?
- Tak jest, sir.
- Nie mów tak do mnie. Nie jestem sirem. Jedziesz do dwudziestej piątej, racja?
- Racja.
- Okay. I wiesz co? Ja przyjechałem z dwudziestej piątej. Z czwartej brygady, nie z trzeciej, ale i tak mogę być tym, którego wymieniasz. Więc mówię ci o ważnych rzeczach.
- Okay. Dzięki.
- Nie, to ja ci dziękuję, nie ty mnie. Wiesz dlaczego? Bo może jedziesz na moje miejsce.
- Proszę uprzejmie - powiedział James.
- Weź pod rozwagę moje słowa.
- Tak zrobię.

Jamesowi podobał się sposób, w jaki mówili w piechocie, i próbował mówić tak samo. Możliwość ruchu. Szpilka na mapie. Potężna siła. Pod rozwagę. Tych samych zwrotów używał sierżant, kiedy dwa tygodnie temu wygłaszał pogadankę. Teraz brzmiała w nich prawda, wydawały się sensowne. Jedno wynikało z nich jasno: jeśli musisz być trepem, równie dobrze możesz być zwiadowcą.

Po ponad roku spędzonym w Stanach, w Kalifornii, z czego dwa miesiące był w Instytucie Językowym Departamentu Obrony w Carmel i niemal dwanaście w Szkole Poddyplomowej Marynarki Wojennej w Monterey, Skip Sands wrócił do Azji Południowo-Wschodniej i gdzieś pomiędzy Honolulu a wyspą

Wake, gdy leciał wiele kilometrów nad Pacyfikiem w boeingu 707, wkroczył w cień tajemnicy, która miała go pożreć.

Po wylądowaniu w Tokio poleciał do Manili, stamtąd pojechał pociągiem do podnóża góry na północy, następnie wsiadł do samochodu, który zawiózł go do ośrodka w San Marcos. Był gotów na spotkanie z Eddiem Aguinaldo, a także cieszył się na bezsensowne, męczące nocne patrole w dżungli, ale na miejscu przekonał się, że z patroli zrezygnowano, a Eddiego Aguinaldo nigdzie nie ma. Uznano, że przepędzono Huków z tej okolicy. Anders Pitchfork wyjechał. Za towarzystwo Sands miał tylko personel i czasami ludzi z Manili, zwykle przemęczonych kurierów, którzy ciągle spali. Czekał prawie miesiąc, aż jeden z nich przyniósł mu wiadomość od pułkownika.

Wiadomość przybyła w torbie kuriera na pocztówce przedstawiającej pomnik Waszyngtona. Przyklejona do rogu żółta taśma ostrzegała: PRZECHOWYWAĆ DOKUMENTY OFICJALNE W OPAKOWANIU/KORESPONDENCI WINNI KORZYSTAĆ Z KOPERT/DZIEKUJEMY/ POCZTA STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

Życzenia wesołych świąt Bożego Narodzenia cokolwiek przedwcześnie.

Pakuj archiwum, cały cyrk. Jedź do Manili. Zgłoś się w Sekcji. Jestem w Langley, odbijam biurko od ściany. W zeszłym tygodniu byłem w Bostonie. Twoja ciotka i kuzynowie przesyłają najserdeczniejsze życzenia. Do zobaczenia w Sajgonie. Wuj FX.

Ale archiwum było już spakowane, tak przynajmniej założył Skip. Pierwszego dnia po powrocie w szafie, w której je zostawił, znalazł trzy wojskowe oliwkowe szafki na kółkach. Na pokrywie każdej wypisano ołówkiem nazwisko „Benét W. E” (akcent zaznaczono miękkim długopisem) i każda miała solidne kłódki.

Nie poinformowano go, gdzie są klucze do tych skarbców, zostawił więc sprawę na inny dzień, po czym wykonał następny punkt instrukcji, czyli pojechał do ambasady w Manili samochodem niemal po dach wylądowanym projektem wuja. W ambasadzie polecono mu, by tym samym samochodem udał się do oddalonej kilka mil od miasta bazy sił powietrznych Clark, gdzie miał wsiąść do wojskowego samolotu lecącego do Wietnamu Południowego.

Nazajutrz przypadał sylwester. Zgodnie z planem w Nowy Rok miał wylicieć z bazy Clark na lotnisko Tan Son Nhut niedaleko Sajgonu.

Wreszcie! Czując się tak, jakby już wystartował, siedział w samochodzie na Dewey Boulevard i patrzył na słońce zachodzące nad Zatoką Manilską.

Żeby się uspokoić, w oszałamiających promieniach słonecznych przejrzał pocztę. Rocznik absolwentów Bloomington. „Nesweek” i „U.S. News and World Report”, oba czasopisma sprzed wielu tygodni. W wielkiej szarej kopercie znalazł ostatnią część korespondencji z Kalifornii, przesłaną na jego adres poczty wojskowej. Te listy ściagały go przez dwa miesiące. Od ciotki Grace i wuja Raya, najstarszego z czworga rodzeństwa ojca, nadeszła koperta, w której coś się poruszało, nowa półdolarówka z Johnem F. Kennedym, jak się okazało, oraz kartka z Hallmarku; moneta była przyklejona do kartki, ale oderwała się na którymś etapie podróży, wynoszącej piętnaście tysięcy kilometrów. Dwudziestego ósmego października Skip skończył trzydzieści lat i dla uczczenia tej przełomowej okazji dostał pięćdziesiąt centów, dwa razy więcej niż zwykle, takiemu dużemu chłopcu nie można dawać ćwierćdolarówek.

Była też rzecz rzadka: list od wdowy Beatrice Sands, matki Skipa, dość gruby. Nie otworzył go.

I był list od Kathy Jones. W zeszłym roku przysłała mu kilka, każdy następny był bardziej zwariowany od poprzedniego; wszystkie zachował, ale przestał odpowiadać.

Jesteś wreszcie w Wietnamie? Może w sąsiedniej wiosce? Zapraszam do Biblii na szerokim ekranie i w technicolorze. Ale tutaj dobrze jest nie pochodzić z Twoich Stanów Zjednoczonych Ameryki. Zbyt wiele urazów. Choć Francuzi tak im nie przeszkadzają. Pokonali Francuzów.

Pamiętasz Damulog?

W następnym akapicie rzuciło mu się w oczy słowo „romans” i dalej nie czytał.

Od pułkownika żadnych nowych wiadomości.

Nie widział wuja od czternastu miesięcy i doszedł do wniosku, że jeden lub obaj zostali odsunięci z powodu wątpliwej sprawy w Mindanao. W każdym razie coś trzymało obu z daleka od działania. Skip skończył kurs wietnamskiego w Instytucie Językowym Departamentu Obrony i to, co z początku wyglądało na absolutnie rozsądny wstęp do objęcia placówki w Sajgonie, zmieniło się w jedenaście dezorientujących miesięcy spędzonych z ekipą trzech innych tłumaczy, z których żaden nie był Wietnamczykiem; pracowali nad projektem wątpliwej przydatności, innymi słowy kompletnym szaleństwem:

stworzeniem encyklopedii mitologicznych odniesień do siedmiuset tomów literatury wietnamskiej. Projekt realizowany był głównie w trzech pomieszczeniach na parterze Szkoły Poddyplomowej Marynarki Wojennej w Monterey, a praca polegała na spisywaniu, kategoryzowaniu i katalogowaniu baśniowych postaci.

Jak rozumiał, to było wkładem wuja w działanie Grupy Operacji Psychologicznych przy MAC - Vietnam*, w której wuj obecnie służył, co Skip także rozumiał, jako główny łącznik CIA. Prawdę mówiąc, pułkownik nieoficjalnie dowodził grupą z ramienia MAC-V. Tak przynajmniej wynikało ze słów oficera CIA z Langley nazwiskiem Showalter, który kontrolował ekipę tłumaczy mniej więcej raz na miesiąc. Zanim się Skip obejrzy, będzie pomagał pułkownikowi.

* Military Assistance Command - Vietnam: Dowództwo Pomocy Wojskowej dla Wietnamu.

- Kiedy mnie tam chce?
- Około stycznia.
- Cudownie - odparł Skip, wściekły z powodu zwłoki. Rozmowa miała miejsce w czerwcu.

Ten fantastyczny projekt zakończył się nagłym przeniesieniem w inne miejsce wszystkich jego uczestników, którzy spakowali i przesłali do Langley beużyteczne materiały.

Otworzył list od matki.

„Kochany Synu Skipperze” - jej dłoń zapełniła kilka wielkich stron okrągłym, pochyłym, wielkim pismem:

Nie piszę często, więc zacznę od tego, że nic złego się nie stało. Nie chciałabym, żebyś myślał, że tylko złe wiadomości mogłyby skłonić mnie do wysłania Ci pozdrowień. Jest wręcz przeciwnie, mamy piękny dzień babiego lata. Niebo błękitne, bez śladu chmur. Przejeżdżające pociągi brzmią inaczej wśród liści zmieniających kolory, teraz jest przyjemnie, niedługo usłyszymy ten samotny zimowy gwizd. W południe jest tak ciepło, że chcesz w domu poczuć wiatr. Przy otwartych oknach słychać śpiew epoletników. I trawa wciąż wyrasta, widać, w których miejscach trzeba ją jeszcze skosić, zanim naprawdę zacznie się jesień. Kiedy zobaczyłam, jak piękny jest dzień, pomyślałam: „Napiszę list!”

Dziękuję Ci za pieniądze. Kupiłam nową suszarkę do pralki. Jest teraz pełna ubrań i chodzi na okrągło. Ale przy takiej ładnej pogodzie

wolę wielkie rzeczy, takie jak prześcieradła i poszwy, wywiesić na sznurze przed domem i tak właśnie zrobiłam. Powiesiłam prześcieradła na sznurze jak za starych czasów. Tak, zamówiłam suszarkę, nie kupiłam telewizora. Powiedziałeś, żebym kupiła, ale tego nie zrobiłam. Kiedy mam ochotę na rozrywkę, sięgam na półkę po Magazyn osobliwości, Emmę albo Silasa Marnera, czytam jakiś fragment i dziewięć razy na dziesięć muszę wracać do początku. Po prostu muszę. To są starzy dobrzy przyjaciele.

Mówiłam ci, że stary walebnny Pierce przeszedł na emeryturę. W kościele jest nowy człowiek, pastor Paul. Całkiem młody. Na nazwisko ma Conniff, ale wszyscy mówią na niego pastor Paul. Wprowadza nowe zwyczaje. Zainteresował mnie, więc całą zeszłą zimę chodziłam co niedziela, potem pogoda zelżała, słońce świeciło, miałam dużo zajęci nie byłam chyba od początku kwietnia. Nie mam telewizji, ale staram się być na bieżąco z wiadomościami. Są okropne, prawda? Nie wiem, co myśleć. Czasami żałuję, że nie mogę kogoś zapytać, co myśleć, ale potem dochodzę do wniosku, że lepiej tego nie robić. Wiem, że zaczęłam pracować dla rządu, żeby służyć światu, ale nasi przywódcy wysyłają dobrych chłopców, żeby niszczyli inny kraj i może tracili życie bez żadnego sensownego wytłumaczenia.

Cóż, minęło pół godziny od ostatniego zdania. Ta nowa suszarka zadzwoniła i musiałam pobiec poskładać pościel, póki jest gorąca. Wybacz, że piszę o takich rzeczach. Może wrócę do początku i napiszę list odnowa, wykreślę niemile rzeczy i wyślę tylko przyjemne. Nie, lepiej nie. Wojna oznacza co innego dla mnie niż dla generałów i żołnierzy. Siódmego grudnia minie dwadzieścia siedem lat, odkąd straciliśmy Twojego ojca, a ja codziennie żałuję, że tak się stało. Po pewnym czasie miałam innych partnerów i spędziłam trochę czasu z Kennethem Brookiem, zanim podjął pracę w Northwest Airlines, ale było dla nas trochę za wcześnie, jeszcze sobie wszystkiego nie uporządkowaliśmy, Ken i ja, więc kiedy przeprowadził się do Minneapolis, skończyło się. Myślę, że w przeciwnym razie moglibyśmy się zaręczyc, co oznacza, że miałbyś ojczyma. Ale to nie należy do tematu. A co było tematem? Boże, lepiej nie wyślę tego listu! Nie wiem, czy się orientowałeś, że sprawa między mną a Kenem Brookiem była dość poważna. Pamiętasz go w ogóle? W co drugie Boże Narodzenie przyjeżdża z rodziną do swoich rodziców i siostry. W pozostałe jeździ do miasta, z

którego pochodzi jego żona, nie wiem, gdzie to jest. Ojej, mam jeden z tych dni.

Lepiej wyciągnę starą kosiarkę i skoszę podwórkę ostatni raz w tym roku. Muszę ją naoliwić. Przez całe lato robiły to dzieci, któryś z synów Straussów, Thomas albo Daniel, ale teraz są w szkole. Na zmianę przychodzili z wielkim i hałaśliwym potworem na gaz swojego taty. Za każdym razem dostawali dwa dolary. Ta stara kosiarka to moja przyjaciółka. Pamiętasz, jak kosiłam podwórkę - „I trzymaj palce daleko od ostrzy!” - tak krzyczałam, jakby ostrza mogły skoczyć i odciąć Ci palce, nawet gdy spokojnie sobie stała. A potem pewnego dnia słyszę szum, więc patrzę przez okno i oto nadchodzi Skipper, kościstymi ramionkami pchając kosiarkę pod oknem jak Mała Maszyna, Która Wszystko Może. Za pierwszym razem skosiłeś całe podwórkę. Mam nadzieję, że to pamiętasz, bo ja pamiętam dokładnie. Mam nadzieję, że pamiętasz, jak dobrze się czuleś, bo wtedy też będę się tak czuła.

Jestem Ci wdzięczna za krótkie liściki, które przysyłasz. Ludzie pytają o Ciebie i miło mi, że mam nowe wiadomości. Uczęszcza do Instytutu Językowego, robi studia podyplomowe, pracuje w ambasadzie, wszystko to robi wrażenie, czuję się jak gwiazda.

Mieliśmy dzisiaj piękny dzień, ale koło trzeciej po południu zerwał się wiatr, prześcieradła kołysały się i trzepotały na sznurze. Są wtedy najbardziej białe, kiedy suszą się na słońcu i wietrze. I mamy szczęście z tym wiatrem, bo tory są całkiem blisko, ale wiatr zawsze wieje w przeciwnym kierunku i nie przynosi do nas żwiru. Cieszę się, że mieszkam po tej stronie torów! Pamiętam, jak zobaczyłam Cię przechodzącego pod tym oknem. W ułamku sekundy zobaczyłam siłę Twojego charakteru. Kiedy Cię zobaczyłam, pomyślałam sobie: jest energiczny jak jego tata, w college'u utrzyma się dzięki pracy i stypendiom, nic nie powstrzyma tego malca. A teraz ciągle studiujesz, ciągle robisz kolejne dyplomy. Wojsko, marynarka, ambasada, wygląda na to, że wszyscy Cię potrzebują.

W tym miejscu, na sześć wersów przed końcem, przestał czytać i sklął samego siebie. Spędził czternaście miesięcy w Stanach, przed wyjazdem mógł wziąć wolne i odwiedzić matkę. Ale jej unikał. Jasne: wojna, intrygi, przeznaczenia - nie ulega wątpliwości, że stawiał im czoło. Ale proszę, nie mama. Nie jej pranie trzepoczące w smutkach wiosny. Nie Clements w Kansas z

historyczną licencją na bycie małym, biednym i ciasnym. Trudno sobie wyobrazić, żeby mógł uciec dalej niż tu, do Manili, mniej więcej czternaście stopni szerokości geograficznej północnej i pięćdziesiąt siedem stopni długości geograficznej wschodniej. Ale to nie było dostatecznie daleko. Bolała go myśl, że matka jest zupełnie sama. Zwłaszcza po czasie spędzonym w Instytucie Językowym. Pułkownik dotrzymał słowa („Poślę cię do szkoły, załatwimy to”) i Skip tuż przed Świętem Dziękczynienia w 1965 roku został przeniesiony do instytutu na wysokim urwisku nad Carmel. Z okien rozciągał się widok na mgłę wiszącą nisko nad wybrzeżem, na mgłę unoszącą się wyżej nad ziemią albo w pogodne dni na czysty Pacyfik, który na nieszczęście został mu całkowicie odebrany, kiedy bez reszty pogrążył się w nauce wietnamskiego, co oznaczało przez pierwszy miesiąc zamknięcie przez miesiąc w budynku, a przez kolejny przepustki tylko w weekendy. Na pierwszej przyjął komunię w położonym kilka kilometrów dalej klasztorze Sióstr Notre Dame de Namur, otwartym dla wiernych w czasie porannej niedzielnej mszy Zebrani siedzieli twarzami do ołtarza, a siostry, odcięte od świata swoimi ślubami, siedziały albo stały za ścianą, ukryte nawet przed rodzinami, które z ławek usiłowały złapać widok dłoni zakonnice, kiedy przez małe okienko odbierały Ciało Chrystusa. Ich widok tamtego poranka, dzisiejsze rozważania sprawiły, że jego więzy stały się luźniejsze. Czy złożył śluby odosobnienia? Nie. Niezależnie od okoliczności, w jakich się znajdował, był wolny, walczył o wolność dla wszystkich. Jego matka natomiast: tu jakieś śluby zostały złożone. Nastąpił rodzaj odgradzenia się od świata.

Skip, modlę się za Ciebie i cały kraj. Znowu zacznę chodzić do kościoła.

Przepraszam, że rzadko piszę, jestem wdzięczna za Twoje listy, ale żeby wzięła się za pióro i papier, musi być specjalny dzień.

Proszę, masz kolejny list!

*Myślę o Tobie,
Mama.*

Poradziwszy sobie z tym listem, Skip poczuł, że mógłby stawić czoło korespondencji od Kathy Jones, ale zrobiło się za ciemno, by czytać.

Spędził sporo czasu nad pocztą, a taksówka nie przejechała nawet połowy przecznic.

- Coś się dzieje? - zapytał taksówkarza. - Jakież problemy?
- Coś opóźnia.

Daleko za łukiem bulwaru odwzorowującym kształt zatoki światła samochodów poruszały się bez ograniczeń, oni natomiast utknęli.

- Zaraz wrócę - powiedział Skip. Wysiadł i ruszył w stronę zatoru, okrążając stojące samochody, klucząc pomiędzy cuchnącymi kałużami. Okazało się, że powodem jest wielki miejski autobus, który zatrzymał jeden człowiek, chwiejący się na środku ulicy pijany z zakrwawioną twarzą, w podartym T-shircie. Najwyraźniej pobity przez kogoś, szlochał przed autobusem, największym pojazdem, jakiemu mógł stawić czoło. Klaksony, głosy, silniki. Trzymając się w cieniu, Skip obserwował tę scenę: wykrzywiona w pasji, błyszcząca w świetle reflektorów skrwawiona twarz, odrzucona do tyłu głowa, ręce bezwładne, jakby mężczyznę za pachy powieszono na hakach. To śmierdzące rozpaczliwie miasto. Nappełniało go radością.

Na czas przepustki Jamesa matka wzięła trzy dni wolnego ze stadniny i całymi godzinami oglądali telewizję w małym domu na skraju pustyni. W dniu jego przyjazdu rozpakowała mu zielony wyjściowy mundur i wyprasowała zagięcia parowym żelazkiem.

- Teraz robisz coś dla swojego kraju - powiedziała. - Musimy sprzeciwić się komunistom. To bezbożnicy.

Może i miałyby to jakieś znaczenie, gdyby tak samo nie mówiła o Żydach, katolikach i mormonach.

Kiedy staruszka wróciła do pracy, James widywał się ze Stevie Dale. W wigilijne popołudnie pojechali we dwójkę pickupem jego matki na skraj wzgórz przy Carefree Highway, do miejsca, gdzie rozbił się samochód i zginął kierowca.

- Widzisz? - powiedziała Stevie. - Uderzył w kaktus saguaro, potem w drzewo paloverde, a w końcu w tę wielką skałę.

Kilka dni wcześniej ratownicy odciągnęli poczerwiałą wrak od głazu, ale jeszcze nikt go nie zabrał. Samochód dachował i spłonął.

- Kierowca musiał wylecieć.
- Tylko on był w samochodzie. Poza nim droga była pusta.
- Pewnie był spóźniony.

Wypili po kilka piw i Stevie szybko się wstawiła. Siedzieli i patrzyli na wrak przypominający osmałoną, odwróconą dłoń.

- Kierowca spalił się w środku - powiedziała Stevie.
- Mam nadzieję, że stracił przytomność. Dla jego dobra - odparł James.

Samochód był czerwony, ale ogień roztopił lakier, odsłaniając płyty gołego,

jasnego metalu. To mógł być Chevrolet, choć teraz trudno było to stwierdzić.

- Wszyściutko na świecie powoli się pali - powiedziała Stevie.
- Taa? Naprawdę? Nie łapię.
- Wszystko się utlenia. Wszyściutko na świecie.

Wynioskował, że zdobyła tę informację na lekcjach chemii.

Podczas szkolenia ciągle o niej myślał, choć nie było w tym nic osobistego. Równie często myślał o co najmniej siedmiu innych dziewczynach z liceum. Będąc z nią tutaj, czuł się jak w imadle, mimo że otaczała ich otwarta przestrzeń.

- Mogę cię o coś zapytać? Czy jak robiliśmy to pierwszy raz, byłaś, no wiesz, byłaś dziewicą? Czy to był twój pierwszy raz?

- Pytasz poważnie?
- Uhm. Taa.
- Żartujesz sobie?
- Taa. To znaczy nie.
- Za kogo właściwie mnie bierzesz?

- Tylko pytałem.

- Tak, byłam dziewicą. To nie jest coś, co robi się codziennie, w każdym razie ja tego nie robię. Myślisz, że kim jestem, jakąś motocyklową ma-muśką?

James wybuchnął śmiechem i Stevie się rozplakała.

- Stevie, Stevie, Stevie - powiedział - przepraszam.

Cieszył się, że jest Wigilia. Następnego dnia Stevie spędzi z rodziną i nie będzie musiał się z nią spotykać.

Ale to tylko piwo tak na nią działało i po dwóch minutach przyjęła jego przeprosiny.

- Zachód słońca zawsze jest piękny, kiedy na niebie są chmury - powiedziała.

O zmierzchu szybko się ochłodziło. James czuł zrywający się wiatr, ostatni ciepły oddech dobiegającego końca dnia. Stevie całowała go wiele razy.

W Karolinie Południowej traktowali go jak bestię i przetrwał. Stał się większy, silniejszy, starszy, lepszy. Ale wróciwszy do świata, w którym wyrósł, nie miał pojęcia, jak siedzieć w pokoju z matką albo co powiedzieć tej szesnastolatce, nie wiedział, co zrobić z tymi kilkoma dniami poprzedzającymi wyjazd do Luizjany na zaawansowane szkolenie piechoty, gdzie znowu będą mówić mu, co robić.

- Jutro szybko załatwimy prezenty i resztę - powiedziała Stevie, kładąc czule palce na jego karku. - O której chcesz po mnie przyjechać?

Kiedy zastanawiał się nad tym prostym pytaniem, zdawało się nabierać objętości, aż wreszcie przecięło jego myśli na pół.

Nacisnął klamkę, wysiadł na powietrze, podszedł do spalonego wraka i stanął pochylony, dłonie opierając na kolanach, ledwo utrzymując równowagę, ze wzrokiem uniesionym ku zimowemu horyzontowi. Pragnął, by ktoś wyszedł z różowo-błękitnej mgły i uratował go. W oddali zobaczył migotliwy miraż - albo straszną śmierć w płomieniach w Wietnamie, taką jaką spotkała mężczyznę wydobytego z poczerńskiego chevroleta, albo paradę lat wypełnionych pytaniami Stevie i pieczątką jej palców na jego karku.

Sands spędził noc w prywatnym pokoju z łazienką w kwaterach dla samotnych oficerów w bazie Clark, gdzie zasadniczo panowała atmosfera akademika, drzwi otwierały się i zamykały, północy młodzi mężczyźni pokrzykiwali na korytarzach, szumiały prysznice, piosenki Nancy Sinatry walczyły z instrumentalnymi bossa novami Staną Getza, w powietrzu unosił się zapach dezodorantu Right Guard. Skip przyjechał tu o ósmej wieczorem. Razem z kierowcą wnieśli szafki do pokoju. Z nikim nie rozmawiał, wcześniej się położył, nazajutrz wstał późno - był sylwester - wsiadł do autobusu i poprosił filipińskiego kierowcę, żeby wysadził go tam, gdzie może dostać śniadanie.

W taki oto sposób Sands trzydziestego pierwszego grudnia 1966 roku o dziewiątej rano znalazł się w barze przy kręgielni już o tej porze pełnym lotników poprawiających wyniki przy akompaniamencie stuków. Jadł jajka z bekonem z plastikowego talerza przy stoliku koło wielu, wielu torów i obserwował graczy. Pomimo hałasu niektórzy mieli w sobie jakąś cichą ukradkowość, przyczajone skupienie aportującego psa. Inni ciężko biegli i rzucali kulą jak miotacze. Skip nigdy nie grał w kręgle, nigdy przedtem nawet nie przyglądał się grze. Jej atrakcyjność rzucała się w oczy, czysta geometria, pewność wynikająca z praw fizyki, organiczne bogactwo drewnianych torów i niema słuźalczność maszynierii, która unosiła stojące i zmiatała przewrócone kręgle, a nade wszystko beznadziejność i napięcie, kula brana w dłoń, kula wyceLOWANA, kula tocząca się w dal jak sen, kula, na której bieg w żaden sposób nie można już wpłynąć. Powolna, wielka, potężna gra. Sands postanowił, że spróbuje, kiedy tylko śniadanie uleży mu się w żołądku. Tymczasem pił czarną kawę i czytał list od Kathy Jones. Pisała starannie, niebieskim piórem wiecznym, na szorstkim i szarawym, przypuszczalnie wietnamskiej produkcji pelurze. Pierwsze listy były bezpośrednie, gawędziarskie, samotne, uczuciowe.

Zastanawiała się, czy możliwe jest ich spotkanie w Sajgonie, i Sands myślał o tym z radością. Ostatnie natomiast, zawierające zawile, bezładne rozmyślenia -

*Przez całe życie miałam do czynienia z dżokerami. Tylko z dżokerami. Żadnych asów, żadnych królów. Timothy był pierwszym asem, to on przedstawił mnie Królowi - Jezusowi Chrystusowi. Wcześniej studio-
wałam w college'u w Minneapolis. Straciłam jednak zapal, rzuciłam
więc szkołę, pracowałam jako sekretarka i co wieczór chodziłam na
kocktajle z młodymi facetami, którzy pracowali w śródmieściu, z mło-
dymi dżokerami.*

- były bezosobowe, równie dobrze mogły zostać wydarte z czasopisma. Skip nie potrafił ich znieść. Przestał wyczekiwać na kolejne spotkanie z Kathy.

*Ludzie w krajach, które odwiedzamy - spójrz na tych ludzi. Rodzą się,
żyją i umierają pod dyktaniem okoliczności, nigdy nie powiedzą: chcę
mieszkać tam, a nie tu, wolę być kowbojem niż rolnikiem. Nawet nie
mogą być rolnikami, są tylko ogrodnikami. Sadzą rośliny. Zbierają.*

Początkowo jej listy nie były długie, zwykle zajmowały obie strony kartki, i kończyły się zdaniem: „Ręka odmawia mi posłuszeństwa! W takim razie to tyle. Twoja Kathy” albo „Widzę, że wyczerpałam miejsce. W takim razie to tyle. Twoja Kathy”. Początkowo Skip odpowiadał, zawsze bardzo krótko. Miał nadzieję, że nie szorstko. Nie wiedział jednak, o czym pisać. Natura ich związku, dostatecznie jasna, gdy się spotykali, teraz nabrała tajemniczości.

*Jeśli chodzi o kontrast pomiędzy możliwością wyboru a całkowitym
brakiem wolności wyboru, sprawy bardzo się komplikują. Wy, Amery-
kanie - wasze wojska z wyboru toczą tę wojnę. Wasi wrogowie nie ma-
ją wyboru. Urodzili się w kraju, w którym toczy się wojna.*

*A może rzecz nie jest taka prosta: Stany Zjednoczone kontra Wiet-
nam Południowy, nie, to młodzi mężczyźni zmuszeni do wojny prze-
ciwko tym, którzy wojnę wybrali, umierający żołnierze przeciwko teo-
retykom, dogmatykom i generalom.*

Sands już dawno stracił cierpliwość do tego rodzaju topornego myślenia. Czy ona chciałaby widzieć popiersie Lenina w progu każdej szkoły? Brać udział w obsceniczej ceremonii burzenia Statui Wolności? Jasne, że by chciała. I to właśnie w niej go pociągało. Zawsze zwracał uwagę na krótkowzroczne, sardoniczne intelektualistki. Kobiety błyskotliwe i okaleczone smutkiem. W jej twarzy mieszanka agresji i przeprosin. Dobre brązowe oczy.

Pamiętasz, jak pytałeś mnie o miejsce w Biblii, w którym mowa o różnych administracjach na ziemi, a ja odpowiedziałam, że nie wydaje mi się, by coś takiego było? Miałaś rację, Pierwszy List do Koryntian, 12, 5-6 i dalej. „Istnieją też różnice w sprawowaniu, ale jeden Pan, różne są wreszcie działania, lecz ten sam Bóg, sprawca wszystkiego we wszystkich”.

To musi przemawiać do wojskowego takiego jak ty! (Wciąż nie wierzę, że pracujesz dla Del Monte.) Jeśli chcesz trwać w przekonaniu, że różne anielskie wydziały odpowiadają za różne części naszego ziemskiego cyrku, nie będę cię obwiniać. Samo tylko przeniesienie się z lotniska w Manili na lotnisko Tan Son Nhut w Sajgonie byłabym niemal gotowa nazwać przejściem spod władzy jednych bóstw pod władzę innych, różnymi wszechświatami, a przecież oba znajdują się na jednej planecie.

A skoro o tym mowa, w Ameryce Północnej rozmaicie hiszpańscy księża (sam Kościół katolicki?) musieli wierzyć, że niektóre obszary znajdują się pod kontrolą Diabła albo Chrystusa, i stąd miejsca o nazwach „Mt. Diabło”, „Sangre de Cristo Mountains” i tak dalej.

Wsunął list pod kubek z kawą. Nie będzie się teraz na nim skupiał. Podróż go podniecała. Ten świat się kończy, następny zaczyna, otacza go hałas i ruch, czarne planety toczą się po torach, rozbijają konstelacje drewnianych kręgli. Po powrocie do pokoju w ruch poszły inne rzeczy: mounstrualne archiwum pułkownika, płócienny worek z dwoma parami sportowych butów i czterema zmianami ubrań do prania w pralce (żadnych garniturów, żadnych mundurów) oraz niewielka skrzynia upleciona z trzciny, koszyk właściwie, ale dość solidny, wypakowany słownikami w różnych językach. Skipa szkolono, by pamiętać, że ma wyglądać na cywila i tak się ubierać, unikać w strojach kolorów khaki i oliwkowego, nosić brązowe buty zamiast czarnych, a także brązowe paski. Zostawił swój wykonany na zamówienie karabin i podróżował z ukrytą w kieszeni spodni bronią tajnego agenta, automatyczną berettą kaliber

22. Rozmyślał o tym wszystkim gorączkowo, rezultat nadmiaru kawy. Zrezygnował z pomysłu gry w kręgle, wyszedł z lokalu i ruszył wolno przez tropikalne południe, aż w głowie zaczęło mu dudnić, a mokra koszula przykleiła się do ciała.

Biblioteka w bazie sprawiała wrażenie otwartej, na dachu ryczał klimatyzator. Zobaczył ludzi pod jarzeniówkami, ale drzwi nie chciały ustąpić i przeżył chwilę paniki, poczuł się wykluczony, mógł tylko patrzeć bezradnie na świat książek. Wychodzący mężczyzna otworzył je ze sporym wysiłkiem - po prostu zacięły się, napuchnięte od wilgoci - i Sands wszedł. Rozdygotany od kawy, miotał się od stosu do stosu, przeglądał wiele książek, ale nie siadał. W *Wartogłowym Wilsonie* Twaina przeczytał motta wszystkich rozdziałów, szukając tego, które mgliście pamiętał, coś o bezcennej wartości życia spędzonego w niewiedzy. Nie znalazł. W dziale literatury dziecięcej zobaczył kilka tomów filipińskich opowieści ludowych. Nic z Wietnamu.

Potem z radością skorzystał z okazji, by przejrzeć książkę o Knute Rocknem. Usiadł i przerzucał kartki, aż na stronie 87 znalazł fotografię Rocknego na boisku Notre Dame w latach trzydziestych z ostatnią drużyną, którą trenował; w środku trzeciego rzędu był chłopak z gęstymi włosami, bez zmarszczek, ze znajomą żarliwą szczerością na twarzy: wuj Francis. Rezerwowy z pierwszego roku, ale przecież jeden z otwartych, pewnych siebie młodzieńców Rocknego: wypięte torsy, podniesione głowy, patrzący w życie nie dalej niż dwie, trzy minuty naprzód. Michael, starszy brat Francisca, a ojciec Skipa, skończył Notre Dame rok wcześniej i przeniósł się do Clements w Kansas, rodzinnego miasteczka swej świeżo poślubionej żony. Po studiach Francis wstąpił do sił powietrznych, które opuścił w 1939 roku dla pseudocywilnych Latających Tygrysów w Birmie. Michael, sprzedawca sprzętu rolniczego, coraz bardziej się niecierpliwił, w 1941 zaciągnął się do marynarki, a pół roku później zatonął z Arizoną w pierwszych kilku sekundach ataku na Pearl Harbor. Wśród krewnych ojca przedwczesna śmierć była częstym gościem: wojny, wypadki. Pułkownik miał córkę Anne i syna, Francisca Juniora, który utopił się w pewne święto Czwartego Lipca podczas regat na Zatoce Bostońskiej. Brat i syn, obu zabrały zatoki. Bracia, siostry, liczne grono kuzynów, wszyscy oni mieli dzieci i każdy kogoś stracił. To była hałaśliwa, smutna rodzina.

Skip wpatrywał się w rzędy graczy. Mężczyźni, którzy zrywali się z ławek, by wpadać jeden na drugiego w radosnych zmaganiach. Którzy pozwolili, by siłą ulepiono z nich gliniarzy i żołnierzy, którzy żyli w świecie całkowicie

niedostępnym dla kobiet i dzieci. Oni też patrzyli na niego. Czuł, jak odzywa się dawny ból. Jedyne dziecko owdowiałej matki. Jakims sposobem wkroczył w ich świat, nie stając się mężczyzną.

Zamknął książkę i położył na stole kruche kartki listu Kathy Jones.

Urodzili się w kraju wojny. Urodzili się w czas prób, które nigdy się nie kończą.

Nie sądzę, by ktokolwiek zajął się kwestią, że jeśli istnieje Piekło, ludzie w nim przebywający nie mogą być całkiem pewni, że się tam znajdują. Gdyby Bóg powiedział im, że są w Piekle, zdjąłby z nich udrękę niepewności, a ich męka nie byłaby kompletna bez tego uprzączego pytania: „ Czy cierpienie, które wokół siebie widzę, jest moim wiecznym potępieniem i wiecznym potępieniem tych wszystkich dusz, czy tylko krótką podróżą?”. Krótką podróżą w upadły świat.

Mogę Ci też wyznać, że moja wiara nabrała mrocznych barw, ponieważ zaczęłam czytać Kalwina, zmagalam się z Kalwinem, przegrałam z Kalwinem i wciągnięta zostałam w rozpacz Kalwina. On nie używa tego określenia, ale to rozpacz. Wiem, że Piekło jest tutaj, na Ziemi, i wiem, że Ty, ja i my wszyscy stworzeni zostaliśmy przez Boga na wieczne potępienie.

A potem nagle krzyczę: „Ale Bóg nie mógłby tak postąpić!”

Widzisz? Udręka niepewności.

Przypuszczam, że Ty jako katolik mógłbyś zadać sobie pytanie, czy to nie jest podróż przez Czyściec. Z całą pewnością zadasz sobie to pytanie, kiedy przyjedziesz do Wietnamu. Pięć, dziesięć razy na dzień przystaniesz i zapytasz siebie: Kiedy umrę? Dlaczego Bóg karze tak okrutnie?

Skip spędził popołudnie w chłodnej bibliotece, po czym autobusem wrócił do bazy.

Ledwo przekroczył próg swojego pokoju, kiedy ktoś zapukał do drzwi; był to mężczyzna mniej więcej w jego wieku, ubrany po cywilnemu, w każdej dłoni trzymający po butelce piwa San Miguel.

- To są ostatnie z mojego wiadra, stary.

Niepokoila jakość jego uśmiechu.

- Skipper potrzebuje piwa.

- Hej! - powiedział Skip.

- Quantico!

Przyjął butelkę i uściśnęli sobie dłonie; ogarnięty falą ciepła Skip przypomniał sobie faceta, choć umknęło mu jego imię. Razem przeszli dwudziestojedynkowy kurs szyfrowania w Quantico tuż po jego szkoleniu na Farmie - nigdy nie byli kumplami, choć teraz ucieszyli się ze spotkania. Usiedli, gawędząc o niczym, i po kilku minutach Skip poczuł, że chwila, by zapytać gościa o imię, minęła.

- Gdzie masz bazę? - zapytał. - Nadal w Langley?
- Przerzucili mnie do stolicy. Do Departamentu Stanu, wielkiego budynku na Pennsylvania Avenue. Ale jeżdżę tu i tam: Sajgon, Manila, Waszyngton. A ty?
- Dostałem przeniesienie. Do Sajgonu.
- W Sajgonie jest dobry układ: wspólny dom ze służbą, taki rodzaj życia.

Uciekaj, kiedy tylko będziesz mógł. Do diabła, w każdy weekend. W prawie każdy weekend.

- Słyszałem, że okolica jest piękna.
- Zaskakująco piękna. Wychodzisz z chaty, żeby się odlać, strząsasz ostatnią kropelkę i rozglądasz się... Boże, nie wierzysz własnym oczom, skąd się to bierze?

- Innymi słowy, tak jak tutaj.
- Znacznie niebezpieczniej. Zarabiasz na swoje pieniądze.
- Nie mogę się doczekać.
- Jesteś w Operacjach, mam rację?
- Tak - odparł Skip. - Oficjalnie. Ale wygląda na to, że pracuję dla Planów.

- Cóż, ja jestem w Planach, ale wygląda na to, że pracuję dla Departamentu Stanu.

- Co sprowadza cię do tej bazy?
- Bezpłatny wyjazd na wojnę o dwudziestą. Zegar pracuje przeciwko mnie, synu. To ostatnia okazja na San Miguela. Żałuję, że nie mogę zabrać ze sobą kega.

- Sprzedają to piwo w kegach?
- Nie mam zielonego pojęcia. Ale sprzedają je butelkami w Klubie Oficerskim. Chodźmy.
- Jestem cały spocony. Mam się z tobą spotkać?
- Mam czekać? A co powiesz na pójście w miasto?
- No, jeśli wyjeżdżasz o dwudziestą... - powiedział Skip.

- Albo możemy wpaść do Klubu Nastolatków, zobaczyć, co knują oficerskie pociechy.

- Co? - zapytał Skip.

- A to mi coś przypomina, to znaczy oficerskie pociechy. Nie jesteś przypadkiem spokrewniony z pułkownikiem?

- Z którym pułkownikiem?

- Nie jesteś blisko z pułkownikiem? Pułkownikiem Francisem Xavierem?

- Jestem jednym z jego ulubieńców, o ile mówimy o tym samym gościu.

- Pułkowników jest wielu.

- Chyba tak.

- Skończyłem jego kurs Op Psy. To człowiek z przesłaniem.

- Racja, ma wizję.

- Też to skończyłeś? Źle nazwał swój kurs. „Wspominanie i teoretyzowanie” bardziej by się nadało.

- Cały pułkownik.

- Swoje przemyślenia zawarł w artykule dla naszego pisma. Czytałeś?

- Dla pisma? Masz na myśli „Studies”?

- Jasne.

Mówili o organie Agencji zatytułowanym „Studies in Intelligence”. Myśli pułkownika w czasopiśmie? Co na to odpowiedzieć? Nic.

Skip napił się piwa i wytarł pianę z wąsa. Miał za sobą krzaczastą fazę Kennedy'ego, teraz wszyscy znowu strzygli się na jeża - udowadniali, że nie są Beatlesami. Skip jednak zachował wąsy. To był rodzaj luksusu.

- Często czytasz „Studies”, Skip?

- Odrabiam zaległości w Manili. Na zadupie nie dochodziło. Byłem w San Marcos.

- A tak, ośrodek Del Monte.

- Byłeś tam?

- Nie. Więc nie czytałeś jego artykułu?

- Nie mogę uwierzyć, że przygotował coś nadającego się do druku.

- Właściwie to tylko szkic. Nie został opublikowany.

- Więc jakim sposobem trafił ci w ręce?

- Tak się zastanawiałem, czy widziałeś ten szkic.

- Stary, nawet nie miałem pojęcia, że pułkownik pisze. Skąd to wzięłeś? Pracujesz w redakcji?

- Więc nie czytałeś.

Skip poczuł, jak serce szybciej mu bije.

- Nie, mówiłem już.

- Wiesz, będę szczerzy. Ten artykuł jest trochę zagadkowy. Może w zamierzeniu miał być satyrą, to by jego charakter wyjaśniało. Ale fakt, że pułkownik oddaje satyrę do organu Agencji, też jest zaskakujący. I niepokojący, bo sam w sobie stanowi tajemnicę.

- Rozumiem - powiedział Skip. - Słuchaj, pamiętam cię, ale zapomniałem, jak się nazywasz.

- Voss.

- Rick, tak?

- *C'est moi.*

- Twarz była znajoma, ale...

- Zaczynam obrastać tłuszczem.

- Skoro tak twierdzisz.

- Ożeniłem się. Mamy dziecko. Zacząłem tyć.

- Chłopiec czy dziewczynka?

- Dziewczynka. Celeste.

- Ładne imię.

- Skończyła półtora roku.

- To sprawę utrudnia, co? Ciągłe w podróży i w ogóle.

- Cieszę się, że jeżdżę. Jestem jak księżyc, pojawia się i znikam. Jeśli mam być szczerzy, nie sądzę, bym potrafił znieść to na co dzień. Kobiety i dzieci mnie przerażają. Nie rozumiem ich. Wolę być gdzie indziej. - Do tej pory siedział na łóżku, teraz wstał i przysiadł na jednej z szafek. - Czyje to?

- Ja to tylko dostarczam na miejsce.

- Kim jest W. F. Benet?

- Pewnie odbiorcą.

- Albo nadawcą - powiedział Voss.

- To nazwisko nic mi nie mówi.

- „W” to skrót od czego? Williama?

- Nie mam pojęcia.

- A „F”? Jak brzmi pełne nazwisko?

- Rick... ja jestem tylko ślepym kurierem.

- Chcesz się siłować na rękę?

- Uch, nie - odparł Skip.

- Jeśli się będziemy siłować, wiesz, kto wygra?

Skip wzruszył ramionami.

- Obchodzi cię to?

- Wcale - odparł Skip.

- Mnie też nie - powiedział Voss. - Nie potrzebujemy mięśni. Teraz mamy prywatną armię. Te Zielone Berety są jak ludzkie czołgi. Śmiercionośne maszyny. Jeden mógłby nas dwóch rozedrzeć na strzępy, co? Pracują dla Agencji. Rzecz w tym, że obecnie twardych facetów ubieramy w mundury. Nie przechodzą z pola za biurko, nie zaczynają o wszystkim decydować. To nie jest OSS. Tamta wojna to historia.

Skip stuknął swoją butelką w butelkę Vossa. Obie były puste.

- Gdybyśmy wykończyli pół skrzynki tego piwa - powiedział - uznalibyśmy, że to męskie spotkanie. Gdyby była czwarta nad ranem i byliśmy solidnie wstawieni.

- Ale nie jesteśmy.

- Nie.

- Taa.

- Kiedy pójdziemy po piwo? - zapytał Skip.

- Może od razu?

Obaj wstali.

- O cholera! Poczekaj - powiedział Skip.

- Co jest?

- Zegarek mi stanął. Która godzina?

- Piętnasta dwadzieścia.

- Niech to szlag, za czterdzieści minut mam odprawę. Lepiej pozbięram graty.

- A potem co? Od razu do Sajgonu?

- O ile wiem, to tak.

- Pewnie tam się zobaczymy.

- Świetnie - powiedział Skip. - Będziemy mogli wypić te piwa. Co piją w Sajgonie?

- Piwo tiger. Rzygają po nim.

- Brzmi nieźle.

Voss patrzył w podłogę ze skupieniem. Uniósł wzrok, gotów coś powiedzieć.

- Miałeś już iść - przypomniał mu Skip.

Voss wyprostował się.

- Jeszcze to przemyślę - powiedział. Kiedy wychodził, Skip zasalutował.

Pułkownik zawsze powtarzał: „Kiedy dojdiesz do ściany, weź prysznic i przebierz się”.

Skip zrobił jedno i drugie, po czym zaniósł noszone rzeczy na dół do pralni, zdecydowany pojechać na nową placówkę całkowicie czysty. Przez ponad godzinę siedział na plastikowym krześle pośród huczących maszyn - w istocie ukrywając się, unikając badawczych spojrzeń - zalewany wzbierającą falą dezorientacji i strachu. Wydobył się z niej na chwilę, by poskładać ubrania, ale zaraz wir znowu go wciągnął. Siedział na krześle wyprostowany, z dłońmi na kolanach. Pamiętał, że jego życie nic nie znaczy. Skupił się na jedynym punkcie na horyzoncie, solidnym, ustalonym, ważnym celu: pokonaniu komunistów. Panika ustąpiła.

Wkrótce potem stał przed kwaterami oficerskimi pod ciemnym, acz bezdeszczowym niebem. Autobusy kursowały co kwadrans. Wsiadł do następnego i pojechał z dopuszczalną w bazie prędkością „15mph/24kmh” przez osiedle zielonych budynków z identycznymi dachami z blachy falistej do ostatniego przystanku przy bramie, a stamtąd taksówką do miasta Angeles z główną ulicą wyłożoną asfaltem, z płataniną ubitych ścieżek, barów, burdeli i bud.

- Miałby pan ochotę na spotkanie z paniami? - zapytał taksówkarz.
- Nie, dziękuję.
- To może chce pan wpaść do wesołego miasteczka?

Tak, dlaczego nie, wpadnie do wesołego miasteczka, bo po co w końcu tu przyjechał? Dwa akry gołej ziemi - tyle wesołemu miasteczku wystarczyło na zatęchłe brązowe namioty z postrzępionymi linami, na kilka karuzel, na głóśniki, z których nadawano audycję miejscowej rozgłośni radiowej, na wspańiałe, spłowiałe malowidła na kurtynach. Kiedy płacił taksówkarzowi, otoczyły go żebrzące dzieci, przepędzone zaraz przez rozgniewanych sprzedawców. Kupił orzeszki ziemne owinięte w stronicę jakiegoś czasopisma. Spodobał mu się obraz Syreny z Sulu na kurtynie, więc wszedł do środka. Był jedynym widzem. Syrena miała długie czarne włosy związane plastikowymi kwiatami. Jej małe piersi tkwiły uniesione w bikini. A ogon z jakiego jest materiału? Nie widział wyraźnie, z jakiejś tkaniny. Był nieruchomy, nie tak jak u ryby. W wysokim na półtora i długim na dwa i pół metra zbiorniku, umieszczonym metr nad ziemią na platformie, pływała tam i z powrotem, odpychając się ramionami. Wynurzyła się, by zaczerpnąć powietrza, i znowu zanurkowała, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Po chwili wypłynęła, ze ściany zbiornika zdjęła biały ręcznik, osuszyła dłonie, po czym z półeczki

obok ręcznika wzięła papierosy i zapalniczkę. Wilgotnymi palcami z wprawą przytknęła płomień do marlboro, przez minutę paliła, potem machnięciem ręki dała mu znak, żeby wyszedł, i odwróciła się plecami. Skip posłuchał i ruszył ku sąsiedniemu namiotowi: Pięciu Krasnoludów z Bohol. Gdzie jest Bohol? Założył, że na którejś z tutejszych wysp, kiedyś poszuka na mapie. Na razie spotka tylko kilku jego mieszkańców, małych, wesołych brodatych mężczyzn wymalowanych nad wejściem, dwaj wydobywali złoto kilofami, trzech pozostali ciągnęli taczkę wypełnioną połyskliwymi grudkami: Franco, Carlo, Paulo, Santo, Marco, dziwne imiona, czarodzieje. W środku jednak ich nie było. W pięciu wielkich dziecięcych łózkach leżały karty w brudnych pieluchach, ślepe, spastyczne, w śpiączce; na kartach podano ich imiona, wiek, wagę. Mieli od siedemnastu do dwudziestu czterech lat. Dwadzieścia osiem funtów, dwadzieścia dziewięć, trzydzieści trzy... Żaden nie był brodaty, każdy miał długie kosmyki nigdy nie przycinanego miękkiego puchu. Kończyny im dygotały, mleczne oczy pływały w czaszkach... Byli oblepieni muchami... Sands wyszedł chwiej nym krokiem i wszedł do kolejki górskiej, nie wielkiego, w rodzaju tych, które rozkłada się na części i przewozi z miasta do miasta, a mimo to braki w różnicy wysokości nadrabiała prędkością i przyśpieszeniem; kiedy wagoniki zjeżdżały po zboczu albo robiły zakręt, cała konstrukcja trzęsła się i kołysała, śmiertelne przerażenie ścisnęło go za gardło, bo kto doglądał składania, kto sprawdzi maszynię po tym kursie, kto gwarantuje bezpieczeństwo? - Nikt. Tylko czekać na tragedię. Zadowolony, z zawrotami głowy, zszedł z kolejki i raz jeszcze stanął przed namiotem syreny, wodnej więźniarki. Słońce zachodziło. Sylwester. Przez całe popołudnie fajerwerki odzywały się sporadycznie, teraz słychać je było coraz częściej. Żadnych gwizdów i huków, tylko suche trzaski i wybuchy. Na wysokim plakacie syrena uśmiechała się i nie wyglądała na taką, która pali marlboro. Skip poczuł impuls, by znowu wejść i jeszcze bardziej się zdołować.

W pobliżu zahamował dżip kierowany przez lotnika. Pasażerem był Voss. Wysiadł i razem stali przed gigantyczną, odbarwioną ilustracją.

- Czy tu się umówiłeś?
- Tak.
- Tu miałeś odprawę?
- Właśnie. - Skip czuł przerażenie, radosne uniesienie. - Chcesz wejść?
- Prawdę mówiąc, byłem tu kilka tygodni temu. Ty idź.
- Już byłem - odparł Skip ze smutkiem.

- Porozmawiajmy.

- Jasne.

Amerykanie usiedli przy stoliku przykrytym linoleum koło stoiska sprzedawcy. Każdy z butelką san miguel. Odstawali od tego miejsca. Voss miał na sobie koszulę w paski, brązowe spodnie, brązowe sznurowane trzewiki. Wyglądał jak sprzedawca Biblii. Tak samo wyglądał Skip.

- Więc to nie jest zbieg okoliczności - powiedział Skip.

- Pewnie rozumiesz, że mam swój cel.

- Taa. Właśnie to powiedziałem.

- Jestem tu, żeby tobą potrząsnąć.

- To ci się nie udało.

- I dobrze - stwierdził Voss. - Mam tylko nadzieję, że mnie słyszałeś.

- Słyszałem tylko kupę niewdzięcznej gadaniny.

- A co to ma znaczyć?

- Posłuchaj, zgadzam się, że istnieje coś takiego jak ewolucja. Rzeczy się zmieniają, my jesteśmy nową generacją, ale co ty właściwie masz przeciwko starej gwardii?

- Zupełnie nic. Oni reżyserują to przedstawienie. Ale nie pułkownik, zgodzisz się chyba? Pułkownik sam w sobie jest przedstawieniem.

- A ty go w ogóle znasz? Miałeś z nim do czynienia poza tym jego kursem?

- Znam go. Pracowałem dla niego.

- Naprawdę?

- Całe zeszłe lato i jesień. Stary FX. Porwał mnie. Kazał mi zbierać materiały.

- Na jaki temat?

- O wszystkim i o niczym. Nazywał mnie swoim pisarczykiem. Myślę, że wykombinował to sobie tak: skoro musi być więźniem w Langley, to weźmie sobie własnego jeńca, rozumiesz? Ale sporo mu zawdzięczam. Od tamtej pory poszedłem w górę o dwa stopnie.

- Ho, ho.

- Od czerwca.

- To szybko.

- Jak błyskawica.

- On ci to załatwił?

- Nie, Skip. To nie pułkownik mnie awansował. Ale po tym, jak z nim pracowałem, ludzie się mną zainteresowali.

- Świetnie. Bardzo dobrze.
- Nie, nie, nie. Nie łapiesz dostatecznie szybko.
- Ale co? Powiedz mi.
- Ludzie się mną interesowali, ponieważ ludzie interesują się pułkownikiem.

Teraz należało zachować bezruch, niczego nie zdradzić.

- ...interesują się?
- Teraz to do ciebie dociera.
- No wiesz, kiedy powiedziałeś, że był „więźniem” w Langley...
- Teraz łapię.

Następne pytanie powinno dotyczyć kwestii, czy pułkownik wpadł w prawdziwe kłopoty, prowokujące los, niszczące karierę trudności. Tylko że po takim pytaniu trzeba by zadać kolejne: Czy pułkownik wciąż ma te kłopoty? I następne: Kto jeszcze ma kłopoty? Czy na przykład ja mam kłopoty?

Dlatego Skip wszystkie te pytania przełknął.

A Voss swoje zadawał.

- Co stało się w Mindanao czternaście miesięcy temu?
- Przypuszczam, że czytałeś raport.
- Czytałem. Ja go odkodowałem. Siedziałem przy teleksie, kiedy nadszedł oznaczony jako „Poufny”.
- Skoro tak był oznaczony, dlaczego go odkodowałeś?
- Na pewno wiesz, że „poufne” to kategoria używana przez Jamesa Bonda, ale niewystępująca w naszym kodeksie.
- Mimo to jako wyraz szacunku...
- Szacunku dla kogo?
- Dla mnie i odbiorcy.
- Przeglądamy wszystko, co adresowane jest do pułkownika. Oraz wszystko, co on wysłał.
- W takim razie wiesz, jak tam było.
- Taa. Pułkownik spieprzył sprawę.
- Mój raport nie tak to przedstawia, Rick. Przeczytaj go jeszcze raz.
- Możesz mi powiedzieć, dlaczego pułkownik marnuje cenny czas i środki, próbując zdobyć filmową relację z meczu?
- Nie mam pojęcia. Chodzi o baseball?
- Football. Mecz footballowy. Próbował zlecić transport lotniczy kilku puszek filmu. Czy jemu się wydaje, że jest prezydentem?

- Pułkownik ma powody do wszystkich swoich posunięć. - Krew mu dudniła. Gotów był walnąć Vossa butelką. - Jaki mecz?
- Notre Dame kontra Michigan State. Z zeszłego miesiąca.
- Nie wiem.
- Pułkownik zbiera więcej informacji o tym meczu niż o wrogu. - Voss spojrzął na zegarek, dał znać lotnikowi.
- Zawozisz mu ten film o footballu?
- Skip, Skip, nikt nie zamierza dać mu żadnego filmu. -Voss wstał i wyciągnął rękę. Skip uściśnął ją z całym zdecydowaniem, na jakie mógł się zdobyć. - Posłuchaj. -Voss szukał odpowiednich słów ze spojrzeniem wyrażającym ludzkie współczucie. - Do zobaczenia na wojnie. - Silnik dzipa pracował. Voss się odwrócił.

Sands wypił jeszcze dwa piwa, a kiedy mrok zapadł, wyszedł z wesołego miasteczka i w kawiarni zjadł rybę z ryżem. Przez drzwi obserwował drobny spektakl na ulicy: pijany młody mężczyzna z jedną poparzoną i zabandażowaną ręką na temblaku zdołał jednak zapalić rząd fajerwerków i rzucić je pod stopy uskakujących z piskiem przechodniów. O dziewiętej wieczorem całe miasto dudniło od świątecznych wybuchów. Na Skipie wrażenie zrobił Dzień Niepodległości w San Marcos, ale to tutaj było bardziej nieopanowane i z całą pewnością niebezpieczniejsze, pełne prawdziwych strzałów z broni palnej i serii huków, jakby cała noc znalazła się pod zmasowanym atakiem. Skip pomyślał, że w Wietnamie Południowym pewnie będzie spokojniej. Zawędrował do dzielnicy czerwonych latarni - w Angeles niewiele poza tym było: pomyje, obrzydliwy smród, niemal nieludzkie, bezmyślne spojrzenia kobiet, knajpy huczące rockandrollową muzyką, rozgrzane i przepelnione zepsuciem niczym mauzolea wampirów. Rozpustna tajemnica nocy w Azji Południowo-Wschodniej: kochał ją tak namiętnie jak Amerykę, ale w ukryciu, z mrocznym pożądaniem, i otwarcie przyznawał przed sobą, że wcale by się nie przejął, gdyby nigdy nie wrócił do domu.

W dwa dni po Bożym Narodzeniu James przestał dzwonić do przyjaciół, przestał odbierać telefony od Stevie. Całe dnie oglądał kreskówki w telewizji ze swoim dziesięcioletnim bratem Burrisem, dokładając wszelkich starań, by dzielić z nim kojący spokój bezmyślnego dzieciństwa.

W sylwestra poszedł na imprezę. Stevie też tam była. Gniewała się i zostawiła go samego. W mroku, otoczona chmurą pretensji, trzymała się z Donną i innymi przyjaciółkami, rezerwowymi cheerleaderkami i przyszłymi

królowymi balu. Dobrze. W gruncie rzeczy zawsze chciał być z Anne Vandergress, która przysłała do liceum Palo Verde w tym samym roku, co James; teraz stała w progu kuchni, wyglądała pięknie i rozmawiała z kilkoma facetami, których nigdy przedtem nie widział.

Pił rum - po raz pierwszy w życiu.

- Nazywamy to trzy-zero-dwa - powiedział ktoś.

Jeśli jechał tam, gdzie mógł rozerwać go móżdziej czy coś w tym rodzaju, żałował, że w ogóle zaczął kręcić ze Stevie Dale.

- Do diabła. To trzy-zero-dwa wchodzi łatwiej niż piwo - zgodził się.

- A teraz wlej trochę do coli.

Mówiła to Anne Vandergress. Była miodową blondynką, która zawsze miała ładny makijaż; James nigdy do niej się nie zbliżył, ponieważ wydawała mu się zbyt młoda, czysta i wyniosła. W swoim ostatnim pełnym roku szkolnym słyszał, że Anne chodzi z footballistą z ostatniej klasy, Danem Cordroyem, potem z kumplem Cordroya, Willem Webbem, a potem z połową przekłętą drużyny, wszyscy byli z ostatniej klasy, i słyszał też, że rozkłada nogi dla wszystkich co do jednego.

- Jesteś taka piękna, kurwa, wiesz o tym? - powiedział. - Nigdy ci tego nie mówiłem. Mówiłem ci kiedyś?

Mimo to James miał wrażenie, że jest mniej piękna, niż zapamiętał, grubsza, z pełniejszą twarzą. Bardziej dorosła, ale nie w pociągający sposób, tylko w taki, który kojarzył mu się z wiekiem średnim.

Jeden łyk rumu utknął mu w gardle i o mało go nie zadławił, ale to nie trwało długo; kiedy rum spłynął do żołądka, gardło miało zdrętwiałe i mógłby połykać gwoździe, szkło albo rozżarzone węgle.

Przemknął przez godzinę jak przez obiekt fizyczny, korytarz. Usta miał gumowe i ślinił się, kiedy mówił:

- W życiu nie byłem tak pijany.

Ludzie jakby go otaczali, śmiali się, ale nie miał pewności. Pokój przekrzywił się, ściana walnęła go w dupę. Ręce trzymały go w pionie jak odnóża potwora...

Wrócił do swego ciała z jakiegoś mrocznego miejsca. Stał na dworze z papierosem w jednej i drinkiem w drugiej dłoni.

Donna pojawiła się niczym wrak pędzący prosto na cel. Wściekła jak ogień.

- Dlaczego tak mówiłeś? Dlaczego ktokolwiek miałby tak powiedzieć?

W tle Stevie z pochyloną głową szlochała, dziewczyny gładziły ją po włosach, próbując ulżyć jej w smutku.

Rollo podtrzymywał go na podwórku. Donna atakowała, nie mógł się od niej opędzić.

- Donna, Donna... - Rollo śmiał się, prychał, chrząkał. - On cię nie słyszy, Donna. Skończ ten wykład.

- Stevie była prawie w ciąży. Zdajesz sobie sprawę, że była prawie w ciąży? Jak możesz tak się zachowywać?

- Prawie w ciąży? - powtórzył Rollo. - Prawie? - James klęczał, obejmując Rolla za nogi.

- Myślała, że jest w ciąży, okay, Rollo? Okay? Nie może wypluć jej w ostatni wieczór w mieście i ot, tak sobie pojechać do Wietnamu. Okay, Rollo?

- Okay!

- Powiedz mu to!

- Okay! Powiem mu! James! James. Musisz porozmawiać ze Stevie. Zraniłeś jej uczucia, James. Wstawaj, no, wstawaj.

Nogi zaniosły go do Stevie, która stała przy kamiennym grillu, w którym palił się ogień. Powiedział coś i Stevie go pocałowała - poczuł jej wilgotny, nastoletni oddech.

- Palisz papierosa - powiedziała - a przecież ty nie palisz.

- Palę, zawsze paliłem. Ty po prostu o tym nie wiedziałaś.

- Nie palisz.

- Palę.

Coś jeszcze się wydarzyło, Stevie zniknęła, została zastąpiona albo zmieniła się w Donnę.

- Zraniłeś ją po raz ostatni, James.

- Palę - usiłował wykrztusić. Nie potrafił ani zamknąć ust, ani oderwać brody od piersi.

Był z powrotem w kuchni, gdzie Anne Vandergress wcale nie wyglądała na piękną, tylko na starą i zniszczoną. Włosy miała kręcone, twarz płaską, czerwoną i spoconą, martwy uśmiech. Roześmiała się ze wszystkimi pozostałymi, kiedy oznajmił, że jest kurwą.

- Zajęło mi to trochę czasu, ale jesteś kurwą. Jesteś kurwą, i tyle - powiedział bardzo głośno. - Chcę, żebyś zrozumiała to, co inni wiedzą: że jesteś kompletną, zdzirowatą kurwą.

Anne śmiała się groteskowo. Wyglądała, jakby przez całą noc pieprzyła się ze wszystkimi. Umysł mu się zaciął i James ciągle powtarzał:

- Co za kurwa - co za kurwa - co za kurwa - co za kurwa...

Rzucili go na ziemię i polali z węża. Ziemia wokół niego zmieniła się w szlam; James chwiał się, usiłując wstać.

To nie różniło się aż tak bardzo od szkolenia wojskowego. Stopy mu się rozjechały i padł na twarz. Z ustami pełnymi błota myślał: W porządku, chłopcy, proszę bardzo.

1967

Po południu pierwszego stycznia 1967 roku Nguyen Hao pojechał na lotnisko Tan Son Nhut z Jimmym Stormem, człowiekiem bardzo blisko związanym z pułkownikiem. Jimmy Storm niemal zawsze nosił cywilne ubrania, chociaż kiedy Hao zobaczył go po raz pierwszy, Jimmy w mundurze polowym amerykańskiej armii z brązowymi naszywkami sierżanta kucnął przed willą należącą do CIA-Op Psy i robił sobie przerwę na papierosa.

Tego popołudnia pan Jimmy miał na sobie ten sam mundur i przez całą drogę na lotnisko pan Jimmy albo sierżant Storm w czapce na głowie siedział sztywno wyprostowany na tylnym siedzeniu, którego nigdy wcześniej nie zajmował, i wcale się nie odzywał; Hao pomyślał, że pewnie denerwuje się spotkaniem z nowo przybyłym.

Chociaż źródłem tego milczenia mogło być cokolwiek. Jimmy Storm był dziwnym i skomplikowanym młodym człowiekiem. Kiedy zobaczyli Williama Sandsa schodzącego po trapie amerykańskiego DC-3 z głową pochyloną w ochronie przed hałasem i powiewami wilgotnego wiatru, pan Jimmy odzyskał swoją jowialność, przemawiając do Sandsa wesoło i zbyt szybko, żeby Hao mógł go zrozumieć.

Załadowali dwie szafki do bagażnika czarnego chevroleta, trzecia musiała wylądować na tylnym siedzeniu obok nowo przybyłego, który poprosił, żeby nazywali go „Skip”.

- Dobra, dobra - zgodził się Jimmy, by zaraz potem się nie zgodzić: - Choć ja wolałbym mówić „Skipper”. Skip jest za krótkie, przechodzi niepostrzeżenie. - Teraz pan Jimmy siedział z przodu obok Hao.

- Panie Skip, cieszę się, że mogę pana powitać - odezwał się Hao. - Pański wuj zna mojego siostrzeńca. Teraz ja znam bratanka pańskiego wuja.

- Mam coś dla ciebie. - Nowy wyciągnął karton papierosów. Wyglądały na marlboro, ale to był inny gatunek. Winstony.

- Bardzo dziękuję, panie Skip - powiedział Hao.

Kiedy czekali na światłach, z prawej zbliżył się ku nim rower. Jimmy gwałtownie otworzył okno.

- Diddy mao!* - krzyknął, gestykulując i rowerzysta odjechał.

* Po wietnamsku znaczy „jedź szybko, spadaj”.

- Czy mógłbym rozmawiać po wietnamsku, panie Hao? - zapytał Skip w tym właśnie języku.

- Tak będzie lepiej - odparł Hao. - Mój angielski jest na poziomie dziecka.

- Dzisiaj jest nasz Nowy Rok - powiedział Skip. - Wkrótce będę obchodził kolejny, wasz Tet.

- Pańska wymowa jest bardzo dobra.

- Dziękuję.

- Wiele razy był pan w Wietnamie?

- Nie, nigdy.

- To zaskakujące - stwierdził Hao.

- Brałem udział w kursie intensywnym - wyjaśnił Skip, używając angielskich słów „kurs intensywny”.

- A więc tak, he? Całe siedemset funtów - wtrącił młody pan Jimmy, odwracając się i kładąc dłoń na szafce. - Klucze do królestwa księcia Earla.

Hao nagle nabrał przekonania, że Jimmy Storm żywi głęboką nienawiść do Skipa Sandsa, choć nigdy wcześniej go nie spotkał. Skip ze swej strony sprawiał wrażenie, że podejrzliwie odnosi się do Storma. Zawahał się nieco, nim powiedział:

- Raczej dwieście.

Zachód słońca, brzuchy chmur płonęły czerwienią. Wjechali do Sajgonu ulicą z domami mieszkalnymi, na której dzieci o zmierzchu bawiły się ze skakanką; słyszeli urywki ich magicznych wyliczanek. Skręcili w ulicę zajmowane przez żołnierzy, mijali marne kramy, drzwi niczym usta, z każdych dobywała się inna muzyka, inne głosy, inny zaduch, potem przez rzekę wjechali do dzielnicy noszącej oficjalną nazwę Gia Dinh Province i ulicą Chi Lang dojechali do willi CIA-Op Psy, gdzie nikt nie mieszkał zbyt długo. Wyjątek stanowił Jimmy Storm w swojej zagraconej sypialni ze szwankującym klimatyzatorem, położonej tuż obok salonu z rattanowymi stołami, sofami

okrytymi pokrowcami, niemal pustymi półkami na książki, bambusowym barem - bez stołków - i, na jednej z jasnożółtych ścian, oprawnym obrazem przedstawiającym konie w stajni.

Czarny Chevrolet pozostawał w willi. Hao pomógł Amerykanom wyładować rzeczy pana Skipa, worek, trzciniowy koszyk i trzy szafki, po czym pożegnał się i popękany chodnikiem poszedł do swego domu nad kanałem ściekowym, oświetlając sobie drogę latarką.

Mieszkali nad zamkniętym rodzinnym sklepem i za nim - on, jego żona Kim i od czasu do czasu krewni. Sklep należał do rodziny Hao, krewniacy do rodziny Kim. Kiedy Hao wszedł od strony zaułka, od godziny panowały ciemności, usłyszał jednak sandały żony na betonowym podwórku za domem, gdzie krzątała się pomiędzy roślinami hodowanymi w wielkich donicach. Hao zapalił jarzeniówkę w salonie, żeby przywołać ją do domu.

Chciał porozmawiać. Wydawało mu się, że prośba o powitanie przyjeżdżającego do miasta członka rodziny pułkownika oznacza, iż umocnił sojusz i przekroczył rzekę w swym życiu, które było także jej życiem. Miała prawo wyrazić uznanie dla ich położenia.

Siedział w swoim fotelu przed elektrycznym wiatrakiem z czerwonego plastiku. Po krótkim czasie do pokoju weszła Kim, kobieta w średnim wieku, szeroko stawiająca stopy, z wałkami tłuszczu na ciele, żyłastymi rękoma, wystającym brzuchem i krzywymi nogami. Jej twarz z czasem zaczęła po części przypominać kamienne posągi żab w ogrodach, po części zaś Buddę: z obwisłymi policzkami i wyłupiastymi oczami. Usiadła, łapiąc oddech, i powiedziała:

- Dzisiaj czuję się dobrze.
- To cud - odparł Hao, bo wiedział, jak bardzo żona lubi tego rodzaju określenia.
- Ze starej opowieści wzięłam lek na astmę.
- Ojej, to zwariowany pomysł.
- Ale skuteczny. Dobrze się czuję.
- Załatwię ci badanie u amerykańskiego lekarza. Jestem pewien, że pan pułkownik może to zaaranżować.
- Zostaw mnie w spokoju - odparła jak zawsze. - Sama sobie wykopię grób.

Dobrze opiekowała się domem i była dla niego prawdziwym przyjacielem. Hao bardzo ją cenił i życzył jej długiego życia. Niestety, zdrowie jej szwankowało.

Siedzieli, słuchając szumu czerwonego wiatraka i wibrującego pod nim stołu. Kim zamknęła oczy i oddychała przez nos, zgodnie z zaleceniami następnego z kolei uzdrowiciela.

Ta choroba trwała od dawna, dodatkowe komplikacje spowodowała zapewne śmierć siostrzeńca Kim kilka lat temu - cztery? Często wracała do samobójstwa Thu. Hao widział, jak smętnie usiłuje zajmować się czymś innym, podczas gdy coś, może samo brzmienie własnego głosu, wbrew jej woli wciągało ją znowu w dyskusję: Myślisz, że to mógł być wypadek, myślisz, że on po prostu eksperymentował, zastanawiał się, szukał, wahał opary, sama nie wiem. Hao odpowiadał: Ja też nie wiem, ale Thu musiał zadać sobie sporo trudu, żeby wejść w posiadanie benzyny. Kim mówiła: Nie lubię Buddy. Jest wielu bogów, mówiła, z Buddą sprawy są zbyt proste, a rozejrzyj się wokół, czy sprawy wyglądają na proste? Nie.

Chcąc z nią rozmawiać, musiał wkroczyć w jej świat, dlatego zapytał:

- Czego ostatnio dowiadujesz się ze snów?
- Że mój oddech pozostanie czysty, a moja kuzynka wkrótce wyjdzie za mąż.
- Kuzynka? Jaka kuzynka?
- Lang! Mam zaprowadzić cię do pokoju na tyłach i pokazać ci Lang śpiącą na sienniku?
- Zapomniałem, która u nas mieszka.
- Mieszkają dwie! Lang i Nhu.
- Pora porozmawiać o naszej sytuacji.
- Mów.
- Zdajesz sobie sprawę, że pan pułkownik realizuje projekt w pobliżu Cu Chi, wokół Góry Szczęśliwego Trafu.
- Pomaganie mu jest niebezpieczne. Umiesz uciec przed wiatrem?
- Ja już mu pomagam. Rozmawiałem z kilkoma naczelnikami, na mapach zaznaczyłem wyjścia z tunelu.
- Skoro chcesz się opowiedzieć po którejś stronie, co stanie się z nami?
- Już się opowiedziałem. Uważam, że musimy brać pod uwagę to, co nastąpi, kiedy kraj się zjednoczy. Myślę, że musimy wyjechać.
- Wyjechać?
- Opuścić kraj. Emigrować. Przenieść się do innego kraju.
- Ale nie możemy!
- Co nas tu trzyma? W domu nikt nie został.

- Nikt nie został, bo nie masz dla nich pracy. Dlaczego sprzedałeś pozostałe dwa sklepy, kiedy ten już był zamknięty? Poza tym jest Minh.
- Minh ma własne możliwości i sam układa sobie życie.
- Chcesz powiedzieć, że wcześniej czy później zostanie zabity.
- Żono, proszę cię, najwyższa pora starannie rozważyć naszą sytuację.

Często kiedy omawiali sprawy, które ją denerwowały, wstawiała i nieświadomie krzątała się po pokoju. Brała poduchy i wytrzeptywała z nich kurz albo krótką miotelką zbierała kłaczki z drewnianej podłogi. Matka Hao miała taką miotelkę. Babka też. Taka miotelka była w każdym domu, który Hao w życiu odwiedzał.

- Poznałem bratanka pana pułkownika. Na imię ma Skip. Zaprośmy go na kolację.

- Niedobrze jest przyjmować Amerykanów w domu.
- Jeśli nie wybierzemy którejś ze stron, żadna nam nie zaufa. Utkniemy pośrodku. Tacy ludzie lądują w końcu w obozie, niezależnie od tego kto wygra.

- Więc przyłączyłeś się do Amerykanów. Jeśli Amerykanie wygrają, możemy zostać.

- Nie. Amerykanie nie wygrają. Nie walczą o swoją ojczyznę. Chcą tylko być dobrzy. W tym celu muszą przez jakiś czas powalczyć, a potem wyjść.

- Hao! Więc dlaczego im pomagasz?
- Nie mogą wygrać, ale mogą udowodnić, że są przyjaciółmi dla swoich przyjaciół. Wierzę, że są honorowi i tak uczynią.
- Ale przecież masz przyjaciół w Viet Minhu.
- Teraz nazywają się Wietkongiem.
- Trung. Trung Than jest twoim przyjacielem.
- Nie chcę rozmawiać o Wietkongu - powiedział Hao. - Komuniści wierzą w tylko jedną przyszłość. W jej imię zniszczą wszystko, wypełnią przyszłość nicością. Chcę rozmawiać o Amerykanach.

- Mów. Nie jestem w stanie cię powstrzymać.

- Jeśli pomogę Amerykanom, nie musimy być uchodźcami, umożliwią nam wyjazd. Na przykład do Singapuru. Wierzę, że to da się zrobić. Singapur jest bardzo międzynarodowy. Nie będziemy się tam czuć jak wyrzutki.

- Rozmawiałeś z nimi o Singapurze?
- Porozmawiam we właściwym czasie. Są też inne miejsca. Manila, Dżakarta, może Kuala Lumpur. Pod warunkiem że nie będziemy musieli iść do obozu uchodźców.

- Będę się modliła, żeby Amerykanie zniszczyli Viet Minh.
 - Nie żywię najmniejszej nadziei, Kim. Jest takie stare przysłowie: Kowadło jest wytrzymalsze od młota.
 - A my kim jesteśmy? Ani jednym, ani drugim. Zostaniemy zmiażdżeni pośrodku.
 - Jest jeszcze jedno: Każdy kogut najlepiej walczy we własnym kurniku.
 - Ha! Oto kolejne przysłowie: Kogut jest kurą, ale ludzie są jak stado kwok.
 - Nigdy go nie słyszałem.
- Roześmiała się zadowolona, idąc w stronę kuchni.
- Wiem! - zawołał Hao. - Jesteś najszcześliwsza, kiedy robisz z męża głupca.

Ale zalało go ciepło na dźwięk jej śmiechu, tak rzadko się śmiała od śmierci Thu. Thu był dla niej niczym bezcenny dar. Jej zmarła siostra urodziła dwóch synów, miała jedynie ich. Teraz został jej tylko Minh.

W kuchni Nguyen Kim zapaliła prymus pod czajnikiem. Przystanęła przed półką i jedną po drugiej odkręcała buteleczki, z każdej wdychając zapachy. Kuracja oddechowa zajmowała jej wiele czasu. Ostatnio szczególnie intrygował ją rozmaryn. Chciała zmieszać go z ekstraktem z paczuli, nie jako lek, ale jako perfumy, nie potrafiła jednak znaleźć sposobu: połączone dawały trzeci aromat, nie całkiem przyjemny.

Lekarstwo na astmę przekazano jej we śnie. Nie powiedziała o tym mężowi. Piła też syrop od chińskiego ziołarza z dzielnicy Cho Lon. Nie zdradził składu, chociaż Kim słyszała, że jest to między innymi mięso i skóra gekona. Hao nie pochwalał takich praktyk.

W oczach Kim mąż był hazardzistą i marzycielem. Zaskoczył wszystkich, sprzedając dwa sklepy i trzeci przekazując w dzierżawę człowiekowi, który szybko doprowadził go do bankructwa. Teraz jej krewni koczowali pośród nagich półek. A zamiast włożyć pieniądze w inny interes, Hao wydawał je na codzienne potrzeby, natomiast cały swój czas, całą swoją duszę zainwestował w Amerykanów. Myślał, że to nie jest jasne? Myślał, że trzeba jej o tym mówić?

Ceniła dwie mieszkające z nimi dziewczyny, Lang i Nhu, pomagały jej te kuzynki z rodzinnej wioski, których nie można było nazywać służącymi. Kim w żaden sposób nie potrafiła dać im do zrozumienia, że w określonych

okolicznościach wołałaby, żeby zachowywały się jak służące. Ale to na nic, jeśli same tego nie rozumieją, jeśli nie powiedziała im tego ich nic niewarta matka, a jej ciotka...

Odpędziła od siebie te niemiłe myśli.

Wierzyła, że kiedy oddech wyrzuci z krwi chorobę, razem z nią znikną duchowe nieczystości i rekonwalescent doświadczy przelotnego stanu czystości.

Wierzyła, że w takim stanie możliwa jest jasność myśli. Może nawet inspiracja.

Hao nie dyskutował z nią o sprawach finansowych, mówił tylko, że jeśli nie będą dokonywać większych zakupów, mogą żyć jak przedtem. To wystarczyło. Hazardzista, marzyciel, tak, ale można było na nim polegać i Kim szanowała męża. Jej ojciec, który zwoził miejscowe produkty nad rzekę Sajgon, gdzie handlował z Francuzami, zbudował solidny interes. Hao, obarczony klątwą bezdietnego małżeństwa, potomek wymierającej linii, nadzorował jego powolny upadek. Nie poprosiłaby go o pozostanie tutaj. Skoro chce uciekać, będą uciekać. Po co płakać z powodu jutra? Niewykluczone, że umrą na długo przedtem, nim zmuszeni zostaną do wyrwania własnych korzeni.

Zaniosiła czajnik i dwie filiżanki do pokoju, w którym Hao siedział z rękami opartymi na poręczach fotela i zamkniętymi oczyma, medytując w powiewach elektrycznego wiatraka.

Kim usiadła i napełniła obie filiżanki.

- Musisz mi złożyć przysięgę - powiedziała.
- Słucham.
- Chcę, żebyś przysięgł, że cokolwiek się stanie, zaopiekujesz się Minhem.
- Przysięgam.
- Za szybko!
- Nie. Zrozum mnie, żono: kiedy mówiłem, że Minh ma własne możliwości, chodziło mi o to, że już kroczy swoją drogą. Nie lata odrzutowcami, teraz pilotuje amerykańskie helikoptery transportowe - tylko transportowe i tylko dla pułkownika. Już jest bezpieczny. Pan pułkownik i ja zadbamy, by dalej tak było. Słuchaj uważnie, żono: przysięgam.
- I jeszcze jedno.
- Ile jeszcze?
- Tylko to: Jeśli wyjedziemy, czy kiedykolwiek wrócimy?
- O ile będzie to możliwe.
- Przysięknij.

- Składam ci obietnicę. Jeśli będzie to możliwe, wrócimy do domu.
- Nawet gdyby wrócić miały moje prochy - powiedziała Kim.

Zaskoczyło go, że Kim otwarcie mówi o swoich troskach. Nigdy wcześniej tego nie robiła, zawsze dokładała starań, by ukrywać nadzieje przed wzrokiem sił nadprzyrodzonych, przed mglistym tłumem jej niezliczonych bogów.

Rozmowa napełniła go otuchą. Kim nie tylko brała pod uwagę przeprowadzkę, ale targowała się, godziła na ustępstwa, jakby była to rzecz nieunikniona. Poszli na górę; pomimo upału, który zawsze dłużej trwał pod samym dachem, Hao objął żonę i tulił, dopóki nie zasnęła. Wojna, wojna, wojna niczym seria tajfunów atakujących ich życie, a teraz, po drugiej stronie tego wszystkiego wznosił się w oddali szczyt bezpieczeństwa, miejsce, do którego mogli dążyć. Kim oddychała spokojnie, tak jak wcześniej zapewniała, bez świsłów, w każdym razie nie dzisiaj w nocy.

Hao przeniósł się do swojego łóżka, kładąc ubranie i sandały tuż za moskitierą - plastikowe sandały, które w środku miały angielski napis „Made in Japan”. Wysokie mury pomiędzy kulturami znikają. Waliły się, jakby były z błota. Mogą z Kim pojechać dokądkolwiek. Malezja. Singapur. Hongkong. Nawet Japonia jest możliwa. Roześmiał się na myśl, że mógłby teraz wyjść na ulicę i przypadkowemu przechodniowi powiedzieć: „Japonia jest możliwa”.

Kim obudziła go w środku nocy. Spojrzał na fosforyzujące wskazówki budzika. Za piętnaście czwarta.

- Co się stało?
- W uliczce szczekały psy - powiedziała Kim.
- Śpij. Będę nasłuchiwał.

Leżał cicho, dopóki znowu nie zasnęła, wpatrując się w maleńkie rozżarzone kadzidelko przeciw owadom, które paliło się na komodzie.

Z uliczki dobiegał głos Trunga - oczywiście, że to Trung, któż by inny? - naśladowującego grzechotliwy krzyk gekona.

Trung nigdy przedtem nie przychodził tak późno, ale człek przeczorny zbliża się ostrożnie.

Hao podniósł moskitierę i spuścił stopy na podłogę. Zabrał spodnie, koszulę i japońskie sandały na szczyt schodów, gdzie się ubrał i stał w ciemności, nic nie słysząc, smakując własny oddech. Ruszył na dół, usiłując nie robić hałasu. Kuzynki spały tuż pod nim, w sklepie, którego ukośnym sufitem

były schody. Nie dało się iść po cichu, każdy krok miał coś do powiedzenia. Na dole odczekał chwilę, by się upewnić, że nie obudził dziewcząt.

Wszedł do kuchni i otworzył okno za gazowym piecem. Zaraz też z zewnątrz usłyszał stłumione chrząknięcie.

- Trung?
- Witaj.
- Witaj.
- Przepraszam, że cię niepokoję.
- Nie mogę zaproponować ci nic gorącego. Miałbyś ochotę na szklanek wody?

- Dziękuję ci za dobroć, ale nie jestem spragniony.
- Wyjdę na dwór.

Hao przekroczył próg kuchni i znalazł się na miniaturowym podwórku, gdzie Trung stał oparty o ścianę.

- Zostawiłem papierosy na górze - powiedział Hao.
 - Myślę, że nie powinniśmy palić. Ktoś może nas zobaczyć.
- Obaj mężczyźni ramię w ramię kucnęli pod kuchennym oknem.
- Rzykujesz, przychodząc do miasta - powiedział Hao.
 - Każde miejsce jest teraz ryzykowne. Kilka lat temu mogłem podróżować po rozległym obszarze. Dzisiaj jesteśmy uciekinierami wszędzie na południu.
 - Przyjście do tego domu jest ryzykowne dla nas obu.
 - Powiedziałbym, że ja bardziej się narażam.
 - Ochraniam cię, Trungu Than. Daję ci moje słowo.
 - Wierzę ci, ale najlepiej zakładać najgorsze.
 - Trung, doskonale rozumiem, że musisz czuć się osłaniany przy każdym podejmowanym przez nas kroku.
 - Nie wybiegaj za daleko naprzód. Jeszcze się nie zgodziłem na podejmowanie wspólnych kroków.
 - Każde kolejne spotkanie posuwa nas nieco do przodu, zgodzisz się chyba?
 - Zbliży nas do porozumienia, ale na razie żadnych kroków nie podjęliśmy.
 - Jesteś gotów na zmianę tej sytuacji?
 - Nie.

Zdaniem Hao był to wybieg, nie zdecydowana odmowa.

- Zanim pójdziemy dalej - powiedział Trung - muszę się upewnić, że dobrze mnie zrozumiano.
 - Więc mów, proszę. Słucham.
 - Trzy dni trwał rejs na północ rosyjskim statkiem. To było w pięćdziesiątym czwartym. Powiedzieli, że za dwa lata wrócimy do zjednoczonego kraju.
 - Mów dalej.
 - Sześć lat później powrót szlakiem Ho zajął mi jedenaście tygodni i po drodze sto razy o mało nie umarłem.
 - Słucham - powiedział Hao.
 - W sześćdziesiątym czwartym uświadomiłem sobie, że będę czekał dziesięć lat na powrót do domu. A wtedy byłem na południu dopiero od czterech lat.
 - W tych wszystkich liczbach słyszę nagromadzone urazy. Jesteś rozczarowany - powiedział Hao.
 - Żyję w sprzeczności, która nie zniknie.
 - Rozumiem.
 - Byłem tchórzem. Muszę sam rozwiązać tę kwestię.
 - Jestem tu po to, żeby pomóc ci w miarę swoich możliwości.
 - Wiem - odrzekł Trung. - Ale co za to chcesz?
 - Chcę pomóc staremu przyjacielowi.
 - Musimy szczerze porozmawiać. Mówisz, że chcesz, żebym czuł się bezpiecznie, a potem kłamiesz. Powiedz prawdę: czego oczekujesz od tej sytuacji?
 - Przetrwania mojej rodziny.
 - Dobrze.
 - A ty czego chcesz? - zapytał Hao.
 - Przetrwania prawdy.
- A to co znowu? Filozofia?
- Jakim sposobem prawda może być zagrożona? Przecież to prawda - stwierdził Hao.
 - Chcę, żeby prawda przetrwała we mnie.
- Hao pomyślał: Jestem biznesmenem, mówmy o zyskach i stratach. Na głos jednak powiedział:
- Usiłuję zrozumieć.
 - Nie sądzę, by słowa pomogły mi dokładniej wytłumaczyć to, co robię. Chcę, żebyś zrozumiał, że nic mnie nie zmusza. Nie wpadłem w kłopoty. Nie potrzebuję pieniędzy. Muszę tylko zbliżyć się do prawdy.

Hao mu nie wierzył. Trung zdradzał swoich towarzyszy, jakie motywy mogą nim kierować? Na pewno nie filozofia.

Kucający obok Hao Trung oparł głowę o ścianę i westchnął. Wyglądało na to, że zaraz się pożegna. On powiedział jednak:

- Dobra, zapalmy teraz.

Hao na palcach poszedł na piętro po papierosy i amerykańską zapalniczkę zippo. Na podeście wyjął z paczki dwa papierosy i ruszył na dół, zadając sobie pytanie, czy Mnich na niego czeka. Czekał. Bardzo dobrze. Dzisiaj wieczorem uczynili wielki krok.

- On chce się z tobą spotkać - powiedział Hao.

- On za dużo chce.

- Gotów jest cię ochraniać.

- Dopóki nie będzie mógł mnie zidentyfikować, jego ochrona nie jest mi potrzebna.

- Chce cię chronić przed własnymi ludźmi. Przed swoją stroną, nie twoją.

- To ja jako jedyny będę się musiał martwić o obie strony.

Zapalili, dłońmi osłaniając papierosy. Hao myślał: Nie mogę nawet podać ognia przyjacielowi, nie przeżyłby, gdyby płomień oświetlił mu twarz. Od lat nie widziałem jego oczu.

- Trung, żeby dotrzeć tam, dokąd idziesz, potrzebujesz protektora, a ten protektor musi ci ufać.

- Jeszcze na to nie pora. - Przyjaciel wydłubał żar z papierosa, po czym schował niedopałek do kieszeni koszuli.

- Trzy lata temu, na krótko przed tym, jak pierwszy raz się ze mną skontaktowałeś, mój siostrzeniec spalił się żywcem za Świątynią Nowej Gwiazdy.

- Wiem o tym.

- Czy ty też robisz to samo? Niszczysz siebie?

Jakim powolnym, rozważnym człowiekiem stał się Mnich. Zawsze odznaczał się upartą szczerością, ale to sięgało głębiej. Chwile milczenia były poszukiwaniami. Inspirowały.

- Powiedziano kłamstwo. Padło z moich ust. Chcę, by odzyskała mnie prawda. Jeśli tego nie przetrwam, to trudno.

- Musimy podać bardziej zrozumiały motyw.

- Nie. Prawdę. Oni i tak założą, że kłamię.

- Na zdobycie zaufania potrzeba czasu. Oni czegoś będą chcieli. Możesz coś mi dać?

- Tym razem powiem ci coś, o czym pewnie już wiesz. Następnym razem dodam coś więcej.

- Rozumiem, przechodzimy małymi krokami.

- Ci, którzy wracają z północy, mówią, że zbliża się wielkie natarcie.

Nie teraz. Przepuszczalnie w następne święto Tet.

- Nie słyszałem o tym.

- Twój pułkownik słyszał. Bez wątplenia dotarli do niego plotki. Ale ja cię zapewniam, że to nie są plotki. Wszyscy to czują. Coś się zbliża.

- Będzie chciał cię przesłuchać. Przez kilka dni. To standardowa procedura.

- Nie traktuj mnie jak głupca.

- Wybacz.

- To ja kontroluję cały proces. Muszę.

- Skoro tak mówisz.

- Potrzebuję czasu, zanim dam mu coś konkretnego, coś, co będzie mógł potwierdzić.

- W porządku.

- Potrzebuję czasu. Nie jestem jeszcze gotów na przejście.

Koguty w sąsiedztwie zapiały po raz trzeci. Trung miał tylko kilka chwil do pierwszego brzasku na opuszczenie okolicy, w której mieszkał Hao: drzewa owocowe, drewniane domy, jarzeniówki palące się w kuchniach rannych ptaszków, rów ze ściekami wijący się pomiędzy podwórkami z ubitej ziemi. Zazdrościł przyjacielowi tego zwyczajnego spokoju.

Na ścieżce przystanął, by zapalić niedopałek, i obserwował chłopców od piekarza, którzy na rowerach w milczeniu wieźli poranny chleb.

Pamiętał, jak o tej godzinie szedł ramię w ramię z Hao w zupełnie innym uniwersum: zataczający się i szaleni, dwaj młodzieńcy zbyt pijani kradzioną ryżową brandy, żeby przejmować się karą, którą może wymierzyć im Mistrz. Pamiętał dokładnie wielkość i barwę księżyca tamtej nocy, bezgraniczną życzliwość młodego świata, pamiętał, jak z Hao śpiewali starą pieśń: „Wczoraj szedłem za tobą drogą... Dzisiaj wybrałem kwiat na twój grób...”.

Drugiego stycznia w porze lunchu, w pierwszy pełny dzień w nowym kraju, Skip Sands czekał na wuja w Club Nautique nad rzeką Sajgon. Na drugim brzegu cumowały dżonki, sampany i kutry, ale niewiele łodzi poruszało się

po brunatnej wodzie. Skip przejrzał menu, choć apetyt całkiem mu minął, bawił się sztuczkami i słuchał głośnych ptasich śpiewów, niektórych niemal sentymentalnie muzycznych, innych gniewnych. Pot spływał mu po kręgosłupie. Jego wzrok padł na siedzącego przy sąsiednim stoliku mężczyznę, Azjatę z niewiarygodnie czarnym owłosieniem schodzącym z czaszki na kark. Miejsce naprzeciw niego zajmowała kobieta z małpką na kolanach. Była niezadowolona, małpka wcale nie sprawiała jej radości, menu wpędzało w ponury nastrój.

Pojedynczy bardzo głośny wybuch - moździerz? rakiet? grom dźwiękowy? - wywołał wielką konsternację. Małpka skoczyła, naprężając smycz na całą długość, i tańczyła pod stołem. Kilku mężczyzn wstało. Przy stołach zapadła cisza, kelnerzy zgromadzili się przy balustradzie, patrząc w kierunku śródmieścia. Ktoś się roześmiał, inni podjęli przerwane rozmowy, sztucce zadzwęczały o porcelanę, wszystko wróciło do stanu poprzedniego.

Pułkownik Sands wszedł na taras ze słowami:

- Chłopcze, uspokój się.

Pułkownik przyleciał z Góry Szczęśliwego Trafu helikopterem, tak przynajmniej zrozumiał Sands. Czerwony kurz pokrywał jego płócienne buty wojskowe i nogawki, choć ubrany był po cywilnemu i wyglądał niepokojąco zwyczajnie, jakby przejmował się wyłącznie miejscowymi widokami i golfem.

W dłoni trzymał już szklaneczkę z bursztynową whisky.

Sands zajął miejsce naprzeciwko niego.

- Wszystko w porządku? Zakwaterowano cię w koszarach?
- Tak.
- Kiedy przyjechałeś?
- Wczoraj wieczorem.
- Widziałeś kogoś z ambasady?
- Jeszcze nie.
- Co dzisiaj mamy?
- Pułkowniku, chciałbym zacząć od kilku pytań o San Marcos.
- Zanim coś zjemy?
- Muszę coś wyjaśnić.
- Jasne.
- Przekazywałeś rozkazy majorowi?
- Majorowi?
- Majorowi Aguinaldo? Kiedy ostatnio się widzieliśmy.

- Zgadza się. Ośrodek Del Monte. San Carlos.
- San Marcos.
- Zgadza się.
- Aguinaldo? Filipińczyk?
- Tak. Filipińczyk. Nie. Nie miałem pod sobą żadnego Filipińczyka.
- A ten Niemiec? Był twój?
- Wszystkich prowadzi Sekcja Polityczna w Manili. Ja nie jestem z Sekcji Politycznej. Jestem tylko chorym psem, do którego zastrzelenia nie mogą się zmusić.

- W porządku. Może nie będę naciskał.
- Nie, nie. Zaczęłeś, więc nie rezygnuj. O co chodzi?
- Może wypadłem z szeregu.
- Atakuj mnie. Pracujemy razem. Załatwmy to.
- Doskonale. Więc co powiesz o Carignanie?
- O kim?
- Carignan, sir. Ksiądz na Mindanao.

Skip wyczuł, że teraz wuj docenia jego powagę.

- O, tak - powiedział pułkownik. - Ksiądz Carignan. Kolaborant. Ktoś skrócił jego udrękę.

- A kto dokładnie?
- Jeśli dobrze pamiętam, operację zleciło dowództwo armii filipińskiej.

Tak zrozumieliśmy z raportu.

- Ja napisałem ten raport. Pojechałem na ośle aż do podstacji Głosu Ameryki pod Carmen i wysłałem zakodowany raport, zgodnie z instrukcją adresowany do ciebie. Tylko wspomniałem o miejscowej armii, tylko wspomniałem.

- Wydaje mi się, że to była operacja armii filipińskiej. Jestem też przekonany, że przeprowadził ją nasz przyjaciel Eddie Aguinaldo. Mieliśmy wszelkie powody wierzyć, że ten Carignan brał udział w przekazywaniu broni muzułmańskim partyzantom na Mindanao.

- Księdza zabiła strzałka. Nazywają ją sumpit.
- To broń tubylców.
- Widziałem ją tylko w rękach tego Niemca w ośrodku Del Monte, poza tym nigdzie indziej.
- Rozumiem.
- Nie prowadziłeś Niemca.

- Mówiłem, że nie.
- To mi wystarcza.
- Nie obchodzi mnie, czy ci wystarcza.
- Pierdol się, sir.
- Rozumiem. - Podczas gdy pułkownik zastanawiał się nad odpowiedzią i przesunął palcem, trzęsącym się palcem, po krawędzi szklaneczki, Skip czuł, jak uchodzi z niego powietrze. Uzbroidł duszę na ten atak, nie spodziewał się jednak, że trafi w ciało. - No cóż - powiedział pułkownik - powtarzam się, ale o co chodzi?

- Niepokoję się. - Tylko to Sands był w stanie wykrztusić.

Przez chwilę pułkownik milczał. Cały ogień zgasł w Skipie. Dlaczego nie przewidział, że może zranić tego giganta? Nie ma zupełnie pojęcia o starszych mężczyznach. Dlaczego pozbawiono mnie ojca?

- Posłuchaj - odezwał się pułkownik. - Takie rzeczy zdarzają się rzadko, ale się zdarzają. Czyjeś nazwisko zostaje wymienione w kilku źródłach, komuś wpada pomysł do głowy, ktoś pisze raport, komuś zależy na przygodzie - przecież wiesz, jak to się dzieje, prawda? - i szybko jest po wszystkim. To, że byłeś świadkiem podobnej partaniny, okaże się bezcennym doświadczeniem, Skip.

- Powiedziałbym, że byłem czymś więcej niż tylko świadkiem.
- Chodzi mi o to, że widzisz potęgę bestii, na której jedziemy. Uważaj, kiedy wbijasz jej w boki ostrogi. - Jego twarz buldoga zdawała się mówić o szczególnym rodzaju smutku. Napił się whisky. - Czy moje archiwa są bezpieczne?

- Tak jest, sir, są bezpieczne.
- Jak ci się podobało Monterey?
- Niewiarygodnie piękne.
- Zamów mi hot doga po wietnamsku.

Kelner nalewał wodę. Sands coś mu powiedział.

- Mówi, że to danie z bufetu, i prosi, żebyś się częstował.
- Niezwykłe. Choć zrozumiałem słowo „bufet”. Poznałeś Hao Nguyena.
- Hao? A, racja.
- Odebrał cię z lotniska. Rozmawiałeś z nim po wietnamsku?
- Tak jest, sir.
- Jesteś głodny?
- Mógłbym zamówić coś z menu.

- Skip.
- Tak jest, sir.
- Żałujemy, że szczerze ze sobą rozmawialiśmy? Bo ja tego nie chcę.

Nie możemy na to pozwolić.

- Dobra. Doceniam to.
- To świetnie. - Pułkownik ruszył w stronę bufetu.

Wrócił do bratanka z miską krabów w białym sosie; usiadł, nabił jednego na widelec i przełknął kilka kęsów, ledwo je żując. Napił się whisky.

- A Rick Voss? Voss? Był w domu wczoraj w nocy?
- Rick Voss? Nie.
- Niedługo go poznasz. Za szybko.
- Przed wyjazdem spotkałem go w Clark. Szukał mnie.
- Tak?
- Głównie wypytywał o ciebie.
- A o co mu chodziło?
- Chciał rozmawiać o artykule, który przekazałeś do pisma.
- Nie dałbym grosza za niektóre młode szczenięta. Wyjątkiem obecne

towarzystwo.

- Mam taką nadzieję.

Wydało mu się, że wuj westchnął.

- Powiem ci, Skip, świat obrócił się i rzucił mnie w mrok. W zeszłym tygodniu dostałem list od twojej kuzynki Anne. - Anne była córką pułkownika. - Przejęła melodię uniwersyteckich biuletynów, możesz w to uwierzyć? Pisze: „Myślę, że powinieneś przyrzeć się motywom działań naszego rządu w Wietnamie”. Chodzi z beatnikiem, Mulatem. Jej matka bała mi się o tym powiedzieć. Musiał to zrobić twój wuj Ray. „Motywy naszego rządu”? Jezu Chryste. Jaki lepszy motyw rząd może mieć od pragnienia pokonania komunizmu na każdym polu?

Skip pamiętał Anne Sands, jak w kostiumie kąpielowym w groszki kuciała na chodniku, odbijając małą czerwoną piłeczkę i zbierając białe kulki; potrafił bez wysiłku przywołać obraz Anne ze skakanką, z warkoczami huśtającymi się na wietrze, bez pamięci zaangażowaną w wyliczanki i skoki. Treść jej listu go rozgniewała, choć utrata patriotyzmu była sprawą wtórną - występki polegały na przejściu poza banały wieku dziewczęcego... Mulał beatnik?

- A teraz rozchmurzmy się - powiedział pułkownik. - Pozwól, że kogoś ci przedstawię.

Wskazywał na zbliżającego się ku nim chudego młodego mężczyznę w spodniach od polowego munduru. Od pasa w górę odziany był w rozpiętą barwną koszulę i oliwkowy podkoszulek.

- Sierżant Storm - powiedział Skip.
- Znasz go?
- Wczoraj czekał na mnie na lotnisku.
- Tak, tak, tak - powiedział pułkownik. - Siadaj, Jimmy. Któryś z was ma ochotę na drinka?

Skip odmówił, Jimmy poprosił o amerykańskie piwo. Skip po raz pierwszy widział Jimmy'ego w dziennym świetle. Opalona twarz i jasne, małe, żarliwe oczy tej samej barwy, co oczy Skipa - w jego dokumentach określone jako „orzechowe”. Miał widowiskowy tatuaż i kilka zębów. Na podkoszulku wypisany ołówkiem widniał napis: STORM B. S.

Pułkownik gestem wezwał kelnera, po czym zamówił piwo i whisky z wodą sodową.

- A teraz pora na wyraz szacunku: Jimmy zapnie dla nas koszulę. Wiesz, to złamanie regulaminu.

- Jestem szalony zgodnie z modą.
- I pojawia się w miejscach publicznych z nogawkami na wierzchu.
- Nie jestem w mundurze.
- Popelniasz wykroczenie.
- Jadłeś już, Skipper? - zapytał Jimmy.
- Jeszcze nie - wyznał Skip.
- Skip mówi, że wczoraj przywitałeś go na lotnisku. Dziękuję ci za to.
- Nie ma sprawy.
- Skip mówi też, że spotkał Vossa. Voss odszukał go w bazie Clark przed jego wyjazdem.

- Nie psuj mi piwa taką śmieszoną gadką - powiedział Jimmy.
- Voss pytał go o artykuł, nad którym pracuję. - Pułkownik zwrócił się do Skipa: - Wycofałem artykuł. Brakowało mu tematu przewodniego, by rzecz ująć w skrócie. Po prostu biłem szerokim wiosłem w staw swoich przemyśleń i kręciłem się w kółko. Biłem pianę. O czym mówił? No wiesz, Voss.

- Właściwie przerwałem mu, zanim zdążył wiele powiedzieć.
- Opisał artykuł?
- Nie. Mogę go przeczytać?
- A może pomożesz mi go napisać?

- Nie wiem. Jeśli zobaczę brudnopis...
- Jeśli uda mi się znaleźć brudnopis. Zawierał jeden wielki bałagan. Wyjąłem go z szuflady po roku i nie zdołałem się połapać we własnych pomysłach.

- No cóż, tak się dzieje, kiedy rok spędzasz w szufladzie - powiedział Jimmy

- Słuchajcie, nie przesłałem brudnopisu do pisma. Voss sam go przejął.
- A nie przekroczył swoich kompetencji?
- Do diabła, jasne, że przekroczył. To był akt sabotażu. Co jeszcze mówił? To znaczy w bazie Clark.

- Zaraz, zaraz. Mówił o twoim zainteresowaniu meczem footballowym.
- Notre Dame - Michigan State. Niewiarygodny mecz. Bardzo pouczający. Staram się zdobyć relację filmową i zrobić z tego wykład. Chciałbym pokazać go oddziałom. Morale w tym teatrze wojny jest skandaliczne. Sama ziemia wydziela zapach, który doprowadza człowieka do szaleństwa. Skip, to nie jest inne miejsce. To inny świat pod rządami innego Boga.

- To staje się regularną filozoficzną obsesją - zauważył Jimmy.
- Filozoficzne obsesje wygrywiają wojny - powiedział Skip.
- *Touche* - odparł Jimmy
- *Touche?* - zapytał Sands.
- Jak idzie z francuskim? - zapytał pułkownik.
- Zawsze dobrze - zapewnił Sands.
- Skip i ja musimy powspominać - powiedział pułkownik. - Jeszcze nie zrobiłem mu odprawy.

- A mogę najpierw zjeść to chow? - zapytał Jimmy
- Nie krępuj się. Ja odwiedzę męską toaletę.

Obaj przeprosili. Jimmy wkrótce wrócił z talerzem w jednej i wielką bułką w drugiej dłoni. Podczas gdy Storm usiłował jeść, Skip przesłuchiwał go w ostrym stylu Agencji: pozwól swojemu człowiekowi wziąć papierosa, ale zadawaj pytania tak szybko, żeby nie zdążył go wypalić.

- Skąd pochodzisz, Jimmy?
- Z hrabstwa Carlyle w Kentucky. Nigdy tam nie wróciłem.
- Nazywasz się B. S. Storm?
- Tak jest. Billem Stafford Storm.
- Billem?

- B-I-L-L-E-M. Taki przydomek nosił mój pradziadek. Ojciec mojej matki, Willem John Stafford. To właściwie nie rozwiązuje zagadki, stary, tylko dokłada idiotyczny fragment, który do niczego nie pasuje. Zaczynasz zdezorientowany, kończysz kompletnie zagubiony.

- Ale nie nazywają cię Bill.
- Nie.
- Ani Stormy.
- Jimmy brzmi dobrze. Na Jimmy'ego ludzie pozytywnie reagują.
- Jesteś w wywiadzie wojskowym?
- W Op Psy. Ty też tam pracujesz. Chcemy przekształcić tunele w strefę psychicznych tortur.

- Tunele?
- Tunele Wietkongu w całym Cu Chi. Myślę sobie tak: bezwonna psychoaktywna substancja. Skopolamina. LSD, stary. Wpuśćmy którąś w system. Ci dranie wyroją się z dziur z mózgami obracającymi się daleko poza czerwoną linią.

- Jezu.
- Op Psy to myślenie wybiegające ponad przeciętność, człowieku. Chodzi nam o to, żeby idee rozwalić dokładnie tam, gdzie powstają. Znajdujemy się na ostrzu samej rzeczywistości. Dokładnie tam, gdzie zmienia się w marzenie.

- Rick Voss nie jest w Op Psy, tak?
- Nie.
- Ale regularnie z nim współpracujecie?
- „Trzymaj przyjaciół blisko, ale wrogów jeszcze bliżej”.
- Kto tak powiedział?
- Pułkownik.
- No tak, ale kogoś cytował.
- On cytuje siebie.
- Zwykle tak.
- Voss to złośliwy fiut.
- W takim razie dobrze, że mamy go po swojej stronie.
- Czyjej stronie? W płynnej sytuacji strony się mieszają.
- Cytuje Attylę, wodza Hunów, albo Juliusza Cezara.
- Kto? Voss? Aha.
- Pułkownik.

- Jasne. Wróćmy do archiwów, stary. Masz cały ten majdan? Całe Drzewo Dymu?

- Och, wszystkiego po trochu.

Skip pozwolił mu jeść. Storm miał kraba i cienkie, delikatne frytki, które jadł palcami. Po krótkiej chwili przerwał milczenie:

- Jak myślisz, czy ci faceci, którzy zrzucili bombę na Hiroszimę, mieli z tego powodu wyrzuty sumienia?

- Nie mieli - odparł ze sporym przekonaniem Skip.

- Oto nadchodzi szef.

Kiedy pułkownik wrócił, Skip powiedział:

- Jimmy mówi, że interesują go tunele.

Pułkownik trzymał puszkę budweisera i pustą szklankę. Starannie przelał piwo, oblizał pianę i upił solidny łyk, zanim powiedział:

- Zgadza się. Co do chudzielca. Sierżant Storm jest łącznikiem Op Psy w dowództwie regionalnym CIA, a ja jestem łącznikiem dowództwa regionalnego CIA w Op Psy. Razem z sierżantem prowadzimy mały, bardzo ścisły program o nazwie Labirynt. Lokalizujemy tunele. Jestem pewien, że wiesz o tunelach Wietkongu.

- Jasne.

- Na razie to tunele Wietkongu. Kiedy je zlokalizujemy, ich status ulegnie zmianie.

- Lokalizowanie. To brzmi bardziej jak zwiad. Albo rekonesans.

- No tak - powiedział pułkownik. - Mówię, że Labirynt jest ograniczony, ale parametry naszej misji są bardzo elastyczne. Powiedziałbym, że działamy bez żadnych jasnych parametrów.

- Ale Op Psy?

- W gruncie rzeczy mamy pluton zwiadowczy. Oraz stałą strefę lądowania, której nie wolno nazywać nam bazą.

- Kto nie pozwala?

- Ja. Oraz porządny oddział piechoty, który tego pilnuje.

Skip poczuł, jak serce szybciej mu bije.

- Oczywiście jestem na twoje usługi. - Dłonie go świerzbiły i nagle wcale się nie pociał.

- Williamie, wierzę, że mamy otwarty projekt, którego będziesz ważną częścią. Istotną częścią. Ale w najbliższym czasie nie przewidujemy twojego czynnego udziału. Obawiam się, że na razie muszę cię prosić o długie oczekiwanie.

- A gdzie mianowicie?
- Na prowincji mamy małą willę.

Radość umarła w sercu Skipa.

- Willę.
- O taką rzecz nikogo innego bym nie prosił.
- Pójdę tam, gdzie mi każesz - powiedział Skip z trudem.
- Myślę, że lubimy tego faceta - oznajmił Jimmy.
- W ciągu miesiąca wszystko ustalimy. Do tego czasu jeśli ktoś będzie chciał cię w Piątym Korpusie, jesteś na ich usługi.
- Bardzo dobrze.
- Chcemy zmienić te tunele w oddział piekła - wyjaśnił Jimmy.
- Jimmy studiował górnictwo.
- Żartujesz.
- To wszystko jest częścią nadrzędnego planu - zapewnił go Jimmy.
- Zrobiłeś dyplom?
- Nie, kurwa. Czy ja wyglądam na kogoś, kto zrobił jakikolwiek dyplom?

Po kawie, przy której Skip zjadł swój lunch - słodką bułeczkę równie mdłą i zakalcowatą jak jego nastrój - Storm odwiózł ich czarnym chevroletem do hotelu Continental, gdzie pułkownik miał pokój na parterze, na tyłach, daleko od hałaśliwego holu. Najwyraźniej miał ten pokój na stałe: skrzynie z książkami i płytami, maszyna do pisania, adapter, jedno biurko do pracy, drugie służące jako barek. Pułkownik puścił płytę.

- To Peter, Paul and Mary *In Concert*. Posłuchajcie tego. - Pochylił się nad adapterem, zmrużył oczy i grubymi palcami przestawił igłę na *The Ravens*, melancholijną balladę o pokonanym rycerzu i jego przeklętej kochance. Skip i Jimmy siedzieli w milczeniu przy biurkach, pułkownik się przebierał. Minął mu nastrój wywołany przez Skipa. Usiadł na łóżku, wsuwając stopy w pantofle.

- Misja w Mindanao - powiedział. - To był dobry raport. Wiesz, co najbardziej mi się w nim podobało?

Tu przerwał.

- Nie wiem - odparł Skip. Irytował go ten zwyczaj pułkownika, polegający na czekaniu na odpowiedź na pytania retoryczne.
- Najbardziej podobało mi się to, że nie wspomniałeś o mnie.
- Wydaje mi się, że miałem uzasadnione powody do niedomówień.

- Wydaje mi się, że masz talent do zachowywania dyskrecji - odparł pułkownik.
- Zakładałem, że ty pierwszy przeczytasz ten raport.
- Pierwszy i ostatni, chłopcze. Taki przynajmniej był zamiar.
- Zakładałem, że dasz mi znać, jeśli będziesz potrzebował więcej szczegółów.
- Ten facet leci sobie w baloniki - oznajmił Jimmy, opierając rękę na oparciu fotela Skipa. - I jest w tym niezły.
- Pułkownik spojrzał prosto na Jimmy'ego i rzekł:
- Ten facet jest z mojej rodziny w każdym tego słowa znaczeniu.
- Wiadomość przyjęto - zapewnił go Jimmy.
- W takim razie w porządku. - Pułkownik wstał. - Zgadnijcie, kto leciał ze mną z Cao Phuc? Nasz dobry porucznik.
- Popierdolony Louie - powiedział Jimmy.
- O, nie. Brak szacunku.
- Tak powinno się odczytywać jego identyfikator. Szeregowcy nazywają go „Popierdolony dupek”.
- Chyba jest na dole.
- Popierdolony Louie zszedł na psy.
- Skip, mamy do czynienia z amerykańską piechotą. Pozwólcie, że coś zasugeruję: musimy brać takich sojuszników, jacy się nam trafiają.
- Mówi o poruczniku, nie o mnie - powiedział Storm.
- Nie mam nic przeciwko armii. Jestem starym lotnikiem. Ale piechota nie jest taka jak dawniej.
- Przynajmniej nie spalił półrocznego powołania i nie uciekł - powiedział Storm.
- To prawda, jest cały czas z nami. Popierdolony dupek, tak go nazywają?
- Sam w sobie jest operacją psychologiczną.
- Posłuchaj, młody Williamie. - Pułkownik szukał czegoś w szufladzie biurka. - Mam twój dokument. - Rzucił bratankowi fałszywy paszport.
- Kiedy Skip go otworzył, zobaczył własną twarz spoglądającą na niego znad nazwiska Williama Fencha Benéta.
- Kanadyjczyk?
- Twoje rachunki płaci Canadian Ecumenical Council.
- Nigdy o nich nie słyszałem.

- Nie istnieją. Jesteś tutaj na stypendium z rady. Tłumaczysz Biblię czy coś w tym rodzaju.

- Benét!

- No, Benét - potwierdził pułkownik - napijmy się kawy.

W wielkim holu, w którym roilo się od ludzi, usiedli w rattanowych fotelach pod jednym z wielu wirujących wiatraków. Wokół nich żebracy i ulicznicy wlekli się krokiem wygnańców i wojowników - w końcu to była stolica czasu wojny, elegancki hol pełny najrozmaitszych historii, szpiegów i oszustów, ludzi puszczonej wolno, nie odpowiadających za swe poprzednie wcielenia. Targi dobijane w kilku językach, podejrzone spotkania, fałszywe uśmiechy, wzrok szacujący szanse. Psychiczni, wędrowcy, bohaterowie. Kłamcy, blizny, maski, chytre intrygi. Tego właśnie pragnął - a nie willi gdzieś w buszu.

Ze smutkiem zwrócił się do pułkownika:

- Będę cię widywał na tym zadupiu?

- Jasne. Wszystko załatwimy. Potrzebujesz czegoś?

- Tego co zwykle. Pióra, papier, takie rzeczy. To co zwykle.

- Gilotyna do papieru. Guma arabska.

- Bardzo dobrze. Cudownie.

- Przyślę ci też maszynę do pisania. Chcę, żebyś miał maszynę do pisania. I mnóstwo taśm.

- Napiszę za ciebie pamiętniki.

- Od tego upału robisz się drażliwy.

- Czy mogę być rozczarowany przez pół godziny?

- Daj spokój, byłoby gorzej, gdybyś został w Sajgonie i pracował dla naszej firmy. Na południu mają pięćdziesiąt posterunków, w których prowadzą przesłuchania. Trzeba się przedzierać przez potężną górę raportów. Wszystko sprawy lokalne. Wsadzą cię do nory i każą robić katalogi krzyżowe, aż zaczniesz srać kartami. Wolałbyś raczej być w jakiejś wsi i poznawać ludzi, kraj, z którym toczymy wojnę. Nie bój się, znajdziemy ci miłe miejsce. W ostatecznym rozrachunku będziesz wykonywał dla nas ważną pracę.

- Wierzę, sir.

- Jakież pytania na tym etapie?

- Dotyczące archiwum.

- Strzelaj.

- Co oznacza zwrot „drzewo dymu”?

- Więc doszedłeś do „D”.

- Nie, dzisiaj to usłyszałem.
- Jezu - odezwał się Storm - powiedziałem tak dzisiaj, ale myślałem, że wszyscy dzielimy się swoimi zarazkami i chorobami, rozumiecie?
- On jest z rodziny - przypomniał mu pułkownik.
- Więc co znaczy „drzewo dymu”? - zapytał Jimmy.
- O Boże, nie wiem, od czego zacząć. Jest żenująco poetyckie, wzniosłe.
- To zupełnie ciebie nie przypomina - powiedział Skip.
- Poetyckość i wzniosłość?
- Zażenowanie.
- Kto powiedział „Trzymaj przyjaciół blisko, a wrogów jeszcze bliżej”? - wtrącił Jimmy.
- Czy to przesłuchanie? - zapytał pułkownik. - W takim razie proponuję koktajle.

Koktajle podawano w kolejnych coraz głośniejszych i bardziej wilgotnych lokalach usytuowanych głównie na Thi Sach Street, w mrocznych knajpach, gdzie podczas jednego numeru z szafy grającej całe epoki przesuwaly się przed oczyma niczym szarfy. W każdej Skip brał jedno piwo i usiłował zachować czujność, dokładnie rejestrując otoczenie, choć nie było nic do rejestrowania poza popowymi melodiami i małymi, wypranymi z radości tancerkami go-go. Czuł się oszołomiony, nie wiedział, dlaczego nie wrócił do domu. W pewnym momencie, nie zauważył nawet kiedy, dołączył do nich porucznik, ten, którego nazywali Popierdolony. Rzeczywiście tak wyglądał - napięta twarz, oczy świadomie szeroko otwarte, jakby jego przesłanie dla świata brzmiało: Popatrzcie na mnie, zrobiliście ze mnie przestraszone dziecko - i nie zachęcał do rozmowy. Tymczasem pułkownik mówił:

- Powiem wam, co dla mnie świadczy o Vossie. Kiedy go pierwszy raz spotkałem w Manili, poszliśmy na piwo. Zamówił jedno i nawet go nie tknął. Stało u jego stóp jak trofeum.

- Przy mnie wypił pół piwa - powiedział Skip, pilnując, by po tym oświadczeniu napić się swojego.

Popierdolony Dupek sprawiał wrażenie zahipnotyzowanego kolanami tancerki go-go, która półtora metra dalej podskakiwała do karaibskich rytmów Desmonda Dekkera, podczas gdy sierżant Storm wrzeszczał mu do ucha:

- Nieważne, kurwa, wygramy czy przegramy. Żyjemy w śmietniku, stary. To naprawdę będzie krótka piłka. W ektoplazmatycznym obwodzie, w którym przywódcy ludzkości połączeni są ze sobą wzajemnie i z masami,

zapadła jednogłośnie ogólnoświatowa decyzja, człowieku, żeby rozwalić tę planetę i przenieść się na nową. Jeśli te drzwi zamkniemy, otworzą się następne.

Porucznik nie zwracał na niego uwagi.

Pułkownik także zdawał się głuchy na brednie Jimmy'ego. Upił wielki łyk swojej trylionowej whisky z wodą i obwieścił:

- Ziemia jest swoim mitem. Penetrujemy ziemię, penetrujemy ich duszę narodową. To jest prawdziwa infiltracja. Może i są tunele, ale to z całą pewnością mieści się w królestwie Op Psy.

Skip nie potrafił stwierdzić, czy mówią poważnie, czy tylko bawią się kosztem porucznika.

- Hej - odezwał się Jimmy - chcę się zająć dźwiękami. Ludzie miewają alergię na dźwięki. Przecież to możliwe, że całe genetyczne substratum będzie miało alergię na jeden zestaw wibracji?

- Przepraszam - wtrącił Skip - „substratum”?

- Ja osobiście mam alergię na ogień z broni określonego kalibru. Na wirnik śmigłowca przy określonych obrotach.

Nieoczekiwanie przemówił porucznik:

- Wiecie, co przede wszystkim napawa mnie goryczą? Niespotykany dotychczas poziom gówna, w jakim wszyscy musimy brać udział, i to nieustannie, kurwa.

- Przepraszam - wtrącił Skip - „dotychczas”?

- Coś wykrzywia twoje myślenie - powiedział porucznikowi Jimmy.

- Może twoja percepcja tego, jak dowództwo będzie na ciebie patrzeć.

Ale w tej akurat chwili cię nie widzą, więc jest to percepcja nie-percepcji, stary, która jest percepcją nicości, a to z kolei jest niczym, stary.

Pułkownik narzekał na małżeńskie kłopoty.

- Ona nazywa nasze kłótnie „sporami domowymi”. To obsceniczne - jest obsceniczne, prawda? - żeby coś, co szarpie ci serce, nazwać „sporami domowymi”. Co o tym myślisz, Will?

Nigdy wcześniej nie widział pułkownika tak pijanego.

W pewnym momencie w łańcuchu następujących po sobie zygzakami wydarzeń jakaś kobieta złapała go nad łokciem i powiedziała:

- Mocny! Mocny! Chodźmy się pierdolić, dobra?

Może tak? Ciekawe, ile bierze? Ale wyobraził sobie jej smutną chudość, miłe służalcze przerażenie albo gorzkie przerażenie, w zależności od tego jak będzie maskowała swoje przerażenie... Inna tancerka kołysała się wolno koło

szafy grającej, dłonie miała bezwładnie zwieszane, brodę opartą o piersi, nawet nie próbowała się sprzedać.

- Nie, dziękuję - odrzekł.

Twarz pułkownika wzniosła się przed nim jak chory księżyc.

- Skip.

- Tak.

- Obiecałem ci kolejkę?

- Tak.

- Dostałeś kolejkę?

- Tak.

- W takim razie na zdrowie.

- Na zdrowie.

W rogu błysnął flesz. Pułkownik najwyraźniej rozpoznał fotografa i ruszył ku niemu. Byli teraz w prawie eleganckim, klimatyzowanym lokalu. Porucznik długopisem robił notatki na wilgotnych podkładkach pod szklanki, podczas gdy Jimmy z zapalem mówił mu do ucha. Pułkownik wrócił z aparatem.

- Da nam odbitki, kiedy wywoła film. Usiądź prosto, Skip. Prosto. Młoda damo, usuń się z kadru, bardzo proszę. To fotka dla rodziny. - Flesz, dryfujący księżyc. - Poślę to rodzinie. Twoja ciotka Grace prosiła o zdjęcie. Wszyscy są bardzo z ciebie dumni. Wszyscy bardzo kochaliśmy twojego ojca.

- Jaki był mój ojciec? - odpowiedział pytaniem Skip i nagle prowadzili jedną z najważniejszych rozmów jego życia.

- Twój ojciec miał honor, miał odwagę - mówił wuj - i gdyby żył dostatecznie długo, dodałby do tego mądrość. Myślę, że gdyby żył, wróciłby na środkowy zachód, ponieważ tę część kraju kocha twoja matka. Myślę, że gdyby żył, zostałby biznesmenem, dobrym w swoim fachu, kołem zamachowym swojej społeczności. Myślę, że z całą pewnością nie pracowałby dla rządu.

Tak, tak, pragnął powiedzieć Skip, ale czy mnie kochał, czy mnie kochał?

Chociaż z szafy płynął utwór na trąbki Herba Alperta, pułkownik zignorował muzykę i alkoholowym barytonem, bardziej jeszcze schrypniętym od cygar, głośno zaśpiewał:

Pochowała go młodego

W dole, hej, w dole

Sama przed wieczorem była martwa

W dole

*Bóg posyła każdemu dżentelmenowi
Piękne jastrzębie, silne psy i ślicznotkę
Hejże hej, dana moja dana*

Skip opuścił jedenastą może z kolei knajpę i zakończył swój pierwszy dzień w Wietnamie, wychodząc z Thi Sach Street z mglistym pojęciem, gdzie mieszka; szedł wśród kłębiących się tłumów, przez zapiaszczony dym z dielsi, koło barów, z których płynęła para i dudniąca muzyka - co to za piosenki? Nie miał pojęcia. Ta to ostatni przebój w kraju, *When a Man Loves a Woman*; później, kiedy mijał anonimowe wejścia, muzyka okręcała się wokół samej siebie i mogła być czymkolwiek. Potargował się z rykszarzem, który przewiózł go przez rzekę na Chi Lang Street. Tutaj na spokojniejszych uliczkach wdychał zapachy kwiatów i zgnilizny, żarzącego się węgla, smażonego jedzenia, słyszał odległy ryk odrzutowców i dudnienie helikopterów, a nawet wybuch tysięcfuntowych bomb trzydzieści kilometrów dalej, który nie tyle był dźwiękiem, co faktem jelitowym: był tutaj, czuł go, odbijał się echem w jego duszy. Jak musi być pod tymi bombami - albo nad nimi, kiedy się je uwalnia? Na zachodzie niebo znaczyły czerwone pociski smugowe. O to właśnie mu chodziło. Po to tutaj przyjechał. Żeby znaleźć się w kuźni, w zdecydowanie nowym porządku - „innej administracji”, by tak to ująć - gdzie teorie spalane są na popiół, gdzie kwestie moralności stają się faktami.

Poprzedniego wieczora na Ton Son Nhut był świadkiem niewiarygodnej aktywności w powietrzu, eskadry samolotów bojowych i bombowców lądowały i startowały, samoloty transportowe wielkości góry wypluwały ciężki sprzęt wielkości domów. Jak mogliby nie odnieść triumfu w tej wojnie?

Odnalazł drzwi willi. Nie były zamknięte na klucz.

W środku za barem stał Rick Voss.

- Witaj w naszym małym szalonym cyrku - powiedział.
- Dobry wieczór.
- Znalazłeś nas.
- Też się tu zatrzymałeś?
- Jak zawsze, kiedy jestem w Strefie Mroku. Martini? Mam składniki.
- Pół nocy starałem się nie upić.
- Witaj w drugiej połowie.
- Mam ochotę się położyć.
- Chodziłeś po barach z pułkownikiem?

- Trochę.
- Złapał cię? Przydzielił ci zadanie?
- Jeszcze nie.
- Mam coś dla ciebie. Zajęcie biurowe.
- Dzięki Bogu - powiedział Skip.
- Chodzi tylko o to, żeby trzymać cię blisko - odparł Voss, po czym zmieszał mu zaskakująco zimne martini.

Obezwładnieni parzącą duchotą, wolnymi dłońmi przystaniając oczy przed migotliwym blaskiem słońca, szeregowy James Houston i dwaj inni nowi członkowie patrolu Echo rzucili worki po trapie na asfalt, po czym zeszli do wielkiego otwartego hangaru, gdzie usiedli na swoich rzeczach i pili colę, aż pojawiło się dwóch podoficerów, którzy sprawiali wrażenie, że wiedzą, kim są nowo przybyli.

Żaden jednak nie przywitał trzech szeregowców. Prowadząc ich do ciężarówki M35, w której bez trudu mógł się zmieścić cały pluton, rozmawiali ze sobą.

- Poprosiłem konkretnie o Carsona, a kogo mi przydzielił? Ciebie - mówił jeden. - I teraz to znaczy, że mówię: tak, pierdol się, trzymaj się z daleka od Long Time, to mój bar.
- Chcesz powiedzieć, że jesteś jedynym człowiekiem, który może wejść do Long Time. Jesteś ich jedynym klientem na całej planecie.
- Bez urazy.
- Tak, z urazą, cholera, z urazą.
- Dobra, niech tak będzie. Ale trzymaj się z daleka od mojego baru, kurwa. To wasze rozkazy? - zapytał nowych.

James wcześniej zebrał dokumenty całej trójki i trzymał je w kurczowo zaciśniętej, spoconej dłoni.

- Zdajecie sobie sprawę, że wasz żołd będzie zawieszony, tak?
- Dlaczego? Co jest nie tak z dokumentami?
- Nic. Są popierdolone.

Drugi dodał:

- Oblecą świat dokoła, wpadną wam w gardła i wyjdą wam z dupy.

Dwaj gospodarze jechali w szoferce, nowi na pace, w brezentowej jaskini, jak najdalej od wejścia. Podskakiwali na wybojach razem z oddalającym się widokiem lotniska ze stosami skrzyń, barakami z blachy falistej, pojazdami i samolotami. Później znaleźli się w mieście z jaskrawo pomalowanymi

budynkami i ulicami pełnymi ludzi niemających pojęcia, jak dziwnie wyglądają, a ono z kolei ustąpiło miejsca bujnej roślinności. James odbył szkolenie w puszczech Karoliny Południowej i Luizjany, ale tylko jesienią i zimą. Stopy gotowały mu się w butach. Zdjął hełm. Niebo pokrywały chmury, ale przenikające przez nie jaskrawe promienie nie pozwalały otworzyć oczu. James zapadł w odrętwienie i spał do chwili, gdy ciężarówka podskoczyła i huk wybuchów rozsadził mu uszy. Fisher i Evans już rozpląszczyli się na podłodze koło swoich worków. James padł na nich. Samochód się zatrzymał, trzasnęły drzwi. Ci dwaj z szoferki wysiedli i stanęli na tylnym zderzaku, spoglądając na płataninę ciał.

- Mówiłem ci, że to pedały - powiedział jeden. Drugi podniósł papierosa i przytknął do czegoś, co okazało się zapalnikiem przy sznurze fajerwerków, który rzucił im za plecy. Kolejny ogłuszający, grzechotliwy wybuch. Dwaj żołnierze zniknęli, ciężarówka ruszyła. Trzema szeregowcami wstrząsnęła nieczułość. James prawie płakał z przerażenia, a Evans powiedział:

- Gdybyśmy mieli broń, moglibyśmy strzelić facetowi w tył głowy i tak go zostawić, czy on o tym nie wie?

- Jezusie najświętszy! - wrzasnął Fisher, kopiąc gwałtownie w ścianę kabiny. Ciężarówka znowu się zatrzymała.

- Zobacz, coś narobił! - krzyknął Houston. - Te dranie nas zabiją!

Tylko jeden, Flatt, zajrzał na pakę.

- Żołnierzu! - zawołał. - Skurwielu! Dostawa! - Jedną po drugiej wrzucił na pakę trzy puszkę budweisera. - To był głupi kawał - przyznał.

- Cholerna racja - powiedział Fisher.

- No, w każdym razie to są najprawdziwsze puszkę budweisera. Wypijcie i bez urazy.

Fisher mówił jak rzecznik prasowy:

- Wręcz przeciwnie! Jezu Przenajświętszy! Kim ty jesteś, przeklętym szpiegiem armii Wietnamu Północnego? - Otworzył piwo, piana trysnęła na wszystkie strony. - Kurwa!

- Robimy objazd - powiedział Flatt. - Któryś z was rznął krzywą cipkę?

Trzej szeregowcy wrócili na ławki. Żaden nie odpowiedział.

- Powtarzam: Czy któryś rznął krzywą cipkę?

Wciąż zastanawiali się nad pytaniem.

- Wydaje mi się, że teraz zwróciłem waszą uwagę - oznajmił Flatt. Zeskoczył ze zderzaka i ruszyli dalej.

- Jezusie przenajświętszy! - powiedział Fisher.
- Nie mów więcej „Jezusie przenajświętszy” - odparł Evans.
- A co mam mówić?
- Nie wiem. Skąd niby mam wiedzieć?

James postawił puszkę przy stopach i dopiero wtedy ją otworzył. Wepchnął blaszkę do środka, przystawił puszkę do ust i tak długo żłopał ciepłe piwo, aż blaszka uderzyła go w język. Nawet wtedy nie przestał ssać.

Rozpętała się burza, deszcz przez pięć minut lał jak wodospad, po czym ustał. Zrobiło się duszno, trudno było oddychać. James zsunął się na koniec ławki i odważył się wyjrzeć na wojnę wietnamską: deszcz kapiący z gigantycznych liści, zdeformowane pojazdy, mali ludzie - ciężarówka zwiększała obroty, silnik warczał, błoto gotowało się pod wielkimi oponami - bosonodzy przechodnie o brunatnych twarzach ustępujący z drogi, wybój za wybojem, piwo bulgoczące mu w żołądku. Wylał twarz koszulą, przytknął dłoń do czoła i patrzył na zachodzące słońce, które wylaniając się spod chmur, złowieszczo i potężnie zmieniało barwy świata. Wyjechali na szosę. Cała roślinność przy drodze wyglądała na martwą. Betonowy chodnik nabrał czerwonego odcienia z błota, które weń wcierano. Z drogi korzystały wszelkiego rodzaju pojazdy, rowery, skutery i większe maszyny, bez wątplenia zbudowane z dwukołowych środków lokomocji, wozy zaprzężone w woły, taczki, a także półnaczy przechodnie w spiczastych kapeluszach, zgięci pod wielkimi tobołami. Ciężarówka z rykiem klaksonu jechała zygakiem na wschód, często hamując i dodając gazu. Przez jakiś czas jechali tak wolno, że wóz za nimi mógł dotrzymać im kroku, i James długo wpatrywał się w głupi, budzący głębokie współczucie pisk bawołu.

Ciemność zapadła zniecka. Droga była prawie pusta; znowu zwolnili, jadąc przez coś w rodzaju miasteczka. Ciężarówka zatrzymała się przed budynkiem zbudowanym głównie z bambusa; oświetlony słabą czerwoną żarówką szyld na froncie głosił: COCA-COLA i LONG BRANCH SALOON. Dryfując w czerwonej poświacie, knajpa wydawała się rozgrzana, wilgotna, tajemnicza, samotna. W środku dudniła muzyka. Houston wyciągnął szyję, by coś zobaczyć, i dostrzegł, że gdzieś tam przed nimi sporo się dzieje, różnił mroczne zarysy budynków i małe, poruszające się światełka rowerów.

Ale pomiędzy tutaj a tam rozpościerała się długa plama czerni.

Podeszli do nich gospodarze albo porywacze.

- Wynoście się z mojej ciężarówki - powiedział Flatt.
- Naprawdę? - zapytał Houston.

- Daj im spokój, Flatt. Już dość.
- Dobra - zgodził się Flatt. - Przepraszam, że tak kurewsko się zachowywałem. Jesteście najlepszą rzeczą, jaka zdarzyła się przez cały tydzień. Późno przyjechaliście, więc biorąc pod uwagę mądrą przezorność, naprawdę powinniśmy spędzić noc w Bien Hoa. Zabawcie się z Jollym, a ja wejdę do Long Time i pogadam z kilkoma ważnymi szpiegami wroga.

- Idziemy z tobą, tak? - zapytał Evans.
- Nie. Nie możecie tu wejść.
- Nie?
- Ta knajpa jest zakazana.
- Ale ty tam idziesz, no nie? - spytał James.
- To sprawa służbowa - odparł Flatt. - Wy lepiej znajdźcie sobie inną knajpę przy tej ulicy. Idźcie do Floor Show.

- Przy ulicy? - powtórzył Fisher. - Przecież tu nie ma żadnej ulicy. Jest kompletnie ciemno.

- Kapral Jollet zaprowadzi was do miasta.
- Dobra, gównu. W porządku. Gównu. Zajmę się nimi - powiedział Jollet. - Wskakujcie i jedziemy.

- O nie, ciężarówka zostaje tutaj.
- Do najbliższej knajpy jest prawie kilometr!
- Żołnierze, ruszajcie - rzucił Flatt. - Idźcie gęsiego i módlcie się, żeby wasze dupy nie wpadły w zasadzkę pierwszej nocy w tym kraju. Macie pieniądze?

- Gównu, nie mają pieniędzy - odparł Jollet.
- Powtarzasz „gównu”, jakby to było moje imię - powiedział Flatt. - Przestań powtarzać „gównu”, jakby to było moje imię. Ile macie, chłopcy? Bo w tym pokopanym współczesnym świecie, w którym żyjemy, nie możecie liczyć na bzykanko bez pieniędzy - wyjaśnił. - Wystarczy wam na piwo?

- Po ile jest piwo?
- Mam kilka dolców - przyznał się James.
- Amerykańskich czy bonów?
- W amerykańskich dolarach.
- Kapralu Jollet, zabierzcie nowych do Floor Show.

Flatt i Jollet, wpadając na siebie i wchodząc sobie w drogę, w braterskiej atmosferze wzajemnej zależności i pretensji, umieścili swoje M16 w schowku na broń.

- Gdzie wasza broń? - zapytał szeregowych Jollet.

- Jezusie przenajświętszy! - krzyknął Fisher. - Mówilem!
- Nie mamy broni - powiedział James.
- Dziwne - stwierdził Flatt.
- Dostaniemy broń?
- Tak, możemy dostarczyć wam każdy rodzaj uzbrojenia, jaki będziecie chcieli - zapewnił Jollet. - To jest wojna.

Flatt wszedł do Long Branch Saloon, zostawiając ich z Jolletem, który stwierdził:

- Nie powiem tego, ale mam ochotę powiedzieć „gówno”.

Odwrócił się i ruszył w stronę miasta. Mogli tylko iść za nim.

- Gdzie jesteście?
- W Bien Hoa. Nie wyjdziemy poza granice. Wszędzie tam jest baza lotnicza.

Panowała ciemność. To był Wietnam.

- A niech mnie szlag - powiedział James, usiłując mówić tak cicho, jak cichy był mrok.

- W czym rzecz?
- W tym, że tu jest ciemniej niż w piekle.
- Powinni pokazywać zdjęcia, jak tu jest ciemno, zanim człowiek się zaciągnie - powiedział Evans.

- Ja się nie zaciągnąłem - powiedział Fisher. - Sami mnie powołali. Zakwalifikowałem się na szkolenie śmigłowcowe.

- Więc co tutaj robisz? - zapytał Evans.
- A co ty tutaj robisz?
- Zgłosiłem się na ochotnika - odparł Evans. - Dlaczego? Z dwóch powodów: ciekawość plus głupota. A ty, Kowboju?

Wspomniawszy, że mama pracuje w stadninie, James Houston stał się kowbojem.

- Chyba z samej głupoty.
- Myślicie, że mają tu miny? - zapytał Fisher. - Miny na drodze? Pułapki albo coś w tym rodzaju.

- Zamknijcie się wszyscy - rozkazał Jollet i natychmiast się zamknęli.

James czuł dym z gotowania, tłuste opary. Przy wtórze skrzypienia butów i pobrząkiwania menażek szli w kierunku niezbyt oddalonych przytłumionych świateł. Był przekonany, że tego uczucia nic nie przewyższy: przerażony, dumny, zagubiony, ukryty, żywy.

Ciszę przerwał Fisher.

- Możesz mi łaskawie powiedzieć, dokąd idziemy?

Jollet przystanął, żeby zapalić papierosa; cała okolica pojaśniała od płomienia zapalniczki.

- Do knajpy o nazwie Floor Show. Chociaż programy mieli tu marne, bo bez muzyki. - Machnął zapalniczką i płomyk zgasł. - Widzicie? Żadnych snajperów.

- Co rozumiesz przez „programy”?

- Ale pewnie nastąpiła znaczna poprawa. Słyszałem, że mają szafę grającą.

- A w szafie co?

- Piosenki, stary. Melodie, rozumiesz?

- Skąd wzięli pieprzoną szafę grającą?

- A jak myślisz? Z jakiegoś klubu oficerskiego. Ktoś im sprzedał od zaplecza.

- Ale nie wiesz, co mają?

- Skąd mam wiedzieć, szeregowcu? Nie mam pojęcia, kurwa.

Jollet stanął, uniósł twarz do nieba.

- KOCHANY PANIE BOŻE. NIE MIAŁEM JESZCZE OKAZJI ZOBACZYĆ TEJ PIERDOLONEJ SZAFY.

- Dobrze.

- DOPIERO TERAZ IDĘ ZOBACZYĆ TĘ PIERDOLONĄ SZAFĘ.

- Okay, okay.

- IDĘ TAM Z WAMI.

Odłamany szyld nad drzwiami głosił: FLOOR SHOW. Budynek wyglądał jak obora, tylko że w środku zamiast kóz i kur znajdowali się ludzie, głównie drobne kobiety. Za kontuarem ze sklejki wisiał zielony neon LITTLE KING'S ALE. Na stołach paliły się lampy lava.

- Siadajcie tutaj - polecił Jollet. Zajęli miejsca przy stoliku. - Ty, szeregowcu. Jak się nazywasz?

- Houston.

- Postaw mi piwo, Houston.

- Postawię ci jedno, i to wszystko.

- Ojej, tatusiu! Trafiłeś w mój numer.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że potrzebuję dwa dolary.

Podeszła do nich jedna z kobiet.

- Chcesz program?

Wydawała się wiedzieć, że powinna rozmawiać z Jolletem, może dlatego że on nie usiadł. Ubrana w obcisłą i krótką niebieską sukienkę, uśmiechnęła się do niego. Nie miała zęba na przedzie.

- Żadnych programów. Teraz piwo, program później.

- Być waszą kelnerką - powiedziała.

- Daj mi dwa dolary - polecił Jollet. - Cztery piwa.

- Dla mnie lucky lager - powiedział James.

- Nie ma. Puss Boo Ribbon.

- Pabst? Nic poza pabstem?

- Puss Boo Ribbon albo trzydzieści trzy.

- Przynies nam trzydzieści trzy - powiedział Jollet.

- Ja wolę pabsta - sprzeciwił się James.

- Chcesz najtańsze - stwierdził Jollet. - Przynies w butelkach. Nie dawaj mi brudnych szklanek.

Kobieta wzięła pieniądze Houstona i zniknęła.

Fisher, który wyglądał na przerażonego, powiedział:

- W takim razie w porządku!

- Chłopaki, wybywam stąd - oznajmił Jollet.

- Co?

- Mam sprawy do załatwienia. Wy, dzieci, zostańcie tutaj.

- Co? Jak długo mamy tu być?

- Dopóki nie wrócę.

- Ile to potrwa, człowieku?

- Kapralu Jollet, prosimy - powiedział Fisher. - Dopiero przyjechaliśmy ze Stanów. Nie mamy pojęcia, gdzie jesteśmy.

- Ja wiem, gdzie jesteście, więc siedźcie tu, dopóki nie wrócę.

Kelnerka przyszła, niosąc cztery butelki za szyjki, po dwie w każdej dłoni. Jollet zaszedł jej drogę i wziął jedno piwo.

- Bardzo dziękuję - rzekł i zniknął.

Kobieta otarła butelki ścierką. Była bardzo drobna i miała mocny makijaż, za jasny do ciemnej karnacji.

- To piwo smakuje jak lek na pryszcze - oznajmił Fisher.

- Jak się nazywa to miasto, bo zapomniałem? - zapytał Evans.

James przystawił butelkę do ust, zaczął pić i próbował myśleć. Wypił połowę, ale żadne myśli się nie pojawiły. Piwo smakowało jak każde inne.

- I tak nie potrzebujemy tych jankesów - powiedział.
- Ja ich potrzebuję. Zgubiłem się - odparł Fisher. - Też jestem jankesem - zauważył.

- Chcecie program? - zapytała kobieta.
- Teraz piwo, program potem, okay? - powiedział Evans.

Kobieta nachyliła się i zwróciła wprost do Jamesa:

- Chcesz druta?
- Co ona mówi?
- Przepraszam - odezwał się James - chciałaś powiedzieć, no wiesz, obciągnąć ci druta?

- Brednie.
- Ale tak powiedziała.
- O Jezusie przenaświętzy - powiedział Fisher.
- Ile bierzesz?
- Jeden raz teraz dwa dolary.
- Niech ktoś mi pożyczy dwa dolary - powiedział James.
- To ty masz pieniądze.
- Już nie.
- Jak masz na imię? - zapytał Evans.
- Moje imię Łoła.
- Czyli Laura, tak?
- Dam ci dobrego druta.
- Piwo teraz, drut później - powiedział Evans. Był błądy i wyglądał na zdumionego.

James pośpiesznie skończył swoje piwo 33, jedyną rzecz w tym otoczeniu, z którą był w stanie sobie poradzić. W kącie przy kilku zsuniętych stolikach siedziała grupa młodych mężczyzn w białych mundurach, marynarzy z obcego kraju; wszyscy w dłoniach albo na głowach mieli berety w barwie trudnej do określenia w tym świetle, większości na kolanach siedziały kurwy. W pobliżu sławna szafa grająca pulsowała na czerwono jak piec hutniczy. Trzy pary wolno tańczyły, ledwo się poruszając w rytm *You're Lost That Lovin' Feelin'*. Wysoki żołnierz całował partnerkę w niekończącym się, przerażającym pocałunku, zamykał ją w ramionach, pochylał się nad nią i pożerał jej twarz. Pary wciąż tak samo tańczyły, choć piosenka się skończyła i z szafy dobiegał tylko szum. Kiedy zabrzmiała *Barbara Ann* Beach Boysów, zagraniczni marynarze zaczęli byle jak śpiewać. James miał ochotę się do nich przyłączyć, ale był zbyt nieśmiały. Niezależnie od rytmu, tancerze jak

zombie kołysali się w transie.

- Myślę, że ci faceci, co wyglądają na marynarzy, są Francuzami - powiedział Evans. - Taa, to Francuzi.

Trzej żołnierze z piechoty siedzieli i patrzyli na pary tańczące przy jakiejś kobiecie śpiewającej *Makin' Whoopie*, a potem kolejnej, która wykonywała *The Girl from Ipanema*.

Kiedy znowu przyszła Laura i zapytała o program, Fisher odparł:

- *Voulez vous coucher avec mop.*
- *Mais oui, monsieur*, robimy rżnięcie.

Wszyscy trzej wybuchnęli pełnym zażenowania śmiechem. Laura odwróciła się pogardliwie.

- Postaw mi piwo, Houston.
- Jużem ci postawił. Teraz ty mi postaw.
- Miłośnik dildo.
- Co to jest? Co to jest miłośnik dildo?
- Wydaje mi się, że to dość oczywiste.

James tak nie uważał.

- Co to jest dildo? - zapytał Fishera.

- Masz jakąś forszę?

- Gdzie są moje dwa dolary?

- Ich zapytaj.

- Nie dostanę żadnej reszty?

- Ich zapytaj.

- Nikogo o nic nie będę pytał.

- Zamknij się, bo teraz liczę - powiedział Evans. - Wiesz co? W tej sali jest więcej kobiet niż facetów. Piętnaście kobiet.

- Chcesz się pieprzyć?

- A jak myślisz? Jasne, że będę się pieprzył. Przerżnę wszystkie.

- Są trochę brzydkie - powiedział Fisher.

- Trochę - zgodził się James - ale nie całkiem. - Patrzył na dziewczynę na drugim końcu sali: płaskonosą, z seksownymi ustami. Prowokował go jej obojętny, pusty wzrok.

- Ja postawię, potem ty - powiedział Evans do Fishera.
- Stoi.
- Stoi.

- Więc po nie idź.
- Sam idź.
- Ty stawiasz, ty przynosisz.
- Dobra, pierdolcu - powiedział Evans. - Wszyscy skończyli dwadzieścia jeden lat? Mogę sprawdzić wasze dowody tożsamości?
- Idziesz po te piwa czy nie? - zapytał James.
- Tak. - Evans ruszył przez zadymiony półmrok, jakby wychodził z okopów, jakby wreszcie była wojna.

Po powrocie wydawał się bardzo z siebie zadowolony.

- Jeszcze jedno piwo i mogę tańczyć. Ale serio, Houston, ile masz lat?
- Nie wiem.
- Nie wiesz? Nie wiesz? Ja mam dziewiętnaście. Proszę, powiedziałem ci, teraz twoja kolej.
- Osiemnaście.
- Osiemnaście?
- Ja też - powiedział Fisher.

Z szafy rozległ się głos Dionne Warwick śpiewającej *Walk on By*.

Tłusta kurwa, o której myśleli, że tańczy sama, odwróciła się wolno, odstawiając niskiego faceta z głową wtuloną w jej piersi, niemal niedotykającego ziemi. Dwucalowe obcasy na kowbojskich butach sprawiały, że z tyłu wyglądał jak kobieta. Fisher wybuchnął śmiechem na ich widok i nie potrafił się w żaden sposób opanować.

Mężczyzna oderwał się od partnerki i podszedł do ich stolika. Uśmiechał się, ale kiedy Fisher wstał, powiedział:

- Chcesz w ryja?
- Nie.
- Nie stój koło mnie taki wysoki, cholera. Ile masz wzrostu?
- Wystarczająco dużo.
- Dość dużo, żeby dostać w ryja - powiedział mężczyzna, zwracając się głównie do pozostałych. Ubrany był w dżinsy i koszulę z madrasu. Był niski, szeroki, okrągłogłowy. - Ile?
- Nie wiem.
- Ile centymetrów, jankesie?
- Sto dziewięćdziesiąt pięć.
- O kurwa.
- Nie dałbyś rady dać mi w ryja - powiedział Fisher.

- On tylko żartuje - wtrącił James.
- A ja tylko mówię, co myślę o daniu mi w ryja - odparł Fisher.
- Z twojego głosu słysząc, że hodujesz sobie mięsień piwny, kolego.
- Stwierdzam fakt, nic więcej.
- O tak, ma piwne mięśnie w całym ciele!
- Kim ty jesteś?
- Jestem Walsh z australijskiej marynarki handlowej. Ważę pięćdziesiąt sześć kilo, mam sto pięćdziesiąt dwa centymetry wzrostu i mogę walczyć ze wszystkimi czterema naraz albo po kolei. Zacznijmy od największego twardego. Kto jest największym twardelem? No, który? Ty?
- Nie wydaje mi się - odparł James.
- Nieważne, czy jesteś silny czy nie, nie chcesz się ze mną bić - stwierdził Australijczyk. Do Fishera dodał: - A ty, wielkoludzie? Myślisz, że uda ci się wrzucić mnie na dach, wielkoludzie?
- Klótlivy z ciebie dupek, ale wrzucę cię na dach - odparł Fisher ze śmiechem.

Mały Walsh nie posiadał się z oburzenia.

- Rzucisz mnie na dach? Chodź ze mną. Chodź i rzuć mnie na dach, chodźmy na dwór. - Okręcił się na pięcie i ruszył ku drzwiom.

Fisher poszedł za nim, nieco zakłopotany.

- Jasny gwint, zaraz spuści mi manto mały zapaśnik.

Houston i Evans także wyszli. Na błotnistej ulicy, gdzie nie było światła prócz smugi padającej z otwartych drzwi, Walsh przygotowywał się do walki, napinając ramiona, ściskając pięści, pochylając się do przodu, dotykając palcami ziemi.

- Zaczynaj.

Fisher rozpostarł ręce, jakby przygotowując się do podniesienia dziecka. Jego przeciwnik skoczył w jedną, potem w drugą, stronę, potrząsnął głową, błyskawicznym ruchem opuścił lewe ramię, wyrzucił prawą rękę i rzucił garścią ziemi w oczy Fisherowi. Fisher stał prosto, z otwartymi oczami, i mrugał. Australijczyk kopnął go w krocze, po czym obiegił i podeszwą buta wymierzył cios najpierw pod kolano, potem w kręgosłup; wysoki chłopak padł na twarz z dłońmi przyciśniętymi do łędwii.

Australijczyk pochylił się nad nim i krzyknął:

- Obudź się, ty leniwy skurczybyku!

Francuscy marynarze i ich dziewczyny wyszli popatrzeć, ale było po wszystkim.

Walsh pomógł Fisherowi wstać, James i Evans także.

- No, wstawaj, wstawaj. Dość tych wygłupów, czas, żebyśmy napili się piwa.

W knajpie usiadł z tłustą kurwą na kolanach przy stoliku trzech szeregowców.

- Nigdy nie walczyliście z małymi facetami. Jesteśmy między wami, olbrzymami, ponieważ przetrwaliśmy, a przetrwaliśmy, ponieważ jesteśmy twardsi od samego Boga. Bardzo dobrze! Piwo dla każdego. Chryste! - krzyknął nagle. - Czuję mirt! Kto ma mirt? - Spojrzał na ich puste twarze. - Żaden z was jeszcze się nie pieprzył? W porządku. Ja stawiam piwo, chłopcy. Zaczepiłem was, brzydko załatwiłem, straszny drań ze mnie. Ale Chryste, ważę tylko pięćdziesiąt sześć kilogramów. I wiszę w powietrzu jak koliber. Racja, skarbie? Maleńki-maleńki!

- Lubię maleńki-maleńki - powiedziała jego dziewczyna. - Nie lubię wielkiego fiuta.

Otoczyły ich dziewczyny. Jedna usiadła Fisherowi na kolanach. Druga stanęła obok Jamesa i bawiła się jego uchem. Nachyliła się i szepnęła:

- Chodźmy się różnić.

- Ja lubię wielki fiut - powiedziała ta, która siedziała Fisherowi na kolanach. Jej japonki kołysały się nad ziemią, zawieszane na palcach stóp. Miała śmieszna twarz. Wydatne ukośne kości policzkowe. Wyglądała jak elf.

- Złaż ze mnie - odparł Fisher. - Jaja mnie bolą. Nie kocham cię. - Mam sto pięćdziesiąt dwa centymetry wzrostu. Na tej szerokości geograficznej przetrwanie to mój najważniejszy cel. Muszę być agresywny. - Walsh uszczypnął swoją kobietę w tyłek i powiedział: - Stawiam piwo tym odważnym chłopcom z armii amerykańskiej. Odważni chłopcy, widzieliście szyld nad wejściem? Dawnymi czasy ta knajpa miała jeden wielki szyld z coca-colą i nazwą „U Lou” oraz drugi mniejszy z napisem „Program rozrywkowy o każdej porze”. Ale pewnego wieczora pijany Australijczyk z marynarki handlowej ciosem karate przełamał go na pół. To byłem ja. Taa! To ja nadałem tej knajpie sławną nazwę. Gdzie jest twój dom, wielkoludzie?

- W Pittsburgu. Żałuję, że mnie tam teraz nie ma.

- Dzielny z ciebie chłopak, Pittsburg. Uściśnij mi dłoń na znak przyjaźni. Nigdy nie walcz z małym gościem, bo on uczył się, jak cię pokonać.

Na statkach opłynąłem świat i nauczyłem się, jak zwyciężać. Mam sto pięćdziesiąt dwa centymetry wzrostu i nigdy więcej nie urosnę. Stawiam program rozrywkowy.

James próbował tańczyć ze swoją dziewczyną. Przytuliła się do niego mocno, miękka i gorąca, włosy miała sztywne, pachnące jak niemowlęcy puder. Kiedy ją zapytał o imię, odpowiedziała:

- Zrobię ci je.

Patrzył na jej dojrzałe, miękkie usta. Piosenka miała szybki rytm, ale oni tańczyli wolno w rubinowym świetle szafy grającej. Walsh zapłacił za piwa. Śpiewali piosenki z francuskimi marynarzami, z których jeden tańczył bez spodni na stole, podczas gdy pozostali potrząsali szklankami z piwem i opryskiwali go pianą. Walsh siłował się na rękę ze wszystkimi przy stole i każdego pokonał. Zapłacił za program, oni natomiast musieli dać mężczyźnie w gangsterskim garniturze w prążki dodatkowe dwa dolary „za szafę grającą”, jak powiedział. Poszli do sypialni na tyłach budynku, usiedli na podłodze. Weszła kobieta, zamknęła drzwi, z papierosem w ustach zdjęła przez głowę sukienkę i stanęła przed nimi naga, tylko w czerwonych szpilkach, wydmuchując kłęby dymu. Ciało miała absolutnie doskonałe.

- Jak, jak, jak masz na imię? - krzyknął Evans.

- Na imię mam Virgin - odpowiedziała.

Z szafy grającej w barze znowu popłynęła piosenka *You've Lost That Lopin' Feeling* i naga Virgin zaczęła się poruszać.

- Dzisiaj wieczorem jestem taka napalona, napalona, napalona - zawodziła.

James nie czuł swoich dłoni, stóp, ust, języka. Niecały metr od jego twarzy kobieta przez minutę tańczyła do muzyki, później usiadła na łóżku, rozstawiła kolana, wsunęła ustnik papierosa pomiędzy wargi sromowe i wypuściła kłąb dymu z krocza do wtóru *Satisfaction* Rolling Stonesów. James miał wrażenie, że głowę mu odrąbano i wrzucono do gotującej się wody. Virgin położyła się, opierając na łóżku tylko głowę i ramiona, stopy w szpilkach postawiła na podłodze i zaczęła kołysać tułowiem w rytm *Barbary Ann*. Wszyscy też śpiewali... Boże wszechmogący, modlił się jakąś częścią siebie, jeśli to jest wojna, niech pokój nigdy nie nadejdzie.

Trzy Francowate Mandy przyszły na kolejne konsultacje. Trzymali się ze sobą, skuleni w ten słoneczny poranek w cieniu przy pierwszym baraku, i żadnemu z patrolu Echo nie wpadło do głowy, żeby do nich zagadać. Przerazający był zwłaszcza czarny. Wcześniej służył w jednostce dalekiego zwiadu,

który kompletnie odurzony prochami wędrował tylko nocą i odbierał życie wszystkim napotkanym po drodze mężczyznom, kobietom i dzieciom. Na głowie miał dziką płataninę kędziorów, malował sobie twarz jak Indianin i chodził z mundurze z oderwanymi rękawami. W porównaniu z nim prawdziwy Indianin, niewysoki, żylasty, z krzywymi nogami, pochodzący z południowego zachodu, wydawał się całkiem zdrowy na umyśle. Trzeci był Włochem albo kimś bardziej egzotycznym, może Grekiem, Ormianinem. Nigdy się nie odzywał, nawet do swojego przełożonego pułkownika.

Tymczasem pułkownik Sands nie chciał się zamknąć. Nie był prawdziwym pułkownikiem, bardziej wyglądał na honorowego pułkownika z południa, ludzie za plecami nazywali go „pułkownik Sanders”, a rzadkie poranne zebrania w obozie na zachodnim zboczu Góry Szczęśliwego Trafu określali „Godziną Władzy”.

Ale pułkownik nie był głupcem. Charakteryzował się niesamowitą zdolnością odczytywania cudzych myśli:

- Zdajecie sobie sprawę, że jestem cywilem. Konferuję z waszym porucznikiem, nie wydaję mu rozkazów, natomiast kieruję naszymi operacjami w ogólnym znaczeniu tego słowa. - Stał w oślepiającym świetle tropikalnego poranka, ujmując się pod boki. - Dwanaście tygodni temu, dziewiętnastego listopada moja alma mater Notre Dame zagrała z uniwersytetem stanowym w Michigan mecz, który powinien być najkrwawszy w jej historii. Oba zespoły wspinały. Oba niepokonane. Oba rwały się do walki. - Pułkownik miał takie jak oni płócienne buty, nowe sztywne levisy oraz kamizelkę wędkarza z mnóstwem kieszeni. Biały T-shirt. Lotnicze okulary przeciwsłoneczne. - Tydzień przed meczem studenci z Michiganu rzucili z samolotu na campus Notre Dame broszury adresowane do „kochających pokój wieśniaków z Notre Dame”. Pytali w nich: „Dlaczego walczyacie z nami? Dlaczego trwacie w błędnym przekonaniu, że możecie swobodnie i otwarcie z nami wygrać? Wasi przywódcy was oszukali. Kazali wam uwierzyć, że możecie wygrać. Natchnęli was fałszywymi nadziejami”.

O czym on gada? Pułkownik był po części zabawną, po części ponurą tajemnicą. Czasami mówił jak żartowniś, czasami jak Kennedy. Lubił, żeby porucznik Popierdolony woził go po górze, sam natomiast żuł cygara i popijał whisky z małej butelki, między kolanami ściskając M16 w nadziei, że upoluje tygrysa, pumę albo dziką świnię.

- Ten mecz pomiędzy uniwersytetami Notre Dame a Michigan State, o którym wam opowiadam, już teraz nazywany jest Meczem Stulecia. Jest ważny dla mnie nie tylko jako byłego zawodnika Walecznych Irlandczyków, ale jako obecnego wroga Wietkongu. Staram się zdobyć relację filmową z tego meczu, bo chciałbym, żeby każdy żołnierz tutaj mógł go przestudiować. Liczę, że dostanę filmy pokazujące, jak Waleczni Irlandczycy jadą pociągiem na stadion Spartan w East Lansing w Michigan. Ludzie stali na polach kukurydzy i pastwiskach przy torach, trzymając transparenty: „Święta Mario, łaskiś pełna, Notre Dame będzie drugie”. Chciałbym każdemu z was pokazać to, co widzieli Irlandczycy, kierując się na stadion, gdzie siedemdziesiąt sześć tysięcy ludzi śpiewało, kołysało się, wrzeszczało. Żałuję, że wszyscy nie możemy usiąść i oglądać meczu od początku.

Irlandczykom towarzyszył pech. Nasz główny łapacz, Nick Eddy, wysiadając z pociągu, pośliznął się na lodzie i nadwreżył sobie ramię jeszcze przed meczem. Kolejne nieszczęście: po pierwszej kwarcie nasz najlepszy lewy środkowy opuścił boisko na noszach. Potem nasz rozgrywający Terry Hanratty padł na stos i został z niego wywleczony z wyrwanym barkiem. Pod koniec drugiej kwarty Michigan State biło nas dziesięć do zera. Ale temu młodemu cukrzykowi z rezerwy nazwiskiem Coley O'Brien jakimś cudem udało się przyłożenie na trzydzieści cztery jardy do rezerwowego łapacza nazwiskiem Bob Gladieux (to nawet nie jest irlandzkie nazwisko) i potem Irlandczycy odpierali ataki Michigan, aż naszemu udało się wbić gola na początku czwartej kwarty.

I proszę bardzo, remis, dziesięć do dziesięciu. Została minuta i trzydzieści sekund. Irlandczycy mają piłkę na własnej linii na trzydziestym jardzie. To jest boisko. Cel. Ludzie.

Ale główny trener Parseghian postanowił zakończyć mecz i zgodził się na remis. Postanowił opuścić pole bez zwycięstwa.

Dlaczego tak zrobił?

Ponieważ remis nie zmniejszył ich szans na zdobycie mistrzostwa kraju. Wciąż byli na pierwszym miejscu. Kilka tygodni później istotnie zdobyli mistrzostwo. Pobili Uniwersytet Karoliny Południowej pięćdziesiąt do zera.

Myślicie, że powiem wam, iż postąpił mądrze? Cóż, może to było mądre. Ale było także złe.

Ponieważ tamtego dnia w East Lansing, walcząc z najzaciętszym wrogiem, nie zeszli z boiska jako zwycięzcy.

Pot sphywał mu z krótko ostrzyżonych srebrnych włosów na twarz, ale pułkownik go nie wycierał. Oderwał dłonie od bioder, lewą zwinął w pięść i uderzył w prawą; pięść miał szeroką jak bokser wagi ciężkiej.

- Na Boga - rzekł - zdobędę ten film. Usiądziemy i obejrzymy go sobie tutaj w obozie. Słuchajcie mnie teraz uważnie. Chcę, żebyście dobrze zrozumieli, dlaczego wam o tym mówię. Mówię wam dlatego, że nieodmiennie właśnie z czymś takim sami mamy do czynienia tutaj i teraz. Nieodmiennie mamy do czynienia z kawałkiem ziemi i wrogiem. A tutaj nie załatwiamy spraw, rezygnując z kawałka ziemi w imię jakiejś teorii dotyczącej przyszłości. Nasza misja polega na utrzymaniu tej góry pod naszą strefę lądowania, zaznaczeniu wyjść z tuneli i przeniesieniu ich na mapy. Nie musicie schodzić do tuneli. Mamy ludzi do tej roboty.

Istotnie, byli ludzie do tej roboty: te gnojki Francowate Mendy. Wczołgiwali się w ciemne dziury w ziemi w całym regionie Cu Chi z pistoletem w jednej, z jajami w drugiej ręce i latarkami w zębach. Francowate Mendy cieszyły się zasłużoną sławą. Jeśli chodzi o patrol Echo, nie mieli błyskotliwej ksywki, ale nie mogli nic poradzić na to, że dzięki sąsiedztwu z Cao Phuc byli znani jako Cowfuckers*, idiotyczny traf. Nigdzie nawet tego nie malowali, bo określenie było wulgarne.

* Cowfuckers: „krowojebcy”.

- Wygramy tę wojnę. - Czy pułkownik wciąż mówi? - I wysiłki podejmowane przez pluton będą temu celowi służyły. Myślcie o nas jako o tych, co infiltrują. W ziemi pod naszymi stopami Wietkong umieścił serce swojego narodu. Ta ziemia to mit. Penetrujemy ziemię, penetrujemy ich serce, mit, duszę. To prawdziwa infiltracja. I taka jest nasza misja: penetrować mit ziemi.

Pytania?

Nastąpiła długa przerwa, podczas której słuchali ptaków i warkotu helikoptera nad górą.

Pułkownik zdjął okulary i zdołał spojrzeć prosto w oczy całemu plutonowi jednocześnie.

- Oto co mówiliśmy o remisach, kiedy byłem w drużynie: remis jest jak całowanie się z własną siostrą. Nie przyjechałem do Azji Południowo-Wschodniej w 1941, żeby całować siostrę. Przyjechałem do Azji Południowo-Wschodniej, żeby z Latającymi Tygrysami prowadzić misje przeciwko

Japończykom, i zostałem w Azji Południowo-Wschodniej, żeby walczyć z komunistami, a teraz coś wam powiem, żołnierze, z całą powagą solennego przyrzeczenia: kiedy umrę, umrę w Azji Południowo-Wschodniej i umrę w walce.

Spojrzał na Popierdolonego, a ten rozkazał:

- Odmaszerować!

Rozeszli się do swoich zajęć. Popierdolony, sierżant i Francowate Mendy zebrali się przy baraku pierwszym z pułkownikiem. Zasadniczo pluton pogardzał cywilami, ale przecież byli młodzi, doceniali doświadczenie i żywili mgliste, przesądne przekonanie, że pułkownik przyniósł im szczęście, bo niektórzy - tacy jak Flatt i Jollet, aktualnie zaginieni w akcji, choć w rzeczywistości po prostu oddalili się bez zezwolenia - odsłużyli pierwszą turę, zaciągnęli się powtórnie i wciąż ani razu nie stali się celem ostrzału wroga.

Piętnaście godzin później, około dwudziestej trzeciej, usłyszeli warkot ciężarówki M35: Flatt i Jollet przywieźli nowych, jednego niskiego, jednego średniego, jednego wysokiego.

Na ich powitanie wyszedł sierżant sztabowy Harmon, opalony, z rękawami podwiniętymi do bicepsów, z nogawkami starannie upchniętymi w buty, ze schludnie przystrzyżonymi jasnymi, niemal białymi włosami. Nigdy nie widziano go spoconego.

- Traktuję to jako powrót z ucieczki pojazdem rządowym.
- Nie nie nie nie nie nie - powiedział Flatt - nie, sierzancie, to wcale tak nie było. Ci chłopcy mogą wszystko wytłumaczyć.
- Wy dwaj będziecie się tłumaczyć - odparł sierżant Harmon.
- Skoro tak mówicie, sierzancie.
- Zanieście swoje rzeczy do numeru cztery - powiedział Harmon nowym, a Jolleta i Flatta zaprowadził do baraku pierwszego.

Kiedy zniknęli z widoku, szeregowiec Getty, jak zwykle bardzo czymś zdenerwowany, rzucił hełm na mokrą ziemię koło pryszniców, po czym usiadł na nim z rozstawionymi stopami i ściśniętymi kolanami jak mała dziewczynka; broń trzymał na kolanach.

- Sierzancie!... - wrzasnął ktoś.

Getty uniósł broń nad głowę, tak żeby wszyscy mogli ją zobaczyć, i obiecał, że zastrzeli pierwszego skurwysyna, który zbliży się do niego na półtora metra.

Sierżant Harmon wyszedł i zobaczył, że trzej nowi z niepokojem obserwują szeregowca Getty'ego.

- Odejdźcie od niego - polecił.

Najwyższy był poruszony, niemal we łzach.

- My go nawet nie znamy. Dopiero tu przyjechaliśmy.
- Chcę, żeby wszyscy to sobie uświadomili! - krzyknął Getty.

Sierżant odwrócił się do Flatta i Jolleta, którzy teraz kucali przy wejściu do baraku pierwszego.

- Dajcie mu spokój.

- Aaach...

- Był w porządku, dopóki wyście się nie pojawili. Przestańcie sobie na nim używać.

- Posłuchajcie, sierżancie.

- Zmusiliście mnie, żeby powiedział to dwa razy. Więcej nie będę powtarzał.

- Tak jest, sierżancie.

- Nie musicie odpowiadać. Będę was miał na oku.

Sierżant był jednym z tych bez wysiłku wyróżniających się, wyjątkowych facetów; wysoki, silny, odprężony, jasnowłosy, z jasnymi prostymi brwiami i niepokojąco niebieskimi oczami, których barwę widać było z odległości pięciu minut. Poznaczony bliznami, doświadczony zawodowy, uszedł z życiem z Pork Chop Hill, jednej z najbardziej heroicznych bitew wojny koreańskiej, później pokazanej w filmie z Gregorym Peckiem.

- Zgubiliście broń - powiedział.

Trzej nowi milczeli.

- Jesteście wszyscy pacyfistami?

- Sierżancie, źle nas skierowali. Pojechaliśmy do Edwards zamiast do San Diego, a potem gdzieś do Japonii zamiast na Guam.

- Wsadzili nas do samolotu transportowego, sierżancie.

- Nikt nie dał nam żadnej broni. Nikt słowa nie powiedział.

- Robię was w konia. Mamy dla was broń. Ale nie zniosę czekania na ciężarówkę. Dlaczego zrobienie sześćdziesięciu ośmiu kilometrów dobrymi drogami zajęło wam piętnaście dodatkowych godzin?

- Skierowali nas złą trasą.

- I samolot się spóźnił, solidnie się spóźnił.

- Godzinami siedzieliśmy w Japonii.

- Myślę, że zegarek mi stanął. Taa... widzi pan? Stanął, sierżancie.

- Nie wiemy nawet, w jakim mieście jesteśmy.

- Albo w jakiej prowincji.
- A nawet gdzie jest ta prowincja.

Pluton obserwował, jak nowi radzą sobie z przesłuchaniem. Wyglądało na to, że nie potrafią sobie przypomnieć, co kazali im mówić Jollet i Flatt, ale ciągnęli to, niczego nie wyjaśniając.

- Słuchajcie uważnie.
- Tak jest.

- Aktualnie jesteście w Cao Phuc, w plutonie zwiadowczym kompanii delta. Znajdujemy się w południowo-zachodniej części dystryktu Cu Chi w Wietnamie Południowym, dystryktu, nie prowincji. Słyszeliście o Żelaznym Trójkącie? Nie jesteśmy w Żelaznym Trójkącie, tylko na południowy zachód od niego, w strefie przyjaznej. Pilnujemy, żeby region pozostał bezpieczny ze względu na lądowisko usytuowane na szczycie góry, którego nie wolno nazywać nam bazą z powodu wojskowego protokołu. Echo jest tu, reszta kompanii na górze. Wygłosili wam kazanie o szpilkach na nieistniejących mapach? Cóż, to jest szpilka na mapie. Nie nazywamy jej bazą, ale to jest stała baza. Mamy dwa rodzaje stałych patroli zwiadowczych. Dokoła góry i nad nią albo nad górą i dokoła niej.

Tu na dole mamy dobrze z pryszami. Jest nas czternastu i trzy prysze, ale nie ma chemicznych latryn. Kopiecie sobie kaibo w buszu i nie zostawiacie niczego na wierzchu. Nie chcę czuć smrodu. Nie mamy mesy, tutaj są tylko suche racje. Mesa jest na górze, dwa gorące posiłki dziennie, ale się zmieniać, jeden gorący posiłek na dzień, ustalcie kolejność z chłopcami, a jak usłyszę narzekania, że nie dla wszystkich starcza gorących posiłków, i będę musiał ułożyć skomplikowany grafik, wścieknę się i zamienię wam życie w piekło. Jak wy będziecie mili dla mnie, ja też będę miły dla was, na tym polega nasz system. Zadbacie o porządek i spokój, to ledwo mnie zauważycie. Pytania. Żadnych. Dobrze.

Na tej wojnie są oddziały prowadzące otwartą wojnę z oficerami. Nasz do nich nie należy. Jestem tu, żeby wykonywać rozkazy porucznika Perry'ego i pilnować, żebyście robili to samo. Słyszycie, co mówię?

- Tak jest.
- Jestem spokojny, ale nie rzucam słów na wiatr.
- Tak jest.
- A teraz, szeregowcu Evans, szeregowcu Houston, szeregowcu Fisher, to już koniec przemowy. Macie jakieś pytania? Nie? Przez cały czas możecie mnie o wszystko pytać.

- Co to są prysze?
- Pysze? Pysze. Patrz mi na usta: prysz-ni-ce. Jeszcze coś?
- Co to jest kaibo?
- To wasza toaleta, szeregowcu. Chyba po filipińsku.
- Sierżancie, musimy się zdrzemnąć.
- Zgoda, spadajcie. Chcę was widzieć wieczorem, bo przez jakiś czas będziecie pełnić nocną wartę. Ulokujcie się w baraku czwartym. Jeśli wolicie hamak na drzewach, nie ma sprawy. W tej okolicy żółtków nie ma. Zgłóście się do kaprała Amesa po hamaki i broń.

Nie mogli znaleźć żadnego kaprała Amesa. W nowej kwaterze, baraku przykrytym brezentem, gdzie cuchnęło brudnymi skarpetami i środkiem na owady, zobaczyli cztery prysze, w tym trzy puste. Z jednej Evans strzepnął zaschlą ziemię, usiadł i powiedział:

- Jeszcze tylko trzysta sześćdziesiąt cztery dni tego gówna.

Kiedy się rozpakowywali, w proggu stanął ich przyjaciel Flatt.

- Witajcie na trzeciej wojnie światowej. Hej, przepraszam za ten drobiazg z fajerwerkami. Chodźcie do Fioletowego Baru, postawię wam kolejkę.
- Fioletowy Bar.
- Jeśli jest fioletowy, to nie idę.
- Boisz się fioletowych kanibali? - zapytał Flatt.
- Nie boję się, tylko jestem wykończony - odparł szeregowy Houston.
- Okay, ale masz u mnie kolejkę. - Flatt pokazał im środkowy palec, po czym zniknął.

Długi Fisher, w liceum gwiazda drużyny koszykarskiej, potarł głową o plastikowy sufit.

- Nie jest tak źle - powiedział.

Leżeli bez ruchu na pryczach. Po jakimś czasie Houston i Evans zaczęli się zastanawiać, skąd wziąć colę. Od podjęcia kroku powstrzymywało ich przytłaczające poczucie zakłopotania. Ale nie spali - słysząc z zewnątrz głos Flatta, wszyscy trzej wstali i poszli za nim do Fioletowego Baru.

Droga, rozjeżdżona przez buldożery i zniszczona przez dżipy, była tak wyboista, że nie mogli po niej iść. Trzymali się pobocza. Dżip z lądowiska na szczycie minął ich, trąbiąc klaksonem

- Nie machajcie na nich - powiedział Flatt. - Nigdy się nie zatrzymują. - Kopnął w zderzak, gdy pojazd przejechał obok, wydmuchując kłęb spalin.

Wielu uznanych za niegodnych zaufania wieśniaków z Cao Phuc pewnego dnia załadowano do ciężarówek i wywieziono Bóg wie gdzie. Pola ryżowe poszły w diabły, herbicydy zmieniły szlaki w drogi przez nicłość. Obecnie wieś była rozpadającym się obozem dla przesiedlonych sympatyków, zdominowanym przez Świątynię Nowej Gwiazdy w południowej osadzie i Fioletowy Bar od północy.

- Poczekajcie tutaj - powiedział Flatt, kiedy stanęli przed wejściem.
- Dlaczego, do cholery?
- Żartowałem!

Sierżant miał sprawę na szczycie góry i połowa plutonu tu była. Siedzieli przy dwóch zsuniętych stołach. W dni wypłaty żołdu pojawiało się mnóstwo kobiet, ale dzisiaj była tylko jedna. Miała czarne szpilki i czerwone paznokcie u nóg. Ubrana w spodnie i koszulę, czytała gazetę.

- Cztery piwa, skarbie - poprosił Flatt.
- Nie jestem twoją niewolnicą - odrzekła.

Papasan, który zawsze tu był, przyniósł piwa z chłodziarki pełnej żółto-brązowych kawałków lodu. Flatt najpierw polał puszkę wodą jodowaną z menażki, pozostali zrobili to samo, mocząc słomę pod stopami. Z wejścia obserwowały ich kościste psy.

Nowi próbowali wypytać Flatta, jaki jest cel, misja ich oddziału, a Flatt próbował im wyjaśnić, że głównie chodzi o zapewnienie bezpieczeństwa w dużym promieniu od lądowiska. Ktoś inny dodał:

- Pracujemy dla CIA.
- Myślałem, że to oddział zwiadowczy.
- To nie jest oddział zwiadowczy. Nie wiemy, kim jesteśmy.
- Skoro pracujemy dla CIA, to gdzie mój zielony берет? Te dupki pracują dla CIA. Zielone Berety.

I zaraz, pewnie dlatego, że jeszcze nie wytrzeźwieli po poprzedniej nocy, nowi upili się w Fioletowym Barze.

- Jedno ci powiem, Houston, jesteś kowbojem, ale jedno ci powiem: masz klasę. Masz styl.
- Dzięki, współniku.
- Nie, mówię poważnie. Jestem pijany, ale... wiesz, co mam na myśli.
- Wiem. Wiem. Wiem. Jesteś pedałem i chcesz mnie zerznąć.
- Zamknij się. Kto pierdnął?
- O co ci chodzi? Cały ten kraj cuchnie.

- Kto poczuł, ten wytoczył.
- Kto pyta, ten pierdzi.
- Kto skarcił, ten się sfarcił.

Chłopcy, którzy mieszkali na szczycie wokół lądowiska dla helikopterów, zawsze byli zakurzeni; głowy mieli ogolone prawie do skóry, woleli to, niż męczyć się z brudnymi włosami. Flatt przedstawił nowych dwóm z lądowiska i powiedział:

- Zapytajcie ich o nazwiska.
- To znaczy mamy zapytać obu?
- Taa, dupku, obu, obu.
- Hej, posłuchaj - powiedział kowboj. - Nie jestem twoim dupkiem.

Nastąpiła chwila milczenia, potem wszyscy wybuchnęli śmiechem, kowboj też.

- Dobra - rzekł. - Jak się nazywacie.
- Bloodgutter.
- Pieprzysz.
- Nie. Bloodgutter.
- Bloodgutter? Fajne nazwisko, kurwa. Najfajniejsze nazwisko na świecie.

cie.

- Nie tak fajne jak tego drugiego.
- A jak się nazywa?
- Firegod.*
- Firegod?

* Bloodgutter: „krwawy ryszotok”; Firegod: „ognisty bóg”.

- Tak. Joseph Wilson Firegod.
- No no.
- A ten nazywa się Bloodgutter.
- No no.
- Więc jesteśmy pieprzonymi kumplami - powiedział Bloodgutter. -

Trzymamy się razem. To ma sens.

Do baru wszedł szeregowiec Getty i usiadł sam.

- Gettys-bird, gdzie twoja wielka czterdziestka piątka?
- Sierżant ją zabrał - powiedział szeregowiec Getty.
- A skąd wzięliście czterdziestkę piątkę, szeregowcu Getty?
- Wymieniłem się.
- Akurat, kurwa. Ukradłeś.

Szeregowiec Getty wpadł w jeden ze swoich transów, w czasie których zachowywał się jak głuchy i mówił do siebie.

- Nie wiem, dlaczego ciągle wspominam dom.
- Nie zwracajcie uwagi na Gettys-birda. To wariat. Kompletnie mu odbiło.

Wszyscy, Getty także, umilkli, kiedy do baru weszły trzy Francowate Mendy. Przyciągnęły sobie krzesła i usiadli. Jeden głośno beknął.

Najlepiej było się nie odzywać, dopóki oni tego nie zrobili, ale Flatt najwyraźniej nie potrafił powstrzymać się od zapytania:

- Hej, czy sierżant nadal jest na szczycie?
- Jeszcze nie zszedł - odparł czarny dzikus. - Jesteście bezpieczni.

Flatt nie potrafił się zamknąć.

- Ty jesteś Indianinem - powiedział do czerwonoskórego szczura tuneLOWEGO - a ten skurwysyn Houston to kowboj.

- Jesteś kowbojem?
- W domu nie, tylko tutaj.

Szeregowiec Getty wciąż był w transie:

- Jestem w złej podróży. Jestem w złej podróży. Złej - podróży.

Powtarzał tę jedną myśl i nic więcej.

Pozostali dwaj pili spokojnie swoje piwa, ale czarny Francowaty popatrzył z gniewem na szeregowca Getty'ego.

- Wpieprza mnie tą śpiewką. Dokumentnie mnie wkurza.
- Ale on nic złego nie ma na myśli - powiedział Flatt.
- Wiem, że nie. Nie zrobię mu krzywdy. Czy wyglądam na kogoś, kto robi ludziom krzywdę?

- Nie.
- Nie? Ale mam ochotę zrobić komuś krzywdę.

Przed barem zahamował drugi dziup.

- Cholera - powiedział jeden z nowych. - Porucznik Perry.
- Sierżanta z nim nie ma, więc pierdolić go.

Obrażali porucznika na całego, kiedy mijał ich z fałszywym, mądrym uśmiechem.

- Proponuję, żebyście przestali mnie wpierdalać - rzekł. Wysypał z plastikowych pojemników talk, który w jednej chwili pokrywał smugami całe ubranie, ale wszyscy go używali.

Kupił butelkę coli i usiadł sam, tak jak wcześniej szeregowiec Getty. Od czasu do czasu dolewał rumu z chromowanej piersiówki do butelki z colą. W

pewnym momencie odwrócił się ku nim, usiłując wyglądać na światowca, wyciągnął palec do kowboja i powiedział:

- Ty. Wiesz, co to jest rzeczywistość?
- Co?
- Zła odpowiedź.

Taki był, głównie kiedy pił, co robił przez większość czasu; a jeśli nie taki, to był po prostu głupi i młody, czym nie różnił się od pozostałych.

Po jakimś czasie, na nikogo nie patrząc, powiedział:

- Pierdolę Kosiarza. Ale nie pocałuję mojej siostry.

Nikt mu nie odpowiedział.

- Durny jest, no nie? - odezwał się kowboj.
- Jaki?
- Durny.
- Jaki?
- Powiedziałem, że durny, cały popierdolony.
- Tak jest! Trafieś! To jest porucznik Popierdolony!

Kiedy Popierdolony wstał, spojrzał na nowych, zwłaszcza na Fishera, wysokiego chłopaka z przednim zębem ułamanym w czasie gry w koszykówkę, i powiedział:

- Film się nie skończy, dopóki wszyscy nie zginą.

Potem wyszedł nieskoordynowanym, chwiejnym krokiem.

Wszyscy usiedli w kółku, powoli wprowadzając nowych w sprawę.

- Pracujemy dla CIA?
- Wy pracujecie dla Op Psy.
- A Op Psy pracuje dla CIA?

Jeden z nowych, Evans, kompletnie się zalał i tylko raz po raz powtarzał:

- Spójrzmy prawdzie w oczy. Spójrzmy prawdzie w oczy. Spójrzmy prawdzie w oczy.

- Rozumiecie, co się dzieje? Resztę trzeciej kompanii zżerają żywcem. Resztę dwudziestej trzeciej dywizji piechoty.

- A ta reszta zżerana żywcem jest martwa.
- Zamknij się, choć to racja. Są martwi, a ja nie chciałbym być martwy.

Fioletowy Bar zbudowany był z bambusowych pali i strzechy. Warstwa słomy pokrywała podłogę. Pod nią znajdowało się klepisko. Nie było ścian, tylko zasłony z paciorków pomalowane w rozmaite wyblakłe sceny tropikalne, palmy i łańcuchy górskie. Głęboki rów z trzech stron zabezpieczał Fioletowy Bar przed zalaniem, kiedy na miasto padał deszcz. W gruncie rzeczy

była to po prostu wielka szopa umeblowana składanymi krzesłami i stołami, w całości dostarczonymi przez rząd amerykański. Warczący donośnie na dworze generator ze szpitala połowego dostarczał prąd do baru. Trzy wiatraki na stołach po zachodniej stronie odwracały się na lewo i prawo, jakby przysłuchując się rozmowom.

- Taa. Taa. Taa. Spójrzmy prawdzie w oczy.
- Za Fartownych Skurwysynów.
- Kto jest Fartownym Skurwysynem?
- Wszyscy jesteśmy Fartownymi Skurwysynami, bo wychodzimy na pięć patroli miesięcznie w absolutnie przyjaznej strefie.
- Taa, mniej więcej raz na tydzień, a resztę czasu schodzimy wszystkim z drogi.
- To nasz święty obowiązek. Daj mi szluga.
- Co?
- Szlug? Cygareta? Coś do palenia? Żebym mógł się zaciągnąć?
- Jasne. Nazywacie je szlugami?
- Problem polega na tym, że kiedy nie masz służby, wydajesz żołąd, fatalna sprawa.

- Bo, no wiecie, spójrzmy prawdzie w oczy.

Stolik koło lodówki służył jako bar. Stał na nim przenośny adapter, stos płyt i barowa ozdoba w postaci lampy lava, bursztynowy słoik, w którym obserwować można było niepojęty, niemal cykliczny, choć niepowtarzalny ruch płomyczków pełzających po rozgrzanym wosku zanurzonemu w gorącym oleju. Dziewczyna z czerwonymi paznokciami pilnowała płyt. Nie przyjmowała żadnych prośb. Kiedy ją pytano o imię, odpowiadała:

- Jakie imię lubisz? Wybiorę sobie imię dla ciebie.

W powietrzu roiło się od meszek i moskitów. Papasan gonił owady z paczką i puszką raidu.

Szczury upiły się; przyjacielsko postawili kilka kolejek, przez co wcale nie stali się mniej przerażający. Tylko jeden był czarny, ale wszyscy gadali jak czarnuchy. Mieli dziwne rzeczy do powiedzenia. Filozofowie. Wszystkie dzieci Boga mają tunele. Każdy ma tunel, którym się porusza. Pili i pili, pili, aż oczy zaszyły im mgłą jak u ślepców, choć poza tym nie wyglądali na pijanych, tyle tylko, że jeden się wysikał, nie odpinając spodni, i zrobił to przy stoliku, prosto na swoje buty... Nie widuje się często czarnych i białych razem... Ludzie trzymają się kategorii...

Minh rozumiał rozczarowanie Skipa, ale życie jest jak burza, a pułkownik, wuj Skipa, był postacią dominującą w krajobrazie. Szukanie schronienia u niego wydawało się krokiem rozsądnym. Jeśli pułkownik życzył sobie, by bratanek zszedł mu z drogi, to dobrze. Dzięki pułkownikowi Minh przestał latać na odrzutowcach i miał podstawy żywić nadzieję, że uda mu się przetrwać wojnę. Obecnie pilotował tylko śmigłowce i tylko dla pułkownika. Często chodził po cywilu i spędzał wiele wolnych dni w Sajgonie. Miał tam dziewczynę, pannę Cam, katoliczkę; w niedzielę rano chodził z panną Cam na mszę, a niedzielne popołudnia spędzał u niej w domu w towarzystwie jej licznej rodziny.

Pilotowanie wymagało skupienia, nużyło umysł. Minhowi wielką przyjemność sprawiała ta jazda czarnym chevroletem. Nie miał nic do roboty poza oglądaniem zniszczonego krajobrazu przy trasie dwadzieścia dwa i rozmyślaniami o pannie Cam.

Wuj Hao ostrzegł go, że mister Skip zna wietnamski. Dlatego kiedy odwozili Amerykanina do jego nowej kwatery w regionie Zapomnianej Góry, mało się z wujem odzywali. Minh siedział z przodu, Skip z tyłu obok szafki. Wuj prowadził samochód, obie ręce trzymał na kierownicy, bardzo skupiony, z otwartymi jak u dziecka ustami. Deszcz bębnił o czarny dach chevroleta, nie wiadomo skąd się wziął, trochę za wcześnie w tym roku. Wuj Hao zagadywał po angielsku, ale mister Skip odpowiadał zdawkowo.

- Może nie powinniśmy rozmawiać.
- Ach, mój przyjacielu Hao - powiedział Skip. - Ten deszcz wprawia mnie w smutny nastrój.

Minh także próbował odezwać się po angielsku:

- Dobrze jest nauczyć się być szczęśliwym w czasie deszczu. Wtedy będzie pan bardzo szczęśliwy, bo tu jest dużo deszczu. - Po angielsku zabrzmiało to niezbyt mądrze.

Wuj zahamował i Minh polecił na deskę rozdzielczą: przez drogę tuż przed nimi przechodził bawół. Nadjeżdżająca z przeciwka furgonetka uderzyła w zwierzę i chyba odbiła się od jego twardej skóry, po czym stanęła w poprzek popękanej nawierzchni.

Ze spuszczonego łbem, jakby próbował sobie coś przypomnieć, bawół przez kilka sekund stał w bezruchu, po czym skręcił w wysoką trawę, kołysząc rogami z boku na bok; jego zad podskakiwał jak dwie pięści na zmianę

bijące w papierowy worek. Hao wyminął furgonetkę, zwierzę zniknęło za zasłoną ulewnego deszczu.

Odkąd zjechali z trasy dwadzieścia dwa, zaczęły się fatalne drogi, niemal nieprzejezdne, ale póki dzięki wujowi koła nie przestawały się kręcić, nie utknęły w błocie.

- Przy wielkim pochyleniu pojadę na dół bardzo szybko, bo musimy dostać się na drugą stronę - wyjaśnił Hao.
- Wielkie pochylenie - co to jest?
- W dół, a potem do góry. Na dnie jest błoto.
- Rozumiem. - Rozmawiali po wietnamsku.

Wuj Hao sprowadził czarnego chevroleta po długim zboczu, na dnie z chlupotem przejechali przez błoto, po czym wspięli się w górę, niemal na sam szczyt, i przed sobą widzieli tylko niebo. Opony straciły przyczepność i wyły jak dusze potępione, a samochód zsuwał się wolno. Osiedli na dnie w głębokim błocie. Hao wyłączył silnik, mister Skip powiedział:

- No i proszę.

Minh zdjął sandały, podwinął nogawki nad kolana, okrył się przezroczystym plastikowym ponczo i ruszył do najbliższej chaty. Mieszkający w niej rolnik wrócił z nim do samochodu, prowadząc bawołu za obręcz w nosie. Przywiązał linę do przedniej osi i wyciągnął ich z trzęsawiska.

Skip obejrzał się za siebie przez tylne okno i po angielsku powiedział:

- Z jednej dziury do następnej.

Tam, dokąd jechał Skip, wcale nie było tak źle. Będzie tam miał gazowy piec, bieżącą wodę, przypuszczalnie kilkoro służących. Gorącą kąpiel, jeśli zechce. Jak Minh rozumiał, willa należała do rodziny Francuza, lekarza, specjalisty od zaburzeń słuchu, już nieżyjącego. Na ile dało się to potwierdzić, Francuza zafascynował jeden z tuneli w okolicy, zszedł, żeby go zbadać, zaplątał się w drut.

Lomotanie deszczu w dach zelżało, zmieniło się w lekkie bębnienie. Minh otworzył oczy. Zasnął. Wuj znowu zatrzymał samochód. Wydawało się, że droga tutaj się kończy, wpada do wezbranego strumienia i Minh ciekaw był, czy teraz poczekają na jakiegoś zakapturzonego kościstego przewoźnika, który przewiezie Amerykanina przez rzekę na miejsce jego wygnania. Ale Hao ruszył powoli. To jednak nie był strumień, tylko szeroki potok wypływający z jakiejś rzeczki, której nie widzieli.

Deszcz ustał, kiedy wolno wtoczyli się do wioski pod Zapomnianą Górą. Popołudniowe słońce połyskiwało na mokrym świecie, ludzie już krzatali się na dworze, jakby żadnej ulewy nie było, nieśli ciężary drogą, zbierali liście

palmowe z podwórek przed domami. A na miedzach, w ocienionych, bardziej suchych miejscach dzieci bawiły się, skacząc przez jasne plastikowe łańcuchy.

Zatrzymali się na podjeździe willi i Minh ledwo miał minutę na pozбиерanie się, a już wplątał się w małą przygodę: za domem ktoś wrzeszczał, potem starzec, który wyglądał na służącego albo papasana, wybiegł, machając nad głową grabiami i krzycząc coś o wężu. Minh skoczył za nim, wuj i Skip także. Po tylnym podwórku zyzgakiem posuwał się monstrualny dusiciel, cętkowany pyton dłuższy od każdego z nich, dłuższy od nich wszystkich razem wziętych.

- Daj mi to, daj - powiedział Minh. Starzec raz jeszcze bez skutku zamachnął się grabiami na węża, po czym oddał swoją broń Minhowi. Co teraz? Nie chciał uszkodzić cennej skóry. Wąż kierował się na brzeg za domem.

Minh pobiegł za nim i z całej siły spuścił grabie w nadziei, że przyszpili łeb gada, ale zatopił narzędzie dalej na kręgosłupie, a wąż z przerażającą energią wyrwał mu uchwyt z ręki i rzucił się do gwałtownej ucieczki, wlokąc grabie w zarośla. Minh i starzec pobiegli za nim, przemoczeni rozgarniali mokre gałęzie.

- Tu jest ten potwór! - krzyknął starzec. Wyłonił się zza ociekającego krzewu poinseccji, trzymając węża za ogon. - Już prawie zdechł! - Ale pyton wciąż się wił i zdołał uwolnić się z uchwytu. Minh zdążył złapać za grabie i wyrwał je, stając wężowi na kręgosłupie. Kilka razy uderzył zwierzę w głowę - czaszka była krucha, łatwa do zmiżdżenia.

Twarz starca wprost się otworzyła w szerokim uśmiechu.

- Chodźcie, chodźcie, zaniemiemy to mojej rodzinie!

Miejscowy ksiądz katolicki przyszedł ich powitać. Po angielsku powiedział do Skipa:

- Zabijanie takich zwierząt nie jest koniecznością. Wielu ludzi hoduje je w domu. Ale ten był wielki, warto zdjąć z niego skórę, choć szkoda, że nie jest bardziej kolorowa. Bywają czerwone i pomarańczowe. - Ksiądz był młodym mężczyzną, ładnie ubranym, przypuszczalnie miastowym. Na szyi miał koloratkę. - Musi pan odwiedzić mój dom - powiedział. Skip odparł, że odwiedzi.

Później Minh i starzec przeszli ze swoją zdobyczą główną ulicą wioski, Minh trzymał głowę, jego przyjaciel ogon, a pomiędzy nimi rozciągały się całe cztery metry węża. Machali wolnymi rękami, by zachować równowagę przy tym martwym ciężarze. Za nimi biegły małe dzieci, wiwatując i śpiewając.

Mister Skip został w domu z księdzem, w przeciwnym razie Minh zapewniłby go: „Oto cudowny omen dla pańskiego przyjazdu”.

William „Skip” Sands z Centralnej Agencji Wywiadowczej przybył do willi w Cao Quien, co znacząco „Zapomniana Góra”, z workiem i trzema szafkami wuja w chwili, gdy ulewny deszcz ustąpił ładnej, słonecznej pogodzie. Co prawda ta ładna pogoda jego jakoś nie dotyczyła.

Voss twierdził, że ma coś dla niego, twierdził, że zatrzyma go przy sobie. Nic z tego nie wyszło, trzymał Sandsa w ukryciu, wcale nie przy sobie, tylko w klimatyzowanym baraku w ośrodku MAC-V koło lotniska Tan Son Nhut, gdzie pracował nad krótkotrwałym projektem polegającym na zestawianiu niezwykle obfitych materiałów zwanych systemem katalogowania CORDS/Phoenix, a zawierającym każdą notkę kiedykolwiek sporządzoną przez kogokolwiek, kto widział lub słyszał coś w jakimkolwiek miejscu w Wietnamie Południowym. Zespół składający się z osiemnastu mężczyzn i dwóch kobiet, powołanych tu z różnych oddziałów, poświęcał prawie całą energię na próby oceny znaczenia dokumentów dostarczonych do baraku: skrzyń z papierami, z których można było ułożyć szeroką na dwadzieścia dwa centymetry wstęgę cztery i trzy dziesiąte raza opasując równik, całkowicie przykryć stan Connecticut, przeważać nosorożce w siedemnastu pokazach Barnum & Bailey i tak dalej. Szok i rozpacz. Już wiadomo, co czują ofiary katastrof morskich, gdy zalewa je woda. Pewnego dnia dostali rozkaz, by wszystkie pudła załadować na wózki i zwirowaną ścieżką, w tropikalnym słońcu przewieźć do magazynu w tym samym ośrodku. Koniec projektu. Historia.

Następnie wyczekiwanie w wiosce Cao Quien - „Zapomnianej Górze”, „Górze Zapomnienia”, „Zapomnij o tej górze” - o której myślał jako o „Damulog II”, znowu poza ostatnim odcinkiem przejezdnych dróg i poza liniami elektrycznymi.

Skip, Hao i Minh dostali ryż i rybę, posiłek przygotowany przez Phan-sów, starsze małżeństwo opiekujące się domem, do których Skip zwracał się „panie Tho” i „pani Diu”. Później towarzysze go opuścili, na pożegnanie obiecując, że Hao będzie wracał co siedem, dziesięć dni z pocztą, książkami i przysmakami z kantyny.

W nowym domu Skipa była bieżąca woda ze zbiornika na dachu, a także urządzenia sanitarne: na parterze ubikacja z umywalką, na piętrze łazienka z ubikacją, wanną i bidetem, w której tapetę przedstawiającą syreny pokrywała

dziwna pleśń. Kiedy otworzył tam okiennice, rój ciem zerwał się z sedesu i obsiadł mu głowę.

Nie było elektryczności. Miał lampy na butan z miedzianymi kloszami i pokoje z rattanowymi meblami, z których płatkami odchodziła zewnętrzna warstwa. W czasie deszczu, który teraz przez wiele miesięcy będzie padał codziennie, na oknach zamykano drewniane żaluzje. Woda kapiała przez sufit do kilku lakierowanych mis ustawionych wokół salonu na parterze. Dom jednak był przytulny i dobrze usytuowany względem kierunku wiatrów. Urządzono go rozsądnie. Sól i pieprz podawano w maleńkich filiżankach jak cukier, zamiast wsypywać do solniczki i pieprzniczki, gdzie zbiłyby się w grudki, a jego łóżko na piętrze stało za parawanem w rogu tuż koło skromnej głównej sypialni, otwarte na każde poruszenie dusznego nocnego powietrza.

W ostatnich promieniach dziennego światła Skip zwiedził piętrową willę, zbudowaną głównie z wilgotnego, szorstkiego materiału podobnego do betonu czy gliny. Małe czarne osy wchodziły i wychodziły przez dziury po kulach w zewnętrznych ścianach: za Francuzów w tym regionie toczyły się walki. Wokół domu biegł betonowy rynsztok, odprowadzający deszcz szerokim, powolnym strumieniem do potoku poza terenem posiadłości. Poszedł tam: odważne dzieci, wesoło pokrzykując, przepłynęły obok niego na wodnych skrzydłach zlepionych ze wszystkiego, co wpadło im w ręce, drewniakach, kokosach, liściach palmy.

Właściciel willi, francuski lekarz, umarł, nie zostawiając, jak zrozumiał Sands, żadnych śladów po swym ciełe prócz warstwy pokrywającej ściany tunelu, ale jego buty stały rzędem przy frontowych drzwiach, trzy pary: sandały, papucie, jasnozielone gumowce. Buty do chodzenia zniknęły wraz z nim. Doktor Bouquet przyjechał z Europy na początku lat trzydziestych dwudziestego wieku z żoną, która - jak wynikało z opowieści papasana, pana Tho - wkrótce wróciła do Marsylii i po której w domu nie zostało nic prócz tapety w niezliczone zaśniedziałe syreny w łazience na piętrze, o ile to ona ją wybrała. Za to obecność nieobecnego lekarza wyczuwało się na każdym kroku: od dnia jego śmierci nic z niczym nie robiono, wszystko trwało w stanie oczekiwania. W wysokim gabinecie koło salonu blat masywnego mahoniowego biurka przykrywały książki i czasopisma, na których stał porcelanowy model ludzkiego ucha wewnętrznego i zewnętrznego z ruchomymi częściami, kałamarz, popielniczka i tak dalej, stojak z trzema fajkami z

morskiej pianki wiszącymi pod lekkim kątem, strzępy gazet albo tektury, w kilku tomach beżowy papier toaletowy znaczył miejsca, z których jedno z całą pewnością zawierało ostatnie słowo, jakie doktor przeczytał, zanim odłożył okulary, wyszedł na spacer i wyparował. Poza tym gabinet był czysty i schludny, meble przysłonięte stronicami „Post” i „Le Monde” z Sajgonu, żaluzje zamknięte. Skip delikatnie zajrzał do książek, dokładając starań, by nie zmienić ich położenia, jakby właściciel mógł przyjść i to zauważyć. Lekarz okrutnie traktował stronicę: plamy po herbacie, ślady palców ubrudzonych atramentem, podkreślone długie fragmenty. Na odwrocie okładki w każdej książce ponad datą zakupu widniało wypisane tą samą ręką nazwisko „Bouquet”. Skipowi nie udało się znaleźć tomu, w którym nie byłoby tych informacji. Lekarz przez siedemnaście lat zbierał „Anthropologie”, periodyk rozmiarów książki, w sumie sześćdziesiąt osiem numerowanych tomów w grubych papierowych okładkach, nieodmiennie beżowych. Wilgotny, oprawny w burgundową materię *Nicholas Nickelby* był jedyną pozycją po angielsku. Skip czytał tę powieść w college'u i nic nie pamiętał poza tym, że w którymś miejscu Dickens nazwał ludzką nadzieję rzeczą „równie uniwersalną jak śmierć”.

Po tygodniu zgodnie z obietnicą przyjechał Hao, przywożąc wiele spłaszczonych kartonowych pudeł na rzeczy doktora Bouqueta oraz korespondencję do Skipa. Skip ucieszył się z pudeł - nie prosił o nie, Hao sam się domyślił. W poczcie był zwariowany, pełen rozpaczy list od Kathy Jones. Wynikało z niego, że teraz służyła jako łączniczka pomiędzy ICRE a kilkoma sierocińcami i jej obecne życie, zdarzenia, których była świadkiem, nadały jej kalwinistycznemu fatalizmowi - czy raczej, myślał Skip, fatalnemu kalwinizmowi - barwę nieprzeniknionej czerni:

Może nie powinnam była czytać pewnych rzeczy. Ale równie dobrze mogę Ci powiedzieć, że zaczęłam w to wierzyć jakiś czas temu, jeszcze zanim dowiedziałam się o śmierci Timothyego. Od powstania świata przeznaczeniem niektórych ludzi jest spędzenie wieczności w Piekło, a ja powiadam, że nigdy nawet nie posmakują zwykłego życia, zaczynają swoje Piekło od dnia narodzin, widzieliśmy to, ty na pewno widziałeś to w Damulog, jestem pewna, a jeśli przyjechałeś do Wietnamu, bez wątplenia zobaczysz to w technikolorze i współczuję Ci, choć się śmieję.

Może jedni są w Niebie, drudzy w Piekło, jeszcze inni w Otchłani, a może światy rozdzieliły się geograficznie - czy mówiłam Ci, że znalazłam wzmiankę o „różnych administracjach”, o którą pytałeś, kiedy noc po nocy kochaliśmy się w naszej małej psychodelicznej otchłani w Damulog? Pierwszy list do Koryntian, chyba rozdział 13?

Tak, sprawdziłam to teraz, 12, 5 i 6.

Nie rozpoznałam jednak cytatu, ponieważ pochodzi z Biblii króla Jakuba, a ja jestem przyzwyczajona do mojej Biblii Poprawionej, która mówi: „Różne też są rodzaje posługiwania, ale jeden Pan, różne są wreszcie działania, lecz ten sam Bóg, sprawca wszystkiego we wszystkim”. Tak więc „administracje” są tu bardziej prawidłowo przetłumaczone jako „służenie” - to nie odnosi się do jakichś anielskich rzędów, rozumiesz?*

Chciałabym, żebyś tu był i żebyśmy mogli porozmawiać, choć niewiele rozmawialiśmy, prawda? Za każdym razem kiedy się spotykaliśmy, natychmiast „łączyliśmy się”. Ledwo Cię znam. Ale piszę do Ciebie.

Czy Ty w ogóle to czytasz?

Prawdę mówiąc, nie. Nie.

* Różnice w rozumieniu tego zdania wynikają z wieloznaczności angielskiego słowa administer: administrować, sprawować władzę, ale też udzielać (np. sakramentów), podawać (np. lekarstwa).

Pomiędzy ulewami wiatr od strumienia wypędzał owady i sprawiał, że w gabinecie panował chłód. Skip spędzał wieczory w jedwabnym, mieniącym się szlafroku doktora, przeglądając bibliotekę składającą się z mniej więcej ośmiuset francuskich tytułów, i na początku prawie nie wychodził poza teren posiadłości.

Zajmował się przywracaniem trzeciego wymiaru spłaszczonym kartonowym pudłem. Hao przywiózł mu też rolkę papierowej taśmy klejącej, która przy tej pogodzie zmieniła się w solidne koło, wszystkie warstwy zlepły się, przez co kompletnie nie nadawała się do użytku. Pomyślał, że od czasu Marca Polo ten klimat wychodzi zwycięsko ze starcia z zachodnią cywilizacją.

Wysłał pana Tho do sklepu w wiosce po sznurek, a pani Diu powiedziała, że idzie do księdza na herbatę.

Mały dom père Patrice'a usytuowany był sto metrów od głównej drogi, przy ścieżce oznaczonej zniszczonymi deskami położonymi na kałużach.

Père Patrice sporo podróżował po dystrykcie i do tej pory Sands nie spędzał z nim wiele czasu. Sands nie zdradził, że jest katolikiem. Może tego nie zrobi. Może, pomyślał, znużyła mnie moja wiara. Nie dlatego, że została wystawiona na próbę i złamała się jak w przypadku Kathy, ale dlatego, że nie była praktykowana. A ten mały kościół bez ścian, metalowy dach na drewnianych słupach, betonowa podłoga: czy to tutaj rozgrywa się dramat zbawienia? Sands znalazł księdza, małego mężczyznę, w jego małym ogródku. Père Patrice miał okrągłą małą twarz. Raczej nozdrza niż nos. Wielkie gadzie oczy. Jego wygląd wykraczał poza egzotykę, był wyglądem kosmity. Przyniósł gościowi gorącą herbatę w szklance. Usiedli w ogrodzie na wilgotnych drewnianych ławkach pod wysokimi poinsecjami, z których wciąż kapł niedawny deszcz. Sands poddawał próbę swój wietnamski.

- Ma pan dobrą wymowę - zauważył młody mężczyzna, a potem przez pół minuty mówił coś niezrozumiale; Skip wcześniej ćwiczył wietnamski z parą służących w willi i stwierdził, że to beznadziejne.

- Bardzo mi przykro, nie rozumiem. Może pan mówić wolniej?

- Będę mówił wolniej. Przepraszam.

Obaj zamilkli.

- Tak, naturalnie. Powiedziałem, że mam nadzieję, że dobrze się panu będzie tu pracowało.

- Sądzę, że pracuje mi się dobrze, dziękuję.

- Jest pan z Canadian Ecumenical Council.

- Tak.

- Chodzi o przekład Biblii.

- Mamy wiele projektów. To jeden z nich.

- Jest pan jednym z tłumaczy, panie Benet?

- Staram się pogłębić swój wietnamski. Niewykluczone, że później pomogę przy przekładzie.

- Mówmy po angielsku - zaproponował ksiądz.

- Jak ksiądz sobie życzy.

- Chce się pan wypowiedzieć?

- Nie.

- Dzięki Bogu. Nie jest pan katolikiem?

- Jestem adwentystą.

- Nic o nich nie wiem.

- To wiara protestancka.
- Naturalnie. Boga nie obchodzi, kto jest protestantem, a kto katolikiem.

Sam Bóg nie jest katolikiem.

- Nie myślałem o tym.
- Czym jest ten wszechświat dla Boga? Dramatem? Snem? Może koszmarem? - Ksiądz uśmiechał się, ale sprawiał wrażenie rozgniewanego.

- To wielkie pytanie. Myślę, że to tajemnica.

- Czytam niezwykle cudowną książkę.

Skip czekał, ale ksiądz nie powiedział nic o książce.

- W pańskiej willi poznałem pułkownika Sandsa. Czy to pański przyjaciel? Kolega?

- To mój wuj. A także przyjaciel.

- Pułkownik mnie fascynuje. Nie rozumiem go. Ale nie sądzę, że powinniśmy rozmawiać o nim, a pan?

- Nie jestem pewien, co ma pan na myśli.

- Jestem przekonany, że powinniśmy ograniczyć się do siebie.

Sands uznał, że ksiądz jest subtelnym człowiekiem, niezdolnym do wyrażenia swoich myśli po angielsku.

- Może mi ksiądz pomóc w zbieraniu opowieści ludowych z tej okolicy?

- Opowieści ludowych? Może baśni?

- Tak. To takie hobby, osobiste zainteresowanie. Nie ma związku z moją pracą.

- Nie ma związku z pracą przy Biblii?

- Cóż, z pewnością pomoże mi jako tłumaczowi. Pomoże mi zrozumieć język mitu.

- Ale mówi pan, że Biblia to mit?

- Ależ nie. Mówię, że napisana jest językiem mitu.

- Oczywiście. Jasne. Mogę pomóc. Lubi pan także piosenki?

- Piosenki? Oczywiście.

- Zaśpiewam panu wietnamską piosenkę - powiedział ksiądz.

Spojrzał Skipowi w oczy. Jego rysy nagle jakby się wygładziły. Spojrzenie nabrało żarliwości. Przez niemal minutę śpiewał pięknie czystym, mocnym głosem, zupełnie niespieszony, całkowicie pozbawiony zakłopotania. W wysokiej melodii brzmiała nuta tęsknoty.

- Zrozumiał pan piosenkę?

Skipowi odebrało mowę.

- Nie? On od trzech lat jest żołnierzem na rubieży, daleko od swojej wioski. Jest bardzo samotny i cały dzień pracuje ciężko przy ścinaniu bambusa. Ciało go boli. Je tylko pędy bambusa i owoce, jego jedynymi przyjaciółmi są bambusy. Widzi rybę w zbiorniku, która pływa sama, także bez przyjaciół. Myślę, że my tacy jesteśmy, pan Benet i père Patrice. Pan tak nie myśli? Ja jestem daleko od swojej wioski, a pan jest daleko od Kanady.

Nic więcej nie powiedział.

- Jak ta piosenka się kończy?
- Zakończeniem. Widzi rybę, która pływa samotnie.
- Myślę, że ma pan w sobie coś z Irlandczyka.
- Dlaczego?
- Irlandczycy uwielbiają śpiewać.
- Czasami są turnieje w śpiewaniu i zajmują dobre miejsca. To moje hobby, tak jak pan też ma hobby. W tym dystrykcie każdy człowiek musi śpiewać. Musimy śpiewać demonom.

- Naprawdę?
- Panie Benet, to prawda, tutaj żyją demony.
- Rozumiem.
- Jeśli zrobi pan coś niegrzecznego, na przykład ulży pan sobie w lesie, dopadną pana ze swoimi sztuczkami. Drzewa mogą przewrócić się na pana, wielkie konary mogą się odłamać i uderzyć pana w głowę albo może pan wpaść w szczelinę i złamać sobie kość. To może być wstrząsający sposób na dowiedzenie się, że w tutejszym lesie mieszkają demony.

- Tak, byłbym wstrząśnięty, gdyby tak się stało - przyznał Skip.
- W tym dystrykcie są chińscy uzdrowiciele. Wiedzą sporo o duchach. Przechowują wiele fascynujących rzeczy. Mają praktycznie wszystkie części tygrysa w słojach i małych pudełkach. Jak zmielić kości i nakarmić nimi psa, taki pies będzie ostry. Wiedział pan, że nawet woskowina z ucha tygrysa może pana z czegoś wyleczyć? A twarde włosy z ogona słonia mogą złagodzić bóle porodowe. Mielą też zęby i kości słonia i wcierają w pewne rodzaje ran. Mielą poroże jelenia, które zmieszane z alkoholem daje zły napój. Sprawia, że mężczyzna ma za wielkie możliwości w seksie. Inne zwierzęta też wykorzystują. Węże, wiele gatunków zwierząt. Może owady, nie wiem. Chiński uzdrowiciel zna się na tym.

- Chyba z przyjemnością obejrzałbym tego rodzaju zbiór.
- Nie wszystko u tych ludzi to same przesady. Niektóre rzeczy zostały potwierdzone. Plemiona robią kapliczki i ołtarze w lesie. Małe domki dla

duchów, na przykład z kokosa. Duchy tam są, mieszkają tam, muszę w to wierzyć, bo widziałem dowody. Jak w przypadku młodego mężczyzny, który z pogardą oddał mocz przed ołtarzem w lesie, a potem doznał całkowitego załamania psychicznego.

- Szokujące.
- Nazywam się Thong Nhat - powiedział père Patrice. - Mam nadzieję, że zostanę pańskim przyjacielem.
- Bardzo na to liczę. Proszę nazywać mnie Skip.

I tak upływał mu czas: herbata z księdzem, spacer, kiedy nie padało, ćwiczenia gimnastyczne. Nabral zwyczaju przeglądania francuskich czasopism zmarłego lekarza i tłumaczenia podkreślonych akapitów. Zajmował się archiwum pułkownika. Niekiedy słyszał odległy warkot helikopterów, myśliwców, bombowców i czuł się uwięziony w tęczącej bańce braku znaczenia.

Przy następnej wizycie Hao przywiózł list od majora Eddiego Aguinaldo, przekazany przez ambasadę w Manili na adres poczty wojskowej ambasady sajskiej w San Francisco.

Postanowiłem pojąć za żonę pewną młodą i piękną kobietę. Naprawdę! Wiedziałem, że będziesz zdziwiony. Widzę, jak stoisz z otwartymi ustami. Na imię ma Imogene. Jest córką senatora Villanuevy Zamierzam zostać lokalnym politykiem, nie za bardzo skorumpowanym, ale z całą pewnością bogatym, i możesz liczyć na to, że pomogę Ci zarobić pieniądze, jeśli wrócisz do naszego pięknego kraju.

Miałem cokolwiek tajemniczą wizytę „pana Takiego-a-takiego” z waszej Sekcji Politycznej w Manili. Waham się przed wymianieniem jego nazwiska. Wykazał wielkie zainteresowanie naszymi przyjaciółmi i krewnymi, to jest moim przyjacielem i Twoimi krewnym. Żarliwość pana Takiego-a-takiego była bardzo nietypowa dla Waszych ludzi. Muszę przyznać, że po jego wyjściu byłem trochę roztrzęsiony. Natychmiast ruszyłem do kredensu po szklaneczkę czegoś mocniejszego i usiadłem, żeby do Ciebie napisać. Czuję, że to pilna sprawa. Nie można polegać na mnie, że wszystko wiem, mogę natomiast przekazać Ci moje przekonanie, że niezwłocznie należy porozmawiać z naszym przyjacielem i krewnym o wrogim tonie osoby, która rzekomo jest naszym przyjacielem i kolegą krewnego. Uważam, że powinieneś niezwłocznie go ostrzec, żeby od czasu do czasu zaczął oglądać się za

siebie, nawet kiedy czuje się absolutnie bezpiecznie.

Skip, ta sprawa w Mindanao została sfuszowana. Pomyłka nie do przyjęcia, pożałowania godna. Nic więcej nie mogę dodać.

Twój bardzo oddany

- „Eddie”: zamaszysty podpis z wieloma ozdobnikami.

James snił o ogniu walki: wystrzeliwaniu bezużytecznych kul z bezużytecznej broni. Wiedział, że sny przekazują wiadomości. Nie lubił tych wiadomości ostrzegających, że w bitwie będzie bezsilny. Co nie znaczy, by widział bitwy gdziekolwiek poza swoimi koszmarami.

Helikoptery latające tam i z powrotem do lądowiska Delta przewoziły wyłącznie zapasy, a nie oddziały bojowe. Co jakiś czas któryś z pilotów przymusowo lądował w zestrzelonym helikopterze, ale chłopcy z Echa tylko słyszeli o takich historiach.

James nie miał nic przeciwko patrolom. Patrol trwał dwa dni. Oddział albo szedł na zachód krętym szlakiem przez lądowisko i skręcał na południe, starą drogą prowadzącą kolejno przez gospodarstwa rolne, dżunglę i pełny brud ugór, gdzie roślinność zabiły herbicydy, po czym wracał do obozu Echo; albo też kierował się najpierw na północ, potem na wschód przez lądowisko, skąd schodził do obozu. Po drodze jedną noc spędzali w dżungli. Nigdy nic się nie zdarzyło.

Po zachodniej stronie Cao Phuc wciąż był Wietnam nietknięty przez herbicydy, z bujną dżunglą i polami ryżowymi, gdzie wrogowie bez trudu mogli urządzić zasadzkę. Zachodnia strona powinna budzić strach, ale nie budziła. Rolnicy, którzy na zboczach uprawiali ryż, zawsze do nich machali. Podobno ich rodziny nigdy nie miały kłopotów z Francuzami, Wietkongiem ani armią amerykańską.

Na północnej stronie też nic się nie działo, ale to była niezamieszкана, skalista, pocięta przez wąwozy okolica; często od źle odwróconego liścia odbijało się światło, wyglądając jak błysk latarki wysoko na skale - jakby ktoś się tam ukrywał - i Jamesa ogarniało przerażenie. Każdy zwalony pień na pierwszy rzut oka wyglądał jak snajper ukryty w poszyciu.

- Co tam jest?
- Kupa słonia.

- Myślisz, że robią w nich zasadzki?
- O tak. O tak. O tak. Robią zasadzki w każdym kurestwie.
- To gówno bawołu - powiedział Czarny. - Tu nie ma słoni.
- Tu jest pełno słoni.
- Ale nie na tej górze. To gówno bawołu.
- Wielkie.
- Bawoły są wielkie, ty głupku.
- Co na tym rośnie? Grzyby?
- Grzyby rosną na każdym kurestwie. Widzisz, jak szybko strzelają w górę - powiedział Czarny. - Hormonalnie i w ogóle to prawdziwy odlot.
- W każdym razie w tej kupie nie było pocisków.
- Tę jedną kupę gówna przechytrzyliśmy.
- Pokonaliśmy tę kupę gówna.
- Zostało tylko siedemdziesiąt sześć milionów.
- Taa... - powiedział Czarny - dużo gówna przed wami, szczerze gówno, nietoperze gówno... Ale nie bierzcie go, tylko zmieńcie jego kierunek waszym Maksymalnym Umysłem.

Obecnie Czarny był jedynym Murzynem w plutonie Echo. Czarny zrobił to. Czarny zrobił tamto. Czarny miał imię, ale trzymał je w tajemnicy.

- Chcę, żeby nazywali mnie Czarnym, nie inaczej - upierał się. - Nie będę używał niewolniczego nazwiska, który biały człowiek nadał moim przodkom. - Zakleił plastrem naszywkę z nazwiskiem i nikomu nie chciał powiedzieć, co tam jest napisane.

Mówił im tak:

- Jestem czarnym facetem z czarnym kutasem. Choć nie aż tak wielkim. Sporo chłopaków lubi się chwalić swoimi Wielkimi Trzydziestocentymetrowymi. Ale gdyby mieli trzydzieści centymetrów, tak jak ja mam dwadzieścia, ten żaloszny pieprzony świat pękłby na pół. Tyle mocy mam w swoim Małym Dwudziestocentymetrowym.

Fisher i Evans byli jedynymi przyjaciółmi Jamesa, przyjaciółmi na całe życie. Myślał, że może sierżant też ma o nim dobre zdanie. Co do reszty plutonu Echo - mówili dziwnym językiem i przez większość czasu James czuł strach, gniew i wykluczenie.

Tęsknił za domem. Teraz rozumiał, ile musiało dla jego brata Billa znaczyć, gdy wykręcał numer w Honolulu i sprawiał, że dzwonił telefon w matczynej kuchni. Żałował swojej obojętnej burkliwości w czasie rozmów telefonicznych

z bratem. Fantazjował o rozmowie i śmiechu z bratem, o rozmowach z przyjaciółmi, o zdominowaniu tych dupków z Echa, śnił o tym, że nie jest tu, że jest gdziekolwiek, tylko nie tu, że jest w jakimkolwiek innym miejscu, a o tym nigdy nie słyszał.

Podczas przepustki można było jedną z ciężarówek z ładowiska pojechać do wielkiej bazy dwudziestej piątej kompanii piechoty albo do Sajgonu. Ciężarówka kursowała codziennie.

Sierżant Harmon nie różnił się od innych tak bardzo, jak na początku się wydawało. Przeklinał, pił piwo, choć góra dwa przy jednej okazji, a jego jedyna poza tym wada polegała na żuciu tabaki. Część chłopaków nazywała ją betelem i też żuła z podziwu dla sierżanta. Był starszy i wyglądał jak postać z wojennych filmów: bardzo jasne włosy, oczy błękitne jak niebo, opalona twarz i krzywy uśmiech jak u Elvisa Presleya. Po tej stronie, gdzie kącił warg się unosił, widać było złamany siekacz, ale miał bardzo białe zęby, i to nie wyglądało tak źle, James myślał, że właściwie taki ząb by mu nie przeszkadzał. Jak patrzyłeś na ułamany ząb Fishera, miałeś ochotę mu poradzić, żeby coś z tym zrobił. Sierżant świetnie wyglądał w mundurze polowym. Sprawiał wrażenie, jakby w tropikach wcale nie było tak gorąco.

Flatt przepowiadał, że żołd nigdy nie dotrze do nich aż tutaj, pod Górę Szczęśliwego Trafu, ale się mylił i pod koniec maja James posłał matce do Phoenix część każdej wypłaty. Raz przysłała mu małą notkę w wielkiej kopercie, pozdrowienia nagryzmoliła na różowej papeterii, którą gdzieś musiała ukraść. Dziękowała i pisała: „Radzimy sobie dobrze, Bóg pomaga nam związać koniec z końcem”.

Drugi piątek czerwca był nieco inny. Poprzedniego dnia James miał urodziny. Razem z Fisherem i Evansem dostali przepustki i z obozu Echo poszli do wioski. Evans postanowił, że wszyscy muszą kogoś przelecieć.

- No już - mówił. - To wojna. Jesteśmy mężczyznami.
- Nie widziałem żadnej wojny.
- Jest wszędzie, a w każdym razie dokoła, i nie chcę umierać, dopóki kogoś nie przeleczę.

Poszli do Fioletowego Baru i na wypełnionych słomą workach w rzędzie szop na tyłach Evans i Fisher stracili dziewictwo, a James zdradził Stephanie Dale z dziewczyną, która przynajmniej nie miała okropnych zębów, może wcale nie miała zębów, w każdym razie nie musiał na nie patrzeć, ponieważ

zbędne były uśmiechy i słowa z jej strony, przez co przejście do rzeczy nie wymagało nieszczerości, szczerości zresztą też nie; dziewczyna jęczała jak dzikuska i pozwoliła mu wirować przez obłok radosnej żądz.

Później trzej szeregowcy spotkali się w barze. Wciąż mieli szesnaście godzin przepustki, ale zrobili wszystko, co w świecie było do zrobienia.

Evans uniósł szklanę:

- Dała mi!
- Przestań.
- Co jest?
- Nie mów „dała mi”. To takie nadęte, stary.
- To nie jest nadęte, kurwa. Wcale nie. To cały ja.
- To ty? Jesteś „dała mi”?
- Powiem ci coś, stary, coś ci powiem, skurwielu. - Evans wytarł piwo z brody. - Dobra, w porządku, byłem prawiczkim, przyznaję się. To był mój pierwszy raz w życiu.

Patrzyli na niego tak długo, aż poczuł się zmuszony do zapytania:

- A wy?
- Taa, ja też - powiedział Fisher.
- A ty, Kowboju?
- Ja nie.
- I będziesz się przy tym kłamstwie upierał.
- Tak.
- Dobra. Zawsze byłeś trochę do przodu.
- Ale w jednym skłamałem. Dzisiaj nie są moje dziewiętnaste urodziny, tylko osiemnaste.

- Co?
- Co?
- Dopiero skończyłeś osiemnaście?
- No tak.
- Mój Boże! Jesteś dzieckiem!
- Nie, już nie.

Evans wyciągnął do niego rękę ponad chwiejnym stołem.

- Jesteś bardziej do przodu, niż przypuszczałem.

Aby uczcić swoje urodziny, James postawił kilka kolejek. Był szczęśliwy, odurzony i wesoły. Dopiero tutaj, gdzie duchota była nie do zniesienia, a piwo tanie i w nadmiarze, naprawdę zrozumiał znaczenie i cel piwa.

Pili do zapadnięcia nocy. Fishera, katolika, ogarnęła mroczna chmura wyrzutów sumienia.

- Na pewno dostanę choroby wenerycznej.
- Choroba weneryczna nie przedostanie się przez gumę.
- Taa - zgodził się skruszony Fisher - o ile potrafisz otworzyć opakowanie.

- Co?
- Nie użyłem kondoma! Nie potrafiłem otworzyć opakowania! Tak mi się palce trzęsły, cholera!

- Następnym razem skorzystaj z zębów, ty żalosny głupku.

Wracali do obozu w ciemności. Fisher nie dawał się pocieszyć.

- Bóg ześle na mnie chorobę weneryczną.
- Wypowiadasz się z tego?
- Muszę.
- „Katolik” rymuje się z „pierdolić”.

Fisher wyglądał na urażonego.

- To naprawdę brzydkie stwierdzenie.
- Ty masz religię? - zapytał Evans Jamesa.
- Teraz mam, na pewno mam. Teraz czczę Święte Rżnięcie.

Żaden nie wziął latarki. Nic nie widzieli. Wyschnięte błoto było twarde jak beton, ciągle wpadali w koleiny.

- Zrobiliśmy to! - krzyknął Evans.
- Wiem! Zrobiliśmy! To jak... - Fisherowi zabrakło słów.
- Wiem! - powiedział Evans. - Tak jest! Przeklęte przez Boga! Spuściłem się tak mocno, że o mało nie rozerwało mi penisa.

- Chłopcy, powiedzcie, naprawdę użyliście gumy? - błagał Fisher.
- Do diabła, tak, użyłem gumy.
- Ty też lepiej użyj następnym razem - poradził Fisherowi James.
- Jakim następnym razem? Nigdy więcej tego nie zrobię.
- Brednie.
- Mam tylko w Bogu nadzieję, że nie złapałem choroby wenerycznej.

Przy sikaniu piekielnie boli, a potem przy spuszczeniu się też.

- Takie spuszczenie się jest podobno jak nóż w dupie.
- Najgorsza choroba zaraz po wścieklicznie.
- Przynajmniej nie złapiesz wściekliczny od kurwy.
- Na pewno?
- Cholera, nie wiem.

- Nie, chyba że cię ugryzie!

W obozie starali się zachowywać cicho, choć kiedy odszukali barak czwarty, Evans głośno szepnął:

- Nie mogę w to uwierzyć! Jeśli mam umrzeć, to przynajmniej nie umrę jako prawiczek.

Fisher siedział zgarbiony na pryczy. Mówił takim tonem, jakby zbierało mu się na mdłości.

- Czuję się zły. Nie powinienem był tego robić. Mój pierwszy raz i zapłaciłem za to.

Evans padł na pryczę, bawiąc się penisem.

- Stary, mam ochotę pocałować własnego fiuta, bo tak go kocham za to, że może się PIEPRZYĆ!

Ktoś z sąsiedniego baraku wrzasnął:

- To się wypierdol i zamknij pysk, kurwa!

W ciemności Fisher padł na kolana.

- Błagam, Boże, błagam, Święta Mario, Jezusie i wszyscy święci, nie dopuście, żebym dostał syfa.

- Nie wiem, jak to opisać - powiedział Evans - ale jak skończyłem, leżałem na niej i ona tak zsunęła nogi i tak... potarła nimi. I to było... naprawdę dobre.

- Byłem taki przerażony i to nie chciało minąć, jakby przez cały czas bolał mnie brzuch, o tutaj. - James położył dłoń pod mostkiem. - Ale teraz w tej zapomnianej przez Boga kurewskiej dziurze czuję, że nie muszę więcej się bać. Bo jestem zalany w trupa i wreszcie mam osiemnaście lat.

- Człowieku - powiedział Fisher. - Odebrała mi siły. Odebrała mi wszystko. One pracują dla komuchów. Te kurwy pracują dla Wietkongu.

W czerwcu, w czasie pory deszczowej, człowiek nazwiskiem Colin Rappaport umówił się z Kathy Jones na drodze niedaleko jej punktu pielęgniarskiego w Sa Dee w delcie Mekongu. Miał do dyspozycji land-rover. Załatwiał sprawy dla World Children's Service, organizacji, dla której obecnie pracował. Pomógł Kathy załadować plecak i rozklekotany czarny rower do wozu, po czym zbudowaną przez Amerykanów drogą pojechali do oddalonego o osiem kilometrów sierocińca.

Dawno temu kilka razy spotkała go w Manili. Wtedy Colin był kościsty, teraz przytył, ostatni rok lub więcej spędziwszy w Stanach. Prowadząc samochód, zdejmował słomiany kapelusz i wycierał czaszkę wilgotną chusteczką.

Zawsze był łysy. Nie można było być bardziej łysym niż Colin Rappaport.

- Jak ci się tutaj podoba?
- Jezu, Kathy, myślałem, że to bieda jest najgorsza.
- A nie jest?
- No wiesz, nigdy się nie zastanawiałem nad tym, co może spowodować wojna.

- Po jakimś czasie to staje się zabawne. Nie żartuję. Odbiera ci rozum i zaczynasz się śmiać.

Kiedy zahamowali przed sierocińcem Emperor Bao Dai, obszarpani służący kroili garść zgnitych warzyw, które wrzucali do kotła z parującą deszczówką.

- To jest Van - powiedziała do Rappaporta na widok młodego mężczyzny, który biegł w ich stronę, wycierając dłonie o T-shirt.

- Panno Kathy, tak dobrze panią widzieć, chodźcie, zaprowadzę was - powiedział Van, ściskając dłoń Rappaportowi i prowadząc po mrocznej klatce schodowej dawnej fabryki na drugie piętro, gdzie w wielkiej sali w sześciu drucianych kurnikach żyło dwieście dzieci, podzielonych na grupy wiekowe. Roilo się tu od pcheł, a w powietrzu unosił się smród moczu i odpadków. Van kazał ośmiolatkom w podartych, brudnych bawełnianych spodniach i szortach podnieść się, stanąć w rzędach i odśpiewać pieśń na powitanie, której Rappaport wysłuchał w milczeniu, z uśmiechem przyklejonym do twarzy, a potem Kathy wyszła z nim na dwór, do szopy z blaszanym dachem, gdzie kilkunastu chorych na malarię leżało w mroku i ciszy. Kathy każdemu otworzyła oczy i usta.

- Nikt nie umarł - stwierdziła.

Wróciwszy na podwórze, zobaczyli dwóch pracowników niosących kościół do głównego budynku. Jeden w wolnej dłoni trzymał chochlę.

- O Boże - powiedział Colin. - To jedzenie dla nich.
- Kathy zaprowadziła go pod drzewo i usiedli na ziemi.
- Myślałem, że to odpadki - powiedział Colin. - Pomyje.
 - My w Czyśćcu z tęsknotą śpiewamy o Piekłe.
 - Chyba cię rozumiem.

Van przyniósł im dwie szklanki herbaty.

- Nie bój się, oni to gotują - powiedziała Kathy.

Colin postawił szklankę koło stóp. Z lewej kieszeni na piersi wyjął cygaro, z prawej zapalniczkę.

- Straszny chaos, co?
- Na całej planecie. Czasy są niedobre. Przepraszam, gadam jak wariatka?

Najwyraźniej tak myślał.

- Nie miałem pojęcia, jak silnie to na ciebie wpływa.

Milczał, pijąc herbatę. Wypalił większą część cygara, starannie wydłubał żar, pocierając nim o korzeń drzewa, po czym niedopałek schował do kieszeni.

Wkrótce zaczął padać ulewny deszcz. Siedzieli w land-roverze, podczas gdy deszcz rozbijał się o asfaltowy podjazd i zmieniał nawierzchnię w łożo szklistych koleców.

- Zobaczę, czy nie możemy dostarczyć ci zapasów - powiedział Colin. - Chciałbym ci przysłać cały samolot. Myślę, że to możliwe. Zobaczę.

- Dobrze. Dziękuję.
- Jak jeszcze mógłbym ci pomóc?
- Czy mógłbyś mi dać niedopałek cygara, który masz w kieszeni?
- Żartujesz?
- Nie.
- Palisz cygara?
- Od czasu do czasu.
- Przypuszczam, że lepiej pozwolić ci robić to, na co masz ochotę. Jezu

Chryste, musimy przysłać ci pomoc.

- Mam Lan i Lee.
- Kogo?
- Poznasz Lan. Razem z Lee pilnują interesu, kiedy wyjeżdżam.
- A, tak. Są wyszkoleni?
- Bardzo mi pomagają. Nie mają szkoleń. Są bardzo kompetentni.
- Kathy, z tego powodu zrezygnowałem z pracy w ICRE. Rzucają cię w środek dżungli z mapą i kompasem.

- Ale dostajemy pomoc z wielu stron. Amerykanie dają nam różne rzeczy. Robimy, co możemy.

- Amerykanie ci pomagają?
- W zeszłym roku dostałam pół litra xylocainy. Wczoraj i dzisiaj rano wrywałam zęby. Uwielbiają xylocainę. W przeciwnym wypadku idą do miejscowego znachora, który robi to wielkimi kleszczami, stojąc im na pierśsiach. A jeśli go nie ma, sami wydłubują ząb paznokciem. Zajmuje im to cały dzień. Są bardzo stoicy.

- Nie tacy jak Filipińczycy, co?

- Filipińczycy są bardzo dumni, ale nie są stoikami.
- Nie wstydzą się swoich cierpień.
- Wierz mi albo nie, ale tu bardziej mi się podoba. W tym kraju nie zostało nic poza prawdą.
- Dobra - powiedział Colin; jego ton uświadomił jej, że znowu gada jak wariatka.

Po powrocie wieczorem na punkt pielęgniarski posłała pomocników do domu, a sama zagotowała ryż na prymusie.

Przez ostatnie dwa dni chore dziecko zajmowało jej hamak. Dłonią rozniotła ryż w misce i karmiła pacjenta palcem, drugą ręką przytrzymując mu głowę, głowę jak pusta skorupka jajka. Dziecko nie było w stanie nic przełknąć. Próbowwała podać mu wodę po ryżu z coca-colą w butelce ze smoczkiem, ale chłopiec, pięcioletni, sześciolatek, nie miał już odruchu ssania. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jutro, pojutrze rano będzie martwy. A jeśli przeżyje? Czeką go klatka w Bao Dai.

Usiadła w wielkim rattanowym fotelu i zapaliła niedopałek cygara od Colina Rappaporta. We wsi panowała absolutna ciemność. Dzieci pojękiwały, psy szczekały, kobiety cicho nawoływały. Kilka lamp rowerowych przesuwano się po drodze. Zaciągała się cygarem, aż zakręciło się jej w głowie i pozieleniała, rzuciła więc niedopałek na ziemię i zaniósła fotel do środka. Postawiła go przy moskitierze, przy ciężko oddychającym dziecku w hamaku, i zasnęła. W jej snach ludzie bardzo wyraźnie mówili po wietnamsku, a ona wszystko rozumiała.

Rano dziecko samodzielnie uniosło głowę i z filiżanki napiło się wody z colą. Przetrwanie było wiatrem, który jednych owiewał, a drugich nie. Nadzieja czy jej brak nie miały z tym nic wspólnego. Podniosła niedopałek z ziemi, oczyściła palcami i uroczyście zapaliła.

Monsieur Bouquet, brat zmarłego doktora Bouqueta, porządkował sprawy spadkowe i przyjechał po rzeczy furgonetką z kierowcą.

Sands wcześniej umówił się na objazd wioski z père Patrice'em, ale kiedy wieczorem wrócił do willi, brat wciąż tam był, niemal stary Francuz, krzepki, z zapadniętymi policzkami, ubrany jak na wędkowanie, w oliwkowe szorty i taką kamizelkę z licznymi kieszeniami, wachlujący twarz kapeluszem wiazanym pod brodą. Sands wypił z nim herbatę. Francuz posługiwał się dość dobrą angielszczyzną. Na początku mówił nie o bracie, lecz o kobietach.

- Z wiekiem coraz bardziej pociągają mnie starsze kobiety. Ciało, które przedtem było brzydkie, teraz może być urocze. Te cienkie fioletowe żyłki, wie pan, takie kruche. To piękna tajemnica. Ten nowy rodzaj wdzięku, wdzięk spokojnej kobiety, ma w sobie więcej erotyzmu. Teraz nauczyłem się podziwiać kobiety przedstawiane w malarstwie renesansowym. Bardzo pełne, bardzo miękkie od środka. Ma pan tubylczą konkubinę?

Sands nie odpowiedział.

- Nie? Nie znam tego kraju, ale myślałem, że posiadanie konkubiny jest tutejszym zwyczajem. Preferuję wdowę. Dojrzałą kobietę, jak wcześniej mówiłem. Ma doświadczenie w miłości i wie, jak zachowywać się w łóżku.

- Zaintrygował mnie pański brat. - Skip tylko tyle zdołał wykrztusić.

- Claude był moim bliźniakiem. Dwujajowym, nie byliśmy do siebie podobni. Dostałem wiadomość o jego śmierci i nie płakałem. Nagle pomyślałem: Och, nie, nie, nie, nie znałem go, zupełnie go nie znałem. Dorostaliśmy razem, ale nigdy o niczym nie rozmawialiśmy, po prostu mieszkaliśmy w jednym domu. Z mojego punktu widzenia był gościem. Ale nie przyjechał z wizytą do mnie, tylko do moich rodziców, siostry, coś w tym rodzaju. Dzisiaj rano, kiedy obejrzałem wszystko, dom, w którym mieszkał, wiem o nim więcej, niż wiedziałem po latach młodości spędzonej u jego boku. Zastanawiałem się, czy znajdę odbitkę pewnego obrazu, który wtedy mieliśmy w sypialni. Tak, wiem, to bez sensu, gdyby po tak długim czasie wciąż ją miał. *Odoczynek kłowna ery* jakiś podobny tytuł. Kłown z zamkniętymi oczami: martwy? nieprzytomny? Dlaczego oczy ma zamknięte? Claude miał to na ścianie nad swoim łóżkiem przez wiele lat. Kiedy byłem dzieckiem, bałem się tego obrazu. A fakt, że kłown nie przeraża Claude'a, był jeszcze bardziej przerażający. Tyle lat mieszkał tu i się nie bał. Ja się boję. - Monsieur Bouquet westchnął. - Zapakowaliśmy sześć pudeł, jak pan widzi. Dziękuję, że tyle pan dla nas spakował. Zostawię meble i tego rodzaju rzeczy. Ktoś z rodziny znowu tu zamieszka, kiedy będzie po komunistach. Kiedy ich pokonacie. Na razie będę wynajmował dom pańskiemu Ecumenical Council i... - Spojrzał na Skipa nowym wzrokiem. - Nie jest pan z CIA ani czegoś takiego przypadkiem?

- Nie.

- Okay. - Roześmiał się. - To mnie nie martwi!

- Nie ma czym się martwić.

Skip odłożył na bok kilka kruchych przedmiotów - niech brat sam je spakuje. Monsieur Bouquet zdecydował się zostawić delikatny model ludzkiego ucha, porcelanowe kości.

- Przyjechały tu z daleka. Nie ma sensu zabierać ich z powrotem, smutno byłoby je zabierać. Musimy uratować książki i dokumenty z rodzinnej biblioteki. To pasja naszej siostry. Papiery, papiery. Dla niej to nasza jedyna spuścizna, ale ja mówię do niej: Dlaczego musimy mieć jakąś spuściznę? Rzeczy ciągle ulegają zniszczeniu, rzeczy dobre i złe. Destrukcja goni destrukcję. Co się przydarzyło Claude'owi? Puf, wybuch, nic nie zostało. To samo czeka nas wszystkich: popioły, kurz, puf, to nasza spuścizna. Nie. Tego nie biorę. Zbyt łatwo się tłucze. - Grubymi palcami brat wyjął i dokładnie obejrzał każdą część: *Pavillon* i *Lobe* w uchu zewnętrznym, później *Conduit* i *Tympan*, *Vestibule*, *Fenêtres*, *Canaux semi-circulaire* i *Nerf auditif* w *Labyrinthe Osseux*, *Limaçon*, długą tubę *Trompe d'Eustache* prowadzącą do czaszki. Wymodelowane i opisane zostały nawet miniaturowe wewnętrzne kosteczki, *Marteau*, *Enclume* i *Etrier*, a także gąbczaste z wyglądu *Cellules mastoïdiennes*. - Ach! Takie maleńkie, doskonałe i zabytkowe; model chyba pochodzi z jego czasów szkolnych, tak myślę. Claude zrobił dyplom w 1920 albo 1921. - Nieoczekiwanie zapytał: - Zna pan tunel, w którym Claude wyleciał w powietrze? Widział go pan?

- Nie, przykro mi, nie widziałem.

- *Avez-vous Français? Un peu?*

Przerzucili się na francuski i rozmowa szybko nabrała trywialnego charakteru. Najwyraźniej ten wielki, solidny mężczyzna wolał najszczerze uwagi wypowiadać w języku, w którym nie czuł się na tyle pewnie, by się kamuflować.

Sands zachęcał monsieur Bouqueta, by został do rana, ale Francuz najwyraźniej obawiał się spędzić tu noc, choć drogi o tej porze były niebezpieczne. Wszystko załadowano do furgonetki. Wyjechał o zmroku.

Kilka tygodni wcześniej monsieur Bouquet wysłał list do fałszywego Ecumenical Council i podał w nim dzień swojego przyjazdu. Tymczasem Sands przywiązał się do pewnych tekstów nieboszczyka, kilku mało znanych kwartalników i zakurzonych książek, które przełożył do swoich szafek, ukrył przed krewnymi i spadkobiercami lekarza. Brat wyjechał bez nich.

A kilka tygodni później Sands wciąż pracował nad tłumaczeniem akapitów podkreślonych przez lekarza, wywodów filozoficznych francuskich intelektualistów, o których Sands nigdy nie słyszał, abstrakcyjnych fragmentów, które w niewyjaśniony sposób go rozpałały, jeden na przykład pochodził z artykułu pod tytułem *D'un Voyage au Pays des Tarahumaras* pióra niejakiego Antonina Artauda:

Que la Nature, par un caprice étrange, montre tout à coup un corps d'homme qu'un torture sur un rocher, on peut penser d'abord que ce n'est qu'un caprice et que caprice ne signifie rien. Mais quand, pendant des jours et des jours de cheval, le même charme intelligent se répète, et que la Nature obstinément manifeste la même idée; quand les mêmes formes pathétiques reviennent; quand des têtes de dieux connus apparaissent sur les rochers, et qu'un thème de mort se dégage dont c'est l'homme qui fait obstinément les frais - et à la forme écartelée de l'homme répondent celles, devenues moins obscure, plus dégagés d'une pétrifiante matière - des dieux qui l'ont depuis toujours torturé; quand tout un pays sur la Terre développe une philosophie parallèle à celle des hommes; quand on sait que les premiers hommes utilisèrent un langage des signes, et qu'on retrouve formidablement agrandie cette langue sur les rochers; certes, on ne peut plus penser que ce soit là un caprice, et que caprice ne signifie rien.

Uzbrojony w pióro, czystą kartkę papieru i stos słowników, ruszył do walki z przerażającą mglistością tekstu:

Kiedy Natura przez dziwny kaprys nagle portretuje w głazie ciało człowieka poddawanego torturom, na początku możesz pomyśleć, że to tylko przypadek i że ten przypadek nic nie znaczy. Ale kiedy w trakcie dni spędzanych na koniu widzisz, jak ta sama inteligentna sztuczka się powtarza, a *Natura uparcie wyraża tę samą ideę*; kiedy ta sama żalonna forma powraca; kiedy głowy znanych bogów pojawiają się i kiedy wynurza się temat śmierci, za którą człowiek uparcie płaci cenę; kiedy na pozbawioną członków postać człowieka odpowiedzią są postaci owych - *stają się mniej mgliste*, bardziej odłączone od kamieniejącej materii - bogów, którzy zawsze go dręczyli; kiedy cały region ziemi tworzy filozofię paralelną do filozofii zamieszkującego go ludu; kiedy wiesz, że pierwsi ludzie używali języka znaków, i kiedy odkrywasz, że język ten uległ powiększeniu w skałach; wtedy z całą pewnością nie myślisz już, że to tylko przypadek i że ten przypadek nic nie znaczy.

Tak, trudno było dociec intencji tajemniczego monsieur Artauda, podobnie jak ustalić, czy Kraina Tarahumaras znajduje się gdzieś w Nowym Świecie,

czy tylko w jego głowie, chociaż powody, dla których lekarz wybrał ten akapit, były oczywiste: błąd wędrowiec, nieodgadniony, obcy kraj.

Sam lekarz był zagadką. Wszystko wskazywało na to, że zaprzestał praktykowania medycyny na długo przed śmiercią, ale do domu nie wrócił. Sands myślał, że go rozumie.

Poza kilkoma publikacjami Sands zatrzymał jeden z notatników zawierających prywatne zapiski lekarza. Ukraść go. Uwagi lekarza zapełniały stronicę mocnym kwadratowym pismem i Sands także je tłumaczył, wpisując do własnego notatnika.

Drogi profesorze Georges u Bataille:

W marcu 1954 roku w salach Biblioteki Sztuk Pięknych na Sorbonie, gazie zatrudniona jest moja bratowa, przeczytałem w maszynopiśmie Pański esej Malarstwo prehistoryczne: Lascaux, czyli narodziny sztuki. Przyjechałem wówczas do ojczyzny z Indochin, gdzie mieszkam od niemal trzydziestu lat.

Skip rozpoznał tytuł: *Lascaux, ou, La Naissance de l'art*, wielki, piękny tom z kolorowymi fotografiami przedstawiającymi malowidła na ścianach jaskiń we francuskim regionie Lascaux. Przeklinał siebie, że pozwolił, by album opuścił dom, ale książka wydawała się zbyt cenna, żeby ją kraść.

Ostatnio nabyłem książkę z fotografiami. Naturalnie jest wspaniała.

Pozwoli Pan, że zwrócę Pańską uwagę na książkę Jeana Gebsera, austriackiego „profesora komparatywnych cywilizacji”, zatytułowaną Jaskinia i labirynt. Cytuje:

„Powrót do jaskini, nawet w myślach, jest cofnięciem się z życia w stan bycia nienarodzonym”.

„Jaskinia jest macierzyńskim, matriarchalnym aspektem świata”.

„W kościele Saintes-Maries-de-la-Mer w Camargue w południowej Francji Cyganie czczą Sarę, czarną Madonnę”.

(Monsieur Bataille: W Hiszpanii 3000 Cyganów mieszka w jaskiniach koło Granady.)

(Monsieur Bataille: Czy umysł jest labiryntem, przez który przedziera się świadomość, czy też umysł jest bezgraniczną pustką, w której pewne myśli pojawiają się i znikają?)

(Monsieur Bataille! - Myślimy o jaskiniach jako o czarnych, ale czyż nie są one blade, niemal przezroczyste, bardzo jasne...)

„ Wkraczając do labiryntu, Tezeusz ponownie wkracza do łona, by zyskać możliwość drugich narodzin, gwarancję przeciwko drugiej, nieodwołalnej i straszliwej śmierci”.

(Monsieur Bataille: W roku 1914 hrabia Bégouën odkrył w Pirenejach jaskinię Trzech Ojców: tunel, przez który przeczłogać się można tylko jak przez kanał rodny, kończy się rozległą salą pokrytą paleolitycznymi, liczącymi 12 000 lat wyobrażeniami polowania, w tym fantastycznymi postaciami zwierząt. Salę tę wykorzystywano podczas inicjacji dojrzewających chłopców, rytuału śmierci i nowych narodzin.)

„Jeśli jaskinia przedstawia sobą bezpieczeństwo, spokój i brak ryzyka, to labirynt jest wyrazem poszukiwania, ruchu i niebezpieczeństwa”.

(... Poszukiwanie wyjścia, monsieur Bataille, poszukiwanie ucieczki?

Albo poszukiwanie tajemnicy w centrum rzeczy?)

(Po ponad sześćdziesięciu latach życia sam się przekonam.)

(Chaos, anarchia i strach: to mną kieruje. Tego pożądam: być wolnym.)

Tak!

Niedokończony list do uczonego Bataille'a, pełen pasji, skomplikowany, kwiecisty: Skip wciąż nad nim pracował.

Po miesiącu spędzonym w swoim legowisku pozwolił, by w pogodny dzień père Patrice wywabił go na dwór; postanowili obejrzeć tunel, w którym zniknął doktor Bouquet. Przeszli przez wioskę, na jej północnym krańcu skręcili na zachód. Niecałe pół kilometra dalej u stóp wyłobionego przez deszcz zbocza znajdowało się wgłębienie w ziemi, nic więcej. Fatalny w skutkach wybuch podkopał wejście, a deszcze spowodowały, że się zapadło. Podobnie jak wiele innych rzeczy w tym kraju, tunel także odmówił Skipowi wstępu w swoje głębiny.

- To nie jest ważny rejon - oznajmił ksiądz. - Tunel nie był używany.
- Kto podłożył bombę?
- Lekarz wziął ze sobą dynamit, jestem tego pewien. Żeby oczyścić sobie przejście. A potem... sam się wysadził w powietrze.

W drodze powrotnej Skip powiedział księdzu:

- Cieszę się, że nie musiałem wchodzić do środka.
- Do tunelu? Dlaczego chciałeś tam wchodzić?
- Nie chciałem.
- Nie rozumiem?
- Jestem tchórzem, père Patrice.
- To dobrze. Będiesz dłużej żył.

Ksiądz wiele razy przychodził do willi na kolację. Gdyby obowiązki duszpasterskie nie kazały mu podróżować po okolicy, zjawiałby się co wieczór. Jedzenie było wysmienite. Okazało się, że pani Diu umie przyrządzać omlety, sosy, przekąski, wszystko, co we francuszczyźnie ma nazwę, a chociaż często nie dysponowała egzotycznymi przyprawami, podawała proste, smaczne potrawy ze świeżych ryb albo wołowinę z ryżem i dzikimi warzywami, a także miejscowe owoce na deser. Piekła pyszne bułki i złote chleby: Sands czuł, że tutaj mógłby przeżyć o chlebie i wodzie.

Podczas dziesięciu deszczowych tygodni pułkownik się nie pojawił. Poza wizytami księdza dwa albo trzy razy w miesiącu i równie częstymi przyjazdami Nguyena Hao Skip pozostawał bez przyjaciół i wrócił do swojej naturalnej samotności (to o sobie wiedział, był przecież jedynym dzieckiem matki pracującej, wdowy), do samotności deszczowych popołudni po szkole. W najmniejszym z trzech pokoi na piętrze oddawał się swemu powołaniu arbitra fragmentarycznych historii z archiwum „2242” wuja. Oddawał się ospale. Tylko na tyle było go stać za jednym razem. Karty w archiwum ułożono alfabetycznie według nazwisk ludzi, których przesłuchiowano albo o których wspomniano w przesłuchaniach w latach 1952-1963 na całym terenie obecnego Wietnamu Południowego. Przeszedł już fazę wycinania i klejenia, teraz

tworzył nowe hasła dla każdej z dziewiętnastu tysięcy kopii i układał je według wymienionych w nich nazw geograficznych, tak by pewnego dnia - bardzo odległego! - można było odszukać informacje dotyczące danego dystryktu, wioski albo miasta. Dlaczego od tych kategorii nie zaczęto? I dlaczego miałby się tym przejmować? Jak w przypadku CORDS/Phoenix, oficerowie wykazywali inicjatywę, zadawali pytania, robili notatki, jeździli na inne placówki. Skip marzył, by trafić na ślad i dojść po nim do jakiegoś epokowego odkrycia (premier Ky był szpiegiem Wietkongu albo grobowiec cesarza zawiera wiele milionów francuskie łupy), ale nie, nic tu nie było, wszystko bez wartości; wyczuwał to, dotykając kart palcami. Dane nie tylko były równie banalne i poplątane jak te w CORDS/Phoenix, ale też nieaktualne. Te karty katalogowe służyły wyłącznie jako świadectwo przeszłości, przez co odznaczały się pewną atrakcyjnością.

Na początku sierpnia Hao przywiózł mu większy słownik francusko-angielski (prośba Skipa) oraz plik fotokopii od pułkownika: cieszący się niejaką sławą artykuł ze „Studies in Intelligence” zatytułowany *Uwagi o podwójnym agencie* pióra Johna P. Dimmera Juniora, a także częściowy szkic artykułu samego pułkownika, tego, który przyczynił mu kłopotów, siedem stron wypełnionych ręcznie zapisanymi uwagami, pomysłami bardziej zapalnymi niż teksty francuskie, bardziej ponurymi niż zawołowane ostrzeżenia Eddiego Aguinaldo. Z jednej strony były absolutnie rozsądne, z drugiej alarmująco nielojalne.

Do *Podwójnego agenta* Dimmera pułkownik doczepił notkę:

Skipper, odśwież znajomość z J. P. Dimmerem i zerknij na mój brudnopis. Mam więcej, ale to kompletny chaos. Będę przysyłał po kawalku, w przeciwnym razie oszalałbyś, próbując to uporządkować.

Sands dobrze pamiętał popołudnie, kiedy ostatni raz słyszał wzmiankę o *Uwagach o podwójnym agencie*. Pamiętał nie z powodu samej wzmianki, ale komentarzy, na które pozwolił sobie pułkownik.

W towarzystwie sierżanta Storma wyrwał na chwilę siostrzeńca z CORDS/Phoenix. Raz na jakiś czas pułkownik zabierał go na lunch, dzisiaj był to lunch na tarasach hotelu New Palace. Transparent na szczycie schodów obwieszczał „Festiwal hamburgerów”. Skip ponownie zauważył, że jest pochmurno, na co Jimmy Storm odparł:

- W tropikach nie ma nieba.

Jimmy ubrany był po cywilnemu i tryskał energią; Skip podejrzewał, że wziął benzedrynę.

Pułkownik siedział na ustawionym pod kątem krześle, prawą rękę opierając na balustradzie. Przed sobą miał wschodnią część Sajgonu, za plecami długi bufet, najwyraźniej scenę, na której odbywał się „Festiwal hamburgerów”. W lewej dłoni trzymał koktajl.

- Agencja jest w stanie szoku. Sprawa Kennedy'ego i wypadki w Zatoce Świń zatrzęsły nami solidnie. Nie wiemy, jak się zachowywać, jak realizować misję. Na Kubie popełniamy błąd za błędem, jako agencja i jako naród. Jesteśmy Rosją półkuli zachodniej.

- A jak według ciebie sprawy układają się dla nas tutaj? W tej chwili? - zapytał Sands.

- To zależy od Wietnamczyków, Skip. Od tak dawna powtarzamy: „To zależy od Wietnamczyków”, że wydaje się to brednią, ale jest najczystsza prawdą. Pytanie brzmi: Jak im pomagamy? Ty, ja, my siedzący przy tym stoliku. To znaczy my trzej. Myślę, że potrzebne jest nowe podejście. Musimy bardziej agresywnie traktować dane.

- Agresywnie?

- My trzej.

- My?

- Problem dotyczący gromadzenia danych wywiadowczych polega na tym, w którym punkcie przestajesz wykazywać inicjatywę. Czy ruszamy w teren, agresywnie przetrzepujemy zarośla, agresywnie wszystko gromadzimy, a potem biernie przekazujemy innym do przesiania? Nie. Przesiewanie odbywa się ciągle, na każdym poziomie.

- Selekcja - dodał Jimmy.

- A ja nie lubię pieprzonej selekcji, Skipper. Bo między innymi przesiewana jest też jedna konkretna informacja, która skomplikuje nam życie, jeśli zdenerwuje przełożonych. I tak na ich biurku lądują kłamstwa, miłe kłamstwa, monstrialne kłamstwa.

- Szczęśliwy potwór - powiedział Jimmy.

- Kłamstwo wędruje w górę, a na dół wraca zła polityka, błędna polityka. Idiotyczne pomysły generowane są po wyznaczonych torach, a my tutaj, w polu, zaczynamy dziwnie podskakiwać i machać rękami. Potem zgodnie z rozkazem sporządzamy staranny, przemyślany raport, z którego jasno wynika, że rzucaliśmy się na oślep, powodując chaos. Wiesz, jak to działa, Skip:

Mindanao. Przestajemy być letni i nieskuteczni, stajemy się głupi i żarliwi.

- Żarliwi - to dobre słowo! - oznajmił Jimmy.
- Dlaczego mamy czekać na głupstwa z centrum ula? Dlaczego nie tworzyć własnych scenariuszy?

W tym momencie Jimmy Storm zauważył siedzącą przy sąsiednim stoliku dość wysoką młodą Azjatkę, ujmującą, niezwykle wypielęgowaną, odzianą we wspaniały jedwab.

- Chciałbym dobrać się do jej słodkiego kisielka - powiedział.
- Ha, ha! - roześmiał się pułkownik.

Jego błazen wziął palcami kawałek mięsa z sosem i wrzucił w usta.

- Chyba że Skip chce.

...Szkie artykułu zaczynał się od fotokopii ręcznie pisanej notki, pułkownik sporządził ją drukowanymi literami:

JESZCZE NIE MAMY WSTĘPU

Chcę odświeżyć rozróżnienie pomiędzy analizą a jasnością myśli, czystością języka, poprawnością mowy etc, jednoznacznością faktu - określić, jak brak jasności doprowadził do całkowitego wypaczenia funkcji wywiadowczych naszej Agencji. Jej motywów i celu. Jej środków. Jej metod.

Potraktujmy to jako rzecz główną: rozróżnienie pomiędzy analizą a wywiadem.

Orwell - „Polityka i język angielski”

Co do wstępu -

ZASADNICZO NALEŻY TU PODKREŚLIĆ, ZE MÓWIMY O DWÓCH FUNKCJACH TAJNYCH SŁUŻB: WYWIADZIE I ANALIZIE. O ZBURZENIU BARIER POMIĘDZY NIMI ETC.

Następne strony napisane były na maszynie. Skip przeczuwał żenujący chaos. Przy trzecim zdaniu zaczął się domyślać, że pułkownik musiał mieć pomocnika:

Wzajemne skażenie funkcji

Środki retoryczne używane w procesie komunikacji dostarczają nam modelu do tej dyskusji. Mówimy o „torach” komunikacyjnych i „łańcuchach” poleceń, co nam przypomina, że informacje przemieszczają się w linearny i połączony ze sobą sposób przez szeregi tych,

którzy je interpretują. W odniesieniu do funkcji naszych służb wywiadowczych postrzegamy to przemieszczanie jako powstające w polu i kończące się w archiwach, planach albo operacjach. Surowe dane zbierane przez oficera w polu zwalniają swój bieg, przesączaając się przez łańcuch, a w końcu utykają w gąszczu rozważań dotyczących ich wpływu - na inne operacje, na cele wyżej postawionych, a nawet na rozwój kariery przekazującej je osoby - do momentu, gdy związane z nimi informacje przebędą równoległą drabinę i dostarczą potwierdzenia albo też (co niezwykle niefortunne, wręcz niebezpieczne) aż dowództwo uzna ich niezbędność do uzasadnienia posunięć politycznych, a ludzie będący w posiadaniu tych informacji wyczują tę potrzebę.

Takie wahanie i wątpliwości są dowodem, że funkcja wywiadowcza uległa skażeniu przez funkcję analityczną. Dane są interpretowane, choć może podświadomie, przewidywany jest ich wpływ na dowództwo. Mówimy o „wpływie dowództwa” na funkcję wywiadowczą, a fakt, iż dysponujemy takim terminem, świadczy o istnieniu zjawiska; na razie jednak nie zdołaliśmy poradzić sobie z działaniem, mechaniką wpływu dowództwa.

W artykule niniejszym postawiono omówioną w zarysie tezę, że „wpływ dowództwa” działa poprzez wzajemne skażenie dwóch funkcji tajnych służb: wywiadu i analizy.

Wzajemne skażenie dwóch kategorii

Podczas gdy dane wahają się na łańcuchu, oczekując (1) akumulacji różnych presji, które popchną je wyżej, oraz (2) potwierdzenia ze strony związanych z nimi informacji, zagrożeniu ulega rozdział danych zebranych przez ludzi oddanych z dokumentów, a w ostatecznym rozrachunku przestaje istnieć. Ujmując rzecz prosto, potrzeba zbadania wiarygodności źródeł ustępuje przed presją procesu. Rezultatem jest wzajemne skażenie: dane ze źródeł osobowych, na których zwykle nie można polegać, wspierają wątpliwe interpretacje źródeł pisanych, a te interpretacje zaczynają z kolei być postrzegane jako rzucające światło na dane ze źródeł osobowych.

Wzajemne skażenie tych dwóch kategorii, źródeł osobowych i źródeł pisanych, stanowi jeden z procesów w szerszym zaburzeniu dwóch funkcji wywiadu i analizy.

Wzajemne skażenie dwóch fal

Tymczasem pamiętajmy, że proces interpretacyjny zawsze podlega zawłaszczeniu i werbunkowi przez politykę. Wzajemne skażenie powoduje, że dane są mgliste, plastyczne, a w końcu stają się bezużyteczne w każdym innym wymiarze poza tym, iż są składnikiem wewnętrznej biurokracji i politycznych procesów.

Szczegółowe zbadanie procesów, którymi potrzeby dowództwa komunikowane są w dół łańcucha, musi poczekać na inną okazję. Na razie wystarczy powiedzieć, że potrzeby dowództwa podróżują w dół łańcucha tym samym rodzajem fal, którym dane komunikowane są do góry. Rezultatem jest wzajemne skażenie obu fal.

*Należy podkreślić, że proces ten jest całkowicie odmienny od procesu gromadzenia danych wywiadowczych stosowanego przez najwcześniejsze wcielenie naszej Agencji, *Off ce of Strategie Services* (OSS). Tam funkcja wywiadowcza pozostawała niemal nietknięta przez politykę, ponieważ polityka to gra pokojowa, a OSS był strukturą dowódczą realizującą cele czasów wojny. Z tamtej ery pozwoliliśmy przetrwać starym modelom z-pola-do-archiwum, z-pola-do-planu, z-pola-do-planu-do-archiwum. Niestety, obecnie model ów nam nie służy.*

Model łańcucha, na którym dwie fale danych poddawanych presjom wzajemnie się zatruwają, jest bliższy obecnemu procesowi występującemu w naszej Agencji. Presja skierowana w dół wynika z potrzeb dowództwa, presja skierowana w górę wynika z potrzeby zadowolenia dowództwa.

W tym punkcie dyskusji raz jeszcze podkreślmy brak użyteczności tego procesu, ustaliliśmy bowiem kategorię służby, w której wywiad staje się potrzebny, a jest nią realizowanie celów wojennych.

Wzajemne użyźnianie dwóch celów

Artykuł niniejszy pozostawia otwartym pytanie, w jaki sposób powinniśmy wprowadzić ów poprawiony model w naszą aktualną sytuację, czyli wojnę w Wietnamie, należy wszakże rozważyć kilka nasuwających się myśli:

Grupy wywołują wojny albo z zamiarem osiągnięcia celów politycznych, jak w przypadku rewolucji, albo z zamiarem zapewnienia sobie przetrwania, jak w przypadku kontrrewolucji. (W nawiasie:

Pomijamy przykłady, w których oba te cele uległy zatarciu, jak w sytuacji gdy państwa narodowe angażują się w budowanie imperium, budowanie rynku albo też obronę przed tymi dwiema napaściami. Świadomie rezygnujemy też z rozwinięć i kategorii, które byłyby rezultatem powołania się na Clausewitza i Machiavellego. Powtarzamy: skupiamy się na wykorzystaniu poprawionego modelu w rozważaniach nad rolą wywiadu w naszej obecnej wojnie, dlatego też upraszczamy wywód.)

W tym miejscu strzałka na marginesie kierowała czytelnika ku sporządzonej ręcznie notce na dole strony:

V- Na razie bardzo dobrze. Na końcu wystarczy dodać, że zachęcamy do dalszych przemyśleń. Główną końcową ideą powinno być stwierdzenie, że celem Wietkongu i armii Wietnamu Północnego jest rewolucja polityczna wzajemnie użyźniona przez narodowe przetrwanie. Zachęcamy do przemyśleń, jaką pozycję wobec tych celów zajmuje USA: Co robimy? Jaka jest w tym rola wywiadu? Jak wrócić do celów wojennych i tak odmienić całą Agencję, by ożywić pierwotną rolę służb wywiadowczych?

Konieczność działań izolowanych

Z drugiej strony Stany Zjednoczone, nawet w sytuacji wojennej, nie lubią jasno zdefiniowanych celów wojennych. W rezultacie prowadzimy lichwiarską grę z nie do końca określonymi priorytetami, w którą w żadnym wypadku nie powinny być wplątane niższe szarże, autorytety, mocarstwa światowe. Dla jednostek w naszej społeczności wywiadowczej okoliczność ta nasuwa wniosek, że należy wprowadzić izolację po to, by stworzyć taki obszar działalności, w którym prawdziwe i pierwotne cele wywiadu zostaną na nowo ujawnione i wprowadzone w życie. Używamy terminu „obszar”, choć powiedzmy raczej, że długość ogniw komunikacyjnych musi zostać zaizolowana przeciwko naciskom z góry i z dołu: naciskom „roztropności podwładnych” z dołu i naciskom „wpływu dowództwa” z góry. Mało prawdopodobne, by izolacja taka powstała wskutek rozkazu samego dowództwa, musi ona wynikać z inicjatywy Agencji lub jej członków.

Na marginesie -

V, proszę, zrób tak, żeby ton był mniej zarozumiały, bardziej mglisty - „Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha”. - FXS. Ale, V- czas jest istotny. DYCHOTOMIA UTRATY MOBILIZACJI, mój stary.

Kto pomagał? Kim jest V? Skip zakładał, że to Voss. Na ostatniej stronie kolejna notka spisana ręcznie przez pułkownika:

Drzewo dymu - (słup dymu, słup ognia) „światło przewodnie” rozjaśniające szczery cel działania wywiadu: przywrócenie gromadzenia danych jako głównej funkcji operacji wywiadowczych zamiast dostarczania uzasadnień dla polityków. Bo jeśli tego nie zrobimy, następnym krokiem będzie wykorzystanie wywiadu do wpływu na politykę przez nastawionych wyłącznie na karierę, opętanych manią władzy cynicznych i zblazowanych biurokratów. A krok ostateczny to tworzenie fikcji i podsuvanie jej naszym politykom w celu kontrolowania posunięć rządu. A TAKŻE: „Drzewo dymu” - zauważ podobieństwo do „chmury w kształcie grzyba”. Hal

I znowu maszynopis, tym razem Vossa:

Można hipotetycznie wyobrazić sobie krok po tym kroku ostatecznym. Rozważyć możliwość, że koteria albo izolowana grupa może zdecydować się na stworzenie fikcji niezależnych od intuicyjnego postrzegania własnych potrzeb przez dowództwo. Oraz przekazać te fikcje wrogowi, by zyskać wpływ na dokonywane przez niego wybory.

- HA! Niemal słyszał śmiech wuja. Tak jak na tarasie w Continentalu, kiedy śmiał się ze zbereźnych aluzji Jimmy'ego. Jimmy oblizywał palce, a pułkownik zwrócił się do Skipa:

- Pamiętasz artykuł J. P. Dimmera o podwójnym agencie?
- Czytałem go tysiąc razy.
- Przypuśćmy, że masz podwójnego.
- Mamy jakiegoś?
- Przypuśćmy.

- Okay.
- I przypuścmy, że chcesz mu dać fałszywkę.
- Fałszywkę? - powtórzył Skip. - Nie pamiętam, żeby Dimmer o tym wspominał.
- Sierżancie, daj mu kopię.
- Kopię czego?
- Artykułu zatytułowanego *Uwagi o podwójnym agencie*. W moim zbiorze „Studies in Intelligence”. Wydanie zimowe, sześćdziesiąty drugi rok.
- Co za pamięć.
- Przypuścmy, że Hanoi uwierzy, iż niesubordynowane elementy w dowództwie amerykańskim postanowiły odpalić bombę atomową w Hai-phong Harbor.
- Żartujesz?
- Czy to nie wprowadziłoby zamętu w tok myślowy Ho? Gdyby uwierzył, że kilku szalonych drani zdecydowało się zakończyć całą sprawę bez pytania o pozwolenie?
- Mam nadzieję, że rozmawiamy hipotetycznie.
- Skip. Masz w kieszeni bombę?
- Nie.
- Wiesz, skąd ją wziąć?
- Nie.
- Nie. To jest Op Psy. Rozmawiamy o zamąceniu osądu wroga.
- W procesie myślowym nie natrafiamy na żadne granice - obwieścił sierżant Storm. - To niemal jak joga albo praca duchowa.

Skipowi przypomniało się inne z obwieszczeń sierżanta Storma: „Jesteśmy na ostrzu rzeczywistości. Dokładnie w miejscu, gdzie zmienia się ona w sen”.

Po pierwszej wizycie w Fioletowym Barze James pragnął wrócić tam jak najszybciej, napić się piwa, przelecieć kobietę i pójść tam znowu; nie potrafił sobie wyobrazić żadnego wyższego celu.

Nie zapomniał o matce. Posłał jej połowę kilku pierwszych żołdów. Po-tem nie miał co posyłać. Wszystko przehulał.

Kwiecień wcale nie przypominał wiosny, panował straszny upał. Przez całe lato padały ulewne deszcze. W październiku i listopadzie ochłodziło się trochę i przestało padać. James nie był w stanie zjeść indyka na Święto Dziękczynienia, podanego w bazie lądowiska. W innych mesach był prawdziwy indyk, ale ten, wybielony i namoknięty, wyjęty został z puszki.

- Boże Narodzenie złamie wszystkim serce - powiedział Fisher.

Na początku James posyłał Stevie liczne krótkie, udręczone wiadomości oraz drobiazgi, które wypatrzył w Sajgonie, cieszył się z listów od niej i czytając je, usiłował przywołać jej twarz i głos. A potem pewnego dnia stwierdził, że nie potrafi sobie nic przypomnieć. Z pozostałymi chłopakami było inaczej. Wraz z upływem czasu rosła ich obsesja na punkcie dziewcząt zostawionych w domu, a gdy zbliżał się koniec służby, odliczali dni i modli-tewnym tonem wzdychali do białego mięsa, białego mięsa, białego mięsa. James natomiast pragnął tylko więcej tego, co dostawał w Fioletowym Barze, przy czym kolor był bez znaczenia.

Wiadomości od Stevie nadchodziły ciągle, zwykle były to krótkie notki, które wystukała na zajęciach z maszynopisania, dokładnie takie same, jakie mogłaby niepostrzeżenie przekazać komukolwiek w klasie, jakby James siedział dwa rzędy od niej i drzemał, a nie rozpiął spodnie w baraku, świe-ćąc latarką na obnażone krocze i wpatrując się straszliwy fioletowoczerwony obszar zajęty przez grzybicę, który w drżącym świetle nabierał zmiennej, zielonkawej barwy.

- Nie dostałeś tego od kurew, nie dostałeś tego od kurew - mówili inni mężczyźni, mężczyźni, których ciągle wypytywał - to tylko taka rzecz, straszna rzecz od potu i dżungli, w końcu zniknie po tym gównie, które ci dają. Nie musisz golić jaj. Więc się nie przejmuj. I nie gól sobie jaj.

Listy Stevie z kóleczkami nad „i” przerażały go tak samo jak grzybica.

Prawie wcale jej nie odpisywał.

Mógłbym tylko zaprowadzić cię w pół drogi do miłości, napisał raz, cytując jeden z wierszy Evansa do dziewczyny.

Zawsze będę na ciebie czekała, jestem lojalna do samego końca, napisała w odpowiedzi.

Chciał posłać jej wiadomość: *Nie bądź lojalna, ponieważ ja nie jestem lo-jalny*. Ale wcale nie odpisał.

Na Boże Narodzenie dostał kartkę od matki i na myśl o przeczytaniu jej robiło mu się niedobrze - a jeśli matka płacze z powodu pieniędzy? Ale ona tylko pod wydrukowanym na kartce wierszu o Zbawicielu, stajence, pa-sterzach i cudownej, pełnej gwiazd pierwszej Wigilii dopisała *„Pozdrowie-nia, mama* .

Porucznik Popierdolony zabrał oddział na patrol i zaraz na początku z powo-du jego pecha wpadli na zamaskowany dół z dwoma martwymi północnymi

Wietnamczykami. Popierdolony znalazł ich sam, bo kiedy zszedł ze szlaku, żeby obejść zwalone drzewo, noga wpadła mu w słomę prosto na głowę trupa. Kilku z patrolu Echo odepchnęło drzewo, po czym oderwali połamaną pokrywę z bambusa i trawy. Ich oczom ukazały się ciała leżące jedno na drugim, napuchnięte i cuchnące, z oczodołami, w których roilo się od mrówek. Wyglądało na to, że drzewo zważyło się, więząc ich w środku, a w nocy wody gruntowe podeszły tak szybko, że ledwo zaczęli kopać, by się uwolnić, już utonęli. Popierdolony chciał przesłuchać wszystkich w okolicy. Pierwszy człowiek, na którego trafili, wracał z pola z wiązką drewna na ramionach. Na ich widok rzucił swoje brzemię na ziemię i zerwał się do ucieczki z dwoma żołnierzami depczącymi mu po piętach. Pozostali przykucnęli i czekali.

- Ta góra zaczyna na nas srać - powiedział Popierdolony. Większość z nich była tu za krótko, by wyczuć zmiany w powietrzu. Bez Flatta i Jolleta, z pozostałymi ciągle się zmieniającymi najstarsi w plutonie byli specjalista czwartej klasy Houston, znany jako Kowboj, oraz Czarny, bezimienny sierżant. Ale teraz dołączył inny Murzyn, starszy szeregowiec Everett, który reagował na swoje nazwisko, choć rozmawiał tylko z Czarnym, i to tak cicho, żeby nikt inny nie mógł usłyszeć. - A skoro mowa o sraniu - dodał Popierdolony i ruszył w zarośla. Wrócił, zapinając spodnie, kiedy pojawili się tamci dwaj. Nie prowadzili miejscowego.

- Nie mieliście szczęścia?
- Zniknął.
- Wszedł pod ziemię, sir.
- Tak myślimy.
- Tam jest tunel, sir.
- Kurwa. Nie mówcie pułkownikowi - powiedział Popierdolony.
- Jest dokładnie tutaj.

Cały oddział stał dokoła czegoś, co bez wątpienia wyglądało jak liczące sześćdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów wejście do podziemnego świata. Popierdolony ukląkł, zaświecił do środka latarką i szybko się podniósł.

- Taa, tacy oni są. Znikają metr, półtora metra pod ziemią i zaczynają się czołgać. Cofnijcie się. - Odpiał granat, wrzucił do dziury i ruszył biegiem. Wybuch był cichy i stłumiony. Ziemia wystrzeliła w górę i zaraz opadła. - Niech mnie kurwa, jeśli wiem - powiedział. Zostawił dwóch ludzi przy dziurze, a sam z pozostałymi wrócił do trupów.

Tu, na południowym zboczu góry patrolowali coś, co nazwać można było drogą. Na długości pięciu kilometrów buldożer był w stanie poszerzyć szlak prowadzący do bazy Echo. Dalej były skały i wąwozy, nie do pokonania przez pojazdy.

Popierdolony przez radio wezwał sierżanta Harmona, który przyjechał dżipem.

- Nie chcę tu tych martwych skurwysynów - powiedział Harmonowi porucznik. - Wywlecście ich stąd. Jeśli na mojej górze są komuchy, to niech się zastanawiają, czy wzięliśmy ich żywcem. Widzicie - zwrócił się do pozostałych - to jest Op Psy: robić kurewski zamęt w głowach komuchów.

Siedział z sierżantem w dżipie i jedli suche racje, aż komuś wpadł do głowy pomysł wykurzenia benzyną tubylca z tunelu - o ile wciąż tam jest.

Trzej wyciągnęli z dżipa do połowy pełną pięćdziesięciopięciogalonową beczkę i potoczyli ją szlakiem do wejścia do tunelu; beczka skręcała na boki, ludzie kleli, wycinali rośliny. Pozostali przyszli popatrzeć. Dwaj przechyliли beczkę nad dziurą, trzeci kolbą swojego M16 uderzył w zakrętkę.

Popierdolony przyszedł natychmiast, jak to zobaczył. Otworzył nieznacznie usta i pokręcił głową, udzielając nagany bez słów.

- Jesteśmy w trakcie procesu eliminacji - wyjaśnił ten z bronią.
- Wayne, twoja broń to nie jest młotek.
- Przepraszam, sir. Chodziło mi o to, że możemy tego żółtego skurwiela wysadzić w powietrze.

Odkręcili zakrętkę i wylali zawartość do dziury, a starszy szeregowiec Wayne, wielki i głupi chłopak z Iowa, usiadł okrakiem na ciemności, zapalił zapalną i upuścił do środka. Siła wybuchu wyrzuciła go w powietrze, wysoko ponad ich głowami. Spadł, łamiąc gałęzie drzew i wyjąc jak artyleria.

- Kto następny? - odezwał się sierżant Harmon.

Dwaj partnerzy Wayne'a pobiegli go szukać. Wrócił pomiędzy nimi, kulejąc.

- Zapomniałeś powiedzieć: „Ogień w dziurze!”.

Nie wyglądał na poważnie rannego. Powiedział tylko:

- Teraz jestem sławny.
- Pułkownik nie będzie zadowolony, żeście rozpieprzyli mu tunel - rzucił Czarny do Popierdalonego.

Popierdolony objął go za ramiona, a sierżant stanął przed nim.

- Ktoś powinien sprawdzić, co jest w tej dziurze.
- Może zejdziesz w dół, Czarny?
- Ja?

- Taa. Skocz i rozejrzyj się.
- Przekonaj się, czy to nie jest ten tunel, z którego nie wyszedłeś.
- Tam nie został żaden tunel, poruczniku, sir.

Popierdolony przyciągnął Czarnego bliżej do siebie i powiedział:

- Wszystkie dzieci Boga mają tunele.
- Ja zejść - odezwał się Kowboj.

Oddział spojrział na niego - wszystkie głowy odwróciły się w jego stronę. Zaraz potem patrzyli gdzie indziej. W górę, w dół, gdzieś w bok.

- Mamy ochotnika - zauważył sierżant.
- Uszczęśliwimy pułkownika - dodał Popierdolony do Kowboja.

Ostatnimi czasy Echo rzadko widywało pułkownika. Nowi mogli tylko z oddali rzucić na niego okiem.

- Czy on jest prawdziwym pułkownikiem? - zapytał Kowboj Harmona.
- No, na pewno nie jest wytworem mojej wyobraźni.
- Co to ma znaczyć?

- To znaczy, że jest prawdziwy, żołnierzu. Gdyby stanął ci na palcach, wrzasnąłbyś.

- Nic o tym nie wiem - powiedział Kowboj. - Częściej siedziałem świętemu Mikołajowi na kolanach, niż widziałem pułkownika. Więc dla mnie nie jest taki rzeczywisty jak święty Mikołaj, no nie?

- Masz. - Sierżant Harmon dał mu swoją latarkę. - Weź zapasową.

Kowboj włączył latarkę i zszedł głową w dół, jak zwykle robiły Franco-wate Mendy.

Kiedy cały zniknął, kiedy nie zostało z niego nic, reszta stała i czekała. Zejście w tę znaną na cały świat tajemnicę musiało wywołać szacunek, jeśli nie dla jego roztropności, to przynajmniej dla poziomu szaleństwa.

Opowiadano, że tunele ciągną się na wiele kilometrów. Były w nich potwory, ślepe gady i insekty, które nigdy nie widziały światła, były szpitale i burdele, i straszne rzeczy, stopy odpadków z potworności popełnianych przez Wietkong, martwe niemowlęta, zabici księża.

- Złapcie mnie za nogi! - krzyknął z dna.

Wyciągnęli go za kostki. Nie był w stanie się odwrócić.

- Jest zawalony na długości mniej więcej dwudziestu metrów - powiedział porucznikowi.

- Nikogo tam nie ma?
- Nie, odkąd wyszedłem - odparł Kowboj.

Obudziła się około piątej w pokoju na tyłach domu. Okna były zamknięte, ale słyszała, jak kojoty skomla i ujadają w oddali, na wschodzie, w kierunku gór Superstitions. Dzisiaj nie ma pracy. Leżała w łóżku i modliła się. Niech Burris wejdzie w nowy rok z lepszymi zamiarami wobec szkoły i niech odnajdzie Pana w swym sercu. Niech Bill odnajdzie radość ze swoich obowiązków i Pana w swoim sercu. Niech James będzie bezpieczny na wojnie i odnajdzie Pana w swym sercu. Kojoty brzmiały jak ranne psy. Wyraźnie denerwowały się na przyście Chrystusa. Niech ich nie będzie słychać. Niech Chrystus pozostanie, póki ostatnia dusza na ziemi nie zostanie zbawiona. Ostatnia zbawiona dusza może być duszą jednego z jej synów. Wszystko na to wskazywało.

Postawiła stopy na podłodze i na koszulę nocną narzuciła flanelową koszulę. Wciąż czarno jak w kominie. Położyła się i jakiś czas później uświadomiła sobie, że znowu zasnęła. Nic jej się nie śniło. Budzik tykał. Fosforyzujące wskazówki pokazywały, że dochodzi szósta. Wstała i poszukała papuci.

W kuchni wlała do miseczki kilka kropel mleka dla kotki. Niech kojoty jej nie dopadną. Ani kocury. Nie potrzebują kociaków... Wciąż ciemno. Burris pół nocy oglądał horrory w telewizji. W żaden sposób nie potrafiła odciągnąć go od zasadzek.

Zapaliła salema od palnika na piecu. Zagotowała wodę na kawę rozpuszczalną i usiadła przy kuchennym stole, składanym karcianym stole, położyła papierosa na popielniczce, jedną dłonią zebrała koszulę przy szyi, drugą podniosła filiżankę do ust. Zielonkawe smugi światła na wschodzie. Okno było brudne. Miała tylko modlitwę. Modlitwę, nescę i salemy. To była jedyna pora dnia, kiedy nie czuła się wariatką.

Rozlała trochę kawy, kiedy zadzwonił telefon. Bóg jest z nami wszystkimi. Podeszła do ściany i uniosła słuchawkę, szukając w sobie słów błagających o łaskę przed tym, co zaraz nastąpi. Sparaliżowana możliwościami, wiedziała tylko, jak powiedzieć:

- Halo.
- Cześć, mamó. Tu James.
- Co?
- Mamó, mówi James. Dzwonię, żeby życzyć ci wesołych świąt Bożego Narodzenia. Chyba trochę się spóźniłem.
- James?

- Tu James, mamó. Wesołych świąt Bożego Narodzenia.
- James? James? Gdzie jesteś?
- W Wietnamie, tak jak przedtem. Jak zawsze.
- Wszystko u ciebie w porządku, James?
- Tak. W jak najlepszym. Jak się wam udało Boże Narodzenie?
- Dobrze się czujesz? Jesteś ranny?
- Nie, nie. Wszystko w porządku.
- Przeraziło mnie, że dzwonisz.
- Nie chciałem cię przerazić, pomyślałem tylko, że się przywitam.
- Ale wszystko u ciebie w porządku.
- Tak, mamó. Nie bój się ani nic. Hej, wysłałem ci przekaz pieniężny.
- Jestem bardzo wdzięczna.
- Przepraszam, że przez jakiś czas nawalałem.
- Wiem, że ci ciężko. Nie liczę na to, tylko mówię, że to dla nas wielka pomoc.
- Na przyszłość bardziej się postaram, naprawdę. Jak minęło wam Boże Narodzenie?
- Dobrze, James, po prostu dobrze. Muszę usiąść. Poczekaj, wezmę krzesło. Przeraziłeś mnie.
- Nie ma powodu do strachu, mamó. Dobrze sobie tutaj radzę.
- Cieszę się, że to słyszę. Dzwoniłeś do Stephanie?
- Stevie?
- Stevie. Dzwoniłeś do niej?
- Mam zamiar zaraz to zrobić. Jest następna na mojej liście dzisiaj wieczorem.
- Która u was godzina?
- Około ósmej wieczorem. W wojsku mówimy, że jest dwudziesta.
- W Phoenix jest osiem po szóstej rano.
- No proszę.
- Idź stąd, skarbie - powiedziała. - Nie ty, mam starego kota.
- Wciąż masz tego starego kota?
- Nie, innego.
- A co się stało z tamtym?
- Uciekł.
- Dopadły go kojoty.
- Tak myślę.

- Więc sprawiłaś sobie następnego.
 - James... - Głos jej się załamał.
 - No, mammo.
 - James.
 - Mammo, nie masz się czym martwić.
 - Mam się czym martwić.
 - Tu nie jest tak, jak myślisz. Tu jest bardzo bezpiecznie. Nie widziałem ani jednej walki. Tylko wychodzę na patrole. Ludzie są przyjacielscy.
 - Są przyjacielscy?
 - Tak, jasne, mammo. Wszyscy są mili.
 - A komuniści?
 - Nigdy żadnego nie widziałem. Nie zbliżają się do okolicy, w której jestem. Za bardzo się boją.
 - Jeśli to kłamstwo, jestem ci za nie wdzięczna.
 - To nie jest kłamstwo.
 - Spodziewam się, że szybko wrócisz do domu. Kiedy?
 - Mammo, dzwonię, żeby powiedzieć, że zaciągnąłem się na kolejną turę.
 - Jeszcze jedną?
 - Tak, proszę pani.
 - Jeszcze jeden rok?
 - Tak, proszę pani.
- Nie wiedziała, co powiedzieć, więc zapytała:
- Chcesz porozmawiać z braciszkiem?
 - Burrisem? Dobra, ale szybko.
 - Ma kłopoty w szkole. Nauczyciele powiedzieli mi, że się włóczy. W jednej chwili tam jest, w następnej znika.
 - Co mówi Burris?
 - Mówi, że nie lubi szkoły. Powiedziałam, żeby jednak chodził. Nikt nie lubi szkoły, w przeciwnym wypadku nie dawaliby jej za darmo.
 - Daj mi go.
 - Śpi. Poczekaj chwilkę.
 - Nieważne. Powiedz mu, że powiedziałem, żeby lepiej podkuilił ogon.
 - Dziękuję, James. Powiem mu, co mówi jego brat.
 - Wiesz, rozmawiam przez radio, więc muszę chyba kończyć.
 - Przez radio?
 - Tak, proszę pani. W bazie.

- Mówisz przez radio? A ja przez telefon!
- Szczęśliwego Nowego Roku, mamó.
- I nawzajem.
- Niech ten nowy rok będzie dla ciebie szczęśliwy, mamó.
- Będzie. Tobie też tego życzę.
- Postaram się. Dobrze, no to na razie.
- Na razie, James. Modlę się za ciebie dzień i noc. Nie słuchaj tego, co mówią. Wykonujesz pracę dla Pana, strzegąc jego wiary w świecie, w którym zapada mrok. To czasy starotestamentowe.
- Wiem. Słyszę cię, mamó.
- Komuniści są ateistami. Zaprzeczają istnieniu Boga.
- Tak mi mówią.
- Zajrzyj do Starego Testamentu. Popatrz, ilu zabito w imię Pana. Zajrzyj do Pierwszej Księgi Samuela, do Księgi Sędziów. Bądź karzącą ręką Pana, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Usłyszała westchnienie.

- Chodzi mi o to, żebyś unioś rękę i poweselał. Codziennie czytaj Biblię. Są wątpiący, protestujący i Bóg wie kto jeszcze. Zdraycy, oto kim oni są. Jeśli słyszysz o takich ludziach, zamknij uszy. Dzięki Bogu nie zbliżają się do Phoenix. Gdybym zobaczyła demonstrację, wsiadłabym w ciężarówkę i przejechała przez tę bandę jak gład zsuwający się po zboczcu.

- Każą mi kończyć, mamó, więc się pożegnam. Pa, pa.

W słuchawce rozległ się szum, który ucichł, gdy James się rozłączył.

- No tak - powiedziała w pustkę.

Wstała i odwiesiła słuchawkę.

Rzadki słoneczny poranek. Nguyen Hao do późna leżał w łóżku i patrzył, jak za oknem sypialni pióra mgły rozwiewają się w promieniach światła. Rozmyślał o znaczeniu zmagania - nie, nie walki z nimi, ale niezłomnego stawiania czoła - ze smokami Pięciu Przeszkód: żądzą, niechęcią, zwątpieniem, lenistwem, zniecierpliwieniem.

Lenistwo przez jakiś czas zatrzymało go w łóżku. Zniecierpliwienie sprowadziło na dół, na małe podwórko przy kuchni, gdzie słońce tworzyło obłoki mgły. W jego ciepłych promieniach ze wszystkiego unosiły się duchy. Budziły się w ceglach, wstawały z głęboką niechęcią, znikwały.

Hao rozłożył białą chusteczkę na kamiennej ławce, usiadł ostrożnie i próbował odnaleźć spokój umysłu.

O wpół do dziesiątej do furtki zapukał Trung. Hao wstał, poszukał klucza i otworzył kłódkę. Teraz Mnich miał fałszywe papiery. Bezkarnie poruszał się po Sajgonie. Wyglądał na zdrowego, wręcz szczęśliwego. Siedzieli razem na marmurowej ławce, jak robili to wiele razy, zdaniem Hao nie czyniąc żadnego postępu. Przełom wciąż znajdował się przed nimi.

- Wszystko dobrze?
- Kim jest chora. Bardziej niż przedtem.
- Przykro mi.
- Rozmyślałem o Pięciu Przeszkodach.
- Ja też czasami o nich myślę. Pamiętasz ten wiersz? „Utknąłem w świecie jak dym rozwiewany na wszystkie strony”.

- Smoki mnie pokonały - powiedział Hao. - Zapędziły mnie tak daleko w świat, że nie potrafię wrócić do ciszy.

Mnich zamyślił się nad jego słowami. Hao nie ponaglał go, zbyt był znużony. Po chwili Mnich powiedział:

- Ja też próbuję wrócić. Chcę znowu odnaleźć ciszę, ale nie potrafię.
- Zaprzestasz prób?
- Myślę, że muszę zakończyć życie, które prowadziłem. Miałem wielki zamęt w myślach.

- Będę szczery. Mnie też zamąciłeś w głowie.
- Krytykujesz mnie, że zajęło mi to tak dużo czasu?
- Wiele razy mówiłem o tobie pułkownikowi. Podejrzewa, że nieuczciwie bierzesz nasze pieniądze. Ale dokonujesz zwrotu. Powtarzałem, że warto cię wspierać, ponieważ zawracasz.

- Pamiętam, jak w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku do mojej wioski przybyli agitatorzy i odczytali przemowę Ho - powiedział Trung. - Młoda kobieta wstała i czytała śpiewnym głosem. Świat współgrał ze słowami Ho. Pięknym głosem dziewczyny Ho mówił o wolności i równości. Cytował amerykańską Deklarację Niepodległości. Zdobył moje serce. Wszystko oddałem. Zostawiłem dom. Rozlewałem krew. Cierpiałem w więzieniu. Czy możesz mnie krytykować za to, że tak dużo czasu zajęła mi zdrada tego wszystkiego?

Hao był wstrząśnięty.

- Przemawiasz mocnym językiem.
- Prawda jest potężna. Ujmij to tak: łaknienie wolności skłoniło ludzi do picia złej wody.

Niezależnie od tego czy kłamał, czy nie, oto była historia, którą pułkownik zrozumie.

- Powtórzę twoje słowa.
- Negocjacje dobiegły końca. Przyszedłem prosić i dać.
- O co prosisz?
- Chcę skończyć z tym życiem. Chcę wyjechać do Stanów Zjednoczonych.

Hao nie wierzył własnym uszom.

- Do Stanów?
- To się da zrobić?
- Oczywiście. Oni wszystko potrafią.
- Więc niech mnie tam zabiorą.
- A co dajesz?
- Cokolwiek zechcą.
- Ale teraz, w tej chwili. Co?
- Mogę ci powiedzieć, że plotki są prawdziwe. W Nowy Rok na całym południu dojdzie do wielkiej ofensywy.

- Możesz podać szczegółowe informacje? Miejsca, pory i tak dalej?
- Niewiele mogę ci podać, bo to głównie akcja prowadzona przez armię. Sajgonem my się zajmiemy. Skontaktowano się z naszą komórką. Będziemy pracować z oddziałem saperów. Rozmieszczają bomby w mieście. Przypuszczalnie podamy im kilka lokalizacji. Jak tylko będę je znał, natychmiast ci je przekażę.

Hao z trudem wydobywał słowa.

- Pułkownik doceni takie informacje.
- Jestem niemal przekonany, że rozkładają miny z myślą o wielkiej ofensywie. Wydaje mi się, że dojdzie do niej dokładnie w święto Tet.

Cztery lata wahań na progu, a teraz sprawa została załatwiona w niecałe dwadzieścia minut. Hao nie potrafił utrzymać rąk w bezruchu. Poczęstował Trunga kolejnym papierosem, sam też wziął, pstryknął zapalniczką.

- Szanuję twoją odwagę. Zasługujesz, żebym powiedział ci prawdę, więc to czynię: pułkownik chciałby wiedzieć, czy mógłbyś zostać podwójnym agentem. Czy wróciłbyś na północ.

- Przypuszczalnie mógłbym wrócić. Istnieje program przerzucania ludzi na północ w celu edukacji i indoktrynacji. Potem mają wrócić do domu, żeby organizować struktury. Biorę udział w tym programie.

- Naprawdę wróciłbyś na północ? Dlaczego?

- Rozpaczliwie pragnę wyjaśnień.
- A co z wyjazdem do Stanów?
- Później.

Po wyjeździe na północ w charakterze podwójnego agenta? Hao wątpił w istnienie jakiegos później. Coś ścisnęło go za serce.

- Od dawna jesteśmy przyjaciółmi - powiedział Trungowi.
- Kiedy nadejdzie pokój, nadal będziemy przyjaciółmi.

Dwaj mężczyźni siedzieli na gładkiej marmurowej ławce i palili.

- Więc wszystko w porządku? - odezwał się Trung. - Przekroczyliśmy granicę.

Z notatek doktora Bouqueta:

Znowu noc, owady głośno brzęczą, ćmy zabijają się na lampie. Dwie godziny temu siedziałem na werandzie i patrzyłem na zmierzch, wypełniony zazdrością wobec każdego żyjącego stworzenia, ptaka, insekta, kwiatu, gada, drzewa, winorośli, które nie musi nieść brzemienia wiedzy dobra i zła.

Sands także siedział na werandzie w upale popołudnia z notatnikiem lekarza na kolanach, w cieniu niszczonego domu pełnego szyfrów, archiwów, słów, odnośników i odnośników do odnośników, studiując nieczytelną linię w zapiskach, bo pośpiesznie zamknięty zeszyt rozmazał mokry atrament. Nieważne, w którą stronę odwracał kartę -

Lkjflkjlsd kjlsfl Lkjfkjl sdkjsfl Lkjflkj

Dziwne jest to, że ci, którzy podróżują przez ten region, jakby ogarnięci sennym paraliżem zamykają swoje zmysły po to, by pozostać nieczułymi na wszystko dokoła.

Kiedy Natura przez dziwny kaprys nagle portretuje w głazie ciało człowieka poddawanego torturom, na początku możesz pomyśleć, że to tylko przypadek i że ten przypadek nic nie znaczy. Ale kiedy w trakcie dni spędzanych na koniu widzisz, jak ta sama inteligentna sztuczka się powtarza, *a Natura uparcie wyraża tę samą ideę*; kiedy ta sama żalotna forma powraca; kiedy głowy znanych bogów pojawiają się i kiedy wynurza się temat śmierci, za którą człowiek uparcie płaci cenę; kiedy

na pozbawioną członków postać człowieka odpowiedzią są postaci
owych - *stają się mniej mgliste*, bardziej oddzielone od kamieniejącej
materii - bogów, którzy zawsze go dręczyli; kiedy cały region ziemi
tworzy filozofię paralelną do filozofii zamieszkującego go ludu; kiedy
wiesz, że pierwsi ludzie używali języka znaków, i kiedy odkrywasz, że
język ten uległ powiększeniu w skałach; wtedy z całą pewnością nie
myślisz już, że to tylko przypadek i że ten przypadek nic nie znaczy.

1968

Na trzy tygodnie przed planowym zwolnieniem z marynarki Bill Houston pobił się z Murzynem w kuchni w bazie Yokosuka, gdzie z trzema innymi marynarzami skierowano go do pomalowania ścian. Houston nieodmiennie atakował nisko i szybko, lewym ramieniem uderzając przeciwnika w brzuch, prawą ręką podcinając mu kolano i przewracając tak, że lądował na nim i z całą siłą wbijał mu bark w splot słoneczny. Ćwiczył też inne posunięcia, jako że uważał umiejętność bicia się za bardzo ważną, ale to otwarcie zwykle okazywało się skuteczne w starciu z twardymi facetami, tymi, którzy nie zamierzali ustąpić i podnosili pięści. Murzyn zaczął od ciosu w czoło Houstona rzucającego się ku jego nogom; Houston zobaczył gwiazdy i tęczę, kiedy obaj padali na pięciogalonowy pojemnik z farbą, którą rozchlapali po całym pomieszczeniu. Nigdy wcześniej nie bił się z czarnym. Brzuch tego gościa był twardy jak hełm, już czołgał się w bok, kiedy ślizgali się po płytkach w coraz większej kałuży regulaminowej zielonej emalii. Houston próbował odzyskać równowagę, tamten natomiast skoczył lekko jak kukielka i wymierzył kopniaka, którego czaszka Houstona uniknęła tylko dlatego, że facet się pośliznął i przewrócił w farbę, wystawiając lewą rękę, by złagodzić upadek. Tylko że dłoń też mu się pośliznęła i popełnił błąd, bo przekręcił się na plecy, usiłując wstać, a wtedy Houston zdążył się już pozbierać i z rozpędu obunóż skoczył mu na brzuch. Ten manewr znany był pod nazwą „kopnięcie mustanga”, powszechnie uważano, że kończy się śmiercią, ale Houston nie miał pojęcia, co innego mógłby zrobić, a poza tym choć „kopnięcie mustanga” zakończyło burdę i przyniosło Houstonowi zwycięstwo, czarnemu tylko zaparło dech. Sześciu ludzi z Patrołu Przybrzeżnego aresztowało walczących, dwa zielone dwunożne stwory, obecnie nie do rozróżnienia pod względem rasy. Kiedy żandarmi wycierali ich z farby, kładli brezent na

siedzeniu dżipa i skutych wyprowadzali, Houston postanowił, że jeśli wylądują razem w pace, będzie unikał rewanzu. Wprawdzie rozłożył faceta na łopatki, ale to on miał wielkiego sinego guza pomiędzy oczami, teraz ukrytego pod farbą.

- Co było powodem tej bójki? - zapytał żandarm.
- Nazwał mnie głupim dupkiem - odparł Houston.
- A ty nazwałeś mnie czarnuchem - powiedział tamten.
- To było w czasie bójki - stwierdził Houston - więc się nie liczy.

Wciąż podnieceni po walce, dumni, szczęśliwi, darzyli się wzajemnie sympatią.

- Nigdy więcej tak do mnie nie mów - powiedział czarny, a Houston odrzekł:

- Nie miałem takiego zamiaru.

W taki oto sposób marynarz Houston dostał wcześniejsze zwolnienie ze służby, a ostatnie dziesięć dni spędził nie jako żołnierz, ale więzień w areszcie Bazy Marynarki Wojennej w Yokosuka.

W dniu zwolnienia otrzymał bilet na przelot cywilnym samolotem do Phoenix. Powietrzna podróż wprawiła go w przygnębienie. Przysiągł sobie, że to pierwszy i ostatni rejs samolotem w jego życiu. Na lotnisku w Los Angeles zgniótł bilet do Phoenix i wrzucił do popielniczki, w męskiej toalecie przebrał się w mundur i jako marynarz z workiem na ramieniu pojechał stopem do domu przez styczniową czystość pustyni Mojave. Dotarł na przedmieścia Phoenix wcześniej, niż się spodziewał. Teraz miasto było większe, opony jęczały na międzystanowej dziesiątej, nad głowami huczały schodzące do lądowania odrzutowce, połykujące światłkami w błękitnym pustynnym zmierzchu. Która godzina? Nie miał zegarka. A właściwie jaki to dzień? Houston stał na skrzyżowaniu Siedemnastej i Thomasa pod stłuczoną uliczną latarnią. Miał trzydzieści siedem dolarów. Miał dwadzieścia dwa lata. Od prawie miesiąca nie miał w ustach piwa. Z braku planu zadzwonił do matki.

Tydzień później siedział w matczynej kuchni i pił kawę rozpuszczalną, kiedy zadzwonił telefon: jego młodszy brat James.

- Kto mówi? - zapytał James.
- Kto powiedział „kto mówi”?
- No, ja.
- Jak tam cipki w Sajgonie?

- Domyślam się, że mamy koło ciebie nie ma.
- Chyba wyszła do pracy.
- To u was nie jest szósta rano?
- Tu? Nie. Dochodzi ósma.
- Nie jest szósta rano?
- Była. Teraz jest ósma.
- Co ty tam robisz o ósmej rano?
- Siedzę w bokserkach i piję nescafé.
- Skończyłeś z marynarką?
- Ja skończyłem z nimi, oni ze mną.
- Mieszkasz u mamy?
- Tylko ją odwiedzam. Gdzie jesteś?
- W tej chwili? W Da Nang.
- Gdzie to jest?
- Głęboko na dnie wiadra z gównem.
- Nie widziałem cię od Jokohamy rok temu.
- Taa, racja.
- Śmieszna rzecz.
- Taa.
- „Nie widziałem cię od Jokohamy”.
- No... - powiedział James i zapadła chwila ciszy.
- Masz jakieś dupy? - zapytał Bill.
- O, tak.
- I jak jest?
- Mniej więcej tak, jak myślisz.
- Wiesz, że twoja dziewczyna tu była? - zapytał Bill.
- Kto?
- Stephanie. Dziewuszka, z którą chodziłeś. Taa. Złożyła nam wizytę.
- I co z tego?
- Zaprzętała starej kobiecie głowę z twojego powodu.
- Na jaki temat?
- Mówi, że do niej nie piszesz. Chce wiedzieć, co u ciebie.
- Mieszkasz tam teraz czy co?
- Pomyślałem tylko, że powinieneś wiedzieć. Więc teraz wiesz.
- Więc wiem. Co nie znaczy, że mnie to obchodzi.
- Śmieszny z ciebie gość. Taa, bardzo się przejęła, że znowu się zaciągnąłeś.

- Mieszkasz tam na stałe?
- Będę tu kilka dni, zanim znajdę robotę.
- Powodzenia.
- Dzięki.
- Gdzie mama? W pracy?
- Taa. Która jest u was godzina?
- Gównno mnie to obchodzi - odparł James. - Jestem na przepustce. Trzy dni.

- Musi być siedemnasta albo osiemnasta.
- Gównno mnie to obchodzi. Przez te trzy dni.
- I już jest jutro, no nie?
- Nigdy nie jest jutro, nie w tym pierdolonym kinie. Zawsze jest tylko dzisiaj.

- Widziałeś walkę?
- Byłem w tunelach.
- I co widziałeś?

Brat nie odpowiedział.

- A co z walką? Brałeś udział w bitwach?
- Nie takich, jakie masz na myśli.
- Naprawdę?
- One zawsze toczą się gdzieś dalej, nigdy tam, gdzie jestem. To znaczy na lądowisku widziałem martwych facetów, rannych facetów, facetów porozrywanych na kawałki.

- Nie pierdol.
- Taa. Więc tak, ta kurewska wojna ciągle się toczy. Ale tutaj nigdy nie dociera.

- Przypuszczalnie masz szczęście.
- Chyba tak.
- Co jeszcze? No, mów.
- Co jeszcze? Nie wiem.
- No, bracie, opowiedz mi o tej dupeczce.

Głos młodszego brata przycichł, odbijając się echem na przewodach, siedem, osiem tysięcy mil dalej. Czyjkolwiek głos. Mówił o jednym:

- To wszędzie tu jest, bracie Billu. Spada z drzew. Mam jedną, trzymam ją w chacie we wsi. Nigdy nie widziałem nikogo takiego jak ona, nigdy. Kiedy jestem na niej, dupą nigdy nie dotyka łóżka. Nie może ważyć więcej niż czterdzieści kilo, ale podnosi mnie prawie pod sufit. Na śniadanie musi

pić paliwo atomowe. Słuchaj: nie wydaje mi się, żebym zdołał pokonać ją w walce.

- Ja pierdolę. Ja pierdolę, mały Jamesie. Nie wiem, jak uda mi się kogoś tutaj przelecieć. Nie wiem, jak rozmawiać z białą kobietą!

- Lepiej wróć do marynarki!
- Nie wydaje mi się, żeby mnie przyjęli.
- Nie? Nie przyjmą?
- Wygląda na to, że trochę się mną zmęczyli.
- No... - powiedział James.
- Taa...

Podczas chwil milczenia w słuchawce rozlegał się szum, z którego niemal można było wyłowić inne głosy.

- Co u starego Burrisa?
- Wszystko u niego w porządku. Śmieszny z niego facecik, taki jak ty.
- Mama dobrze sobie radzi?
- Dobrze.
- Biega z Jezusem.
- Jasne. Dostałeś moją kartkę, którą wysłała?
- Kartkę? Taa.
- Byłem w więzieniu, kiedy ją posłałem.
- Ho, ho.
- Taa...
- Słuchaj, nie mów Stevie, że dzwoniłem.
- Stephanie?
- Taa. Nie mów jej, że ze mną rozmawiałeś.
- Mówi, że nie odpisujesz jej na listy.
- Wszyscy pozostali myślą tylko o dziewczętach w domu, tylko o nich

myślą.

- A ty o czym myślisz?
- O dupęńce na boku.
- O dupęńce z burdelu. Dupęńce, za którą płacisz.
- Nic za darmo, bracie Billu.

Martwi faceci, faceci porozrywani na kawałki. W tej sprawie James mógł kłamać. Niewykluczone, że w rozmowach z drugim końcem ziemi odczuwał przymus, by przedstawiać warte opowiedzenia przeżycia. Bill Houston słyszał, że rzadko dochodzi tam do bezpośrednich starć. Nie takich jak na Iwo

Jimie, nie takich jak bitwa o Ardeny. Bill Houston nie widział sensu w wytykaniu mu tego kłamstwa. James przestał być jego małym stukniętym bratem. Nie nadawał się do traktowania z góry i pokazywania mu, gdzie jego miejsce.

- Muszę kończyć, bracie Billu. Powiedz mamie, że ją kocham.
- Powiem. A co z tą Stevie?
- Mówiłem - powiedział James. - Nie wspominaj o mnie.
- Dobra.
- Dobra.
- Pilnuj głowy, James.
- Nigdy jej nie podnoszę - odparł James i w słuchawce zapadła cisza.

Minął niemal cały styczeń, zanim Bill Houston znalazł pracę w wiejskich terenach pod Tempe, niedaleko Phoenix. Wynajął pokój na South Central Street, za który mógł płacić codziennie, raz na tydzień albo raz na miesiąc, i dojeżdżał autobusem. Od wtorku do soboty o dziesiątej wieczorem docierał pod bramy Tri-City Redimix, firmy handlującej piaskiem i żwirem, by wypełniać obowiązki nocnego sprzątacza. O wpół do jedenastej ostatni pracownik z drugiej zmiany opuszczał teren i Bill, odłożywszy na bok obowiązkowy kask, władał piętnastoma akrami pustyni: górami kruszonych skał posortowanych według wielkości, tak że każda w zdumiewający sposób usypana była z zadziwiająco jednakowych elementów, począwszy od kamyków wielkości pięści, na piasku skończywszy. Z pierścienia sączył się strumyk drobniotkiego pyłu, tworzący stos na końcu długiego na jakieś sześć metrów tunelu; po każdym odrzuceniu łopaty Bill ze wstrzymanym oddechem przesuwiał się przez wąski otwór ku odległej żarówce w półkuli z drutu kolczastego, obłok kurzu unosił się na zwolnionych obrotach, kiedy wbijał ostrze w stos, po czym ostrożnie cofał się i wyrzucał zawartość łopaty na zimne prądy okrążające ziemię. Szlauchem z wodą pod wielkim ciśnieniem mył betonowe koryta pod taśmą z kruszywem i każde skrobał do czysta płaską szuflą. Nocami na niebie płonęły gwiazdy, poza tym było zimno i pusto. Żeby nie zmarznąć, wszędzie rozstawił żarzące się pięćdziesięciopięciogalonowe zbiorniki z piaskiem nasączonym olejem napędowym. Robił turę w labiryncie taśmociągów pod gargantuicznymi zgniataczami i nigdy nie docierał do końca. Następnego dnia wieczorem były te same taśmociągi, te same sekwencje ruchów, nawet te same kamyki i skały, to miało sens, i ten sam zimny burger na wynos przy zakurzonej stole w przyczepie szefa o drugiej nad

ranem; w ciasnym kibelku mył najpierw dłonie i twarz, potem zarośnięty jak u niedźwiedzia kark, wciągał wodę nozdrzami i wydmuchiwał kurz niezdro-
wymi grudkami. Niedługo po posiłku samotne koguty na sąsiednich małych
farmach zaczynały wrzeszczeć jak ludzie, tuż przed szóstą wschodziło słońce
i zamieniało okoliczne aluminiowe dachy w pochodnie. O wpół do siódmej,
kiedy Houston wychodził, przyjeżdżali kierowcy, ustawiali swoje ciężarówki
jedna za drugą i podjeżdżali pod największą rurę, gdzie dygocząc w rytm
silników czekali, aż mokry cement spadnie kaskadą do cysterny, po czym
ruszali kłaść podwaliny miasta. Houston szedł półtora kilometra na przysta-
nek autobusowy i czekał tam, okryty od stóp do głów kurzem, postrzegany
sentymentalnie przez chuliganów z liceum, którzy ze swymi zadowolonymi,
dość kurewskimi dziewczynami jechali na lekcje, własną dzienną porcją
udręki, i palili wspólne papierosy. Houston pamiętał, jak sam to robił, a póź-
niej w męskiej toalecie... nic nigdy nie dorównało słodyczą tym pośpiesz-
nym, przegrzanym sztachom... ukradzionym całemu światu... W swoim sercu
- podobnie jak było w przypadku liceum - Bill zrezygnował z tej pracy
pierwszego dnia, ale nie miał dokąd pójść.

Popierdolony zatrzymał dżipa, gestem wzywając jednego z nowych. Nowy
podbiegł do dżipa, po czym wrócił objuczony dwoma postukującymi o siebie
magazynekami. Rzucił je Jamesowi do stóp i zawrócił do dżipa, mówiąc:

- On mnie woła.
- Do czego ta cała amunicja?
- Niech mnie szlag, jeśli wiem! Woła mnie! - Nowy podszedł do dżipa

Popierdolonego, wysłuchał i wrócił, objuczony dwoma kanistrami.

- Spalić je, spalić, spalić!
- Co?
- Spalić chaty! Mówi, że mamy je spalić.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Kurwa, coś się tam dzieje.
- To znaczy?
- On mówi, że to atak!
- Gdzie?
- Nie wiem!

James zacisnął dłonie na uchwycie, podczas gdy panika powędrowała mu
z czaszki przez kręgosłup prosto do dupy. Zanieśli kanistry do chaty, polali ją

paliwem. Gdzieś znad wzgórza dobiegały dudniące, powtarzające się wybuchy.

Nowy szeregowiec wyjął zapalniczkę zipo, iskra zapaliła opary, eksplozja rzuciła ich do tyłu, ale nie była tak głośna jak wybuchy z drugiej strony wzgórza.

- To wszystko, stary, to wszystko jest rozpaczliwe i pojebane.

James okrążył jedną chatę, potem drugą, chlustając benzyną, aż kanister był pusty. Rzucił nim w płonący dom, ogień odnalazł go, rozpałił opary w środku, pojemnik donośnie gwizdnął, zawirował, podskoczył.

- Widziałeś? - wrzasnął James, ale słomiany dach palił się tak głośno, że ledwo siebie słyszał. - Dlaczego to robimy?

- Niech mnie szlag, jeśli wiem!

- A jak się nazywasz?

- Niech mnie szlag, jeśli wiem!

- To wszystko jest zdrowo pojebane - powiedział James, ale nie usłyszał własnego głosu. W pobliżu dudniła kanonada. Nad ich głowami przeleciał hałaśliwy helikopter, zrzucając rakiety po obu stronach strumienia, poza zasięgiem wzroku - James był pewien, że tam nie było ludzi ani zabudowań. Z ziemi podniósł się czarny dym i pomarańczowy płomień. Czy kiedykolwiek widział tam ludzi? Może są pod ziemią. Mieli pecha, teraz palą się żywcem.

- Psycho-deliczne! - wrzasnął szeregowiec.

Zabudowania błyskawicznie runęły. James zjrzał do płonącej chaty. Była pusta, nie pozostały w niej nawet śmieci ani stara paczka papierosów. Dach zaczął się zapadać, więc James szybko się wycofał.

- To prawdziwe gówno, człowieku - wyjaśnił szeregowcowi - bo ich znaliśmy. To znaczy widziałem tych ludzi. Często tędy przejeżdżamy.

- Wciąż mam benzynę.

- Zawróćmy do tamtych chat.

Schyleni pobiegli do chat stłoczonych w niewielkiej dolince.

Nie było w niej śladu życia.

- Do jasnej cholery, gdzie są nasi chłopcy?

- Niech mnie szlag, jeśli wiem - powiedział szeregowiec.

- Idź i powiadom sierżanta.

- Nie pójdę na tamto wzgórze, tam strzelają!

- Stamtąd idzie ogień?

- Jasne. Zastrzelą mnie jak żółtka.

- Myślałem, że ogień idzie ze wschodu.
- Kurwa, strzelają naokoło.

Schylony Harmon przybiegł na krawędź dolinki. Kiedy znalazł się obok nich, wyprostował się.

- Wy dwaj okopcie się tutaj.
- Co się stało? Wygląda na to, że trafiliśmy w ogień.
- Wystrzeliliście ze swojej broni? - zapytał sierżant.
- Nie.
- W takim razie nie byliście w ogniu.
- Kto to był?
- To mogli być nasi pierdoleni chłopcy!
- Atakują całą górę.

Donośne wybuchy dobiegły ze zbocza.

- Co to?
- Moździerze?

Na wschodzie huknęło coś jeszcze głośniej.

- Co to było?

Gdzieś z tyłu kolejne eksplozje.

- Gdzie oni są?

Dookoła nas. To moździerze - powiedział sierżant. - Słuchajcie uważnie. Macie cię tu okopać. Słyszycie?

- Tak - odpowiedział nowy.

Jesteśmy w środku gówna. Jeśli zrobimy to dobrze, możemy się wycofać, możemy przejść skrótem na zachód i zwiąć za ich plecami na szczyt. Chcę, żeby oba końce były zabezpieczone, kiedy po cichu wycofamy się ze środka. Jeśli zamkną nam drogę od zachodu, jesteśmy ugotowani. Od wschodu też. Z obu stron. Macie osłonę ze swojej zachodniej strony i osłaniacie zachód, rozumiecie? Jak komuchy obejdą wzgórze, nie uciekajcie. Słyszycie?

- Tak, tak.

Sierżant rzucił pęk magazynków na dwadzieścia kul.

- Strzelajcie z półautomatycznego. Słyszycie?

- Tak. Przyjąłem.

Będzie więcej ataków. Zostańcie tu. Nie ruszajcie się, w przeciwnym wypadku nasze własne rakiety odstrzelą wam dupy.

- Przyjąłem. Przyjąłem.

- Jeśli zrobimy to dobrze, obejdziemy ich od tyłu i bezpiecznie wej-
dziemy na szczyt. Kiedy odpalę flarę. Jak zobaczycie moją flarę na zachod-
zie, ruszajcie na szczyt do bazy. Tylko po mojej flarze.

Położył dłoń na ramieniu Jamesa i tak długo nim potrząsał, aż James po-
wiedział:

- Przyjąłem. Jak odpalisz flarę.

Sierżant z powrotem ruszył na zachód, w dół strumienia.

Na południowej stronie chaty, w jej cieniu, powiększyli rów łopatkami,
kuląc się przy każdym wybuchu moździerzy i artylerii. Były potężne jak
największy grzmot, który James słyszał w życiu.

- Robię to sto razy szybciej niż na szkoleniu - powiedział szeregowiec.
Wskoczyli do dziury. - Niech mnie szlag, jeśli wiem... daj mi M&M.

W pasie zamiast jednego ładunku z amunicją James nosił torebkę M&M.

- Daj mi trochę - powiedział szeregowiec.

- Dam, jak przestaniesz mówić „Niech mnie szlag, jeśli wiem”.

- To taki nawyk. Aż tak często tego nie mówię.

- Mów „O ile wiem”, „Jezu Chryste” albo „Pocałuj mnie w dupę”.

Wprowadź jakieś urozmaicenie.

- Przyjąłem, kapralu.

- Jak się nazywasz?

- Nash.

- Kurwa! - wrzasnął James. Pociski przebiły chaty, na wszystkie strony
rozrzucając słomę.

Odbył szkolenie podstawowe, obchodzenia się z bronią, postępowania w
dżungli, szkolenie nocne, szkolenie przetrwania, uników i ucieczki, ale teraz
dowiedział się, że nikt w żadnym razie nie mógł go wyszkolić w żaden liczą-
cy się sposób i że jest już martwy.

Zniżył głos.

- Nie mają szesnastek - powiedział. - To na pewno kałasznikowy. -
Bzyk, bzyk, bzyk, pociski nad głowami jak jadowite owady, bzyk, bzyk.
Kurz i kawałki słomy wirujące w powietrzu. Liście z palmowego zagajnika
spadły tylko kilka metrów dalej.

- Wszystko zabijają! - powiedział Nash.

- Nie wiedzą, że tu jesteśmy, więc się zamknij, dobra?

Żaden z nich nie odpowiedział ogniem.

Od zachodu rozległa się kanonada z broni automatycznej.

- OSŁANIAJ MNIE, OSŁANIAJ MNIE, OSŁANIAJ MNIE, OSŁANIAJ MNIE! - krzyczał ktoś. James wstał i zobaczył Czarnego zbiegającego do dolinki od zachodu. Teraz wrzeszczał: - STRZELAJ! STRZELAJ! STRZELAJ!

James otworzył ogień w kierunku wschodnim. Czarny niósł na ramieniu karabin maszynowy M60, a za sobą włókł pięćdziesięciokilogramową skrzynkę z nabojami. Zanurkował do okopu prosto na nich, po czym rozwalil im bębni w uszach, wrzeszcząc:

- Nikt nie przejdzie przez to kurestwo! - Ukląkł i zaczął strzelać, wysoko nad nim w niebo tryskały strumienie ziemi. Wyrównywał nawis nad dolinką jak buldożer. - Panowie, mam dość amunicji, żeby wybić cały rodzaj ludzki.

Nigdy więcej nie nazwę nikogo czarnuchem, przysięgł sobie w duszy James.

Kciukiem nacisnął przełącznik i automatycznie wypuścił cały magazynek. Wyżej na zboczu znowu odezwały się moździerz.

- Wierzysz w to?
- Kurwa, co jest? Co jest, kurwa?!
- Sierżant powiedział, że atak jest na całą górę!
- Ludzie to się nie umieją zachować - oznajmił Czarny. - Zwykle nie atakują w biały dzień.

- Niech mnie szlag - powiedział James.

- Co jest?

- Nie wiem. Rozśmieszasz mnie.

- Ty mnie rozśmieszasz.

- Czemu się śmiejecie?

Nie potrafili przestać. Cała ta sprawa. Człowiek czuł się tak szczęśliwy, że nie potrafił przestać się śmiać.

- Niech mnie szlag, jeśli wiem! - Teraz śmiali się we trzech. Przeladowali i strzelali, James wykorzystał dwa następne magazynki. Wreszcie Czarny krzyknął:

- PRZESTAŃCIE PRZESTAŃCIE PRZESTAŃCIE PRZERWIJCIE OGIEŃ KURWA!

W najbliższej okolicy panował spokój, choć wyżej na zboczu wciąż było słychać moździerz.

- Daj mi M&M - powiedział Czarny.
- Jasne, do diabła. - James rzucił mu całe opakowanie. Czarny otworzył je zębami i zaczął szybko żuć.

Spod krzewów, które kilka minut wcześniej kanonada rozerwała na kawałki, rozległo się popiskiwanie.

- Co to jest? Wiewiórka z Wietkongu?
- Małpa.
- Gibon - powiedział James.

Czarny uśmiechnął się, odsłaniając pomazane czekoladą zęby.

- Jest flara. Idziemy.
- Dokąd?
- W górę.
- Idziemy w górę? Nie ma żadnego w „górze”.
- Ruszamy, jak moja broń wystygnie. Teraz nie da się jej dotknąć.
- Co tu się dzieje?
- Dotknij. Usmażysz sobie palec.
- Nie będę dotykał tego gówna.
- Załadujcie następny magazynek - powiedział Czarny. - Musimy iść w górę.

- Człowieku, tam są mózdzierze.
- Musimy iść. Wstawajcie.

Czarny ruszył w górę z gigantycznym karabinem maszynowym na ramieniu, jakby to był kilof górniczy; niósł go na poduszce z oliwkowego ręcznika i trzymał za podstawę. Za Czarnym szedł Houston, za Houstonem Nash.

Nad nimi na tarasach ciągnęły się pola ryżowe. Wzdłuż rowów wspinali się w górę.

Nie wiadomo skąd nadleciały pociski, szarpiąc małe pędy i z pluskiem wpadając do wody.

Bez słowa przebiegli przez groblę, padli na suchy brzeg i zaczęli się czołgać, aż znaleźli rów, w który skoczyli, żeby uciec przed tym, kto chciał ich zabić.

- Nie rozumiecie! - powiedział Nash. - Nie jestem na to gotowy. Przyjechałem dopiero trzy dni temu!

- Ja zacząłem drugą turę - odparł James. - Nie wiem, kto z nas jest głupszy.

Mijali płonące chaty i opuszczone wioski, nigdzie nie widząc ludzi. Tą

całkowitą nieobecnością zdawali się tym dobitniej sugerować swoje istnienie. James i pozostali usłyszeli strzały, po jakimś czasie głos krzyczący w obcym języku. Dotarli do wioski, którą mieszkańcy opuścili ledwo kilka minut temu. Zostawili nawet zwierzę pilnujące ogródka, kozła z wyciągniętym karkiem, jakby podstawał głowę pod ofiarny nóż, ale on tylko srał. W samym środku wojny.

Trzej żołnierze szli w stronę szczytu.

Do zachodu słońca trawersami przemierzyli siedem kilometrów po zboczu góry pełnej ludzi, którzy próbowali ich zamordować. James odnosił wrażenie, że wspinaczka trwa sekundy. Niebo było różowe i fioletowe, gdy do bazy zostało im pół kilometra. Dochodząc do jej obrzeży, zobaczyli leżącą postać w amerykańskim mundurze, rozerwaną na pół, prawie bez głowy. James nie był pewien, czy to ciało, ponieważ nikt nawet na nie nie patrzył.

Koło lądowiska oddział medyczny czekał na powrót helikoptera, który poleciał na miejsce ostrzału.

- To mogły być tylko flary - wyjaśnił Czarnemu kapral. - Jeden się przedarł i trzeba było go wykopać.

Nikt nie wspominał o trupie. James został z Czarnym i Nashem. Siedzieli na workach z piaskiem i spoglądali na zbocze, którego pokonanie szalonym zygakiem zajęło im pięć godzin. Wschodnią dolinę pokrywał chłodny cień.

- O co tu chodziło?
- Nie mam pojęcia.
- Zaatakowali nas. Jesteśmy ich wrogami.
- Nie jestem niczym wrogiem.
- Nie chcę być przyjacielem, wrogiem ani niczym.
- Gdzie jest sierżant?
- Gdzie jest Echo?

Podszedł do nich kapitan, którego James nigdy dotąd nie widział. Od stóp do głów był czerwony od kurzu, żuł niedopałek cygara i mrugał często, by pot spływający z czoła nie zalał mu oka.

- To jest stała baza. - Od jego głowy odbił się owad. - Cały rejon ma być bezpieczny. - Owad zawirował, odzyskał równowagę i odleciał.

- Kapitanie, szukamy sierżanta Harmona.
- Gdzie jest pluton Echo?

Kapitan wskazał Czarnego i jego broń.

- Znajdź pozycję dla tej sześćdziesiątki.

Poszedł. Trzech zwiadowców siedziało bez ruchu.

Żołnierz o wyglądzie hippisa, z długimi wąsami i niebieską bandaną na głowie, przyniósł im gorące posiłki w menażkach ustawionych jedna na drugiej. Podziękowali mu szczerze, choć Nash powiedział:

- Masz wąsy jak gąsienica.

Wobec otaczających go mężczyzn James czuł niezwykle głęboką życzliwość. Sanitariusz powiedział, że jeden zginął podczas ataku mózdzierzy.

- Widziałem tego faceta! - odparł James. - Widziałem trupa. Ale myślałem, że to coś innego.

- Coś innego? A co innego to mogło być, człowieku?

- Racja - potwierdził Czarny - widzieliśmy go.

- Dalej tego nie łapię - powiedział James. Wciąż nie potrafił ustalić, czy brał udział w walce. - Zaatakowano całą górę?

Wysilił pamięć, by sporządzić jakiś opis tego popołudnia. Wszystko było bardzo jaskrawe i chaotyczne. Wiedział jedno. Nigdy nie poruszał się tak błyskawicznie ani nie czuł się tak pewny tego, co robi. Wszystkie bzdury spłonęły na popiół.

Wyglądało na to, że atak się zakończył. Nie dało się tego wyjaśnić. Żadne działania partyzantów nigdy dotąd nie burzyły spokoju tej góry. Nieoczekiwanie ludzie z zachodniego zbocza zdematerializowali się, a potem ci z Wietkongu także zniknęli jak dym. James usiadł w kucki i jadł kielbaski z fasolą. Mundur wciąż miał mokry od potu. Zauważył, że Nash także jest całkiem przemoczony.

- Jak ci leci? - zapytał.

- Świetnie, stary - odpowiedział Nash. - Czemu? Nie wierzysz mi?

Kompletnie zaskoczony James mógł tylko powiedzieć:

- Taa, wierzę ci. Jasne. Taa.

- Jaja mi się pocą, to wszystko - stwierdził Nash. - Nie posikałem się.

O zmierzchu sanitariusze poprowadzili ich krętą ścieżką do wąwozu, gdzie myli się rozebrani do pasa chłopcy. Ktoś przysiadł na brzegu, wykręcając skarpetki nad błotnistym strumieniem. Wszyscy byli naładowani, śmiali się, pokrzykiwali. Bez butów, bez koszul - zgoda na kąpiel musiała oznaczać, że jest po wszystkim, że teraz na pewno są bezpieczni. W zmierzchającym świetle James czuł się oszołomiony i szczęśliwy, nawet te zamazane młode twarze, na które patrzył, przekazywały mu przesłanie o braterskiej miłości.

- Wy, chłopaki ze zwiadu, mało ze sobą nosicie.

Ten, co mówił, chyba był nowy; nie miał pojęcia, że Echo to żart. Istotnie mało ze sobą nosili. James wielki plecak zamienił na mały, w którym miał ponczo i łopatkę, siedem magazynków z dwudziestoma pociskami, kilka sentymentalnych talizmanów - kondomy, cukierki, kości - pojemniki ze środkiem owadobójczym oraz nasączone nimi bandany. Uznał, że mniej boli pragnąć czegoś, niż wlec to coś ze sobą.

- No, wojna się skończyła - powiedział ktoś. - Idę na dół do wsi na małe rżniętko. W Tet kurwy dają za darmo.

- Co to jest Tet?
- Nowy rok tych pieprzonych Wietnamców. Dzisiaj jest Tet.
- Jutro. Dzisiaj jest trzydziesty stycznia, stary.
- Kiedy?
- Dzisiaj. Jezu.

Jeden z trepów z ładowiska wpadł na polanę ze słowami:

- Cholera! Cholera!

James uświadomił sobie, że sam przypuszczalnie tak wygląda: spocony, brudny, z rozbieganim wzrokiem.

- Niech to szlag! Niech to szlag! - powtarzał chłopak. Pobiegł na krawędz polany i stanął twarzą do fioletowej dali, cieni rzucanych przez góry. - Niech to szlag!!!

- Ale co? - zapytał jeden z jego kumpli.

Chłopak wrócił i usiadł, kręcąc głową. Ujął obie dłonie przyjaciela w jakimś zagranicznym geście serdecznego powitania.

- Niech to szlag, zabiłem człowieka.

- No tak. Cholera.

- To się niczym nie różni od strzelania do jeleni.

- Zastrzelełeś kiedyś jelenia?

- Chyba pomieszało mi się z filmami. Ale to było tylko pif i po wszystkim.

- Nie wygląda na to, żeby było po wszystkim, Tommy.
- Hej, połowa jego czaszki wyleciała w powietrze. Jeszcze ci mało?
- Daj sobie z tym spokój. Tracisz panowanie nad sobą.
- Jasne - odparł Tommy. - Muszę dać sobie z tym spokój.
- Hej, puść mi ręce, ty głupku.

James także kogoś zabił. Zobaczył błysk z lufy, rzucił granatem w mały ogródek, a po wybuchu dwa komuchy wywlekły stamtąd człowieka, który

wcale nie wyglądał na żywego. James był taki zszokowany, że nie strzelił do dwóch ocalałych. Którzy mogli, choć nie musieli, być komuchami.

Miał pięć magazynków na dwadzieścia naboji, a porucznik przyniósł kolejne dwadzieścia osiem. Wystrzelał ponad trzysta pocisków, rzucił dwa granaty, przebył dziesięć kilometrów i zabił człowieka, który przypuszczalnie był z Wietkongu.

Inni patrzyli, jak Tommy z kieszeni na piersi wyjmując papierosa i zapalniczkę. Zapalił, wydmuchał dym w jakiś władczy sposób i zapytał przyjaciela:

- Zabiłeś kogoś?
- Myślę, że tak.
- Kogo?
- Nie wiem, kogo. Kurwa, skąd niby mam to wiedzieć?

James odsłużył rok, nikogo nawet nie raniąc, a teraz ledwo podpisał kolejny kontrakt, dokoła ludzie padają martwi - a ten gość, Tommy, śpiewa o tym szczęśliwą piosenkę.

Sanitariusze z kilkoma innymi weszli między drzewa i wkrótce zapach skrzęta uniósł się w powietrzu, ale to było w porządku, niech rozwalają sobie umysły, to jest wojna.

Przesuwające się na zachód słońce wyszło zza góry i oświetliło dolinę. Za polami ryżowymi dżungla gotowała się od ciepłych kolorów. Gdzieś z dołu dobiegały ryki świni zarzynanej na Tet. Któryś z chłopaków śpiewał do muzyki Beatlesów nowe słowa:

*Zamknij oczy, rozłóż nogi
Zaraz dobrze zrobię ci*

Inny powiedział:

- Kurwa, chłopcy, wyście walczyli? Zeszliśmy do połowy zbocza, potem wróciliśmy na szczyt i żadnego kurestwa żeśmy nie widzieli, ani razu nie pociągnęliśmy za spust. Słyszeliśmy kanonadę, odrzutowce, helikoptery, bomby, ale nic nie widzieliśmy. Słyszeliśmy mózdzierze, człowieku. Nic nie widzieliśmy.

- Hanson przychodzi i przynosi wam dobry nastrój! - powiedział jeden ze smarkaczy, rozdając budweisery z sześciopaka siedzącym najbliżej, którzy rzucili się na niego jak dzikie psy.

- Kto to Hanson? - zapytał James.
- Ja! To ja jestem Hanson!

Wyobraził sobie, jak głowa Hansona rozpada się na kawałki. Na szkoleniu słyszał o ludziach padających trupem, bo trafił ich rykoszet albo ukryty snajper: myślących o czymś, wypowiadających słowo, umierających. Schyłasz się, żeby zawiązać but, i głowa ci odpada. Nie chciał paść trupem i nie chciał być blisko kogoś, kto pada trupem.

- W czasie wojny musicie pilnować swojej karmy - zwrócił się do wszystkich Czarny. - Nie gwałćcie kobiet, nie zabijajcie zwierząt, w przeciwnym wypadku karma was załatwi. Karma jest jak koło. Obracasz koło pod sobą, ono obraca się nad tobą. A ja jestem obok. Twoja karma dotyka mojej. Nie możecie nigdy, przenigdy burzyć karmy.

- Co to jest, islam Czarnych?

- Nie jestem muzułmaninem. Bywałem tu i tam i widziałem.

Wygadywał jakieś gówniane bzdury, do których nigdy sam się nie stosował. Ale od słuchania tych przestróg James poczuł gęsią skórkę.

Kiedy mrok ukrył ich przed wzrokiem przełożonych, trzech żołnierze z Echa znaleźli wolne hamaki na wschodnim krańcu bazy, najdalej jak się dało od kierunku, z którego po południu przyszedł wróg, i położyli się, nie zdejmując butów i pasów. Dopóki nie wyrzucą ich właściciele, to był ich dom. Zapadła noc. Jeśli leżał na boku i patrzył na ziemię, James dostrzegał błyski fosforencji w zaroślach, w przeciwnym wypadku pomyślałby, że oślepl. Wokół siatki brzęczały moskity. We wszystkich tych miejscach, gdzie mógłby jej dotknąć ręką albo policzkiem w czasie snu, James rozłożył chustki nasączone środkiem owadobójczym. W poszyciu pelzały jakieś stworzenia. Noc zawsze taka była. Dzisiaj kogoś zabił. Niecałe osiem godzin temu. Podczas szkolenia nie myślał o zabijaniu innych, tylko o tym, że ktoś go zabije, o samochodach, którymi nie będzie jeździł, i o kobietach, których nie przeleci, ponieważ będzie martwy. Słyszał, jak niedaleko rozmawiają jacyś goście. Za bardzo napaleni, żeby spać. Kiedy w pobliżu jest śmierć, schodzisz prosto do swojej duszy. Tamci też to czuli. Słyszał to w ich głosie.

W nocy James odpiął moskitierę i sturlał się na ziemię; myślał, że chciało mu się sikać, ale potem zrozumiał, że to moździerz podjęły ostrzał. Słyszał głosy mówiące „Kurwa”, „Cholera”, „ruszać się, ruszać się, ruszać się”. Na wschodzie flary pękały na niebie i w ich przytłumionym bursztynowym świetle w dole zbocza dostrzegał ogołocone herbicydami granie tańczące z własnymi cieniami. Zobaczył błysk ognia z lufy, usłyszał krótki terkot kałasznikowów i

ogłuszające dudnienie M16. Słyszał samoloty. Słyszał helikoptery. Słyszał rakiety. Skamieniał koło hamaka z bronią w dłoni, przerażony i płaczliwy, głupi i samotny. Teraz widział, jak wygląda wybuch mózdzierza: czerwono-pomarańczowy błysk wielki jak dom, a sekundę później huk tak donośny, że poczuł ból w zatokach. Zaraz uderzył go następny i następny, i jeszcze jeden, coraz bliżej.

Wokół niego wszyscy strzelali. Rykoszet odbił się od jego hełmu i broni.

- HEJ HEJ HEJ! - Coś złapało go za pas i szarpnęło w tył. Czarny. - Co ty robisz?

- O, nie. Kurwa, kurwa, kurwa.
- Biegiesz prosto na nich! Padnij, padnij!
- Przepraszam, przepraszam, przepraszam.
- O kurwa! On daje sygnał.
- Co? - zapytał James.
- Chodź, chodź, chodź.

Czarny ruszył i James próbował złapać go za koszulę, ale tamtego już nie było, wycofywał się. Cały obwód się wycofywał. Obok Jamesa był Nash, duch w świetle flar.

- Przestań strzelać! To my! To my!

- Strzelałem? - zapytał James, ale nic nie słyszał. To wszystko odbywało się drogą telepatyczną. Poruszał się, nie dotykając ziemi. Dokąd? Tutaj, właśnie tutaj. Wciąż z Nashem i Czarnym.

- Kim są ci ludzie? - zapytał Nash.

- Na tamtym szczycie mają obserwatora - powiedział Czarny. - Przemieszczają mózdzierze coraz wyżej.

Głosy:

- Gdzie radiooperator! RADIO RADIO RADIO!

- Tutaj, tutaj, tutaj!

- Powiedźcie im, że jesteśmy w kotle! Nikt nie schodzi w dół!

- Powtórz, powtórz!

- Trzymać się z daleka od lądowiska! Jesteśmy w kotle! Jesteśmy w kotle!

James leżał na brzuchu, pięści zaciskając na ziemi. Podskakiwała pod nim. Nie był w stanie się na niej utrzymać. Ledwo mógł oddychać.

- Czego ci skurwiele chcą!

James zapytał: czy ja się poruszam? Mrok był tak gęsty, że można by go wypić, znaczony powidokami po racach i błyskach z lufy. Zapanowała cisza.

Nawet owady milczały. W ciszy tak głębokiej jak nigdy przedtem James z cichutkiego szcęknięcia magazynka o pas potrafił wyczuć, że nie ma w nim nabożów, podczas gdy zaledwie dwie minuty temu otaczający go hałas był tak potężny, że chłopak nie słyszał własnych wrzasków. W tej nowej ciszy nie chciał ładować broni ze strachu, że wszystkie zmysły wroga skupią się na tym odgłosie i zostaną z niego strzępy, strzępy, strzępy.

Dwa kilometry na wschód w ciemności wznosiła się następna góra, nie znał jej nazwy, nigdy o tym nie myślał, ale teraz tam strzelano, powtarzalny, nic nieznaczący odgłos. Raczej na zboczu poniżej, wciąż nie w jego świetle, ale bliżej, ostro i wyraźnie. Słuch miał wyczulony, jeśli tylko sam nie musiał strzelać.

Z zachodu nadleciały samoloty.

- Te skurwiele są teraz martwymi skurwielami - powiedział ktoś.

Race oświetliły całe zbocze pod nimi i roślinny sufit nad ich głowami.

- Nie strzelać, nie strzelać! - krzyczał ktoś, tupiąc mocno. - To tylko Hanson! - Postać padła na ziemię obok Jamesa i oznajmiła: - Hanson mówi, pierdolić to kurewstwo.

O ile James potrafił stwierdzić, z Hansonem było ich sześciu, leżeli w zaroślach na brzuchach, tuż nad zboczem.

W ciszy pomiędzy atakami lotniczymi chłopak przemawiał cicho, jak sprawozdawca golfowy w przełomowych momentach gry:

- Hanson się kryje. Hanson czuje, jak pot spływa mu po plecach. Kciuk Hansona jest na bezpieczniku, palec na spuście. Jeśli wróg przyjdzie, zostanie rozjebany. Hanson odstrzeli im twarze. Palec Hansona liże spust jak łechtaczkę. Hanson kocha swoją broń jak cipkę. Hanson chce iść do domu. Hanson chce czuć świeżą pościel. Świeżą pościel w Alabamie. Nie te śmierdzące potem w Wietnamie.

Nikt nie zwracał uwagi Hansonowi. Uświadomili sobie, że wrogowie to zabójcy, że oni sami to tylko chłopcy i że są martwi. Byli zadowoleni, że słyszą głos Hansona mówiący im o tej właśnie chwili, jakby można ją było zrozumieć i może nawet przetrwać.

- Co robią moi ludzie z Echa?

Za nimi pojawił się sierżant Harmon, idąc prosto w nagłym błysku kano-nady, i wiedzieli, że są uratowani.

- Ilu z naszych tu jest?

- Pięciu z Echa i jeden luźny - odpowiedział Czarny.

- Dwieście metrów w dół zbocza jest akcja. Skrócimy dystans do pięćdziesięciu metrów i otworzymy ogień. Idźcie za mną. Kiedy będzie jasno, padnijcie i rozglądajcie się, kiedy będzie ciemno, ruszajcie w kierunku, który wypatrzyacie. - Pochylił się i położył dłoń na ramieniu Jamesa. - Za głęboko oddychasz. Zaczynaj szybko oddychać przez nos, tylko tego potrzebujesz. Nie hiperwentyluj się w takich sytuacjach, bo będziesz miał skurcze w dłoniach i palcach.

- Okay - odparł James, chociaż nie wiedział, o czym rozmawiają.

- Ruszamy! - rozkazał sierżant. Nad doliną flary wisiały na migotliwych ogonach dymu, odrywały się od nich i spadały. Idąc, James dostrzegał własne stopy w zadymionym półmroku. Dopóki idzie naprzód, nic nie może go zabić. Chwile pojawiały się jak obrazki w komiksie i czuł, że do każdej idealnie pasuje. Ataki powietrzne oświetlały noc, flary kołysały się na niebie, wokół niego kulily się czarne cienie.

- Czarny! - wrzasnął James. - Czarny!

Usłyszał przed sobą huk z wielkiej broni i na łokciach poczołgał się w jego kierunku. Dokoła niego pociski przebijały się przez liście. Ktoś był ranny, wyl, wyl i nie przestawał. Z przodu jakiś człowiek klęczał z odstrzelonym kaskiem, z raną na głowie - nie, to był ten sanitariusz hippis z chustką na głowie. W zębach trzymał strzykawkę z morfiną jak papierosy i klęczał nad wrzeszczącym, którym był sierżant.

- Sierzancie, sierzancie, sierzancie - mówił James.

- Bardzo dobrze, mów do niego, nie pozwól mu odejść - polecił sanitariusz, wbijając strzykawkę w kark sierżanta. Ale ten wciąż zawodził jak niemowlę, raz po raz opróżniał i napełniał płuca. - Załatw kilku, dobrze?

James schylił się i w kucki ruszył ku pozycji Czarnego, strzelając w dół zbocza. Wiedział, że zabija. Ruch, na tym polegała sztuczka. Poruszając się i zabijając, czuł się wspaniale.

Od trzeciej po południu Kathy odbierała trudny poród. O piątej pojawił się dopiero czubek główki. Po nim buzia bez oczu, bez uszu. Od tamtej pory drobnitka matka usiłowała urodzić swoje zdeformowane dziecko, ale na próżno. Rodziny nie stać było na akuszerkę. Brytyjski lekarz jechał z Biomedical Centre, gdzie badał małpy. Kathy będzie mu asystować, przypuszczałnie podczas cesarskiego cięcia. Miała morfinę i xylocainę. Liczyła, że lekarz przywiezie coś lepszego.

Francuscy lekarze orzekli, że te monstrialne porody są skutkiem defoliantów. Ludzie tłumaczyli to sobie inaczej, prosili bogów obrażonych przez występki, by przestali karać niewinne dzieci. Jakie występki? Myśli hołubione w sercu. Kobieta rodząca dziecko takie jak to musiała ulec straszliwym wyobrażeniom. Snom, pragnieniom lub nieczystym myślom. Młodziutka dziewczyna leżąca na pryczy w niskiej chacie wydawała się Kathy wolna od wszelkich myśli, nogi miała rozrzucone, dłonie białe i zwinęte. Wysilek, oddechy, ciało - czy to było w Liście do Kolossan? - coś o skurczonym ciele, odżywianym wyłącznie przez stawy i żyły. Ten płód w gruncie rzeczy niczym więcej nie był. Wiele dzieci, z którymi Kathy pracowała, padło ofiarą wojny, nie miało oczu, jednej lub obu nóg, jednej lub obu rąk, poparzone twarze. Nie miało rodziców. Ale teraz ten tragiczny cud z wielką głową i połową buzi tkwił w kanale rodnym, przychodził na świat już okaleczony przez konflikt.

Około dziesiątej stało się jasne, że lekarz nie dojedzie. Niedługo potem serce noworodka przestało bić. Kathy odesłała rodzinę, rozczłonkowała martwy płód i wyjęła w krwawych kawałkach, posprzątała najlepiej jak umiała i zaraz po północy przywołała rodzinę. Położyła się między nimi, obok dziewczyny. Na dworze fajerwerki obwieszczały Tet, z dłoni świętujących nadejście Nowego Roku sypały się iskry. Kathy zasnęła.

Później zadudniły o wiele głośniejsze eksplozje. Burza, uznała Kathy. Bóg ze swymi wielkimi białymi myślami. Ale to były walki, gdzieś na wschodzie i na południu, czegoś takiego w czasie swego pobytu tutaj nie słyszała, wybuchy jak fajerwerki odpalane w pojemniku na śmieci, tylko rozmiarami mogące konkurować z grzmotem, przenikające aż do kości. Policzyla sekundy między błyskiem a hukiem i doszła do wniosku, że bomby padają mniej więcej kilometr dalej. Wszyscy w domu się obudzili, ale nikt nie zapalił lampy. Daleko nad polami ryżowymi helikopter wysłał snop światła pomiędzy stado pomarańczowych rac, po czym uwolnił straszliwy grad pocisków. Bitwy toczyły się przez wiele godzin, rozdarte duchy kołyszące się w burzy. Nastąpił koniec. Później od czasu do czasu słychać było pojedyncze wybuchy. O świcie wszystko się uspokoiło. Cykady zaczęły swój koncert, słodkie światło z wolna nasączało powietrze. Z korony drzew odezwał się gibbon. Można by pomyśleć, że na świecie nie ma żadnej broni. W progu stanął mały kogut, uniósł dziób i zapiał, zamykając oczy. Można by pomyśleć, że to Pokój na Ziemi.

Kathy wezwano do pobliskiej wsi, na którą spadły bomby zapalające, nie

wiadomo z czyich samolotów, południowowietnamskich czy amerykańskich, choć tak czy owak przez pomyłkę. Kathy widywała już pogorzelska, ale nigdy nie była w pałacej się wiosce. Przyjechała na miejsce późnym popołudniem. Czarna plama wielkości kortu do tenisa zastąpiła pół wioski. Popioły w miejscu kilku chat, pole ryżowe, z którego wyparowała woda i zniknęły pędy. Odór palonej słomy, unoszący się w powietrzu wszechobecny zapach siarki. Kathy widziała, że nie użyto tu napalmu, raczej bombę z białym fosforem. Na dźwięk schodzących nisko samolotów wieśniacy uciekli, szukając schronienia w dżungli. Kilku zginęło. Jedna, młoda dziewczyna, wciąż żyła. Była w głębokim szoku, bardzo poparzona, naga. Nic nie dało się zrobić. Kathy jej nie dotykała. Wieśniacy siedzieli wokół niej w zapadającym zmroku. Słaba zielonkawa poświata wydzielana przez oparzenia dziewczyny konkurowała z ostatnimi promieniami światła. Wyglądała magicznie; znużenie, owa atmosfera spokoju po burzy, milczenie: wszystko to sprawiało, że cała ta scena wydawała się Kathy jak ze snu. Dziewczyna była niczym idol napędzany przez światło księżyca. Kiedy zaniknęły wszystkie oznaki życia, jej ciało wciąż świeciło w ciemności.

Kathy została we wsi do rana, później na rowerze pojechała do Biomedical Centre. Rozeszła się pogłoska, że w nocy ośrodek został trafiony. Zniszczony, tak mówiono. Chłopiec, który przyniósł tę wiadomość, nie mógł mieć więcej niż dziesięć lat, mimo to wędrował nocą, niosąc na ramieniu maczetę jak drwal siekierę; o brzasku poprowadził ją do skrótów przez pola ryżowe i łąki. Kathy pedałowala mocno, by jak najszybciej dotrzeć do małej pary. Skrót wiódł ją wzdłuż wąskiego kanału, nad którym jeden obok drugiego stały domy, oraz koło rowów na rozległych ryżowiskach. W oddali nad rzeką polował amerykański helikopter, oświetlony na różowo wschodzącym słońcem. Gdziekolwiek mimo tak wczesnej pory, mimo takiego dnia wieśniacy pracowali przy ryżu, zgięci w biodrach, z prostymi nogami i prostymi plecami. Wokół nich kręciły się kaczki i kury, ogromny bawół, płowe i wyglądające na zagłodzone bydło braminów, wychudzone kucyki. Wszyscy zachowywali się tak, jakby wojna była niemożliwa.

Tuż przed południem Kathy wjechała na niskie wzgórze. Po jego drugiej stronie zobaczyła zniszczenie. Ze szczytu, gdzie dym wciąż unosił się ze spalonej ziemi, spojrziała na Biomedical Centre. Skrzydło, w którym trzymały małpy, zostało zrównane z ziemią, natomiast część mieszkalna była nieknięta. Kathy sprowadziła rower po czarnej ziemi. Szrapnel uderzył w ścianę budynku, ale ominął okna. W progu siedział na piętach chłopiec z dłonią na

broni i pluł między stopy. Na widok wchodzącej Kathy uśmiechnął się olśniewająco.

We frontowym pokoju znalazła panią Bingham, szczupłą starszą kobietę z chłopcą fryzurą. W pomazanym krwią komplecie khaki, z papierosem zwisającym z ust, na klęczkach przewijała jedno z wielu małpiątek leżących na niskim stoliku przykrytym wojskowym kocem. Wokół niej walały się bandaże i pokrzwawione szmaty. Przerwała pracę, wyjęła papierosa i obdarzyła Kathy czymś w rodzaju uśmiechu albo grymasu, bardzo małpiego w charakterze. W jej oczach zbierały łzy.

- Co mogę powiedzieć? Wejdz. - Bezradnym gestem zatoczyła papierosem krąg. - Bądź żywa.

Kathy, widząc całe to zniszczenie, zaniepokoiła się o leki. Zobaczyła jednak w kuchni dwie lodówki.

- To straszne - powiedziała i usiadła.

- O ile wiemy, tylko te ocalały. Mieliśmy wszystkie cztery podgatunki langura. Teraz mamy dwa. - Pani Bingham roześmiała się niewytłumaczalnie, kończąc wybuch wilgotnym śmiechem palacza.

- To przerażające - powiedziała Kathy.

- Jesteśmy w przerażającym miejscu.

- To upadły świat.

- Nie mogę zaprzeczyć. Postąpiłabym głupio.

Na kocu odzyskiwało siły około dziesięciu małp. Wszystkie miały pieluszki.

- Przepraszam, że w nocy nie daliśmy rady dojechać - powiedziała pani Bingham. - Jak to się skończyło? Lepiej nie odpowiadaj.

- Matka czuje się dobrze.

- Dziecko nie żyje.

- Tak.

- Przepraszam. Mieliśmy pełne ręce roboty. Wybuchła tutaj mała epidemia grypy. Ale teraz to bez znaczenia, prawda?

Kathy położyła na stole swój plecak i wyjęła z niego plastikową torebkę pełną luźnych amerykańskich papierosów. Przesunęła ją do pani Bingham.

- Niektóre wyglądają marnie, co?

Pani Bingham trzymała na kolanach małą małpkę; zarówno ona, jak i to stworzonko z wysokim czołem spojrzwały na torebkę bez zrozumienia.

- Mieliśmy jedenaście łóžeczek, ale wszystkie spłonęły.

Kathy mogła tylko powstrzymać się od krzyku: to przecież małpy, małpy, małpy.

W kuchni służąca, młoda, w sandałkach na wysokich obcasach i krótkiej spódnicy, przerwała pranie pieluszek, żeby zająć się Kathy.

- Co mogę zrobić? - zapytała.

- Zejdź mi z oczu - odparła pani Bingham i dziewczyna wróciła do kuchni.

- Jest doktor?

- Czekamy. Niektóre mogły uciec. Doktor ich szuka.

- Będzie w stanie je znaleźć? Złapać?

- Tylko jeśli są ranne. Ten jest złotogłowy. - Położyła rannego langura na kocu. Małpka wpatrywała się w sufit czarnymi oczkami, sprawiając wrażenie pogrążonej w gorączkowych myślach. - Pozostałe przypuszczalnie zginęły. To mogliśmy być my wszyscy. Dranie. Są chorzy psychicznie. Och, wszyscy zostaliśmy doprowadzeni do szaleństwa, czy sobie zdajemy z tego sprawę czy nie.

Niedługo potem przyszedł lekarz i gestem wskazał na ranne zwierzęta.

- Dzięki Wietkongowi.

- Masz coś?

Pokręcił głową.

- To były mózdzierze? - zapytała Kathy.

- Race - odparł doktor Bingham. - Samoloty. I nie tylko race.

- Napalm?

- Przypuszczalnie.

- To musiał być napalm. - Jego żona wybuchnęła płaczem. - Wciąż mam w głowie te krzyki, nawet teraz. Nie masz pojęcia. Nie masz pojęcia.

- Nie wiesz - zwrócił się lekarz do Kathy. - Przykro mi, ale nie możesz wiedzieć.

- Mimi, przynieść pani pielęgniarce coca-colę - poleciła służącej pani Bingham.

Kiedy dziewczyna podała jej szklankę z lodem, usiadła w salonie pod lampą zasilaną generatorem. Doktor Bingham mówił o małpach. Z badań wynikało, że cztery podgatunki langura należy traktować jako dwa odrębne gatunki, z których jeden dzieli się na trzy podgatunki. Wśród tych trzech złotogłowy *Trahypithecus poliocephalus* stał się, jak ujął to lekarz, „potworze rzadki”, oceniano, że przetrwało mniej więcej pięciuset przedstawicieli

gatunku. A teraz o wiele mniej. Pozwolili Kathy wziąć jedną z małpek na kolana i nakarmić z butelki. Stworzenie było pociągające, choć z nosa ciekł mu błękitny glut i Kathy zastanawiała się, czy nie złapie śmiertelnej choroby.

Państwo Binghamowie zachowywali się bardzo gościnnie, choć kiedy lekarz, wielki, brodaty mężczyzna w średnim wieku, postać niezwykle ujmująca, prawdziwy bwana z dżungli, jak zawsze myślała o nim Kathy, zauważył jej otwarty plecak na stoliku, tonem niezwykle zimnym, niezwykle nienawistnym powiedział:

- Co to jest?

Bardzo dziwne.

- Urządzenie do mierzenia ciśnienia.

- To magnetofon.

- To ciśnieniomierz.

- Nagrywasz wszystko - powiedział lekarz.

- Ależ to w niczym nie przypomina magnetofonu, mój drogi.

Usta lekarza były zaciśnięte i białe. Oddychał ciężko przez nos.

- Wyłączyłam go.

- Dopilnuj, żeby znowu się nie włączył.

- On myśli, że to magnetofon - powiedziała pani Bingham.

Kathy sięgnęła po szklankę z colą, która stała na podłodze obok krzesła. Pokrywały ją mrówki, wtaczające się z upalnego dworu falangą szeroką na jakieś dwadzieścia centymetrów i Bóg wie jak długą.

- Słuchałaś radia? - zapytała pani Bingham. - Północ zaatakowała. Uderzyli na ambasadę amerykańską.

- Naprawdę?

- Zostali odparci, tak mówili w radiu. Ale to amerykańska stacja. Chcą robić wrażenie zwycięzców, no nie? Mój drogi - zwróciła się do męża, który zajmował się jedną z małpek - ona jest martwa. Martwa.

- Układam jej ręce.

- Zostaw ją w spokoju.

Służąca zaatakowała mrówki energicznymi uderzeniami krótkiej szczotki, zmuszając je do wyjścia za próg. Chłopiec pilnujący drzwi przesunął się o kilkadziesiąt centymetrów na lewo. Dziewczyna wyglądała na Chinkę, była wyższa niż większość tutejszych dziewcząt, miała bardzo krótką czarną spódniczkę i długie nogi.

- Zostaniecie? - zapytała Kathy.

- Czy zostaniemy?
 - Dacie radę naprawić zniszczenia, odbudować skrzydło?
 - A co innego moglibyśmy zrobić? Zostało tylko siedem, ale mimo to. Siedem ze stu sześćdziesięciu.
 - Ze stu pięćdziesięciu ośmiu - powiedział lekarz.
 - Mielicie zapas antybiotyków, prawda? Nadal go macie? - Kathy wiedziała, że mają antybiotyki, przechowywali je w drugiej lodówce.
 - Niech ich piekło pochłonie, za kogo oni się uważają, co próbują zrobić? Jesteś Kanadyjką, prawda? Nie jesteś Amerykanką.
 - Zastanawiałam się nad antybiotykami - powiedziała Kathy bardzo spokojnie. - Teraz, kiedy wszystko się zmieniło.
 - Och, na litość boską - odezwała się pani Bingham.
 - Zastanawiałem się, po co przyjechałaś.
 - Wiem. Przepraszam. Wiem. Ale tak to się układa. To bardzo by pomogło.
 - Masz chłodziarki?
 - Myślałam o punkcie w Bao Dai. Mamy kilka chłodziarek. To bardzo by pomogło. Naprawdę. Mniej więcej dwustu dzieciom.
 - Mieliliśmy sto pięćdziesiąt osiem - przypomniała jej pani Bingham.
 - Tak - powiedziała Kathy, marząc o wymierzeniu tej kobiecie solidnego policzka. Zapytała raz jeszcze: - Co zrobicie?
 - Przypuszczalnie zostaniemy.
 - Tak. Zostaniemy - powiedziała pani Bingham, wpatrując się w służącą, która płukała szmaty w zlewie.
 - Wasz generator działa.
 - Tak, tak. Wciąż mamy prąd.
 - Dla kogo naprawdę pracujesz? - zapytał lekarz. - O co ci chodzi?
- Jego żona skoczyła na równe nogi.
- Chcesz lekarstwa? Chcesz lekarstwa? - Podbiegła do dziewczyny przy zlewie i zadarła jej spódnicę. Pod spódnicą dziewczyna była naga, nie miała bielizny. - Proszę - powiedziała pani Bingham - czy zostaniemy? Jak mogliśmy odejść!
 - Daj jej te lekarstwa.
- Pani Bingham otworzyła na oścież lodówkę i wrzasnęła:
- Po moim trupie!
 - Daj jej. Ona ich potrzebuje - powiedział lekarz.

- Głupio postąpiłaś, przychodząc tu - powiedziała pani Bingham.
- Weź je - polecił lekarz. Dziewczyna nie przerywała pracy przy zlewie, jakby nic zupełnie się nie wydarzyło.

W promieniach wschodzącego słońca góra ponad obozem Echo jak wulkan wypuszczała czarny dym. Nietknięte podczas dwóch wojen pola ryżowe na zachodnim zboczu były teraz ugorem, zniszczonym przez artylerię armii Wietnamu Północnego albo moździerz Wietkongu, a także przez amerykańskie bomby zapalające i race. Obóz Echo przetrwał. Kratery po moździerzach znaczyły ziemię sto metrów dalej, żaden nie trafił bliżej. Wioska Cao Phuc także wyszła cała z ostrzału. Wyglądało jednak na to, że mieszkańców ostrzeżono - że ostrzegł ich Wietkong - że skontaktowano się z nimi, poinformowano. Po południu przed atakiem w wiosce panował dziwny spokój. Fioletowy Bar został zamknięty bez słowa wyjaśnienia. Atak nastąpił przed świtem we wtorek, przed południem we wtorek ludność ukradkiem wróciła do domów, chociaż niektórzy nie mieli worków ani zawiniątek, jakby wyszli tylko na kilka minut.

O świcie przyleciał helikopterem pułkownik. Z Popierdolonym Dupkiem i dwoma mężczyznami z Op Psy, sierżantem Stormem i cywilem, do którego drobny sierżant zwracał się per „Skipper”, ruszyli dżipem na objazd okolicy.

- No, no, no - powiedział Popierdolony - te F-16 rozwaliły naszą górę.
- To dopiero początek - oznajmił pułkownik. - Od tej pory z nieba będą spadały wszelkiego rodzaju ognie piekielne. Co za szkoda. - Pułkownik nie posiadał się z podniecenia. Podczas walki tutejsi wieśniacy zniknęli, ale rolnicy z drugiej strony góry nie, chyba że splonęli. Klepał po głowach kilku ludzi, którzy siedzieli rzędem na ziemi z wyprostowanymi, związanymi w kostkach nogami i rękami skrępowanymi na plecach. Francowate Mendy pojmały człowieka, z Wietkongu, jak mówili, który ruszył na nich z kałasznikowem i Indianinowi zestrzelił plecak z prosto pleców. Indianin chwycił więźnia z przepaską na oczach za związane przeguby i zaciągnął w zarośla, gdzie stały namioty Francowatych. Powiesili drobnego człowieczka za ręce na niskiej gałęzi figowca, tak że stopy kołysały mu się dwadzieścia centymetrów nad ziemią, ale nawet nie jęknął, kiedy barki wyskoczyły mu ze stawów, tylko wykrzywił się tak bardzo, że szczęka o mało nie wypadła mu z zawiązków.

Pluton Echo denerwował się z powodu sierżanta, którego zabrano do szpitala numer dwanaście z ranami szyi, kręgosłupa i brzucha; był sparaliżowany, w stanie krytycznym niepozwalającym na przewiezienie do kraju. Większość chłopców z plutonu siedziała w Fioletowym Barze; nic nie mówili, pili mało, oglupiali od żalu, chorzy od gwałtownej mocy losu. Nowy Murzyn siedział z nimi i opowiadał idiotyczne brednie o ludziach, których rzekomo znał w kraju. On był w stanie mówić, ponieważ nie miał złamanego serca. Właściwie nie znał sierżanta. Pochodził z zapadłej dziury w Luizjanie i sprawiał wrażenie zarówno nieśmiałego wobec towarzyszy, jak podnieconego możliwością wspomnienia domu.

- Raz powoziła mną czarownica. Wiem, że mną powoziła, bo jak się obudziłem, byłem zmęczony, brudny i miałem krew w kącikach ust od przygryzania uzdy. Trzeba zawiesić nad łóżkiem podkowę, żeby odstraszyć czarownicę. Przed wejściem do domu musi przejść każdą drogę, na której ta podkowa była. Mój wujek przyniósł kamień i pewnej nocy złamał rękę czarownicy, a następnego dnia była niedziela i przysięgam na Jezusa, że stara sąsiadka, która śpiewała hymny w kościele, zaczęła toczyć pianę z ust i turlać się po ziemi, i kaznodzieja powiedział: „Zabierzcie jej szal”, więc go wzięli i zobaczyli, że ma złamaną rękę, kość wystaje jej dokładnie w tym miejscu, w którym wujek złamał rękę czarownicy. Kaznodzieja powiedział: „Zawleczcie ją do dziury i spalcie”, więc tak zrobili. Przysięgam, że to prawda. Nikt w domu nie mówi, że to nie jest prawda. Opowiadał to mój wujek i każdy o tym wie. - Chłopak był młody, bardzo czarny, w kolorze węgla. Nikt go nie uciślał i pewnie gadałby tak w nieskończoność, ale przerwał mu Nash, który wszedł i oznajmił:

- Hej, musicie to zobaczyć, Francowaci zabawiają się z tym Wietkongiem i już po nim, kurwa, nie robię was w konia, musicie to zobaczyć.

Czarny wyszedł na dwór i patrzył, jedząc mango razem ze skórką. Tu zawsze były owoce mango, a także banany, czasami papaje.

- Ci ze dalekiego rozpoznania kompletnie się naćpali. Po same uszy.

Jeden ze zwiadowców, najbardziej stuknięty z Francowatych Mend pułkownika, niesamowicie ubrany Murzyn, stał w kałuży krwi przed powieszonym więźniem i pluł mu w twarz.

Porucznik Popierdolony także się przyglądał razem z sierżantem Storem z Op Psy.

Pułkownik obserwował całą scenę z cienia, siedząc na starym, podziurawionym kulami kojcu, w którym mieszkały kury. Zarówno on, jak i Skipper

sprawiali wrażenie, że wolą nie afiszować się swoją obecnością. Podszedł do nich porucznik i powiedział:

- No, jest tak, że sprawą tego rodzaju sprawa jest taka... - Nie skończył. Zmarszczył brwi. Zagryzł wargi.

Czarny Francowaty jakby robił im wykład, dźgając mężczyznę w brzuch wielofunkcyjnym nożem szwajcarskiej armii.

- Kopiań nas w dupę i dowiemy się, o co tu chodzi. Atakują na całym południu. Zaatakowali nawet amerykańską ambasadę.

- Człowieku, nie, nie - zaproponował sierżant Storm z Op Psy, ale niezbyt głośno.

- Załatw tego skurwiela - powiedział Kowboj. - Niech wrzeszczy. Taa, skurwielu. Tak jak wrzeszczał sierżant. Niech wrzeszczy. - Twarz miał czerwoną z wściekłości i płakał.

- Jest coś, co ten skurwieli musi zobaczyć. - Francowaty otworzył łyżkę w nożu i zbliżył się do oczu więźnia.

- Zrób to, zrób to - powiedział Kowboj.

- Chcę, żeby ten skurwieli naprawdę... dobrze... się przyjrzał - mówił Francowaty. - O, tak. Piszczy jak dziewczynka - skomentował krzyki więźnia. Rzucił skrwawiony nóż na ziemię, złapał gałki oczne wiszące na fioletowych nerwach i odwrócił czerwoną, pożyłkowaną stroną do siebie, tak że źrenice spoglądały na puste oczodoły i miazgę w czaszce. - Dobrze się sobie przyjrzyj, ty kupo gówna.

- Jezu Chryste - powiedział mały kościsty sierżant.

Pułkownik zeskoczył ze skrzyni, podszedł do drzewa, odpinając po drodze kaburę, gestem dał znać Kowbojowi i Francowatemu, żeby się cofnęli, po czym strzelił wiszącemu więźniowi w skroń.

- Słusznie, kurwa - powiedział sierżant Storm.

Kowboj spojrział prosto na pułkownika.

- Nie słyszał pan, jak sierżant krzyczał i jęczał, aż stracił głos - powiedział. - Parę takich rzeczy i to kurestwo przestaje być śmieszne.

Zwłoki momentalnie zwiotczały, fragment mózgu zsunął się po policzku.

Młody kapitan Minh z sił powietrznych Wietnamu kierował pociski na niezliczone cele i musiał z kokpitu bombowca F-5E odebrać życie setkom ludzi, ale to działo się we mgle, pod dywanem ognia i dymu. Nigdy dotąd Minh nie widział, jak człowiek zabija człowieka.

Był słoneczny poranek. Niemal południe. Już panował nieznośny upał.

Pułkownik wsunął broń do kabury i rzekł:

- Jestem gotów na bardzo wiele w imię antykomunizmu. Bardzo wiele. Ale na Boga, są granice.

Minh słyszał, jak bratanek pułkownika się śmieje. Skip Sands ledwo trzymał się na nogach, tak bardzo się śmiał. Położył dłoń na namiocie i o mało go nie zwalił. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Nie odrywając wzroku od pułkownika, Czarny ostentacyjnie oblizał nóż, po czym ruszył w kierunku północnej wioski i Fioletowego Baru.

Minh przyjął nastawienie, że cała ta destrukcja nie ma miejsca, że powiał ohydny wiatr iluzji i zasłonił rzeczywistość spokoju i porządku. No bo weźmy na przykład wioskę Cao Phuc, co się tu stało? - mały obóz Echo z barakami z blachy falistej, latrynami, dwoma wielkimi generatorami; nad południową wioską wciąż dominowała świątynia, choć teraz spoczywała na szerokiej betonowej płycie z wykładanym kafelkami wejściem; w północnej wiosce powstał obóz uchodźców przypominający skrzynie i kojce - wszystkie te zmiany zaszły w ciągu kilku lat, gdy z pułkownikiem latał tam i z powrotem. Fioletowy Bar był tą samą wielką chatą, podejrzaną knajpą dla prostytutek o tępych twarzach, sierot, których rodziny zginęły. Miejscowe dziewczyny nigdy tam nie wchodziły.

- Jezu Chryste - powiedział Jimmy Storm - ten czarnuch jest kompletnie pojebany.

- A kto ponosi za to odpowiedzialność? My - odparł pułkownik. - Historia może nam wybaczyć to, co się tutaj dzieje. Ale tamten człowiek nigdy nie wybaczy. Lepiej, żeby tego nie robił.

Minh nie znał tego czarnego zwiadowcy, który wylupił więźniowi oczy. Kiedy go nie było w pobliżu, wszyscy o nim mówili. Spał na swojej pelerynie na ziemi, i tylko w dzień. W nocy wędrował, nikt nie wiedział gdzie. Włosy spadały mu w długich na trzydzieści centymetrów zmierzwionych strąkach. Odciał rękawy i nogawki ze swojego munduru i nic nie chroniło mu skóry przed robactwem oprócz jaskrawego wzoru wymalowanego czerwoną, białą i niebieską farbą na twarzy i kończynach.

Tuż po szesnastej Minh i trzech Amerykanie wrócili na szczyt, skąd polecili z powrotem do Sajgonu helikopterem pułkownika, hueyem z dwoma dodatkowymi siedzeniami i bez broni maszynowej, wypożyczonym pułkownikowi przez siły powietrzne Wietnamu, chociaż siły powietrzne Wietnamu

dostały go dzięki pułkownikowi. Zgodnie z rozkazami pułkownika Minh wzbił się na mniej więcej tysiąc metrów i zachowywał stałą prędkość wynoszącą sto mil amerykańskich na godzinę. Sierżant Storm, który siedział na helmie z M16 na kolanach i włosami rozwianymi przez ogłuszający wiatr, od czasu do czasu puszczał serię w świat pod nimi. Bratanek pułkownika siedział obok sierżanta, patrząc na dżunglę i pola ryżowe, roje much, zniszczone przez człowieka ugory, z których dym unosił się jak para przez otwory w pokrywie kotła. Dwa samoloty bojowe przelatujące niżej zagłuszyły niewiarygodny warkot silnika helikoptera. Podeszły bardzo blisko. F-104. Minh niemal rozróżniał emblemat na helmie jednego z pilotów.

Skip Sands często się uśmiechał i Skip Sands zawsze żartował, ale Minh prawie nigdy nie słyszał, jak Skip Sands się śmieje. Dlaczego tak głośno się śmiał z tego biednego, torturowanego człowieka? Przecież nikt nie mógł uznać tego za zabawne. On jednak znalazł w tym coś niezwykle śmiesznego.

Pułkownik ze słuchawkami na głowie siedział obok Minha, studiował horyzont i sprawiał wrażenie, że zapomniał o koszmarach poranka. Skip natomiast wyglądał, jakby te koszmary wcale go nie opuściły. Pułkownik nie wspominał o zachowaniu bratanka. Może nie było warte wzmianki. Może w tej chwili Skip dziękował Bogu, że nie ma na głowie słuchawek, a środek transportu jest za głośny na rozmowę. Ale kto może zajrzeć w cudze myśli? Zresztą Minh często czuł, że u Amerykanów za czynami nie kryją się żadne myśli, tylko namiętności. Widział jednak twarz Skipa, gdy wuj pomagał mu wsiąść na pokład, i był przekonany, że ten Amerykanin myśli wyłącznie o zamordowanym.

Na krótki okres Minh pozwolił pułkownikowi przejąć kontrolę. To nie było bezpieczne, ale pułkownik robił to, na co miał ochotę, i nic nie mogło mu zaszkodzić. Pułkownik widział wojnę w jej najgorszym wydaniu i kiedyś uczynił Minhowi smutne wyznanie: aby uratować swoich współwięźniów przed masakrą, pułkownik, wówczas młody kapitan, jak Minh obecnie, musiał zabić jednego z towarzyszy pod pokładem japońskiego okrętu, zadusić go gołymi rękami. Pułkownik często dzielił się podobnymi historiami, przypuszczalnie dlatego, że nie sądził, iż Minh go rozumie. Ale angielszczyzna Minha była coraz lepsza. Potrafił swobodnie wypowiadać się o sprawach dotyczących jego obowiązków, a niekiedy rozumiał całe rozmowy prowadzone przez Amerykanów, chociaż umykały mu subtelności i nie mógł liczyć na to, że weźmie w nich równoprawny udział. Minh myślał, że prawdopodobnie

jest jedyną osobą, która wie, że pułkownik ma żonę w dole delty Mekongu i często ją odwiedza, podróżując tym helikopterem.

Lotnisko Tan Son Nhut w Sajgonie stało się trzy razy celem ostrzału od pierwszego ataku przed świtem, ale obecnie panował tam spokój i zezwolono im na lądowanie. Zostawili Minha, a sami ruszyli pod oleistym niebem przez oleisty wiatr. Przed lotniskiem, tuż za betonowymi zaporami czekał Hao w chevroletcie.

Skip pomyślał, że powinien wykazać minimalne chociaż zainteresowanie celem podróży, ale zupełnie go to nie interesowało. Storm natomiast chciał wiedzieć, dokąd jadą.

- Hao lepiej to wie - odrzekł pułkownik.

Skip i Storm siedzieli z tyłu, pułkownik z przodu koło Hao, który palił długiego papierosa, ściskając filtr kciukiem i sypiąc na spodnie popiół. Wpa-trywał się w drogę, mrużąc oczy w sposób typowy dla krótkowidza, i prowadził niepewnie. W mieście odbywały się krótkie serie z broni ręcznej, warczały helikoptery, a czasem, o dziwo, wybuchały fajerwerki. Minęli kilka trupów leżących na poboczu, po które nikt się nie zgłosił, ale mało było prawdziwych zniszczeń, widzieli ludzi zachowujących się jak zwykle, idących chodnikami, jeżdżących na małych motocyklach.

- Wiemy dokładnie, dokąd jedziemy? - zapytał pułkownik. Hao sprawiał wrażenie, jakby go nie słyszał, więc pułkownik dodał: - Hao, wydaje mi się, że nie mamy o tym pojęcia.

- Podał mi lokalizację. Znajdę ją - odparł Hao. Kilka minut później, uprzedzając następne pytanie pułkownika, dodał: - Cho Lon jest za wielkie. Za dużo ulic.

- Tam, tam, te dżipy.

Hao zatrzymał chevroleta przy trzech dżipach Armii Republiki Wietnamu zaparkowanych byle jak wokół martwych ciał dwóch Wietnamczyków.

- No, wyłącz - powiedział pułkownik i Hao zgasił silnik. - Hao, przyjrzymy się tym martwym wietkongom. Upewnij się, że żaden z nich nie jest naszym przyjacielem.

Hao pokiwał głową.

- Wiesz, o co mi chodzi?

- Nasz przyjaciel - powtórzył Hao.

- Nie sądzę, żeby tu był. Nie powinno go być. Ale chcę, żebyś to sprawdził. Dobrze, ruszamy.

Wszyscy wysiedli.

Dwa trupy leżały obok siebie na środku ulicy z rękami wyciągniętymi nad głowę. Każdy dostał wiele kulek. Mniej więcej dziewięciu żołnierzy wietnamskiej piechoty siedziało albo opierało się o dżipy. W pobliżu drobny oficer palił papierosa, stojąc niemal na baczność z jedną dłonią na kolbie pistoletu.

- Major Keng?

- *C'est moi.*

- Jestem pułkownik Francis Sands. Skip, możesz tłumaczyć? To jest Skip, mój bratanek i kolega. Skip, podziękuj mu za akcję. Podziękuj za opanowanie sytuacji. Powiedz, że tę informację dostał ode mnie.

Major zamknął oczy i uśmiechnął się.

- Nie ma takiej potrzeby, pułkowniku. Rozumiem pana.

- Istotnie - powiedział Skip. - Ma pan rewelacyjny akcent.

- Keng to chińskie nazwisko. Tak się składa, że nie jestem Chińczykiem.

- Iloma językami pan włada?

- Francuskim, angielskim, chińskim. I naturalnie moim ojczystym. Jak mogę panu pomóc?

- Zrobiliście tak, jak wam mówiliśmy?

- Dokładnie - odparł major. - Urządziliśmy zasadzkę.

- Mieli materiały wybuchowe?

Major Keng wyrzucił papierosa i zaprowadził ich do dżipa, w którym na tylnym siedzeniu leżały cztery torby.

- Czerwone Chiny - powiedział.

- O której przyszli? - zapytał pułkownik.

- Dokładnie o trzeciej nad ranem.

- Wszystko było tak, jak wam mówiliśmy?

- Wszystko co do joty - powiedział Keng. - O trzeciej. - Gestem wskazał trupy. - Dwa wietkongi. Jak mówiono.

- Co było celem?

- Zniszczyć tamten most - odrzekł Keng.

- Czy mieli dość materiałów wybuchowych?

- Powiem panu, co myślę: aż za dużo.

- Nie mieli żadnych dokumentów, jak przypuszczam.

- Nie. - Keng pokręcił głową.

- Majorze, nie będziemy więcej pana fatygować. Chciałem się tylko upewnić, że nasze informacje były prawdziwe. Przyjrzymy się mostowi i jedziemy dalej.

Storm i Skip poszli za pułkownikiem na most, który najwyraźniej mieli zniszczyć dwaj partyzanci. Pod nimi bzyczały skutery.

- Nie jestem pewien, czy rozumiem sens - rzekł pułkownik. - Przypuszczam, że zablokowały to ulicę. Ale nie wiem, czy rozumiem. - Zawrócił w stronę samochodu.

Storm, który szedł obok Sandsa, powiedział:

- Ze sposobu, w jaki się ruszasz, widzę wyraźnie, że ci się tu podoba. Stawiasz miękko kroki i nie męczysz się bez powodu. Wykorzystujesz powietrze wokół siebie. - Wygłaszając tę uwagę, wyglądał na dziwnie zażenowanego, wcale nie przypominał twardego zapaleńca. - Wiesz, o co mi chodzi?

- W pewnym sensie.

- Stapiasz się z powietrzem jak tubylec - zapewnił go Storm.

Pułkownik Sands uściśnął dłoń majorowi Kengowi i zaprosił go na kolację i drinki, co spotkało się z uprzejmą odmową, później usiadł na przednim siedzeniu chevroleta, prezentując niezłomną pewność siebie, i zwrócił się do Hao:

- Na drogę numer jeden. Napijemy się.

Hao wykonał ostry zakręt. Trupy zostały za nimi.

- A niech to piorun - oznajmił pułkownik - mamy do czynienia z podwójnym agentem.

Byli gdzieś na drodze numer jeden w restauracji przy niebrukowanym zaułku, barze Jolly Blue, który jak wydawało się Skipowi, był lokalem głównie dla kurew i gangsterów. Stanowił jednak sajgoński wodopój dla całego plutonu Echo oraz wielu służących na lądowisku w Cao Phuc, chociaż teraz nikogo z nich tu nie było, bo żaden żołnierz w kraju nie dostał przepustki, ani z armii na południu, ani na północy, ani z Wietkongu, ani z sił amerykańskich. Skip, Storm i pułkownik siedzieli na tarasie pod markizą w przynoszącym chłód zmierzchu. Radio w chevroletcie nastawili na amerykańską wojskową stację AFVN, by trzymać rękę na pulsie. Skip nie spał, odkąd prawie czterdzieści osiem godzin temu wyjechał z Cao Quyen. Zakładał, że pułkownik i Storm są tak samo wyczerpani, żaden jednak nie chciał iść do łóżka, dopóki się nie dowie, co się stało, co może się wydarzyć, jak wyglądają

sprawy w tej bezprecedensowej monstrialnej ofensywie, która na tym etapie wydawała się klęską wroga.

Pomiędzy nadawanymi co godzinę wiadomościami pułkownik dzwonił z pokoju alfonsów do ambasady amerykańskiej, uzyskując mnóstwo dezorientujących i sprzecznych raportów.

- Skoordynowane ataki w całej prowincji Quang Tri. To przynajmniej jest na północy.

- A na południu?
- Uderzyli na Con Mau.
- Na półwyspie? Jezu.
- Są wszędzie. I giną całymi oddziałami.

Połączone siły Armii Wietnamu Północnego i Wietkongu zaatakowały niemal każde większe skupisko ludności i instalacje wojskowe na południu.

- Brawurowe i szalone - stwierdził na początku pułkownik. Po kolejnych raportach skorygował: - Brawurowe, szalone i głupie. - Bo chociaż generalna ofensywa oszalała swoją koordynacją i nagłośnią, gwałtownością i wielkością, pojedyncze ataki wydawały się pozbawione jasnego planowania i właściwego wsparcia.

Pułkownik nalał wszystkim z piątej butelki bushmillsa, wyjętej ze skrzynki, która zawsze towarzyszyła mu w bagażniku chevroleta.

- Non stop bombardujemy Cu Chi. Każdy cal kwadratowy, na którym nie ma amerykańskiego żołnierza, zmieni się w krater. Mówiłem wam, że spadnie piekielny deszcz. Uważam to za zbyt pośpieszne. Mielśmy plany związane z tunelami.

- Wróćmy do faktów - powiedział Jimmy Storm. - Tunele nic mnie nie obchodzą.

- Musimy zdecydować się na inny sposób pokonania tego wroga. Inny od tego, który teraz stosujemy - upierał się pułkownik.

- Zaczynałem z rozgrzanym do czerwoności pragnieniem usmażenia im umysłów. Teraz całymi dniami robię wszystko, żeby własny mózg mi nie eksplodował.

Skip spędził pół roku na wygnaniu, tęskniąc za tym, marząc o tym, a teraz odnosił wrażenie, że nie ominął ani minuty, że dokładnie w połowie podjął na nowo rozmowę z czerwonoookim pułkownikiem i rozdygotanym, podobnym do psa myśliwskiego sierżantem. Wydawało się, iż ci dwaj poruszają się po równoległych torach z przekonaniem, że spotkają się gdzieś w nieskończoności.

Palił go przelyk. Napił się 7Up. W jego umyśle najprawdziwszym faktem tego dnia było to, że krwawiący człowiek z wylupanymi oczami, z taką gotowością zlikwidowany przez pułkownika, był ludzką duszą w rodzinie innych dusz, które znały go z imienia i kochały, a on, Skip, szpieg najwspanialszego w dziejach narodu, dręczył się myślą, że to go dręczy.

- Co ci mówiłem o centralizacji? - powiedział pułkownik. - Wietkong i północna armia mają jedno dowództwo.

- Niezwykle eleganckie.

- Przypuszczalnie niepokonane. Nie jesteśmy w stanie z nimi wygrać. Nasz młody szeregowiec rano ujął to właściwie. To gówno przestało być śmieszne. To gówno zmieniło się w kompletny chaos. To gówno musi się skończyć.

Skip nigdy wcześniej nie słyszał z ust pułkownika żadnego stwierdzenia nawet w przybliżeniu podobnego do tego. Wszystko było nie tak. Wszystko było całkowitym fałszem, ponieważ otwierało zbyt wiele możliwości dla prawdy.

- Jeśli nie możemy się scentralizować, zaczniemy miotać się jak mrówki w melasie, a jako pojedyncze miotające się mrówki nie możemy czekać na rozkazy z góry.

- W czym rzecz, tatusiu? - zapytał Storm.

- Rzecz w tym, że mamy podwójnego agenta i musimy bardzo ostrożnie nim kierować. To wymaga planowania i namysłu, choć nie dzisiaj. Dzisiaj cieszymy się, że nie musimy siedzieć na dupach, podczas gdy wuj Ho będzie realizował jedną wielką strategię za drugą, aż któraś okaże się skuteczna. Tym razem się nie okazała. Tym razem ruszyli do walki i bezsensownie się rozproszyli.

Jimmy Storm roześmiał się z rodzajem znużonego zapamiętania, pułkownik i Skip w milczeniu go obserwowali. Jimmy odzyskał panowanie nad sobą.

- Jezu, jak możesz nie spać od czterdziestu ośmiu godzin i wygłaszać równie elokwentne brednie? TRZYMAJ TE DZIWKI Z DALA ODE MNIE! - krzyknął na mamasan obsługującą stoliki. - Dobra, ty możesz podejść. - Pstryknął zapalniczką, podając ogień drobnej kobiecie z tłustymi udami opiętymi czarną minispódniczką. - Ta kurwa to psychopatka i oszustka. Dobrzy ludzie. Moi ludzie.

Pułkownik skorzystał z tego samego płomienia. Palił playersy w płaskiej paczce - Skip pamiętał, że ten gatunek palił James Bond.

- Co to, nie cygara?
- Niekiedy smakują jak gówno. Ty nadal nie palisz.
- Nie.
- Nie zaczynaj. - Zaciągnął się. - To jest wojna, Skip.
- Rozumiem.

Skip wstał i zaczął krążyć. Zajrzał w mroczne wnętrze baru Jolly Blue. Z progu poczuł, że w środku jest o dziesięć stopni cieplej. Poza trzema dziewczynami i mamasan za kontuarem w lokalu nikogo nie było.

- Tak, sir, chcesz piwo? - zawołała mamasan.
- Jestem głodny.
- Chcesz zupę?
- Zupę i bagietkę, proszę.
- Przyniosę, usiądź.
- Pozwól, że się przedstawię - powiedziała jedna z dziewczyn, ale Skip bez słowa się odwrócił.

Poszedł wzdłuż betonowego koryta, patrząc na mroczną równinę słoniowej trawy za pokojami do seksu. Wysikał się, umył twarz przy cysternie, poprawił zapoconą bluzę i powiedział sobie: To jest wojna, Skip. Pokonaj strach.

Wrócił do towarzyszy.

Przy stoliku pułkownik mówił do Storma:

- Trudno było zdobyć jajka. Gromadziliśmy takie rzeczy, jajka i każde mięso, które udało nam się złapać, a sanitariusze decydowali, kto co zje z naszego magazynu. Łapaliśmy psy, małpy, szczury, ptaki. Mieliśmy kilka kur. - Zwrócił się do Skipa: - Opowiadam mu, co Anders Pitchfork zrobił dla mnie w obozie jenieckim. Byłem chory i Anders karmił mnie jajkiem na twardo. Andersowi przysługiwało jedno jajko na dzień, ponieważ przydzielono go do ciężkich prac i potrzebował protein. Oddał mi jedno, bo leżałem chory. A ja wcale się nie krygowałem, nawet nie podziękowałem, tylko pożarłem to jajko, zanim zdążył zmienić zdanie. Gdyby Anders Pitchfork wszedł tutaj i powiedział, żebym odciął sobie prawą rękę, nie wahałabym się. Moja odcięta dłoń leżałaby na stoliku. To daje ci wojna. Rodzinę związaną silniejszymi więzami niż krew. Potem wracasz do życia w pokoju i co dostajesz? Wrogów w biurze, którzy wbijają ci nóż w plecy. Facetów pokroju Johnny'ego Brewstera. Brewster to kompletny dupek i wiecznie jest na mnie wkurwiony. Znasz go, Skip?

- Osobiście nie. Czym go tak wkurwiłeś?
- Pytanie brzmi: Co Brewster zrobił mnie? Przywiązał mnie do biurka na prawie pół roku i kazał odpowiadać na mnóstwo pytań. Nadali temu formę jakichś badań medycznych. Ale ja wiedziałem, o co chodzi.

- A o co chodziło? Nie o tę sprawę na Filipinach?
- Do diabła, nie. O Cao Phuc. O mój helikopter, o mój pluton. Usadziłem go na dupie i wiesz co? Pytania się skończyły. Interludium dobiegło końca i znowu tu wróciłem.

- Powiedziałeś, że go usadziłeś?
- W czerwcu - powiedział pułkownik. - Znokautowałem go.
- Co?
- Dobrze słyszałeś. Zaprosiłem go na mecz piłki ręcznej. Przebraliśmy się w szatni, a na boisku podszedłem do niego i walnąłem go w brodę. Zapytaj boksera: wolałbyś nie dostać w brodę. Oslaniaj brodę, to pierwsza rzecz, jakiej cię ucza. Znokautowałem go, sir, i nie żałuję, bo to śliski, fałszywy politykier - masz słownik wyrazów bliskoznacznych? Musiałbym poszukać w słowniku, żeby w pełni opisać ci Brewstera.

- Nigdy o tym nie słyszałem.
- Nie wiem, czy komuś o tym powiedział. Jak mógłby? Nie udałoby mu się zachować twarzy, gdyby pobiegł do przełożonych i płakał, że skopano mu dupę.

- Siłowałeś się kiedyś na rękę z tym starym zbirem? - zapytał Storm.
- Nie - odparł Skip.
- Nie zrobiłem krzywdy temu sukinsynowi. Johnny Brewster jest silny i zwinny. Został zrzucony na spadochronie na teren północnej Francji, kiedy pracował dla OSS. Ale spędził za dużo czasu z ruchem oporu i pod ich wpływem się zaróżowił. Zrobili z niego lewicującego sympatyka. Jest zwolennikiem elit. Chce się pozbyć nas, starych drani. Wojna wrzuciła całkiem sporo nas, ropuch, pomiędzy złote rybki, a oni chętnie zrobiliby z tym porządek.

Pułkownik dał znak Hao, który metr dalej siedział w chevroletcie z włączonym radiem i otwartymi drzwiami.

- Hao, Hao, chodź tutaj.

Widząc, jak wuj przekrzywia głowę i macha palcami, Skip poznał, że jest już pijany.

- Chcesz czegoś? Kiedy ostatni raz jadłeś? Siadaj, stary, siadaj.
- Kupię sobie coś w barze.

- Siadaj, coś ci zamówimy, siadaj.
- Hao usiadł, a pułkownik machnął na mamasan i powiedział:
- Po prawdzie nie gram w piłkę ręczną. Straszny przy tym hałas, piłka odbija się z hukiem, gumowe podeszwy piszczą, nigdy w to nie gram. Gorzej działa na uszy niż strzelnica. Ogłuszające jak artyleria. - Kiedy mamasan zbliżyła się do stolika, powiedział: - Przynieś mu coś do jedzenia. Co chcesz, Hao? Na co masz ochotę?
 - Porozmawiam z nią. - Hao wstał i z mamasan wszedł do baru.
 - John Brewster nosi skarpety z zegarami i myśli, że Waszyngton jest trochę większy od wszechświata - powiedział pułkownik. - Co mogą mi zrobić? Wylać z roboty? Zamknąć w pudle? Zabić? Willu, młody Willu, znasz po części moje dzieje. Co mogą mi zrobić? Byłem więźniem Japończyków. Czy mogą mieć nadzieję, oczekiwać, że w obszarze ludzkiego doświadczenia zostało jeszcze coś, co mnie przerazi?
- Mamasan przyniosła cztery miski zupy i talerz z bagietkami. Pułkownik złamał bagietkę na pół i powiedział:
- Mówię szczerze, lepiej niech przy tym stole nie siedzi człowiek, który boi się śmierci.
 - Racja, racja - powiedział Skip.
 - Wszystko i tak jest śmiercią - oznajmił Storm.
 - Och, zapomniałem - powiedział pułkownik z ustami pełnymi bagietki.
- Pan Jimmy myśli, że jest samurajem.
- Ja tylko wyciągam wnioski, papasan. Śmierć to okoliczność podstawowa.
 - Co ty właściwie o tym wiesz?
 - Nie. Nie. Wszechświat musiał się skądś wziąć, tak? Błąd. Musiał wziąć się z niczego. Z Wielkiej Nicości.
 - Pan Jimmy wyznaje nauki Buddy.
 - Wyznaję zupełnie inny rodzaj buddyzmu.
 - Pan sierżant Jimmy studiuje tybetański buddyzm.
 - Studiuję wiedzę o ruchach po śmierci. O stanie Bardo. Co robić na każdym etapie podróży po śmierci. Pełno tam złych zakrętów prowadzących cię z powrotem tutaj, człowieku. Z powrotem na Planetę Z. Ja tu nie wracam. To kupa gówna.
 - Kupa gówna z fajerwerkami - powiedział pułkownik.
 - Wracaj, jeśli chcesz. Ale nie spodziewaj się, że będziesz miał obecny stopień.

Że też wuj toleruje, nawet cieszy się z towarzystwa tego głupca.

- Próbowałaś medytować w Cao Phuc, w tamtejszej świątyni, prawda, pułkowniku?

Pułkownik spojrzął na Storma przez zmrużone powieki, jakby szukał w myślach odpowiedzi. Po dość długiej przerwie oznajmił:

- Nie gram w piłkę ręczną. Chociaż to starożytna gra. Sport. Rozrywka.
- Rozsiadł się wygodnie. - Czcigodna irlandzka rozrywka. Pochodzi z Irlandii. Przyszła z Irlandii. - Głowa poleciała mu na piersi i głęboko zasnął.

W taki oto sposób rozpoczął się Rok Mały.

Kathy pojechała do Sajgonu szukać pomocy u wszystkich, u kogo się da, poczynając od Colina Rappaporta z World Children's Services. Partyzanci Wietkongu oraz zbłąkani maruderzy z północnowietnamskiej armii pojawili się w rejonie Sa Dec, Amerykanie bezwzględnie ich ścigali, do sierocińca Bao Dai przestały docierać dostawy, wkrótce wszystko stanie się niemożliwe.

Amerykańskie helikoptery ostrzeliwały każdą łódź pływającą po rzekach. Aby dotrzeć do drogi do Sajgonu, Kathy pedałowała na rowerze ścieżkami wzdłuż kanałów, trudna sprawa, ścieżki były suche, ale twarde, stawiały opór kołom - jakże giętka jest ta ziemia, jak żyzna i miękka, jak podstępna - a potem rowami po otwartej równinie. Nad polami ryżowymi wiał wiatr, słońce przesuwano się w zielonych pędach jak dreszcz pod skórą.

Czekała w barze z klepiskiem zamiast podłogi. Błyszczący dach, ściany ze słomy. Siedziała przy stole, pijąc gorącą herbatę z puszki, oczekując na przeprawę przez rzekę szeroką na trzydzieści metrów. U jej stóp małe dziecko bawiło się z konikiem polnym wielkości połowy jego ręki. Zostawiła rower u rodziny prowadzącej bar i dowiedziała się od nich, że od wczesnego ranka nie było żadnych helikopterów. Kobieta właściciela miała jasnofioletowe rękawiczki do łodzi i różowy woal. Po drugiej stronie rzeki stały domy i rozciągały się ogrody... Na małym cmentarzu dziewczyna w pięknej sukni leżała na jednym z grobów ocienionych przez drzewa... Kathy złapała rolnika w trzykołowej ciężarówce, który w starych workach po ryżu wioził kaczki puch w kierunku Sajgonu. Kilka kilometrów na południowy wschód od miasta ich drogi się rozeszły i Kathy wysiadła.

Miała na sobie długą do połowy łydki spódnice, sandały. Była bez pończoch. Siedząc w krytej słomą herbaciarni przy drodze numer siedem, czuła, jak pot płynie jej spod kolan po łydkach. Otworzyła plecak i wyjęła Biblię,

ale było zbyt ciemno, by mogła czytać. Trzymała ją na kolanach, palcem przesuwając po tłoczeniach. W którymś z Psalmów napisano: „Tylko przeciwko Tobie zgrzeszyłem”. Przez kilka minut, gdy nocą w święto Tet eksplozje huczały szczególnie blisko, poczuła, jak cała duma pada w proch, cała wiedza znika, całe pożądanie, wszystko istnieje tylko jako nagie, nędzne podporządkowanie. Jej grzech wydawał się mały, jej zbawienie lub potępienie wydawało się małe.

Nadeszła noc. Mężczyzna wystawił przed herbaciarnię czerwone krzesła.

Pojechała rowerową rikszą do miasta. Zatrzymała się w jakimś hostelu przy Dong Du Street, naprzeciwko meczetu Jamia z zielonymi okiennicami. Przez pół godziny leżała na łóżku, ale nie mogła zasnąć.

Wyszła na miasto. Dochodziła jedenasta. Kiedy przedzierała się przez tłum, odniosła wrażenie, że rowerzysta trzymający na ramieniu długie na trzy metry deski zamierza skrócić i najprawdopodobniej urwie jej głowę swoim ładunkiem. Cofnęła się i o mało nie przejechał jej amerykański dżip - nazywali je „Mutt” - opony zapiszczały, jedno koło wjechało na krawężnik.

- Przepraszam panią - powiedział młody żołnierz z przerażoną twarzą.

Więc o mało nie zginęła. Nie obchodziło jej to.

Poszła oświetlonym na czerwono zaułkiem. W oknie - żołnierz bije swoją kobietę, klęczące na materacu dziecko z buzią jak pięść zanosi się płaczem...

Przez otwarte drzwi tawerny - kilku upitych na smutno żołnierzy tańczy w poświęconej szafy grającej, każdy samotnie, z brodą na piersi, strzelając palcami, poruszając ramionami i głowami do rytmu, człapiąc jak szkapy ku jakiemuś odosobnionemu przeznaczeniu. Przystanęła, by się im przyjrzeć. W piosenkach z szaf grających albo nadawanych przez radio często słyszała Boga wołającego do niej: *Love me with all your heart- This guy is in love with you - All you need is love* - ale dzisiaj wieczorem głos śpiewał tylko dla żołnierzy, nie docierał na ulicę.

Minęła rekruta, który ze schyloną głową kierował strumień moczu na ścianę. Podniósł na nią przeraźliwie jasne oczy i powiedział:

- Sikam od tysiąca lat.

Koło niego zgięty w pół kolega wymiotował.

- Niech pani nie zwraca na mnie uwagi - powiedział. - Upiłem się życiem.

Wietnamczycy byli dla oczu Kathy wytchnieniem. Nie miała z nimi wspólnej przeszłości. Amerykańscy żołnierze za bardzo przypominali Kandyjczyków, szarpali ją za serce falą radości i smutku, poczucia winy, gniewu

i przywiązania. Patrzyła na szerokie plecy tych dwóch, gdy oddalali się chwiejnym krokiem.

Rzucali granaty ręczne w otwarte drzwi i pozbawiali kończyn ciemnych rolników, ratowali szczeniaki przed śmiercią głodową i pod koszulą szmuglowali je do domu w Missisipi, palili całe wsie i gwałcili młode dziewczyny, kradli dżipy z lekarstwami, by uratować życie sierotom.

Nazajutrz rano w biurach World Children's Services Colin Rappaport powiedział:

- Kathy, proszę, pozwól, bym ci znalazł łóżko w jednym ze szpitali.
- Nie przyszedł tu, żeby prowadzić taką rozmowę.
- Zdajesz sobie sprawę, w jakim jesteś stanie? Kompletnie wyczerpana.
- Ale to się nie liczy, skoro nie czuję się zmęczona.
- Zdajesz sobie jednak sprawę?
- Tak, ale nie czuję się zmęczona - odparła.

Na początku lutego James Houston w brudnym mundurze polowym pojechał stopem z Góry Szczęśliwego Trafu do Sajgonu, najpierw ciężarówką z wodą, która podwoziła go drogi trzynastej, później dżipem. Mógł się zatrzymać - miał taki zamiar - w wielkiej bazie, żeby odwiedzić sierżanta Harmona w dwunastym szpitalu ewakuacyjnym. Ale chłopcy w dżipie jechali dalej, więc po prostu z nimi został.

Sierżant zostanie przewieziony do Japonii, jak tylko uda im się doprowadzić go do stanu, w którym przenosiny go nie zabiją. Jeśli James chciał zobaczyć sierżanta, powinien zrobić to teraz. Tak mówił Czarny. Według Czarnego sierżant był poważnie ranny, trwale okaleczony. Coś wielkiego, niewykluczone, że z ich strony, trafiło w niego z bliska, trafiło prosto w brzuch, tuż nad miednicą. Czarny zapewniał, że James nie chciałby widzieć tego, co on widział.

U sprzedawcy na Thi Sach Street James kupił paczkę gumy do żucia i podrabiane marlboro. Zaczynał trzeci dzień drugiej tury. Nic nie pił, oddalił się bez zezwolenia i był doszczętnie splukany.

Dwaj przyjaciele Jamesa, Fisher i Evans, wyjechali poprzedniego dnia. Wysoki Fisher z ułamanym zębem uścisnął dłoń Jamesa i powiedział:

- Pamiętasz naszą pierwszą noc tutaj?
- Floor Show.

- Pamiętasz Floor Show?
- Jasne.
- Pamiętasz, jak pierwszy raz poszliśmy na seks do Fioletowego Baru?
- Jasne.
- Kiedy nastąpi koniec świata i Jezus zejdzie na ziemię w obłoku chwały i całej tej reszty, to będzie druga najbardziej niewiarygodna rzecz, jaka mi się zdarzyła. Bo będę pamiętał tę noc w Fioletowym Barze.

Objęli się; James musiał całą uwagę skupić na powstrzymaniu łez. Przysięgli sobie, że kiedyś się spotkają. James przypuszczał, że nigdy do tego nie dojdzie.

W Cozy Bar na Thi Sach James wyżebrał następnego papierosa od pilota, który powiedział, że jest Indianinem Cherokee i potomkiem wodzów, nie chciał poczęstować go drugi raz i sprawiał wrażenie, że zaraz sobie pójdzie - do momentu, gdy James, siadając wreszcie na taborecie, poprawił broń pod koszulą.

- Co tam masz? - zapytał lotnik.
- To do tuneli.
- Tuneli?
- Automatyczna trzydziestka ósemka. W obozie dali mi eliminator.
- Coś w rodzaju tłumika?
- Tak. Chryste wszechmogący, co tu tak śmierdzi benzyną?
- Przez cały dzień pompowałem paliwo lotnicze.
- Więc to ty?
- Sam już tego nie czuję.
- Hej, w głowie mi się kręci. Kupiłbyś mi piwo?
- Wykluczone. Wiesz, na Thi Sach jest jubiler. Dzisiaj rano sprzedałem mu czterdziestkę piątkę.
- Kupuje broń.
- Sprzedałem mu czterdziestkę piątkę.
- Myślisz, że będzie chciał trzydziestkę ósemkę?
- Założę się, że tak.
- Założę się, że wiem, skąd będzie mógł jedną dostać.

Tamtego popołudnia James pijany, z kieszeniami wypchanymi wietnamskimi piasrami, wciąż przebywający bez zezwolenia na cuchnącej ulicy - smród za smrodem i syk smażonej mazi - wstąpił do sklepu, gdzie kupił sobie podróbkę lewisów, czerwony T-shirt i błyszczącą żółtą kurtkę z nagą kobietą

i napisem „Sajgon 1968”. Było o wiele za gorąco na kurtkę, ale i tak ją włożył, bo wprawiała go w doskonały humor. Kupił też dwie paczki prawdziwych amerykańskich marlboro i ostrzygł się u ulicznego fryzjera - do tej pory strzygł się wyłącznie w wielkiej bazie, ale był na tyle pijany, by spróbować odmiany - a następnie nabył parę tandetnych niebiesko-czarnych butów. Kiedy przebierał się na ulicy, ludzie dokładali starań, by na niego nie patrzeć; włożył mundur do brązowej papierowej torby z uchwytami ze sznurka i ruszył dalej.

Pomyślał, że lepiej będzie, jeśli wytrzeźwieje, zanim pójdzie do sierżanta, a zanim wytrzeźwieje, lepiej będzie, jeśli bardziej się upije. Około jedenastej wieczorem wytargował z riksarzem zapłatę za dowieszenie do jakiegoś taniego hotelu w dystrykcie Cho Lon, ale gdzieś *en route* dokonali rewolucyjnej zmiany planu i o tej niebezpiecznej porze, w środku nocy, pojechali prawie sto kilometrów na wybrzeże Morza Chińskiego do burdelu, o którym słyszał James. Nazywano go „U Frenchiego” i owiany był legendą. O drugiej w nocy dotarli na miejsce, do kilku szałasów koło rybackiej wioski. James obudził papasana, stukając w kontuar. Papanas rozumiał trochę po angielsku, a reszty się domyślał.

- Jesteś Frenchie? - zapytał go James.

- Frenchie idzie - odparł papasan, ale Frenchie się nie pojawił. W barze nie było światła. Nie warczał generator. James nigdzie nie widział dziewczyn ani innych żołnierzy. Nie widział absolutnie nikogo. Melancholijny stary papasan przy świetle latarki zaprowadził go do niewiele różniącego się od szopy bungalowu, który stał w rzędzie sobie podobnych. Czyjeś włosy łonowe znaczyły pościel. James zrzucił prześcieradło. Cienki materac był poplamiony, ale plamy wyglądały na starsze od włosów. Za pokój, w tym za wentylator na baterie na nocnym stoliku, płacił prawie dolara za noc. Nie fatygował się spuszczeniem moskitiery. Nie widział moskitów.

W poświacie naftowej lampy znalazł swój składany nóż i o mało nie odciął nogawek munduru, ale zmienił zdanie i skrócił podrabiane levisy. Kiedy się kładł spać, upicie zaczęło zmieniać się w kaca.

Wstał około południa i poszedł do przyprószonego piaskiem baru, gdzie kobieta podała mu omlet, gorącą herbatę i małą bagietkę. Skończywszy, powiedział jej, żeby przyniosła mu jeszcze raz to samo, ale z piwem, a nie z herbatą.

Nie był jedynym gościem. Jednonogi żołnierz w obciętych dzinsach i koszuli od munduru z urwanymi rękawami, świński blondyn z opalonym ciałem

i w lotniczych okularach przeciwsłonecznych, siedział kilka stolików dalej, pijąc piwo i nic nie jedząc. Przez większość czasu trzymał w dłoni dziewięćmilimetrowy pistolet, naciskał kciukiem zatrzask, spuszczał magazynek na dłoń i wbijał z powrotem, spuszczał i wbijał, spuszczał i wbijał.

- Wszyscy umieramy - powiedział. - Umrę na haju.

Jamesowi wcale się to nie podobało, więc wstał i wyszedł.

Ruszył ku niskiemu falochronowi. Plaża była wąska, piasek brązowy. Usiadł na falochronie, zapalił papierosa i obserwował zdechłego koguta unoszącego się na fali. To nie jest Frenchie, o którym wszyscy opowiadali. Wszyscy mówili, że Frenchie sprzedaje tylko piwo 33 - to się zgadzało - a także hiszpańską muchę. Oraz dziewczyny - choć były wieśniaczkami - ale były dziewczynami. I wszyscy mówili, że prawie każdej nocy przed drzwiami dochodzi do strzelaniny w stylu Dzikiego Zachodu. Mówili też, że żaden riksarz nigdy nie jeździ tam po zmroku, bo zabierają im ich małe pojazdy, żeby urządzać sobie wyścigi na plaży, które zwykle kończą się w morzu.

Odgłos pojedynczego wystrzału przerwał mu te rozmyślenia. Pobiegł do baru, żeby spojrzeć na katastrofę, ale nic się nie stało. Świński blondyn siedział sam.

- Hej, wszyscy! - wrzasnął, chociaż nikogo nie było w pobliżu. - Ten facet myśli, że wykombinował jakieś gówno!

James stanął w progu, nie zamierzając wchodzić dalej. Miał ochotę na piwo, ale właścicielka uciekła.

- Chcesz zagrać w „zakręć browningiem”?

- Nie - odpowiedział James.

- To lepiej włóż te swoje nieprzepuszczające gówna majtki, senior.

James usiadł naprzeciw niego z rękami przyciśniętymi do boków.

Chłopak przestał bawić się pistoletem. Podrapał się po obrzmiałym kikutcie i znowu wkładał i wyjmował magazynek.

- Nie siadaj przy moim stole, jeśli nie chcesz bawić się w moją grę.

Usunął swoje nazwisko z naszywki, najwyraźniej zrobił to rozżarzonym czubkiem papierosa. Na szyi zamiast identyfikatora miał zardzewiały otwieracz do konserw.

Położył pistolet obok paczki parlamentów i zapalniczki.

- Lubisz je? Parlamenty?

- Nie bardzo - odparł James.

- Więcej zostanie dla mnie.

Chłopak wytrząsnął papierosa, włożył w usta i zapalił, używając do tego tylko prawej ręki. Lewą trzymał na pistolecie.

- Nie mogę na to patrzeć - powiedział James.
- Dobrze. To nie jest cyrk.
- Jak mogę wydostać się z tego twojego szpitala wariatów?
- Po prostu idź.
- Nie mogę iść do Sajgonu.

Chłopak poskrobał się po głowie lufą.

- Nie, człowieku, nie. Pierwszy skurwiel, który cię zobaczy, wjedzie ci prosto w dupę swoim skuterem. Albo zrobi to jego kuzyn. - Wciąż celował z broni w swoją głowę.

- Odlóż to, dobra.
- Wszyscy umieramy, człowieku.
- Nie masz nazwiska?
- Cadwallader.
- Może jednak to odłożysz? Mógłbym wtedy napić się z tobą piwa.
- Podąłem ci moje prawdziwe nazwisko. Wielki błąd.
- Dlaczego to jest błąd?
- Jak ludzie znają twoje nazwisko, to boli.
- Wiem, że dostałeś - powiedział James. - To prawdziwe gówno.

Świński blondyn zamknął oczy i siedział bez ruchu, oddychając przez nos.

- Och, stary - odezwał się po długiej chwili - wszyscyście zombie.

Warkot dwusuwowego silnika ucichł przed barem. Cadwallader położył pistolet na stole.

- Francuz przyjechał.

Do środka wszedł chudy mężczyzna w kraciatych bermudach, japonkach i koszuli z długimi rękawami. Biały, niebieskooki, łysy. Przyciągnął sobie krzesło, ale zawahał się na widok broni.

- To dla ciebie - powiedział, kładąc tekturowe pudełko koło dłoni Cadwalladera.

Cadwallader upuścił palącego się papierosa na podłogę. Oderwał boczną ściankę pudełka i wysypał na stół kilkanaście wielkich tabletek. Wybrał cztery i wrzucił do piwa. Mieszanka zaczęła się pienić. Uniósł szklankę w stronę Jamesa.

- Czas na odmianę.
- Frenchie - powiedział James.

- *C'est moi.*

- Mówisz po angielsku?

Tamten obojętnie wzruszył ramionami.

- Ten skurwiel zrobi sobie krzywdę.

Tym razem Francuz wzruszył całym ciałem - rękami, ramionami, stając na palcach - i skrzywił się.

- Może przysłesz nam dziewczyny? - zaproponował James.

Cadwallader patrzył, jak tabletki musują i rozpuszczają się w piwie.

- Nie możesz wszystkiego przemaalowywać w swoim umyśle, żeby nadać temu jakiś sens.

- Ciepka już nie ma sensu?

Frenchie usiadł okrakiem na odwróconym krześle, wyciągając chude nogi i kładąc ręce na oparciu.

Cadwallader przesunął dłonią nad swoim kikutem, jakby wyczarowywał brakującą część.

- To jedyna sensowna rzecz na całym świecie, jaką w życiu widziałem.

- Wiesz, wolałbym ci tego nie mówić - zaryzykował James - ale to nic. Są faceci, którym zrobiono gorsze rzeczy.

- Oto wyjaśnienie, Frenchie. Wszyscy umieramy, tak? Pierdol się. - Cadwallader okręcił szklanką i wypił roztwór kilkoma łykami. Usiadł prosto i zaczął czyścić paznokcie spiczastym końcem klucza. - No to idź po broń.

Stary Francuz nawet się nie poruszył.

- Mówiłem, że potrzebna mi broń? Nie wiesz, że jestem Francuzem? Nasza wojna została przegrana.

- Jest tylko jedno szczęśliwe zakończenie, stary. Jeśli nie rozwalę tego świata, to będę tchórzem i pierdolonym kłamcą.

- Wrócę później. - James wstał wolno; miał nadzieję, że nikogo tym nie sprowokuje.

- Nikomu nie zrobiłem krzywdy. Więc nie gadaj mi o karmie.

- Nie gadałem.

- I dalej tego nie rób.

- Nawet nie wiem, co to jest karma.

- Jesteś w lepszej sytuacji.

- Idę sobie. Idę popływać. Więc jak zdecydujesz się coś zrobić, nikogo to nie obejdzie.

- Frenchie tu jest.

- Frenchiego to nie obchodzi - powiedział James i ruszył ścieżką w stronę falochronu.

Po kilku minutach dołączył do niego świński blondyn. Palce wskazujące obu dłoni wepchnięte miał w szyjki butelek z piwem i równocześnie skakał o kulach. Zatrzymał się. Zawisł na kulach jak strach na wróble, kciukiem prysakając piwem prosto w twarz Jamesa.

- Jako odznaczony Szkarłatnym Sercem, kurwa, mogę zrobić z wami, co będę chciał, i to, kurwa, jest pewne.

- A chuj, jak jest.
- Nie możesz zaatakować biednego kaleki.
- A chuj, jak nie mogę.
- Potrzyj piwa. - Cadwallader upuścił lewą kulę i osunął się po prawej na piasek.

James oddał mu jedną butelkę, drugą zostawił dla siebie.

- Pokój i miłość, moi amerykańscy rodacy.
- Dobra, pokój i miłość.
- Wszystko mi się popieprzyło.
- Nieważne.
- Przepraszam.
- Noga cię boli?
- Mogę cię nazwać tępym dupkiem za zadawanie tępych pytań, a ty nic mi nie możesz zrobić, bo jestem kaleką. Dać ci parę tabletek?
- Nie, teraz nie.
- W każdej jest trzydzieści miligramów kodeiny.
- Kilka razy próbowałem haszu... Jasny gwint, ale się nawaliłem.
- Boli mnie moja niewidzialna stopa.
- Gdzie jesteście?
- W Phan Thiet. Albo Mui Ne.
- Nigdy nie widziałem takich łódek.
- To są dżonki. Prawdziwe łodzie wypłynęły na połów.
- Wyglądają jak miski do zupy.
- A ty co? Samowolka, zaginiony w akcji, dezterter?
- Samowolka.
- Ja zdezterterowałem.
- Oddaliłem się bez zezwolenia. Tak mi się wydaje.
- Trzydzieści dni i jesteś dezterterem.

- Dużo mi brakuje do trzydziestu dni.
- Moja noga zdezerterowała, więc wziąłem z niej przykład. Zwinąłem się z China Beach.
- Nie podobało ci się?
- Ta idiotyczna fizjoterapia? Nie, kurwa. Lubię pić, płakać i brać tabletki.
- Nie musisz mi mówić.
- Taa. Przepraszam, żołnierzu. Wpadłem w taki nastrój.
- Więc myślisz, że to Phan Thiet?
- Taa. Albo Mui Ne.
- I to naprawdę jest ten burdel sławny na cały świat? Słyszałem, że ta buda się trzęsie.
- Tak było przez ostatnie dwa tygodnie. Nie trzęsie się od wielkiej ofensywy. Wróg pokonał Frenchiego.
- Gdzie wszyscy poszli?
- Większość wróciła do jednostek albo gdzie indziej, nie mam pojęcia. Ty idziesz w przeciwnym kierunku.
- Chyba tak.
- Zwijasz się z samego środka działań bojowych, chłopcze, a to jest dezercja.
- Dlaczego próbujesz mnie przekonać, że zdezerterowałem?
- Filozofuję, bracie, nie przekonuję. Hej, jakby do mnie strzelali, też bym się zwinął... zaraz! Już to zrobiłem.
- Nie dlatego zdezerterowałem.
- W takim razie dlaczego?
- Musiałem zobaczyć się z kumplem.
- Kto to jest?
- Podobno jest w szpitalu numer dwanaście gdzieś tam.
- Więc się zabrałeś i pojechałeś, żeby się z nim zobaczyć? Albo się zabrałeś, żeby nie musieć tego robić?
- Taa, bardzo śmieszne. Jak się nazywasz, bo zapomniałem?
- Cadwallader.
- Nie nabijaj się ze mnie, Cadwallader. Mam dwa razy więcej nóg, żeby ci dokopać.
- A jak ja mam cię nazywać?
- James.

- Nie Jim?
- Nigdy Jim.

Skończyli piwo i rzucili butelki na fale.

James zszedł między kokosowymi palmami na plażę, Cadwallader kuścił za nim wielkimi, trójnożnymi krokami. James odwrócił jedną z dziwnych okrągłych łodzi - wyglądały jak potężne koszyki o średnicy około dwóch metrów, uplecione ze słomy i patyków oraz pokryte czymś w rodzaju lakieru - i bohaterскими szarpnięciami zawłókł ją na plażę. Pojawiły się małe nagie dzieci, by obserwować te zmagania. Jeśli w chatach za palmami byli jacyś dorośli, nie pokazali się.

James przystanął, by złapać oddech. Do wody wciąż pozostało mu sporo metrów.

- Gdzie twoja potężna broń?

Cadwallader podciągnął koszulę. Pod paskiem wybrzuszała się kolba.

- Zamoknie ci, jak popłyniesz ze mną. Bo wszystko wskazuje na to, że nas utopię.

- Podnieś tę łódź.

James dźwignął krawędź jednej z przewróconych łodzi, a Cadwallader wrzucił pod nią zawinięte w koszulę papierosy, broń i zapalniczkę. James to samo zrobił z marlboro, po czym ostatnim wielkim zrywem wepchnął łódź na wodę.

Cadwallader, zanurzony po pierś w łagodnych falach, położył kule na dnie łodzi i wgramolił się na pokład. Łódź miała jedno wiosło.

- Rock and roll! - krzyknął Cadwallader, kiedy James o mało ich nie wyrzucił. - Jak trafimy na zły prąd, nigdy więcej nie zobaczymy ziemi. Przejmujesz się tym?

James próbował wiosłować na zmianę po obu stronach. Nie wiedział, gdzie stać i czy w ogóle ma stać w tej chybotliwej półkuli.

- To bez sensu. Jak oni tym pływają?
- Daj mi wiosło. Jestem urodzonym żeglarzem.

Dzieci z brzegu patrzyły na oddalającą się łódź. Kozy beczały w kokosowym zagajniku. Wkrótce James nie słyszał nic poza szumem fal. Zagajnik za wybrzeżem, słomiane chaty za zagajnikiem... Pomyślał, że wyglądają jak główki zapalek.

- Zagubieni na morzu! - krzyknął Cadwallader. - W głowie mi się kręci od symbolizmu tej sytuacji!

- Przypominasz mi mojego młodszego brata.
 - Dlaczego? Jaki on jest?
 - Nie potrafię tego nazwać. Po prostu go przypominasz.
- Kręcili się w kółko i prąd oddalał ich od Wietnamu.
- No to jak, James, zostaniesz na trochę?
 - Może, jeszcze nie wiem.
 - Mogę pogadać z Frenchiem o rabacie.
 - Mam forszę. Nie potrzebuję rabatu.
 - To dziwne podejście.
 - Mówię tylko, że nie potrzebuję żadnych przysług.
 - Ile ci zostało do końca?
 - Zacząłem drugą turę.
 - Jesteś kłębkim dziwnych poglądów. Nie kapuję, dlaczego ktoś miałby drugi raz jechać na tej świni.
 - Nie ma żadnych powodów - przyznał James. - A ty jak, dużo ci zostało?
 - Jeszcze trochę.
 - Ile odsłużyłeś?
 - Osiem miesięcy. Sześć miesięcy i osiem dni, odkąd mnie zranili. Polowa i osiem. To wszystko jest pojebane.
 - Tak samo jak jedzenie gówna przez nowych.
 - Taa. Jedzenie gówna zawsze jest pojebane. To część planu.
- Cadwallader podniósł się jak bocian na swojej jednej nodze, pochylił w bok i runął do wody. James był całkiem sam na oceanie do chwili, gdy Cadwallader wynurzył się na powierzchnię, spluwając i łapiąc oddech.
- Hej, stary.
 - Hej, co?
 - Wracaj do łodzi.
 - Po co?
 - To przynajmniej zostań tam, gdzie jesteś.
 - Nic nie robię, to ty się poruszasz.
 - Nie umiem kierować tą łodzią. No, włącz, zaraz cię zostawię.
 - Taa?
 - Cadwallader, Cadwalleder.
 - Adios, skurwielu!
 - Do brzegu jest półtora kilometra.

Cadwallader dryfował na plecach trzydzieści metrów od łodzi.

- Cadwallader!

James wiosłował z całej siły, ale nie wiedział, jak to się robi. Teraz widział chłopaka tylko przy niższych falach. Cadwallader płynął na plecach, patrząc w górę i kopiąc.

- Płyniesz w dobrym kierunku! - krzyknął, ale Cadwallader albo go nie słyszał, albo nic go to nie obchodziło. James był przekonany, że zbliżają się ku sobie, i to go natchnęło. Wyglądało na to, że wiosło pracuje lepiej, jeśli macha nim do przodu i do tyłu. Praca go wyczerpała. Cadwallader był tuż obok i James złapał go za rękę, ale tamten się wyrwał. James chwycił go za włosy. Cadwallader prychnął i chwycił się burty. James nie miał siły wciągnąć go na pokład. Brakowało mu oddechu, żeby go skłąć. Dyszał ciężko, usta wypełniał mu miedziany smak zmęczenia.

Cadwallader odepchnął się, odwrócił i zaczął płynąć w kierunku brzegu. James wiosłował. Wyglądało na to, że teraz prąd im sprzyja.

Łódź w kształcie filiżanki dotknęła dna, okrążyła ją mała fala. James wyskoczył i wywłócił ją na brzeg.

Cadwallader leżał płasko na plecach sto metrów dalej. James poczłapał w jego kierunku, w każdej ręce ciągnąc kulę i zostawiając na piasku dwie linie. Tymczasem fale porwały łódź. Podskoczyła na pianie i zaczęła dryfować w morze.

- Jesteś popierdolony, stary. Wszystko w środku masz poprzestawiane.
- Na to wychodzi.
- Mam dość, stary.
- Daj mi kule.

James rzucił je tak daleko od Cadwalladera, jak tylko się dało.

- Sam sobie weź te cholerne kule.

Ruszył ku łodzi, pod którą zostawili swoje rzeczy, wyjął je i przyjrzał się dokładnie broni Cadwalladera, browningowi hi-power.

- Hej, to broń oficerska! - zawołał. - Jesteś oficerem?

Cadwallader z wysiłkiem czołgał się po piasku jak filmowy rozbitek na Saharze.

- Jesteś oficerem?
- Jestem cywilem! Jestem dezserterem, kurwa!

Dowlóknął się do stóp Jamesa. James wyjął magazynek i odprowadził zamek, by wyrzucić ostatni pocisk, po czym powiedział:

- Teraz możesz się bawić, ile chcesz.
- Pierdol się. Mam mnóstwo amunicji.
- Ciesz się nią, bo w takim razie zabieram broń.
- Oddawaj moje pif-paf.
- Na pewno nie, bo wtedy się zabijesz.
- Kradniesz moją broń.
- Na to wygląda.
- Pierdol się, dupku. To mój bilet do Raju.

Obaj przypalili papierosy zapalniczką Cadwalladera.

- Muszę się zbierać - powiedział James.

Odwrócił się i ruszył.

- Stój. To rozkaz. Jestem porucznikiem.
- Nie na mojej wojnie - odpowiedział przez ramię James.

Kiedy przechodził przez wyrwę w falochronie, usłyszał, jak porucznik Cadwallader woła:

- Zabij dla mnie Wietnamca, człowieku!

Ze śródmieścia Sajgonu do wielkiej bazy podwieźli Jamesa dziesięć dwaj ludzie z dwudziestej piątej. W obłoku kurzu wysadzili go dokładnie przed szpitalem ewakuacyjnym numer dwanaście. Wszedł do środka, z nikim nie rozmawiając, i od razu zgubił się w płataninie oddziałów pogrążonych w mdlącej ciszy i medycznych odorach. Rano wypił dużo piwa i teraz czuł się pusty i poirytowany. Najpierw kazali mu iść na oddział C-3, potem powiedzieli, że nie tam, tylko na C-4, a pielęgniarka z C-4 przypuszczała, że to raczej oddział 5 albo 6. W końcu pielęgniarka z szóstego dała mu pączka i oznajmiła, że opiekuje się umierającymi i niektórymi bardzo poważnymi przypadkami. Zaprowadziła go do zasłony odgradzającej coś w rodzaju niszy i zapytała:

- Jim? Mówią do ciebie Jim? - Nie odciągnęła zasłony.
- Mówią do mnie James.

Wsunęła się za zasłonę.

- Sierżancie Harmon? Jest tu James. James z twojego oddziału.

Sierżant był w strasznym stanie. James stanął koło łóżka i powiedział:

- Hej, sierżancie. - Próbował coś dodać, ale mu się nie udało. Chciał powiedzieć: „Chłopaki będą pić bez ciebie”, i powiedzieć: „Ostrzeliwali to miejsce jakiś czas temu”, i powiedzieć: „Ja też ostrzeliwałem to miejsce”. Był zły na kogoś w szpitalu, niewykluczone, że na sierżanta, który wyglądem

wcale nie różnił się od trupa i na pewno nie sprowokowałyby go wiadomość o samowolce. Wyglądał jak potwór Frankensteina rozłożony na części, podłączony kablami do maszyny, która uderzeniem prądu elektrycznego obudzi go do pełnego zamętu i udręk końca. Sierżant miał nawet błyszczące metalowe gwoździe w głowie jak potwór Frankensteina - w jakim celu? Prześcieradło przykrywało go do miejsca, gdzie byłby pępek, gdyby miał brzuch zamiast czegoś, co wyglądało jak poskładane z ochłapów w rzeźni. Urządzenie przy łóżku regularnie syczało i brzęczało. Czerwone liczby na ekranie monitora podawały puls: 73, 67, 70.

- Po co ma tę rurę w ustach?
- Sierżant nie oddycha całkiem samodzielnie, James.

Pielęgniarka przystawiła krzesło, James usiadł przy łóżku i wziął sierżanta za rękę. W kroplówce podłączonej do przegubu sierżanta wędrowała w górę bańka powietrza.

- Sierżancie.

Oczy sierżanta, bardzo błękitne, pływające pod czaszką, zwróciły się na Jamesa i zatrzymały. Sierżant cmoknął językiem o podniebienie.

- Widzisz mnie?

Sierżant znowu cmoknął, cmok cmok, jakby napominał dziecko, cmok cmok. Wargi miał białe i popękane, schodziła z nich skóra.

James nachylił się i spojrział w oczy sierżanta. Zlepione łzami rzęsy sterczały kępkami jak na dziecięcym rysunku. Piękne niebieskie oczy. Gdyby należały do kobiety, nie potrafiłbyś przestać w nie patrzeć.

- Co za odgłos wydaje? - zapytał, ale pielęgniarka już odeszła. - Co próbujesz powiedzieć, sierżancie? - James otarł własne łzy, wstrzymał oddech i splunął do brązowego pojemnika na śmieci pełnego gazy i śliskich chusteczek papierowych. - Przyszedłem, żeby się przywitać. Sprawdzić, czy czegoś nie potrzebujesz. Gówniana sprawa.

Co kilka sekund cmokanie. Czy to alfabet Morse'a?

- Sierżancie, zapomniałem alfabetu Morse'a.

Przyszły dwie pielęgniarki, odsunęły Jamesa, wyciągnęły sierżantowi z ust rurę i wsadziły mu głęboko w gardło inną, która wydawała ssące odgłosy. Liczby na monitorze gwałtownie rosły: 121, 130, 145, 162, 184, 203. Po minucie zmieniły rurę, sierżant znowu mógł oddychać i liczby z wolna malały.

- Niech to szlag - powiedział James.
- Oczyszczamy mu płuca - wyjaśniła jedna z pielęgniarek.
- Nawet się nie przywitałyście.

- Cześć, sierżancie - powiedziała pielęgniarka i obie poszły. James znowu usiadł i wziął sierżanta za rękę.

Oczy sierżanta dryfowały, płonące i błagające. Wszystko było w tych oczach. James płakał szczeekliwie, jak pies. Wylewająca się z niego realność i słusność, czystość płaczu, samego płaczu, i kogo to obchodzi - to jest większe niż jakakolwiek z póź i sztuczek. Łzy spływały z oczu sierżanta na skroń, a stamtąd do uszu, ale nie wydawał żadnego odgłosu prócz tego cmokania.

- Doktorze, to jest James - powiedziała pielęgniarka. Wróciła z zadowolonym lekarzem. - James jest z oddziału sierżanta Harmona.

- Jak się dzisiaj czujemy, sierżancie?

- Co się stało? - zapytał James.

- O co ci chodzi?

- Co się stało? Co się stało? Jak został ranny?

- Co ci się stało, sierżancie? - zapytał lekarz.

Sierżant poruszył popękkanymi wargami i cmoknął językiem.

- Ciągle to robi - powiedział James. - Słyszysz pan?

- Co ci się stało, sierżancie? Pamiętasz? Rozmawialiśmy o tym wczoraj.

Sierżant dostosował ruch warg do wydechu maszyny i powiedział:

- Ja... ja...

A może tak ułożył wargi, że tylko wyglądało, jakby to powiedział.

- Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy? Mówiliśmy, że chyba trafiła cię flara? Uderzyła w plecy?

- Myślałem, że dostał w brzuch. Myślałem...

- O ile możemy stwierdzić, flara trafiła go pod splotem słonecznym i powędrowała w górę kręgosłupa. Rozcięła go na pół.

- Dostał flarą?

- Tak jest.

- Mówi pan o flarze. Flarze sygnalizacyjnej.

- Tak jest. Rozległe obrażenia. Mięśnie, płuca, kręgosłup. Rdzeń kręgowy do drugiego kręgu. Rozległe obrażenia, co, sierżancie?

Poruszał ustami. Próbował wydać głos ze śliną zatykającą mu gardło, próbował wygłosić zdanie. O ile James potrafił go zrozumieć, sierżant mówił:

- Jestem w rozsypce.

Do telefonów ustawiły się długie kolejki, ale w Klubie Oficerskim były trzy inne aparaty przeznaczone dla oficerów i James tam poszedł. Wykręciwszy

numer centrali, położył prawą dłoń na kolbie swojej nowej broni i patrzył prosto w oczy każdemu, kto się zbliżył. Miał dla siebie wszystkie trzy telefony.

Podał telefonistce numer Stevie, niezapomnianą sekwencję cyfr, w liceum wykręcał ją setki razy.

Odebrała jej matka.

- Halo? - Głos miała zaspany i może przestraszony.

Rozłączył się.

Kapitan przyniósł mu budweisera. Ci faceci nie są tacy źli. Zdjął rękę z broni, zapalił i zadzwonił do domu.

- Która jest u ciebie godzina? - zapytała matka.

- Nie wiem. Po południu.

- James, co postanowiłeś? W tej sprawie zaciągu? Co postanowiłeś?

- Przedłużyłem wizytę.

- Dlaczego chcesz zostać? Nie zdajesz sobie sprawy, że wykonałeś służbę dla kraju? Tak jak wszyscy.

- Taa... Miałem wrażenie, że to jeszcze nie koniec.

- Nie waż się znowu zaciągać, jak skończysz ten rok.

- Migam się od obowiązków. Mogą mnie nie chcieć.

- Wcale bym się nie zdziwiła. Pewnie jesteś w szoku.

- Powiedzmy, że mnie zwolnią, może wtedy przyjadę do Phoenix.

- Jasne, skarbie. Gdzie indziej miałbyś jechać?

- Nie wiem. Może na jakąś wyspę.

- Co ty mówisz, jaką wyspę? Nie mieszkamy na wyspie.

- Co u reszty? Jak sobie radzi Burris?

- Burris bierze prochy!

- Jezu.

- Nie przeklinaj.

- Cholera. Cholera. Jakie prochy?

- Wszystko, co mu wpadnie w ręce.

- Ile ma lat?

- Jeszcze nie skończył dwunastu.

- Co za mały świr. A... a... masz wiadomości od Billa Juniora?

- Billa Juniora nie było prawie miesiąc.

- A gdzie był?

- Nie było go. Nie było. To wszystko.

James przerwał, by zaciągnąć się po raz ostatni i zgasić papierosa.

- Chcesz powiedzieć, że siedział w więzieniu?
- Jeden na prochach, a drugi w więzieniu!
- Za co?

- Nie wiem. Za to i za tamto. Zamknęli go tydzień po Nowym Roku i wypuścili dopiero dziesiątego lutego. Trzymali go przez trzy tygodnie. Musiał przyznać się do winy i dostał dwa lata w zawieszeniu, w przeciwnym razie dalej by go trzymali. Mają dość złego zachowania.

- Jest w Arizonie?

- Tak. Wyrok w zawieszeniu. Jak zrobi coś źle, wsadzą go do więzienia we Florence razem z twoim tatą. Jaki ojciec, taki syn.

- Słodkie.

- Nie bądź taki przemądrzały. Od pokoleń Duch Święty dobija się do dusz mężczyzn w tej rodzinie. Ale myślisz, że udało mu się zrobić choćby wgniecenie?

- Taa, ale wiesz co? Może Duch Święty wcale nie jest taki święty.

- Co masz na myśli?

- Byłaś w Oklahomie i byłaś w Arizonie. To wszystko.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie wiem. Tylko że powinnaś trochę więcej pojeździć, zanim zaczniesz mówić o Duchu Świętym.

- James, chodzisz do kościoła?

- Nie.

- James, modlisz się?

- Do kogo?

Matka zaczęła płakać.

- Kobieto, powiem ci coś o Duchu Świętym. To wariat.

- James.

Naprawdę nic nie czuł, ani smutku, ani satysfakcji, ale powiedział:

- Mamo, dobra, przepraszam. Naprawdę.

- Będziesz się modlił? Pomodlisz się teraz ze mną, synu?

- Zaczynaj.

- Ukochany Panie, ukochany Zbawco, ukochany Ojcze w niebiosach - powiedziała matka i James odsunął słuchawkę od ucha myśląc, że gdyby Duch Święty kiedykolwiek zjawił się w Wietnamie Południowym, pewnie odstrzelono by mu jaja.

Przy barze widział mężczyzn pijących whisky z lodem. Oficer w mundurze polowym wpatrywał się w swoje palce, szarpiące na strzępy serwetkę.

Nieoczekiwanie pomyślał o sierzancie Harmonie: O mój Boże. Chciał wody.

- Synu - powiedziała jego matka - jesteś tam?

Suche, popękane wargi - chciało mu się pić, był wyschnięty na wiór. Dawał znać językiem.

- Dzięki za modlitwę, mamó - powiedział i odwiesił słuchawkę.

Przechylił piwo i wypił do ostatniej kropli. W życiu nie pił takiego dobrego piwa. Było najlepsze i najgorsze.

James śnił, że nie może znaleźć swojego samochodu. Parking zmienił się w wioskę z wąskimi, krętymi uliczkami. Nie chciał prosić o pomoc, bo niósł M16 i ci ludzie mogli go aresztować. Miał coraz mniej czasu. Tyle pamiętał, kiedy obudził się na macie w mokrym od potu cywilnym ubraniu, chociaż we śnie było milion zdarzeń drugorzędnych, skomplikowanych zdarzeń, niewypowiedzianych komplikacji. Co noc dużo mu się śniło. To było jak praca. Po przebudzeniu był zmęczony.

Wstał, żeby włączyć klimatyzację, ale w pokoju żadnej nie było. Szafa grająca dudniła mu pod stopami. Otwarte okno przesłaniała wisząca na gwoździach moskitiera. Pomyślałby, że to już dzień, ale żółte światło pochodziło od żarówek nad szyldem. Znalazł swoje niebiesko-czarne buty i po zewnętrznych schodach zszedł na piwo. To była ślepa uliczka, niebrukowana, musiał uważać na błoto. Bar Jolly Blue. Usiadł z kilkoma facetami, także z dwudziestą piątą, także z rozpoznania, ale to byli źli chłopcy, zwiadowcy. Dali mu trochę speedu i od razu się obudził. Nie było z nimi kobiet. Oczy świeciły się im jak u zwierząt. Ci faceci brali kwas, prochy, które darły nerwy, wywracały mózgi na drugą stronę.

- Chodź do nas. My działamy nocą. Bierzemy speed. Pierdolimy. Zabijamy. Niszczymy.

Chciał jakoś wpływać na wydarzenia, ale nie potrafił tego zrobić. Uświadomił sobie, że będzie musiał przyłączyć się do tych facetów, wstąpić do zwiadu dalekiego zasięgu, poprosić o przeniesienie. Oczy mu się zmieniają, będą takie jak ich oczy.

- Znacie Czarnego? - zapytał.

- Taa, znamy Czarnego, to jeden z naszych.

- On może mi poradzić, jak się przenieść - powiedział James.
- Więc to zrób, zrób, przecież zrobiłeś wszystko prócz tego?
- Jasne, czas przystąpić do potworów.
- Ile czasu ci zostało?
- To moja druga tura.
- Dają ci przepustkę do domu?
- Nie chcę przepustki do domu.
- Nie chcesz zobaczyć domu?
- Wojna jest moim domem.
- Dobrze. Jak pojedziesz do domu, skończysz, układając pasjansa tak długo, aż karty się zetrą. Talia po talii. Będziesz siedział w oknie i układał.
- Dziewięćdziesiąt dziewięć procent tego gówna, co krąży mi codziennie w głowie, jest niezgodne z prawem - odezwał się jeden. - Ale nie tutaj. Tutaj gówno w mojej głowie jest prawem i niczym innym oprócz prawa.
- Mają teorie wojny, bracie. Teorie. My ich nie mamy. Nie możemy ich tutaj mieć. My mamy misję. To nie jest wojna. To misja.
- Poruszanie się i zabijanie, tak?
- Trafieś. Ten skurwiel trafił w sedno.
- Na szóstkę, kurwa.
- I tak trzymaj.
- Wiesz, co to podwójny weteran? Pierdolisz kobietę, a potem ją skreślasz.
- Wszyscy tu są podwójnymi weteranami.
- Taa?
- Za każdego martwego skurwiela.

Wyszli. James pił piwo i patrzył na tancerkę go-go z posiniaczonymi nogami. Koło jej głowy kilka moskitów odbijało się głupio od ściany. Poza tym miał tę chwilę dla siebie. Muzyka huczała, muzyka z kraju, psychodeliczna, Rolling Stonesi. Na barze i za barem - wolny taniec lamp lava, migotliwy wodospad na reklamie piwa hamm's, kalejdoskopiczna tarcza zegara wyświetlającego minuty, rozświetlone kapliczki tutejszej religii.

Nie potrafię stwierdzić, czy to jest za bardzo realne, czy niedostatecznie realne, powiedział James do kogoś... albo ktoś do Jamesa...

Potem do baru wszedł pułkownik, cywil, pełniący funkcję oficera dowodzącego kompanii D, w mniejszym lub większym stopniu ojczym plutonu Echo.

Wypełnił sobą drzwi, koszulę miał rozpiętą, konwulsyjnie oddychał. Obejmował dwie małe kurwy, które w uśmiechu pokazywały złote mostki. Wcale nie wyglądał dobrze.

- Pomóż mi, żołnierzu.
- Posadźcie go tam.

Pomogli mu usiąść na zniszczonej ławce jedyne boks, poza tym w sali były tylko stoliki. Gestem kazał przynieść drinka. Na ile pozwalało to stwierdzić przytłumione światło, jego twarz na przemian czerwieniała i bladła. Jedna z dziewczyn wsunęła się do boks, rozpięła pułkownikowi koszulę i wytarła jego bladą, spoconą klatkę piersiową, porośniętą srebrnymi włoskami.

- Mam problem z sercem.
- Chce pan, żebym wezwał pomoc?
- Siadaj, siadaj. Mam problem natury medycznej, ale przede wszystkim jestem przegrzany i zatruty tą przeklętą ryżową brandy. Prosisz o bushmillsa, a dają ci coś pełną ryżowej brandy. Ta mieszanina nie nadaje się do picia. Choć na pewno usuwa brodawki.

- Tak jest, sir.
- Jestem weteranem lotnictwa, ale szanuję piechotę.
- Znam pana, sir. Jestem z plutonu Echo.
- Piechur to zaszczytna służba.
- Wierzę panu na słowo.
- Jak będziesz miał brodawkę, natnij ją żyletką i dziesięć minut mocz w ryżowej brandy.

- Tak jest, sir. Tak zrobię.
- Tak, istotnie. Echo. Jasne. Jesteś moim człowiekiem od tuneli, odkąd zabrali Francowate Mendy.

- No, kilka razy zszedłem, wszystkie wyglądają tak samo. Trzy tunele.
- To się liczy. To dobra liczba.
- Ale to mało.
- Chryste, jesteś największym gościem od tuneli, jakiego w życiu widziałem.

- Wcale nie.
- Jesteś, jeśli chodzi o tunele.
- Sir, wie pan, co się stało sierżantowi Harmonowi?
- Słyszałem, że jest ranny.
- Tak jest, sir, sparaliżowany aż do szyi.

- Sparaliżowany? Chryste Panie.
- Aż do szyi. Rozerwany na kawałki.
- Cholerna szkoda.
- Chcę się przenieść do dalekiego rozpoznania. Chcę zrobić krzywdę tym draniom.

- Nie ma nic złego w nienawiści, synu, nie na wojnie.
- Nie jestem pańskim synem.
- Wybacz tupet.
- Dzisiaj za dużo piję.
- Współczuję ci. Sierżant to porządny człowiek.
- Czym zajmują się Francowaci, sir?
- Zabrano mi ich. Kilku się przeniosło. Lądowisko przestaje istnieć. Nie będzie Mend. Nie będzie helikoptera.

- Tak myślałem. Przez jakiś czas pana nie widziałem.
- Wszystko upada. W domu i za granicą. Wydaje mi się, że w domu moja żona i moja mała dziewczynka bzykają tego samego Mulata, aktywistę, beatnika pacyfika.

- Chciałbym szybko się tym zająć.
- Przepraszam. Jestem pijany, chory i zenujący Mówilem... nienawiść. Tak jest. Miłość do ojczyzny każe nam iść na wojnę, ale wcześniej czy później podstawowym motywem staje się zemsta.

James zakładał, że pułkownik wie, o czym mówi. Był cywilem z tłustym dupskiem, który opowiada o brodawkach, ale też żywą legendą - prowadził życie pełne krwi, wojny i cipek.

- Przeszedłeś szkolenie tunelowe?
- Nie.
- Chcesz, żebyśmy cię wysłali?
- Chcę iść na szkolenie zwiadowcze.
- Jak długo tu jesteś?
- Od miesiąca na drugiej turze. Numer dwa.
- Jeśli przejdiesz szkolenie, przypuszczalnie będą chcieli, żebyś został na trzeci.

- W porządku. I może pan załatwić tę samowolkę?
- Samowolkę?
- Prawda jest taka, że w oddziale nie ma mnie od trzech tygodni.
- Przede wszystkim jutro wrócisz do swojego plutonu.

- Tak jest, sir.
- Doprowadzisz się do porządku i wrócisz.
- Z samego rana. Tak jest, sir.
- Załatwimy to i zaczniesz szkolenie do dalekiego rozpoznania.

Letnie deszcze ustały. Ale dzisiaj padało.

Skip wracał sam z oddalonej o kilka kilometrów wioski, którą odwiedzał z père Patrice'em. Dochodziła dziesiąta, taką godzinę wskazywał zegarek sił powietrznych, który w młodości dostał od pułkownika... Martin Luther King został zamordowany. Robert Kennedy został zamordowany. Koreańczycy z północy wciąż trzymali w niewoli okręt amerykańskiej marynarki z załogą. Marines oblegani w Khe Sanh, piechota wyrzynająca w pień całą wioskę My Lai, zarośnięci, przekonani o własnej słuszności idioci maszerujący ulicami Chicago. Krwawą porażkę styczniowej ofensywy Tet kudłaci przyjęli jako duchowe zwycięstwo. A potem w maju nastąpiła druga ogólnokrajowa ofensywa, słabsza, choć odbiła się niemal takim samym echem. Skip pożerał „Time'a” i „Newsweeka”, wszystko tam było opisane, a jednak wydarzenia wydawały się nieprawdopodobne, fikcyjne. Przez sześć, siedem miesięcy ojczyzna, z której został wygnany, pogrążyła się w oceanie swej przyszłej historii. Clements w Kansas pozostało takie jak dawniej, tego mógł być pewien; do Clements w Kansas mogło przyjść tylko jedno lato z hałaśliwymi szarańczami i szpakami, unoszącymi się w powietrzu zapachami pieczenia, mydlin i ściętej lucerny, z oślepiającą rzeczywistością dzieciństwa. Minęło, głupio minęło - nie lato, tylko on sam. Nieobecny, obnażony, przekształcony. Zlekceważony i nawrócony, skoro o tym mowa. Kochał wspomnienia, walczył o nie. Nie mógł jednak nie dostrzec, że świat dziedziczący owe wspomnienia miał prawo do pójścia własną drogą, nieskrępowany długiem wdzięczności wobec zamordowanych idei. Tymczasem powietrze wokół niego połykiwało od rojów drobnych owadów. Bliżej ziemi stworzeń było więcej: kaczki i kury, dzieci, psy, koty, małe świnię z wydętymi brzuchami. Skip jeździł z księdzem na jego skuterze, szukając opowieści i porzekadeł pośród rozrzuconych parafian. Usłyszał jedną historię od staruszki, katolickiej, przyjaciółki księdza. Père Patrice pojechał na zachód, Skip pieszo wrócił do domu.

Po półgodzinie złapał go deszcz, schronił się więc pod markizą sklepiku, gdzie papasan o skórzanej twarzy z wielką rozkoszą zaciągał się papierosem i nie miał nic do powiedzenia. Kiedy Skip się do niego uśmiechnął, starzec

rozciągnął wargi, odsłaniając zdrowe zęby. Ulewa była nieszkodliwym gestem deszczem, choć przerywanym przez niepokojące porywy wiatru szarpiące roślinnością i burzące tafle wielkich kałuż na drodze. Skip kupił napój „Number One” w jednym z kilku niemożliwych do odróżnienia smaków i pośpiesznie wypił.

- Wiesz, co myślę? - zapytał starca po angielsku. - Myślę, że chyba myślę za dużo.

Deszcz ustał. Po drugiej stronie drogi przed małym domem młoda kobieta bawiła się w „a kuku” z dzieckiem, które dopiero zaczynało chodzić, zataczając się na paluszkach, podczas gdy jego niewiele starsza siostra w tanecznej improwizacji machała zamasyżycie rękami; wszyscy troje uśmiechali się, jakby świat ograniczał się wyłącznie do ich szczęścia.

Skipa poruszyła opowieść, którą rano usłyszał:

Dawno, dawno temu toczyła się wojna; żołnierz zostawił żonę z małym dzieckiem i ruszył bronić ojczyzny. Młoda żona zajmowała się domem, ogrodem i dzieckiem. Co wieczór o zachodzie słońca stawała nad rzeką za domem i wypatrywała łodzi ukochanego męża...

Pewnej nocy nad małym domkiem rozpętała się burza, szarpiąc dachem, bijąc w ściany, gasząc lampę. Chłopczyk rozplakał się z przerażenia. Matka przytuliła go i zapaliła lampę. Kiedy to uczyniła, jej cień pojawił się na ścianie; wskazując nań, pocieszyła synka: „Nie musimy niczego się bać, widzisz? Przy drzwiach stoi tatuś”. Dziecko natychmiast się uspokoiło. Co wieczór, kiedy kobieta wracała do domu znad rzeki, gdzie w ostatnich promieniach słońca wypatrywała powrotu męża, chłopczyk wołał tatusia, zapalała więc lampę, a synek kłaniał się cieniowi, mówił „Dobranoc, tatusiu” i zapadał w spokojny sen.

Kiedy żołnierz powrócił do swej rodziny, wielka radość wypełniła serce żony i ze szczęścia zapłakała. „Musimy podziękować przodkom”, powiedziała. „Przygotuj, proszę, ołtarz i zaopiekuj się synkiem, a ja pójdę po jedzenie na dziękczynny posiłek”.

Zostawszy z dzieckiem, żołnierz powiedział: „Chodź do mnie, jestem twoim ojcem”. Ale synek odrzekł: „Tatusia teraz tu nie ma. Co wieczór mówię dobranoc tatusiowi. Ty nie jesteś tatusiem”. Na te słowa miłość umarła w sercu żołnierza.

Kiedy żona wróciła z targu, poczuła cień śmierci w domu. Mąż nie chciał się do niej odezwać. Poskładał matę modlitewną i nie pozwolił jej używać.

Kłęczął w milczeniu koło posiłku, który przygotowała, a kiedy potrawy wystygły i nie nadawały się do jedzenia, opuścił dom.

Żona przez wiele dni czekała na jego powrót, stojąc nad rzeką, jak robiła to wówczas, gdy walczył na wojnie. Pewnego dnia zawładnęła nią rozpacz, zaprowadziła synka do domu sąsiada, pocałowała i przytuliła po raz ostatni, a potem pobiegła nad rzekę i utopiła się.

Wieść o jej śmierci dotarła do męża, który przebywał w wiosce położonej dalej nad rzeką, i sprawiła, że pękła lodowa pokrywa otaczająca jego serce. Wrócił do domu, by zaopiekować się synkiem. Pewnego wieczoru, gdy siedząc przy posłaniu synka, zapalił olejną lampkę, jego cień skoczył na ścianę koło drzwi. Chłopczyk klasnął w rączki, skłonił się cieniowi i powiedział: „Dobranoc, tatusiu!”. Żołnierz natychmiast pojął, co uczynił. Tej samej nocy, gdy synek smacznie spał, postawił ołtarz nad rzeką i kłęczął przed nim przez wiele godzin, wyznając przodkom, jak głęboko żałuje swego postępkę. Tuż przed świtem zabrał śpiącego synka nad rzekę i obaj podążyli w ślad za wierną żoną w odmęty śmierci.

Staruszka opowiadała bez emocji czy widocznego zainteresowania, ale historia chwyciła Skipa za serce. Dziecko i matka samotnie zmagające się życiem. Mężczyzna i kobieta, którzy nie potrafią się porozumieć, cień będący ojcem. Rzeka, która zmyła ich dzieje.

Wkroczył w dolinę, gdzie przez środek płynął szeroki i płytki strumień, i znowu złapała go ulewa. Szedł przez deszcz pod czarnym parasolem. Strumień wezbrał. Toczył się gwałtownie, brunatny i muskularny, pełen mętnych wirów. Skip wyszedł na równinę pokrytą dywanami pól ryżowych, które dominowały w krajobrazie wokół Cao Quyen.

Mijał siedziby ludzkie, nie chaty, ale małe domki z ogródkami od frontu i znajdującymi się z tyłu rodzinnymi cmentarzami z prostokątnymi nagrobkami i daszkami do połowy przysłaniającymi groby, które wyglądały niczym wielkie kamienne kołyski. Gdzieniedzie wzdłuż drogi ludzie zapalili ogniska z wilgotnych śmieci, unoszący się z nich dym dezorientująco przypominał jesiennie aromaty jego dzieciństwa.

Staruszka dodała do opowieści kodę: Po tragicznej śmierci tych trojga z nieba zaczął padać deszcz. Rzeka, w której utopiła się rodzina, wezbrała gniewnie, największe głązy kołysały się z boku na bok, a głos jej furii nigdy nie słabł. Nawet w suchych miesiącach, kiedy wody toczyły się wolno, rzeka wciąż ryczała. Garść piasku z jej dna trzymana w dłoni wydawała głośny dźwięk. Kiedy piasek wrzuciło się do garnka z wodą, ta gotowała się w minutę.

Po powrocie do willi Skip zobaczył czarnego chevroleta zaparkowanego na podjeździe. Wujca zastał w salonie - leżał na kanapie, a obok niego na podłodze siedział pies, który ostatnio kręcił się wokół domu. Pułkownik uniósł dłoń z psiego łba, pomachał do Skipa i powiedział:

- Twoja kanapa mnie pożera. - Skip pomógł mu usiąść. - Te poduszki mnie pożerają. - Był zaczerwieniony, a równocześnie spod rumieńca przeziarała błądź. - Twoje jedwabne poduszki.

Nguyen Hao zajmował rattanowy fotel przy niskim stoliku pokrytym czarnym lakierem. Siedział blisko, ale zdołał wywołać wrażenie, że przebywa znacznie dalej, nie odezwał się, tylko z uśmiechem pokiwał głową.

- Która godzina? - zapytał pułkownik.

- Dochodzi pierwsza. Jesteś głodny? A przy okazji, witaj.

Powiedziano mu, żeby spodziewał się pułkownika jakiś czas po porze deszczowej, i to wszystko. W istocie powiedział mu to sam pułkownik.

- Kazałem zaparzyć kawę - oznajmił pułkownik.

Pies zaatakował swoje intymne organy z wulkanicznym, ekstatycznym pomrukiem.

- Sprawileś sobie psa.

- To pies pana Tho. Myślę, że możemy go zjeść.

Z łazienki na parterze dobiegł szum splukiwanej toalety. Wyszedł z niej Jimmy Storm w czystym mundurze polowym. Poprawiając koszulę, patrzył na masturbującego się psa.

- Twój pies się zakochał.

- Mój pies? Myślałem, że to twój pies.

Storm roześmiał się i usiadł na sofie.

- Rzykant z ciebie, kundlu. - Poskrobał psa po łbie, później powąchał sobie palce.

- Czemu nie przyleciałeś helikopterem? - Na widok Jimmy'ego Storma w głosie Skipa pojawiła się szorstkość.

- Helikopter już do mnie nie należy.

- Aha. A do kogo?

- Wciąż jest własnością naszych sojuszników, ale lepiej go wykorzystują. Likwidujemy lądowisko, to już oficjalna wiadomość.

- Myślałem, że to się stało wiele miesięcy temu.

- Bogowie działają wolno, choć nigdy nie robią sobie przerw. Z dniem pierwszego września Cao Phuc przestaje istnieć.

- Przykro mi.
 - Losy wojny - powiedział pułkownik. - W każdym razie dzisiaj i tak nie brałbym helikoptera. To wizyta nieoficjalna. Rodzinna.
 - Tho przyniesie piwo. A może chcesz drinka?
 - Parzy kawę. Porozmawiamy na trzeźwo. Chciałbym załatwić interes.
 - Dobrze. Nie przyszedłem tu na darmowe pączki. - Jego matka czasami tak mówiła; wydało mu się to głupie.
 - Czy dokładnie przeczytałeś artykuł Dimmera?
 - O podwójnych agentach. Tak jest, sir.
 - Jezu Chryste - wtrącił Storm.
 - Co?
 - Też to czytałem.
 - Co.
 - Nic. Nie ma zastosowania.
 - Sierżancie.
 - Pułkowniku, jeśli chcesz dokonać zamachu na Dziewicę Marię przy użyciu mannlichera Oswalda, będę stał na czatach.
 - Chcesz powiedzieć, że nie mieścimy się w wytycznych.
 - Tak. Przekształcenie i improwizacja.
 - Skip? Co ty na to?
 - Poprowadzę samochód, którym uciekniesz.
 - Nie strzelamy do Najświętszej Dziewicy.
 - Mam czekać, aż mi powiecie? Czy zapytać?
 - Jesteśmy tu, żeby przedyskutować sytuację hipotetyczną.
 - Nie zamach.
 - Nie. Boże, nie.
 - Chodzi o operację polegającą na zmyleniu przeciwnika?
 - Więc pamiętasz naszą poprzednią pogawędkę. Naszą pogawędkę o hipotezach.
 - Mówiłeś o podwójnym agencie. Hipotetycznym podwójnym agencie.
- Wszedł pan Tho z tacą, na której niósł dwa dzbanki i kilka filiżanek. Amerykanom nalał kawy, Nguyenowi Ho podał herbatę. Opuścił pokój, stopą popychając psa.
- Pułkownik zamieszał kawę łyżeczką.
- Co to jest?
 - Zabielać? To zabielać w proszku.

- Śmietanka w proszku?
- Nie, zabielaacz.
- Boże, to się nie rozpuszcza. Z czego jest zrobione? Z gliny?
- Przywiózł go Hao. Zakładam, że na prośbę pani Diu.
- Jezu Chryste, smakuje jak czyjaś pachy.
- Wygląda na to, że znają to od wielu lat - powiedział Storm. - Taki zamach na cywilizację.
- Inżynierowie mogliby zbudować z tego solidną tamę. Powstrzymałaby potężne zwały wody. Dobra. Wracajmy do naszego *ruse de guerre*. Operacja.
- Podwójny agent. Hipotetyczny podwójny agent.
- Jego status uległ zmianie.
- Ile możesz mi powiedzieć?
- Wszedł w to. Przez jakiś czas wahał się w progu. Ale w święto Tet skoczył na główkę. Jest nasz. Jeśli go wykorzystamy, to na daleki zasięg i krótkoterminowo. Możemy więc zachować operację w rodzinie. Potrzebne ci jakieś informacje?
- Operacja w rodzinie. A rodzina składa się z...
- Nas trzech i siostrzeńca Hao, Minha, który pilotował mój helikopter. Lucky'ego. Poznałeś go. Lucky i nas trzech.
- Oraz Pitchforka.
- I Pitchforka, jeśli będzie nam potrzebny. Pitchfork jest w kraju.
- Myślałem, że Brytyjczycy nie biorą w tym udziału.
- Mają tu kilka oddziałów SAS w mundurach nowozelandzkich. A także kilku specjalistów w Zielonych Beretach. Anders jest na miejscu. Od lat służy w SAS.
- „Długoterminowo i na krótki zasięg” - co to znaczy?
- Na długi zasięg i krótkoterminowo, tak powiedziałem. Wyślemy go z powrotem na północ z fałszywymi informacjami. To pojedyncza operacja, dla niej cię tu sprowadziłem, Skip. Dla operacji Drzewo Dymu.
- Pułkownik czekał, aż Skip przetrze wiadomość.
- Skip nie doświadczał podniecenia, tylko letarg i smutek człowieka zamrażającego na śmierć.
- Jak bardzo wykroczyliśmy poza wytyczne?
- Wytyczne nie stosują się do sytuacji hipotetycznych. Urządzamy burzę mózgow.
- Więc nie będzie ci przeszkadzać, jeśli wcielię się w Dimmera?

- Jasne, że nie. Potrzebujemy adwokata Diabła.
- Myślę, że w tym przypadku Diabłem jesteś ty.
- Skipper stoi po stronie aniołów - odezwał się Storm.
- Zadaje trudne pytania. Ktoś musi. Zaczynaj. Co powiedziałby Dimmer?
- Mogę ci powiedzieć, jakie pytania by zadał. A w każdym razie te najważniejsze, które same mi się nasuwają.
- Na przykład.
- Czy jesteś w stanie kontrolować informacje przekazywane przez niego w obie strony?
- Nie. Nawet nie będziemy próbować. To pojedyncza, jednokierunkowa operacja. Może ją spieprzyć, nic ponad to. Nic innego mu nie dajemy.
- A jeśli ją spieprzy? Jeśli cię oszukuje?
- Pułkownik wzruszył ramionami.
- Kto nie ryzykuje i tak dalej. Następne pytanie.
- Powiedział ci wszystko? Albo przynajmniej tyle, by zacząć sprawdzać go na wariografie? Jakie masz informacje?
- Na razie mgliste. Wciąż jesteśmy na etapie oceny początkowej. Ty ją przeprowadzisz.
- Ja?
- Nie jesteś tu dla zabawy. Jesteś śledczym.
- Skip wbrew sobie wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze.
- No tak.
- No tak. Następne pytanie.
- Przypuszczam, że odpowiedź już padła. Na jakim etapie znajduje się ten proces? Poddano go badaniu na wariografie? Chociaż to możemy zrobić później.
- Nie chcę wariografów. Nie ufam tym maszynom.
- Dimmer mówi, że badania należy przeprowadzać regularnie. „Wariograf od początku i często”.
- Żadnego wariografu. Jest tylko jeden sposób na sprawdzenie człowieka, a jest nim krew. On dał nam krew swoich towarzyszy. To lepsze od wszystkiego, co mogą powiedzieć nam maszyny.
- Dlaczego nie zastosować obu sposobów?
- Tylko krew jest wiarygodna. On musi czuć, że mu ufamy. Czy ty ufasz mnie? Możesz przyjąć mój osąd?
- Tak jest, sir. Żadnego wariografu.

- Dziękuję, Skip. To wiele dla mnie znaczy. - Pułkownik otarł palcem górną wargę. Łącząc jakieś wewnętrzne wzdęcie i słońce zachodzące na jego twarzy, zdołał dać do zrozumienia, że zaufanie w jego osąd jest na wagę złota. - Co jeszcze?

- Pytanie za najwyższą stawkę.
- Strzelaj.
- Zgłosiłeś to?

Pułkownik wzruszył ramionami.

- Wezmę artykuł. - Skip wstał z fotela.
- Diabełek podskoczył - powiedział Storm.

Mimo iż materiał był tajny, trzymał go na biurku.

- Zawiera listę tego, co należy i czego nie należy robić - powiedział Skip, wracając do stolika. - Numer dziesięć.

- Tylko nie stój, proszę.

Skip usiadł.

- Numer dziesięć: „Nie planuj operacji zmylenia wroga ani nie przekazuj fałszywych informacji bez wcześniejszej zgody dowództwa”.

- O tym właśnie mówiłem - powiedział Storm. - Ale co tam, kurwa.

- Numer dwadzieścia: „Zdawaj raporty o podwójnym agencie regularnie, często i szczegółowo...” A popatrzmy tutaj, Diabeł przemawia głośno i wyraźnie: „Służby i oficer planujący wykorzystanie podwójnego agenta muszą starannie zważyć wynikającą z tego dla kraju korzyść netto i nigdy nie zapominać, że podwójny agent jest w swej istocie zaakceptowanym kanałem komunikacji z wrogiem”. To, o czym mówimy, urasta do nieautoryzowanego kontaktu.

- Wolę „autoryzowanego osobiście”.
- Autoryzowanego osobiście kontaktu z wrogiem.
- Hao, znajdź mi prawdziwe mleko, bardzo proszę.

Hao wyszedł z pokoju.

Pułkownik usiadł bardzo prosto, dłonie opierając na kolanach.

- Nikt w tym pokoju nie spotkał naszego hipotetycznego gościa. Na razie żadnego kontaktu nie nawiązano.

- Pułkowniku, dopóki jesteśmy sami.
- Racja. Mów.
- Rozumiem, że to operacja rodzinna i tak dalej. Ale czy koniecznie musimy rozmawiać w obecności Hao?

- Hao? Na tym etapie Hao wie więcej niż my. To on wprowadził naszego człowieka. On jest łącznikiem między nami a nim.

- Co naprawdę o nim wiemy?

- Naprawdę? A co naprawdę wiemy o kimkolwiek w tej sali luster?

- Naprawdę nic.

- OK. Oto praktyczna zasada: ufaj miejscowym. Czy kiedyś ci o niej mówiłem?

- Wiele razy.

- Nie możesz ufać wszystkim w tym kraju, ale komuś musisz. Kierujemy się intuicją. I powiem ci jedno - dodał pułkownik, kiedy Hao wrócił z dzbanuszkami - prosiłem o mleko i mam mleko. Z panem Hao zawsze tak jest. - Hao usiadł, pułkownik mówił dalej: - Panie Hao, planujemy osobiście autoryzowaną, obejmującą cały kraj operację zmylenia wroga. Wchodzi pan w to?

- Jasne - powiedział Hao.

- Wystarczy, Skip?

- Aż nadto.

- Jeszcze jakieś pytania?

- Całe mnóstwo - odparł Skip.

- Dobrze. - Pułkownik wyjął z kieszeni na piersi kilka kart katalogowych, z którymi Skip miał do czynienia aż za często, i rozpoczął prezentację.

- Sprawa jest jasna: obejmująca cały kraj operacja zmylenia wroga. Ale operacja musi mieć plan. Przejdźmy do tej fazy sytuacji hipotetycznej. Jak możemy wiarygodnie przekazać nasz produkt w ręce wroga? A dokładnie w ręce wuja Ho? Poprzez agenta, który pozwoli, by go pojmano i torturowano? Poprzez podwójnego agenta, który „kradnie” sfalszowane dokumenty? Zadanie w zasadzie niewykonalne, aczkolwiek połączenie obu tych opcji byłoby bliskie idealowi. Jeśli informacja będzie pochodziła z dwóch oddzielnych źródeł, zwiększy to jej wiarygodność.

- To wszystko jest zapisane na tych kartkach? - zapytał Storm.

- Jimmy, zaczynasz mnie nużyć - stwierdził pułkownik.

- Wszystko to jest hipotetyczne. - Skip czuł potrzebę upewnienia się.

- Tak, tak, nic nie jest ustalone. Na razie nie wiemy, co robimy. Dlatego go przesłuchamy. Ty go przesłuchasz. Nazywa się Trung. Ty mówisz trochę po wietnamsku, on trochę po angielsku. Obaj potraficie porozumieć się po francusku. Mam rację, Hao, on mówi po angielsku?

- Nie, pułkowniku, proszę mi wybaczyć. On nie mówi po angielsku. Wcale. - To było pierwsze całe zdanie wypowiedziane przez Hao od wejścia do pokoju.

- No dobrze. Po to Skip spędził rok w Carmel.
- Poradzimy sobie - obiecał Skip.
- Wiem, że tak. Panie Tho! - zawołał pułkownik.

Tho pojawił się w progu ze ścierką w dłoni (przypuszczalnie był po sześćdziesiątce, chociaż fizycznie sprawiał wrażenie człowieka w średnim wieku, to prawda, że filozoficznie dojrzałego, niewzruszonego) i uśmiechnął się promiennie, ponieważ pułkownik uśmiechnął się do niego pierwszy.

- Panie Tho, przerwa na bushmillsa.

Wszyscy wzięli szklaneczki bushmillsa zmieszanego z wodą. Nawet Hao, choć trzymał ją obiema rękami i nie pił. Mieszanka przepędziła bladłość pułkownika, wystarczyła połowa zawartości, by uratować go przed wszelkimi symptomami choroby. Wyraźnie był chory.

Bez śladu goryczy, którą sam potrafiłby stwierdzić, Skip zapytał:

- Zastanawiasz się, co robię?
- To samo, co my wszyscy: czekasz, aż pojawi się możliwość zrealizowania strategii. A na razie czym wypełniasz sobie czas?
- Niczym. Marnuję się tutaj. Jestem dekonwnikiem.
- To terminologia marines.
- Idealnie pasuje.
- Przed etapem, na który wkraczamy - powiedział pułkownik - kandydat musi wyrównać tempo. Posłuchaj: najbardziej przekonująca w przypadku naszego człowieka jest ta zwłoka i ociąganie. Mówi mi, że on wie, na czym polega ten krok. I szczerze przedstawia swoje wątpliwości.
- Tak - przemówił Hao. - On jest szczerzy. Znam go.
- Ale teraz poświęcił się sprawie - powiedział Skip.
- Przyłączył się do nas. Tak jest. Sytuacja wygląda następująco - odparł pułkownik. - Jest nasz i chcę, żeby tutaj z tobą pracował. Nie chcę go w Cao Phuc ani w Sajgonie. Musi być w miejscu, w którym dotąd nie działał.
- Ale z czego wynika zwłoka?
- On nie może ni z tego, ni z owego zniknąć. Należy do komórki. Komórka jest częścią sieci. Nie może ot, tak wyjechać na wakacje. Zaproponował wiarygodne uzasadnienie przeniesienia w ten rejon, tak przynajmniej zapewnia, ale to musi potrwać. Mówi, że to musi potrwać, a ja mu wierzę.

- Tymczasem jestem dekonwnikiem. Czytam Dickensa, jak wiesz.
- Oraz lana Fleminga. Przykro mi, że nie mogłem zdobyć Tołstoja.
- Przywieź cokolwiek, byle było grube albo pełne eleganckich tajnych agentów.

- Znasz Shella Scotta?
- Jasne. Czytałem całą serię. Autorem jest Richard S. Prather.
- A Mickeya Spillane'a?
- Wszystko. Kilkanaście razy.
- Henry'ego Millera?
- Możesz zdobyć Henry'ego Millera?
- Teraz jest legalny. Oddał sprawę do sądu. Przywiozę ci Henry'ego Millera.

- Zdobądź *Zwrotnik Koziorożca*. *Zwrotnik Raka* już czytałem.
- *Rak* mi się nie podobał. Nudny. Za to *Koziorożec* jest naprawdę dobry.
- No, no. Nie wiedziałem, że jesteś na bieżąco.
- Te powieści powstały w latach trzydziestych, synu. Panie Tho! - zawołał pułkownik. - Czuję zapach gotowania? - Osuszył szklanke. - Wyjdźmy, póki lunch się gotuje. Wybierzmy się na przejażdżkę.

- Albo na spacer - powiedział Skip. - Przy tej drodze jest tunel.
- Żartujesz? Tutaj?
- Mamy tutaj wszystkie nowości, wuju.
- Obejrzyjmy go - powiedział pułkownik. - I nie zapomnij o butelce.

Wyprawa okazała się porażką. Szli zygzakiem główną drogą, omijając kałuże.

- Nie mów mi o najnowszych wydarzeniach - powiedział pułkownik.
- Tylko o to proszę. Jezu Chryste, następny Kennedy. Czy nikt nie mógłby zabić wuja Ho? Ci ludzie pilnują interesów. - Zatrzymał się, jakby chciał podkreślić znaczenie swoich następnych słów, choć bardziej prawdopodobne było to, że musiał złapać oddech. - Skopiesz im tyłek w styczniu, w maju wrócą jaśniejący i weseli, gotowi na kolejną porcję naszej straszliwej przemocy. To jest ten tunel?

- To, co z niego zostało.

Pułkownik w milczeniu przebył ostatnie dwadzieścia metrów, po czym stanął nad tunelem, obecnie podmytym wgłębieniem w błękitnej skarpie.

- Nie, Skip, nie. Nie wydaje mi się. Widziałeś tunele w Cu Chi? Nie widziałeś, prawda? - Nazwę wymówił jak tubylcy, zabrzmiała więc „Guczł”.

- Nie, sir. Nie widziałem.
- To nie jest tunel, Skip. To wygląda bardziej na dzieło tego faceta. Raczej chciał dokopać się do jaskini albo czegoś w tym rodzaju, choć teren geologicznie nie sprawia wrażenia takiego, w którym są jaskinie, chyba potrzebny jest wapień, prawda?
- Jaskinia?
- Może jest tu podziemne pęknięcie. Szczelina w skale.
- Okay. Tak. Z całą pewnością fascynowały go jaskinie. Był nimi opętany. Przejrzałem jego notatki.
- Jasne. Ale to w żadnym razie nie jest tunel Wietkongu. Tunele Wietkongu tak nie wyglądają. Wchodzi się prosto w dół, przez co trudniej je zburzyć.

Skip nie potrafił stwierdzić, czy pułkownik jest rozczarowany samym tunelem, czy także bratankiem.

Zostawili tajemnicę i wrócili sprawdzić, co z lunchem. Skip usiłował opanować irytację - tunel nie był tunelem. Przypuszczalnie nie był nawet jaskinią. Czuł się oszukany przez zmarłego. Bouquet go zawiódł.

Koło niskiej furtki willi pułkownik ujął Hao pod ramię. Opierając się na ramieniu niższego mężczyzny, pochylił się, by podnieść gałąź odłamana podczas niedawnej burzy, jakby nagle zainteresowały go skutki działań żywiołów, i wykorzystał ją jako laskę.

Pani Diu przygotowała lunch. Od razu zajęli miejsca za wielkim lakierowanym stołem, przy którym (tak wydawało się Skipowi) Tho usługiwał w cokolwiek oskarżycielskim nastroju: przez szesnaście miesięcy poza księdzem to byli pierwsi goście przyjmowani posiłkiem. Dzisiaj serwowano miejscowe dania, rosół wołowy z makaronem i listkami mięty oraz fasolkę. Za to pokrojony w kromki chleb prosto z pieca był amerykański, masło także. I kolejki bushmillsa. Nie podano pałeczek, nawet dla Hao. Hao nie dostał też bushmillsa. Na deser zjedli coś w rodzaju puddingu zrobionego z guajawy.

- Za Irlandczyków - zaproponował pułkownik, rozprawiwszy się z drugą, a może trzecią, jak obawiał się Skip, butelką.
- Nazwisko Sands nie jest irlandzkie - zauważył Storm.
- Nie mówimy o tym - przyznał Skip.
- Nie? - zapytał pułkownik.
- No, nie wydaje mi się, żebyśmy mówili.

- Zaczynaliśmy jako Shaughnesseyowie. A na statku nagle zmieniliśmy się w Sandsów.

- Tak opowiadała mi ciotka Grace. Przez całe moje życie dla matki to była wielka tajemnica i skandal.

- Nie, to tylko powód do śmiechu i drobnego wstydu. Co u twojej mamy?

- Wszystko dobrze, tak przypuszczam. Dostaję od niej listy. Posyłam jej kartki.

- Tak czy owak, koledzy, nie wznosiłem toastu za cały naród, tylko za moją starą drużynę, Walecznych Irlandczyków z Notre Dame. Powiedziałbym, że większość z nich to Polacy. W każdym razie tak było za moich czasów; hej, popatrzcie na Skipa. Popatrzcie na jego twarz. Myśli, że stary zaczyna swoje.

- Nie przeszkadzaj sobie, wuju. Jestem dostatecznie wstawiony, jeśli faktycznie zaczynasz.

- Tak, tak, tak, wypełnia mnie gorący gaz. Mógłbyś moimi wspomnieniami napędnąć balon. No dalej, zmień temat.

- Ten twój artykuł. Nie zrozumiałem go.

- Ja też nie.

- To właściwie nie jest zmiana tematu, o ile tematem jest gorące powietrze.

- Jestem odporny na krytykę.

- Mnóstwo dziwnych terminów. „Izolowana działalność”.

- Izolowana działalność: podejmowanie inicjatywy, to jest chwywanie byka za rogi, podczas gdy dowództwo siedzi na dupie.

- I inne.

- Jakie? Jestem twoim słownikiem.

- Nie pamiętam.

- Żargon jest ważny. Trzeba brać pod uwagę potencjalnych odbiorców.

Dla tych ludzi najistotniejszy jest bełkot. Czytałeś *Politykę i język angielski*?

- Uch, George Orwell. Tak.

- Czytałeś?

- Tak. Oraz *1984*?

- No cóż, tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty nadchodzi. I nie zajmie mu to siedemnastu lat.

- Wszystko jedno - powiedział Skip.

- Raczej szesnaście - oznajmił Storm.
- Szesnaście co?
- Do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego zostało szesnaście lat.

- Zaraz, poczekaj. Osiemnaście. Osiemnaście.

Storm wybuchnął śmiechem, machając kromką chleba nad krótko ostrzyżoną głową.

- Ludzie, wróg tego nie robi - powiedział pułkownik.

- Czego?

- Dodawania i odejmowania.

- A co robi wróg, pułkowniku?

- Tnie na kawałki nasze niewypały i odstrzeliwuje nam jaja. Żyje w dziurach w ziemi. Nie je puddingu. W imię zwycięstwa pożera własne dzieci. Z tego składają się jego posiłki. Więc musimy to wykorzystać. Obecnie mamy jednego po naszej stronie. Sam mógłby wyciąć w pień połowę naszej piechoty. Przekroczył każdą bramę - znacie „trzy bramy” Wietkongu? Krew, więzienie i czas spędzony na północy, on wszystko ma za sobą. Hao może wam powiedzieć, ten gość walczy od czasów Francuzów. Był więźniem na Con Dau. Po podziale poszedł na północ i został poddany indoktrynacji. Wrócił na szlak wuja Ho i od tamtego czasu robił wszystko, co najgorsze. Kilka lat temu w Cao Phuc próbował mnie zabić.

- Żartujesz.

- Mniej więcej w rok po zamachu na Kennedy’ego, powiedziałbym, że pod koniec sześćdziesiątego czwartego. Dwa i pół roku temu. Powiedział o tym Hao.

Odwrócił się do Hao, który pozostawał niewidzialny, mimo iż siedział przy stole.

- Tak mówił - potwierdził.

- Rzucił granat do świątyni, w której byłem. To prawdziwy twardziel.

Miał marny chiński granat.

Skip z otwartymi wbrew woli ustami przyglądał się wujowi - pijanemu, przestarzałemu - i myślał, że nie można go zabić.

- Pytanie przy tego rodzaju zaangażowaniu brzmi: Co go skłoniło do takiego kroku? Co on mówi, panie Hao?

- Nie wiem - odparł Hao.

- To jest element, który mi się nie podoba. Wcale mi się nie podoba.

- Nie wiem - powtórzył Hao.

- Posłuchajcie, posłuchajcie - odezwał się Skip, który nagle poweselał - musimy stworzyć fałszywą informację, fikcję. Mógłbym wam pomóc.

- Po to przebyłeś siedem tysięcy mil. Przypuśćmy rzecz następującą. Przypuśćmy, że podczas bombardowania ambasady w zeszłym roku jakieś dokumenty rozwiął wiatr. Powiedzmy, że jest to stenopis narady, spotkania kilku starych piratów, który twierdzą, iż są w posiadaniu bomby atomowej. Ci straszni ludzie chcą ją przeszmuglować do Hanoi i zakończyć całą tę idiotyczną sytuację. Która ich zdaniem pozbawiona jest sensu. Która w istocie pozbawiona jest sensu.

- Poczekaj - wtrącił Skip - to nie może być narada dotycząca... jakkolwiek to nazwiesz... intrygi, nie samej intrygi, ale prób jej powstrzymania. Innymi słowy, to nie są spiskowcy, tylko ludzie będący na ich tropie.

- Rozumiem.

- Ja nie - oznajmił Jimmy Storm.

- Dokumenty nie zawierają protokołu ze spotkania konspiratorów - ciągnął Skip; czuł, jak od bushmillsa szumi mu w uszach - nie mówią o spisku, ale o ludziach oceniających... - Z wysiłkiem usiłował zapanować nad sobą. - ...postęp spisku. Tak więc jest to zakodowany protokół...

- Nie zakodowany, tylko kilka oddartych fragmentów, które ocalały z bombardowania. Kilka strzępów... - Pułkownik zastanawiał się w milczeniu.

Skip żałował, że powrócił do tematu. Pułkownik miał rację, zakazując picia podczas dyskusji. Teraz znowu o tym mówili, a on nie wiedział, co wygaduje. Ale pułkownik uniósł szklaneczkę do ust i było po sprawie.

- Dajcie mi gigantów! - powiedział pułkownik. - No wiecie, z miłości do... Johnny'ego Brewstera? Całą wojnę siedzi w Waszyngtonie, gra w piłkę i knuje, jak zlikwidować operację w Cao Phuc. Teraz została zlikwidowana, od pierwszego września będzie po wszystkim, szlus, koniec. Skurwiel był w OSS. Walczył na wojnie: John Brewster musi wiedzieć albo kiedyś musiał to wiedzieć, na pewno budzi się czasem w środku nocy i myśli: Zaraz, zaraz, czy tu nie chodziło o coś innego? Ale zanim zdąży sobie przypomnieć, że chodzi o przetrwanie wolności, o uratowanie ludzi i światła świata, małostkowość i idiotyzm jego snów sprawiają, że głowa ciężko opada mu na poduszkę i dalej smacznie sobie chrapie. A następnego dnia rano znowu najważniejsze jest Langley. Wojna toczy się w Langley, prowadzą ją faceci tacy jak on z facetami takimi jak ja, i dotyczy wyłącznie Agencji. Czego zdaniem

takich facetów Stany Zjednoczone usiłują dokonać w Wietnamie? Nie, poczekajcie - ci skurwiele w Langley, ci skurwiele w Pentagonie. Ci skurwiele! Nie wiedzą. Po prostu nie wiedzą.

Pochylił głowę.

- Pułkownikowi - powiedział Jimmy Storm.

Pułkownik uniósł głowę.

- Pułkownikowi.

- Tak.

- Rozpierdoliłeś mnie - powiedział Storm.

- Czy to komplement?

- Tak, kurwa.

- Zaprowadź mnie do samochodu - powiedział pułkownik.

Hao wstał. Poza tym nie wykazał żadnej inicjatywy.

- Hej, chłopaki, hej, dlaczego nie zostaniecie na noc?

- Nie, Skip, nie. Lepiej wrócimy.

- Zabierzcie mnie ze sobą. Chciałbym pokręcić się po Sajgonie. Tylko przez weekend.

- Nie możesz być w mieście, Skip.

- Daj spokój, byłem tutaj w święto Tet.

- Współczułem ci. Ale nic poza tym. Jesteś żołnierzem.

- Zostańcie. Proszę. Możemy zagrać w pokera.

- Masz karty? - zapytał Storm.

- Tak. Tak. Zostańcie.

- Nie. Musimy wracać.

- Jestem dekwonikiem.

- Myśli, że jest pięknym dzieckiem we mgle.

- Ojej, to Wiek Amerykański - powiedział Skip.

- Zostanie rock'n'roll - powiedział Storm.

W dobrym nastroju i pijany, Skip Sands z CIA wstał i ruszył w kierunku schodów. Czuł się dostatecznie pewnie, żeby wejść po schodach i odnaleźć pokój, ale za bardzo odurzony, żeby się położyć, usiadł więc na krześle, stopy opierając na pofalowanym, rozkołysanym łóżku.

Obudził się z godzinnej drzemki i wyszedł na werandę, gdzie wypił gorącą mocną kawę, mniej orzeźwiająca niż niesamowity zawrót głowy na widok panoramy własnych pomyłek, błędnych działań, które podjął, podążając za wujem, pierwotnym Człowiekiem Akcji. Neandertalczyk, takiego terminu

użył Rick Voss. Pan Tho przyniósł zapalone kadzidelko na moskity i postawił na oparciu drugiego fotela, i proszę, oto uosobienie prostoty, rozżarzone kadzidelko o ohydny zapachu, pomarańczowa kropla wznosząca się krętą ścieżką ku zniszczeniu i nieistnieniu. Czuł się otoczony, obłożony, wypełniony podobnymi do tego węzowymi wyobrazeniami: tunele, projekt Labirynt, wijące się katakumby ludzkiego ucha... Ponad tym wszystkim górował jednak centralny i zupełnie inny obraz: Drzewo dymu. Tak, jego wuj zamierzał przyjąć postać mrocznej zjawy i oszukać całą CIA, istotę jej działania, odwrócić bieg nieodwracalnych nurtów. Albo zaatakować je na boisku do piłki ręcznej.

Ze względu na wartości odżywcze poprosił o prawdziwe mleko do kawy. Smakowało całkiem podobnie do tamtej kredowej substancji. Nowy pies wszedł między jego rozstawione kolana, zbliżył nos do filizanki i zaczął chleptać z melodyjnym, bulgoczącym pomrukiem.

Wuj F. X., słup ognia, drzewo dymu, zamierzał wyhodować wielkie drzewo, wypuścić chmurę w kształcie grzyba - jeśli nawet nie prawdziwą nad gruzowiskiem Hanoi, to zaszczerpić jej przerażającą możliwość w umyśle wuja Ho, Króla Wroga. I kto może powiedzieć, że deliryczny stary wojownik nie trafił w samo sedno? Wywiad, dane, analizy niech idą do diabła; do diabła z rozumem, kategoriami, syntezą, zdrowym rozsądkiem. Wszystko to ideologia, wyobrażenia, sztuczki magiczne. Ognie rozpalające umysły i zagrzewające ludzi do działania. Zastraszające sumienia. Wszystko - nie tylko materia historii, ale materia samej rzeczywistości, myśli Boga - to fajerwerki nieme i oczywiste: płonące, rozszerzające się w nieskończoność wzory.

Uświadomił sobie, że w każdej chwili aż do, teraz mógł po prostu powiedzieć wujowi, że chce wrócić do domu. Ale nie mógłby uciec zbyt daleko, dostatecznie głęboko, i zwalić nieba na podobną do kowadła głowę wuja. Nie zobaczyłby, jak ta głowa nisko się pochyla.

Zawołał Tho na werandę.

- O co chodzi z tym psem?
- *Le medicin* - odparł Tho.
- To pies doktora?

Tho pokiwał głową, decydując się na potwierdzenie, i wyszedł.

Niedługo potem przyszła pani Diu.

- Pan Tho mówi, że pies ma ducha doktora Bouqueta. Kiedy doktor umiera, po jednym roku przychodzi pies.

- Doktor Bouquet odrodził się w tym psie?
- Tak. Doktor Bouquet.
- Pani Diu.
- Tak, panie Skip.
- Dlaczego Tho nie chce ze mną rozmawiać po angielsku?
- On nie mówi.
- Nie mówi po angielsku? Albo wcale nie mówi.
- Tak, czasami - odparła. - Nie wiem.
- Dobrze. Mam nadzieję, że to wszystko wyjaśnia.

Pies był teraz na dziedzińcu, podnosił nogę pod drzewem papai. W pobliżu oparty na grabiach pan Tho podpalał stos śmieci. Skip podziwiał papaje za ich wysmukłość, strzępiaste korony i owoce zebrane w grona wokół gardeł... Stary papasan cofnął się i obserwował płomień, podczas gdy jego odrodzony pracodawca zwinął się w ciasny kłębek i zaatakował pchły przy ogonie.

- Przepraszam, panie Skip. - Pani Diu wciąż nad nim stała. - Chce pan kolację?

- Niech się zastanowię. Później pani powiem.

Nie wszystko naraz. Może pośle po père Patrice'a, zaprosi go na kolację. W obecności księdza w charakterze pokuty zmusi się do zjedzenia doprowadzającej go do mdłości potrawy. Zasnął jednak i tę decyzję podjął we śnie. Obudził się o dziewiątej wieczorem, taką godzinę wskazywał lotniczy zegarek. Ciemność miękka jak aksamitna gaza, żarzące się ognisko, Bouquet w psim wcieleniu pochrupający u jego stóp. Skip był głodny, ale życie jest dziwaczne. Poszedł do łóżka.

Porucznik Prawiczek był jędrnym, muskularnym, żarliwym młodzieńcem, który koszulę nosił w spodniach, a pasek za wysoko. Nie palił i pił oszczędnie, podejrzliwie. Dużo rozprawiał o mikrobach. Głowę zaprzętały mu choroby tropikalne. Najwyraźniej przeczytał książkę o błyskawicznych, przerażających rzeczach, na które nie ma szczepionki. Jeśli chodzi o wroga, nie wierzył w jego istnienie. Wróg wcale go nie przerażał.

- Mam zamiar zrobić wszystko, co się da w tym pojebanym teatrze - powiedział Prawiczek sierżantowi Burke'owi. - Nie mów mi o pierdoleniu, jeśli jest nielegalne, nieuzasadnione i grzeszne. Dzisiaj jesteśmy bohaterami, jutro nazistami. Nigdy nie wiadomo. W tym cyrku wszyscy gówno wiedzą. - Było to nastawienie odświeżające, może nawet niezwykle inspirujące. Wszyscy

inni podążali w przeciwnym kierunku. - Chodziłem z Darlene Taylor, dopóki ten hippis nazwiskiem Michael Cook nie zaprosił jej na imprezę, gdzie nafaszerował ją prochami i przeleciał, zmieniając w hippiskę, a jeśli zły hippis Michael jest przeciwko wojnie, to ja jestem za. Tylko tyle muszę wiedzieć. - Prawiczek wcale nie wyglądał na prawiczka. Nie wiedział, w jakim jest kraju, ale we wszechświecie czuł się jak w domu.

Był szybki, dokładny, oddany sprawie. Dwie doby zajęło mu przyzwyczajenie się do strefy czasowej, trzeciego dnia rano obudził się, rozejrzał dokoła czystym wzrokiem i zażądał wszystkich materiałów, które mogą poszerzyć jego wiedzę o tutejszych tunelach Wietkongu. Sprowadziło się to do kilku chłopaków i paru pomiętych rysunków sporządzonych przez kaprała Kowboja dla starego, poprzedniego, byłego, porucznika Popierdolonego.

Powiadano, że Popierdolony pojechał do Tan Son Nhut, gdzie załapał się na lot MAC-V do Honolulu, a następnie zniknął w gigantycznym ulu ojczyzny.

Prawiczek spędził poranek w swoim blaszaku z rysunkami kaprała Kowboja rozłożonymi na składanym stoliku służącym mu jako biurko. Zażądał kreatywnego wkładu od swojego sierżanta.

- Jest jakiś radar albo sonar, które moglibyśmy wykorzystać do skutecznego rozprawienia się z tym gównem? No bo chcemy tylko wiedzieć, gdzie te tunele są zlokalizowane. Nie musimy się czołgać w środku, żeby to ustalić? Jesteśmy robalami, węzami albo inną gadziną? Czy raczej wyprostowanymi dwunożnymi istotami ludzkimi z mózgiem, dzięki któremu możemy problem rozwiązać?

- Nie wydaje mi się, żebyśmy musieli to robić, sir.

- Co?

- Nie wydaje mi się, żebyśmy musieli sporządzać mapę tych dziur.

- Otrzymałem wyraźne rozkazy, żeby to zrobić. To nasz jedyny cel przebywania w tej okolicy Wiesz, co w przeciwnym wypadku nas czeka? Pójście trasą numer jeden i wdychanie jakiegoś świństwa, które nas zabije. Taką mamy alternatywę. Chmury Bóg wie czego rozwałą nam płuca i bez cienia wątpliwości wysterylizują jądra.

- Wyraźne rozkazy, sir, to znaczy rozkazy na piśmie, sir?

- To znaczy, że są wyraźne w moim umyśle, bo tak je zinterpretowałem. Chcesz, żebym napraszał się o pisemne potwierdzenie? Na szkoleniu oficerów rezerwy nie nauczyli mnie, kurwa, jak przetrwać w tym gównie, za

to wbili mi do głowy, żeby nie szarpać za rękaw przełożonych ani w żaden inny sposób nie zwracać na siebie ich uwagi.

- Zachęcam pana do stosowania tej strategii, sir - powiedział Burke. - Ale są oddziały, nazywane szcurami tunelowymi, które tam zejdą. Mogę sprawdzić, czy uda się któryś tutaj przydzielić.

- Do pierwszego września jesteśmy pod rozkazami Op Psy z CIA, potem istnieje szansa, że pojedziemy do domu. Tylko szansa, powtarzam.

- Sir. Powszechnie się uważa, że pułkownik F. X, całkiem odleciał.

- Daj temu spokój. Nie masz o tym pojęcia.

Prawiczek krążył bez kapelusza pod rozżarzonym niebem. Sprawiał wrażenie do głębi przerażonego, choć nie wojną czy własnymi obowiązkami. Bał się czegoś większego. Był kosmicznie zalękniony.

Dla plutonu Echo różne podejścia do śmieci prezentowane przez Popierdolonego i Prawiczka okazały się szalenie irytujące. Popierdolony pozwalał, żeby stos śmieci rósł, aż sierżant, najpierw Harmon, potem Ames, w końcu Burke kazał im oczyścić teren, Prawiczek natomiast chciał, żeby robiono to regularnie, tik-tak, wszystko miało znikać od razu. Pod wieloma względami Prawiczek był bardziej popierdolony niż Popierdolony. Popierdolony w stosunku do śmieci nie wykazywał irracjonalnego podejścia. Był tylko niezwykle drażliwy w każdej innej sprawie.

Czarny strzelał palcami, krzywił twarz, mrużył oczy i zaraz je wytrzeszczał, dokładając wszelkich starań, by przekazać swą myśl Jamesowi, który zmierział do baraku Prawiczka.

- Idziesz na Wietnamca, prosto na niego, prosto przez niego, zamieniać się i nie ty wracasz z nami, ze swoimi kumplami, człowieku, tylko on. I nie on idzie z Wietnamcami, żeby w kucki jeść ten klejący ryż, człowieku, nie on, tylko ty. Och, rozwalają nas na każdy idiotyczny sposób.

- Czarny.

- Taa, dziecinko.

- To ja.

- Och. Och. Kurwa, tak. Tak, to ty. Idziesz zobaczyć się z nowym chłoptasiem?

- Na to wygląda.

Dzisiaj Czarny bez przerwy gryzł wargi.

- Jest prawiczkiem, ale zachowuje się, jakby o tym nie wiedział.

- Jak leci? - zapytał James.
 - Okay. Okay. Kilka demonów przestało mnie pożerać.
- James nie widział Czarnego od dawna. Od święta Tet.
- Myślałem, że wyjechałeś.
 - To był drobiazg. Okazało się, że cała ta krew płynęła z jednej małej żyłki. Kurwa. Nie słyszałeś, że o mało nie odwalilem kity?
 - Trafiła cię kula?
 - Nie. Dostałem w barze Tu Do. Czarnuch poszedł za mną do kibla.
 - Dostałeś w bójce na noże?
 - Skurwiel rozbił butelkę i dźgnął mnie w ramię, jak się odlewałem.
 - Dostaniesz Szkarłatne Serce za takie gówno?
 - O mało nie wykitowałem dla mojego kurewskiego kraju, a teraz wróciłem i czuję twój zapach. Śmierdzisz.
 - Nic o tym nie wiedziałem.
- Gałki oczne Czarnego drżały pod czaszką.
- Widziałem sierżanta - powiedział James. - Pamiętasz sierżanta Harmona? Sierżanta sztabowego Harmona?
 - Taa, Harmon. Sierżant. Taa. Widziałeś go? Niedawno?
 - Nie. Zaraz potem.
 - Zaraz po złej rzeczy?
 - Taa - potwierdził James.
- Stali w prostokątnym cieniu rzucanym przez wschodni bok baraku. James usiadł, opierając się o ścianę, ale Czarny nie był w stanie.
- Hej, człowieku, powiedz mi, jak się nazywasz.
 - Ty chyba śnisz!
 - Więc powiedz mi przynajmniej, jak masz na imię.
 - Charles. Charles Blackman.
 - Blackman?
 - O to mi chodzi. Takie kurewstwo. Takie nazwisko.
 - O jasny gwint. Takie nazwisko.
 - Idziesz zobaczyć nowego porucznika?
 - No tak.
 - Niezły jest.
 - Taa. Kula ognia.
 - Charles Blackman.
 - Widzisz?

- Podejrzewam, że są biali, którzy nazywają się Whiteman*.

* Blackman: czarny człowiek. Whiteman: biały człowiek.

- Tak, tak, ale nie słyszę śmiechu, łapiesz?
- Śmieję się z ciebie, ale robi mi się przy tym smutno.

Trzasnęły drzwi. Mały sierżant z Op Psy wyszedł z baraku i usiadł naprzeciwko Jamesa jak Indianin na naradzie wojennej.

- Kolejny idealny dzień - oznajmił. - Czy o tym wiemy, czy nie.
- Nie wydaje mi się.

Sierżant odczytał nazwisko Jamesa z naszywki i powiedział:

- Więc J. Houston. A „J” co oznacza, jebnięty? Tylko żartuję. Przepraszam. Dzisiaj rano jestem idiotą, cholera. Założę się, że nigdy nie byłeś w Houston.

- Nie. Pochodzę z Phoenix.
- Gorąco tam. Od czego skrótem jest „J”?
- Od Jamesa.
- Wołają cię Jimmy?
- Czasami, ale mówię im, żeby tego nie robili.
- Mnie wołają Jimmy. Przypadkiem nie mów do mnie James. Wołę Jimmy'ego. Nigdy nie mów do mnie James. Zachowajmy luźny styl. W Phoenix jest gorąco. Temperatura przekracza sto. Sto dwa, sto trzy, sto cztery.

- Ty jesteś ten gość z Op Psy?
- Tak.
- Jezu.
- Co.

James tylko pokręcił głową.

Jimmy położył się, naciągając czapkę na twarz.

- Tu też jest gorąco. Vii-jet Nam. To znaczy „nieustannie oblewać się potem” w ich pierdolonym języku.

Drzwi znowu trzasnęły. Wszedł jakiś facet i nie odzywając się do nich słowem, ruszył ku latrynom. Storm skoczył na równe nogi.

- Kolej na Phoenixa Houstona.

Wszedł z Jamesem do środka, stanął obok sierżanta Burke'a i słowem się nie odezwał. Prawiczek zabrał głos.

- Kapral Kowboj.
- Tak jest, sir.

- Myślałeś, że nie zajmę się tobą?

- Po prawdzie, sir...

- Najgorsze zostawiłem sobie na koniec.

James rozejrział się za krzesłem, ale Prawiczek miał tylko jedno.

- Zostało nam sześćdziesiąt sześć dni na załatwienie tej sprawy.

- Tak jest, sir.

- Zanim rozwiążemy ten problem i wszyscy wrócimy do dwudziestej piątej kompanii piechoty.

- Tak jest, sir.

- Mieliśmy dziewięćdziesiąt dni, ale dwadzieścia cztery zmarnowaliśmy. A skoro o tym mowa, w lutym dwadzieścia jeden dni byłeś na samowolce. Znam twoją historię - mówił porucznik. - Gdzie byłeś, demonstrowałeś na konwencji demokratów?

- Gdzie?

- Na ogólnokrajowej konwencji demokratów?

- Sir - wtrącił sierżant Burke - konwencja odbyła się w zeszłym tygodniu.

- Dokąd uciekłeś, kapralu?

- Wykonywałem zadanie specjalne.

- Nie. Byłeś na samowolce i chlałeś, ale pułkownik załatwił to z moim poprzednikiem. Powiedz: tak jest, sir.

- Tak jest, sir.

Porucznik spojrział na sierżanta z Op Psy, jakby oczekiwał komentarza. Żaden nie padł. Porucznik mówił dalej:

- Chcemy koncentracji, co oznacza, że chcemy misji, co oznacza, że chcemy celów. W przeciwnym razie odwołają nas i wyślą trzydzieści kilometrów w tamtą stronę, do najbardziej przerażającego miejsca na ziemi. Widziałeś ugory wzdłuż trasy numer jeden?

- Tak jest, sir.

- Nasza misja to sporządzenie mapy tutejszych tuneli. Ty jako jedyny schodziłeś pod ziemię.

- Ja? - zapytał James.

- Zszedłeś do tunelu.

- W pewnym sensie, rozumie pan - powiedział James. - Sir.

- Dobra, jak brzmi twój raport?

- Nie wiem. To znaczy co?

- Co widziałeś?
- Tunele.
- Ale jakie one są? Opowiedz mi coś.
- Ściany są bardzo gładkie.
- Co jeszcze?
- Bardzo tam nisko. Nie można się wyprostować.
- Trzeba się czołgać?
- Czołgać nie, ale trzeba cały czas się schylać.
- Musisz być chory psychicznie - powiedział Prawiczek.
- Bez dwóch zdań, sir - odparł James.
- Chciałbym, żebyś wrócił do tuneli i sporządził dokładne plany, a nie to byle jakie rysunki. Podobało ci się tam, prawda?
- To niezupełnie tak.
- Cóż, cholera, teraz wszystko jest niezupełnie tak. Ale tobie trochę się tam podobało.
- Niech się pan nie krępuje i zgłosi mnie na ochotnika, jeśli to pana kręci - powiedział James.
- Posłuchaj, żołnierzu, chcę utworzyć rejon mniej więcej dwa na dwa kilometry, w którym będę znał każde stworzenie żyjące w tych tunelach.
- Wie pan, tu jest tylko sześć tuneli. Byłem we wszystkich, one prowadzą donikąd. Prawdziwe tunele są na północ od nas. Na północny zachód.
- Nie mów mi tego. Odbierasz mi powód do życia.
- Chcę zwrot kosztów za moje wyposażenie.
- Twoje wyposażenie, powiadasz.
- Zapłaciłem dwieście osiemdziesiąt pięć za broń, tłumik i czołówkę. Powinienem je dostać z przydziału, ale gdybym liczył, że armia mi je da, czekałbym do teraz.
- Mówisz, że chcesz dwieście osiemdziesiąt pięć dolarów?
- Tak jest, sir.
- Co masz na biodrze?
- Hi-Power.
- Gdzie w takim razie jest twój kaliber 380 do tuneli?
- To trochę skomplikowane.
- Naprawdę? A jest coś, co nie jest trochę skomplikowane w tym pojebanym cyrku?
- Nic.

- Dwieście osiemdziesiąt pięć?
 - Plus minus.
 - Gdybym mógł dostać żywą gotówkę, byłbym bogaty. Ale mogę złożyć zamówienie na wyposażenie do tuneli. To wydaje się rozsądniejsze.
 - Więc niech pan złoży. Ja je sprzedam i wyjdę na swoje.
 - Zamierzasz zrobić ze mnie wspólnika na czarnym rynku?
 - Ja tylko głośno myślę.
 - Nie zniosę ludzi, którzy myślą. Nie mogę na to pozwolić.
 - Tak jest, sir.
 - Na razie przez sześćdziesiąt sześć dni na każde skinienie będziesz sobie wypruwał flaki dla plutonu Echo. Żadnych urlopów, żadnych przepustek, żadnego piwa w Fioletowym Barze. Powiedz tak jest, sir.
 - Tak jest, sir.
 - Odmaszerować i do roboty.
- James odwrócił się do wyjścia.
- Dobrze. Poczekaj.
 - Tak jest, sir.
 - A jak wypuszczę cię ze swoich szponów po tych sześćdziesięciu sześciu dniach, co masz zamiar robić?
 - Jadę do Nha Trang na szkolenie rozpoznania.
 - Nie pierdol. Do obozu Recondo na szkolenie specjalne? To szkolenie zawodowe, człowieku.
 - Wiem.
 - A wiesz, przeciwko komu ich szkolą?
 - Tak.
 - Przeciwko siedemnastej dywizji armii północnowietnamskiej. Wysyłają cię na patrol i czekają, kto kogo załatwi.
- Mały sierżant z Op Psy roześmiał się zadowolony.
- Spieprzysz szkolenie, to jesteś martwy i grzybki wyrosną z twojej dupy - powiedział.
 - Zamknij się, sierżancie, bardzo proszę. Kapralu, to twoja druga tura?
 - Tak jest.
 - Zostawią cię na trzecią.
 - Mnie to pasuje.
 - Odmaszerować - powiedział porucznik. - Powodzenia. Odmaszerować.

Późnym popołudniem obudziły go kłótlive wołania ptaków. W łazience na piętrze obmył się gąbką moczoną w wodzie oraz w alkoholu ze względu na jego chłodzące działanie. Włożył wojskowe kąpielówki, wsunął stopy w japonki i zszedł na dół.

- Panie Skip, czas na herbatę? - zapytał po angielsku pan Tho.

- *S'il vous plaît* - odparł Skip. Usiadł przy biurku i zabrał się do pracy nad fragmentami tekstu, zanim jeszcze podano herbatę i myśli oczyściły się ze snów, często bowiem przekonywał się, że to idealny stan do odkrycia znaczenia obcej frazy, dostrzeżenia jej błysku. Nie zapalał lamp, pracował w zapadającym powoli zmierzchu. Podczas przerw spoglądał na porcelanowy model ludzkiego ucha, przesunął palcem po delikatnym *Labirynthe membraneux: Utricule* i *Saccule*, po *Canal edolymphatique* i *Nert vestibulaire*, po *Ganglion de scarpa* i *Ganglion spinal de corn* - a potem

Si incroyable que cela paraisse, les Indiens Tarahumaras vivent comme s'ils étaient déjà morts...

„Aczkolwiek wydać się to może niewiarygodne”, brzmiało tłumaczenie Sandsa, „Indianie Tarahumara żyją tak, jakby już byli martwi...”

Il me fallait certes de la volonté pour croire que quelque chose allait se passer. Et tout cela, pourquoi? Pour une danse, pour un rite d'Indiens perdus qui ne savent même plus qui ils sont, ni d'où ils viennent et qui, lorsqu'on les interroge, nous répondent par des contes dont il ont égare la liaison et le secret.

Wiara, że coś się wydarzy, wymagała z mojej strony świadomego aktu woli. A to wszystko po co? Dla tańca, dla rytuału zaginionych Indian, którzy nawet nie wiedzą, kim są ani skąd pochodzą, a w odpowiedzi na nasze pytania snują historie, choć ich wątek i tajemnica dawno im już umknęły.

Codziennie po południu po długiej drzemce bawił się w tłumaczenia przy wtórze ptasich krzyków, jednych nagłych, innych badawczych, pytających,

ekstacycznych, zmartwionych, bardziej zrozumiałych, przynajmniej w swej intencji, niż tajemnicza pieśń Monsieur Artauda:

Il me sembla partout lire une histoire d'enfantement dans la guerre, une histoire de genèse et de chaos, avec tous ces corps de dieux qui étaient taillés comme des hommes, et ces statues humaines tronçonnées.

Odnoszę wrażenie, iż wszędzie czytam historię narodzin w czasie wojny, historię genezy i chaosu, we wszystkich tych ciałach bogów, którzy wyrzeźbieni są na kształt ludzi, i w tych pozbawionych kończyn posągach ludzi.

Ten Artaud brzmiał surowo. Może traktował rzecz poważnie. Może istotnie coś odkrył. Za to E. M. Cioran. Cioran. Jego wywody były dekadencje. Były... bezproduktywne i wyśmienite:

Cet état de stérilité où nous n'avancons ni ne reculons, ce piétinement exceptionnel est bien celui où nous conduit le doute et qui, à maints égards, s'apparente à la „sécheresse” des mystiques.

Ów stan sterylności, w którym ani nie robimy postępu, ani się nie cofamy, owo dreptanie w miejscu jest dokładnie tym punktem, do którego prowadzi nas zwątpienie, stanem, który pod wieloma względami przypomina „suche miejsca” mistyków...

...nous retombons dans cet état de pure indétermination où, la moindre certitude nous apparaissant comme un égarement, toute prise de position, tout ce que l'esprit avance ou proclame, prend l'allure d'une divagation. N'importe quelle affirmation nous semble alors aventureuse ou dégradante; de même, n'importe quelle négation.

...popadamy w stan czystej nieokreśloności, w którym - jako że wszelka pewność wydaje nam się zakrętem prowadzącym w nicość - każde postanowienie, wszystko, do czego duch dąży albo co oznajmia, ma charakter dywagacji. A wówczas wszelkie potwierdzenie, nieważne,

czego dotyczące, wydaje się lekkomyślne lub poniżające; to samo odnosi się do wszelkich zaprzeczeń.

Sprawdzi, czy istnieje przekład angielski. Czytać i czuć, jak znaczenie podlega erozji w wyniku pracy jego umysłu - łaknął takiej przyjemności. Myślał o napisaniu listu do przyjaciela, w którym oznajmiłby: Sądzę, że mogę być niedobry, mogę nawet być zły i jeśli Diabeł istnieje, niewykluczone, że jestem jego sojusznikiem... Pragnę, by sparaliżowana została moja zdolność pojmowania prawdy, pragnę omdlewać z uniesienia... Chcę, by mój umysł zawiódł w obliczu prawdy. Chcę, by prawda przepływała nade mną wyłączenie jako doznanie zmysłowe. Chcę, by mnie zmoczyła - by była realna, była rzeczą...

Nigdy tego nie napisał. Nie wiedział, do kogo miałby napisać. Nie miał na całym świecie żadnych przyjaciół poza E. M. Cioranem:

Le détracteur de la sagesse, s'il était de plus croyant, ne cesserait de répéter: „Seigneur, aidez-moi à déchoir, à me vautrer dans toutes les erreurs et tous les crimes, inspirez-moi des paroles qui Vous brûlent et me dévorent, qui n o u s réduisent en cendres”.

Krytyk mądrości, gdyby był także wierzący, nigdy nie przestawałby powtarzać: „Panie, pomóż mi upaść, pławić się w każdym błędzie i każdej zbrodni, natchnij mnie słowami, które spalą Ciebie, a mnie pochłoną, przez co z n a s o b u pozostanie popiół”.

Nic dziwnego, że Bouquet napisał w swoim notatniku:

W chwale wojny, w rozkoszy walki, w prawdzie wojny dostrzegamy, co może być słuszne. Widzimy też, że nasz szacunek do pryncypiów oparty jest na elokwencji i przesądzie.

W gruncie rzeczy skończył z archiwum pułkownika. Rzecz nabrała rozpędu. Bezsensowna praca, bezużyteczne śmieci, choć dla biurokraty nic nie jest śmieciem, dopóki sam się tego nie pozbędzie, czyniąc afront swojej duszy.

Dlaczego nie spotyka się z okolicznymi wieśniakami i nie zbiera ludowych opowieści? Dlaczego posłał Tho, by powiedział père Patrice'owi, że ma gorączkę, kiedy ksiądz przyszedł błagać o gorący posiłek?

Sans rime ni raison, remettre toujours tout en question, douter même en rêve!

Bez ładu i składu ciągle podawać wszystko w wątpliwość, wątpić nawet w sny!

Przy lekturze Ciorana na nowo nawiedziło go objawienie, które stało się jego udziałem, kiedy miał dziesięć lat i syn kolejarza pokazał mu małe zdjęcie kobiety uprawiającej stosunek oralny z wielkim czarnym penisem (widać było tylko tors mężczyzny, omdlałe z rozkoszy oczy kobiety flirtujące z kamerą): że ciekawość dotycząca takich aktów nie jest zdradą, która alienuje go od innych, wręcz przeciwnie, to rzecz znana, zmierzona i zrozumiała, a kontakt z innymi pomoże mu ją zaspokoić.

Le doute s'abat sur nous comme une calamité»loin de le choisir, nous y tombons. Et nous avons beau essayer de nous en arracher ou de l'escamoter, lui ne nous perd pas de vue, car il n'est même pas vrai qu'il s'abat sur nous, il était en nous et nous y étions predestinés.

Zwątpienie spada na nas jak klęska: popadamy w nie wbrew własnej woli. A chociaż będziemy próbowali się zeń wydobyć, odpędzić jakąś sztuczką, ono nigdy nie spuszcza z nas oka, bo prawdą nie jest nawet to, iż zwątpienie na nas spada - zwątpienie jest w nas i od początku było naszym przeznaczeniem.

Przyjechał na wojnę, by na jego oczach abstrakcje stawały się rzeczywistością. Zamiast tego zobaczył proces przeciwny. Teraz wszystko było abstrakcją.

Samotny w tym domu, samotny na tej wojnie, tylko z ludźmi pokroju E. M. Ciorana... Nic dziwnego, że Bouquet wyszedł na werandę...

Znowu noc, owady głośno brzęczą, ćmy zabijają się na lampie. Dwie godziny temu siedziałem na werandzie i patrzyłem na zmierzch, wypełniony zazdrością wobec każdego żyjącego stworzenia, ptaka, insekta, kwiatu, gada, drzewa, winorośli, które nie musi nieść brzemienia wiedzy dobra i zła.

Otchłań jest pełna
rzeczywistości, otchłań doświadcza samej siebie,
otchłań
jest żywa.

Pomiędzy pracami Bill Houston żył z pieniędzy matki, mieszkał z nią, a także z Burrisem, dwunastoletnim bratem; miał wrażenie, że stawia go to na poziomie tego dziwnego dziecka, dziecka trudnego jak dwaj starsi, nieuka i wagarowicza, wączacza kleju, palacza trawki, amatora syropów na kaszel. Próba wiary, powtarzała stara kobieta, powód do modlitwy. W sierpniu w odpowiedzi na własne modlitwy Houston dostał robotę na zachodniej stronie, polegającą na ładowaniu nasion lnu na ciężarówkę, i wkrótce wynajął pokój w okolicy zdominowanej przez Drugą Ulicę i znanej jako Deuce; miał wrażenie, że w panującej tu atmosferze nędzy będzie mógł zapomnieć o matce i przez nikogo nieobserwowany zmagać się z zamętem w myślach. Zaciągnąłby się do marynarki wojennej, gdyby nie karne zwolnienie. Zastanawiał się nad marynarką handlową, ale był przekonany, że tam także go nie zechcą. Houston rozmyślał o swoim młodszym bracie Jamesie, stawiającym czoło wojnie, atakowanym przez doświadczenia, w jakiś sposób go wyprzedzającym. Cały świat zostawił go za sobą, tymczasem on w Roy Ruggins Seed, co często mu się zdarzało w pracy, zarabiał na życie, ciągle od nowa wykonując te same ruchy. Wstawał przed wschodem słońca, stopem jechał wiele mil, łapiąc wielkie ciężarówkę, potem wzdłuż długiej rampy włókł dwa pięćdziesięciokilogramowe worki. Tu i tam drobne promienie światła dziennego igrające w nieszczelnych wnętrzach samochodów. Układał worki warstwami, każdą następną pod odpowiednim kątem do poprzedniej. W sumie osiem warstw. Siemię lniane miało szczególny, mdlący zapach. Pracowali daleko na pustyni, od piątej do dziewiątej rano i od piątej do dziewiątej wieczorem, w największym upale mieli osiem godzin przerwy. Pomiędzy zmianami starał się nie upić. A przynajmniej nie upić za bardzo.

Kiedy stracił tę robotę, zrezygnował z pokoju i zgłosił się do Armii Zbawienia, ale tam rygorystycznie przestrzegali trzeźwości i nie można ich było długo oszukiwać. Wyrzucony za alkoholowy oddech, dałby sobie radę, śpiąc w dzień na skwerach w śródmieściu i nocami włócząc się po ulicach, tylko że człowiek musi jeść, a z Misji Nowego Życia dostawał jedną kanapkę z masłem orzechowym w południe i kielbaski z fasolą na kolację oraz kubek rozwodnionego mleka czekoladowego do obu posiłków. Kiedy dwa razy dziennie

stał po tę strawę w kolejce nieudaczników, życie śmiało się z jego głodu i Bill marzył, by mieć dach nad głową i kuchnię, być znowu w marynarce albo w Armii Zbawienia - nawet w więzieniu. Spędził trzy tygodnie w pudle w Phoenix, gdzie oskarżony o napaść czekał na proces i za kratkami nie znalazł nic, na co mógłby się skarżyć. Dawali trzy posiłki dziennie, a ludzie zachowywali się przyzwoicie - może byli kryminalistami, ale trzeźwi i dobrze nakarmieni kryminaliści nie są znowu tacy źli. Zgodziłby się na wszystko, byle nie wracać do domu matki. Jej żarliwa nadzieja na Niebo zmieniała to miejsce w piekło.

W barze na Central poznał pulchną i uroczą kobietę z plemienia Pirna, która twierdziła, że jest Metyską. Pojechali na wschód od miasta, w kierunku rezerwatu, i w chłodnym zmierzchu pustyni siedzieli na masce jej rozklekotanego plymoutha, patrząc, jak niebo przybiera nieokreślony odcień błękitu. Przypadli sobie do gustu, on i ta serdeczna kobieta z brązowymi przednimi zębami w szczęśliwej eskimoskiej twarzy. Była niska i miała obfite kształty. Stanowiła uosobienie sferyczności. Zabrała go do swojej chaty na wschód od Pirna Road, tuż za granicą rezerwatu, i po kilku dniach Bill wziął ją za żonę w ceremonii prowadzonej przez pomarszczonego starego kretyna, który twierdził, że jest szamanem. Houston i jego nowa żona przez dwa tygodnie żyli w rozkosznej ekstazie, ale potem pojawił się jej mroczny, jadowniczy milczący brat i zamieszkał z nimi. Pewnego popołudnia, kiedy żona spała, Houston wyjął sześć dolarów i sześć papierosów ze skrytki w samochodzie - sześć, jego szczęśliwa liczba, a ona miała szczęście, że jego szczęśliwa liczba nie jest dwucyfrowa - po czym autobusem wrócił do Deuce. Potrzebował prawnika? Wątpił w to. Kobieta wdarła się w jego serce, ale przecież dwa tygodnie nie mogą się liczyć. Bill nie zamierzał komplikować tej przygody rozwodem.

Po październiku, po porze deszczowej, w Cao Quyen dzień często wstawał słoneczny, by popołudniami nieuchronnie się zachmurzyć (Skip czasami przypominał sobie uwagę Jimmy'ego Storma: „W tropikach nie ma nieba”), a wraz z tym darem wschodnie pokoje willi zmieniły się w rejony piękna, grube smugi światła przedzierające się przez żaluzje na piętrze, kuchnia pełna refleksów na naczyniach, wyraźnie zaznaczone mroczne okiennice gabinetu, a także wielkie prostokątne plamy pod sufitem salonu: płaskie, nagie płaszczyzny niczym wprawki malarza w perspektywie... Popołudniami ciągle, jednostajne, rzeczowe światło z zachmurzonego nieba zapadało mu w duszę.

Rano widział to jasno: możliwości czekały. Po południu nie potrafił podjąć żadnych kroków, grunt zniknął, rozpuszczony przez wątpliwości.

- Pani do pana, panie Skip - powiedziała pani Diu.

Wstał od biurka, wszedł do salonu i zobaczył nieznaną, piegowatą żyłastą szatynkę w białej bluzce z kieszeniami na piersiach i męskich spodniach khaki.

- Kathy - powiedział, zanim sobie uświadomił, że ją zna.

W Damulog nie miała tej histerycznej albo udreżonej skłonności do podniecenia i przerażenia, tego rozgorączkowanego wyglądu tak typowego dla wielu misjonarzy pracujących w dżungli. Teraz tak. Jedną dłonią ścisnęła rondo stożkowego kapelusza wieśniaków, nong la. Skip zabrał jej kapelusz i położył na stoliku w salonie. Kathy trochę zdyszana stanęła obok stolika, jakby chciała mieć kapelusz blisko siebie.

- Mówiono mi o Kanadyjczyku.

- Mogę poprosić o herbatę. Chciałabyś się napić?

- Czy to ty? Ty jesteś Kanadyjczykiem?

- Odpowiedz, szanowna pani. Masz ochotę na herbatę?

- A co z tymi bombami zapalającymi, które spuszczasz na wioski?

- Ja, ja... ja nie mam z tym nic wspólnego.

- Powinna była wiedzieć. Wiedziałam. Agencja do spraw Rozwoju Międzynarodowego! Del Monte! Kanadyjczyk! Co jeszcze? Orkiestra symfoniczna z Toronto?

- Adwentysta dnia siódmego.

- A wszystko to ty, o mój Boże. Taki jesteś śmieszny, że śmiech zamiera człowiekowi na ustach.

- Tłumaczę Biblię, dodałbym jeszcze.

- To nie jest śmieszne.

- Nie sądzisz, że już to wiem? Dawno temu straciłem poczucie humoru.

Więc jak, napisz się ze mną herbaty, Kathy? Chyba że to nie jest wizyta towarzyska.

- Odwiedzam Kanadyjczyka.

- Ale towarzysko, tak?

- Tak. Założę się, że masz miód.

- Nie. Mleko kondensowane, cukier.

- Miodu nie?

- Nic w tym rodzaju.

- Nie? Może zagrałeś na nosie McNamarze. Czy to ten?
- Sekretarz obrony?
- Tak. Pewnie za karę wysłał cię na wygnanie, co?
- Bardzo mi się tu podoba.
- Wy, szpieczy, zawsze jesteście tacy zadziorni i tacy weseli.
- Usiądź. - Po tym wszystkim, co odarło go ze złudzeń, po ponurej rzeczywistości jego pracy, na dźwięk słowa „szpieg” serce zabiło mu szybciej.

Usiadła na skraju krzesła i rozejrzała się gorączkowo.

- Doskonale - powiedział Skip. - Herbata.
- Co nowego w Kanadzie?
- Daj spokój, proszę cię.
- Nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, co powiedzieć. Jestem... jestem po prostu - jestem zła. - Wstała z twarzą, na której nie malował się żaden cel.
- Wychodzę. - Jakby czerpiąc pomysł z wyrażenia go na głos, pośpiesznie ruszyła do wyjścia. Z rozmachem położyła dłonie na kierownicy zaparkowanego przed domem czarnego roweru i kopnięciem podniosła nóżkę.

- Kathy, daj spokój, poczekaj! - zawołał Skip, choć za nią nie poszedł. Powiedziała, że jest zła. Nie sądził, by często odczuwała inne emocje.

Usiadł na sofie i pochylił się, opierając łokcie na kolanach i patrząc na czasopisma na stoliku - „Time” albo „Newsweek”, na okładce zdjęcie dwóch czarnych amerykańskich olimpijczyków unoszących zaciśnięte pięści w geście ruchu Black Power. W Meksyku, tak sądził Skip, choć nie wiedział na pewno, ponieważ przestał czytać prasę.

Wróciła.

- Nigdy do mnie nie pisałeś.

Począł, aż Kathy chwyci wielki fotel, który stał naprzeciwko niego, przesunie go nieco w wyrazie niezgody i usiądzie na trzeszczącym rattanie.

- No więc?
- Posłałem ci kilka kartek.
- Ja napisałam morze listów. Kilka nawet wysłałam. Wiesz, dlaczego przerwałam korespondencję?
- Mam nadzieję, że mi powiesz.
- Bo kiedy umarł ojciec Carignan - wiesz, że umarł? Jasne, że wiesz - bo kiedy dotarła do nas wiadomość, że ksiądz pod Carmen utonął i że to ty powiadomiłeś o jego śmierci diecezję, od trzech tygodni byliśmy kochankami, a ty słowem o tym nie wspomniałeś!

- Przecież napisałaś do mnie rok temu? Długo po tej sprawie z księdzem, długo po jego utonięciu.

- To trochę potrwało, ale w końcu pojęłam: z kłamcami nie warto rozmawiać.

- Może nie - powiedział Skip. - Ale cieszyłem się z twoich listów.

To najwyraźniej zbiło ją z tropu.

- Nigdy tak naprawdę mi nie odpowiedziałaś. Kartki się nie liczą.

- Może nie chciałem kłamać. - Prawda, ale nie prawdziwy powód jego milczenia. Uważał jej listy za zwariowane. - Chociaż nie: listy są trudne. To bliższe prawdy.

- Fałszywy Kanadyjczyk mówi o prawdzie. A przy okazji, pod jakim nazwiskiem występujesz?

- Skip.

- Skip jaki?

- Benet. Ale głównie Skip. Wciąż Skip.

- Alias Benet chce mówić o prawdzie.

- Nie zawsze możemy opowiedzieć całą historię o sobie. Usłyszałem to od ciebie.

- Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek coś takiego mówiła, ale to z pewnością jest prawda, jeśli chodzi o kogoś takiego jak ty, to z pewnością jest prawda w twoim przypadku.

- W takim razie zostań.

Patrzyła gniewnie, oczy jej łzawiły. Gniew opuścił ją ciężkim westchnieniem i Skip widział, że Kathy cieszy się na jego widok.

Sam był podekscytowany szpiegiem, ręce trzęsły mu się z radości. Poszukał pani Diu, poprosił ją o herbatę, owoce, chleb, po czym wrócił do gościa, by powiedzieć:

- Jeszcze dwie minutki.

Wrócił do kuchni, przerażony perspektywą stawienia Kathy czoła bez niczego do jedzenia i picia. Kiedy pani Diu przygotowała tacę, sam zaniósł ją do salonu.

Kathy nagle sprawiała wrażenie onieśmiałonej.

- Ten pies ciągle się tu włoczy - powiedziała.

- To doktor Bouquet. Dom wcześniej należał do niego.

- Zachowuje się, jakby wciąż do niego należał.

- To jego kolejne wcielenie.

- Naprawdę? Wybrał zły kraj do odrodzenia się pod postacią psa.
- Powiedziałbym jednak, że właściwy dom.
- Skończy na czyichś pałeczkach.
- Myślę, że na to jest już za stary.

Zaczął drapać psa po łbie, ale zaraz uświadomił sobie, że zabrudzi sobie palce.

- Hej - powiedział - właściwie nie mogę ci proponować, żebyś została. Sytuacja nie pozwala mi na przyjmowanie gości. W żadnym razie. Nie teraz. Jestem zawałony pracą.

- Co?
- Wiem, to szalone.
- Tak, istotnie. Więc jak...
- Myślałem, że dam sobie radę, ale chyba ogarnęła mnie panika.
- Chcesz, żebym została, czy chcesz, żebym sobie poszła.
- Chcę, żebyś została.

Dłonie mu drgnęły i upuścił małą bagietkę, z którą doktor Bouquet zaraz potruchtał na dwór. Odprowadzał go wzrokiem, człowiek pozbawiony wdzięcznych odruchów.

- Nazywam go „docteur Bouquet”, choć chyba powinien to być „monsieur”. Nie zachowałby tytułu w następnym życiu, prawda? Co robisz tutaj, w Cao Quyen?

- Co tutaj robię?
- Tak, w przybliżeniu.
- Teraz pracuję dla WCS, nie dla ICRE.
- WCS?

- World Children's Services jest siecią składającą się z prawie sześćdziesięciu agencji na całym świecie, która zapewnia pomoc socjalną dzieciom i ich rodzicom od roku tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego.

- Jestem o tym przekonany.
- Podstawą działalności WCS jest pomoc przy adopcjach. W kilku okręgach, także w tym, dokładamy wszelkich starań, by koordynować wysiłki dla dobra osieroconych dzieci.
- Nigdy bym w to nie wątpił.
- Przestań. Odwiedzałam rodzinę misjonarzy w Bac Se i powiedzieli mi o tobie. Państwo Thomasowie.
- Nie poznałem ich. Nigdy o nich nie słyszałem.

- Dowiedzieli się o tobie od księdza.
- Thonga Nhata, czyli père Patrice'a.
- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że nadłożyłam drogi, żeby przywitać się z moim rodakiem, a znalazłam ciebie. Spokojnego Amerykanina.
- Och, dzięki, że nie nazywasz mnie Brzydkim.
- I tak byś nie usłyszał. Jesteście głusi. Teraz wszyscy już to o was wiemy, wszyscy z wyjątkiem was, Amerykanów.
- Wyglądało na to, że przez chwilę dobrze się rozumieliśmy.
- Przepraszam.

Wyczerpała tematy do rozmowy i spojrzała na niego żałośnie.

- *Que pasa?*
- „Que pasa”? Mówisz jak amerykański żołnierz.
- Wiem. *Que pasa?*
- Jestem śmiertelnie wyczerpana.
- W to nie wątpię.
- To znaczy - ja jestem ta brzydka. To wszystko mnie zniszczyło, prawda?

- Posłuchaj, tak się cieszę, że przyszłaś. Jestem taki szczęśliwy, Kathy.

- Naprawdę?
- Muszę robić z siebie głupca?
- Nie miałabym nic przeciwko temu - odparła.

Na szczęście pies wrócił po kolejny kęs jedzenia. Skip pogładził go po grzbiecie i nakarmił kawałkami mango.

- Więc jesteś tu z powodu sierot. Dla WCS.

Pokiwała głową, widelec z nabitym kawałkiem mango trzymała uniesiony jak flagę, usta miała pełne bułki. Przełknęła bułkę, mango, omal nie połknęła widelca.

- Teraz ja przepraszam. Nie pomyślałem... chcesz zjeść obiad?

Pokręciła głową, wciąż przeżuując.

- Nie, dziękuję. Tak, to znaczy tak, adopcja. Jesteśmy parasolem dla agencji adopcyjnych.

- Jeśli każda rodzina w Ameryce Północnej adoptuje jednego Wietnamczyka, wygramy tę wojnę.

- Coś w tym rodzaju. Nie miałabym nic przeciwko oczyszczeniu tego kraju i zostawieniu go zabójcom.

- Jesteście tak samo twardzi jak ICRE?

- Och, jasne, jesteśmy, proporcjonalnie do naszych wysiłków. Ale jak kiedyś powiedział burmistrz Luis: „Znajdziemy pieniądze, klękniemy przed wieloma ludźmi”.

- Dobra jesteś. Mówiłaś dokładnie jak on.

- Kontaktowałeś się z nim?

- Nie.

- Ja też nie.

- Wróćmy do poprzedniej sprawy - zaproponował. - Powiedziałaś, że nie miałabyś nic przeciwko temu, gdybym zrobił z siebie głupeca.

- Pozwól mi najpierw zjeść.

Po kilku minutach zaprowadził ją na piętro. Z tego co widział, idąc za nią po schodach, zachowała nieco tłuszczu na biodrach i udach, ale miała rację, życie ją zniszczyło. Sam natomiast zdążył w przeciwnym kierunku. Nie miał wagi, ale kąpielówki mocniej go opinały i nosił je niżej, pod walcem na brzuchu. Nie miał wagi, za to dysponował stetoskopem i ciśnieniomierzem. Miał kilkanaście rolek bandażu, za to żadnych plastrów. Wojenne zapasy takie były, kompletnie chaotyczne. Podobne myśli go dręczyły, kiedy próbował ustalić, jak poradzić sobie z przytłaczającym go szczęściem i żądzą, mrowieniem w opuszkach palców, ściśniętym sercem, zawrotami głowy. Nie chodziło o to, że Kathy będzie miała coś przeciwko zalotom, ale była wariatką, a przynajmniej osobą skomplikowaną, kryjącą swe rany, udającą cynizm, nadmiernie namiętą. Z całą pewnością rozgniewaną. To wszystko go rozpałało. Poza tym była ostatnią kobietą, z którą spał, jedną z pięciu w jego trzydziestoparoletnim życiu. Mężczyźni z wdzięcznymi odruchami nie zastanawiają się nad okazjami. Mężczyźni pozbawieni wdzięcznych odruchów powinni przestać zadawać pytania. Z tych pięciu kobiet Kathy była jedyną, z którą spał więcej niż raz. Zaprowadził ją do swojej sypialni, odwrócił się do niej - i nic. Żadnych odruchów.

- Powiedziałaś, że by mi nie przeszkadzało - oznajmiła i zaczęli od niezręcznego pocałunku. - Panie Benet, czy ma pan wino?

- Mam. Dzięki Bogu mam. I połówkę bushmillsa.

- Zapowiada się niezła impreza - powiedziała i lekko położyła dwa palce na jego ramieniu. Ujął je w dłoń i poprowadził ją do podwójnego łóżka, gdzie wykorzystał to wszystko, czego dowiedział się z brawurowych akapitów Henry'ego Millera, z małych obscenicznych fotografii, z rozmów w akademiku. Tak jak w Damulog, nie rozmawiali. Wszystko co robili, ukrywali w tajemnicy, zwłaszcza przed sobą wzajemnie. Tak jak powiedziała, nie

przeszkadzało jej to, a na sam koniec utkwiała wzrok w suficie i krzyknęła. Na ułamek sekundy pomyślał, jestem Jamesem Bondem, zaraz potem na nowo pogrążył się w szarym zwątpieniu: Artaud i Cioran, pies, pogoda, sens tego wszystkiego, oczekiwanie na kontakt z rzekomym podwójnym agentem, sprawa, do której załatwienia sprowadzono go tu prawie dwa lata temu. To było szaleństwo. Samowolna operacja i wojna - szaleństwo w szaleństwie. I ta kobieta obok, z którą przed chwilą się kochał, pocąc się jak szczypiornista.

Potem odniósł wrażenie, że biorą udział w konkursie, kto pierwszy się odezwie.

- Trzeba rozpalic ogień, żeby zagrzać wodę, ale jeśli chcesz wziąć prysznic... - powiedział.

- Och, dajże spokój! Wezmę zimny.

- Pójdę się wysikać, a potem możesz wziąć prysznic, zgoda?

Kiedy Kathy się myła, wytarł się prześcieradłem i włożył kąpielówki. Pomyślał, że mógłby poczytać książkę, ale pogoda była złowieszcza i miał tylko mgliste, zielonkawe światło z burzowych chmur. Pomyślał, że wszystkie książki są na parterze. Nie ma nic do roboty, pomyślał. Nic do zrobienia. Siedział przy małym stoliku, wpatrując się w kolana, gołe stopy.

Wróciła owinięta w ręcznik, z włosami zebranymi do tyłu, z rumieńcami widocznymi nawet na ogorzałych od słońca policzkach. Miała smutne, napuchnięte kolana. Przytrzymując ręcznik na piersiach, wyciągnęła jedną rękę. Naprzeciw niego było krzesło, ale ona usiadła na łóżku.

- To wygląda jak ubranie, w którym pierwszy raz cię zobaczyłam. Miałaś na sobie dziwne kąpielówki, takie jak te, z kieszeniami.

- To były te same. Są piekielnie mocne.

- A twoje szalone bermudy?

- Rozleciały się.

- Więc tu też były burze.

- Kiedy pierwszy raz mnie zobaczyłaś, miałem na sobie spodnie. W tamtej restauracji w Malaybalay, pamiętasz?

- Nie chcę pamiętać.

Przyszła we właściwym momencie. To była jej atmosfera. To było światło dla niej, dla smutnej, bladej skóry pod opalonym karkiem i ponad szorstkimi łokciami, dla pozy dziewiczej męczenniczki, dla oczekiwania, które niczego nie oczekuje - prawa łydka, dość gruba, jak u wieśniaczki, zwisała z łóżka, stopa schowana w cieniu nad podłogą ze starego drewna, druga noga

założona, ze stopą opartą o kolano; z nogami tworzącymi cyfrę 4 leżała na łóżku, jedną ręką zakrywając piersi, drugą podpierając głowę - mgliste światło, kościelne światło. Gdyby wiedziała, jak się jej przygląda, nigdy by na to nie pozwoliła. Ona jednak zwróciła na niego oczy i patrzyła otwarcie, nie zmieniając wyrazu twarzy, jakby Skip się nie liczył. Sama nie była piękna. Miewała piękne chwile.

W pokoju pociemniało, powiewy wiatru przynosiły z głębi willi głosy i grzechot przesuwanych przedmiotów, chociaż tuż przed deszczem wiatr ucichł i nastąpiło coś, co mogło zdarzyć się jakiegokolwiek letniego dnia w Nowej Anglii.

- Ty naprawdę mi się przyglądasz.
- Jesteś piekielną ulgą. Sprawiasz, że wszystko ustępuje.
- Wszystko, czyli co?
- Nuda. Nuda. I nadmiar myśli. Gorączka klaustrofobii.
- Och, my doskonale znamy klaustrofobię. Kiedy nadchodzi wiosna, chłopcy wskakują do ciężarówek i jadą sto mil, żeby napić się whisky.
- A skoro o wilku mowa. Chcesz napić się bushmillsa?
- Zapomnieliśmy? Na litość boską, na co ty się tak gapisz?
- A nie wolno?
- Na mnie nie wolno. Jestem starą wiedźmą. Tutejsze słońce spieka człowieka na skwarę. Jestem zniszczona.
- Nosisz po prostu znaki swoich przygód.
- Brednie.
- Nie.
- Myślisz, że to miejsce jest przygodą?
- Jasne.
- Ale nie zabawną. To przygoda, ale przygoda nie jest zabawna, dopóki się nie skończy. I nawet wtedy to nie jest pewne.

Jej słowa zrobiły na nim wrażenie, wydały mu się prawdziwe. Nalał letniego bushmillsa do dwóch szklanek i zaniósł je do łóżka. Kathy oparła się o ścianę, ujęła szklankę w obie dłonie i upiła łyczek.

- Czy adwentyści piją?
- Jedni tak, inni nie. Powiedziałabym, że tutaj, w tym bałaganie wszyscy pijemy, jeśli mamy okazję.
- Gdzie byłeś? W delcie.
- W wiosce o nazwie Sa Dec, ale musiałam wyjechać. Od święta Tet sytuacja uległa zmianie. Wszystko przeżyły wielkie amerykańskie pociski. Każdy

musi być ostrożny. Katastrofa czai się za rogiem. Wielu ludzi już jej doświadczyło. To straszne, okropne. Przyzwyczajasz się, jakoś sobie radzisz, a potem pewnego dnia się budzisz i nic nie jest takie jak wcześniej. Ale po jakimś czasie znowu się przyzwyczajasz.

- Więc szukasz tu sierot?

- Nie musimy szukać.

- Jasne, racja.

- Współpracujemy z misjonarzami. Jeśli to możliwe, chcemy coś zorganizować, coś większego. Lepszego. Istniejące ośrodki są straszne, bez wyjątku. - W tej akurat chwili straszne rzeczy go nie interesowały. Kiedy mówiła, studiował jej głowę i zastanawiał się, co Rembrandt mógłby zrobić w takim niepochlebnym, prawdziwym oświetleniu.

- Twój aparat - powiedziała Kathy.

- Aparat.

- Pamiętam, że miałeś aparat. Masz go nadal?

- Zrezygnowałem z fotografowania. Dość zdjęć. Zmieniają świat w muzeum.

- Zamiast w co?

- Zwariowany cyrk.

Trzymał fotografie w szufladzie komody obok beretty, której nigdy nie używał.

- Popatrz. - Podał jej kilkanaście.

- Emetrio D. Luis?

- Na żadnym nie ma ciebie.

- Jeepney! Brakuje mi ich.

- Podróżowało nimi prawie pięćdziesiąt osób.

- Nic dziwnego, że opony pękały.

Pukanie. Pani Diu spytała, czy może wejść.

- Zejdziemy na kolację! - zawołał przez drzwi Skip.

- Mam karczidelfko. Chce pan?

- Dobrze.

Weszła z trzema dymiącymi słodko pałeczkami w dłoni i powiedziała:

- Tak, dobry wieczór. - Umieściła karczidelfka w pojemnikach na wysokiej półce po drugiej stronie pokoju. - Okay. Kolacja później. Powiem wam. - Po tych słowach cicho zamknęła za sobą drzwi.

Deszcz przestał padać. Przez siatkę na oknie w ciągu dwóch minut zmierzchu poprzedzającego zapadnięcie czarnej nocy Skip obserwował Tho

wspinającego się na jedną z papai za willą. Ponieważ gałęzie wystawały ponad strumień, stary nie mógł strącić owoców, tylko musiał iść po nie boso z kuchennym nożem w zębach, czepiając się pnia obiema rękami, potem jedną dłonią obcinał owoc, wpychał pod pachę, schodził tyłem, a ostatni metr pokonywał lekkim skokiem.

- Mogę jeszcze prosić o whiskey?
- Oczywiście, towarzyszko.
- Odrobinę.

Skip nagle poczuł lekką irytację, że Kathy najpierw wymusiła na nim przeprosiny - mimo że żartował, pomniejszył swoją skruchę - a teraz całkiem o nich zapomniała. Przyszło mu też do głowy, że te miesiące samotności nauczyły go odczytywać samego siebie, analizować siebie jak naukowiec; że jedna osoba na tej ziemi stała mu się znana.

Znowu zaczęło padać, zapadła noc. Kathy nie mogła wrócić do ośrodka misyjnego w Bac Se. Spali ramię w ramię, bez przykrycia, ona w jednym z jego szorstkich, ręcznie pranych T-shirtów, on w bokserkach. Rano po śniadaniu na swoim czarnym rowerze pojechała do Bac Se i Skip już nigdy więcej jej nie zobaczył.

1969

Kiedy trzech Amerykanie pojawili się w progu jego domu, by zabrać go do Szkoły Językowej Sił Zbrojnych, Hao nie był pewien natury tego spotkania. Odzywał się tylko jeden, czarny; niezwykle uprzejmie się przedstawił jako Kenneth Johnson z ambasady amerykańskiej. Pojechali do śródmieścia klimatyzowanym fordem na dyplomatycznych numerach, Hao siedział z tyłu z jednym z dwóch młodszych mężczyzn.

U celu dwaj młodszy wysiedli i każdy przytrzymał drzwi przed pasażerami. Hao i Kenneth Johnson poszli sami wzdłuż betonowych barykad w stronę nowego ładnego budynku. Poprzedni został zburzony w ubiegłe święto Tét. Dwa albo trzy tysiące członków wietnamskiej armii uczyło się tu angielskiego. Wnętrze pachniało świeżą farbą i trocinami.

O ile się orientował, w budynku nie przetrzymywano więźniów.

Johnson poprowadził go po schodach do piwnicy, gdzie dołączył do nich umundurowany żołnierz piechoty morskiej. Uczniowie kręcili się po wyższych piętrach, ich kroki wibrowały nad głową, ale na tym piwnicznym korytarzu Hao, Johnson i żołnierz byli sami. Na końcu korytarza znajdowały się drzwi z przymocowanym obok urządzeniem przypominającym mały kalkulator. Kiedy Johnson z wprawą nacisnął cztery albo pięć klawiszy, zamek z szumem się odblokował.

- Dziękuję, sierżancie Ogden - powiedział Johnson. Razem z Hao weszli na korytarz, przy którym ciągnęły się rzędy zamkniętych drzwi. Cisza, klimatyzacja. Johnson wprowadził go przez jedyne otwarte drzwi do małej saliumeblowanej jak typowy salon kanapą i tapicerowanymi krzesłami, a także elektryczną chłodziarką z napisem „Coca-Cola”. W pomieszczeniu nie było okien, co oznaczało, że piwnica musi znajdować się głęboko pod ziemią.

- Napije się pan coli?

Johnson uniósł ciężką pokrywę chłodziarki i wyjął ociekającą butelkę, po czym zdjął kapsel otwieraczem przymocowanym na ścianie i podał gościowi. Cola była bardzo zimna.

Czując się zobowiązany, Hao upił łyk. Ściągnął usta, przesunął butelkę ku prawemu kącikowi ust i przełknął. Miał zepsuty ząb, lewy trzonowy. Pułkownik wspominał o dentyście.

- Proszę usiąść - powiedział Johnson i Hao przysiadł na krawędzi sofy ze stopami ustawionymi jak do biegu.

Johnson stał. Był niski jak na Amerykanina, z wielkimi plamami przy pachach białej koszuli. Hao nigdy wcześniej nie rozmawiał z Murzynem.

Zabrali go mniej więcej godzinę po tym, jak Kim poszła na targ. Oznaczało to, że nie chcieli jej widzieć. Że dołożyli starań, by zachować swoją wizytę w tajemnicy. Żeby nikt nie miał pojęcia, gdzie Hao jest.

Johnson usiadł wygodnie w fotelu naprzeciwko i zaproponował Hao papierosa. Hao wziął, chociaż miał przy sobie paczkę marlboro, zapalił własną zapalniczką, zaciągnął się głęboko i wypuścił dym nozdrzami. Bez filtra. Delikatnie wypluł kawałek tytoniu. To, że przodkowie tego człowieka należeli do rasy niewolników, wprawiało go w zakłopotanie.

Johnson sam nie zapalił, schował papierosy do kieszeni koszuli i wstał.

- Panie Nguyen, wybacz pan na chwilę?

Podczas gdy Hao usiłował doszukać się sensu w tym pytaniu, czarny wyszedł, nie zamykając drzwi, i zostawił go samego ze swoimi myślami, które nie należały do wesołych. Wrzucił resztę papierosa do coli, niedopałek zasycał, zawirował, pociemniał i opadł do połowy butelki.

Przez otwarte drzwi Hao zobaczył swoją żonę Kim, która w towarzystwie innego Amerykanina szła korytarzem. W jego sercu otworzyła się rana. Kim patrzyła pod stopy, jakby kroczyła skalistą ścieżką. Nie zauważyła go.

Czarny wrócił.

- Panie Nguyen, przenieśmy tę dyskusję w inne miejsce, zgoda?

Johnson nie usiadł. Hao zrozumiał, że wcale nie ma takiego zamiaru, że on sam także musi wstać. Pozwolił poprowadzić się kilka kroków korytarzem do drugiego pomieszczenia bez okien, w którym siedział chudy, kościsty młody mężczyzna w okularach do czytania zsuniętych na czubek nosa. Jedną stopę opierał na kolanie i czytał zawartość szarej teczki, która leżała obok niego na stole. Uśmiechnął się do Hao i powiedział:

- Panie Nguyen, proszę wejść, chcę panu coś pokazać.

Hao szukał nadziei w jego niemal towarzyskim tonie. Na stole ustawione były urządzenia i kable przypominające skomplikowany system radiowy.

- Jestem Terry Crodelle. Wszyscy mówią do mnie Crodelle i mam nadzieję, że pan także będzie się do mnie tak zwracał. Zgodzi się pan, żebym mówił „panie Hao”?

- Okay, tak.
- Proszę siadać.

Hao usiadł na twardym drewnianym krześle obok Crodelle'a. Trzecie krzesło czekało, ale Johnson nadal stał na baczność. Oto Hao miał przed sobą dwa bardzo różne typy Amerykanów, identycznie ubranych w ciemne spodnie, błyszczące bryle, białe koszule z krótkimi rękawami: Johnson wyprostowany, wyobcowany, nie całkiem swobodny, o brązowej skórze i czarnych włosach, Crodelle zrelaksowany i kontrolujący sytuację, z jasną piegowatą skórą i włosami barwy słomy.

- Chcesz Sammy'ego? - zapytał Johnson, ale Crodelle zamiast mu odpowiedzieć, zwrócił się do Hao:

- Panie Hao, załatwimy to szybko, proszę się nie obawiać.
- To dobrze.
- W ciągu godziny wróci pan do domu.

- Dzisiaj będziemy sadzić drzewo z okazji święta Tet.

- Rozumie pan mój angielski?

- Czasami wielu rzeczy nie rozumiem. - Hao wciąż trzymał pół butelki coli z pływającym w niej niedopalkiem. Crodelle łagodnie mu ją odebrał i postawił na stole.

- Jeszcze coś do picia?
- Nie, dziękuję. Ale to było dobre.

Crodelle włożył okulary do kieszeni koszuli i nachylił się, spoglądając Hao w oczy bez wrogości, choć czujnie. Miał grube rzęsy koloru włosów i jasnoniebieskie tęczęwki.

- Nie chcę korzystać z tłumacza. Możemy rozmawiać bez tłumacza?

- Tak. Mój angielski nie jest dobry do mówienia, ale lepiej rozumiem.

- Wystarczy - uznał Crodelle.

- Wystarczy - powtórzył Johnson i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Wie pan, co to za urządzenie?

- Może radio.
- To jest maszyna, która potrafi stwierdzić, kto kłamie, a kto mówi prawdę. Albo tak przynajmniej twierdzą.

Czy teraz maszyny transmitują wiadomości o nim?

- Jak to działa?
- To nie moja dziedzina. Nie będziemy dzisiaj z niej korzystać.
- Poszukuję prawdziwego pokoju - powiedział Hao. - Nie mogę czekać na was, aż zrobicie pokój. Nie mogę czekać na was.

Crodelle uśmiechnął się.

- Wojna nie jest pokojem.

Crodelle wstał, podszedł do drzwi i otworzył je.

- Ken! - zawołał, po czym dodał: - Wybaczy pan, panie Hao.

Pojawił się Johnson.

- Potrzebujemy tłumacza.

Johnson zostawił drzwi lekko uchylone. Crodelle ustawił trzecie krzesło ze słowami:

- Kogoś, kto pomoże nam wszystko zrozumieć.

Usiadł, tym razem także opierając stopę na kolanie.

Hao zastanawiał się, czy pozwoli mu tutaj zapalić.

- Kiedy ostatni raz widział pan pułkownika?

Hao poklepał marlboro w kieszeni koszuli. Crodelle wyjął zapalniczkę, Hao skierował czubek papierosa ku płomieniowi i zaciągnął się, myśląc, że życie w tym mieście markowanych manewrów i nagłych zwrotów wymaga zwinnych stóp i dalekowzrocności, a jemu obu tych cech brakuje. Stwierdził na przykład, że nie jest w stanie rozprawić się z bratem żony, który jest mu winien pieniądze i mieszka w domu ojca Hao, odkąd po śmierci starszka dom stał się własnością Hao, ale który nie chciał przyznać się do długu. Krewni i interesy: nie udało mu się skutecznie pomiędzy nimi nawigować. Po śmierci ojca doprowadził rodzinną firmę do bankructwa. Nie potrafił dać sobie rady ze zwykłym handlem, a co dopiero z tym, co ci ludzie tutaj dla niego zaplanowali. Wciągnął aromatyczny dym i powiedział:

- Nie widziałem od długiego czasu.
- Miesiąc? Dwa miesiące?
- Myślę, że może dwa miesiące.

Wrócił Johnson.

- Jest Sammy - powiedział i znowu wyszedł, a bardzo młody Wietnamczyk, ubrany w takie same spodnie i koszulę jak Amerykanie, usiadł na trzecim krześle. Crodelle powiedział coś szybko, patrząc na Hao.

- Panie Hao - przetłumaczył chłopiec - zaprosiliśmy tu pana, zamiast aranżować z pozoru przypadkowe spotkanie w miejscu publicznym. Wyjaśnij panu, z jakiego powodu.

- Wyjaśnij - odparł Hao po wietnamsku.

- Ponieważ chcemy, żeby pan zrozumiał, że za tym śledztwem stoi powaga rządu Stanów Zjednoczonych.

- Jestem przyjacielem Stanów Zjednoczonych - powiedział Hao po angielsku.

- Ma pan dużo przyjaciół?

Hao spojrzał na tłumacza.

- Co on rozumie przez to pytanie?

- Nie jestem pewien. Chce pan, żebym poprosił go o wyjaśnienie?

- Dlaczego mnie tu przywieźli? Dlaczego pytają, czy mam dużo przyjaciół?

- To nie moja sprawa.

- Sammy - wtrącił Crodelle - zadawaj mu tylko pytanie. Ja mówię do ciebie, ty mówisz do niego. On mówi do ciebie, ty mówisz do mnie. Nie możecie siedzieć tu sobie i gawędzić.

- Najlepiej będzie, panie Hao, jeśli będzie się pan zwracał do niego - zaproponował chłopiec.

Hao trzymał papierosa niemal pionowo, tak by nie strącić długiego na pięć centymetrów popiołu; przysunął usta, żeby się zaciągnąć.

- Zapomniałem o popielniczkach - powiedział Crodelle. - Sam nie pałę.

- Mam przynieść? - zapytał Sammy.

- Popielniczkę? Gdybyś był taki uprzejmy.

Hao znowu został sam z bladym Crodelle'em. Mnóstwo przyjaciół? Nie bardzo. Chyba nieodpowiednich. Przywarł do pułkownika jak do potężnego drzewa i oczekiwał, że ten wyprowadzi go z burzy. Ale drzewo nigdzie nie idzie.

Sammy zapukał i wrócił z popielniczką oraz własnym zapalonym papierosem. Postawił popielniczkę przed Hao, po czym strzepnął popiół.

- Tak jest dobrze?

- Jasne, pal - odrzekł Crodelle. - Dym jak Drezno, stary.

Hao delikatnie przesunął swoje marlboro nad popielniczkę i poczekał, aż słupek popiołu spadnie.

- Amerykański papieros - powiedział. - Wolę go od wietnamskiego. - Zgasił niedopałek i usiadł prosto.

- Kim jest przyjaciel, który pana odwiedza? Ten z Wietkongu.

Pytanie w zasadzie proste, ale odpowiedź rozpoczęła się dość daleko i prowadziła przez gąszcz niezwiązanych z nim historii. Mówił o swoim szkoleniu w Świątyni Nowej Gwiazdy. O tym, jak zasady w pewnym sensie wydawały się tchórzliwymi wymówkami, za którymi chowali się starcy, chociaż później, w średnim wieku - teraz - zaczęły odsłaniać swoje znaczenie. Mówił o Pięciu Przeszkodach (istotnie przeszkadzały) i Czterech Szlachetnych Prawdach (rzeczywiście były prawdziwe). Kiedy powiedział wszystko, co miał do powiedzenia, tłumacz Sammy zaciągnął się i rzekł:

- Buddysta.

- Co kto lubi - stwierdził Crodelle. - Nie jestem tu w imieniu żadnego konkretnego oddziału z wyjątkiem Five Corps. Pański przyjaciel nazywa się Trung, tak?

- Trung. Bardzo stary przyjaciel. Chodziliśmy razem do szkoły w świątyni Nowej Gwiazdy.

- Pod jakim nazwiskiem obecnie podróżuje?

- Nie wiem.

- Jak brzmi pełne nazwisko Trunga?

- Nie wiem.

- Chodził pan z nim do szkoły i nie zna pan jego pełnego nazwiska?

- Proszę poczekać jedną minutę - poprosił Hao po angielsku.

- Panie Hao, jego nazwisko brzmi Trung Than.

- Tak myślę.

- Kiedy po raz ostatni przyszedł do pańskiego domu?

- Proszę poczekać jedną minutę.

Kim w korytarzu, ze schyloną głową. Zaaranżowali to? Przypuszczalnie. Prawdopodobnie. W jakim celu? Nie chciał myśłami zapuszczać się aż tak daleko. Miał nadzieję, że rozumie swoją sytuację. Miał nadzieję, że jasno sprecyzował cele. Po angielsku powiedział:

- Chcę pojechać stąd w dobre miejsce. Do Singapuru.

- Do Singapuru?

- Tak. Może do Singapuru.

- Tylko pan?
- Moja żona też, bardzo proszę.
- Pan i pańska żona chcecie emigrować do Singapuru.
- Właśnie.
- Czy to pański pierwszy wybór?
- Chcę jechać do Stanów Zjednoczonych.
- Więc dlaczego mówił pan o Singapurze?
- Pułkownik powiedział, że mogę pojechać do Singapuru.
- Pułkownik Sands?
- To mój przyjaciel.
- On nie wie, o czym mówi. Lepiej stawiać na Malezję. To znaczy, jeśli to my mamy panu pomóc.

Hao nie chciał ich pomocy, ale wyglądało na to, że może sobie wybrać, czy mu pomogą, czy mu zaszkodzą.

- Wyprzedzamy jednak temat. Rozumie pan to wyrażenie?
- Czasami nie rozumiem.
- Później porozmawiamy o takich sprawach jak to, dokąd pana wyślemy. Teraz musimy się zaprzyjaźnić, nic więcej.
- To jest złe.
- Co jest złe?
- Teraz.
- Teraz jest złe? Tu i teraz?
- Tak. Proszę. Jestem przyjacielem pułkownika.
- Ma pan nieodpowiednich przyjaciół.
- Nie. On jest dobrym człowiekiem.
- Niewątpliwie. Dobry człowiek. Taa, człowiek zaczyna się zastanawiać, ilu operacjom nadano kod „Labirynt”. - Chłopak nie tłumaczył. - Chce pan następną colę?
- Nie, dziękuję panu. Przepraszam. Ząb ma ból.
- Hao, to nie jest złe. Skoro nie mogę w pana wlać następnej coli, to sądzę, że na dzisiaj skończyliśmy. Chciałem się tylko przedstawić. Zrobiłem to i naprawdę niewiele więcej mam do powiedzenia. Z wyjątkiem tego, że mam nadzieję, iż zostaniemy przyjaciółmi. Raz na jakiś czas skontaktuję się z panem, przywiozę tutaj. Możemy rozmawiać. Bliżej się poznać, napić się coli. Odpowiada to panu?
- Tak. Cola - odparł po angielsku Hao.

- Czy Sammy musi przetłumaczyć to, co przed chwilą mówiłem?
- Nie, okay. Rozumiem.
- Przypuszczam, że nie mamy już samochodu. Proszę, dam panu pieniądze na taksówkę. Sadzi pan drzewo na święto Tet?
- Tak, co roku, każdego roku.
- Kumkwat? Z pomarańczowymi owocami?
- Kumkwat.
- Są piękne.
- Tak. Ten rodzaj.
- Jak te, które rosną na pana podwórku.
- Tak.
- Sadzi pan co roku? Ile pan ma?
- Dziesięć.
- A z tym będzie jedenaście.
- Tak. Jedenaście. - Jedenaście lat od śmierci ojca.

Crodelle wydawał się studiować kłamliące urządzenie, które złożone z kilku części leżało na stole.

- Jezu, popatrzcie na te druty. - Nie powiedział, żeby tę wizytę trzymać w tajemnicy przed pułkownikiem. Przypuszczalnie tak czy owak służyłoby to jego celom. Albo domyślili się, że Hao o tym nie wspomni, żeby uniknąć pytań i kłamstw. Ale Trung - czy powinien mówić Trungowi?

- Do diabła, a to po co?... - mówił Crodelle. - To najwyraźniej przyczepiają do palca...

Poczekaj, aż Trung znowu się do niego zgłosi, i wtedy zdecyduje, ile mu powie.

- Któregoś dnia pan, ja i technik usiądziemy i sprawdzimy, jak to wszystko działa.

- To bez różnicy - powiedział Hao.
- Bez różnicy?

Chodziło mu o to, że to wszystko bez różnicy, bez znaczenia, wszyscy kłamią.

Kim czekała na męża przed domem koło drzewa, którego korzenie owinięte były w gazetę. Patrzyła, jak Hao wysiada z pojazdu, płaci riksarzowi i idzie ku niej uśmiechnięty, jakby nic się nie stało.

- Ci ludzie pytali mnie o Trunga - powiedziała. - Twojego przyjaciela.

- Mnie też o niego pytali.
- Widziałeś mnie tam?
- Widziałem cię w piwnicy.
- Czego oni chcą?
- To wszystko dotyczy Trunga. Myślę, że ma kłopoty.
- Powiedzieli, że Trung przychodzi do nas do domu.
- Nie, nie przychodzi. Czy kiedyś go widziałeś?
- Nie. Pytali mnie, czy nas odwiedza, i zaprzeczyłam.
- Mnie też pytali i też zaprzeczyłem, powiedziałem, że nie przychodzi do naszego domu.

- To dobrze. Jeśli duch mojej babki będzie w nocy gonił cię z wyciem, powtórzę ci, co mówi: Nie trwoń swojej dobroci.

- Na tym koniec - powiedział Hao. - Nie ma sprawy.
- To jest dokładnie tej samej wielkości co większość pozostałych - stwierdziła Kim, mając na myśli drzewo. - Poszłam na targ w drodze do domu.

- Kim, posłuchaj mnie. Wiesz, kim jestem.
- Nie mogę znaleźć łopaty. Spodziewasz się, że będę kopala rękami?
- Znasz mnie - powiedział Hao.
- Nie sprawiaj kłopotów.
- Chcę pokoju.
- Więc słuchaj mojej babki. Zawsze nam powtarzała: Nie rozrzucajcie swojej dobroci po lesie. Zasadźcie ją tam, gdzie urośnie i was nakarmi.

- Dobra rada.
- Ci Amerykanie są na ciebie źli?
- Nie. Wszystko jest w porządku.
- Dali ci pieniądze na riksę?
- Więcej niż trzeba.
- Mnie też. Gdzie jest łopata?
- Nie wiem.

Poszli na skraj niskiego żeliwnego ogrodzenia, gdzie Hao, wykorzystując róg niewielkiej deski oraz własne dłonie, wykopał dziurę, w którą włożyli drzewo. Z sąsiedniej ulicy dobiegały ich śpiewy, fajerwerki, krzyki dzieci. Kim stopą zrzuciła ziemię do dziury, uważając, by jak najmniej dostało się do sandała. Mąż przyglądał się jej bacznie, jakby pragnął zmaleć i rzucić się do dziury.

Nazajutrz wybierała się do wróżbiarza po przepowiednię dla siebie. Wcześniej nie mogła się doczekać, teraz odbierała to jako karę.

- Ach, pamiętam - powiedział Hao.
- Co?
- Łopata jest w...
- Gdzie?
- Nie. Tam jej nie ma.

Przybył podwójny agent.

Przyjechał do willi czarnym chevroletem z całą świtą, Hao, Jimmym Stormem, pułkownikiem, nawet młodym siostrzeńcem Hao, Minhem, przedtem pilotującym helikopter pułkownika, teraz na powrót służącym w lotnictwie Wietnamu, ale dzisiaj ubranym po cywilnemu. Skipowi wydało się to niepotrzebnie licznym zgromadzeniem.

Usiedli wszyscy w salonie: podwójny agent Trung na sofie, pomiędzy pułkownikiem w krzykliwej hawajskiej koszuli a umundurowanym Stormem.

Sands zamówił kawę i przyglądał się bacznie człowiekowi, na którego pojawienie się czekał dwa lata.

Trung miał około stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu i krzywe nogi. Mógł mieć od trzydziestki do pięćdziesiątki, ale Skip zrozumiał, że jest starym kolegą szkolnym Hao, co znaczyło, że ma lat czterdzieści parę. Nie smarował tłuszczem włosów, sterczały kępkami ze środka czaszki. Miał ciemną skórę (z rodzaju tych, na których płytkie zadrapania pozostawiają blizny), stykające się nad nosem gęste brwi, wielkie uszy, słabo zarysowaną brodę. Brzydka twarz, choć przyjacielska. Ubrany był w wyglądające na azjatyckie i dziwnie pofarbowane niebieskie dżinsy, zielony T-shirt, trochę dla niego za mały (ubranie wyglądało na nowe) oraz wysokie tenisówki, także wyprodukowane w Azji, także nowe, bez skarpetek. Trzymał dłonie na kolanach, obie stopy na podłodze. Pomędzy stopami leżał zielony plecak, pewnie nowy, zwinięty, pewnie pusty. Trung przyjacielsko spojrział Skipowi w oczy. Jego białka miały żółtawy odcień. Może źródłem jego swobodnego zachowania była choroba.

W tej chwili, najprawdziwszej i najbardziej uzasadnionej w wędrówce Skipa jako uczestnika zimnej wojny, jego wuj sprawiał wrażenie roztargnionego, nie siadał, ale krążył od okna do okna, nie dokonał prezentacji.

- Skip, chodź ze mną. Mam dla ciebie wiadomości. Wyjdź ze mną przed dom.

Stanęli przed drzwiami w mglistym poranku, Skip myślał, że powinien pójść na górę i włożyć coś na kąpielówkę i T-shirt.

- Skip, mam złe wieści - powiedział pułkownik.
- Wygląda na to, że wieści są dobre.
- Tak, to on, nasz człowiek.
- To jest dobra wiadomość.
- Nie. Tak. Posłuchaj, Skip, twoja matka umarła. Beatrice. Bea.

To zdanie uderzyło go niczym pięść prosto w mostek, a równocześnie jego znaczenie całkowicie mu umknęło.

- Co, kurwa? - zapytał Skip.
- Pora jest straszna. A depesza ma trzy dni.
- Nie, nie wierzę w to.

- Skip, siadaj. Usiądź. - Usadowili się na schodach. Na zimnym, schodzonym granicie. Wuj prawą ręką sięgnął do kieszeni na piersi, lewą położył Skipowi na prawym ramieniu. Skip trzymał w dłoniach jasnożółty kawałek papieru. Ilekroć później wspominał tę chwilę, nie był w stanie pominąć wszystkich tych szczegółów, musiał włączyć je w obraz.

- Zaraz wrócę z drinkiem - powiedział pułkownik i zostawił go samego z depeszą. Skip przeczytał ją kilka razy. Pastor matki pisał, że odeszła na wieczny spoczynek w wyniku komplikacji po rutynowej całkowitej histerek-tomii.

Cokolwiek to znaczyło. Pastor wyrażał współczucie i przyrzekał modlitwy.

Pułkownik wrócił ze szklanką w dłoni.

- „Rutynowa całkowita” - powiedział Skip. - Jak ci się to podoba?
- Masz, proszę. Solidny łyk dobrze ci zrobi.
- Jezu, okay.

Wuj stał nad nim ze szklanką, ale Skip jej nie brał. Trzymał depeszę na otwartych dłoniach niczym wielki, delikatny popiół.

- Nie będę na pogrzebie.
 - Fatalna sprawa.
 - Mam nadzieję, że ktoś będzie.
 - Była dobrą kobietą. Jestem pewien, że będzie miała wielu żałobników.
- Pułkownik wypił połowę whisky, którą przyniósł dla bratanka. - Depesza przyszła trzy dni temu. Byłem w Cao Phuc. Poinformowali mnie przez radio, że przyszła depesza, i miałem zamiar skontaktować się z kimś i poprosić o odczytanie, ale nie uznałem tego za ważne, tyle tych depesz przychodzi i generalnie są o niczym, sam dobrze wiesz... I szczerze mówiąc, Skip, miałem inne sprawy na głowie.

- Nie, nie musisz... sam wiesz.

- Już po wszystkim. Echo nie istnieje. Przypuszczalnie dzięki uprzejmości Johnny'ego Brewstera, choć może jednak nie. Z tego, co wiem, usuwają nas stamtąd, żeby mogli urządzić naloty dywanowe na okolicę.

- Jezu.

- Przykro mi z powodu tej zwłoki. Kiedy wróciłem, Trung powiedział, że jest gotowy. W całym tym zamieszaniu związanym z utratą Cao Phuc prawie całkiem o nim zapomniałem.

- Pogrzeb jest pojutrze.

- Jedź, jeśli czujesz, że musisz.

- Przecież nie mogę.

- Ludzie w domu zrozumieją. Wiedzą, że wyjechałeś na wojnę.

- Mogę się napić?

- O cholera.

Skip osuszył szklanekę.

- Skip, dam ci kilka minut na pozbieranie się. Potem musisz wrócić i zabieramy się do pracy.

- Wiem. Chryste. Obie sprawy w jeden dzień.

- Przykro mi, że tak się złożyło.

- Jasne. Zaraz będę.

Skip patrzył na drogę za bramą. Wcale nie myślał o swojej matce. Przypuszczał, że będzie myślał o niej później. Nie potrafił przewidzieć emocjonalnych skutków tego wydarzenia, matka nigdy wcześniej mu nie umarła. Ani nikt bliski. Ojciec zginął, zanim zdążył go poznać. Wuj Francis stracił młodego syna, który utonął, żeglując wokół Cape Cod, no i byli jeszcze towarzysze broni polegli na wojnie. Skip na własne oczy widział, jak wuj strzelił do człowieka wiszącego na drzewie. Wiecie co? Ludzie umierają. Żałował, że musi przeżywać tę chwilę samotnie. Nic mu to nie dawało. Ucieszył się, kiedy wuj wrócił i usiadł obok niego.

- No tak, wuju, jestem twoim osieroconym bratankiem.

- Beatrice była cudowną żoną dla mojego brata. Nigdy o tym nie myślałem, Skip, ale musiał umrzeć absolutnie szczęśliwy. Ich małżeństwo trwało krótko, ale dała mu wielkie szczęście.

- Zabili ją. Rzeźnicy.

- Nie, nie, nie. Znają się na rzeczy. Widziałeś, co potrafią. Przynosisz im żołnierza w kilku kawałkach, a po roku gotowy jest na paradę.

Skip złożył depeszę na pół, potem jeszcze na pół, ale nie potrafił się zdecydować, do której kieszeni ją włożyć. Rzucił depeszę w kierunku drogi.

- Wiesz co? Twój tata wiedział, co jest ważne. Ożenił się wcześniej. Nie był taki jak reszta. Do diabła, każdy w tej rodzinie jest inny. Ja mam metr siedemdziesiąt w butach. Twój wuj Ray ma metr dziewięćdziesiąt cztery.
- Jest starszy od ciebie?
- Ray? Jest dwa lata młodszy. Dwa lata i trzy miesiące.
- Och.
- Rzecz w tym, że masz rodzinę. Nie jesteś sierotą. Myślę, że to najważniejsze.
- Dziękuję.
- Mówię poważnie. Ale ty to wiesz. Zawsze wiedziałeś. A teraz posłuchaj, sprawa jest fatalna i pora bardzo nieodpowiednia...
- Pozbieram się. Chodźmy do środka.

Mister Skip powiedział, że miejscowy ksiądz może wiedzieć, gdzie kupić szczególnie rodzaj sproszkowanej kory na leczniczą herbatę, o którą prosiła Kim. Ostatnimi czasy była w dobrym zdrowiu, ale zioła i leki wciąż ją pasjonowały. Hao i jego siostrzeniec zostawili Amerykanów i poszli szukać domu księdza. Tylko kilkaset metrów szli wzdłuż strumienia, mijając małe podwórka, z których na każdym wznosiło się parę kamieni nagrobnych znaczących rodzinne groby, i przez tylny ogród wkroczyli do katolickiej enklawy.

W domach nad strumieniem stare kobiety nad ogniskami z węgla drzewnego albo szczap gotowały ryż, ale u księdza dym nie wznosił się w niebo. Minh musiał dwa razy zagwizdać. Z domu wyszedł mały, bosi człowieczek, zapinając pasek i długą amerykańską koszulę, która sięgała mu prawie do kolan.

Hao poczuł irytację, że tak szybko znaleźli księdza. Chciał porozmawiać z siostrzeńcem o rodzinnych sprawach.

- Tak, znam was - powiedział ksiądz, kiedy Hao zaczął się przedstawiać.

Hao wyjaśnił, że potrzebuje ziół dla żony. A może też czegoś na chory ząb.

- Powiem wam, gdzie to jest, ale nie mogę z wami iść.
- W porządku.
- Dzisiaj nigdzie nie wychodzę - wyjaśnił ksiądz. - Zostaję w domu, bo miałem ważny sen.
- Sen kazał ci zostać w domu? - zapytał Minh.
- Nie, chcę tylko w spokoju przypomnieć go sobie i zrozumieć.

Hao żałował, że musi rozmawiać z takimi ludźmi. Ale jego żona: duchy,

sny, napary, wszelkie takie bzdury. Dlatego tu przyszedł.

- Znasz zielarza czy nie?

- Idźcie drogą na północ. W trzeciej osadzie zapytajcie o rodzinę Chińczyków. Tak naprawdę nie są Chińczykami - dodał.

- Dziękuję.

Zawrócili do willi. Hao postanowił, że wyprawa po fałszywe remedium tutaj się zakończy. Kim nie dostanie zaczarowanych proszków. Coś wymyśli.

- To bez znaczenia - powiedział siostrzeńcowi. - Chciałem tylko z tobą pogadać. Nie widzieliśmy cię od wielu tygodni. Od co najmniej trzech miesięcy.

- Przykro mi, wuju - odparł Minh. - Jestem niewolnikiem generała. Nie mogę się wyrwać.

- A kiedy ostatnio u nas byłeś, nawet nie zostałeś na herbatę. Przyjechałeś do miasta nie dla nas, tylko dla swojej przyjaciółki.

- To trudne, wuju.

- Poprosiłem pułkownika, żeby dzisiaj przyprowadził cię do mojego domu, w przeciwnym razie pewnie wcale byś się nie pojawił.

- A pułkownik przywiózł mnie tutaj.

- Czy to takie niewygodne?

- To podróż. Nie jestem tutaj potrzebny, ale cieszę się ze spotkania z tobą i z pułkownikiem.

- Jest problem z Hayem, bratem mojej żony.

- Wiem o tym.

- To nie do zniesienia. Masz broń na swoim helikopterze?

- To helikopter generała Phana.

- Jakiego rodzaju broń?

- Jeden karabin maszynowy.

- Chcę, żebyś zaatakował dom.

- Dom wuja?

- Ten dom nie należy do niego, tylko do mnie. Hay od jedenastu lat zalega mi z czynszem.

- Chcesz, żebym zbombardował dom? - zapytał Minh, używając angielskiego słowa.

- Nie - odparł po angielsku Hao - nie zbombardować. Zniszczyć.

- Z całym szacunkiem i przywiązaniem, wuju, to nie jest dobry pomysł.

- Widzisz, jak bardzo jestem rozgniewany.

- Widzę.

- W takim razie jedź do Lap Vung. Porozmawiaj z wujem Hayem, powiedz mu o moim gniewie. Wrócisz do domu na święto Tet?
- Nie, nie mogę. Pojadę na urodziny ciotki.
- Jego żony?
- W marcu.
- A dokładnie którego?
- Osiemnastego.
- Więc proszę cię, porozmawiaj z nim.
- To człowiek uparty. Nie chcę psuć urodzin ciotki Giang.
- Zepsuj, nic mnie to nie obchodzi. Widzisz, jak bardzo jestem zły.

Doszli do niskiej żeliwnej furtki wielkiej willi, w której ich przyjaciel niedbale grał z Amerykanami o własną przyszłość. No tak. Trung przez cały czas był całkowicie szczerzy. Hao nigdy mu nie wierzył.

W środku pułkownik rozprawił, siedząc na kanapie obok Trunga z jedną ręką na jego ramieniu, w drugiej trzymając filiżankę herbaty. Ostatnimi czasy Hao rzadko widywał pułkownika, teraz w każdym razie bał się go bardzo. Z drugiej strony Trung siedział Jimmy Storm, ręce miał skrzyżowane na pierśsiach, stopę opartą na kolanie, jakby ktoś związał go w węzeł i zostawił bezbronnego. Trung zdawał się czuć swobodnie.

Hao i Minh zajęli miejsca na krzesłach na granicy między salonem a gabinetem, nie całkiem członkowie zgromadzenia, nie całkiem poza nim. Pułkownik sam sobie przerwał wywód kierowany do Skipa i rzekł:

- Oto dwie rodziny pomagają sobie nawzajem. W ostatecznym rozrachunku wszystko dotyczy rodziny. Ma pan rodzinę, panie Trung?

Trung sprawiał wrażenie zdezorientowanego, Hao więc przetłumaczył.

- Mam siostrę w Ben Tre. Matka umarła dawno temu. Pamiętasz?
- Szwagierka pułkownika umarła kilka dni temu - powiedział po wietnamsku Hao. - Matka jego bratanka.

- Tego, który jest z nami?

Hao raz skinął głową.

- Wnioskuje, że ma rodzinę - powiedział pułkownik.

Hao wyjaśnił, że Trung ma siostrę, której nie widział od kilku lat.

Pułkownik pogłaskał Trunga po ramieniu.

- Ten człowiek to skarb. Jest na pokładzie od czterdziestego szóstego. Ponad dwadzieścia lat.

Mister Jimmy słowem się nie odezwał. Hao nie podobało się jego spojrzenie.

- Matka tego młodego człowieka właśnie umarła? - zapytał Trung.
- Jego wuj dzisiaj rano przyniósł mu wiadomość.
- Przekaż mu moje kondolencje, proszę.

Ale pułkownik mówił do Skipa:

- Chcę, żebyś przede wszystkim zrozumiał, że nie prowadzisz tego człowieka. W pewnym sensie nawet nie zbierasz danych. A już z całą pewnością nie przesłuchujesz. W żadnym razie. Bądź tylko jak gąbka.

- Rozumiem, sir.

- Jeśli uznasz, że się uczysz, że poznajesz jego dzieje, nasza sytuacja bardzo się poprawi.

- W porządku.

- I nie chcę, żebyś się pocił nad moją skomplikowaną fikcją. O cokolwiek cię zapyta, masz być z nim całkowicie szczerzy, o ile naturalnie jesteś pewien, że nie próbuje wyciągnąć od ciebie informacji.

- W porządku.

- Jeśli jednak zapyta cię o twoje pochodzenie, rodzinę, życie - powiedz mu o wszystkim.

- Bardzo dobrze.

- Co on mówi? - Trung zapytał Hao.

- Udziela instrukcji. Powiedział swojemu bratankowi, żeby był z tobą szczerzy.

- Powiesz im, że jestem wdzięczny?

Hao pragnął krzyknąć: Wszystkich was okłamuję.

- Wy dwaj będziecie musieli opracować sposób porozumienia się - powiedział pułkownik.

- Damy sobie radę - odrzekł Skip.

W drodze powrotnej do Sajgonu Minh jechał na tylnym siedzeniu z Jimmym Stormem. Minh nie wiedział, dlaczego poproszono go o udział w tej wycieczce. Ponieważ byli dwiema rodzinami pomagającymi sobie wzajemnie, to rozumiał, ale przecież nie odgrywał w tym żadnej roli. Zaledwie miesiąc temu z wielką niechęcią poświęciłby czas z przepustki, ale panna Cam, jego dziewczyna: jej ojciec zaczął traktować go lodowato, zamknął przed nim dom, a ona nie zgodziła się na potajemne randki. Najwyraźniej ojciec liczył na to, że jego rodzina poślubi bogactwa wuja Hao. Musiał się dowiedzieć, że żadnych bogactw nie ma.

Kłopoty zupełnie pozbawiły wuja zdrowego rozsądku. Jego obsesja na punkcie domu nad Mekongiem i czynszu, o którym z całą pewnością wiedział, że nigdy go nie zobaczy, oraz propozycja, żeby Minh wymordował lokatorów - wszystko to było głupie. Z drugiej zaś strony Hao nawet nie wspominał o pułkowniku, a zwłaszcza o tym, jak pułkownik się zmienił. Był błądy, z trudnością łapał oddech, przez cały poranek sęczył bushmillsa, zamiast połykać wielkimi łykami, szklanek trzymał w opuszkach palców, a nie całą dłoń. Jimmy Storm z kolei zachowywał nietypowe dla siebie milczenie i był nieświadom (albo udawał, że jest) pogłębiającej się samotności pułkownika.

Minh rzadko widywał pułkownika, odkąd helikopter wrócił do sił powietrznych Wietnamu, a Minh razem z nim, wciąż jako pilot. Poza karabinem maszynowym kaliber 30, który wuj z taką ochotą kazałby mu wycelować w jego rodzinę, w helikopterze nie było żadnego uzbrojenia; Minhowi oszczędzono walki, nadal pełnił rolę powietrznego taksówkarza, choć teraz dla generała Phana. Generał dał mu tygodniową przepustkę, rzecz bez precedensu. Minh był wdzięczny, ale postrzegał wyrozumiałość jako nowy wzorec. Nastawienie w armii uległo zmianie. Nie podobało mu się to. Ogień zgasł.

- Hao - odezwał się pułkownik - zatrzymaj samochód.

Byli już na trasie dwudziestej drugiej. Hao zjechał na pobocze, pułkownik wysiadł, żeby sobie ulżyć, jak przypuszczał Minh.

Ale on tylko stał przy samochodzie, całą uwagę koncentrując, tak to wyglądało, na samotnej chmurce daleko przed nimi, która niczym mały, mglisty księżyc oddalony o dziesiątki kilometrów wisiała na niebie, niewykłuczone, że nad Morzem Chińskim, dla nich niewidocznym. Pułkownik zrobił kilka kroków, stanął przed samochodem z lewą pięścią opartą o maskę, prawą dłoń na biodrze i pośród brunatnego ugoru, niegdyś będącego gęstą dżunglą i polami ryżowymi, obecnie zatrutym nieużytkiem, na którym pozostały tylko szkielety i leje, czekał, wpatrując się w chmurę, jakby usiłował wpłynąć na jej poruszenia, zmusić do odwrotu, aż wreszcie odpłynęła na południe i zesła im z drogi.

Wrócił do samochodu.

- Dobra. Jedziemy.

Nikt poza tym się nie odezwał. Nawet sierżant milczał. Minh niegdyś odcisnął wrażenie, że poznał rytmy tych dwóch towarzyszy. Wyczuwał puste miejsca, gdy Storm powinien wygłosić suchą uwagę albo któryś ze swoich żartów.

Skip uświadomił sobie, że przesadził z przygotowaniami. Co miał do roboty przez ostatnie dwa lata poza uczeniem się na pamięć labiryntu wątpliwości oraz *Uwag o podwójnym agencie* J. P. Dimmera?

„Z doświadczenia wynika - przestrzegają czytelników Dimmer - że niektórzy ludzie przyjmujący rolę podwójnego agenta - w istocie może nawet większość - odznaczają się wieloma wspólnymi cechami... Psychiatrzy określają takich ludzi mianem socjopatów.

W sytuacjach stresowych są niezwykle spokojni i zrównoważeni, nie potrafią natomiast znieść rutyny ani nudy.

Nie tworzą trwałych i dojrzałych związków emocjonalnych z innymi ludźmi, ponieważ innych zawsze wykorzystują.

Są ponadprzeciętnie inteligentni. Doskonale operują słowami, czasami w jednym lub więcej językach.

Są sceptyczni, a nawet cyniczni w ocenie motywów i zdolności innych, za to mają przesadzone mniemanie o własnych kompetencjach.

Ich wiarygodność jako agentów w przeważającej mierze zdeterminowana jest stopniem, w jakim instrukcje oficera prowadzącego zbiegają się z tym, co postrzegają jako korzystne dla siebie.

Są ambitni jedynie na krótką metę: pragną wiele i pragną teraz. Brakuje im cierpliwości, by z wysiłkiem dążyć do oddalonej w czasie nagrody.

Z usposobienia są skryci, tajemniczość i oszustwa sprawiają im przyjemność.

Podwójny agent, który nigdy nie spotkał J. P. Dimmera, powiedział Skipowi:

- Pańska herbata jest wysmienita. Lubię mocną.

Skip przyniósł z gabinetu dwa słowniki i położył na stoliku. Zakładał, że ten człowiek oczekuje na instrukcje, których on nie może mu dać, podczas gdy on, Skip, officer odpowiedzialny za akcję, czego pragnie? Przestać czekać. Służyć. Stać się niezastąpionym dzięki wykorzystaniu tego człowieka przeciwko jego narodowi. Poznać tego człowieka, w tym wuj miał rację, nie można wytyczyć mapy umysłu zdrajcy za pomocą trzydziestu odpowiedzi „tak” lub „nie” oraz trzech linii kreślonych na wariografie. Lepiej brnąć, cofać się i gubić, korzystać z dwujęzycznych słowników i źle dobranych celów. Nawet wobec trudności, z palącymi się za nim mostami, ten Trung z

rozkoszą popija herbatę, pochłania z lubością ciasta pani Diu, radośnie poznaje się z Monsieur Bouquetem i radzi, by psa raczej piec na ruszcie niż gotować w kawałkach. Nie ucieka wzrokiem, nie ma zbiegających kłykci, nic w tym rodzaju. Gdzie jest Judasz? Skip zaczął się zastanawiać, czy to przypadkiem nie jest jakiś zbłąkany sąsiad Hao, który znalazł się tutaj przez dziwaczne nieporozumienie. Podwójny agent znał tylko podstawy angielskiego, wietnamski Skipa był po prostu nieodpowiedni. Obaj mówili po francusku, choć nie płynnie. We wszystkich trzech językach mogli zygzakami dążyć ku swym odrębnym celom.

- W Stanach Zjednoczonych nie jemy psów. Psy są naszymi przyjaciółmi.

- Ale teraz nie jest pan w Stanach Zjednoczonych. To jest Wietnam. Jest pan daleko od domu i to jest smutny dzień, mister Skip, bardzo panu współczuję. Szkoda, że nie przybyłem innego dnia.

- Zrozumiał pan, że moja matka umarła?

- Powiedział mi mój przyjaciel Hao. Bardzo panu współczuję.

- Dziękuję.

- Ile lat miała matka?

- Pięćdziesiąt dwa.

- Wróciłem z północy w 1964. Po dziesięciu latach tam. Marsz do domu był bardzo trudny. Całą drogę myślałem o matce i moja miłość do niej znowu z wielką siłą ożyła. Pamiętałem o niej wiele rzeczy, o których nie wiedziałem, że pamiętam. Było mi bardzo smutno na myśl, że będzie starsza, kiedy do niej wrócę. Chciałem, żeby moja matka była znowu młoda. Ale kiedy przyszedłem do Ben Tre, nie żyła od sześciu miesięcy. Przeżyła prawie sześćdziesiąt lat. Na imię miała Dao, co jest rodzajem kwiatu. Więc ścinam kwiaty dao na jej pomnik.

- Ma pan żonę? Dzieci?

- Nie. Nikogo.

- A ojciec?

- Umarł, kiedy byłem małym dzieckiem. Zabity przez Francuzów.

- Mój też umarł. Zabili go Japończycy.

- A ma pan żonę? Jakież dzieci?

- Jeszcze nie.

- Więc to jest bardzo trudne. Widzę to. Bardzo trudne, kiedy druga osoba odchodzi. Jak matka umarła?

- Nie wiem na pewno. Jakaś operacja się nie udała. A pańska?

- Choroba. Siostra mówiła, że to trwało prawie cztery miesiące. Nasza matka umarła, kiedy ja też byłem bardzo chory i musiałem zatrzymać się w drodze z północy. Miałem gorączkę. Nie jak malaria. Coś innego. Leżałem w hamaku przez dwa tygodnie. Inni chorzy towarzysze przyszli i rozwiesili swoje hamaki w tym samym miejscu, i leżeliśmy tam bez żadnej pomocy. Po kilku dniach w niektórych hamakach były trupy. Ja wyzdrowiałem z choroby i czekałem, żeby znowu poczuć ramiona matki na sobie. Byłem bardzo smutny, kiedy się dowiedziałem, że nie żyje, ale w tamtych dniach miałem siłę i moja pasja dla sprawy była o wiele większa od mojego smutku. Wysłano mnie do Cao Phuc, gdzie jednym z moich pierwszych rozkazów było zabicie pańskiego wuja. Ale go nie zabiłem. Mój granat nie wybuchł. Cieszy się pan?

- Bardzo się cieszę.

- Gdyby granat zadziałał, mój przyjaciel Hao także by zginął. Ale sprawa znaczyła więcej niż Hao. Już straciłem wielu towarzyszy. Grzebiesz przyjaciela - i masz wroga. To bardziej przywiązuje cię do sprawy. A potem przychodzi czas, że zabijasz przyjaciela. To może skłonić cię do odejścia, choć może mieć też skutek przeciwny, odbierze ci słuch i nie usłyszysz własnego głosu, kiedy będzie chciał zadawać pytania.

- A pan zaczął zadawać pytania. Czy to spowodowało pana do nas?

- Od początku miałem pytania. Nie miałem uszu, by je usłyszeć.

- Co spowodowało zmianę, Trung?

- Nie wiem. Może śmierć mojej matki. Dla mężczyzny bez dzieci to wielka zmiana. Czas jest gotowy na twoją śmierć. Może nadejść w każdej chwili, nawet zanim twoje ciało zostanie zabite.

- Co dokładnie ma pan na myśli? Chyba nie rozumiem.

- Może pan nie chce.

Podczas kolacji, kiedy jego mamy wietnamski ograniczył rozmowę do minimum, Skip świeżym okiem patrzył na swoje otoczenie i zastanawiał się, co musi widzieć gość: piękne stare meble z mahoni i rattanu, imponujące drzwi wejściowe, podczas gdy w tym regionie cały front otwarty jest na świeże powietrze, tylko w nocy wejścia broni żeliwny płot, gipsowe ściany zdobione malowidłami na lakierowanym drewnie, delikatnymi scenami wiejskimi - dopracowane, ciche sceny ze strzępiastymi palmami kokosowymi w świetle bez duszy, którą można by rozerwać. Pani Diu podała wołową zupę z makaronem, warzywa, ryż gotowany na parze. Rano w całym domu rozstawiła małe, acz przyciągające wzrok bukiety. Skip uświadomił sobie, że robi to codziennie. Wcześniej tego nie zauważał. Razem z panem Tho mieszkała

nad strumieniem w chacie otoczonej palmami i białą plumerią... W pewnym momencie podwójny agent przykrył dłonią usta i ziewnął.

- Jest pan śpiący?
- Jeszcze nie. Gdzie będę spał?
- Na piętrze jest przygotowany pokój.
- Gdziekolwiek.
- Nie jest tam elegancko.

Potem Trung albo zapytał o pistolet, albo oznajmił, że jest w posiadaniu pistoletu.

- Słucham?

Trung powtórzył po francusku:

- Ma pan dla mnie pistolet?
- Nie, nic w tym rodzaju.

Prośba przywróciła go do rzeczywistości. Przestał myśleć o tym człowieku jako o konkretnej osobie. To był gość, ktoś zasługujący na gościnność, nic więcej.

- Tylko dla ochrony.
- Nie będzie pan potrzebował ochrony. Tutaj jest pan bezpieczny.
- W porządku, wierzę panu.

Na deser pani Diu podała delikatny krem jajeczny. Trung i Skip wyjęli słowniki.

- Przepraszam za mój wietnamski. Uczyłem się, ale ledwo pana rozumiem.

- Ludzie mówią mi, że przejąłem akcent z północy. Choć niewiele poza tym przejąłem. Na północy my z południa trzymamy się razem. Mamy tutaj swój styl. Bardzo się różni od stylu na północy

- W moim kraju też tak jest - powiedział Skip.
- Jacy są południowcy w pańskim kraju?

- Znani są z wielkiego wdzięku i wolnego mówienia. Pomiędzy rodzinami i przyjaciółmi bardzo otwarcie okazują uczucia. Za to nas z północy uważa się za bardziej opanowanych, ostrożniejszych, mniej siebie dajemy. Tak nas określają. Ale są wyjątki. Miejsce urodzenia nie może wszystkiego powiedzieć o człowieku. I wie pan, my też mieliśmy wojnę domową. Północ przeciwko południu.

- Tak, znamy waszą historię. Studiuje waszą historię, wasze powieści, wasze wiersze.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Zanim wasze wojska przybyły do Wietnamu, Ameryka była ważna w świecie. Największy kapitalistyczny naród świata. Bardzo lubię Edgara Allana Poe'go.

Potem mówili o błędzie, jakim jest ta wojna, nie wspominając, kto ów błąd popełnił.

- W Wietnamie - powiedział Trung - mamy konfucjański tryb na czasy stabilizacji, na mądrość, zachowania społeczne i tak dalej. Na czasy tragedii i wojny mamy tryb buddyjski: zgoda na fakty, utrzymanie jasności umysłu.

- Tak, słyszałem o tym.

- Wojna nigdy się nie kończy.

- Musi się skończyć.

- Nie spodziewam się, że doczekam jej końca. Chcę jechać do Stanów Zjednoczonych.

- Rozumiemy. Możemy to załatwić.

Wyobraził sobie tego człowieka stojącego na rogu w San Francisco i czekającego na zielone światło. Skip miał w szkole kolegów pochodzących z rodzin emigrantów, w większości ze Skandynawii. Odwiedzał ich duszne domy, czuł, jak płuca ściskają mu nieznanym zapachom, patrzył na niewyobrażalną mieszkankę mglistych fotografii żołnierzy z piórami sterczącymi z czapek bez rond, słyszał, jak rodzice popełniają błędy gramatyczne i rzucają słówkami, źle wymówionymi i bełkotliwymi, wszystko w nich było afrontem dla synów, którzy znosili ojców w milczeniu, a napomnienia matek kwitowali krótko: „Tak, mam, okay, mam, muszę iść, mam”. Naturalnie jako chłopiec Skip nie dostrzegał tych dorosłych, bohaterów z uporem podejmujących ryzyko, przemierzających oceany, wygnańców. Swymi nieśmiałyimi pytaniami dotykali ścian, którymi otoczyły się dzieci. Z drugiej zaś strony syn, dla którego dobra narażali własne życie, podwijał rękawy na bicepsie, smarował włosy Wildroot Cream-Oil, kłamał na temat dziewczyn, wykonywał operacje na fajerwerkach, piłkach golfowych, martwych kotach, celował glutami w lampy uliczne, śmiał się jak Amerykanin, przeklinał bez akcentu. Jego najlepszy przyjaciel w siódmej klasie, Litwin Ricky Sash - przypuszczalnie z Szasz, jak się nad tym zastanowić - mówił „proszę” i „dziękuję” tak często jak „pierdol się” i wiązał buty na wielki podwójny węzeł. Nic poza tym go nie zdradzało. Azjaci nie będą mieli tak łatwo.

- Niewątpliwie zastanawiamy się nad pańskimi motywami - powiedział Skip.

- Chce pan poznać powód praktyczny?
- Może mi pan jakiś podać?
- Nie.
- Rozumie pan, dla nas to ważna kwestia.
- Potrzebuje pan czegoś prostego. Chciałby pan, żebym powiedział, że ukradłem fundusze partii komunistycznej albo zakochałem się w niedostępnej dla mnie kobiecie i musimy uciekać.

- Coś w tym rodzaju.
- Nic takiego nie ma.
- Może mi pan powiedzieć?
- Przy każdym kroku, którym zdradzam towarzyszy i sprawę, odczuwam ból w duszy, ale to jest ból powracającego życia.

Wzruszające zwierzenia rozdartego serca czy doskonale wymyślone brednie?

- Trung, mówi pan, że chce wyjechać do Stanów Zjednoczonych. Ale mówi pan także, że pójdzie na północ.

- Najpierw północ, potem Stany. Znam północ.
- Pułkownik wspominał, że pracował pan z prymitywnymi plemionami.
- Z chłopcami z Ba Den. To prawda. Planowano wcielić plemiona do wojska, a przynajmniej poddać indoktrynacji. Nie wiem, co stało się z tymi planami. Jest tyle zmarnowanych wysiłków. I bezsensownej śmierci.

- Pułkownika interesują ci ludzie.
- To prawda, chce, żebym takiej grupie towarzyszył na północ.
- Dlaczego miałby pan tam wracać?
- Pytanie brzmi, dlaczego nie wydostałem się stamtąd wiele lat temu, kiedy po przyjeździe na północ bardzo mi się tam nie podobało? W 1954 niektórzy ludzie pozostali na południu, ponieważ wiedzieli, że partia w ciągu następnych dwóch lat niczego nie oczekuje, żadnych wyborów, żadnego zjednoczenia. My nie byliśmy tacy sprytni. Wsiedliśmy na statki płynące na północ ze wzrokiem utkwionym w nadzieję i niczego nie widzieliśmy. Zabrali nas na północ, żebyśmy zapomnieli o swoich domach, rodzinach, ziemi, z której pochodzimy. Ale ja tym wyraźniej pamiętałem. Pamiętałem czerwoną ziemię w Ben Tre, a nie żółtą na północy. Pamiętałem ciepłe dni na południu, nie chłodne noce na północy. Pamiętałem szczęście w mojej wiosce, a nie rywalizację i złodziejstwo w kolchozie. Życie rodzinne, życie wioski - oto życie społeczności, a nie kolchoz. Nie możesz upchać ludzi razem, zabronić im opuszczać tego miejsca i mówić, że są komuną połączoną przez doktrynę.

Myślałem, że Marks zwróci nam nasze rodziny i wioski, a wszystko przez to, że myślałem tylko o końcu, o którym mówił Marks: nie znam tego po angielsku ani po francusku, ale mówił, że w końcu państwo będzie jak winorośl, która uschnie i odpadnie. Tego oczekiwałem. Zna pan Marksa? Wie pan, jak brzmi to zdanie?

- Znam po angielsku. - Obaj zaczęli kartkować słowniki i Sands utworzył odpowiednik dla frazy: „państwo obumierające”.

- Tak. Obumierające państwo. A kiedy umrze, zostawi mi moją rodzinę i wioskę. To widziałem na końcu: nie ma Francuzów, nie ma Amerykanów, nie ma komunistów, wraca moja wioska, wraca moja rodzina. Ale kłamali.

- Kiedy pan sobie uświadomił, że kłamią?

- Niedługo po przyjeździe na północ. Wtedy jednak to, że kłamią, nie miało żadnego znaczenia. Byli tutaj Amerykanie. Najpierw musimy rozprawić się z Amerykanami, później zajmiemy się prawdą. Myliłem się. Najważniejsza jest prawda. Prawda jest na pierwszym miejscu. Zawsze tylko prawda.

Wszystko inne przychodzi po niej.

- Zgadzam się. Ale o jakiej prawdzie pan mówi?

- Budda opisuje cztery prawdy: Dukkha, Samudaya, Nirodha, Magga.

Życie jest cierpieniem. Źródłem cierpienia jest pragnienie. Pragnienie można stłumić. Ośmioraka Ścieżka prowadzi do tego stłumienia.

- Wierzy pan w to?

- Nie we wszystko. Mogę tylko powiedzieć, czego sam doświadczyłem.

Wiem z doświadczenia, że życie jest cierpieniem, a źródłem cierpienia jest czepianie się rzeczy, które z nami nie pozostają.

- Cóż. Takie są fakty. W Ameryce nazwalibyśmy je „realiami życia”.

- W takim razie co dla was w Ameryce jest prawdą?

- Coś, co znajduje się poza faktami. Przypuszczam, że prawdą nazwalibyśmy Słowo Boże.

- A jakie słowo Bóg mówi Ameryce?

- Pozwoli pan, że się zastanowię. - Znowu położył dłoń na słowniku francusko-angielskim. Ale był już zmęczony. Dziesięciominutowa rozmowa zmusiła ich do skorzystania z setki słownikowych haseł i trwała niemal dwie godziny. Znał Słowo wyłącznie z przekazu Beatrice Sands, swojej luterańskiej matki: To życie, pragnęła mu powiedzieć, gdy dawała się ponieść chwilom, które wprawiały go w zakłopotanie, ponieważ postrzegał ją jako kobietę ich niegodną, kobietę uwięzioną pomiędzy sznurami na pranie na podwórku porośniętym wysoką trawą niedaleko torów kolejowych, to życie jest tylko

dzieciństwem naszej nieśmiertelności. Mamo, teraz wiesz, czy to prawda. Modłę się do Boga, żebyś się nie myliła. A co do Ameryki: niezwywalne prawa, rząd wybierany przez większość, pergaminy, góry, elekcje, cmentarze, parady...

- Cóż, wszystko to można uznać za rzecz dyskusyjną - powiedział po angielsku. - W każdym języku można się na ten temat sprzeczać. Ale faktów, które pan podał, nie da się podważyć. Jest jednak coś poza tym. - Spróbował po francusku: - Istnieje prawda, ale nie można ująć jej w słowa. Ona jest tutaj.

- Tak, nic innego nie ma. To miejsce, ta chwila.
- Jestem już bardzo zmęczony, panie Than.
- Ja też, panie Skip. Czy dzisiaj zrobiliśmy coś?
- Zrobiliśmy coś.

Zaprowadził Trunga na piętro, do pokoju oddalonego od jego sypialni o szerokość małego korytarza; miał nadzieję, że podwójnemu agentowi smacznie będzie się spało pośród fiszek z archiwum pułkownika. Skip zasnął, ale nie smacznie. Obudził się w ciemności i spojrzął na fosforyzujące wskazówki zegarka: kwadrans po drugiej. Śnił o swojej matce Beatrice. Szczegóły umknęły, gdy usiłował je sobie przypomnieć, i pozostał tylko żal, a także podekscytowanie. Był dla niej wszystkim. Teraz to się skończyło. Przestał być jedynym dzieckiem wdowy; kiedyś w czasie długiej podróży do Bostonu wyglądał przez okno pociągu przemierzającego wolno przedmieścia (Chicago? Buffalo?) i zobaczył dwóch chłopców na chodniku przed małym sklepem, ośmio- lub dziewięcioletnich, ubranych w lachmany i brudnych. Palili papierosy i przyjął za pewnik, że to sieroty. Od tej chwili on także jest sierotą.

Później żal zmiażdżył go fizycznie, krew zadudniła mu w głowie, w płucach zabrakło powietrza - nie dzwonił, nie pisał, zostawił ją zupełnie samą w tej podróży do śmierci na szpitalnym wózku pośród beznadziejnie ugrzecznionego zamętu i strachu typowego dla środkowego zachodu. Skip odrzucił moskitierę, postawił stopy na podłodze, wyprostował ramiona, uniósł twarz i wciągał powietrze krótkimi haustami. Może się napije.

Na piętrze wielkiego domu w pokoju wypełnionym pudłami Trung położył się na łóżku zrobionym z desek opartych na dwóch szafkach i przykrytym japońską tatami ze słomy. Przedstawiciel CIA dał mu lampę butanową; Trung miał powieść socrealistyczną po wietnamsku, której nie chciało mu się kończyć, i *Nędzników* po francusku. Czytał ich tak wiele razy, że już go nie

interesowały dzieje bohaterów. Leżał w mroku, wyczuwając dom, i zadawał sobie pytanie, czy kiedykolwiek spał w tak wielkim budynku, jeśli nie liczyć Świątyni Nowej Gwiazdy w czasach chłopięcych.

Słyszał, jak po drugiej stronie korytarza otwierają się drzwi. Mister Skip, cicho stawiając bosc stopy, minął pokój Trunga i po schodach zszedł na dół.

Co teraz? Żal, bezsenność, Trung był tego pewien. Hałasy z kuchni - najlepiej zostawić go samego. Jego matka umarła.

Matko, wciąż po tobie płacząc.

Leżał w mroku przez dziesięć minut, później wstał i poszedł na dół. Amerykanin ubrany w T-shirt i bokserki siedział w gabinecie przy syczącej lampie butanowej z książką i szklaneczką z lodem.

- Spał pan?
- Jeszcze nie.
- Piję irlandzką whisky. Ma pan ochotę?
- Bardzo dobrze. Spróbuję.

Mister Skip uniósł się z krzesła, ale zmienił zdanie.

- Szklanki są w kuchni - powiedział i na powrót usiadł.

Kiedy Trung znalazł szklankę i wrócił do gabinetu, Amerykanin kartkował jeden ze słowników. Pochylił się i zza fotela wziął butelkę. Trung podstawił szklankę, do której Skip nalał.

- Mam pić wolno czy szybko?
- Jak pijecie ryżową brandy?
- Raczej wolno - odparł Trung i upił łyżeczek. Smak piżmowy, przypominający lekarstwo. - Całkiem dobre.

- Proszę usiąść.

Trung usiadł okrakiem na krześle przy biurku.

- Szukałem pańskiego nazwiska - powiedział mister Skip, zamykając słownik.

- „Than” oznacza kolor nieba, a także kwiat w takim kolorze.
- Nie wiedziałem. Mówi pan o kolorze niebieskim?
- Niebieski jak niebo.
- A „Trung” oznacza „lojalność”, czy tak?
- Lojalność wobec kraju. Dzisiaj to śmieszne, że mam takie imię.

Ściany gabinetu wyłożone były półkami, na półkach stały książki. Gęsta siatka pokrywała oba okna, a także okapy w głównym pokoju i żeliwną kratę po obu stronach wyjściowych drzwi, mimo to małe owady atakowały lampę butanową i umierały.

- Ma pan mnóstwo książek.
- Nie należą do mnie.
- Kto tu mieszka?
- Tylko ja i duch.
- Czyj duch?
- Poprzedniego właściciela. Człowieka, który zbudował dom.
- Rozumiem. Myślałem, że może ma pan na myśli mnie.

Mister Skip opróżnił swoją szklankę i ponownie nalał odrobinę whisky na resztki lodu. Nic nie mówił.

- Może panu przeszkadzam.
- Nie. Doceniam towarzystwo.

Amerikanin opróżnił szklaneczkę.

- Myślałem, że będzie pan Judaszem - powiedział - ale bardziej przypomina pan Chrystusa.

- Mam nadzieję, że to dobrze.
- Jest takie, jakie jest. Chce pan jeszcze trochę whisky?
- Skończę moją powoli.

- Dotarł pan tam - powiedział Amerikanin po angielsku. - Jest pan tam, prawda? Jak to jest, kiedy nosi się dwie dusze w jednym ciele? Bo to prawda. Tacy właśnie jesteśmy. Reszta z nas jest tylko połową tego, czym powinniśmy być. Pan to osiągnął, ale po drodze musiał pan coś zabić. Zabił pan - co?

Trung nie nadązał.

Rezygnacja wobec prawdy, ostateczna rezygnacja, rozpacz, która otwiera drogę do wyzwolenia, gdzie na to są określenia we wszystkich tych książkach?

Amerikanin w milczeniu nalał sobie kolejnego drinka i wypił go powoli. Trung nie ruszał się z krzesła, choć było jasne, że Amerikanin nie chce rozmawiać.

Nazajutrz rano znowu przyjechał jego przyjaciel Hao. Kobieta podała śniadanie, do którego usiedli we trzech, aczkolwiek Trung wyczuwał kłopoty.

Mister Skip pytał ich o okres, który spędzili w Świątyni Nowej Gwiazdy. Opowiedzieli mu, jak podczas święta Tet ukradli brandy, opowiedzieli o śmiechu i śpiewie; wszyscy trzej zachowywali się jak studenci podczas ćwiczeń w obcym języku zatytułowanych „Śniadanie z Amerykaninem”.

- Trung, dzisiaj biblioteka należy do pana. Muszę jechać do Sajgonu w pewnej sprawie. Wrócę jutro około południa.

- Zostanę sam?
- Jeśli to panu nie przeszkadza.

Trung odprowadził ich do czarnego samochodu. Zatrzymał na chwilę Hao.

- O co chodzi?
- To tylko szybkie spotkanie.
- Powiedz mi.
- Nie mogę. Nie wiem.
- Nic poważnego?
- Nie sądzę.

Amerikanin, który stał po drugiej stronie samochodu, usłyszał ich.

- Przyjaciół zaprosił mnie na lunch - powiedział ponad rozgrzanym metalowym dachem. - Kolega. Myślę, że powinienem się przekonać, czego chce.

- Może jest gdzieś bezpieczniejsze miejsce dla mnie do pańskiego powrotu.

- Nie, nie, nie. Nikt nie wie, że pan tu jest.
- Ale wiedzą, że pan tu jest.
- To nie problem - odrzekł Amerykanin. Trung mu nie wierzył.

Dietrich Fest z Departamentu Piątego zachodnioniemieckiego Bundesnachrichtendienst wsiadł do nocnego samolotu na National Airport pod Waszyngtonem i przez osiemnaście godzin nie miał nic do roboty poza czytaniem, drzemkami i rozmyślaniami o poważnym stanie ojca. Woreczek żółciowy, wątroba, serce, seria drobnych wylewów, krwotoki w jelitach, które spowodowały potężną utratę krwi i transfuzje, odżywianie wprost do żołądka, a ostatnio zapalenie płuc. Staruszek nie chciał umierać. Ale będzie musiał. Może już umarł. Może przed chwilą, kiedy drzemałem z otępiłą głową. Może teraz, kiedy przeglądam idiotyczny kryminał. „Claude”, tak nazwał go staruszek w czasie ostatniej wizyty w październiku: kable i rurki wystające z całego ciała, błyszczące błękitne oczy wpatrujące się w przestrzeń. „Patrzcie, to Claude”, powiedział ojciec do cuchnącego uryną, pustego poza tym pokoju. „Nie, to Dirk”, odpowiedział Fest i ojciec zamknął oczy.

O trzeciej po południu czasu miejscowego Fest wylądował w Hongkongu. Podał taksówkarzowi niedokładne wskazówki, w rezultacie czego kilka przecznic przed hotelem zmuszony był wysiąść i resztę drogi przebyć pieszo.

Nawet ten miniaturowy pojazd był za wielki dla wąziutkich uliczek. Z jedyną torbą przerzuconą przez ramię Fest wszedł po stromych stopniach uliczki, przy której tłoczyły się pozbawione drzwi sklepiki handlujące śmieciami.

Na szerszej alejce zatrzymał rikszarza; siedział za żylastym starcem ubranym w coś w rodzaju pieluchy, który energicznie pedałując, zawiózł go do oddalonego o trzy przecznice hotelu, o czym mógł mu od razu powiedzieć. Dwie minuty po zajęciu miejsca w dziwnym pojeździe Fest był u celu. Tuż za kierownicą roweru wisiał drukowany cennik; za przebycie tak krótkiej odległości Fest powinien był zapłacić cztery, pięć dolarów hongkońskich, ale starzec uderzając pięścią w pięść, zawołał:

- Dwadzieścia dolar! Dwadzieścia dolar!

Fest nie miał do niego pretensji, w tym wieku starzec zasługiwał na każdą zapłatę, jaką zdołał za swoją ciężką pracę wytargować. Równocześnie jednak Fest wierzył w uczciwość przy załatwianiu interesów. Odmówił. W kilka sekund okrążyły go inne riksze i odziani w pieluchy rikszarze wszelkich rozmiarów, którzy plując, coś wykrzykiwali. Festowi wydało się, że widzi nóż. Z hotelu wyszedł rozgniewany portier i rozpędził ich magicznymi, przecinającymi powietrze gestami dłoni. Starzec pozostał. Wolałby raczej umrzeć. Fest podał mu dwadzieścia dolarów. Poszedł na piętro, położył się i spał do drugiej w nocy, potem przeczytał krótką powieść Georges'a Simenona po angielsku. Zadzwoił na hotelową centralę i zapytał o rozmowy międzykontynentalne do Berlina, ale numer matki miał gdzieś w torbie, więc zrezygnował. Ostatnio często dzwonił do matki, niemal codziennie w minionych tygodniach, kiedy zmagala się z podupadającym zdrowiem męża.

O ósmej wziął prysznic, ubrał się i zszedł do hotelu na spotkanie ze swoim kontaktem. Wypili kawę, siedząc naprzeciwko siebie na ogromnych, niewygodnych mahoniowych krzesłach. Kontakt - młody Amerykanin - był pod wielkim wrażeniem wykonywanego zadania i traktował swoją rolę z niejaką żarliwością. Na początku powiedział Festowi, dokąd ma jechać. Fest naturalnie to wiedział, miał w kieszeni bilet.

- Ma pan dla mnie dokumenty tożsamości?

Młody człowiek schylił się do torby, którą trzymał między stopami.

- Przygotowaliśmy dwie wersje. - Wręczył Festowi szarą kopertę. - Podczas wykonywania zlecenia wykorzysta pan paszport z antydatowaną wizą wjazdową. Niech go pan zniszczy przed wyjazdem. Przy wyjeździe okaże pan paszport z wizą postdatowaną.

- Ile czasu przewidziano na zlecenie?
- To znaczy według wiz? Postdatowana stwierdza, że wjechał pan... zaraz, kiedy? Wydaje mi się, że jedenastego lutego. W każdym razie do tego dnia musi pan pozostać w kraju. Ale wiza ważna jest przez pół roku.

Festowi nie podobało się to pół roku. Ale celem postdatowania wizy o dwa tygodnie było udowodnienie, że wjechał po okresie wykonania zlecenia. Wynikało z tego, że zaplanowano je najwyżej na dwa tygodnie.

Fest położył kopertę na kolanach, otworzył ją i zajrzał do środka: dwa niemieckie paszporty. Wyjął jeden i odczytał nazwisko właściciela. Claude Günter Reinhardt.

- Interesujące. Mój syn ma na imię Claude. - Po staruszk. I po moim zmarłym bohaterskim bracie.
- Bierzemy jak leci.
- Naturalnie. Zbieg okoliczności.

Ze zdjęcia spoglądała na niego własna twarz. Zawsze wyglądał na rozpuszczonego chłopca, ale broda ukrywała miękkość policzków i sprawiała, że przypominał nieco Zygmunta Freuda albo Ernesta Hemingwaya, taką przynajmniej miał nadzieję. Być może w ubraniu wydawał się korpulentny, choć sam uważał, że jest mocno zbudowany. Także w Stanach ciągle wysyłali go na kursy, włącznie z fizycznie wyczerpującym szkoleniem operacyjnym. Ale miał trzydzieści sześć lat i dwa miesiące. To nie mogło trwać. W gruncie rzeczy sądził, że przydziały amerykańskie dobiegły końca.

- Wjeżdża pan na swój paszport. Ten, którym teraz się pan posługuje.
- Oczywiście.

Jego rozmówca zapłacił za kawę z rogalikami i wstał, by się pożegnać; nagle przybrał nieznośnie swobodną pozę i jakby po namyśle wspominał o przejazdach, porze i miejscu wyznaczonym na odprawę Festa w Sajgonie.

Teraz Fest nie ufał riksarzom w Hongkongu. Zrezygnował z lunchu, pojechał na lotnisko dwie godziny wcześniej, dotarł na miejsce bez problemów i usiadł, obserwując współpasażerów gromadzących się przed podróżą do domu, wesołych i zamożnych Azjatów wracających z wakacji w Hongkongu, Bangkoku albo Manili z pastelowymi torbami na zakupy, uśmiechami, a nawet śmiechem. Nie miał pojęcia, czego się spodziewał - stroskanych członków udęczonej populacji, zgarbionych ramion, napiętych twarzy - nie poświęcał wiele myśli tej wojnie, nigdy nie sądził, że na nią przyjedzie, był pewien, że wysłano go nierozsądnie, jak wszystkich pozostałych. Stewardesa

wręczyła mu fioletową torbę podrózną Vietnam Airlines; trzymał ją pustą na kolanach, patrzył w przesuwające się pod nimi obłoki i drzemał, aż późnym popołudniem ta sama stewardesa dotknęła jego ramienia i powiedziała, że schodzą na lotnisko Tan Son Nhut.

W niszczącym terminalu zatłoczonym żołnierzami amerykańskimi i azjatyckimi, gdzie podłogę pokrywały pudła i bagaże, odnalazł swojego człowieka, Murzyna trzymającego niewielką tabliczkę z napisem MEEKER IMPORTS.

- Panie Reinhardt - powiedział Murzyn - jestem Kenneth Jones. Ktoś poza panem?

- Nie wiem.

- Ja też nie. Ale przyjmujemy wszystkich. - Mężczyzna tryskający optymizmem. Nikogo więcej nie było.

- Jak lot?

- Wszystkie kończą się na ziemi.

- Tak powiadają kaczkami. Jezu, kto wymyśla te hasła?

- Nie mam pojęcia - odrzekł Fest. Nie dodał nic więcej, chociaż rozumiał, że to przypuszczalnie była chwila odpowiednia na żart.

Wyszli przez główne drzwi na postój, gdzie taksówkarze natychmiast zaczęli podskakiwać i machać rękami.

- Wszystko załatwiono na nazwisko Reinhardta w hotelu o nazwie Quan Pho Xa - powiedział Johnson. - Ma pan papiery na Reinhardta, tak?

- Tak.

- W porządku. Niech pan rusza, panie Reinhardt.

- Nie rozumiem.

- Moja rola tutaj się kończy. Ja tylko weryfikuję przyjazd.

- Rozumiem.

- Jutro przelotnie mnie pan zobaczy. Tylko przelotnie.

- Na odprawie?

- Tak. Tylko przelotnie.

- Mam użyć tego samego hasła?

- Nie. Ja pana przedstawię.

Uścisnęli sobie ręce, Kenneth Johnson wsadził go do taksówki, krótko porozmawiał z kierowcą i odszedł.

- Mówisz po angielsku?

- Tak, sir. Trochę.

- Wiesz, gdzie jest mój hotel?
- Tak, sir. Hotel Quan Pho Xa.
- Co to znaczy?

Nie uzyskał odpowiedzi. Taksówka wjechała do miasta, minęła aleję zatłoczoną budynkami pomalowanymi na różowo, niebiesko lub żółto i zwolniła, zatrzymała się, przejechała kilka długości samochodu i znowu się zatrzymała. Taksówkarz powiedział mu, że jest Nowy Rok. Wszyscy dokądś się wybierają.

- Jaki teraz jest rok? - zapytał Fest. - Rok Psa? Rok Kozła?

Taksówkarz odparł, że nie wie. Bzyczący strumień motorowerów okrężał większe pojazdy. Na jednym za kierowcą siedziała bokiem kobieta i z nogami skrzyżowanymi w kostkach czytała gazetę. Rury wydechowe wykasływały spaliny. Palmy nie wyglądały na zdrowe. Fest obserwował czwórkę ulicznych chłopców, którzy usadowieni na chodniku grali w karty na papierosy.

Dlaczego kazali mu wysiąść w Hongkongu, żeby zabrał dokumenty przygotowane w Sajgonie?

Pojazdy znowu ruszyły. Na niewielkim cmentarzu zobaczył na kamieniach nagrobnych emblematy w kształcie swastyki, swastyki były też wyrzeźbione na drzwiach małej kaplicy. Widok go zaszokował. Dotąd swastyki widział wyłącznie na fotografiach, w tym na dwóch lub trzech, które zrobił ojcu. Fest wypatrywał znaków i charakterystycznych obiektów, usiłując zapisać je w pamięci, określić własne położenie. Spojrzał na zegarek. Za dziesięćnaście godzin dostanie instrukcje dotyczące planu i metod. Szorstkie potraktowanie przez Kennetha Johnsona wiele mu powiedziało. Koledzy chcą go mieć na dystans. Przypuszczalnie wyślą go za Amerykaninem, może nawet za samym Kennethem Johnsonem.

Kiedy przed hotelem wysiadł z taksówki, padał drobny deszcz, choć powietrze wcale nie było chłodniejsze. Przy wejściu siedziała na sandałach kobieta. Przypuszczał, że Amerykanie tutaj się nie zatrzymują - tylko ona pilnowała hotelu.

Kiedy się meldował, dwie dziewczyny w recepcji, recepcjonistka i jej asystentka albo przyjaciółka, wtórowały niezrozumiałej piosence leżącej z radia.

- Jak masz na imię? - zapytał.
- Thuyet.
- Thuyet, można stąd zadzwonić na inny kontynent?
- Nie, sir. Jest tylko depesza. Tylko telegram.

Miała na sobie niebieską spódnicę i szeleszczącą białą bluzkę. Zainteresowała go. Dziwna, z delikatną twarzą. Bez biżuterii, bez makijażu, choć przypuszczalnie wszystkie są kurwami.

Wziął prysznic, przebrał się i wrócił na ulicę, zastanawiając się, gdzie znajdzie telefon, z którego będzie mógł zadzwonić do matki. Zapadła już noc. W oddali nad miastem helikoptery rozdzierały powietrze śmigłami, pociski świetlne znaczyły mroczne niebo smugami. Ponad horyzontem dudniły bomby. A tutaj głos niezliczonych cichych klaksonów i małych silników. Radiodbiorniki nadające głupią miejscową muzykę.

Wzdłuż krawężników leżały worki z piaskiem. Fest szedł pełnym wybojów chodnikiem, omijając dziury, wyciągnięte nogi ludzi i zaparkowane motorowery, ścigany przez żebraków, alfonsów i drwiące, aroganckie dzieci, które oferowały mu „papierosa, trawę, bzykanie, globulkę U, opium”.

- Chleb - powiedział.

- Nie ma chleba z powodu Nowego Roku - wyjaśnił sprzedawca.

Fest porzucił nadzieję na telefon i zjadł kolację w lokalu, w którym kelnerki ubrane były w minispódniczki z frędzelkami, małe czerwone kowbojskie kapelusze i plastikowe pasy z pustymi kaburami. Kelnerka oznajmiła, że z powodu Nowego Roku nie mają dzisiaj chleba.

Fest widział wiele tabliczek i szarf z napisem „Chuc Mung Nam Moy”; domyślał się, że życzą mu Szczęśliwego Nowego Roku, choć równie dobrze mogło to znaczyć „Plaga jest straszna”.

Obudził się w nocy, tak samo jak poprzedniego dnia. Z zewnątrz dobiegały strzały. Wyplątał się spod moskitiery, schylony przeszedł przez pokój i zaryzykował spojrzenie ponad parapetem. Chodnikiem szła kobieta przy świetle papierowego lampionu. Dłoń, w której kołysała druciany uchwyt, wyglądała jak szpony. Dzieci mijały ją biegiem, odpalając fajerwerki. Słyszał muzykę, śpiewy. Wrócił do łóżka. Nic się nie zmieniło, dzisiaj już nie zaśnie. Miał dwie książki i obie przeczytał. Wentylator pod sufitem obracał się z największą prędkością, ale go nie chłodził. Za oknem szaleństwo trwało. Wydawało mu się absurdem, że ludzie otoczeni wojną mogą się bawić, odpalając materiały wybuchowe.

Pozostał w łóżku, od nowa czytając Georges'a Simenona, zasnął o świcie i obudził się o dziesiątej rano.

Niedługo przed umówionym lunchem pojechał taksówką do sklepu z mapami Sung Phoo, oddalonego, jak zapewniał taksówkarz, tylko o kilka przecznic od

hotelu, choć trudnego do zlokalizowania. Młody energiczny sprzedawca powitał go po angielsku. Kiedy Fest wyjaśnił, że zależy mu na jak najbardziej aktualnych mapach regionu, młodzieniec po wąskich schodach zaprowadził go do sali pełnej kobiet siedzących przy stołach kreślarskich pod okrągłymi jarzeniówkami. Po krótkiej chwili wyszedł na sajgoński poranek z trzema rulonami owiniętymi razem w brązowy papier i związanymi sznurkiem: były to ręcznie kolorowane, francuskojęzyczne mapy Wietnamu Północnego, Wietnamu Południowego, Sajgonu.

Dzień był słoneczny, bezchmurny, upalny, jasny, z ciemnymi plamami wokół drzew na chodniku. Fest przeszedł przecnicę i tam wziął taksówkę. Taksówkarz oznajmił, że z powodu Nowego Roku nie może włączyć licznika i musi dostać sowitą zapłatę. Zdegustowany Fest wysiadł, po czym zatrzymał rikszę, by pojechać na spotkanie. Według swojego zegarka cztery minuty przed czasem dotarł do restauracji Green Parrot, bardzo wąskiego lokalu przypominającego wagon jadalny ze stolikami dwuosobowymi - tylko dwuosobowymi - wzdłuż ścian, bez żadnego przejścia w środku. Nie powitał go żaden kelner, za to młody mężczyzna za kasą uniósł brwi na jego widok.

- Mówisz po angielsku? - zapytał go Fest.
- Tak, proszę.
- Czy wasza toaleta ma spluczkę?
- Przykro mi, nie rozumiem.
- Instalację wodną.
- Nie wiem, o czym pan mówi.
- Gdzie jest łazienka?
- Tak, sir. Z tyłu.

Fest usiadł. Niemal wszyscy tutaj byli Wietnamczykami.

Zaledwie trzy stoliki dalej samotnie siedział Amerykanin, którego pamiętał z wcześniejszego zlecenia na Filipinach, bratanek, bodajże, tryskającego optymizmem pułkownika, któremu taką radość sprawiało dowcipkowanie z Filipińczykami. Kontakt? Fala ciepła, znajomy grunt pod stopami, przyjaciel, a w każdym razie znajomy.

Podstawy rzemiosła wymagały, żeby się nie pozdrawiali, nie wymieniwszy wcześniej hasła. Fest ruszył ku męskiej toalecie, mijając stół Amerykanina. Oparł swoją długą paczkę o wilgotną ścianę, umył ręce i odczekał trzy minuty, do dwunastej trzydzieści. Kiedy wrócił, tamtego znajomego Amerykanina nie było, za to od innego stolika pomachał do niego Johnson, który

wczoraj odebrał go z lotniska i tak szybko zniknął. Naprzeciwko Murzyna siedział wietnamski oficer w mundurze i lotniczych okularach przeciwsłonecznych; przed nim leżała tylko paczka papierosów.

Johnson wstał.

- Panie Reinhardt, to major Keng - przedstawił Wietnamczyka.
- To wielka przyjemność - powiedział Keng i uściśli sobie ręce.
- Gdzie mam usiąść?
- Na moim miejscu - powiedział Johnson. - Jestem spóźniony. Zostawiam pana w dobrych rękach.
- Jakaś lokalna sprawa?
- Co to jest?
- Mapy. Kupiłem je kilka minut temu.
- Proszę odprowadzić mnie do drzwi.

Przy wejściu Johnson podał mu wizytówkę z nazwiskiem Kennetha Johnsona z Meeker Imports.

- Gdyby nastąpiło coś nieprzewidzianego, niech pan idzie do piwnicy Szkoły Językowej Amerykańskich Sił Zbrojnych. Na odwrocie napisałem nazwę ulicy. Piwnica, okay? Będzie tam żołnierz piechoty morskiej, któremu poda pan wizytówkę.

- Bardzo dziękuję.
- Tylko w ostateczności. Tylko i wyłącznie.
- Tak. Rozumiem. W ostateczności.

I znowu Murzyn zniknął jak uciekinier.

Fest umieścił wizytówkę w portfelu z banknotami, wykorzystując chwilę dla siebie. Kolejny kontakt lokalny. To oznaczało ten sam rodzaj zadania co na Filipinach. Przy stoliku Wietnamczyk zdjął okulary, żeby przestudiować menu. Mundur khaki wyglądał, jakby właściciel w nim spał, ale czarne buty błyszczały. Lokalna sprawa. Festowi to się nie podobało.

Usiadł naprzeciwko kontaktu.

- Panie Reinhardt, co pan zje?
- Nic.
- Nic? Może napije się pan herbaty?
- Herbata, bardzo dobrze. I chleb, jeśli to możliwe.
- Oczywiście, że możliwe. Ja zamawiam pho-ban, wołową zupę z makaronem. Jest tutaj bardzo tania.

Bez okularów oczy majora Kenga wydawały się małe, czarne i polerowane. Kiedy Fest spoglądał na otaczające go twarze, każda miała swoje cechy charakterystyczne, mimo to wszystkie, łącznie z twarzą majora, były identyczne jak wspomnienie twarzy recepcjonistki Thuyet czy kogokolwiek, kogo widział w mieście. Język miał nieprawdopodobne brzmienie. Fest zauważył, że teraz jest jedynym białym w lokalu.

Nie zmienił zdania, zamówił tylko chleb i słabą herbatę. Major zapytał go, czy widział miasto, wrzucił do zupy sałatę z bladymi fasolkami i siorbał gwałtownie, używając emaliowanych pałeczek do wszystkiego, jakimś cudem także do płynu. Opowiadał o swoich uniwersyteckich czasach w Sajgonie.

- Smakuje panu bagietka?
- Tak - odparł szczerze Fest - jest rewelacyjna.
- Wiele rzeczy ocalało po Francuzach.
- Rozumiem. Oczywiście.

Keng odsunął pustą miskę, wyciągnął papierosa z paczki i wyjął z koszuli zapalniczkę.

- Mogę zaproponować panu papierosa i ogień?
- Nie, dziękuję.

Ze spojrzeniem, które Fest zinterpretował jako lekką pogardę lub rozczarowanie, major pstryknął zapalniczką.

- To colibri z Londynu. Na butan.
- Czy to dobre miejsce na omawianie interesu?
- Naturalnie. Dlatego tu jesteśmy. Mam dla pana parę rzeczy. - Sięgnął ku podłodze między swoimi stopami, niemal opierając się brodą o blat, po czym usiadł prosto, na kolanach trzymając brązową aktówkę. - Mam rzeczy. - To była paczka owinięta w brązowy papier i sznurek. - Teraz ma pan dwie paczki. Mówił pan, że są w niej mapy?

- Tak.
- Niepokoilem się, że to strzelba.
- Nie. Czy to pistolet?
- Tak. Niech pan użyje tłumika.
- Taki, o jaki prosiłem?
- Automatyczny trzysta osiemdziesiąt.
- Prosiłem o kaliber dwadzieścia dwa.
- Nie dysponujemy niczym równie małym.
- Dostanę zdjęcia wywiadowcze?

- W tym czasie nie przeprowadzono wywiadu.
- Co może mi pan powiedzieć o celu?
- Na razie nie podano mi jego tożsamości. Dowie się pan.
- Jak długiego pobytu w Sajgonie powinienem się spodziewać?
- Na razie harmonogram jest niepewny.
- Powiedziano mi, że otrzymam harmonogram na tym spotkaniu.

Keng poświęcił sporo czasu na wypalenie papierosa i zgaszenie go w małej, brudnej popielniczce. Złożył dłonie na kolanach.

- Zgubiliśmy cel.

Fest odniósł wrażenie, że major jest rozbawiony. Co teraz? Skomentowanie tak wyraźnego braku kompetencji wydawało się bez sensu.

- Jestem tutaj tylko z uprzejmości.
- Znajdziemy go.
- Nie rozumie pan? Wyłącznie ode mnie zależy, czy zostanę, czy wyjadę. To moja decyzja. Moja odpowiedzialność.
- Mogę tylko podać panu fakty, potem musi pan zdecydować - oznajmił major, jakby Fest przed chwilą nie powiedział dokładnie tego samego.

- Dobrze, proszę podać mi fakty. Kto jest celem?
- Wietkong.

Fest milczał.

- Nie wierzy mi pan?
- Armie kilku krajów są tutaj, żeby zabijać wietkongów.

Keng zapalił kolejnego papierosa swoją cudowną srebrną butanową zapalniczką.

- Kilka armii, tak. A dzisiaj także człowiek, który je ze mną lunch. Wsparcie.

Teraz Fest mu uwierzył. Ten człowiek był rozgniewany. Przypuszczalnie ekstrawagancja tej operacji stanowiła dla niego obrazę i postanowił traktować ją jako rozrywkę.

- Mogę panu powiedzieć, że znalezienie go jest łatwe. Pracują nad tym Amerykanie.
- Więc go pan zna.
- Mogę być nieco bardziej konkretny. Prawda jest taka, że nie znamy miejsca jego pobytu i próbujemy zdobyć bardziej szczegółowe informacje, nie budząc przy tym podejrzeń naszego źródła.
- Macie źródło, ale nie chcecie sytuacji ryzykownych.

- Właśnie. Musimy działać ostrożnie. W tym przypadku nie możemy przystawić człowiekowi lufy do głowy. Rozumie pan, o co mi chodzi.
- To nie moja dziedzina, majorze.
- To źródło jest nam potrzebne na przyszłość.
- Rozumiem.
- Na razie mamy bezpieczną skrzynkę kontaktową blisko pańskiego hotelu.
- Chcę inną.
- Dwie skrzynki?
- Nie. Tylko jedną. Toaleta w tej restauracji. Z boku umywalki.
- Będzie ją pan codziennie sprawdzał? Dotarcie tutaj jest bardzo kłopotliwe.
- Nie. Pan sprawdzi ją za trzy dni. Dostanie pan lokalizację nowej skrzynki.

Przez pełną minutę major milczał.

- Nie zamierzam sprzeczać się z panem - oznajmił w końcu. - Ale niech pan nie wyznacza nowej skrzynki za daleko stąd.
- Więc jesteście umówieni?
- Jesteście umówieni, panie Reinhardt.

Rozstali się; Fest z mapami i bronią w dwóch brązowych paczkach ruszył chodnikiem, rozglądając się za taksówką. Pocił się obficie, ale nie zwalniał kroku, rzucając wyzwanie przechodniom, by nie próbowali zagradzać mu przejścia. Żebracy pokazywali mu kikuty, zniekształcone głowy, owrzodzone i chude jak patyk niemowlęta, a ten czego chce, atakując mnie z flanki ofertami opium, globulki U, trawki, i co to jest ta globulka U. Do hotelu Quan Pho Xa dotarł po trzeciej.

Nazajutrz rano przeprowadził się. Dyżur miała mała recepcjonistka Thuyet.

- Wyprowadza się pan? - zapytała na widok jego walizki. Potwierdził. Czekać na środek lokomocji, zapytał ją o nazwę hotelu.
- To znaczy „Dokoła miasta” - wyjaśniła.
- Rozumiem.
- Wyjeżdża pan do Europy?
- Muszę dużo podróżować.
- Okay. To dobre dla pańskich interesów.
- Teraz jest Nowy Rok.

- My nazywamy go świętem Tet.
- Szczęśliwego Nowego Roku.

Roześmiała się, jakby zaskoczona błyskotliwym poczuciem humoru obcokrajowca.

- Szczęśliwego Nowego Roku!
- Teraz jest Rok Psa? Kozy? Małpy?
- Nie teraz. Rok Małpy się kończy. Teraz będzie Rok Koguta.

Godzinę później zameldował się w pokoju 214 hotelu Continental, sławnym, cokolwiek drogim i klimatyzowanym. Zjadł lunch w restauracji pełnej Europejczyków i Amerykanów. Po posiłku wyszedł na skwer przed hotelem, gdzie odbywało się siedem albo osiem uroczystości noworocznych, każda ignorująca pozostałe, wszystkie pod czujnym okiem postaci odzianych w różne mundury i hełmy: miejscowa policja, amerykańska żandarmeria, amerykańska i wietnamska piechota.

Fest porozmawiał z riksarzem, który zaprowadził go na boczną uliczkę i przedstawił dziewczynie w kawiarni, a następnie zaproponował, że zawiezie oboje do hotelu, o którym Fest nigdy nie słyszał.

- Pójdziemy do mojego pokoju.

Kiedy riksarz powtórzył to dziewczynie, z uśmiechem kiwnęła głową, owinęła się wokół ramienia Festa i położyła mu głowę na ramieniu. Jej czarne jak sadza włosy pachniały olejkiem waniliowym. Może używa go jako perfum. Nie chciał jej, ale taki postępek był niezbędny. W trakcie wykonywania operacji nauczył się, że przychodzi jako drapieżca, musi zgwałcić ziemię, musi polować na zamieszkujący ją lud, musi popełnić drobne przestępstwo w ofierze dla bogów ciemności. Wówczas dopiero pozwolą mu wkroczyć.

Richard Voss spędził poranek w ambasadzie na czytaniu i porządkowaniu depeesz, które w czasie weekendu nadeszły z oznaczeniem „Tajne”, co dotyczyło niemal każdej sprawy. Załatwiono wszystko, co miało jakąś wagę, ale ktoś - ktokolwiek - z Operacji Wewnętrznych musiał zobaczyć każde słowo, taka była zasada. „Wysyłaj jako tajne”, powiedział mu jego pierwszy szef z Langley, „w przeciwnym razie nikt tego nie przeczyta”. Nie miał nic przeciwko temu zamknięciu. Wolał to od drinków z zagranicznymi dyplomatami i wietnamskimi niby-dygnitarzami, a jeśli Crodelle przeciągnie lunch ze Skipem Sandsem do południa, Voss może tu wrócić, przejrzeć nowe depesze i znaleźć jakiś pretekst do przeczekania tu pory koktajlów.

W południe opuścił ambasadę i minawszy przecznice, przeszedł na drugą stronę Tu Do, przedzierając się przez tłum sprzedawców i uczestników uroczystości, którzy przez cały tydzień uniemożliwiali przejazd pojazdom czterokołowym. W bocznej uliczce znaleźli taksówkę. Na tak krótką podróż przeznaczył pół godziny, mimo to był dziesięć minut spóźniony, kiedy jego oczom ukazała się restauracja Green Parrot.

Skip Sands stał przed wejściem w rozżarzonym słońcu, wycierał pot spod oczu i wyglądał na zdezorientowanego - ale czy wszyscy ostatnio tak nie wyglądamy, pomyślał Voss. Skip przytył. Ale czy wszyscy ostatnio nie przytyliśmy. Czy wszyscy nie jesteśmy tłuści, spoceni i zdezorientowani.

Voss otworzył drzwi taksówki i przywołał Skipa.

- Kopę lat, stary! Wsiadaj, przyszło mi do głowy lepsze miejsce.
- Dobrze. Ruszajmy. - Sands usiadł obok Vossa. - Widziałem faceta, którego nie lubię.
- Kogo?
- Takiego jednego z Manili. Ruszajmy, dobra? Potrzebuję świeżego powietrza.
- Na drugi brzeg rzeki - powiedział Voss do kierowcy.
- Co powiesz na restaurację Rex?
- Nie możemy jechać na przedmieścia - odparł Voss - wszędzie ustawili punkty kontrolne. Wuj Ho nie przyłapie nas we śnie! Jesteśmy solidnie przygotowani na zeszły rok.
- Co się dzieje na drugim brzegu rzeki?
- Zupełnie nic, bracie. To jak prawdziwe życie. W zeszłym miesiącu zakonnice otworzyły francuską knajpę.
- Zakonnice? Potrafią gotować?
- Niewiarygodnie dobrze. Na razie nikt tam nie chodzi, ale wszyscy będą.
- Jeden most niedobry - odezwał się kierowca. - Jadę innym.
- Jedź, zarób na dolca - powiedział Voss.
- Jak tam twoja rodzina? - zapytał Sands.
- Wspaniale. Nie widziałem ich od kwietnia. Nie byłem na urodzinach Celeste.
- Ile ma lat?
- Jezu... nie, czekaj, cztery. A ty? Wciąż solo?
- Niestety.
- Zupełnie? Żadna narzeczona nie czeka w Stanach?

- Jeszcze nie. Absolutnie samotny.

Przejechali przez most na wschodni brzeg, gdzie śmieci i różne niezata-
pialne wraki zalegały nad rzeką.

- Chryste, rzeka śmierdzi gorzej niż zwykle.

- Witaj w domu.

- Dzięki. Tak myślę.

- Nie, mówię poważnie. Dobrze cię widzieć - powiedział Voss i mówił
poważnie. - Jak długo cię nie było?

- Bywam tu i tam.

- Więc przez cały ten czas podróżowałeś?

- Wróciłem na tydzień albo dwa. Zbieram opowieści. Jak toczy się woj-
na?

- Och, wygrywamy.

- Wreszcie ktoś, kto wie.

- Zbierasz opowieści?

- Opowieści, tak, ludowe opowieści. Baśnie.

- Ha, więc jesteś w odpowiednim miejscu, skoro na tym ci zależy. - Ża-
den się nie roześmiał. - Opowieści ludowe.

- Taa, pamiętasz Landsdale'a.

- Nigdy go nie spotkałem.

- „Poznać naród”, pieśni i opowieści.

Voss usłyszał własne westchnienie.

- Serca i umysły.

- Tak. To są materiały dla projektu w Szkole Podyplomowej Marynarki
Wojennej.

- W kraju, a gdzie dokładnie?

- W Carmel.

- Nigdy tam nie byłem.

- Piękne miejsce.

Pogaduszki na oddziale śmiertelnie chorych, pomyślał Voss. Powinien te-
raz udzielać wskazówek taksówkarzowi, ale los go oszczędził.

Tylko kilka przecznic za rzeką, dość blisko okolicy, w której mieściła się
dawna willa należąca do Op Psy - CIA, gdzie przez kilka tygodni Voss i Skip
razem mieszkali, znaleźli Chez Orleans.

- Lubię te winorośle - powiedział Voss, mając na myśli niewiarygodnie
gęste pnącza niemal zakrywające fasadę. - Prawie nic nie widać przez okna.
Prywatność. - Mówię jak głupiec.

- Nadal mieszkasz w starym miejscu?
- Stare miejsce nie istnieje. Myślę, że przejęło je wojsko. Mieszkam w Meyerkord.

Winorośle opłatały cały budynek i pięły się po kratownicach, zapewniając stosunkowo chłodny cień na brukowanym patio. Wysoko w najchłodniejszym kącie kratownicy z umieszczonego tam głośnika płynęła muzyka - flamenco, gitara klasyczna - a pod nim koło małej fontanny trzej oficerowie z wielkimi żółtymi naszywkami Fifth Cavalry na rękawach jedli w milczeniu. Poza tym nie było żywej duszy. Usiedli, Sands zamówił 7Up i grenadine.

- Ja proszę martini - powiedział Voss.
- Nie lubię oliwek - odparł Sands. Podczas gdy Voss zastanawiał się, jak zareagować na takie oświadczenie, Sands ciągnął: - Nie chciałem przed chwilą wydać się taki cyniczny.

- To ja byłem cyniczny. I sądzę, że właściwie miałem taki zamiar.
- Nie, nie, rozumiem. Wszyscy mamy wątpliwości.
- Taa, a lewica myśli, że nie mamy, że wszyscy jesteśmy głupi, że wyprano nam mózgi i potrzebujemy kogoś, kto będzie wywrzaskiwał nam rozkazy - czy oni uważają się za intelektualistów? Kto chce być intelektualistą? Kogo obchodzi, jak wspaniałym sprzętem dysponujesz, jeśli nie możesz bezpiecznie się nim posługiwać? Co mają intelektualiści?

- Szachy.
- Zezowaty komunizm. Niezdrowe, niesatysfakcjonujące, zboczone życie seksualne.

Sands milczał. Sprawiał wrażenie, że jak zwykle patrzy jasno i jak zwykle jest ślepy. Gdzie w tym wszystkim jest zabawa, pomyślał Voss. Crodelle, kupa gówna z ciebie.

- Skip. Skipper. W czym problem?
- Moja mama umarła.
- O cholera.
- Wczoraj dostałem wiadomość.
- Przykro mi.
- Cóż, jakoś sobie z tym radzę.
- Chyba nie masz innego wyjścia.
- Wiem. Co mogę powiedzieć? Jedzmy.

Karta oferowała na lunch dania lekkie, sałatki, naleśniki i kanapki; Voss polecał sałatkę nicejską, która - jak się zarzekął - zrobiona jest z prawdziwego

tuńczyka, ale Skip odmówił ze względu na oliwki, poprosił natomiast o *salade épinard et crevettes*. Czas oczekiwania skracali sobie, z podziwem przeglądając spis dań obiadowych: *filet de porc rôti*, *carré d'agneau aux pistaches*, *thon aux pignons de pin*, te zakonnice miały to wszystko - a także prywatność - jeśli istotnie restaurację prowadziły zakonnice. Voss nigdy żadnej tu nie widział.

- Lepsze niż Yacht Club i tańsze, stary - powiedział Sandsowi.

Był głodny, potraktował swoją sałatkę jak wychnienie. Sands natomiast po kilku kęsach krewetek ze szpinakiem wyraźnie powędrował myślami daleko i zaczął bawić się widelcem, tworząc wiry w sosie pomarańczowo-kaparowym. Voss czuł się strasznie ze względu na sytuację Skipa.

- Trudno uwierzyć, że w domu ludzie umierają - powiedział. - Jak tu jesteś, myślisz, że cała śmierć skupia się tutaj. Cała śmierć na świecie.

Skip uniósł zaskoczony wzrok.

- To prawda - odparł. - Czuję to samo.

- Wszyscy czujemy. Pamiętasz ostatnie święto Tet?

- Tak.

- Byłeś tutaj?

- W pobliżu.

- W Cao Phuc?

- Jeździłem.

- Dostajesz regularnie pocztę na adres ambasady.

- Och. Śledzisz te sprawy?

- Ktoś musi to robić. Ale kto pilnuje tych, co pilnują? Więc Cao Phuc.

Wykonaliście tam niezłą robotę w związku z Labiryntem.

- Tak, dzięki, ale naprawdę tak sądzisz?

Przed restauracją zatrzymała się taksówka i nawet poprzez winoroślą Voss widział, kto wysiada.

- No cóż, Skip - przyznał z nagłą irytacją - nie. Właściwie nie. Do diabła, co ja wiem o Labiryncie? Jestem tylko, no wiesz, ogólnie i mgliście uprzejmy.

- Okay. Ogólne i mgliste dzięki. Posłuchaj, Rick, możemy pogadać wprost?

- Zawsze. Zawsze.

W tej samej chwili do restauracji wszedł Crodelle, kierując się wprost do ich stolika, jakby po drodze sprawdził mapę i dokładnie zaplanował trasę.

Wysoki, kościsty - nie dość wysoki do drużyny koszykówki w college'u, choć bez wątpienia koszykarz w liceum. Fizycznie wyglądał na sennego, nonszalanckiego intelektualistę. Błędna ocena. Oznaczał się typowym dla rudzielców ogniem. Voss był przekonany, że rudzielcy zostawiają za sobą piegi razem z dzieciństwem, ale Crodelle wciąż miał ich kilka na policzkach. Voss świadom był, że za często się zastanawia nad tymi sprawami, że utkwiły w jego myślach niczym ciernie - waga i wzrost Crodelle'a, jego intelekt, jego piegi - ponieważ Crodelle budził w nim przerażenie.

- Chcę zupę!
- Nie jestem pewien, czy mają zupę - powiedział Sands.
- Śmieszne. Nie ma zupy?
- Nie na lunch.
- Terry Crodelle.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Skip Sands - przedstawił go Voss.

Crodelle usiadł.

- Faktycznie - powiedział, po czym zawołał przez pokój: - Martini? I sałatę - wskazał kościstym palcem na talerz Vossa - *comme ça*.

- Oraz herbatę - odezwał się Sands.
- I herbatę, proszę.
- Czekaliśmy na ciebie, Terry? - zapytał Sands.
- Utknąłem na tym brzegu rzeki. Na drugim nie ma nic poza transparentami, flagami i fajerwerkami. Więc jak, wróciłeś do Cao Phuc? Albo nigdy nie wyjeżdżałeś.

Sands doskonale panował nad swoim ciałem, ale nie potrafił ukryć zaskoczenia.

- Zakładam, że pracujesz z nami.
- Z nami, czyli kim?
- Z nami. Naszym oddziałem.
- Jestem w Regionalnym Centrum Bezpieczeństwa.
- Stacjonujesz tutaj?
- Składam wizytę. Gość na waszej czarującej planecie.
- Pierwszy raz w tym kraju?

Crodelle zamrugał, potem wytrzeszczył oczy.

- Bywam w tym regionie świata od pięćdziesiątego dziewiątego. Jestem z epoki przed Kennedym.

- Ho, ho. Wyglądasz na młodszego.
- Raz czy dwa byłem w Cao Phuc. Jak teraz tam wygląda?
- O wiele spokojniej. Spokojnie.
- Zburzyli bazę?
- Nie wiem, jaki jest oficjalny status tamtego przedsięwzięcia.
- Ale co widzisz?
- Trudno powiedzieć, jaki etap osiągnęli. - Sands rozejrzał się, jakby szukając kelnera. - Czy rozbierają bazę, czy raczej porzucili. Powiedziałbym jednak, że świątynia buddyjska znowu znalazła się w centrum.
- Czy docierają tam partyzanci Wietkongu?
- Nikt mnie nie niepokoił.
- Z jakiego względu tam jesteś?
- Zbieram opowieści. Ludowe podania.
- Dajże spokój! Rick myślał, że stąd wyjechałeś.
- Zmieniam miejsca pobytu.
- Więc bazy już nie ma?
- Nie nazywaliśmy tego bazą, tylko lądowiskiem. - Sands sprawiał wrażenie niewytłumaczalnie zadowolonego.
- Chodziłeś czasami do Fioletowego Baru?

Skip się roześmiał.

- Tylko w porze koktajli.
- Wiesz co, Skip? Cieszę się, że w końcu się spotykamy.
- Hej, chłopcy - rzekł Voss i przeprosił ich na chwilę.

Poszedł do łazienki, gdzie pisuar wypełniony był kostkami lodu, fascynująca ekstrawagancja.

Voss żałował, że Crodelle nie przyjechał później na lunch. Może jednak porozmawialiby wprost, on i Sands - z kim można pogadać, jak nie z facetem w drodze do wyjścia? Pracował w wywiadzie dopiero od sześciu lat, ale miał ochotę wyczołgać się z jego odmetów do jaskini i wypowiadać przed jakimś gigantycznym mięczakiem. Absurd, tak. Choć zawierał odpowiednie elementy. Powietrze i tonięcie. Mrok, wilgoć.

Co za monstrualny, idiotyczny, kurewski bałagan.

Do łazienki wszedł jeden z oficerów, człowiek o jastrzębiej twarzy, z regulaminowo ostrzyżonymi na jeża włosami, z insygniami majora na ramionach i żółtą naszywką Fifth Cavalry na ramieniu, człowiek bez tajemnic, który załatwiał osobiste potrzeby na oczach innych. Podczas gdy major z

namysłem sikał na lód, Voss umył ręce, wytarł w lnianą ściereczkę, których stos leżał koło umywalki, i wrzucił ją do wiklinowego kosza. To miejsce miało klasę. Ponad zamglonym żółtawym lustrem, które odbijało jego twarz, jakby był ofiarą spowodowanego przez wino zapalenia wątroby, widniały słowa wykonane kobiecym, starannym, zakonnym w charakterze pismem:

Bon apétit!

Kiedy Voss wrócił do stolika, tamci dwaj omawiali już temat, który Crodelle chciał podjąć, a w każdym razie od niego zacząć, a mianowicie kwestię szalonego artykułu pułkownika, i Crodelle się popisywał. Udaowało mu się sprawiać wrażenie beztroskiego eksperta w każdej dziedzinie, która pojawiała się w rozmowie. Vossowi zwykle tak bardzo to nie przeszkadzało, w tej natomiast chwili przeszkadzało mu, że Crodelle terroryzuje Sandsa. Crodelle chciał wiedzieć, czy pułkownik wziął pod uwagę, jak trefna jest ta sprawa z ustalaniem „wpływu dowództwa”? Czy bracia Mayo nie napisali o doktorze Gorgasie: „Ludzie, którzy osiągają wielkość, nie pracują w sposób bardziej skomplikowany niż przeciętny człowiek, ale prostszy”? Czy problem z próbami pokazania „wpływu dowództwa” poprzez eksperymenty nie polega na tym, że niemal wszystkie takie eksperymenty, w każdym razie te znane Crodelle'owi, przeprowadzano, by ustalić wpływ czynnika zewnętrznego, terapii, nowego leku, a nie po to, by udowodnić obecność lub nieobecność czynnika powodującego daną sytuację? - jak osiemnastowieczne doświadczenia Linda dotyczące różnych sposobów leczenia szkorbutu czy, przykład nam bliższy, próby Salka ze szczepionkami? Z drugiej strony... czy Sands zna dziewiętnastowieczną Komisję Żółtej Febry i nową wówczas naukę bakteriologii? Wyśiłki Waltera Reeda i Jamesa Carrola? Może dałoby się przeprowadzić próby, ale co służyłoby jako doświadczalny „marker” dla „wpływu dowództwa”? I czy walka z malarią, tyfusem i żółtą febrą nie była w swej istocie wojną taką samą jak ta obecna? - czy Jesse Lazear nie umarł śmiercią męczeńską w Hawanie, pobity przez chorobę, którą pomagał pokonać? Wojny wymagają nowych idei i być może pułkownik taką przedstawił: czy istnieje możliwość, tylko możliwość, wprowadzenia elementów, które naszym zdaniem prowokują „wpływ dowództwa”, w kanały informacji podlegających selekcji? Crodelle'em owładnęła ciekawość, żarliwe pragnienie porozumienia rozпалиło mu rysy, dłonie z rozcapierzonymi palcami uniósł do twarzy, pochylił głowę, starannie i z pasją wybierając cel, jakby każdy z jego konceptów był fragmentem gry w koszykówkę - ale, dajże spokój, kim w tym wszystkim jest pułkownik, starannym badaczem Walterem Reedem czy Guisepem Sanarellim, facetem z błyskawicznymi odpowiedziami na błędne

pytania? Pułkownik potrzebuje Aristidesa Agramonte'a, który zajmie się tym i wykopie trupy. Czy Skip zna dzieło Agramonte'a? A skoro o tym mowa, czy Skip wie, że z wąsami i wysokim czołem bardzo go przypomina?

Ostatnie pytanie nie zabrzmiało jak retoryczne. Crodelle umilkł. Czekał.

Voss nie potrafił rozstrzygnąć, czy Sands jest głupcem, czy Buddą we własnej osobie. Skąd brało się to swobodne, błyszczącookie rozbawienie?

- Jezu Chryste - powiedział Sands.
- Tak. Niesamowite.
- Dlaczego tak się tym interesujesz, Terry?
- To zainteresowanie czysto akademickie. Zwalczanie chorób było moją pasją w college'u, przygotowywałem się do studiów medycznych. Potem zrezygnowałem i zawędrowałem w nasz świat. Nigdy nie przypuszczałem, że coś z tamtej dziedziny będzie można zastosować w naszej dziedzinie, w wywiadzie.

- To tylko szkic. On nigdy tego artykułu nie skończy.
- Konieczne jest udowodnienie istnienia „wpływu dowództwa”. Konieczne jest wyizolowanie różnych kanałów biegnących po drabinie dowództwa i przypadkowe wstrzyknięcie do nich informacji, żeby się przekonać, jakiemu zniekształceniu ulegną. W jaki sposób, by tak to ująć, „oczyścić” kanał? Potrzebne ci kanały, na które masz wpływ, i kanały, które pozostawisz w spokoju. To nic nowego. Znowu żółta febra, polio i tak dalej. W gruncie rzeczy potrzebowałbyś dwóch lub więcej odrębnych organizacji wywiadowczych - musiałyby skłonić naszych sojuszników do wzięcia udziału. To byłoby interesujące. To mogłoby nas dokądś doprowadzić. To mogłoby wywołać rewolucję. Ale czy musimy wszczynać rewolucję, dopóki naprawdę nie musimy wszczynać rewolucji?

- Nie jestem pewien, co masz na myśli.
- Niezwykle jest to, że poruszył wielką kwestię. Pułkownik. Bo czy istnieje możliwość stworzenia markerów, wywiadowczych markerów, prześledzenia ich drogi w górę i w dół łańcucha dowództwa oraz na zewnątrz trakcjami komunikacyjnymi i wyciągnięcia wniosków dotyczących sposobu, w jaki pracujemy? To kompletnie zwariowane, stary. Zwariowana rewolucja twojego wuja.

- Poznałeś go?
- Spotkałem się z nim raz czy dwa. Potężna osobowość. Wiecie, Cao Phuc, doskonały przykład. O ile się orientujemy, w sześćdziesiątym czwartym

przekonał kogoś, jakiegoś pijanego dowódcę jednej z eskadr helikopterych, do zabezpieczenia lądowiska na tamtej górze, a potem, kiedy pojawiła się dwudziesta piąta kompania piechoty, w pewnym sensie wypożyczył pluton i trzymał tam żołnierzy przez dwadzieścia cztery miesiące pod rozmaitymi pretekstami, i dwudziesta piąta obsługiwała lądowisko, jakby to była baza. Później sprzedał willę jako najlepsze w świecie miejsce na obóz relokacyjny. W szczytowym momencie miał pół tuzina plutonów biegających po tej górze oraz własny helikopter. To niewiarygodnie wielka osobowość, stary. Na nieszczęście podczas święta Tet poniósł straty, stracił cały pluton i możemy tylko mieć nadzieję, że ci żołnierze są w obozie jenieckim, no i ludzie zaczęli pytać, co u diabła dzieje się w Cao Phuc. Gdyby nie ostatnie święto Tet, pewnie miałby teraz własną brygadę. A nie jest w żaden sposób związany z wojskiem - poza tym że pełni funkcję łącznika z Op Psy, choć mało kto z nich w ogóle widział na oczy tego faceta. Robił to wszystko dzięki osobistemu autorytetowi. To znaczy, stary, robił to dzięki jajom i kompletnym bredniom. Możesz w to uwierzyć?

- Wiesz o nim więcej niż ja.
- Wiele można w nim podziwiać. Jest wojownikiem...
- Prawdziwym bohaterem wojennym, Terry.
- Oczywiście, powiedzmy, że bohaterem, dostał medale, okay, ale nie jest szpiegiem, to nie ten typ. Podejrzewa, że wszyscy działają przeciwko niemu, ale zachowuje się, jakby na całym świecie nie miał ani jednego wroga. Wiecie, co jeden gość powiedział mi raz o pułkowniku? „Jego wrogowie to tylko przyjaciele, których dotąd nie pokonał”.

- John Brewster, tak?
- Kto?
- Słyszałeś.
- Prawdę mówiąc, to mógł być John, nie pamiętam. Posłuchaj. Daj spokój. Słuchaj... twój wuj jednego może nas nauczyć, a mianowicie: Ufaj miejscowym. Nie odstępuj ich na krok. Pracuje z nimi, jest z nimi związany. Ale robiąc to, izoluje się od nas, swoich ludzi.

- Myślę, że błędnie interpretujesz fakty i przesadzasz, prezentując te swoje oceny - powiedział Skip. - W każdym razie pozwalasz, żeby się nadymały.

- Czytałeś *Spokojnego Amerykanina*?
- Pierdol się - odparł Skip.
- Stary, to było dobre - odezwał się Voss. - Myślałem, że opowiadamy jakieś gówniane brednie.
- Tak. Tak. - Crodelle zamrugał. Nic więcej. - Mieszkał w Continentalu, kiedy to pisał.
- Graham Greene. W pokoju obok pułkownika.
- Skip... człowiek przerasta swoich mentorów. To nieuniknione.
- Słuchaj - powiedział Skip. - Ja to rozumiem.
- Więc wyjaśnij.
- Ty wyjaśnij.
- Ja cały czas wyjaśniam. Jeśli pułkownik chce wyciągnąć sens empiryczny ze swoich teorii, niech zaproponuje studium zadań przypadkowych wykorzystujące dwa systemy, system kontrolny i drugi z wprowadzonym czynnikiem, katalizatorem, którego wpływy może zmierzyć, porównując z systemem kontrolnym bez tego czynnika. Pomyśl, co było w przeszłości, kiedy próbowano znaleźć lekarstwo na polio: rzucali na prawo i lewo pomysłami, które przyszły im do głowy: psie odchody, na litość boską, wstrzykiwanie chorym na polio własnego moczu. To cały pułkownik, stary. Wlewa siki do aparatu wywiadu. No wiesz, nawet w Waszyngtonie legendarne były jego trzygodzinne hydrauliczne lunche - mówił Crodelle.

Sands zwrócił się do Vossa.

- Ty też się pierdol, Voss. - Wstał. - A skoro mowa o sikaniu. Muszę się odlać.

- Rozpuść trochę lodu - powiedział Voss.

- Co?

- Sam zobaczysz.

Wyszedł. Crodelle odprowadzał go wzrokiem.

- Chryste, Terry. Czemu tak długo to trwało?

- Rick? Znasz swoją rolę?

Voss nie odpowiedział. Patrzył, jak Crodelle popija martini.

- Jest tam okno?

- Nie wyjdzie przez okno.

- Skąd wiesz?

- Za dobrze się bawi.

- A ty?

Voss miał ochotę na kolejnego drinka, ale czuł, że po uwadze o hydraulicznych lunchach byłoby to niewskazane.

- Jeśli będzie napierał, odpowiem tym samym. Ty zachowuj równowagę na moją korzyść, dobra? Sprawy nabierają tempa.

- To fakt.

- Mnie to odpowiada. A ty masz rolę do odegrania. Gdyby równowaga uległa zachwianiu, wskakuj na huśtawkę, przypadkiem po mojej stronie.

- Jasne.

- Idąc tutaj, wybrałem coś ze sklepu.

- Jakiego sklepu?

Crodelle konwulsyjnie wrócił do życia.

- Obejrzyj to, dobrze? - Wyjął z kieszeni na piersi coś, co wyglądało jak długa cygarniczka. Trzymając ją na dłoni, kciukiem nacisnął bok. - Tak to otwierasz i proszę. - W środku były dwa maleńkie krążki. - Taśma jest, widzisz ją? Ten cieniutki drut? Ma jedną tysięczną cala średnicy, stary.

Ludzie z Regionalnego Centrum Bezpieczeństwa w Manili regularnie pojawiali się w mieście i Voss sądził, że wszystkich zna, ale Crodelle do nich nie należał. Urządził sobie gabinet w piwnicy Szkoły Językowej, a chłopcom z Operacji Wewnętrznych kazano dać mu wszystko, czego będzie potrzebował. Dzisiaj potrzebował urządzenia nagrywającego z dwudziestego pierwszego wieku.

- Wy, chłopcy, macie wszystkie nowinki.

- Takie rzeczy dostępne są od wielu lat.

Sands wrócił. Usiadł i Crodelle podsunął mu magnetofon, wciąż otwarty.

- Uwaga.

- Gdzie jest taśma?

- Światło musi być odpowiednie. Widzisz?

- Jedna tysięczna cala - powiedział Voss.

- Włączony?

- A czemu nie, do diabła? - powiedział Crodelle. Zamknął wieczko i położył magnetofon na zielonym obrusie. - Niech popracuje. Jesteśmy w Sali Balowej Aragon z niezwykłym kapelmistrzem Skipperem Sandsem... Sands. Niemiec? Anglik.

- Nie. Irlandczyk.

- Irlandczyk.

- Mój pradziadek pochodził z Shaughnesseyów. Wygląda na to, że na statku do Ameryki zaczął nazywać siebie Sands.

- Zachował się jak zdrajca.
- Nie znałem go. Nie wiem.
- Miał kłopoty?
- Nie. Mogę o coś zapytać?
- Jasne.
- A ja mam?
- Sala Balowa Aragon to miejsce dla muzyki i igraszek. Nikt tutaj nie ma kłopotów.
- Do diabła, czemu nie poddacie mnie badaniu na wariografie?
- To nie jest wykluczone.
- Od razu, Crodelle.
- Nie, Skip, nie od razu. Musimy cię przygotować, jeśli chcemy uzyskać jednoznaczny wydruk wariografu.
- W każdej chwili.
- Jasne. Zapamiętałem.
- A Crodelle? *C'est française?*
- Nie wiem. Tak, francuskie. Może nastąpił błąd w zapisie i powinno być „Crodelle”. Gdzie jest wuj Francis, Skip?
- Nie wiem. Chyba w mieście, tak mi się wydaje.
- Wiesz, że wezwano go do Langley siedem, osiem tygodni temu... w każdym razie na początku listopada?
- Nie miałem o tym pojęcia.
- Nie, ponieważ się nie stawił.
- Jeździ, gdzie chce.
- Taa. A kiedy chce, wyjmuje pistolet i strzela do związanego więźnia.
- Naprawdę.
- Nie wykonał egzekucji na więźniu w Cao Phuc podczas święta Tet?
- Nic o tym nie wiem.
- Cóż, wiadomo, że coś o tym wiesz. Wiemy, że wiesz.
- Jestem przekonany, że mylisz historię z drugiej wojny światowej.
- Wtedy też wykonał egzekucję na więźniu? Będziemy musieli się temu przyjrzeć. Ale obecnie przebywasz w Cao Phuc, tak? I w czasie ostatniego święta Tet także? Czy Cao Phuc to mniej lub bardziej twoja placówka?
- W czasie pobytu w kraju tak. Wyjeżdżam i wracam. Głównie wyjeżdżam. Trzymam tam rzeczy.

- Cóż, spędzasz tam mnóstwo czasu. To nieuniknione, że masz rzeczy. Kiedy mówimy, że trzymasz tam rzeczy, mamy na myśli także rzeczy pułkownika, racja? Jego szafki i tak dalej.

- Szafki?

- Wiesz, w tym całe sedno. Myślę, że ci faceci, których tak bardzo podziwiamy, co do jednego stracili wiarę, każdy na swój sposób. Zwalczamy komunizm, ale sami egzystujemy w komunie. Egzystujemy w ulu.

- Sądziś, że przestali wierzyć w wolność?

- Sądzę, że stali się odrętwiali.

Milczenie.

- O czym myślisz, Skip? - zapytał Crodelle.

- Myślę, że to zbyt skomplikowane, by o tym dyskutować.

- Co jest w szafkach? - zapytał Crodelle.

Skip zachował spokój.

- Skąd to milczenie?

- Mam odpowiadać nagle tylko dlatego, że ty zapytałeś nagle?

- Są trzy szafki. Miałeś je trzydziestego pierwszego grudnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego w bazie Clark, a w Nowy Rok przyjechały z tobą do willi CIA przy Chi Lang Street.

Skip ani razu nie dotknął filizanki. Jego skupienie było zdumiewające.

- Chciałbym cię zapytać, co robisz w Cao Phuc - powiedział Crodelle.

- Cóż, nie sądzę, że w ogóle powinieneś chcieć to wiedzieć.

Crodelle patrzył na niego nieruchomym wzrokiem.

- A niech to szlag.

Sands odpowiedział takim samym spojrzeniem.

- Jesteś w tym interesie. Prowadzisz coś. Coś lub kogoś.

- A kim dokładnie ty jesteś?

- W porządku. Przedstawmy się. Jestem Terrence Crodelle, oficer bezpieczeństwa regionalnego.

- Gratulacje.

- Twoja kolej. Baza w Sajgonie ma dwa oddziały, Operacje Łącznikowe i Operacje Wewnętrzne. Do którego należysz, Skip?

- Należę do Operacji, pracuję głównie z wojskowymi Op Psy.

Crodelle oparł się o krzesło i westchnął.

- Jestem Op z Op Psy - powiedział, a Voss pomyślał: Wydaje mi się, że się zaplątałeś.

Z rosnącym atakiem mdłości Voss zmusił się, by własną twarz wetknąć w łajno:

- Pamiętasz szafki? Te trzy szafki? Na pewno pamiętasz. Nie sądzę, żebyś zapomniał o tych szafkach. Pamiętasz, jakie nazwisko na nich widniało?

- Nie pamiętam.
- Mogę zapytać, pod jakim nazwiskiem tu jesteś?
- Nazywam się William Michael Sands.
- Na jakie nazwisko wystawiony jest twój paszport?
- To jest nazwisko w moim paszporcie.
- Gdzie jest kryjówka pułkownika? - zapytał Crodelle.
- Ostatnio miał pokój w Continentalu.
- Jak rozumiem, ma współników w delcie Mekongu. Zwłaszcza jednego. Kobieta.

- To dla mnie nowość.
- Niedaleko Binh Dai.
- Kolejna nowość.

Przed restauracją zatrzymał się jakiś pojazd. Skip wstał, podszedł na skraj patio i przez winorośle powiedział:

- Proszę zatrzymać taksówkę dla mnie.

Wciąż miał serwetkę zatknietą za pasek. To było jedyne niedopatrzenie z jego strony, jakie przez cały dzień zauważył Voss.

Skip wrócił, położył serwetkę na stole i powiedział:

- Wy płacicie za lunch.

Po tych słowach wyszedł.

Przekonany, że wydał za dużo, że żołnierze i miejscowi biznesmeni dostają niższe ceny, Fest spędził popołudnie z młodą kobietą, której włosy pachniały wanilią, a która wzięła od niego trzydzieści dolarów za cztery godziny w jego klimatyzowanym pokoju. Chowiała się pod kocami, wiele razy korzystała z telefonu, chociaż Fest nie sądził, by miała do kogo dzwonić, i podejrzewał, że tylko udaje te rozmowy, szarpała go za brodę i włoski na piersi, próbowała wycisnąć mu pryszcze na nosie (prawdę mówiąc, ciągle bawiła się nosem Festa, zachwycona jego europejskimi rozmiarami) i generalnie zachowywała się jak głupia dziwka, którą była. Tak samo jak Fest był głupim klientem. Zamówił szampana do pokoju, a ona nie chciała pić - ze strachem paplała i chichotała - tak jakby zaproponował szczególnie nieprzyjemną zabawę łóżkową. Fest wszystko wypił sam. Nie chciała jeść. Wziął prysznic, podczas

gdy ona udawała rozmowy przez telefon. Jego największa nadzieja związana z hotelem umarła: że zdoła zatelefonować stąd do Berlina i dowie się o stan ojca. Depesze nie były dobrym wyjściem. Musiał trzymać w tajemnicy miejsce pobytu. Wyglądało na to, że telefon do Berlina jest możliwy, ale nie z hotelu. Portier obiecał, że to załatwi, że gdzieś osobiście go zaprowadzi. Tymczasem staruszek umrze. Może już umarł. Może wczoraj, kiedy kupowałem mapy. Jest martwy w tej chwili, kiedy biorę prysznic letnią, pełną zarazków wodą, a w moim łóżku cuchnie kurwa. Ludzie umierają, kiedy myślisz o czymś innym. Tak to jest. Claude tak umarł, dostał kulę w gardło od snajpera z francuskiego ruchu oporu. Ojciec był silnym mężczyzną, patriotycznym Niemcem, znajomym Heinricha Himmlera. Starszy brat był oficerem Waffen-SS. Takie są fakty. Nie dyskutowano o nich, nie ukrywano ich, nie pogardzano nimi. Claude oddał życie za nazistów, kolejny fakt. Ale Claude był czymś więcej niż faktem: rodzinna legenda, ciągle na ustach ojca, martwy, choć przez całą młodość Festa bardziej żywy dla ojca niż sam Fest. Dał dziewczynie jakąś sumę w wietnamskich pieniądzech, nie obchodziło go, ile, i odesłał ją.

Świętujący na skwerze wytwarzali muzykę i eksplozje czasu wojny, kombinację porażki i zwycięstwa, Fest natomiast zamówił kolację do pokoju i przygotował się do wczesnego pójścia spać. Miał skrzynkę kontaktową, miejsce spotkania i ostatnią deskę ratunku. W tej akurat chwili nikt nie mógł go znaleźć, a zwłaszcza lokalne kontakty. Szampan spowodował ból głowy, który nie pozwalał mu zasnąć. Usiadł przy biurku w pokoju 214, rozłożył i sprawdził swój sprzęt. Widział, że broń wyposażono w rampę i przeczyszczono. Nie będzie się zacinać. Złożył ją na nowo. Oba zatrzaski zamknęły się gładko, pociski obracały się niemal bezgłośnie, gdy przesuwiał zamek. Zarówno tłumik, jak i lufa były produkcji fabrycznej. Ktoś bardzo się postarał. Natomiast to bezsensowne spotkanie w Hongkongu, ten Kenneth Johnson, który wyraźnie go zbywał, poczucie, że jest przekazywany od kuzyna do kuzyna, ciągle dalej od źródła... I dlaczego w ogóle chcieli z niego skorzystać? Co nie znaczy, że praca dla innych służb była rzeczą bez precedensu. Dziewięć albo dziesięć lat temu Algierczyk w Madrycie, człowiek na jachcie w Como we Włoszech, o którym Fest sądził, że jest z mafii. Na Filipinach amerykański ksiądz. Żaden nie był wrogiem jego ojczyzny. W sumie jedenaście operacji, wliczając obecną. Showalter opisał ją jako „szybką”, a mimo to Showalter gościł ich przez parę tygodni, zanim wspomniał o zleceniu, potem

minął miesiąc do kolejnej wzmianki, choć nawet wtedy nie było żadnej dyskusji o scenariuszach, a teraz Fest trzyma broń w rękach... Czy wybraliby mnie, gdybym latem pojechał z rodziną do Berlina, gdybym jak tchórz nie wymigał się od kolejnego spotkania z ojcem leżącym na łożu śmierci, gdybym urlopu nie spędził na pokazywaniu Nowej Anglii młodemu Claude'owi i Dorze z małego okienka wynajętej przyczepy kempingowej? Na Cape Cod zaparkowali przed letnim domem Showaltera. Obie rodziny znały się dobrze, uważały się za przyjaciół, ale Fest nigdy nie współpracował z Charlesem Showalterem w żadnej operacji. Showalter był przełożonym, to wszystko. Nie prezentował żadnych złudzeń, żadne nie miały na niego wpływu, dlatego obaj tak się lubili. Dlatego Fest mu ufał. Zostańcie jeszcze tydzień, zostańcie jeszcze dzień - naturalnie zostawali, był przełożonym. Meg też zapraszała, nawet po dwóch tygodniach, w czasie których z okien jej kuchni biegły podłączone do urządzeń kable, troje gości zużywało ciepłą wodę i moczyło wszystkie ręczniki, Dora narzekała na Langley, perorując w swym płynnym angielskim o amerykańskich idiotach, młody Claude podjadał zapasy z lodówki, opowiadając o szkole i sportach, ponieważ Meg była piękna i ponieważ słuchała, Meg też powtarzała: „Zostańcie jeszcze, bardzo się cieszymy, w tych piaszczystych lasach jesteśmy zupełnie samotni?”. Po dwóch tygodniach uśmiech Meg stał się szorstki, zmieszany z niewidzialnymi kropelkami potu. Stres wyczerpał jej siły i wdzięk, wydawało się też, że umniejsza jej inteligencję. Charles zabrał Festa na atlantycki brzeg przylądka, byli tylko we dwóch, by pokazać mu dom na plaży, który zamierzał kupić. Fest chwalił dom, ale nigdy by tam nie zamieszkał. Szyby grzechotały w nieustannych porywach wiatru, fale pożerały brzeg tylko kilka metrów od pali. Showalter stał na swoim przyszłym balkonie nad swoim przyszłym Atlantykiem, szare kędziory sterczały mu na wszystkie strony jak u poety.

- Jest interes w Sajgonie. Chciałbym ci go zlecić. To szybka robota.
- W Sajgonie?
- Albo okolicy.

Filipiny, a teraz to. Dlaczego posyłają go na drugi koniec świata, żeby w pojedynkę wykonał operację, skoro w tamtych stronach pałętają się całe armie?

- To dziesięć tysięcy mil stąd - powiedział Fest.
- Niemal co do jarda.
- Przydzielasz mnie do programu Phoenix?

- To nie jest Phoenix i to nie jest ICE-X. Nie chcemy, żeby nasi ludzie o tym wiedzieli.

- Więc cel jest dość wrażliwy.

- Tak sądzę - powiedział Showalter tonem, który sugerował, że jego zdaniem może nie tyle cel jest wrażliwy, co operacja bez sensu. - Przryczono mu naszą ochronę.

- Rozumiem. Ile jeszcze możesz mi powiedzieć?

- Nic. Porozmawiamy w Langley. Jak wrócimy do pracy.

- Czy najpierw odezwą się do mnie nasi?

- Potraktuj to tak, że odzywają się do ciebie teraz.

- Nie ma potrzeby sprawdzania.

- Nie ma. I jeszcze jedno, Dirk.

- Słucham, Charles.

- To jest wojna. Strzelaj celnie.

Obecnie dysponował pistoletem automatycznym kaliber 380, bardzo amerykańskim i bardzo wojennym. Mógł nim trafić w dziesięciocentymetrowe obiekty z odległości kilometra. Poza tym broń zachowywała się w sposób nieprzewidywalny. Nie była tak dobra jak dmuchawka. Ale skąd może to wiedzieć, dopóki nie wyceluje i nie wystrzeli?

Żadnego zespołu, żadnych dyskusji o scenariuszach, żadnych ćwiczeń z bronią.

Dlaczego nie mogli dać mu amerykańskich dokumentów tutaj, w Sajgonie, oficjalnych paszportów z oryginalnymi wietnamskimi wizami? Po co zatrzymywali go w Hongkongu, żeby wręczyć mu niemieckie?

Ponieważ te dokumenty były podróbkami. BND nie brał w tym udziału. A przecież Showalter w gruncie rzeczy mówił wprost o aprobacie BND. Bez niewidzialnej pieczęci BND Fest niczym się nie różnił od kryminalisty.

Istnieje granica, on tę granicę przekroczył. Choć komuniści także ją przekroczyli. Kryminaliści? W Chinach, na Ukrainie zamordowali więcej ludzi, niż kryminalista Adolf Hitler odważyłby się nawet pomyśleć. Tego nie można było mówić na głos, ale trzeba o tym pamiętać. Niewykluczone, że czasami, aby poradzić sobie z takim wrogiem, ktoś przechodzi na jego stronę.

Własne tchórzostwo wstrząsało nim, powodowało fizyczny ból w brzuchu. Gdyby latem pojechał do Berlina, a nie do Nowej Anglii... Gdyby nie unikał ostatniego spotkania z ojcem, który go nie kochał... Mimo to stoję obok ciebie. Ojciec, walczyłeś z komunistami i ja też z nimi walczę.

Skip Sands w furgonetce opuścił Sajgon trasą numer jeden, potem zapewnił sobie transport do Cao Quyen na motorowerze ciągnącym małą przyczepę pełną dwuipółmetrowych desek. Ta druga część podróży zajęła mu niemal dwie godziny.

W połowie drogi ze zdziwieniem zobaczył czarnego chevroleta jadącego z naprzeciwka i zaczął machać obiema rękami, o mało nie spadając z siedzenia za młodym motorowerzystą. Za późno. Chevrolet odjechał. Sands rozpoznał Hao, ale nie był w stanie zobaczyć pasażerów.

Przed willą stał zaparkowany biały ford sedan. Pułkownik czekał w salonie, popijając kawę i przeglądając książkę.

- Gdzie jest Trung?
- Wyjechał - odparł pułkownik. - Musieliśmy go stąd zabrać.

Skip nie potrafił pojąć własnego miazdzącego rozczarowania. Przeniesienie podwójnego agenta na kilka dni było rzeczą, którą sam by zaproponował.

- Dokąd pojechał?
- Nie sądzę, bym mógł ci powiedzieć.
- W porządku, zgadzam się, jako środek tymczasowy...
- To nie jest rozwiązanie tymczasowe. Sprawa skończona.
- Zamykasz ją?
- Skończona dla ciebie. Jeśli chodzi o twój udział.
- Ale dlaczego?
- Przestań zachowywać się jak głupiec.

Na to Skip nie miał odpowiedzi.

- Siadaj, Skip. Muszę ci coś powiedzieć.

Pułkownik przywiózł pocztę: na stoliku leżało kilka kopert.

- To moja poczta?
- Usiądź, proszę.

Zajął miejsce naprzeciwko wuja.

- Co to za książka?

Pułkownik pokazał mu okładkę: *Korzenie totalitaryzmu*. Hannah Arendt.

- Kobieta, która pisała relacje z procesu Eichmanna.
- Kiedy nie mogę spać, czytam. A bywają długie okresy, że nie mogę zmrudzić oka. Trzymam książkę w dłoniach i patrzę, jak przesuwają się słowa. - Otworzył na chybił trafił i przeczytał głośno: - „...w finalnych etapach totalitaryzmu zło absolutne wydaje się absolutne, ponieważ dłużej nie można go wywodzić ze zrozumiałych ludzkich motywów”. - Rzucił książkę na stół. - Na każdej stronie jest coś, od czego kurczą ci się jaja. Ci Żydzi mają

obsesję. Zresztą powinni ją mieć. Powinni mieć obsesję na punkcie swojego losu. Ale... mówią prawdę o tym, z czym my się zmagamy. Ze złem absolutnym.

Skip widział czarną kawę w filiżance pułkownika. Może był trzeźwy

- Skip nie czuł alkoholu - chociaż wydawał się kompletnie pijany.
- Twoja ciotka Bridey chce się ze mną rozwieść.
- Ale jest katoliczką.
- Nikt już nie jest katolikiem. W gruncie rzeczy nie. Od lat nie byłem na

mszy.

- Więc... więc straciłeś wiarę w Boga?
- Tak, straciłem. A ty nie?
- Ja też.

Pułkownik wolno wciągnął powietrze, jakby miał westchnąć, ale tylko przyglądał się Skipowi.

- Panie Trung, podziwiam pana - powiedział.

Skip obejrzał się przez ramię. Byli sami.

- Chce się rozwieść? Powiedziała ci o tym?

- Wyjechała z McLean zaraz po mnie. W zeszłym roku. Rok wcześniej. Rok przed świętem Tet. Pamiętasz, jak odliczaliśmy czas od zamachu na JFK, a teraz odliczamy od Tet?

- I wtedy ci powiedziała?

- Powiedziała, ale jej nie wierzyłem. Teraz wierzę. Wynajęła adwokata i złożyła pozew. No i dobrze, nie będę się sprzeciwiał.

- Podała jakiś powód?

- Bóg wie, że powodów ma aż nadto.

- Ale konkretnie? Chyba że to nie moja sprawa.

- Mówi, że biorę udział w tej wojnie, żeby uciec przed własnymi życiowymi porażkami. I ma rację, uciekam. Jestem tutaj, ponieważ nie chcę wrócić do ojczyzny. Bo do czego bym wrócił? Zdumiewającego miejsca pełnego zdziwaczałych lewicujących kobiet. A jeśli wrócę? Co wtedy? Spędzę emeryturę w Karolinie Północnej, umrę i moim nazwiskiem nazwę most nad jakąś rzeką. Tak czy owak ma rację. Wojna ze złem absolutnym jest piekielną wymówką, żeby odwrócić się plecami do całej reszty. Więc się ze mną rozwodzi.

- I to cię walnęło - rzekł Skip - naprawdę cię walnęło.

Teraz pułkownik głośno odetchnął.

- Ostatnio jest mnóstwo kłopotów. Moje problemy, ta sprawa z Trungiem... twoja matka i cała reszta. Jest mi przykro... Skip, przykro mi.

- Z powodu mojej matki czy kłopotów w ogólności?

- Z powodu tego wszystkiego. I twojej matki, to jasne... Oraz spraw, za które jestem odpowiedzialny. Czyli za większość. Ale żaden z nas nie wyjdzie stąd zbyt zadowolony. Przegrywamy tę wojnę. Tracimy serce.

Skipowi cisnęło się na usta: *Mów za siebie*, ale rozpoznał w tym odruchowy optymizm.

- Chcesz drinka? - zapytał.

- Nie, nie chcę.

- W porządku.

- Ty sobie weź.

Skip zawołał Tho.

- Pan Tho zaparzył kawę i posłałem go do domu - powiedział pułkownik.

Skip poszedł do kuchni, nalał whisky do szklanki i wypił jednym haustem. Nalał znowu i wrócił do salonu. Przerazenie osłabiło jego ruchy. Zasalutował szklanką. Kolejny łyk sprawił, że oczy zaszyły mu łzami.

- Włosy staną ci dęba! - powiedział pułkownik z fałszem w głosie, który najwyraźniej jego samego zaskoczył. Siedział, ściskając w dłoni filiżankę, mrużąc oczy, choć Skip nie wiedział, przed jakim światłem, dzień bowiem chylił się ku wieczorowi... - Anioły nie przyniosłyby mi pociechy.

Skip świadom był, że czuje się jak dziecko w obecności dorosłego (w obecności matki na przykład, gdy dręczyła ją samotność), że pragnie tylko przetrwać tę chwilę, że czeka, aż usłyszy: *To wszystko, możesz iść*, że wypatrjuje końca tej przerażającej intymności.

Przez wiele sekund wuj przyglądał mu się tak, jakby nigdy wcześniej go nie widział.

- Słyszałeś przemowę inauguracyjną Nixona?

- Nie. Tylko fragmenty - odparł Skip.

- Mówił o dotrzymanywaniu zobowiązań, obronie naszego honoru - nie o wygranej. Nie o przyszłości Wietnamu albo przyszłości dzieci, które tu widzimy. Nixon. Nie obchodzi mnie, co on mówi, możesz dostrzec to w jego oczach: przeanalizował całą tę sytuację, element po elemencie, i przegrywamy. On tak to widzi. Na kogo głosowałeś? Na demokratów?

- Na nikogo. Zapomniałem pójść na wybory.
- Zawsze głosuję na demokratów, choć tym razem niechętnie. Humphrey jeszcze szybciej by nas wyciągnął, tak mi się wydaje. Wielcy chłopcy widzą wielki obraz. Więc przegrywamy. W wielkim obrazie to nie ma znaczenia. Kiedy w grę wchodzi równowaga geopolityczna, wystarczy samo to, że prowadziliśmy wojnę. Dla Stanów Zjednoczonych wszystko skończy się dobrze. Ale nie walczę dla Stanów Zjednoczonych. Walczę dla Lucky'ego, Hao i ludzi jak twoja kucharka czy gospodyni. Walczę o wolność dla prawdziwych, pojedynczych Wietnamczyków i bardzo nie chcę przegrać. To mi łamie serce, Skip.

- Myślisz, że naprawdę przegramy? Tak będzie w ostatecznym rozrachunku?

- W ostatecznym rozrachunku? - Wuję najwyraźniej zaskoczyło to wyrażenie. - Myślę, że w ostatecznym rozrachunku... zostanie nam wybaczone. Wierzę, że przez długi czas będziemy błąkać się w ciemności, że skutków pewnych naszych działań nigdy nie da się naprawić, ale zostanie nam wybaczone. A ty? Co ty myślisz, Skip?

- Wuju, pogrążamy się w chaosie. Kompletnym chaosie.

- Połowa Agencji trzymała się z daleka od tej wojny. Ja sam zaproponowałem ci Tajpej, Skip. Byłem w stanie to załatwić.

- Nie chodzi mi o amerykańskie wysiłki w tym kraju. Mam na myśli nas, ciebie, mnie, innych facetów. Mamy kłopoty z naszymi.

- Naprawdę? To dobrze. Nigdy nie czułem lojalności wobec organizacji, Skip. Zawsze byłem lojalny wyłącznie wobec moich towarzyszy broni.

Walczysz dla chłopaka po twojej prawej ręce i dla chłopaka po twojej lewej ręce. To banał, ale banały w większości są prawdziwe.

- Też tak czuję.

- Tak?

- Jeśli chodzi o to, dla kogo walczysz. Naprawdę tak czuję.

- Will... co robiłeś w Sajgonie?

- Tak - powiedział Skip - mówiłem ci o tym.

- Nie mówiłeś.

- To znaczy zacząłem.

- W takim razie skończ, dobra?

- Tak. Rick Voss przysłał mi list. Chciał się ze mną zobaczyć. Pomyślałem, że lepiej zrobię, jak pojadę. Więc... - Pożałował, że jak uczeń dodał to ostatnie, chwiejne słowo.

Pułkownik wykonał ruch, jakby chciał wstać, ale pozostał na miejscu, uwięziony przez własne prądy. Pocierał palcami twarz.

- Niedawno jadłem kolację z Pitchforkiem. Nie wydaje mi się, żebyśmy zamienili choć dwa słowa. Siedzieliśmy na tarasie Yacht Clubu i patrzyliśmy na przepływającą obok rzekę. Nie rozmawialiśmy. Nie musieliśmy...

Pewnego dnia w obozie w Birmie, w Forty Kilo, kiedy leżałem z gorączką i wszyscy byli pewni, że umrę, on dał mi jajko. Ugotował je, obrał ze skorupki i karmił mnie po kawałku. To jedna z najpiękniejszych rzeczy, jaką ktokolwiek dla mnie uczynił. Akt ogromnej wielkoduszności. Ale on tego nie pamięta. Uważa, że to musiał być ktoś inny. Ja wiem, że to był on. Pamiętam. Anders Pitchfork dał mi jajko.

Razem ująć z życiem z takiego koszmaru, a potem usiąść do wspólnego posiłku w Yacht Clubie, wspólnie dzielić się odrobiną wygody... nie masz nawet pojęcia. To wspanialsze doznanie od tego, które mnie ogarniało, kiedy moja mała córeczka, mała czteroletnia Anne wsuwała rączkę w moją dłoń i... szedłem, trzymając rączkę mojej córeczki, Will, a kiedy patrzyłem w dół, widziałem, że ona na mnie patrzy. Miłość między towarzyszami osiąga taki stopień intensywności.

Mogę tylko powiedzieć: Pierdol się, Ricku Voss. Pierdolić Vossa za to, co zrobił. Nic innego nie mogę zrobić. Nie mogę mu nawet w przybliżeniu pokazać tego, co go ominęło. Nigdy się nie dowie. Mogę tylko powiedzieć: Voss, pierdol się.

Sands czekał, by się upewnić, że wuj skończył.

- Pułkowniku, ty i ja jesteśmy przyjaciółmi.
- Tak, Skip, ty i ja jesteśmy przyjaciółmi.
- Tkwimy w tym razem.

Pułkownik uniósł filiżankę obiema rękami.

- Powiedziałeś Vossowi o wszystkim, tak?
- Powiedziałem?
- A nie?
- Zjedliśmy razem lunch.
- O co cię pytał?
- Chyba ciekawiło go, gdzie byłem, ale nie dałem mu szansy na zadanie pytania. Jeśli mam być szczerzy, sam jestem za bardzo zdezorientowany.
- I zostawiłeś go, by cieszył się podobnym stanem dezorientacji?
- Tak, sir, jestem o tym przekonany. Był jeszcze jeden facet, Crodelle.
- Nie znam go. Crodelle?

- Regionalne Centrum Bezpieczeństwa.
- Kto jeszcze?
- Nikogo innego tam nie było. Jedliśmy lunch. Ale widziałem Niemca.
- Jakiego Niemca?
- Faceta z San Marcos. I Mindanao.
- Tak zwanego attaché? Z BND?
- Skądkolwiek jest, teraz przebywa w Sajgonie.
- A więc coś się kroi. Tym więcej powodów, żeby zabrać stąd Trunga.

Niemiec był z Vossem?

- Nie, widziałem go wcześniej, przed lunchem.
- Niemiec.
- Właśnie. Był sam. Może nie ma z nami nic wspólnego.
- Jeśli nie jest z nami, jest przeciwko nam. - Pułkownik spojrzał twardo

na Skipa. - Przyjmijmy takie założenie wobec wszystkich.

- Niczego mu nie powiedziałem.
- Co robiłeś z Vossem?
- Jedliśmy lunch, lunch, lunch, to wszystko.
- Ten Crodelle. Czego chciał?
- Poluje na twoją głowę. Na głowy nas wszystkich.
- I puścili cię?
- Tak, sir.

Pułkownik podniósł się zdecydowanie, jakby czegoś potrzebował, ale stanął tylko przy oknie i patrzył na dziedziniec, kolana miał sztywne, żylaste łydki rysowały się pod nogawkami, wielki brzuch sterczał, obie dłonie wsparte daleko na biodrach, niemal na kręgosłupie. Poza starego człowieka. Ciężki, głośny oddech. Dusił się od wielkich emocji.

- Wyczuwałem coś w rodzaju współczucia ze strony Vossa - powiedział Skip.

- Nie, nie wyczuwałeś. Nie daj się oszukać. Z całym szacunkiem dla matki Ricka Vbssa i nadzieją na zbawienie jego duszy, ten człowiek to przekłety skurwysyn.

Usiadł znowu na kanapie, podnosząc nogawki spodni. Strzepnął niewidzialne okruchy z ud.

- Skip, posłuchaj mnie. W wąskich miejscach nie da się iść ramię w ramię. Przez wąskie przejścia przedzieras się samotnie. Musi ci wystarczyć, że ktoś idzie za tobą.

- Jestem tuż za tobą.
- Nie. Myślę, że już zacząłeś proces ratowania własnego tyłka. Nie zatrzymuj się, doprowadź to do końca. Uratuj siebie.
- Wuju...
- Chyba wrócę do Stanów. Wezwano mnie kilka tygodni temu.
- Wiem. Crodelle mi powiedział.
- Dołożę wszelkich starań, by ciebie w to nie wplątać.
- Wuju, zostań tutaj.
- Położyłem dłoń na pługu. Nie ma możliwości odwrotu.
- Chodziło mi o to, żebyś został tutaj, w willi. Nie wiedzą o tym miejscu.
- Jeśli cokolwiek wiedzą, to na pewno wiedzą o tym domu, ponieważ ty im powiedziałeś.
- Nie pytali mnie o to. Mówili tylko o Cao Phuc. Jakby myśleli, że tam jest moja baza.
- Tak twierdzisz.
- Nic nie wiedzą o Cao Quyen. Zupełnie nic. Ktokolwiek nas zdradził, nie powiedział im.
- Skip, myślę, że to byłeś ty.
- Nie, wuju, nie, nie.
- Więc kto? Nie Storm.
- Nie sądzę, że to on. Ale nie wiem.
- Nie. On nie wyczułby presji. Jest małpą. To właśnie w nim lubimy.
- Hao?
- Hao to dobry człowiek. Trung jest jego przyjacielem. Niemożliwe.
- A Minh?
- Lucky? Wydaje się, że on też nie jest w sytuacji, która pozwalałaby na wywieranie na niego presji. Poza tym znam go od szczeniaka.
- Więc dlaczego oskarżasz mnie? Znasz mnie przez całe moje życie. Mój ojciec był twoim bratem.
- Nie potrafię tego wyjaśnić, Skip. Coś w tobie jest. Nie masz w sobie szczypty lojalności.
- Wuju. Pułkownik... nie zdradziłem cię.
- Jestem głupcem?
- Wuju - powiedział Skip - kocham cię. Nigdy czegoś takiego bym nie zrobił. Naprawdę cię kocham, wuju.

- To może jest prawda. To może jest prawda. Ale miłość i lojalność to dwie różne rzeczy. - Patrzył na Skipa z przerażającym pragnieniem w oczach.
- Co myślę w ostatecznym rozrachunku? Myślę, że młody człowiek znajduje swoją pomyślność na wojnie. I jestem cholernie zadowolony, że ci się udało, Will. - Usiadł wygodnie i westchnął. - Gadaj do mojego tyłka: głowa mnie boli.

Obowiązki Sandsa (choć żadnych nie miał) nie pozwoliły mu na udział w nabożeństwach pogrzebowych pułkownika, ani rodzinnych dwa tygodnie później w Bostonie, ani wojskowych w następnym miesiącu w Bethesda w stanie Maryland. Pułkownika zadźgała na śmierć prostytutka w Da Nang - pułkownikowi gardło podciął brat jego wietnamskiej kochanki w delcie Mekongu - pułkownika torturowali na śmierć albo zabili w zamachu agenci wroga: historia o jego odejściu ewoluowała poprzez serię relacji w coś jednak godnego szacunku.

Sands dowiedział się o tym, kiedy za willą obserwował trzech chłopców, którzy wywlekali bawołu z błota, gdzie odpoczywał. Jeden gołą stopą kopał zwierzę w zad, drugi bił je po grzbiecie pękiem witek. Bawół, czy raczej jego widoczne fragmenty, nozdrza, rogi, kościsty zad i kilka kręgów kręgosłupa, nie poruszył się. Kobieta, matka chłopców, osoba o większym niż oni autorytecie, wyszła spośród kwitnących bugenwilli i zaczęła wabić garścią trawy zwierzę, które wreszcie niczym geologiczny fakt wyłoniło się potężną sylwetką z błota. Sands słyszał silnik samochodu i trzask zamykanych drzwi. Uświadomił to sobie dopiero później. Ruszył w stronę domu i po drodze spotkał Hao i Minha. Hao trzymał w dłoni kilka kopert. Coś w sposobie, w jaki Minh trzymał się z tyłu, jakieś żałobne uznanie potrzeby prywatności pomiędzy jego starszym krewnym a panem domu, sprawiło, że Skip zapytał:

- Co się dzieje?
- Mister Skip, może to panu powiem, że pułkownik nie żyje.
- Nie żyje?
- Fatalna sprawa. Dowiedzieliśmy się od pana sierżanta. Dał mi list do pana.

Niezdolny wykrztusić słowa, Skip poprowadził ich do jadalni i wszyscy trzej usiedli przy stoliku. Na jednej z kopert nie było znaczka. Skip otworzył ją swoją finką.

Skip-

Jacyś chłopcy z Trzech Najwyższych Pięter wykopali mnie z dziury, żeby zadać mi pytania. Wygląda na to, że wiadomość jest z rodzaju najgorszych. Mówią, że pułkownik nie żyje. Nie wykonał misji.

Ktoś go wykończył, ale oni nie wiedzą, kto. A przynajmniej tak mówią.

To wszystko, co mam. Kiedy się dowiemy, kto to zrobił i dlaczego, powiadomię Cię i przysięgam na wszystko, że splamię sobie ręce. Będę pił krew tych skurwysynów.

B. S. Storm

- Nie wierzę. Nie mogę w to uwierzyć. - Ale wierzył.

- Mister Jimmy nam powiedział.

Szukał słów i usłyszał własny głos:

- Pani Diu przygotowuje lunch.

Hao i Minh nie odpowiedzieli.

- Gdzie jest Trung?

- Nad Mekongiem - odparł Hao. - Zabraliśmy go.

- Wie o tym?

- Jeszcze nie. Minh tam pojedzie.

- Mogę dać pieniądze dla niego.

- Mała suma byłaby dobra.

- W porządku.

- Pani Diu... jedliście coś? Powiem jej. Jest zupa. Powiem jej.

Zdumiony, że drobne potrzeby odznaczają się potęgą, dzięki której potrafią zdominować taką chwilę, polecił, by zupę i ryż przynieść do jadalni. Goście jedli wolno i tak cicho, jak to było możliwe. Skip zostawił posiłek i otworzył dwie pozostałe koperty, które w rzeczywistości zawierały trzy listy i wiersz:

30 stycznia 1969

Drogi Skipie,

Pisze do Ciebie pastor Paul z Pierwszego Luterńskiego Kościoła w Clements. Mam nadzieję, że mogę nazywać Cię „Skip” i że nie będziesz

miał mi za złe tych kilku słów o Twojej cudownej Mamie. Siedzę przy swoim biurku; Twoja Mama odwiedzała mnie i siadała na krześle tuż obok. Właściwie mogę powiedzieć, że jest tutaj teraz, w każdym razie duchem. Wróciłem z Jej pogrzebu. Odkrycie, do jak wielu ludzi dotarła, jak wiele egzystencji wzbogaciła na swój bardzo cichy i skromny sposób, jest prawdziwie inspirujące.

Nie miałem okazji Cię poznać, ale Twoja matka była bardzo droga całej naszej parafii. Nie zawsze przychodziła w niedzielę, ale odwiedzała mnie na probostwie raz, dwa razy w tygodniu. Przychodziła popołudniami, żeby się przywitać i porozmawiać, często pytała o kazanie, które przygotowywałem na następne nabożeństwo. Kiedy rozmowa schodziła na to, co myślę i co zamierzam powiedzieć, zasadniczo oznaczało to, że w następną niedzielę będę mógł przekazać moim wiernym słowo płynące prosto z serca. Przyczyniała się do tego w sposób naturalny. Tak więc chociaż nie przychodziła regularnie na mszę, duchem była obecna z nami w wiele niedziel. I Jej duch pozostał.

Przez ostatnie trzy miesiące Twoja matka była bardzo uduchowiona. Przeżywała duchowy zwrot. Wydawało się, że coś wyczuwa. Niemal tak, jakby Jej dusza wiedziała, że nadchodzi czas na podróż do domu. Mam nadzieję, że mówiąc to, nie posuwam się za daleko albo nie „wykraczam poza linię”, jak mawiają dzieci.

Załączam list, który Matka do Ciebie napisała. Znalazłem go po składaniu i gotowy do wysłania. Koperta była otwarta, ale zaadresowana do Ciebie, więc przyklejam znaczek i idę na pocztę. (Nie czytałem listu).

Paul Conniff

Pastor

Pierwszy Luterński Kościół w Clements

(„Pastor Paul”)

Drogi Synu Skipperze,

Dzisiaj jest niedziela. W niedzielnym dodatku do „Timesa” z Kansas City przeczytałam wiersz poety, który umarł sześć lat temu, a o którym nigdy nie słyszałam. Posłałabym Ci wycinek, ale chcę zachować wiersz w druku, więc go przepiszę i będziesz musiał go przeczytać w takiej formie.

Napisałam do Ciebie trzy albo cztery listy, które musiałam wyrzucić, ponieważ moim zdaniem brzmiały zniechęcająco. Wiem, że robisz to, co według Ciebie jest najlepsze dla twojego kraju. Taką przynajmniej mam nadzieję. Mam nadzieję, że nie utknąłeś w jakiejś koleinie. Ludzie czasami czepiają się różnych rzeczy i nie znajdują właściwej drogi wyjścia. Aja znowu swoje. Dość tego.

W przyszłym tygodniu w poniedziałek i czwartek mam dwie wizyty lekarskie. Lekarze uwielbiają robić badania. Nic poważnego. Ale przekwitanie od początku przynosi drobne problemy. Masz dobrą opiekę lekarską, prawda? Nie wątpię, że zapewniają wam wszystko, co najlepsze.

Dobrze, teraz wiersz. Nie rymuje się i tyle w nim uczucia, że trzeba kilka razy go przeczytać. Ostrzegam, jest trochę smutny.

*Lament wdowy na wiosnę**

William Carlos Williams (1883-1963)

** Przekład Julii Hartwig.*

*Smutne jest moje podwórze:
młoda trawa płonie zielenią
jak płonęła zawsze,
ale nigdy tym zimnym ogniem,
który osacza mnie tego roku.
Trzydzieści pięć lat
żyłam z moim mężem.
Śliwa stanęła w bieli,
cała jest w kwiatach.
Uginają się pod kwiatami
gałęzie wiśni,
czerwono i żółto
kwitną krzewy,
ale silniejsza jest od nich
żałoba w moim sercu,
i choć były kiedyś moją radością,
ledwo je teraz zauważam,
odwracam się i zapominam.
Powiedział mi dzisiaj syn,*

*że na łąkach,
na skraju starego lasu,
zobaczył z daleka
drzewa w białych kwiatach.
Ogarnęła mnie chęć,
żeby tam pójść,
rzucić się między te kwiaty,
zapaść się w bagna pod nimi.*

Ostrzegałam Ciel Jest bardzo smutny! Więc nie wyślę tego listu. Przeczytałam wiersz i siedziałam przy oknie z dłońmi na kolanach. Płakałam tak bardzo, że łzy spadały mi na dłonie, prosto na moje dłonie.

Pomyślałam sobie, cóż, to jest wiersz. Wiersz nie musi się rymować. Musi za to przypominać ci o różnych sprawach i wydobywać je z ciebie.

*Myślę o Tobie
Mama*

Drogi Skipie,

Jak przypuszczam, słyszałeś o tym, że światowe życie zubaża życie duchowe. Wszyscy nam to powtarzają. Najwyraźniej jednak nie zdają sobie sprawy, że to działa także w drugą stronę, że duchowe życie niszczy życie światowe. Każdej przyjemności nadaje brzydki posmak. Jedyna rzecz, która wydaje się słuszna, to poszukiwanie Boga, aczkolwiek nie zawsze jest to przyjemne czy nawet naturalne.

Tak więc w jednej chwili chcę być normalną kobietą, a w dziesięć sekund po tym, gdy taką byłam, gdy zachowałam się jak normalna kobieta, pragnę uciec do Boga. Którego wcale aż tak nie lubię. Ciebie lubię bardziej.

Muszę jednak poszukiwać woli Boga. Wolą Boga jest to wszystko, co mam tuż przed sobą do zrobienia. Romans do tych spraw nie należy. Ani ucieczka w poszukiwaniu romansu. Ucieczka do Cao Quyen...

Czy to przesłanie do Ciebie dotarło? Może tak. Może nie.

Mogłabym napisać więcej, ale powtarzam się tylko, używając różnych słów.

Kathy

PS: Rzuciłam monetą i adresuje list na nazwisko William Sands. Może go dostaniesz, a może nie.

Obejrzał dokładnie kopertę. List przeszedł przez amerykański urząd pocztowy w San Francisco.

Pożegnanie z kobietami jego życia. I wieloma innymi sprawami.

- Jesteś pewien, że pułkownik odszedł? Umarł? - zapytał Minh.
- Tak. Gdyby żył, wciąż bym go czuł. - Minh odłożył pałeczki i delikatnie położył dłoń na piersiach.
- Wiem, co masz na myśli.
- Pułkownik nie żyje. Moje serce to czuje.
- Tak. Z całą pewnością. Ja też to czuję.

Skip odwrócił wzrok gdzie indziej, na płytki podłogowe, ściany, pokryte pajęczynami wywietrzniki pod okapem, szukając podpowiedzi, która by mu zdradziła charakter nadchodzących dni.

Wszystko na co patrzył, nagle i w sposób niewytłumaczalny pokrywało pewne nieważne wspomnienie, chwila, której doświadczył wiele lat temu, gdy z kolegami z college'u wracał po weekendzie z Louisville do Bloomington: dłonie na kierownicy, trzecia w nocy, reflektory na pięćdziesiąt jardów przecinające bursztynowym milczącym snopem ciemność. Ogrzewanie włączone na cały regulator, alkoholowe oddechy młodych mężczyzn w zamkniętym samochodzie. Jego przyjaciele spali, on prowadził, z radia płynęła muzyka, rozgwieżdżona nieskończona amerykańska noc otulała świat.

Rano siedemnastego marca, na dzień przed urodzinami ciotki Giang, kapitan sił powietrznych Wietnamu Nguyen Minh siedział z miską makaronu przy jednym z wielu stolików ustawionych pod markizą na wielkim dworcu autobusowym w Cho Lon, dzielnicy Sajgonu. Był głodny. Makaron smakował wyśmienicie. Nabierał nitki na pałeczki, unosił do ust i wsysał, po każdym kęsie wycierając brodę białą chusteczką.

Parujące garnki z ryżem i krewetkami, autobusy, spaliny z diesla, klaksony - wszystko to doprowadzało go do szaleństwa... Może dlatego był odrobinę wrażliwszy niż zwykle, ponieważ nie chciał jechać do domu.

Dwaj amerykańscy podoficerowie przyjmowali meldunek od wietnamskich żołnierzy piechoty patrolujących dworzec autobusowy. Podwoili patrolę od komunistycznej ofensywy w maju, która nastąpiła pięć miesięcy po wielkim ataku w święto Tet. Dwaj sierżanci i dowódca patrolu kucnęli,

pograżeni w rozmowie. Ludzie Minha usiedli na stopach, obejmując się za kolana.

Pułkownik nie żył od ponad miesiąca. Minh przez ostatni rok widywał go rzadko, ale pułkownik pozostał dla niego wielkim faktem. Bez pułkownika wznoszącego się pomiędzy nim a Amerykanami ci ostatni wydawali się zdezorientowani, szczerzy, głupi, puści - niedojrzałe potworki z naładowaną bronią. Pomysł, że walczą po czyjejkolwiek stronie, był idiotyczny.

W autobusie wybrał miejsce koło okna, uchylił je nieco i zapiął kołnierzyk koszuli. Autobus wyjechał z miasta autostradą numer siedem, dobrą drogą zbudowaną przez Amerykanów, mijał wozy zaprzężone w osły, riksze, małe trójkołowe furgonetki, mijał pola ryżowe, na których bawoły żłobiły bruzdy jednoskibowymi pługami, a czaple brodziły wśród świeżo zasadzonych roślinek, mijał kamienne piece z dymiącą podpałką zmieniającą się w węgiel drzewny potrzebny do gotowania, nad którym teraz pewnie trudziły się jego ciotki i kuzynki, przygotowując ucztę na urodzinowe przyjęcie ciotki Giang. Wuj Hao chciał, żeby Minh rozwiązał kwestię własności i czynszu za dom, problem istniejący od lat, choć teraz nagle wuj zapragnął szybko go załatwić. Musiał też porozmawiać z Trungiem i wysłać go do Sajgonu.

A dlaczego jedzie autobusem? Wuj ciągle dysponował amerykańskim czarnym chevroletem, mogli razem pojechać samochodem. Ale wuj był tchórzem, którego wuj Hay zmiażdżyłby jednym kłapnięciem szczęki. W czasie ostatniej podróży Hao unikał szwagra. Przywiózł Trunga, umieścił go w pokoju nad kawiarnią i teraz od miesiąca Trung nudził się tam jako obcy, o ile nie uciekł.

Minh wysiadł na poboczu, kupił bułkę i herbatę w sklepie, którego właścicielka pamiętała go, zapytała o rodzinę i powiedziała, że ostatnimi czasy taksówki wodne znowu kursują, choć nie za często. Wioska położona była trzy kilometry w dół brunatnej rzeki. Minh szedł pieszo. Po mieście wszystko tutaj inaczej pachniało. Cuchnąca rzeka. Dym ze spalonych stosów liści i śmieci miał aromat legendy, miało go nawet kurze łajno. Wszystko to prowadziło go dokąd? Tutaj. Ale nie do tej chwili. Tutaj łowił ryby z grzbietu bawołu, podczas gdy za nim brat Thu trzymał sznurek latawca miotanego podmuchami wiatru... nawet wtedy badali odmienne żywioły. Jeden do liceum i sił zbrojnych, drugi do klasztoru.

Na rzece panował niewielki ruch. Stara kobieta z pomarszczoną twarzą starej kobiety minęła go w łodzi, trzymając się płycizny, każde pchnięcie kija groziło odebraniem jej tchu.

Minh szedł pod szarym niebem, gardło ścisnął mu smutek. Wkroczył w zagajnik bananowców, zerwał trzy owoce i zjadł, skórki rzucając do rzeki, jak robili to z bratem w lepszym świecie.

Wyobraził sobie palącego się brata - często to robił - ciało Thu w płomieniach, straszliwy ból na skórze wznoszący się ku nozdrzom. A kiedy mnich, który przez ułamek sekundy trzymał dwie gałęzie, jedną puścił, by przywrzeć do drugiej, nie był już ciałem, tylko samym ogniem.

Lap Vung było czymś więcej niż wioską. Długie moło, targ, kilka sklepów, wszystkie takie same.

Znalazł Trunga Thana jedzącego lunch przy jedynym stoliku w kawiarni. Córka właściciela siedziała naprzeciwko gościa, sama nic nie jedząc, i wpatrywała się w niego z pustą twarzą.

- Witam.
- Witam.
- Pokój jest dobry?
- Niech pan sam zobaczy.

Opuścili kawiarnię i po zewnętrznych schodach weszli na górę. Na podejściu, z którego widać było podwórze, Trung powiedział:

- Pokój jest mały. Porozmawiajmy tutaj.
- Dobrze.
- Nie powinienem dłużej tu zostawać. Tu działa Wietkong. Do tej pory powiadomiono już pewnie dowódców o samotnym mężczyźnie przeprowadzającym nieokreślone rolnicze badania.

- Hao chce się z panem widzieć.
- Jest tutaj?
- W Sajgonie. Spotka się z panem jutro.
- Pojadę z panem?
- Nie. Jutro rano pójdzie pan na autostradę i najwcześniejszym autobusem pojedzie do Cho Lon. Hao spotka się z panem na dworcu autobusowym.
- Wszystko, byle stąd wyjechać. Ta dziewczyna chce za mnie wyjść. Codziennie podaje mi lunch i pyta, co badałem na polach. Idiotyczne kłamstwo.

Zbyt mgliste. Całą noc czytam, rano ubieram się, jem śniadanie i wychodzę, żeby do południa przespać się na polu.

- Boi się pan?

- Myślę o misji.

Minh mu wierzył.

- Panie Than, pułkownik umarł.
- Chce pan zapalić? - zapytał Trung.
- Dziękuję.

Palili przez minutę, w czasie której Trung się zastanawiał. W końcu powiedział:

- Był pańskim przyjacielem. To dla pana musi być smutne.
- Tak, dla mnie jest smutne i oznacza, że pańska operacja nie zostanie

zakończona.

- Więc coś innego. Inna operacja.
- Hao się panem zaopiekuje.
- Jakie ma dla mnie plany?
- Wuj Hao zorganizował spotkanie. Hao udzielił mi instrukcji.
- Czy te instrukcje pochodzą od tamtego drugiego Amerykanina?
- Skipa Sandsa? Nie.

Trung milczał.

- W czym problem?

Trung wyrzucił papierosa, przybrał spokojny wyraz twarzy i zignorował pytanie, ale Minh wiedział, w czym problem. Trung podjął decyzję, przeszedł przez most i na drugim jego końcu znalazł martwego pułkownika.

- Panie Than, jestem pewien, że mój wuj ma kilka amerykańskich kontaktów. Wiem, że wasza przyjaźń jest silna. Hao zaopiekuje się panem. Hao nie zostawi pana samego. - Zdawał sobie sprawę, że nie powinien tak mówić, ale siła tego człowieka budziła współczucie.

Minh zostawił podwójnego agenta jego losowi i ruszył ścieżką nad starym kanałem. Przed nim starzec ciągnął bawołu za kółko w nosie, Minh szedł za zwierzęciem kołyszącym się w rytmie dżungli, pełnym znajomego cierpienia. Ten sam gęsty dym ze stosów śmieci, te same kryte słomą chaty, a potem dom wuja z pomarańczowymi glinianymi dachówkami pokrytymi pleśnią, otwarta niska brama, metrowy, ceglany mur zwieńczony zielonym żeliwnym płotkiem, na którym spiczaste *fleurs de lis* zdobiły zardzewiałe słupki, teraz jeszcze bardziej zardzewiałe, wysoka do pasa siatka oddzielająca podwórze od sąsiedniego, frontowy ogród z małą drewnianą kapliczką i kilkanaście dekoracyjnych drzew Bong Mai, przynoszących podobno szczęście, choć nie była to prawda, ten sam ganek z kolumnkami z błyszczących płytek barwy

szarofioletowej, która jak dawniej wydała mu się kojąca.

Kiedy wszedł przez bramę, troje dzieci w popłochu uciekło, jakby w dłoniach trzymał broń. Zdjął buty i skarpetki, ustawił je obok drzwi i dopiero wtedy przekroczył próg domu.

Dwie dziewczyny, kuzynki, których nie znał, mieszały pranie w kotle na tylnym podwórzu. Ciotka Giang przyrządzała jedzenie w kuchni, skąd wywabiały ją wrzaski dzieci; przeszła przez dziedziniec, wycierając dłonie w fartuch, po czym ujęła jego nadgarstki w mocny uścisk.

- Mówiłem, że przyjadę
- Wcale mi nie mówiłeś!
- Napisałem ci w liście.
- To było dawno temu! Teraz ci wierzę.
- Dotrzymałem obietnicy.
- Obudzę twojego wuja.

Ciotka zaprowadziła go do salonu i tam zostawiła. Ta sama kapliczka w błękitnym jak niebo pudełku na tej samej szafonierze z czarnej laki, wyższej od niego o dwadzieścia parę centymetrów. Lustra malowane w geometryczne wzory rozświetlały wnętrze kapliczki. Obok ten sam wielki kandelabr, misy z owocami, długie kadzidelka w pojemniku z brązu w kształcie lwa, wotywny świece i małe drzewo Bong Mai rosnące w wazie, przypuszczalnie to samo, co w jego dzieciństwie, Minh nie mógł być tego pewien.

Wuj wyszedł z sypialni, jedynej mieszczącej się w samym domu; wyglądał na zasnętego i nieszkodliwego, chudego i brunatnego, prawie wcale się nie zmienił. Zapinał pasek długich spodni, zapinał koszulę i nic nie mówił. Ciotka Giang szła za nim, klepiąc nerwowo męża po głowie. Mała głowa, okrągła twarz, rysy zbiegające się do środka. Jak zawsze jego twarz nic nie wyrażała.

Wszyscy troje usiedli boso na podłodze z płytek, pijąc herbatę i jedząc słodczyce z wielkiej plastikowej złotej misy w kształcie baśniowej królewskiej korony. Ciotka Giang wypytywała Minha o jego życie miłosne i plany małżeńskie, o siły powietrzne, o wielkiego generała Phana, ale nawet słowem nie wspominała o swoim bracie Hao. Wuj Hay prawie się nie odzywał. Minh nie widział potrzeby wspomniania o domu, o niezapłaconym czynszu. Po tylu latach nieobecności mógł wrócić tu tylko dlatego, że Hao zlecił mu załatwienie interesu.

Po półgodzinie wuj Hay zapytał:

- Co z jedzeniem?
- Już idę - odparła jego żona i wszyscy troje wstali.

Wuj zabrał go na spacer; z dumą przedstawiał siostrzeńca ludziom, których Minh znał od dzieciństwa. Wszyscy pytali, dlaczego nie jest w mundurze dzisiaj, w rocznicę urodzin ciotki. W domu najmłodszego brata Haya kobiety usunęły się, zostawiając mężczyzn, by powitali pilota. Ów brat imieniem Tuan, chociaż nazywany wujem Minha, nie był jego krewnym. Tuan się zmienił. Nic w jego wyglądzie nie było w porządku. Może doznał wylewu. Prawa strona ciała sprawiała wrażenie roztopionej: powieka, ramię, zapadające się kolano. Lewe oko miał wytrzeszczone. Może był ranny. Według Amerykanów od święta Tet Wietkong prowadził operacje w całym Mekongu, chociaż Minh nie bardzo w to wierzył. Może wuj Tuan należy do Wietkongu. Minh nie wspomniał o jego kalectwie. Nikt o tym nie mówił. Mężczyźni palili papierosy i pili herbatę z miniaturowych czarek. Kiedy jeden zapytał Minha o wuja i ciotkę w Sajgonie, wuj Hay przerwał siostrzeńcowi grzeczny opis ich szczęścia, mówiąc:

- Wynajął mi dom bez ziemi. Muszę dzierżawić pole od starego Sanga. Sang dostaje czterdzieści procent moich zbiorów. A Hao myśli, że to on cierpi.

Po powrocie do domu Minh uciął sobie drzemkę w łóżku swojego dzieciństwa.

Obudził się zdezorientowany. Koguty potomkowie tych z jego dzieciństwa piały gdzieś niczym duszone niemowlęta i przez sekundę myślał, że świta. Dzieci śmiały się i krzychały. Rodzina przybyła - musiało być późne popołudnie. W pokoju z blaszanym dachem i nieheblowaną podłogą okno zajmowało prawie całą ścianę. Minh odsunął moskitierę i usiadł. Kilka metrów dalej zobaczył kamienie nagrobne swoich dwóch ciotecznych wujów. W tym łóżku spał z młodszym braciszkiem. Poszwy były nowe i pachniały świeżością, ale okrywały tę samą pościel z cierpkim zapachem starego potu i puchu, nad głową rozgrzewał się do czerwoności ten sam dach, pod którym Minh i Thu po śmierci matki zamieszkali u rodziny, która nie była ich rodziną. Byli outsiderami i to sprawiło, że połączyła ich bliskość możliwa tylko u dzieci, pozbawiona świadomości, iż czas może ich rozdzielić.

O piątej po południu wuj Hay zwołał rodzinę w wielkim pokoju.

Czekali, aż zapali świece w kapliczce przed domem, i patrzyli, jak chodzi pomiędzy drzewami awokado i kumkwatami, koło spodni, bluzek i T-shirtów

sąsiada suszących się na kolorowych plastikowych wieszakach na ogrodzeniu z siatki. Ukłonił się nisko, po czym wrócił do pokoju, nikogo nie witając. Przeszedł przez dom, stanął na chwilę przed grobami, później wrócił i na środku salonu położył dwie poduszki. Skrzyżował nogi i usiadł twarzą do zebranych. Pozostali, dzieci, ciotki i kuzynowie, rodzina, której był głową, siedzieli pod ścianami, najmłodszy poza obrzeżami pokoju, opierając się plecami o kolumny ganku niczym więźniowie przywiązani do drzew. Słuchali w milczeniu Haya, który mówił do Minha:

- Moja siostra i jej mąż zawsze niesprawiedliwie traktowali tę rodzinę. Ty także traktujesz ją niesprawiedliwie. Twój ojciec uczył się, podczas gdy ja orałem i zbierałem żniwo. Kiedy umarł, powiedzieli, że powodem była choroba, której się nabawił w górach, ale ja jestem przekonany, że był to cios wymierzony przez ducha naszego ojca. Nasz ojciec umarł, ciężko pracując, bo nie chciał zrezygnować z pól ryżowych, które jego syn, mój brat, twój ojciec powinien był uprawiać, zamiast się uczyć. Moja siostra wyszła za twój wuj Hao, biznesmena, pragnęła bowiem swoim synom zapewnić życie w mieście, wykształcenie w szkołach i przygotować ich do życia w bogactwie. Jej mąż Hao nie potrzebował tego domu. Zostawił mu go ojciec. Mąż mojej siostry Hao nigdy tu nie mieszkał. Przyjeżdżał w dzieciństwie, a kiedy jego dziadkowie umarli, przestał przyjeżdżać. Ten dom był pusty. Potem umarł ojciec Hao. Mąż mojej siostry jest ostatnim z rodu. Nie ma synów, którzy dziedziczyliby jego majątek. Nie ma już rodziny. Nas nazywa rodziną, ale traktuje jak konie i bawoły. Ludzie, których widzisz w tym pokoju, opiekowali się domem dla męża mojej siostry Hao. Dom popadłby w ruinę, zmyłyby go monsuny, winorośle zniszczyłyby mury, nic by nie zostało, gdyby nie nasze codzienne wysiłki. Widzisz odciski na moich dłoniach? Widzisz zgarbione plecy mojej żony? Widziałeś, jak moja żona ścierała kurz ze ścian dzisiaj rano, zanim poszła na pola ryżowe? Widziałeś, jak gotowała wspaniałe posiłki, żebyś mógł go z nami dzielić? Widzisz nakryty stół? Czujesz zapach wyśmienitej zupy? Popatrz na kurczaki, psa, owoce i wciągnij w nozdrza parę unoszącą się z ryżu - widzisz pot na jej twarzy od tej pary? Wszyscy obecni w tym pokoju pracują w taki sposób codziennie, żebyście wy mogli mieszkać w mieście. Nie płacimy czynszu. Taki jest układ z mężem mojej siostry, Hao. Mąż mojej siostry powiedział nam, że czynsz zapłacę troską o dom. Wszyscy pracowaliśmy ciężiej, niż powinniśmy byli. Zamiast harować jak konie i woły, powinniśmy byli płacić czynsz i pozwolić

domowi popadać w ruinę. Zamierzam podpalić ten dom. Spalę dom. Ten Hao przysłała ciebie, żeby mi powiedzieć, że muszę kupić własny dom, a ty przychodzisz tu z tą wiadomością, nie okazując cienia honoru ani miłości do rodziny. To jest czas wojny. Możemy liczyć wyłącznie na rodzinę, nic innego nam nie pozostało. Ty jesteś człowiekiem bez honoru, bez miłości, jesteś synem człowieka, który ograbił mnie z szansy na wykształcenie, i sługusem złodzieja, który chce ograbić tę rodzinę z domu. Wszyscy tutaj umrą, kiedy spalę budynek, który nie jest naszym domem, ponieważ on chce go nam ukraść. Twoja ciotka przyrządziła ci smaczny posiłek. Zjedz go pod tym dachem, a potem wróć do miasta i powiedz człowiekowi, który ożenił się z moją siostrą, że nie ma żadnej rodziny poza swoją żoną, ponieważ ten dom spalił się na popiół, a my wszyscy jesteśmy martwi.

Wuj rozprostował nogi i wstał z dłońmi splecionymi przed sobą.

- Dziękuję, wuju - powiedział Minh.

Wuj Hay klasnął w dłonie, podszedł do stołu i ze stosu wziął porcelanowy talerz. Inni w milczeniu zrobili to samo, napełniając talerze albo miski owocami, parującym ryżem, zupą, kawałkami psa i kurczaka.

Niektóre dzieci były za małe, żeby zrozumieć przemowę. Zjadły pośpiesznie, zostawiły miski na podłodze, wybiegły ze śmiechem na podwórze, wróciły, żeby znowu coś zjeść. Inne zaczęły się bawić. Dorośli rozmawiali o innych sprawach, najpierw kierowani dobrym wychowaniem i zakłopotaniem, później z prawdziwym zainteresowaniem, a w końcu z niejakim entuzjazmem. Młode kobiety śpiewały piosenki. Wuj podsunął Minhowi, że mógłby powiedzieć Hao, iż na dom spadły amerykańskie bomby, zabijając wszystkich jego mieszkańców. Minh raz jeszcze mu podziękował.

Kiedy obudził się nazajutrz rano, wuj poszedł już na pola ryżowe. Minh wypił kawę z ciotką i kilkoma kuzynkami, ucisnął wszystkie po kolei i ruszył ścieżką nad kanałem ku drodze prowadzącej do miasta, gdzie będzie musiał wytłumaczyć wujowi Hao, iż zmuszenie wuja Haya do oddania pieniędzy będzie większym kłopotem, niż jest to warte.

Skip klęczał przed otwartą szafką, wyciągając szufladki z kartami - piżmowy zapach papieru i kleju, lekkie mdłości, gniew, tak wiele miesięcy z tymi zapachami w ustach, a wszystko na nic. Wreszcie znalazł „D”. Przesunął palcami po brzegach kart i wyjął trzy zapisane przez wuja drukowanymi literami:

DD

Nad Arką wznosił się słup dymu w kształcie drzewa cedrowego. Pachniał tak pięknie, że narody wykrzyknęły: „Kim jest ta, co się wylania z pustyni wśród słupów dymu, owiana wonią mirry i kadzidła, i wszelkich wonności kupców?”

Pieśń nad pieśniami, 3,6

DD

I uczynię znaki na niebie i ziemi, krew i ogień, i słupy dymne. Słońce zmieni się w ciemność, a księżyc w krew, gdy przyjdzie dzień Jahwe, dzień wielki i straszny.

Księga Joela, 3, 3-4

DD

„słup obłoku” - Księga wyjścia, 33. 9-10. Dosłownie - „drzewo dymu”

Sześć tygodni od śmierci pułkownika spędzone w willi Bouquet w stanie zamętu i bezsensownego poczucia końca nadało nowy smak jego uwięzieniu. Hao przyjeżdżał raz na tydzień z czasopismami i kartami kondolencyjnymi po śmierci Beatrice Sands. Żadnego ruchu ze strony Centrum Bezpieczeństwa Regionalnego czy gdzie tam pracował Crodelle, żadnych pytań na temat udziału Skipa w wątpliwym planie. Najwyraźniej po śmierci głównego intryganta w grę wchodził rodzaj ułaskawienia. Skip czekał, aż Hao przywiezie rozkazy. Nie odzywał się nikt mający władzę.

Sands uznał za właściwe, by wykorzystać wolny czas na przygotowanie notatek do czegoś w rodzaju biografii dla organu Agencji „Studies in Intelligence”, czegoś głębszego, wszechstronniej przedstawiającego pułkownika Francisa Xaviera Sandsa niż jednoakapitowy nekrolog, który dziesięć dni temu ukazał się w dziale „Kamienie milowe” „Newsweeka”. Usiadł przy

biurku w pokoju na piętrze, który ostatnimi czasy zajmował Trung, podwójny agent pułkownika, i otworzył liniowany zeszyt na pustej stronie. Co wiedział, o czym w „Newsweeku” nie mieli pojęcia? Jakież fragmenty zasłyszane tu i tam. Ciotka Grace, która poślubiła pułkownika, mówiła, że pochodzili z Shaughenessych z hrabstwa Limerick, a to, dlaczego ich pradziadek Charles Sahughenessy postanowił zostać Sandsem i czy w ogóle na imię miał Charles, nigdy nie zostało wyjaśnione. Charles przyплыł do Bostonu na amerykańskim statku, tłumaczyła młodemu Skipowi ciotka Grace, ponieważ wszyscy tak robili, samolotów wtedy jeszcze nie wynaleziono; może nowy emigrant wyszedł na ląd z załogą i przedstawił się jako Amerykanin, pożyczając sobie nazwisko kapitała. Pracował w dokach, ożenił się tak szybko, jak było to możliwe, miał dwoje dzieci, dziewczynkę i chłopca, po czym umarł, zanim skończył czterdzieści lat, w nowej ojczyźnie nie widząc nic poza bostońskim portem. Jego syn Fergus, dziadek Skipa, pracował ciężiej niż Charles, zrobił więcej dzieci - Raymonda, Francisa i Williama, po których urodziły się dwie dziewczynki, Molly i Louise - i żył dłużej, umarł jako pięćdziesięcioletek. Trzej chłopcy chodzili do szkoły podstawowej Świętej Marii Panny i tutaj historia rodzinna, tak jak relacjonowała ją Grace, stawała się głównie historią Francisa, średniego brata. Francis został wyrzucony ze szkoły za nieznaną z nazwy występki i na kilka lat przeniesiono go do także nieznaną z nazwy szkoły publicznej. Wrócił do Panny Marii i tu ukończył liceum: grał na pozycji liniowego w drużynie footballu, zachowywał się porządnie, pilnie się uczył i dostał się do Notre Dame. Poprzez swój upadek i zbawienie Francis stał się postacią wyrazistą, przykładem do naśladowania, człowiekiem, który runął na twarz, podniósł się i ukończył Notre Dame.

Wspomnienia samego pułkownika nie były historiami, lecz anegdotami. Nie tworzyły biografii. Studia na Notre Dame rozpoczął, o ile Skip dobrze pamiętał, w roku 1930 albo 1931. I znowu dobre oceny, na pierwszym roku został napastnikiem w drużynie footballowej - dla Knute'a Rockne był to ostatni rok pracy w charakterze trenera. O samym Rockne mówił niewiele, z czego Skip wywnioskował, że sławny trener nie zwracał uwagi na zawodników z pierwszego roku. Francis dostał się do podstawowego składu w połowie drugiego roku. Dyplom zrobił jako jeden z najlepszych, do tego momentu nie dokonawszy nic, co wyróżniałoby go spośród innych silnych, pełnych entuzjazmu młodych mężczyzn z wyjątkiem właśnie wykształcenia, które

plasowało go poza oczywistymi wyborami drogi życiowej dokonywanymi w jego rodzinnym środowisku (doki, policja), ale które zrzucił wraz z togą w dniu rozdania dyplomów, wybierając życie pełne przygód.

Skip doszedł do wniosku, że cokolwiek spotkało Francisa, co zmieniło go w szaleńca i bohatera, musiało spotkać go pomiędzy 1935 a 1937 rokiem, w okresie biograficznego mroku. Najwyraźniej ruszył wtedy na zachód. Skip słyszał wzmianki o pociągach towarowych i obozach włóczęgów, wzmianki o rodeo, o burdelu w Denver, o odsiadce w więzieniu, o krótkim tajemniczym małżeństwie - w większości mówiła o tym matka Skipa, nigdy sam pułkownik. Pułkownik natomiast nieraz napomykał o doświadczeniach lotniczych, pokazach lotniczych i samolotach opryskujących pola, pracach na lotniskach i w hangarach, aczkolwiek nie uważał, że są to sprawy godne rozwinięcia, oraz o związkach z chińskimi robotnikami w San Francisco w czasie, gdy Japonia prowadziła wojnę z ich ojczyzną. Skip po prostu nie wiedział, czy któryś z lotników, czy jakieś zdarzenie z udziałem Chińczyków sprawiło, że zwrócił się w kierunku, w którym dalej miało się toczyć jego życie, faktem natomiast było to, że pod koniec 1937 roku młody Francis, wówczas prawie dwudziestosześcioletni, wrócił do Bostonu, znalazł pracę w dokach i zapisał się w City College na kursy wieczorowe przygotowujące do egzaminu na kadeta sił powietrznych. Wstąpił do armii, szkolił się na dwupłatowcach Stearmana w Tennessee i Missisipi, a później na dolnopłatach Vultee Vialiants na Florydzie. W 1939 roku w randze kapitana pilotował myśliwce P-40 Warhawk i w czasie, który mógł poświęcić na sen, zdobywał kwalifikacje uprawniające do prowadzenia większych samolotów, w tym także bombowców.

W 1938 roku poślubił Bridghed McCarthy, przyjaciółkę z dzieciństwa. W roku 1940 miał już córkę Anne i syna w drodze, Francisa Juniora, który utonął latem 1953 roku w czasie regat z Boston Harbor do Nantucket. Skip ani razu nie słyszał, by wuj mówił o tej tragedii.

Na początku roku 1941 kapitan Sands wystąpił z wojska, by na podstawie umowy zawartej przez Chińczyków, rząd amerykański i paramilitarną Central Aircraft Manufacturing Company razem z setką innych amerykańskich pilotów zostać najemnikiem w siłach powietrznych Republiki Chińskiej. Tworzyli Amerykańską Ochotniczą Grupę Claire Chennault, której zadaniem była ochrona Drogi Birmańskiej stanowiącej szlak dostaw dla chińskich oddziałów. Każdemu amerykańskiemu ochotnikowi obiecano możliwość powrotu do wojska z poprzednim stopniem, żołd w wysokości 600 dolarów

miesięcznie oraz dodatkowo 500 dolarów za każdy zestrzelony japoński samolot. Tak oto kapitan na swoim P-40 brał udział w ponad stu misjach i zapracował na swoje pieniądze. Jednakże w grudniu 1941 roku, kilka dni po śmierci jego brata w Pearl Harbor, zgodził się zastąpić chorego na malarię towarzysza i zasiąść za sterami zmodyfikowanego DC-3 z oddziałem brytyjskich komandosów na pokładzie, wśród których był Anders Pitchfork. W drodze powrotnej zaskoczył go ostrzał z rzadkiej u Japończyków baterii przeciwlotniczej i spadł na pola ryżowe, aczkolwiek - jak twierdził - dopiero wtedy, kiedy odstrzelono mu drugie skrzydło. Pomimo pomocy miejscowych został pojmany przez Japończyków i zmuszony (nie tylko on, Pitchfork i sześćdziesiąt jeden tysięcy innych jeńców także) do pracy przy budowie torów łączących Syjam z Birmą: choroby, bicie, tortury, głód. Raz dostał jajko. Nie wiadomo dlaczego umieszczono go na statku, może by go przewieźć do Luzon, może do samej Japonii; niedaleko linii brzegowej Mindanao kapitan uciekł, stosując straszny podstęp. Jeden ze współwięźniów oszalał, przebywając pod pokładem w dusznym pomieszczeniu, i Japończycy zagrozili, że jeśli jego krzyki nie ucichną, zamkną dopływ powietrza, co dla wszystkich skończy się śmiercią. Los wskazał na kapitana Sandsa, który udusił nieboraka. Ucieczka nie wchodziła w grę, pozostali ponieśliby karę, ale kapitan, zbrukawszy duszę zbrodnią dokonaną dla innych, uznał, że ma prawo do podjęcia próby i zażądał, by razem z trupem oddano go Japończykom. Gdyby wyrzucili go za burtę jako martwego, na co liczył, jego ucieczka przeszłaby niezauważona. Podstęp się udał. Chociaż osłabiony przez trwające rok złe traktowanie i pracę ponad siły, płynął wiele mil, tygodniami ukrywał się w dżungli i przez dwa lata mieszkał na wyspach morza Sulu, zanim zdołał się dostać na frachtowiec, który zawiózł go do Australii. Natychmiast wstąpił do Sił Powietrznych Armii Amerykańskiej i wrócił do Birmy, gdzie wykonywał tajne misje, często we współpracy z brytyjskimi komandosami. Zasłużył na pochwały, błyskawicznie awansował i zakończył wojnę w randze pułkownika, żelaznego pułkownika, który łamał młoty.

Pułkownik uważał przemoc za cechę wrodzoną człowiekowi, a walczących za szczególnie błogosławionych. Wojsko czasu pokoju musiało budzić w nim odrazę. Krótco po wojnie awanse ustały. Kolejny mroczny okres. Dla oficera koniec regularnych awansów musiał być złym znakiem, równoznacznym ze zwolnieniem. Konkretny powód jego kłopotów z armią (wykroczenie czy naruszenie zasad, fałszywy krok) nigdy nie znalazł się w jego aktach, chociaż jego ogólny charakter był dostatecznie jasny. Pułkownik wiedział,

jak dowodzić, ale nie potrafił poddawać się rozkazom.

Jak rozumiał to Skip, pułkownik zgłosił akces do CIA natychmiast po utworzeniu agencji przez Trumana w 1947 roku, ale odrzucano go przez kilka lat, w czasie których służył w wielu południowych bazach lotniczych; okres ten zmienił jego bostoński akcent w wymowę absolutnie unikatową i umocnił alkoholowe nawyki. Agencja przyjęła go na początku lat pięćdziesiątych, był spóźnialskim pośród tej pierwszej generacji, outsiderem bez przeszłości w OSS, za to z ogromnym doświadczeniem w Azji Południowo-Wschodniej, nad którą wpływy zdobywały komunistyczne Chiny. Bywał na Filipinach, w Laosie, Wietnamie i czasami, na początku, także w Malesji z Andresem Pitchforkiem i Malay Scouts, wyłącznie dla zabawy - zawsze w quasi-wojskowej roli, zasadniczo poza kontrolą Langley, które koncentrowało się wówczas na Europie Wschodniej i Sowietach.

Na Luzon pracował ściśle z Edwardem G. Landsdale'em zwalczającym komunistyczne zagrożenie, partyzantkę Hukbalahap. Obozy jenieckie ukształtowały jego charakter: wiarę w siebie, wyciąganie wniosków z doświadczeń, toczenie walki do końca, tworzywo bohaterów. Landsdale uformował jego metody: ufaj miejscowym, ucz się ich pieśni i podań, walcz o ich serca i umysły. Co ciekawe, a może i tajemnicze, w czasie pobytu w Wietnamie pułkownik najwyraźniej nie kontaktował się z generałem Landsdale'em.

Wietnam był zwieńczeniem działań pułkownika i jego końcem. Zostawiony sobie, może wygrałby kampanię w pojedynkę, ale teraz zagrożenie azjatyckie traktowano poważnie, Langley zwracało uwagę, Kongres wziął sprawy w swoje ręce. Pułkownik był rozgoryczony, że odwołano zapowiadane wybory, że obiecane zjednoczenie odsunięto w czasie. Kiedy przybyły liczniejsze oddziały amerykańskie, zastały pułkownika. Zielone Berety nie oddały się pod jego dowództwo - być może jego wizja była nazbyt szeroka, źródła jego władzy zbyt mgliste. Pułkownik stał się niezbędny dla jednej eskadry helikopterowej, a później, w 1956 roku, dla dwudziestej piątej kompanii piechoty. Król Cao Phuc. Op Psy. Labirynt. A także Drzewo Dymu.

Okres spędzony z Landsdale'em na Filipinach bardziej niż cokolwiek innego zdeterminował jego poglądy. Zauroczony potęgą mitu, sam także stał się mitem, po części już za życia, zwłaszcza jednak po śmierci. Według Nguyena Minha, młodego pilota, którego pułkownik nazywał Lucky, miał on żonę w Binh Dai, wiosce w delcie Mekongu. Po pojmaniu pułkownika i jego

śmierci z rąk Wietkongu zwrócono ciało do wioski albo jako przykład dla innych, albo dla uhonorowania sposobu, w jaki zniósł ostateczne udręki - wdowa dostała je z wyłamanymi palcami, wylupionymi oczami, wyrwanym językiem i zmiądzdzonymi wszystkimi kośćmi. Mieszkańcy wioski, która niegdyś była parafią katolicką, pogrzebali trupa na dziedzińcu kaplicy (sama kaplica zbudowana była głównie z bambusa i do tego czasu nic z niej nie zostało) w trumnie z nieheblowanych mahoniowych desek zlepionych smołą. Natychmiast po pochówku, zanim zdążyli zalać mogiłę cementem, nadeszły ulewne deszcze, rzecz niezwykle rzadka o tej porze roku. W czasie opadów świeżo poruszona, niczym niezwiązana czerwona ziemia mogiły szybko zmieniła się w ciecz i w trzy tygodnie po pogrzebie trumna wynurzyła się na powierzchnię, a pułkownik Sands powrócił z podziemi. Wieśniacy otworzyli wieko i w środku zobaczyli pięknego, czarnowłosego amerykańskiego pilota z nietkniętymi palcami u rąk i stóp, młodego nagiego pułkownika Francisa z czystym, nie poddanym torturom ciałem. Otoczyli go kamieniami, zrobili w trumnie dziury, by woda mogła wpływać do środka, i ponownie złożyli do grobu. Ale to nic nie dało. Po kolejnych ulewach pobliski kanał wystąpił z brzegów, zalał opustoszały dziedziniec kościelny i porwał trumnę pułkownika. Widziano ją płynącą rzeką Hau, widziano w An Hao, Cao Quan, Ca Goi, zmierzającą z ujścia rzeki Dinh An do Morza Południowochińskiego.

Kiedy plotki dotarły do Jimmy'ego Storma, natychmiast pojechał do wioski. Znalazł kobietę, która była kiedyś żoną Amerykanina, i wieśniacy zaprowadzili go do miejsca, gdzie był grób. Mogiła sprawiała wrażenie nieporuszonej. Jeśli jednak chodzi o informacje, kto w niej leży, od jak dawna i tak dalej - cóż, Storm był sam, żaden z wieśniaków nie znał angielskiego, ich francuski był marny, jego francuski jeszcze gorszy, w rezultacie wyjechał z niczym. Skip poznał tę relację z którejś ręki, przez Hao od Minha, który skierował Storma do wioski z grobem.

Skip natomiast miał słowo ciotki Grace oraz zapewnienia „Newsweeka”, że pułkownik został pochowany w Massachussets - zgodnie z życzeniem żony bez honorów wojskowych. Skip wolał mit. Mit mówił prawdę. W świecie mitu wuj był wspaniałą postacią, tym wspanialszą, że usytuowaną na tle wyobrażeń Skipa. Skip załował tylko roli zdrajcy rebelii, którą pułkownik powierzył mu na koniec. Na koniec pułkownik nie szukał przyczyn, dla których operacja się nie powiodła, ale powodów własnego załamania, w samym centrum szukał zdrady pod postacią jakiejś klasycznej potworności, a cóż

może być potworniejszego, bardziej mrocznie rzymskiego niż zdrada we własnym domu, zdrada przez bratanka, przez własną krew? Dusza zbyt obszerna dla świata. Nie zgodził się, by postrzegać swój upadek jako typowy, odmówił współpracy z podobnymi Markowi Aureliuszowi: „Możesz złamać sobie serce”, pisał stary cesarz, „ale ludzie żyć będą jak dawniej”. Zaprojektował siebie na wielką skalę, podążał za sagą własnej podróży, ścigał własny mit przez labirynt tuneli do baśniowej krainy dziecięcych opowieści i w górę, ku koronie drzewa dymu.

Wezwanie nadeszło w kopercie wielokrotnego użytku zaadresowanej do niego w Op Psy. Od śmierci pułkownika upłynęło osiem tygodni. Znowu lunch, znowu Voss. Sands spodziewał się także Crodelle'a.

Poprosił Hao, by wysadził go na rondzie koło rzeki. Pieszko pokonał kilka przecznic dzielących go od Continentalu. Przekroczył próg hotelu, obficie się pocąc. Rick Voss siedział w holu w ozdobnym rzeźbionym fotelu. Był sam.

Wstał i uściśnął dłoń Skipa z niejaką czujnością, jakby sam przeszedł wiele rzek i gór, żeby tu dotrzeć.

- Przykro mi z powodu pułkownika.
- Był kimś.
- Boże, tak. Przykro mi.
- Mnie też.
- Wszystkim nam przykro. Ostatnio jesteśmy żalosną bandą.

Była dopiero jedenasta.

- Jesteś już głodny? - zapytał Skip.
- Nazwijmy to przedlunchem. Chciałem wyprzedzić bieg spraw.
- Wyprzedzić bieg spraw? Dlaczego mi się to nie podoba?
- Muszę się pokajać.
- Nie ma potrzeby. Usiądziemy?
- Poczekaj, mamy jakieś pięć minut.
- Dokąd idziemy?
- Pozwól mi mówić, dobra?
- Jasne. Naturalnie.
- Dzięki. Dzięki. Posłuchaj, oto moja przemowa. Od chwili kiedy usłyszałem o śmierci pułkownika, czuję się jak kupa gówna. Niektórzy uważają, że był awanturnikiem, neandertalczykiem. Nie każdy podziela tę opinię. Niektórzy myślą, że był wielkim człowiekiem. Na początku się z nimi nie

zgadzałem, ale teraz tak. To są przeprosiny, choć mało warte, wiem. Popelnilem błąd, przekazując dalej szkic jego artykułu. Przede wszystkim nie był właściwie jego. Napisałem dziewięćdziesiąt procent i nie przeszkadzało mi, że postawi go to w złym świetle. W gruncie rzeczy przekazałem artykuł, żeby przypochlebić się ludziom, którzy go nie lubili, a których teraz uważam za kompletnych dupków. Cholernie mi przykro, Skip.

- Przeprosiny przyjęte.
- Posłuchaj - powiedział Voss - problem jest taki. Artykuł wprawił maszynię w ruch, a teraz, gdy pułkownik umarł... cóż, miejmy nadzieję, że to wystarczy. Tylko że maszyna musi kogoś przeżuć, zanim sprawa ucichnie. Musi zakończyć swój bieg. Tego się nie da przyspieszyć. I dlatego wzywają cię do Langley.

- Mam uważać to za rozkaz?
- Tak jest. Wysyłamy cię do domu.
- Dobra. Czy Stacja chce najpierw ze mną porozmawiać?
- Podejrzewam, że chcą cię trochę przycisnąć.
- W gruncie rzeczy nie jestem związany ze Stacją. Jestem w Op Psy.
- Jesteś w tym kraju, to wszystko. Działasz w operacjach. Chcą dostać wszystko, zanim powtórzysz to w Langley.

- Kim są oni?
- Terry Crodelle.
- Zapowiada się na imprezę.
- Chce poddać cię badaniu wariografem.
- No pewnie. Wszystko, co będzie najbardziej pomocne - powiedział Skip.

Skip domyślił się, że sprzęt na stole konferencyjnym w większości składa się na wariograf. Przed sobą miał mikrofon na stojaku, obok wielki magnetofon. Patrzył, jak obracają się taśmy, jedna szybko, druga wolno. Koło magnetofonu leżał zielony beret Crodelle'a. On sam miał na sobie mundur bojowy Sił Specjalnych z naszywkami kapitana na kołnierzu.

- Cóż, to jest, tak myślę, to jest... nie wiem, co to jest.
- Co?
- Powiedziałem, że nie wiem.
- Powiedziałeś, że przyszła ci do głowy myśl.
- Myśl?

- Powiedziałeś, że wiesz, co to jest.

- Kiedy to powiedziałem?

Crodelle przewinął taśmę i znalazł miejsce, w którym Skip mówił: „Cóż, to jest, tak myślę”: - Tutaj.

- To... tylko takie jąkanie.

Kapitan Crodelle przez kilka sekund mu się przyglądał, dopiero potem powiedział:

- Dobrze. Bardzo dobrze. Sprawdzalem.

Trzymając palec na klawiszu, nacisnął przełącznik i taśmy znowu zaczęły się obracać.

- Należysz do Sił Specjalnych? Czy to tylko przebranie?

- To mundur.

- Z czyjego magazynu?

- W mniejszym lub większym stopniu należymy do Centrum Bezpieczeństwa Regionalnego.

- Myślałem, że CBR jest w Manili.

- To tymczasowa placówka.

- A ty jesteś prawdziwym, żywym żołnierzem.

- Daj spokój.

- Przecież się dostosowałem. Przyszedłem. Jestem tutaj. Pytanie brzmi: gdzie ty jesteś?

- Czasami siedzisz za biurkiem, czasami działasz w terenie, ale ta sprawa, to Drzewo Dymu, nie należy ani do jednej, ani do drugiej kategorii. Plaśuje się gdzieś w dżungli romansu i psychozy. - Crodelle zatrzymał magnetofon. - Znalazłeś się w prawdziwym-gównie - dodał i znowu go włączył.

- To było tylko hipotetyczne ćwiczenie. Scenariusz. Broń psychologiczna.

- Żonglujesz terminami. W ten sposób sobie nie pomożesz.

- Kapitanie, nie przyszedłem tu, żeby pomóc sobie, tylko tobie.

- Pod jaką przykrywką działasz w Five Corps? Jakie masz nazwisko?

- Korzystam z własnych dokumentów.

- Bez przykrywki.

- To tylko ja, kolego.

- Chcę, żebyś wyjaśnił mi kilka terminów z artykułu zatytułowanego... cóż, nie ma tytułu. Ale wyjaśnij kilka terminów.

- Naturalnie, o ile dam radę. Jeśli to pomoże.

- „Izolacja” - to znaczy tylko tyle, że zatykasz uszy, kiedy ktoś wydaje ci rozkaz.

- To uproszczenie, aczkolwiek oddaje ogólny sens.
- Zasadniczo oznacza odcięcie się od łańcucha rozkazów.
- Znowu uproszczenie.

- Bez łańcucha dowództwa dostajemy feudalizm. Oczywiście mówimy metaforycznie o biurokratycznym lennie. W tym jednak wypadku jesteśmy przekonani o prawdziwości tego lenna. Jesteśmy przekonani, że twój wuj, pułkownik, ustawił się w pozycji seniora.

- A ja jestem przekonany, że osiągnęliśmy lingwistyczny impas - powiedział Skip.

- Ja mówię o buncie.
- Spoglądamy w lingwistyczną otchłań.
- „Dychotomia mobilizacja - strata”.
- Co takiego?
- Mobilizacja myślnik strata.
- Och, na litość boską! „Działaj albo przegrasz”. Cały czas to powtarza.

To znaczy powtarzał.

- Bez łańcucha dowództwa pozostają nam watażki. Prowadził własną małą agencję.

- A dowodzi tego zwrot „działaj albo przegrasz”?

- Artykuł dowodzi, że uważał to za swój obowiązek. Prowadził własną filię operacyjną, weźmy na przykład zamachy na Mindanao. I miał tutaj prywatnego, osobistego podwójnego agenta.

- Gdzie?
- No wiesz, w tym małym kraju o nazwie Wietnam Południowy.
- Jaki podwójny agent?
- Skip, nie mam na myśli ciebie!
- Teraz robi mi się na twój widok niedobrze. Dosłownie niedobrze.
- Nie oskarżamy cię o zdradę.
- Więc o co? Jeśli to nie jest oskarżenie, powiedz, co to jest. Nie mów, czym to nie jest.

- Chcemy nazwisko. Jeśli jest to nazwisko, które już znamy, będziesz musiał je potwierdzić.

- Podaj nazwisko, które znacie, a ja je zweryfikuję, jeśli będę mógł.
- Skip, pracujesz dla nas.

- Tak. I napawa mnie to dumą, ale...
- No to słucham, Skip.
- Możesz zrozumieć moje ociąganie.
- Nie, Skip, nie mogę.
- Z miejsca, gdzie siedzę, obszar, w który się zanurzasz, parametry, jeśli jakiegokolwiek istnieją, wszystko to wydaje się cokolwiek amorficzne. Czuję się w obowiązku uzyskać od ciebie zapewnienie, że całą sprawę zachowamy w... dziedzinie znaczeń.

- Zapewnienia? Co? Nie ja tu gadam.
- Nie chcę narazić na ryzyko nakładających się interesów, tak to ujmijmy.

Crodelle znowu zatrzymał taśmę.

- Jakich interesów?
- Jeśli jakiegokolwiek istnieją.
- Co za kupa gówna.
- Powiedziałem tylko, jakie jest moje zdanie.
- Dobra. Kurwa. - Crodelle zmarszczył czoło i przez co najmniej trzydzieści sekund wpatrywał się w podłogę, nim uniósł głowę. - Jestem gotów opuścić tę kwestię. Zapewnij mnie tylko, zapewnij mnie, że żadna nieautoryzowana operacja nie jest w toku.

- To było ćwiczenie hipotetyczne. Gdyby było prawdziwe, to po prawdzie już by się skończyło. Masz moje zapewnienie.

- Czyli wszystko skończone.
- Do tego stopnia, jakby nigdy nie istniało.
- W porządku. Przestańmy wzajemnie się dręczyć. - Crodelle włączył nagrywanie. - Wróćmy do hipotetycznego ćwiczenia w wojnie psychologicznej pod kryptonimem Drzewo Dymu. Podczas naszej ostatniej rozmowy mówiliśmy o dokumentach.

- Dokumentach?
- Gdzie są dokumenty pułkownika?
- Dokumenty.
- Dane dotyczące Drzewa Dymu.
- Skąd to wszystko bierzesz?
- Co za głupie pytanie.
- Nic nie wiem o żadnych dokumentach.
- Co za głupia odpowiedź.

- Sprecyzuj, co masz na myśli. Jestem tu po to, żeby ci pomóc.
- Co za brednie.
- Powiedziałbym, że monopol na brednie masz ty.
- Jego kolekcja kart katalogowych.
- Och. No tak. To było archiwum. Nie wiem, gdzie je przeniesiono.
- Kiedy ostatni raz widziałeś te materiały?
- Na Filipinach, część katalogowałem, potem pułkownik je zabrał.

Sprawdź w tutejszym CBR. Może ktoś wie. Sprawdź w bazie Clark. Tam ostatnio je widziałem.

- Voss widział szafki tutaj. W bungalowie CIA zaraz po twoim przyjeździe.

- To nie może być prawda. Albo jest bardzo wątpliwa. Zabrano je ode mnie w Clark.

- Były tutaj.
- W takim razie zostały przewiezione po tym, jak zabrano je ode mnie.
- Skip. Jak ci się zdaje, jaką drogą kariery podążasz?
- Krętą. Skierowaną w dół. Mogę ci opowiedzieć o tych materiałach? Były ze swojej natury archiwalne, bardzo przestarzałe, nie odnosiły się do spraw aktualnych. Gdyby znajdowały się w moim posiadaniu, nie miałbym powodu ich ukrywać, żadnego motywu. Natychmiast bym ci je przekazał.

- Wiesz, co mi się podoba w twoim stylu? Łapiemy cię na kłamstwie, a ty od razu fabrykujesz następne.

- Podłącz mnie. Zdam test.
- O, na pewno cię podłączymy.
- Przejdę próbę. Zaczynaj.
- A także AM.

Skip nic nie powiedział.

- Analizę moczu?
- Och, w porządku.
- W Five Corps używają mnóstwo narkotyków. Nie wiadomo, kogo można złapać w potrzask.
- Przynies ślój, nasikam.

Crodelle zatrzymał magnetofon, podniósł się i wyciągnął wtyczkę ze ściany. Wtyczka poleciała mu na twarz, uchylił się więc i zawahał, mrugając niepewnie, zanim ponownie usiadł.

- Skip, nie wierzę w to - powiedział. - Nigdy wcześniej nie widziałem,

żeby ktoś sam siebie tak kurewsko dokładnie i całkowicie pogrązał. W dodatku bez uzasadnionego powodu. O co chodzi?

- Nie wiem, stary, jest w tobie coś, co mnie wkurza.
- Jesteś w tym całkiem dobry. Szkoda, że nie pracujesz po naszej stronie.
- Nie zamierzam tykać tego gówna.
- Doskonale. Czas na spotkanie z maszyną. Zaraz wracam. - Wyszedł, zostawiając Sandsa samego. Koło otwartych drzwi przeszedł Nguyen Hao eskortowany przez Murzyna w cywilu.

Przez dziesięć minut Sands siedział sam przy stole konferencyjnym ze swymi myślami odbijającymi się od pustki.

Crodelle wrócił z mężczyzną w średnim wieku, najwyraźniej cywilem, którego przedstawił jako Chambersa, technika.

- Chambers pracuje przy tym dłużej, niż którykolwiek z nas opowiada kłamstwa.

- To prawda?
- Ponad dwadzieścia lat - odparł Chambers.
- Jestem w sąsiednim pokoju, jeśli będziesz mnie potrzebował - powiedział Crodelle i wyszedł. Chambers usiadł obok Sandsa i spojrzał ponad stołem.

Kiedy ponownie usiadł, zapytał:

- Byłeś wcześniej poddawany badaniu na wariografie?
- Tak. Raz. Co jest pod stołem?
- Sprawdzam, czy urządzenie jest wyłączone.
- Aha.
- To tylko rozgrzewka.
- Och.
- Więc byłeś badany na wariografie. Tylko raz?
- Tak. Przy przyznawaniu certyfikatu bezpieczeństwa.
- W porządku, teraz egzamin. Przypuszczalnie powtórzymy część etapów, przez które przeszedłeś w czasie tamtego badania. Zależy nam na minimalnym stresie egzaminacyjnym. Innymi słowy, ha, ha, odpręż się, stary.
- Jestem odprężony.
- Jasne, że tak. No dobra. Kilka pytań.
- Dobra.
- Czy szkolono cię w metodach ukrywania prawdy podczas badania na wariografie?

- Powiedziano mi o nich. Nie byłem szkolony. Tylko o nich wspomniano.

- Nie szkolono cię przy użyciu urządzenia?

- Nie. Nigdy.

- Po sesji zostaniesz poddany oględzinom. Sprawdzimy, czy nie przygryzałeś języka, czy nie obgryzałeś paznokci i tak dalej.

- Słyszałem o tych rzeczach, ale nie pamiętam, kiedy powinno się je stosować. Przy kłamstwie, przy mówieniu prawdy czy...

- Czy szkolono cię w technikach zwalniania oddechu, zachowywania spokoju w sytuacjach stresowych, tego rodzaju sprawach?

- Nie dla takich celów. I to nie było szkolenie, tylko rady typu: „Zaciśnij dupę, kiedy strzelają, oddychaj płytko, kiedy serce za mocno ci wali”.

- Dobrze. Pierwszy etap: test składa się z dwudziestu pytań. Znajdują na tej kartce i chcę, żebyś je teraz przeczytał. Robimy to w celu wyeliminowania wszelkich reakcji zaskoczenia z wykresu. Rozumiesz cel poznania pytań przed przeprowadzeniem badania?

- Tak. Eliminacja zaskoczenia.

Chambers otworzył szarą teczkę i podał ją Skipowi. Napisane na maszynie pytania znajdowały się na kartce przypiętej spinaczem do wewnętrznej strony. Skip przesunął po nich wzrokiem.

- Czy w tym punkcie są jakieś kwestie dotyczące całego procesu, które chcesz wyjaśnić?

- Będzie więcej testów? Następujących po tym?

- A racja, dobrze. Egzamin składa się z czterech testów zawierających inne zestawy pytań, chociaż niektóre mogą się powtarzać. Przepraszam, zapomniałem o tym powiedzieć. Jeszcze coś chciałbyś teraz wyjaśnić?

- Nie sądzę.

- Jeśli będziesz chciał coś wyjaśnić w jakimkolwiek momencie testu, pytaj. Tak. Żeby zapoznać cię z procedurą, podłączę cię teraz, ale nie włączę urządzenia. Urządzenie nie będzie działało. Rozumiesz, że urządzenie nie będzie działało?

- Urządzenie jest wyłączone. Tak.

- Podczas pracy urządzenia ten zwój się przesuwają, a te trzy igły poruszają się w górę i w dół po wykresie.

- Rozumiem.

- Muszę cię poprosić, żebyś zdjął koszulę.

Sands wykonał polecenie, po czym powiesił koszulę na oparciu krzesła.

- I zegarek. Połóż go na stole. Jesteś prawo- czy leworęczny?
 - Praworęczny.
 - Połóż prawą rękę na stole, dobrze? Płasko. - Chambers owinął rękaw do mierzenia ciśnienia na bicepsie Sandsa. - Będziemy rejestrować ciśnienie krwi, oddech oraz elektryczną reakcję skóry. Gdybyś mógł się pochylić do przodu. - Sands pochylił się; Chambers owinął wokół jego piersi beżową gumową rurę i połączył oba jej końce małą metalową klamerką. - Za ciasno?
 - Nie. Nie wiem. Ty jesteś technikiem.
 - Te klamry przypniemy ci do opuszków palców. Rejestrują temperaturę skóry. - Na koniec Chambers delikatnie sprawdził wszystkie elementy, rękaw, rurę, klamry, dokonując drobnych poprawek, po czym usiadł na krześle. - Wygodnie ci?
 - Zdecydowanie nie.
 - Ha, rzadko komu bywa wygodnie. Przeczytałeś pytania, tak?
 - Tak.
 - Przypuszczalnie część wyda ci się głupia, część bez znaczenia, jedno na pierwszy rzut oka są prawdziwe, inne fałszywe. W ten sposób uzyskujemy twoje reakcje na różne kategorie pytań. Zapewniam, że to wszystko ma sens.
 - Rozumiem.
 - Bardzo dobrze. Na tym etapie odczytam ci pytania, żebyś usłyszał je zadawane przeze mnie, dzięki czemu wyeliminujemy przypadkowe zaskoczenie. Nie odpowiadaj. Ja tylko je przeczytam. Możesz przerwać mi w każdej chwili. - Chambers położył otwartą szarą teczkę na kolanach. - Gotowy?
 - Zaczynaj.
 - Nazywałeś się William Sands?... Urodziłeś się w Miami na Florydzie?...
- Wiesz, gdzie znajdują się szafki zawierające dokumenty pułkownika Francisca Xaviera Sandsa?... Zrobiłeś dyplom na Indiana University?
- Przepraszam.
 - Tak.
 - Mam dwa dyplomy, licencjat z Indiany i magisterium z George'a Washingtona. Więć dokładnie nie wiem...
 - Okay. Licencjat humanistyczny na Indiana University, tak?
 - Tak.
 - W porządku. Pytanie będzie brzmiało następująco: Czy masz licencjat humanistyczny z Indiana University?
 - Tak.

- Dobrze. Dalej pytania są takie: Znasz Trunga Thana?... Jesteś bratankiem pułkownika Francisa Xaviera Sandsa?... Czy mam na sobie białą koszulę z krótkimi rękawami?... Lubisz kłamać?...

- Poczekaj.

- Tak.

- To pytanie, czy jestem bratankiem - zakładam, że jestem czymś bratankiem niezależnie od tego, czy ta osoba żyje, czy umarła.

- Hm. Wiesz co? Muszę to sprawdzić. Wybacz na chwilę.

Chambers wstał i wyszedł, zabierając ze sobą teczkę.

Sands czekał i patrzył na otwarte drzwi, był bowiem przekonany, że teraz może zobaczyć przesuającą się za nimi postać kóregokolwiek z jego znajomych, Minha, Storma, Trunga, matki, wuja, ojca, paradę duchów.

Po powrocie Chambers powiedział:

- Zmieniliśmy dwa pytania. Skończę czytać na głos, potem znowu przeczytasz je cicho, dobrze?

- Tak, dobrze.

- Znasz miejsce pobytu Trunga Thana?... Urodziłeś się w grudniu?... Stacjonujesz w Cao Phuc w Wietnamie Południowym?... Wiesz, gdzie znajdują się dokumenty sporządzone przez pułkownika Francisa Xaviera Sandsa?... Czy kiedykolwiek spotkałeś człowieka nazwiskiem Trung Than?... Masz syna imieniem John?... Czy w tym pokoju świecą się lampy?... Czy Trung Than był kiedykolwiek działaczem Wietkongu?... Czy byłeś kiedykolwiek świadkiem bezpośredniego kontaktu Trunga Thana z pułkownikiem Francisem Xavierem Sandsem?... Wiesz, gdzie obecnie znajduje się archiwum pułkownika?... Masz dyplom magisterski z George Washington University?... Wiesz, gdzie przypuszczalnie znajdują się teraz archiwa pułkownika?... To wszystko. Teraz cię odłączę. - Chambers zdjął wszystkie elementy, Sands włożył koszulę. - Zostawię cię z pytaniami. Przejrzyj je, a ja na chwilę wyjdę.

Sands siedział, patrząc na pytania i wcale ich nie widząc.

- Jeśli zapiąłeś guziki, możemy iść na lunch - powiedział ktoś.

W progu stali Crodelle i Voss, wyglądając trochę jak starsi bracia, którzy zapłacili za niego w burdelu.

- Co?

- Pora na lunch.

- Lunch?

- Jest druga piętnaście - powiedział Crodelle. - Nie chce ci się jeść?

- To znaczy wychodzimy?
- Tak. Do Rexa albo gdzie indziej. Ale chodźmy do Rexa.
- W porządku.
- W porządku?
- Mnie pasuje.
- To taka przerwa. Twoje reakcje będą lepsze, jeśli po usłyszeniu pytań na jakiś czas o nich zapomnisz.

- Zapomnę. Możesz się założyć.

Poszedł za nimi korytarzem, mijając sierżanta piechoty morskiej, cyfrowy szyfr i elektryczny zamek w drzwiach.

Zanim po schodach zeszli na ulicę, Crodelle przystanął, by włożyć zielony beret na bakier. Odznaki, którą miał na berecie, Sands nigdy wcześniej nie widział, czarno- biało-szarej, z żółtą obwódką. Szli ku betonowemu ogrodzeniu.

- Włosy masz trochę za długie do munduru, no nie? - powiedział Skip.
- Rzadko chodzę w mundurze.
- Co to za insygnia? - zapytał Skip, wskazując odznakę na berecie.
- JFK Special Warfare Center - odparł Crodelle.
- Gdzie się mieści? - pytał dalej Skip. Kiedy wyszli za betonowe zapory, pełnym sprintem pobiegł do najbliższej przecznicy, tam skręcił w prawo, podążając drogą najmniejszego oporu. W miejscu gdzie kobieta wprowadziła dwoje dzieci na zatłoczoną ulicę, zwolnił, przyłączył się do nich i przez strumień niewielkich pojazdów wspólnie przedarli się na drugą stronę. Tam znowu zaczął biec, przez prawie kilometr zygzakami skręcał w prawo i ani razu nie obejrzał się za siebie. Na Louis Pasteur Street wszedł do parku z rozłożystymi drzewami i przyjął tempo, którego się nauczył w skautach: pięćdziesiąt kroków marszu, pięćdziesiąt kroków biegu.

Obserwował ruch na ulicy za drzewami, ale nie wdział nikogo poza mieszkańcami Sajgonu, którzy ogarnięci żądzą przetrwania zmagali się z chwilą obecną. Aby się tu dostać, musiał skakać przez worki z piaskiem przy krawężnikach, musiał się zatrzymywać, zawracać, skręcać na lewo i prawo jak obrońca, a także przewrócić kilku tych wspaniałych ludzi na chodnik, nie jednak nie pamiętał.

Po wyjściu z parku zatrzymał taksówkę, osunął się spocony na tylne siedzenie i kazał kierowcy jechać na dworzec Cho Lon. Tak późnym popołudniem autobusy pewnie już nie kursowały. Jeśli istotnie tak było, do rana

zamierzał ukryć się w barze. W świątyni albo kościele. W burdelu, w palarni opium. Uciekinier. Zdrajca.

Jego zamszowe buty cuchnęły rynsztokami, przez które biegł. Otworzył okno.

Żałował, że ominął go egzamin. Z pytań, które dla niego przygotowali, jedno uznał za ważne:

„Lubisz kłamać?”

„Tak” - brzmiałaby szczerza odpowiedź.

Zasadniczo Dietrich Fest jadał lunch przy stoisku z zupami na drugim końcu Tu Do Street, wielkiej alei kilka przecznic od Continentalu. Na kolację wybierał lepsze miejsca, w żadnym nie podawano niemieckich potraw, choć jedzenie było na tyle dobre, że martwił się o swoją wagę. Poznał już wszystkie restauracje, do których mógł dojść pieszo. Nie lubił taksówek. Swobodnie radził sobie z chłopakami od riksza.

Tylko raz wykorzystał skrzynkę kontaktową w toalecie Green Parrot - żeby podać lokalizację następnej skrzynki. Wybrał restaurację po drugiej stronie skweru od Continentalu, skąd mógł obserwować wchodzących i wychodzących ludzi. Tylko major Keng korzystał ze skrzynki.

Powiedział kierownictwu hotelu, że ma za mały pokój, przenieśli go więc na zachodnią stronę, gdzie popołudniami było więcej słońca. Pierwszej nocy nastawił klimatyzację na maksimum i rano stwierdził, że urządzenie pracuje z wysiłkiem, a otwory zapchane są lodem. Poszedł na dół ze skargą. Pojawili się dwaj robotnicy i oznajmili, że jeśli nastawi regulator na średnią temperaturę, lód się stopi i praca maszyny będzie skuteczniejsza. Opuścili pokój, rozmawiając ze sobą w języku, który wydał mu się nosowy, przenikliwy, szorstki, coś w rodzaju bzyzcącego pisku.

Planował spędzić w Sajgonie dwa tygodnie. Był tu prawie dwa miesiące.

Co kilka dni chodził do kierownika i podawał pretekst do przeniesienia do innego pokoju.

Jego cel wynajął pokój w mieszanej chińsko-wietnamskiej społeczności na skraju dystryktu Cho Lon.

Po drugiej stronie ulicy naprzeciwko miejsca akcji znajdował się pojedynczy sklep, w którym handlowano materiałami, a może też szyto damskie ubrania. Poza tym były tam budynki z zamkniętymi drzwiami i zaułki, w

których hałaśliwe kobiety i dzieci najwyraźniej spędzały większość życia: skrzynie zamiast stołów, pudła jako krzesła, dymiące hibachi, przeciekające drewniane wanny i sznury z praniem. Fest jakiś czas obserwował, ale nie było tam żadnej kawiarni, nic nie dawało pretekstu do jego obecności. Stał koło sklepu, jakby na kogoś czekał.

Wejście do hotelu pasowało do innych drewnianych drzwi na tej ulicy. W sąsiednim budynku właściciel prowadził interesy w oszklonym biurze na parterze i pilnował pokoiów na górze. Major Keng nazwał tego człowieka „kłopotliwym agentem”. Samotny, paląc papierosa w nastroju czulej introspekcji, kłopotliwy agent siedział między dwoma elektrycznymi wentylatorami ustawionymi na kontuarze tak, by nie rozwiewały dokumentów. Fest mógł tylko domyślać się jego profesji: prawnik, bukmacher, lichwiarz, ponieważ wypisana była chińskimi znakami na oknie. Podczas gdy Fest obserwował z drugiej strony ulicy, pojawił się mężczyzna z kartonową aktówką pod pachą. Usiadł naprzeciwko kontuaru ze ściśniętymi kolanami, po czym zaczął podawać jeden po drugim dokumenty.

Po dziesięciu minutach Fest poczuł się niepewnie i odszedł.

Przy czwartym spotkaniu Fest ustalił, że komunikacja z Amerykanami odbywa się tylko w jednym kierunku. Przypuszczalnie przerwano wszelką komunikację. W każdym razie major Keng nie dysponował żadnym sposobem powiadomienia Amerykanów o problemach Festa. Albo też Keng po prostu nie przejmował się operacją.

- Nie podoba mi się scenariusz. Za wiele w nim przypadkowości.
- Problemy są zawsze.
- Poszedłem obejrzeć lokalizację. Bardzo trudna. Nie jestem w stanie przeprowadzić obserwacji. Na ulicy nie ma kawiarni ani pokoiów do wynajęcia, gdzie mógłbym się ulokować. Nie mogę być pewien terenu.

Major zmarszczył czoło.

- Panie Reinhardt, *parlez-vous français?*
- Nie.
- Pański angielski nie jest dla mnie zbyt jasny.
- Kiedy wejdę do pokoju, muszę mieć pewność, że jest sam.
- Jest sam. - Major się uśmiechał. - Nie ma broni. Został przyprowadzony w to miejsce przez kontakt, któremu ufa. Nie ruszy się stamtąd, dopóki mu nie powiedzą. Ten kontakt dał nam klucze. Jeden do drzwi od ulicy, drugi do pokoju.

- W takim razie proszę mi dać te klucze.
- Będzie lepiej, jeśli dam je panu za cztery dni.
- Ma pan te klucze?
- Będę miał za cztery dni.
- Kiedy jest termin finalizacji?
- Za tydzień od dzisiaj.
- Może pan umieścić kogoś, żeby obserwował miejsce? Musimy być pewni, na czym stoimy.
- Co ma pan na myśli? On nie może wyjść. To jedyne miejsce bezpieczne dla niego. Wierzy w to. Może pan być pewien.

Mały brunatny błazen. Mówisz mi, żebyśmy wszedł przez zamknięte drzwi z bronią w rękę i był pewien.

- Mogę coś zaproponować?
- Naturalnie, panie Reinhardt.
- Chciałbym go zabrać z pokoju, wyprowadzić na dwór.
- Zabrać go? Planuje pan porwanie?
- Niech pan go wezwie na spotkanie w miejsce, które możemy obserwować. Może kontakt da radę to zorganizować. Będziemy obserwować przed spotkaniem, wtedy wiemy, na czym stoimy.

Major ściągnął usta, jakby rozpatrywał różne kąty widzenia.

- To chyba utrudni sprzątnięcie.
- Miejsce trzeba uprzętnąć?
- Nie pan, panie Reinhardt! Wszystko jest na swoim miejscu. Wszystko jest na miejscu, panie Reinhardt.
- Mówi pan, że jest za późno na zmianę planów.
- Będziemy kontynuować z całym przeświadczeniem.

W drodze do swojego hotelu zatrzymał się przy stoisku na skwerze i nie targując się o cenę, kupił wielki angielski słownik liczący mniej więcej dwa tysiące stron. W recepcji Continentalu poprosił o wyjęcie swoich cennych rzeczy z sejfów i recepcjonista przyniósł mu torbę podróżną Vietnam Air Lines. Na górze wyjął sprzęt z torby i bardzo głośno nastawił radio. Była druga po południu, amerykańska stacja wojskowa nadawała informacje o bliskiej podróży na Księżyc. Umocował tłumik na lufie, położył słownik w wannie i strzelił do niego cztery razy z odległości jednego metra.

Pierwsza nietknięta stronica nosiła numer 1833. Tak jak się spodziewał, z bliska broń spowoduje ranę wyjściową. Kolejne bzdury. Prosiłem o dwudziestkę dwójkę, a daliście mi haubicę. Nie mogę zadzwonić do Berlina,

choć astronauta wybierają się na Księżyc.

Telefony działały, dodzwonił się, ojciec nie żył.

Dwa lata czekał, by to usłyszeć, ale wiadomość kompletnie go oszołomiła. Staruszek pokonywał oddech za oddechem tak wiele chorób, że wydawało się niemożliwe, iż kiedykolwiek się zatrzyma. Nie zmogło go nic konkretnego. Umarł w szpitalnym łóżku podczas drzemki po śniadaniu. Przez telefon matka wydawała się zmęczona, ale poza tym nieporuszona tym zdarzeniem.

Zadzwonił także do Dory i załamał się, z płaczem mówiąc jej o śmierci swego ojca.

- Niedługo znowu zadzwonię. Telefony działają. - Musiało zabrznieć to tak, jakby dobra wiadomość o telefonach złamała mu serce.

Ponieważ chiński właściciel biura podróży prowadził ten czteropokojowy hotelik, Trung założył, że korzystają z niego chińscy biznesmeni.

W dzień na ulicy panował hałas, ale po dziewiątej, dziesiątej wieczorem było dość spokojnie: odległy szum samochodowych silników, odległy warkot myśliwców, bliższy ryk krążących nad samym miastem helikopterów. Nigdy wcześniej nie mieszkał w wynajętym pokoju w mieście. Dysponował kluczem do głównego wyjścia i kluczem do swoich drzwi, oba sznurkiem przy-mocowano do kawałka drewna z wydrapanym numerem 1.

Drzwi z ulicy otwierały się na wąską klatkę schodową prowadzącą na wąski korytarz z wysokim sufitem, gipsowymi ścianami, dwoma pokojami po obu stronach i łazienką na końcu: umywalka, wanna, toaleta splukiwana, kiedy pociągnął za sznurek. Rano słyszał tupot nóg na korytarzu, szum odkręcanej przez sąsiadów wody, szuranie i plucie w łazience, nocami słyszał, jak człowiek w sąsiednim pokoju kaszle i człapie od łóżka do okna, by spluć do zaułka.

W hotelu była elektryczność. Na końcu klatki schodowej, a także w suficie łazienki wisiały jarzeniówki, które paliły się przez całą noc, ale w jego pokoju nie było prądu. Miał butanową lampę, cienki materac na bambusowym stelażu, półokrągłą moskitierę i mały kwadratowy stół, na którym stała lampa, zapalniczka i wielka muszla pełniąca funkcję popielniczki.

Co wieczór kupował kolację w kawiarni na sąsiedniej ulicy i przynosił je-dzenie, by wystarczało mu na następny dzień. Hao dał mu pieniądze i powiedział, by jak najwięcej czasu spędzał w pokoju, aż Amerykanie, przypuszczalnie

za mniej więcej tydzień, zrealizują ustalenia. Ale on musiał codziennie wychodzić na dwór. Nie zamierzał się tego pozbawiać. Był w Sajgonie od czterech dni.

Nie trzeba było mu mówić, żeby schodził wszystkim z drogi. Gdyby ktoś go rozpoznał, byłoby po nim. Aparat partyjny wiedział, że na kilka dni pojechał do rodziny w Ben Tre z okazji święta Tet; teraz nie kontaktował się z nimi od ponad dwóch miesięcy. Takiej nieobecności nie da się niczym wyjaśnić, żadne kłamstwo nie uratuje go przed „obróbką”: wielogodzinnym zebraniem, aż nie tylko wszyscy obecni w sali, ale i on sam uwierzy, że dopuścił się występku, i zażąda dla siebie kary. Musi się upewnić, że Amerykanie rozumieją ten problem. Może Amerykanie znają innego zdrajcę z Wietkongu, który potrafiłby wysmażyć odpowiednią historyjkę (nie potrafił sobie wyobrazić, co by to było, nagła choroba albo poważna rana) i usprawiedliwić jego nieobecność.

Dzisiaj nie wezmę ryżu. Makaron, jeśli wciąż mają sos hoisin. Wczoraj mieli, ale zużyłem resztę.

Te ostatnie kilka tygodni, które spędził najpierw w pokoju nad kawiarnią nad Mekongiem, teraz w pokoju nad biurem podróży, były czymś w rodzaju uwięzienia, ale na szczęście w warunkach bardzo odmiennych od prawdziwego więzienia. W celi w Con Dau spał na kamiennej podłodze z kilkunastoma innymi ludźmi, czasami na betonowej płycie, do której przykuto mu nogi. Strażnicy krążyli po krzyżujących się na górze pomostach, czasami oddawali moc przez kratki, czasami wylewali pomyje. Sama cela miała długość prawie dwóch mężczyzn leżących jeden za drugim i o połowę mniejszą szerokość. Więźniowie opiekowali się sobą wzajemnie, nic z wyjątkiem śmierci nie mogło oddzielić ich od sprawy. Potem nastąpił koniec Francuzów, wyzwolenie, rejs na północ, kolchoz: obywatele Kolektywnej Przyszłości byli zawsze spięci, czasami wybuchali, żyli w głupocie, gniewie i poddaństwie. Obywatele przyszłości niewiele mogli mu powiedzieć. Był starszy i w drodze do nich przeszedł przez Trzy Bramy, więzienie, krew, wyrzeczenie, a każdy etap pogrążał go bardziej w kłamstwie, które ich wszystkich osaczyło. I wreszcie ostatnia brama, ta bez numeru: donosy na przyjaciół i krewnych, brama do prawdziwego uwięzienia. Kiedy dodasz do tego swoją krew, siłę, dni, należysz do sprawy. Ale najważniejsza jest zdrada.

Najszczęśliwsze dni swego życia spędził, schodząc z góry Troung Son, kierując się ku domowi w dobrej pogodzie po tygodniach wspinania się na północne zbocze w deszczu, po zarazie, która o mało go nie zabiła, po obozach

dla dezertorów dygoczących z gorączki, po mogiłach usypanych z kamieni i najeżonych kadzidelkami albo usypanych z ziemi, którą głodne tygrysy rozrzuciły, by dostać się do zwłok. Teraz miał przed sobą łatwą podróż w dół ku Ben Tre, płuca pełne zapachu południa, promienie słoneczne padające smugami przez baldachim dżungli i kwiaty, których nazwa brzmiała tak samo jak imię jego matki. Wkroczyłem jednak do krainy, w której moja matka była martwa, a wszyscy inni udawali, że żyją. Nogi przeniosły mnie przez górę, ale nigdy nie wróciłem do domu.

Zdrada napędziła tamtą podróż. Zdrada zaprowadzi go z powrotem.

Ubrany tylko w oliwkowe spodnie kąpielowe Sands siedział w wiklinowym fotelu na tylnym ganku, czując wiatr od strumienia, popijając napój przyrządzony z cukru, mleczka kokosowego oraz składników, których przypuszczalnie wolałby nie znać. Kręciło go w żołądku od dymu palonych śmieci i odoru strumienia, ale owady doprowadzały go do szaleństwa. Piskliwe cykady. Małe skrzydlate stworzonka objijające mu się o twarz.

Usłyszał samochód jadący podjazdem i rozpoznał silnik wojskowego dżipa.

Od jego ucieczki minęły cztery dni i aż do teraz nikt się nie pojawił. Młyny bogów mieli powoli. Albo też uświadomili sobie, że uciekł bez planu, bez pieniędzy, że skoczył z okna w dziką noc i co - błąka się w mroku, czeka, aż go zaarrestują.

Kiedy usłyszał pisk hamulców dżipa, wstał i wszedł do domu.

O tej porze dnia, w tym upale, Skip rozwieszał moskitierę na szeroko otwartych frontowych drzwiach. Patrzył teraz przez siatkę, jak Jimmy Storm w mundurze polowym i brązowym T-shircie otwiera niską furtkę i wchodzi po schodach.

Sands odsunął moskitierę dla gościa, po czym wypuścił ją z dłoni.

Storm przyciskał do piersi stos korespondencji. Nie przywitał się.

- Voss już nie bierze udziału.
- Słucham?
- Nie wykonał misji.
- Mówisz, że on co, że on...
- Opisany i zapakowany w worek. Już po nim

Storm wolną dłonią mocno uderzył Sandsa w splot słoneczny. Płuca Skipa się opróżniły, krtań zacisnęła, mdłości go oślepiły. Opadł na kolana, a potem na bok, głową waląc w kafelki podłogi.

Częściowo odzyskał przytomność, znowu zaczął oddychać. Storm szturchnął go w ucho stopą w płóciennym butcie.

- Mógłbym kopnięciem rozwalić ci głowę, wiesz o tym?
- Wiem - zdołał wykrztusić Sands.

Po kolei rzucał przedmioty na twarz Skipa, czytając na głos tytuły:

- Oto twój „Newsweek”. Oto twój „Time”. A to co? Kurewski „Sport Illustrated”.

- Storm...

- Przez ciebie tkwimy w szczelinie. Przez ciebie ledwo możemy się ruszyć, kurwa.

- Storm, porozmawiajmy.

- A co skłania cię do przypuszczeń, że chciałbym z tobą rozmawiać? Dlaczego myślisz, że będę dyskutował o grze z dekwonikiem skulonym jak płód na ziemi? Tego cię nauczyli na kursach walki bez użycia broni?

Prawdę mówiąc, uczestnikom kursów radzono, że kiedy napadnie ich banda, mają owinać szkielet wokół najważniejszych dla życia organów i „modlić się o kawalerię”. Ale nie w sytuacji, kiedy znokautował cię samotny napastnik. Człowiek całym ciałem wsparty o podłogę może zyskać przewagę nad człowiekiem balansującym na jednej nodze, bo drugą wymierza kopniaka, tak głosiła mądrość. Sands nie miał ochoty sprawdzać jej w praktyce.

- I nie mów, że zrobiłeś, co musiałeś zrobić. To brednie. Powiedz, że zrobiłeś, co zrobiłeś. Po prostu powiedz, że to zrobiłeś.

- Nic o niczym nie mówiłem - odparł Skip.

- Ty i ja musimy pogadać na jakimś innym poziomie, stary, ponieważ w dół nie zejdziesz. Nie zejdziesz w dół. To właśnie się dzieje. Kurwa. - Mówiąc, kopnął Sandsa w głowę.

- Skończyłeś? Wolałbym, żebyś skończył.

- Taa. Skończyłem. Nie, jeszcze nie. - Dwukrotnie kopnął Sandsa w żebra.

Odwrócił się, doszedł do drzwi i zawrócił.

- Naprawdę sądzisz, że mnie to, kurwa, obchodzi? Przegrywamy tę wojnę i co z tego? Czy małe dzieci w Ameryce będą chodziły do liceum imienia Wuja Ho i uczyły się na pamięć mowy pierdolonego Lenina z Gettysburga? Żółtki będą gwałciły nasze kobiety na ulicach? Nie, kurwa. To wszystko jest jedna wielka kupa gówna, stary. Przegramy czy wygramy, nic nam nie będzie. Ale my jesteśmy tutaj. Ty, ja i te inne dupki. Musimy zająć się naszymi pojebanymi sprawami. Więc czemu nie, kurwa? Najważniejszy

powód, który się pod tym kryje, brzmi następująco: „Pierdolić to, po prostu to zróbmy”. Albo to rozumiesz, albo nie.

- Taa. To w przybliżeniu teoria mojego wuja.
- Pułkownik żyje.
- Tak?
- A nie?
- Nie.
- Tak, skurwysynie.
- Gównno.
- Tak, ale ty tego nie łapiesz. Właśnie to napędza reaktory. Aromat gówna.

- Pozwolisz mi wstać?

Storm usiadł na kanapie. Ciężko dyszał.

- Dobrze, będę sobie tu leżał. Jestem zmęczony.
- Rozwalasz to, co robimy. Dla ciebie Op Psy to kaszka z mleczkiem. Mówię ci, stary, od tego zależy wygrana albo przegrana. Jej miejsce jest w królestwie bredni. Nieistotne, jak mocno skopiemy im dupy na polu bitwy albo oni nam, kurwa.

- Pułkownik nie żyje.
- Taa, jesteś dekonnikiem - powiedział Storm. - Leżysz tu zwinęty w kłębek jak ziarenko kukurydzy w swoim małym łonie. Ty zdrajco pojebańcu.

Bolesnymi etapami Sands podniósł się na nogi, powłókł do fotela i znowu padł.

- Jak się czujesz, Skipper? Gówniano, mam nadzieję.
- Jimmy.
- Taa.
- Rick Voss nie żyje?
- I to bardzo.
- Czy ty... Ty zabiłeś Ricka Vossa?
- Nie, skurwielu. Wietkongi zabiły Ricka Vossa. Zestrzelili jego helikopter. Tak myślą. W każdym razie spadł.
- I Rick Voss nie żyje?
- Wszyscy na pokładzie. Puf.
- Co on robił w helikopterze?
- Swoim zwyczajem pałętał się bez sensu.
- Jezu Chryste. Miał żonę i dzieci.

- No to już nie ma. Bardzo szybko zajmie się nimi inny facet. Tak to idzie.

Skip pamiętał, że Voss miał córeczkę. Wziął ze stolika swój kokosowy napój i przycisnął zimną szklankę do pulsującego policzka.

- No więc, mały Skippy, gdzie byłeś w zeszły czwartek?
- W Sajgonie.
- Gdzie jeszcze?
- Badano mnie na wariografie.
- Jasne, na pewno.

Sands pochylił się. W szufladzie komody na piętrze miał swoją beretkę kaliber 22; poczuł impuls, chwilowy, acz nieodparty, żeby pójść po nią i strzelić Jimmy'emu Stormowi prosto w twarz. Kiedy ów impuls minął, ogarnęła go słabość granicząca z paralizem. Ujął twarz w dłonie.

- Słuchaj, zabierasz się stąd czy nie?

- Tak, zaraz. Przyjechałem, żeby ci powiedzieć, że karma zmieniła twojego dobrego kumpla w zupę.

- Jezu Chryste. Biedny Voss.

- Taa. Biedny Voss. Żałuję, że nie mogę powiedzieć o tym jego żonie. Mam nadzieję, że miał piękne dzieci. Mam nadzieję, że myślał o nich, kiedy spadał.

Nagle Sands złapał kilka kostek lodu ze swojego napoju i rzucił mu twarz.

- A, cholera - powiedział Jimmy. - No, dalej, rzuć więcej. - W jego oczach malowało się błaganie o karę. - Jak pierwszy raz cię zobaczyłem, pomyślałem: ten facet jest kurewsko nijaki. Przesiewa popielniczki w poszukiwaniu petów. Ma wygląd w rodzaju „jak mam się dobrać do twojego portfela?”. Wybrał się tu na dziecinną przygodę. Bawi się w Szpiegów i Komuchów. Przyjechałeś, żeby robić zamęt i popisywać się swoją kurewską gorącą różdżką.

- Chciałbym, żebyś sobie pojechał, jeśli skończyłeś wdeptywać mnie w ziemię.

- Wdeptywać? Pierdol się. W tej chwili pułkownik jest torturowany. W tej chwili łamią mu wszystkie kości.

- Jimmy. A niech to szlag. Daj spokój.

- Pamiętasz, jak załatwił Japońców w czasie drugiej wojny, stary? Udawał martwego, kurwa.

- No i dobrze, utrzymuj legendę przy życiu.

- Nie jestem żadnym kurewskim głosem rozsądku. Wchłaniam gównem, przetwarzam je, wyczuwam fakty. Intuicyjnie. Coś się dzieje.

- Jimmy, pułkownik nie żyje. Wszystko się rozpadło.

- Co mówił? Co powtarzał nam tysiąc razy? „W jaki sposób możemy wiarygodnie przekazać fałszywkę w ręce wroga? Dokładnie mówiąc w ręce wujka Ho?” Scenariusz pierwszy: poprzez podwójnego agenta, który rzekomo kradnie podrobione dokumenty. Scenariusz drugi: przez podstawienie prawdziwego, żywego Amerykanina, który pozwala się pojmać. Ale jego ulubionym pomysłem było wykorzystanie obu tych scenariuszy. Jeśli informacja pochodzi z dwóch oddzielnych źródeł, jej wiarygodność wzrasta.

- Jimmy, skup się.

- Nie, stary, za dużo w tym sensu. To jest za bardzo uporządkowane, wyłożone jak na talerzu. Spreparował tę informację i nic nam nie powiedział. Prowadzi misję, a my nic nie możemy, kurwa, zrobić. Nie możemy mu pomóc. Dzieje się coś niezapowiedzianego, bardzo niezapowiedzianego. A my jesteśmy czarnuchami.

- Dlaczego miałyby to zrobić, nic nam nie mówią?

- Dlaczego? Bo ty jesteś kabel. Dekownik. I pedał. Powiniennem cię wypierdolić.

- Skup się wreszcie. Kto ci powiedział, że po mnie przyszedli?

- Wiem różne rzeczy.

- Powiedział ci Hao.

- Pierdol się.

- Storm, to Hao. To Hao.

- Co?

- On jest kapusiem. Zdrajcą. To Hao.

- Pierdol się. To ci się udało.

- Jimmy, to Hao.

- Uważaj na swoją karmę. Strzeż się swojej karmy. Patrz, jak powoli zżera cię od stóp, skurwielu.

- W Szkole Językowej badali mnie wariografem. Hao tam był.

- Brednie. - Storm przez chwilę zdawał się zastanawiać nad słowami Skipa. - Brał w tym udział?

- Nie, ale widziałem go w holu.

- Może się tam uczy.

- W piwnicy mają swój posterunek. CBR albo ktoś inny. Hao przeszedł obok drzwi, kiedy tam siedziałem. Chcieli, żeby go zobaczyć.

Storm przez kilka sekund przypatrywał mu się uważnie. Ludzki wariograf.

- Co ci mówiłem? To wojna rock and rollowa. Skurwysyny tego nie rozumieją. - Wstał i koszulą otarł twarz, odsłaniając czerwone nogi i zieloną spódniczkę tancerki hula wytatuowanej na jego piersi. - Kurwa, kurwa, kurwa.

- Zostaw Hao w spokoju. On tylko chce żyć.
- Taa. Kurwa. To miejsce jest Disneylandem na kwasie. Brałeś już to gówno? Kwas?
- Jeszcze nie miałem przyjemności.
- Trzymaj się od tego z daleka. Jesteś za słaby.

Znał lokalizację. Miał do niej dostęp w postaci dwóch kluczy. Miał broń, rozkład zajęć i kryjówkę na wypadek nieprzewidzianych okoliczności. Brakowało mu rzeczy, której najbardziej potrzebował.

Nie miał zespołu. Zbyt wiele mu zostawiono. Musiał obserwować skrzynkę kontaktową, ponieważ nie ufał swoim zleceniodawcom, musiał w miarę możliwości obserwować miejsce akcji. Nawet gdyby mógł się roztroić, odbyte przez niego pobieżne szkolenie w obserwacji pewnie by nie wystarczyło. Mówiąc po prostu, był „człowiekiem pociągającym za spust”. Obsługiwał broń.

Obiekt spędził niemal tydzień w podanej lokalizacji. Fest zakładał, że o ile obiekt nie dostaje jedzenia do pokoju, wcześniej czy później będzie musiał wyjść i przypuszczalnie zrobi to o zmroku. Tak czy owak wieczór był jedyną porą do obserwacji. Cień pomiędzy cieniami. Poprzedniego wieczora nic się nie stało, w każdym razie nie do dziesiątej, kiedy Fest opuścił posterunek. Dzisiaj przyszedł nieco wcześniej, o zachodzie słońca; krążył po przeczniczy, czekając na mrok, który ukryje stojącą postać.

Zmierzch nie miał większego wpływu na życie w zaułku. Jeśli już, to dzieci wrzeszczały głośniejsze, a mężczyźni, ponuro lub obojętnie powracający z miejsc, w których spędzili dzień, swoją obecnością prowokowali tylko kobiety do bardziej piskliwych krzyków. Fest tęsknił za swoją relatywnie cichą rodziną. Dora mówiła za dużo, Claude przypuszczalnie wygadywał bzdury, ale nie głosem rywalizującym z miejskim ruchem ulicznym. Fest tęsknił za rodziną. Dlaczego nie? Śmierć staruszka wprawiała go w nastrój sentymentalny i filozoficzny. Na początku wiadomość głęboko nim wstrząsnęła, choć szybko pogodził się z długo oczekiwaną stratą. Po kilku dniach,

gdy Fest uświadomił sobie, że ojciec nadal nie żyje, smutek przypuścił kolejny atak. Jakby jakaś część jego osoby wierzyła, że ojciec może umrzeć, a później odwiedzić go i porozmawiać o tym.

Zdecydował, że nie będzie traktował tej operacji jako czegoś w rodzaju sentymentalnego pomnika na cześć antykomunizmu ojca. Operacja przygotowana równie nieprofesjonalnie, najeżona zbędnym ryzykiem stanowiłaby dziwaczne upamiętnienie człowieka, który wyraźnie postrzegał swój obowiązek i dostosował do niego życie.

Kiedy po raz czwarty okrążając przecnicę, wyszedł zza rogu, zobaczył mężczyznę opuszczającego hotel.

To musi być obiekt. Inni, których widział, ubrani byli w zwykłe spodnie i koszule albo, jak w przypadku paru starych mężczyzn, w długie tuniki i luźne spodnie Chińczyków z historyjek rysunkowych, a co ważniejsze, szli tam, gdzie chcieli, przechodzili przez ulice, jeśli na tym im zależało, zachowywali się swobodnie. Ten człowiek natomiast miał na sobie dzinsy i T-shirt i trzymał się blisko murów, w cieniu. Kiedy skręcił za róg, Fest ruszył za nim. Obiekt szedł prostopadłą ulicą, Fest przyspieszył więc kroku. Zdążył zobaczyć, że na jej końcu obiekt skręca w prawo. Pobiegnął truchtem, sam teraz też trzymał się cieni.

Skręciwszy, znowu zwolnił. Mężczyzna wyprzedzał go o ledwo dwadzieścia metrów. Wszedł w oświetlone drzwi. Fest minął to miejsce i zobaczył, że obiekt siedzi przy stoliku w kawiarni i rozmawia z papasanem. Doszedł do skrzyżowania, zawrócił i znowu minął kawiarnię. Mężczyzna na stoliku miał miskę, pałeczki i czajnik.

Fest pośpiesznie doszedł do skrzyżowania, skręcił w lewo i zaczął biec. Klucze miał w kieszeni.

Na końcu przecznicy przeszedł na drugą stronę ulicy, stanął w cieniu i przyglądał się oknom na piętrze hotelu. Z tej strony żadne nie było oświetlone. W oddali pomarańczowe race znaczyły niebo. Co nocy odbywało się to samo przedstawienie, rodzaj parodii zorzy polarnej. Warkot helikopterów i silników odrzutowych zbliżał się i oddalał. Z bardziej zatłoczonych ulic dobiegał miejski szum. Minęło go kilku riksarzy i pieszych, ale na całej przecznicy z wyjątkiem krzykliwych zaułków panował większy spokój niż w innych częściach Sajgonu o tej porze.

Z kabury ukrytej za koszulą wyjął pistolet i umocował na lufie tłumik, który miał w kieszeni spodni. Teraz broń nie była mu potrzebna, ale jutro wieczorem, idąc z tego miejsca, będzie ją trzymał w dłoni. Pocił się obficie.

Jutro wieczorem zabierze dwie chusteczki, żeby porządnie wytrzeć ręce, zanim zajmie się bronią.

Trzymając broń w prawej, lewą ręką włożył klucz w zamek. Wybrał właściwy. Schował klucz do kieszeni i wszedł do środka, drzwi zamykając tylko na klamkę. Wąskie schody oświetlone nagą, poznaczoną przez owady jarzeniówką prowadziły na piętro. Fest nacisnął przełącznik po swojej lewej, powodując kilka sekund kompletnej ciemności, i zwolnił palec. Światło, migocząc, zapłonęło. Z kieszeni na piersi wyjął drugi klucz i ruszył po schodach, nie próbując tłumić kroków, jakby był jednym z lokatorów. Wsunął klucz do zamka pierwszych drzwi po prawej. Otwierały się do środka na prawo. Pchnął je mocno, a sam cofnął się w bok, broń trzymając w pogotowiu. W środku było ciemno, tak jak się tego spodziewał. Z pokoju nie dobiegał żaden dźwięk. Jedyne okno wychodziło na ścianę sąsiedniego budynku.

Otworzył drzwi i zamknął. Górne zawiasy zapiszczały, gdy drzwi miały sześćdziesiąty stopień łuku. Zamkowi także przydałoby się trochę oliwy, ale Fest nie pomyślał, żeby ją ze sobą zabrać - nie wiedzieli, że jest tylko człowiekiem od spustu?

Zostawiając drzwi otwarte, wszedł do środka. Bez światła padającego z korytarza będzie tu kompletnie ciemno, ale jeśli chce sfinalizować operację, musi zgasić jarzeniówkę, zanim tu wejdzie. Po obu stronach drzwi poszukał na ścianie kontaktu - bezskutecznie. Wsunął pistolet do kabury i z kieszeni koszuli wyjął latarkę. W jej świetle przekonał się, że na ścianie nie ma kontaktów, a na suficie lampy.

Wąskie łóżko z moskitierą, stolik z latarnią i wielką muszlą. Na podłodze obok stołu leżały poskładane dzinsy i T-shirt, a także plecak, który szybko przeszukał: dwie książki, bokserki. Fest podniósł cienki materac i przez szeroko rozstawione deski na ramie upewnił się, że na podłodze pod nim nic nie ma. Położył się na boku, by latarką oświetlić boczne krawędzie desek i stołu - w żadnym z tych miejsc także nic nie ukryto. Wstał.

Okrążył pokój, przesuwając dłonią po gipsowych ścianach i szczególnie bacznie przyglądając się podłodze w poszukiwaniu luźnych desek.

Dolną część okna podniesiono, ściana sąsiedniego budynku była tak blisko, że mógłby jej dotknąć. Bóg wie, co zamieszkiwało wąską przestrzeń pomiędzy. Wysunął dłoń i pomacał pod parapetem. Nic nie przymocowano na zewnątrz, nie było żadnej niszy.

W tym pokoju na pewno nie można było ukryć broni. Albo obiekt nosił ją przy sobie, albo żadnej nie miał, jak zapewnił major Keng. Jeśli chodzi o improwizację - gdyby obiekt się obudził, mógłby wykorzystać stolik albo muszlę, która najwyraźniej pełniła funkcję popielniczki.

Z naciskiem zapewniano go, że ten człowiek jest nieuzbrojony. Każdy jednak może kupić nóż. Albo nosić kawałek liny do wykorzystania w charakterze garoty.

W świetle latarki dokładnie zbadał materac. Na jednym końcu był odbarwiony, przypuszczalnie w miejscu, gdzie spoczywała głowa.

Tak jak widział to Fest, problem tkwił w tym, że człowiek rozważny, dodatkowo przewrażliwiony z powodu napięcia i stresu, obudzi się przy najbliższym szmerze, skoczy z łóżka i będzie gotowy na wszystko.

Wejście przez drzwi to czyste szaleństwo. Zakładając, że zdoła bezszeltnie pokonać schody, i tak zbyt wiele zależało od tego, czy obiekt będzie spał, kiedy Fest przekręci klucz w zamku.

Dlaczego nie zlikwidować go teraz?

Za dziesięć, piętnaście minut ten człowiek po skończonej kolacji wejdzie do pokoju. Fest mógłby go zabić i pójść od razu do Szkoły Językowej Sił Zbrojnych, by wyjaśnić, że zmuszony był improwizować. Przystosowanie i improwizacja, słowa klucze rzemiosła.

Dopóki jednak sytuacja tego nie wymaga, należy trzymać się planu operacji, choćby w przybliżeniu, choćby we fragmentach. Fest zawsze trzymał się planu. I do tej pory żaden plan go nie zawiódł.

Major Keng podkreślał, że akcja musi nastąpić jutro, dokładnie o drugiej w nocy. Godzinę później miejsce zostanie uprzątnięte, ciało usunięte. Najwyraźniej tę część ustalono, więc Fest musi uwzględnić ją w swojej pracy. Bardzo mu się nie podobało, że scenariusz skoncentrowany jest wokół operacji sprzątnięcia, a nie samego zamachu.

Przypuśćmy jednak, że dzisiaj wieczorem obiekt szybko zje kolację - przypuśćmy, że już skończył, przypuśćmy, że wszedł po schodach, wyobraźmy go sobie stojącego w progu - wówczas bym go zabił. A jeśli zdecyduję się poczekać piętnaście minut i właśnie tak się stanie? Co za różnica, czy moment wybrany został przez rozważne planowanie, czy wymuszony okolicznościami?

Znowu obszedł pokój, badając ściany i podłogę, świadom, że poświęca temu więcej czasu niż trzeba, prowokując zmianę planu, rzucając wyzwanie

losowi, losowi obiektu. Ale ten człowiek się nie śpieszył, przypuszczalnie ciesząc się każdą chwilą wycieczki - kto zachowałby się inaczej? - dlatego po pięciu minutach Fest zamknął drzwi na klucz, po czym zszedł na dół, przyciskając broń do prawej nogi, tak jak będzie to robił jutro w nocy, i wrócił na ulicę. Schował broń i zamknął drzwi na klucz, nie oglądając się dokoła. Przeszedł na drugą stronę ulicy i czekał w cieniu sklepu z materiałami.

Po piętnastu minutach zobaczył, jak obiekt wraca drugą stroną i wchodzi do budynku.

Fest ponownie przeszedł przez ulicę i stanął w wąskiej przestrzeni między budynkami, by obserwować okno. Minęła niecała minuta od wejścia niskiego mężczyzny do hotelu, kiedy okno rozjarzyło się słabą poświatą od zapalanej lampy.

To było właściwe okno. Miał właściwego człowieka.

Załóżmy, że jutro wieczorem mężczyzna pójdzie na kolację i zginie natychmiast po powrocie zamiast o drugiej w nocy? Załóżmy, że ciało będzie leżało w pokoju przez kilka godzin, a nie sześćdziesiąt minut? Stężenie postmortalne może stwarzać problemy ekipie sprzątającej, choć Fest w to wątpił. Zyskiwał pewność sfinalizowania operacji dzięki tej zamianie, istniała bowiem różnica pomiędzy wchodzeniem do absolutnie ciemnego pokoju, w którym może stać się wszystko, a czekaniem w absolutnie ciemnym pokoju na człowieka, który sądzi, że nikogo w nim nie ma.

Jutro o tej porze Fest tu wróci. Jeśli mężczyzna wyjdzie, Fest powita go po powrocie.

Trung Than siedział na łóżku, dopijając ciepłą coca-colę. Nie mając zegarka, wiedział tylko, że minęła trzecia po południu. Do zmierzchu, który go uwolni, zostały dwie pełne godziny.

Usiłował siedzieć prosto na łóżku i zwracać uwagę tylko na swój oddech, wyłącznie na oddech.

Zachowywanie bezruchu, kiedy pragnę działać, i pozwalanie, by moje zniecierpliwienie zostało zmiażdżone, wywołuje dreszcze niemal zakazane z powodu towarzyszących im drobnych mdłości. Jak kradziona brandy. Jak wtedy, gdy Hao ukradł butelkę z chaty starca. Starzec ukrył ją w popiele, ponieważ jego żona umarła, a on nigdy dla siebie nie gotował. Zostało prawie pół butelki; wypiliśmy ją, nawet nie czyszcząc z sadzy, z czarnymi dłońmi i twarzami kroczyliśmy po obłoku, śpiewając cudowne piosenki. Mistrz się

śmiał. Zawsze nazywał mnie Mniczem. Był przekonany, że zostanę w świątyni.

W tamtych dniach wiedziałby, jak siedzieć nieruchomo. Nauczył się przeżywać sporą część każdego dnia w ciszy okalającej świat. Teraz świat żył w jego umyśle, kolonizował jego samotność niczym wirus, myśli się tłoczyły, niszczyły medytację i każda przebijała go na wskroś.

Próbował medytować, klęcząc na podłodze, ale to tylko spowolniło upływ czasu. Wciąż było jasno, wciąż dobrze przed piątą, kiedy usłyszał kroki na schodach i pukanie do drzwi. Przekręcił klucz, otworzył drzwi i zobaczył amerykańskiego sierżanta o ostrej, kociej twarzy.

- 007! Pamiętasz mnie?

Mówiąc, wszedł do pokoju. Trung cofnął się, ale nie zamknął drzwi, dopóki Amerykanin gestem nie kazał mu tego zrobić.

- Jak leci, bracie? Wciąż wesoło?

Trung przypomniał sobie, że to mister Jimmy.

- O, tak - mówił mister Jimmy - to jak skok w stos zdechłych pajaków. Ja to kocham.

Zakłopotanie kazało Trungowi uśmiechnąć się.

- Gdzie jest Hao? - Amerykanin spojrzał na zegarek. - Skurwiela tu nie ma, czy to jest wiadomość na dzisiaj? - Mister Jimmy zrobił cztery kroki do okna, położył dłonie na parapecie i wystawił głowę, by spojrzeć w wąską przestrzeń, za którą widać było kawałek ulicy. Odwrócił się do Trunga. - Ha, nie cierpię wywoływać negatywnych napięć. Na razie tego nie powiem, za to powiem co innego: że ten mały skurwiel tu nie przyjdzie. Co oznacza, że albo wpadliśmy w gówno częściowo, albo całkiem. Masz jeszcze jedną colę?

- Nie, dziękuję.

Mister Jimmy ponownie przeszedł przez pokój i usiadł przy drzwiach z plecami opartymi o ścianę, jedną nogą wyprostowaną i drugą zgiętą w kolanie. Najwyraźniej zamierzał zostać.

- Palisz?

- Lubię papierosa.

Sięgnął do kieszeni koszuli i zapalił, po czym rzucił Trungowi zapalniczkę i paczkę.

- Marlboro.

- Taa. Próbuję pomyśleć, więc się zamknij.

Trung wstał, zamknął drzwi na klucz i usiadł na łóżku. Popiół strzepywał do pustej butelki po coli.

- Jak wypalę tę ślicznotkę, będzie koniec. Muszę spierdalać albo zostanie nie wiadomo jak długo. - Sierżant zaciągnął się głęboko. - Kurwa. Zostaje nie wiadomo jak długo.

Skończyli papierosy w milczeniu. Trung wrzucił niedopałek do butelki, sierżant natomiast umieścił swój pod obcasem i zgniótł na podłodze. Dopiero teraz Trung uświadomił sobie, że nie zaproponował mu popielniczki i sam też z niej nie skorzystał.

- Posłuchaj, kolego. Hao to twój przyjaciel?
- Hao to mój przyjaciel.
- Dobry przyjaciel?
- Dobry przyjaciel.
- Prawdziwy przyjaciel? - Mister Jimmy mocno splótł dłonie. - Taki, który pójdzie za tobą do piekła?

Trung czuł, że chyba zrozumiał pytanie. Ściągnął usta, wyprostował ręce i wzruszył ramionami w sposób, jaki widywał u Francuzów.

Sierżant zerwał się, ale nie zamierzał opuścić pokoju. Podszedł do Trunga z paczką papierosów w dłoni i chorobą przerażenia w oczach.

- Podwójny agent? Co za kurewski żart. W tej kloace Wietnamu Południowego każda żywa istota jest podwójnym agentem.

Trung przyjął następnego papierosa, ale unióśł dłoń i pokręcił głową, gdy sierżant podsunął mu zapalniczkę. Położył papierosa na stole.

- Pewnie się domyślasz, że podciąłem gałąź, na której siedziałem. Obaj jesteśmy w tej samej sytuacji. Twoja jest identyczna. Muszę się zgodzić. Ale nadal wsłuchuję się w siebie, towarzyszu, ponieważ tylko to teraz się dzieje.

- Mister Jimmy, proszę mówić wolno.
- Znasz angielski?
- Trochę. OK.
- Nie porozumiewamy się. Brak komunikacji, kapujesz? Nie znam nazw w twoim języku. W przeciwieństwie do ciebie. Ty znasz nazwy dotyczące twojego miejsca pobytu. Nie rozumiesz natomiast, jak to wszystko dryfuje w regionie, który jest gruntownie odsunięty od praw naturalnych. To znaczy, wszystkie prawa obowiązują wewnątrz Wietnamu. Ale z punktu widzenia reszty Ziemi te prawa nie stosują się do Wietnamu. Jesteśmy otoczeni przez strefę albo stan dyslokacji, a ty w pewnym sensie przechodzisz

od znajomości tutejszych nazw do możliwości wyskoczenia z tej strefy. Wyszakujesz z otaczającej nas strefy i nie mogą cię dotknąć.

Trung słuchał uważnie, usiłując wyczuć tego człowieka. Znalazł w nim panikę i gniew.

- Co proszę?
- Kto nie może cię dotknąć?
- Co?
- Wszystko, co ma gówniane odciski palców, których smugi mogą na tobie zobaczyć, bo się świecisz jak pierdolony klaun Bozo, cel. Każda zła rzecz, kurwa. Więc wyskakuj z tej strefy, agencie dziewięćdziesiąt dziewięć. Zaraz się zacznie.

Trung wyczuwał strach i brawurę.

- No i pułkownik, proces, w porządku, jasne, jesteś uczestnikiem. Bierzesz w tym udział. W tym rzecz. Jesteśmy częścią tej całości. Pułkownik, człowieku. Pułkownik.

- Pułkownik Sands.
- Bardzo stuknięty Pułkownik-san. Szarpie za sznurki, a my tańczymy jak jednonogie kobiety.

- Okay - powiedział Trung bezradnie.

Sierzant złożył dłoń na kształt ust, szybko otwierając ją i zamykając. Przyłożył ją do ucha.

- Hao mi powiedział. Hao. Ktoś zabije Trunga. *Un homme. Assassinier.* Jeśli tak mówił Hao, można w to wierzyć.

- Dzisiaj wieczorem?

Sierzant wstał, podsunął Trungowi zegarek pod oczy i pokazał wskazówki.

- Druga rano.
- Druga rano.
- O ile ten mały zdradliwy skurwiol nie wystawił nas obu na cel całego oddziału. Ale nie zamierzam uciekać jak chomik po swoim kole czy - kurwa, tak, jestem, nie róbmy się wzajemnie w konia. Zostaję. Nie mam zamiaru płaść. Co będzie, to będzie. Patrzę na to jak na każde szaleństwo walące się na mnie, to musi być lekcja, stary, lekcja, którą chce mi dać jakiś przypadkowy pierdolony Hitler-Bóg. Dlatego to mi się nie podoba. Ponieważ nie lubię się uczyć, nie lubię szkoły, nie lubię lekcji. Idea dyscypliny przeraża mnie do szpiku kości i kurewsko wkurza. Ale Hao powiedział, że spotka się tu ze mną o czwartej po południu i da pieniądze, a okazało się, że łągał jak

pies. Hao jest nieobecnym skurwysynem. Hao nie jest niczym przyjacielem. Ten mały zółtek to prawdziwy demon. Złamałbym mu kark i wypierdoliłbym jego trupa, gdyby jego żony nie było w domu. Wiedział o tym. Tylko że sytuacja była poniekąd publiczna. Kurwa, ją też powinienem był załatwić... Taa. Więc to jest broń.

Uniósł koszulę i zza paska wyjął automatyczny pistolet.

- Przesyłka specjalna dla seniora mister Trunga.

Trung cofnął się i lekko uniósł ręce.

- Nie, stary, nie. Kurwa! Ucz się angielskiego, dobra? - Obracał pistolet w dłoniach. Vz 50 produkcji wschodnioeuropejskiej.

Znowu wystawił głowę za okno. Wsadził pistolet za pasek, zapalił kolejnego papierosa i wyrzucił zapalną za parapet.

- No dobra, kurwa, dobra - powiedział sierżant. - Posłuchaj, chciałbym zrobić zasadzkę na tego skurwiela na ulicy, ale nie wiem, kurwa, kto to jest. Nie będziemy wiedzieli, dopóki nie zapuka do drzwi. Błądzimy w ciemnościach. Normalna sytuacja. - Zaciągnął się i rozejrzał po pokoju, nie patrząc na nic w szczególności. - Nie ma poduszek, kurwa. Myślałem o poduszce. Kurwa! Nie masz poduszek?

- Mister Jimmy, proszę mówić wolno.

- Musimy załatwić to po cichu. Poduszki. Cicho. - Gestem pokazał broń szarpaną odrzutem, położył palec na ustach i szepnął: - Cii.

Więc nóż. Trung wyrzucił ku niemu zaciśniętą pięść.

- Gdzie twój sztylet, stary? Pokaż mi swój sprzęt.

Trung wzruszył ramionami.

Sierżant wygrzebał z kieszeni składany nóż.

- Ostrze ma jakieś dziesięć centymetrów. - Otworzył nóż. - Jest też łyżka i widelec, stary. Po wszystkim możemy go zjeść.

Trung wyciągnął rękę po nóż.

Położył go obok siebie na materacu. Znowu wyciągnął rękę.

- Broń.

Sierżant wyjął pistolet zza paska i podał mu z niejaką ulgą. Trung wysunął magazynek, opróżnił komorę i kciukiem wysypał pociski na materac: dziewięć okrągłych kul o średnicy 7,56 milimetra, licząc z tą z komory.

- To jest godna zaufania komunistyczna broń. Broń Wietkongu. Głupie pierdolce.

Domagał się dolców, pieniędzy? Trung postanowił, że wszelkie stwierdzenia, którym daleko jest do jasności, najlepiej ignorować. Siedząc na łóżku,

na nowo załadował magazynek, wsunął kulę do komory i zabezpieczył. Kiedy kurek z trzaskiem się zamknął, sierżant podskoczył z okrzykiem:

- A niech to kurwa!

Najwyraźniej nie miał pojęcia o zabezpieczeniu, co oznaczało, że broń do niego nie należała.

Trung wyjął magazynek i położył razem z bronią i komorą na pociski na stole.

- Cudownie. Sekrety urzędnika.

- Cicho - powiedział Trung, po czym spróbował po francusku: - *Silence*.

- Udało ci się. Kurwa, ale jesteśmy dwujęzyczni.

Trung podał sierżantowi pustą butelkę po coli.

- Nie na taki układ szedłem. Za bardzo pokręcone.

Trung położył broń na materacu, wziął nóż i wyciął w materacu dziurę długą na pół metra. Odłożył nóż, po czym zaczął wrywać kępki puchu i wpychać je do butelki, którą trzymał sierżant.

- Cisza.

Przez czterdzieści pięć minut przygotowywali tłumik, przymocowując go do łufy czterema kawałkami bambusa oderwanymi od ramy łóżka, kawałkami pościeli i moskitiery. Młody sierżant obficie się pocił. Zdjął swoją kwiecistą koszulę. Na piersiach miał wytatuowaną niesamowitą kobietę w spódnicy z trawy.

Położyli broń z tłumikiem na materacu. Przypominała wielki kokon, z którego wyłaniała się kolba pistoletu zamiast motyla.

Trung na wszelkie sposoby próbował wyjaśnić swój pomysł:

- Jedna cisza. Jedna. *Seulement*. Tylko raz.

- Rozumiem.

Trung ustalili, w jaki sposób skorzysta z broni, podtrzymując prowizoryczny tłumik dłonią owiniętą w T-shirt.

Będzie musiał to zrobić lewą dłonią. Ustawił się po lewej stronie drzwi plecami do ściany i ćwiczył sekwencję ruchów.

- Nieprzyjemny mały skurwiol z ciebie. Jezu Chryste. - Mister Jimmy wyglądał na podnieconego i szczęśliwego. Trung znał to uczucie, w młodości doświadczał go z wielką siłą przed każdą operacją. Nawet w tej chwili zapłonęły w nim drobne iskry.

Trung stał po lewej stronie drzwi z plecami opartymi o ścianę, lewą dłoń uniesioną, wyciągniętym palcem wskazującym.

- Ja. Ja. - Zrobił krok naprzód, obniżył palec na poziom, na którym powinna znaleźć się głowa człowieka, szarpnął nim raz i cofnął się o trzy kroki.

Powtórzył ruchy, celując we własne stopy i dokładając szczególnych starań, by sierżant dokładnie zrozumiał, co ma robić.

- Ty. Mister Jimmy. - Trung stanął po prawej stronie drzwi, lewą dłońią chwycił za klamkę i otworzył je, robiąc przy tym jeden krok, po czym stanął nieruchomo jak kamień. - *Arrêtez*. Stop.

Postawił sierżanta przy ścianie i kazał mu powtórzyć sekwencję polegającą na otwarciu drzwi, usunięciu się z linii ognia i znieruchomieniu.

- A niech to szlag - powiedział sierżant. - Będę musiał schlać się w trupa po tym kurewstwie.

Trung wzruszył ramionami.

- Człowieku, ja jestem myślicielem, nie zabójcą.

Zanim Trung rozpoczął szkolenie w zespole, raz jeszcze się upewnił:

- Ja... - Położył palec na skroni. - *La tête*. Jeden.

- Taa. *La tête*. Jeden strzał.

- Ty... - Otworzył drzwi.

- *C'est si bon*.

Trung przypuszczał, że gdyby nacięli krzyżyk na głowicy pocisku, zostałby w czasie i nie narobił bałaganu. Czy sierżantowi zależy, żeby nie zostały żadne ślady? Pytanie było zbyt skomplikowane, żeby zadać je pomrukami i gestami dłoni. Jeśli los pozwoli, zajmą się bałaganem w swoim czasie.

Czy mogę polegać na tym człowieku?

Na dnie serca Trung nie ufał sierżantowi. Jeśli Amerykanin nie zapanuje nad swoimi poruszeniami, istnieje spora szansa, że Trung wsadzi kulkę w człowieka, który przyszedł go uratować. Dopilnował, żeby sierżant na pewno wiedział, że otwierając drzwi, musi zrobić jeden krok i znieruchomieć.

Powtórzyli to razem. Storm otworzył drzwi, cofnął się, stanął jak sparaliżowany. Trung zrobił krok do przodu, pociągnął za cyngiel, zrobił trzy kroki w tył.

Usłyszeli, jak na dole otwierają się drzwi. Usta mister Jimmy'ego także się otworzyły. Trung spróbował uśmiechnąć się uspokajająco i wyszedł na korytarz.

Na dole schodów agent biura podróży, do którego należał budynek, wyciągał rękę do kontaktu. W holu zrobiło się jasno.

- Dobry wieczór – powiedział Trung. Tamten uniósł obie dłonie w geście powitania i pożegnania zarazem, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Zapał zmierzch. Trung położył pękatą broń na resztkach materaca, zapalił lampę i podkręcił syczący gas, tak że knot zapłonął białym ogniem.

- Mister Jimmy, ja idę.

Pomysł najwyraźniej głęboko zdumiał sierżanta.

- Ja wychodzę.

- Wychodzisz?

- Tak. Ja idę.

- A cóż takiego jest dzisiaj w nocy, stary? Turniej madżonga, którego nie możemy opuścić? Bo wiesz, to nie jest odpowiednia pora na wycieczki.

- Mister Jimmy. Ja jedzenie. Głód.

- Zostań tutaj, ja pójdę.

- Zostań tutaj, ja idę.

- Jezu Chryste.

- Wróć. - Trung ostrożnie wyciągnął rękę ku zegarkowi sierżanta.

Przesunął palcem po tarczy, zakreślając trzydzieści minut. - Wróć.

- To jakieś brednie.

- Nie, Jimmy. - Wzbierała w nim potężna frustracja. Po wietnamsku powiedział: - Muszę wyjść. Muszę pomyśleć. Muszę odetchnąć. Muszę iść. Muszę się poruszać. - Wziął pękatą broń, włożył magazynek, wsunął pocisk do komory, wyjął magazynek, załadował dodatkową kulą i ponownie włożył magazynek. Trzymając pistolet w obu dłoniach, podał go mister Jimmy'emu, który położył go na pokancerowanym łóżku, po czym wskazał swój zegarek.

- Trzydzieści minut?

- Ty czekaj.

Amerikanin wyjął z kieszeni portfel i dał mu kilka banknotów.

- Przynies papierosy. Marlboro. Prawdziwe marlboro.

- Ty czekaj.

- Prawdziwe marlboro. Nie przynoś podróbek.

- Marlboro - zapewnił go Trung.

Na ulicy Trung trzymał się blisko domów, ale za rogiem przestał się skradać. Co mu teraz da ostrożność?

Hao go zdradził.

Albo Hao go uratował. Albo jedno i drugie. W obecnych okolicznościach więcej nie zdoła się dowiedzieć.

Na Anh Dung Street zatrzymał sprzedawcę i kupił marlboro, te dobre. Amerykanin chciał dobre, tyle rozumiał.

W kawiarni usiadł przy zwykłym stoliku. Dzisiaj wieczorem nie było staro-
go Chińczyka, tylko niemal tak samo stara kobieta, może żona.

- Proszę makaron - powiedział, ale pokręciła głową. Nie znała wiet-
namskiego.

Dobra, nie widział makaronu. Niech będzie ryż. Podeszedł do kontuaru, wskazał garnek z ryżem na piecu, wskazał filiżanki na półce. Kobieta poki-
wała głową na znak zgody, więc wrócił do stolika.

Obserwował ludzi mijających kawiarnię. Otoczony przez dusze, których nie znał, obudził się do świata w rzeczywistej skali, nie w pokoju z oknem wychodzącym na ścianę, ale w wielkim świecie, w którym był zgubiony. Jakkolwiek w szczegółach przedstawiała się sytuacja, jakkolwiek była natu-
ra zaistniałego problemu, ktokolwiek go zdradził, on jest zgubiony.

I pomyśleć, że taki był ostrożny, a na nic się to zdało. Nie chodziło o to, że żałował błędu. Żałował wahań. Wątpliwość to jedno, wahanie to drugie. Czekałem trzy lata z podjęciem decyzji. Powinienem być od razu skoczyć. Wątpliwość jest prawdą, wahanie kłamstwem.

Do kawiarni wszedł stary Chińczyk.

- Chcesz dwie coca-cole? I chleb? - To był jego zwykły zapas na dzień. Nie przypuszczał, że dzisiaj jest mu potrzebny, skoro ma uciekać. Ale dokąd? Dokąd mógłby się udać? A jak już się tam znajdzie, to co będzie robił? I po co właściwie czekać, żeby z zasadzki wziąć zamachowca? Dlaczego nie zniknąć i nie walczyć nazajutrz? Mister Jimmy zaleca walkę w tej chwili, upiera się przy niej. A kim jest mister Jimmy? Z pozorów sądząc, sojusznikiem. Na jakiej podstawie może Trung obecnie działać, jeśli nie w oparciu o pozory?

Natomiast Hao - wróg czy sojusznik? Trung wątpił, by kiedykolwiek wiedział to na pewno.

Sierżant może wie, ale nie potrafią się porozumieć. To przywidło Trun-
gowi na myśl Skipa Sandsa z jego strasznym akcentem, słownikami i roz-
mówkami: Amerykanin, z którym mógłby porozmawiać. O ile się orientował, tę sprawę zaaranżował Skip Sands. Pułkownik nie żyje; niewykluczone, że jego kontakty stały się obciążeniem i teraz są eliminowane. Szukanie Skipa

Sandsa jest rzeczą nierozsądną. Rzeczą bardzo nierozważną jest zaufanie komukolwiek na ziemi.

Czuł brzemień niezliczonych smutków - ale tak wielu ludzi musi nosić tyle samo, a nawet więcej. Natomiast ten, ten oznaczał kompletną samotność.

Staruszka przyniosła mu miskę i imbryk, wróciła raz jeszcze z filizanką i dwoma sosami. Trung powąchał pojemniki. Jeden zawierał sos hoisin. Skropił nim ryż. Nie było pałeczek. Pomachał na staruszkę, pocierając dwoma palcami o siebie. Przyniosła mu bogato zdobione, lakierowane pałeczki. Sprzyja ci szczęście czy dręczy pech, głód i tak jest codziennym gościem. Trung pochylił głowę, uniósł miskę do twarzy i zaczął jeść.

Mimo iż w ostatnich promieniach światła doskonale było go widać, Fest otwarcie, niczego nie udając, stał przed sklepem z tkaninami. Niech się zastanawiają. Cokolwiek się zdarzy, dzisiaj wieczorem po raz ostatni zajmuje ten posterunek.

Jeśli cel nie wyjdzie około dziesiątej, kiedy zamykane są lokale, jeśli będę pewien, że nie zamierza opuścić pokoju, jeśli nie będę mógł dostać się do środka, żeby na niego poczekać - koniec sprawy. Nie pójdę tam.

Zamiast tego uda się wprost do Szkoły Językowej Sił Zbrojnych, zda raport o porażce i zażąda przerwania go za granicę. A jeśli szkoła okaże się zamknięta na noc - jeśli ta ostatnia deska ratunku jak w wielu innych przypadkach także zawiedzie - pójdzie do ambasady amerykańskiej i pokaże wizytówkę Kennetha Johnsona wartownikowi. A gdyby go nie przyjęli, pojedzie taksówką do Tan Son Nhut i poczeka na pierwszy samolot lecący dokądkolwiek.

Zapadła ciemność, sprzedawczyni zamknęła sklep od środka i zgasiła światło. Z całą pewnością nocuje gdzieś na tyłach budynku. Fest wszedł w bramę, chroniąc się w mroku.

Kwadrans po zapadnięciu nocy drzwi pensjonatu się otworzyły i cel ruszył na ukos przez ulicę, nie kryjąc się w cieniach. Fest poczekał, aż mężczyzna zniknie za rogiem, po czym jak poprzedniej nocy pobiegł truchtem do kolejnej przecznicy, gdzie cel skręcił w prawo, przypuszczalnie do tej samej co wczoraj kawiarni. Na rogu Fest nie mógł za nim iść - mężczyzna zatrzymał się, rozmawiając z ulicznym sprzedawcą. Fest ruszył przez ulicę, prosto w strumień dzwoniących motorowerów; nauczył się, że iść należy pewnie, bez przystawania. Motorowerzyści wiedzieli, jak wyminąć pieszych, nie robiąc im krzywdy.

Fest obejrzał się. Cel kupował papierosy albo gumę. Później wszedł do kawiarni.

Fest zawrócił w kierunku pensjonatu. Dotarłszy do pierwszej plamy cienia, zatrzymał się, by zaczerpnąć tchu. Wytarł dłonie pierwszą chusteczką i schował ją do tylnej kieszeni, po czym powtórzył to samo z drugą chusteczką. Podciągnął koszulę i z kabury na brzuchu wyjął pistolet, po czym umocował na lufie tłumik, który miał w przedniej kieszeni. Z lewej kieszeni wyłowił klucz i tak przygotowany podszedł do drzwi budynku. Otworzył je, wszedł do środka i przekręcił za sobą klucz, który wrzucił do kieszeni. Z prawej kieszeni wyjął drugi klucz i ruszył po schodach.

Jego dłoń pokryta rozgrzanym potem wsuwa klucz do zamka. Fest otwiera drzwi i pozbywa się jedyne go założenia, które mu pozostało: że podczas ponad trzydziestu lat życia nauczył się czegoś, co okaże się pomocne w tej krainie, gdzie wszyscy dorośli są martwi.

W pokoju paliła się lampa. Mężczyzna bez koszuli, biały, bez cienia wątpliwości Amerykanin, stał koło łóżka z okrągłą paczką w dłoni.

Fest odstąpił od instrukcji. Co narobił?

Po angielsku powiedział:

- Przepraszam.

W tej samej chwili cały budynek stanął dęba. Sufit korytarza przemknął mu nad głową, schody podbiegły i uderzyły go w plecy, drzwi na ulicę zatrzymały się nad jego głową.

Czuł ciosy w pierś. Miał pytanie, ale nie potrafił zaczerpnąć tchu. Drzwi nad nim otworzyły się, ktoś wyskoczył w kompletną ciemność. Rzecz absolutnie niewiarygodna zaczynała stawać się rzeczywistością.

Dochodząc do rogu swojej ulicy, Trung zobaczył mężczyznę na motorowerze, który jedną nogą opierał się o chodnik. Przy wtórze pracującego silnika patrzył na coś przez ramię, w kierunku, gdzie zmierzał Trung. Trung ostrożnie skręcił za róg.

Przed budynkiem pensjonatu stało kilku mężczyzn, równocześnie wykrzykujących coś po chińsku. Trung pozostał po drugiej stronie ulicy. W pierwszym zaułku kilku miejscowych z wystudiowaną obojętnością zajmowało się swoimi sprawami. Pomiędzy nimi nie było dzieci. Na ulicy zatrzymali się inni motorowerzyści, spoglądając na szeroko otwarte drzwi jego pensjonatu. W rosnącej grupie gapiów rozpoznał właściciela budynku.

Przeszedł obok pośpiesznie, rzucając na drugą stronę ulicy tylko jedno spojrzenie. Zobaczył mężczyznę leżącego na schodach, jakby spadł głową w dół, z jedną ręką podwinętą, drugą wyciągniętą. Trung widywał trupy. Ten człowiek był martwy.

Mężczyzna miał na sobie białą, a może błękitną koszulę, teraz nasiąkniętą krwią.

O ile Trung pamiętał, mister Jimmy ubrany był w jaskrawą kwiecistą koszulę, a poza tym był do pasa goły, kiedy ostatnio go widział.

Nie mógł zaryzykować i zwolnić kroku, żeby lepiej się przyjrzeć. Szedł przed siebie, nie mając absolutnie żadnego celu.

Sands siedział przy jadalnym stole w willi, za którą od kilku miesięcy nikt pewnie nie płacił czynszu, kończąc solidny lunch przygotowany przez służbę, której nie mógł opłacić, i myślał, że nawet jeśli wciąż ma pracę, wynagrodzenie w żaden sposób go nie znajdzie. Choć to był najmniejszy z jego problemów.

Na dźwięk silnika samochodu szybko wstał. Przed furtką zatrzymał się biały Chevrolet impala, za kierownicą siedział Terry Crodelle.

Crodelle otworzył okna na jakieś dwadzieścia centymetrów, przypuszczalnie żeby zrobić przeciąg, i wysiadł. Dzisiaj miał na sobie cywilne ubranie, w tym żółty sweter, oraz aktówkę, którą przekładał z ręki do ręki, zdejmując sweter, rzucając go na przednie siedzenie i kopnięciem zamykając drzwi od strony kierowcy. Sands patrzył, jak Crodelle sam wchodzi przez bramę, i myślał, że Cao Quyen z najbardziej samotnego posterunku na ziemi stało się Skrzyżowaniem Dalekiego Wschodu. Sposobem, w jaki wchodził po granitowych stopniach, ściskając aktówkę i zaglądając do domu, Crodelle przypominał wątpliwościami i nadziejami agenta ubezpieczeniowego.

Kiedy Sands odsunął przed nim siatkę, cała niepewność zniknęła z twarzy Crodelle'a. Natychmiast przekroczył próg. Weszli do salonu.

- Łup w swojej kryjówce.
- Chcesz czegoś do picia?
- Zaprowadź mnie w miejsce, gdzie jest przeciąg.
- Z tyłu jest weranda, ale chyba wciąż świeci tam słońce.
- Tutaj jest w porządku. - Crodelle położył aktówkę na stoliku i usiadł w jednym z wielkich rattanowych foteli. - Może dasz mi wielką szklanke zimnej wody. Nie chcę stracić chłodu.

- Pociuszające wieści.

Sands poszedł do kuchni, gdzie pani Diu siedziała na taborecie z nogami opartymi o szczebelki i łuskała groszek, ziarenka rzucając na wglębienie spódnicy, a strąki do aluminiowej wanienki. Taki rodzaj pracy najbardziej by mu odpowiadał.

- Proszę zaparzyć herbatę i zrobić kanapki, dobrze?

Pani Diu przełożyła groszek ze spódnicy na blat, a Sands nalał do wysokiej szklanki wody ze dzbanka, który chłodził się w lodówce. Przerazenie osłabiło mu dłonie. Woda chlusnęła na płytki.

Crodelle nie obejrzał się, kiedy Sands wrócił do salonu i usiadł naprzeciwko niego.

- Co jest w aktówce, Terry? Magnetofon?
- Coś lepszego.
- Superminiaturowy wariograf?

Crodelle pokazał mu środkowy palec.

- Masz mnie. Świetna robota.
- Masz gadatliwych przyjaciół.
- Tego nie musisz mi mówić.
- Ładne miejsce.
- Nawiedzane przez duchy.

- Na takie wygląda. Taa. Poniekąd. Jezu, Skip, co się stało z twoim uchem?

- Dostałem lanie.

Crodelle usiadł wygodnie, kładąc stopę na kolanie.

- Ciekawy z ciebie typ. Powinienem być cię częściej odwiedzać. Spokojnie tutaj.

- Staram się za bardzo nie ruszać, żeby się nie spocić. W domu nie ma klimatyzacji.

- Helikopter Ricka Vossa został zestrzelony. Rick nie żyje.
- Wiem. To straszne.
- Dzięki za wyrazy współczucia.

Wbrew woli Sands głośno i niepewnie westchnął.

- A Hao? On też nie żyje?
- Nguyen Hao? Niezupełnie.

- Wysłuchaj mnie, proszę. Jeśli on jest twoim człowiekiem, lepiej do brze go pilnuj.

- Hao piekielnie dobrze o siebie dba. Piekielnie.
- On nie jest bezpieczny, Terry, mówię poważnie.
- Hao i jego żona wyjeżdżają z kraju.
- Ojej. Nie. Nie żartujesz?
- Poważne jest to, że Rick Voss nie żyje. Leciał, żeby zobaczyć się z tobą w Cao Phuc. Teraz jest martwy.

Sands nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Dręczyło go pulsowanie w ranym uchu. Z kuchni dobiegł gwizd czajnika.

- Czyli pakuję się i jedziemy?
- Coś w tym rodzaju.
- Dlaczego nie wzięłeś ze sobą kilku marines z ambasady?
- To nie jest aresztowanie. Gdybyś miał telefon, zadzwoniłbym i zaprosiłbym cię do nas, Skip - powiedział Crodelle. - Chcę, żebyś odesłał służbę do domu.

- Ich dom jest niecałe dwadzieścia metrów stąd.
- Chciałbym, żebyśmy zostali sami.
- Mieszkają w małym domku tuż koło kuchennych drzwi.

Crodelle bez słowa wpatrywał się w niego.

- A może najpierw przynieść herbatę i kanapki? Już je robi. Jesteś głodny?

- Jasne.
- Kanapki są świetne. Odcina skórki.
- Jak w Continentalu.
- Tak, stary. Jeśli masz ochotę na skórki, może je przynieść...
- Nie, dziękuję.

Pani Diu weszła z tacą kanapek. Skip wstał i poszedł po herbatę. Kiedy pani Diu wróciła do kuchni, Skip powiedział:

- Resztę popołudnia ma pani wolne.
- Wolne?
- Tak, proszę. Potrzebujemy domu dla siebie.
- Chce pan, żebym poszła?
- Tak, do domu. Przykro mi, niech pani idzie do domu.
- Nie chce pan, żebym posprzątała po lunchu?
- Może później.
- Tak, sir.
- Ja posprzątam.
- Okay.

- Bardzo dobrze.

Wyszła kuchennymi drzwiami. Sands ustawił cukierniczkę, dwie filiżanki i czajnik na tacy, której uchwyty były za małe dla jego palców, i zaniósł ją do salonu, gdzie Crodelle wpatrywał się w kanapki bez skórki. Nie tknął żadnej.

- To miejscowa herbata - powiedział Skip. - Dzisiaj bez mleka.
- Nie masz mleka?

- Chodzi mi o to, że herbata jest słaba, no wiesz, wodnista. Tak ją tutaj parzą.

Nalał herbaty do filiżanek i patrzył, jak Crodelle dwoma kęsami pochłania kanapki. Uświadomił sobie, że z napięciem pochyła się do przodu, rozsiadł się więc, usiłując sprawiać wrażenie odprężonego. Powstrzymał typowy dla środkowego zachodu impuls, by namawiać gościa do zjedzenia kolejnych kanapek, by spróbował kurczaka, wieprzowiny, wziął masło.

- Dobry chleb - zauważył gość. Obaj milczeli, dopóki Crodelle nie wytarł dłoni w serwetkę z niebieskiego lnu.

- Wydaje mi się, że naszą ostatnią rozmowę zakończyłeś pytaniem o lokalizację szkoły wojennej JFK.

- Fort Bragg. Taa. Teraz sobie przypominam.
- Jestem w czwartym batalionie. Szkolenia MOS.
- A co to dokładnie znaczy?
- Wojskowe szkolenia specjalistyczne.
- Doskonale. Kogo szkolisz?
- Chłopaków. Facetów.
- Czyżby. Jaką masz specjalność?
- Operacje psychologiczne.
- Kapitanie Terry, sprawia pan wrażenie nieco na mnie obrażonego.

Crodelle nieznacznie się uśmiechnął.

- Więc nie udało nam się zainteresować cię wariografem.
- Nie. I tak bym kłamał, odpowiadając na pytania kontrolne.
- Dlaczego?

- Żeby zniekształcić rezultaty pierwszej rundy.

- Skip, kiedy cię przesłuchujemy, nie oczekujemy, że będziesz zachowywał się w sposób, w jaki nauczono cię zachowywać podczas przesłuchania przez wroga. My nie jesteśmy wrogami.

- „Wróg” to nie jest termin, którego bym w jakiegokolwiek sprawie użył. Nigdy.

- Dlaczego nie?
- Bo to głupie, stary. Rozglądałeś się ostatnio wokół siebie? To nie jest wojna. To choroba. Plaga. Tym było to moje wstępne badanie na fałszywym wariografie. A to jest runda druga. Mam rację?
- Nie masz. To jest podjęcie. W pewnym sensie. Rozumiesz, najwyższa pora, żebyś tu skończył, to wszystko, więc przyjechałem po ciebie.
- Więc dlaczego siedzimy, zamiast się zbierać?
- Z intelektualnej ciekawości. To zawsze była moja wada. Kim był pułkownik? Co robił? No wiesz, ten jego artykuł był zawodowym samobójstwem, choć trudno obalić zawarte w nim twierdzenia.
- Voss przyznał, że w większości sam to napisał.
- Idee pochodziły od pułkownika. W każdym razie te ocierające się o zdradę.
- Był wielkim człowiekiem - powiedział Skip. - W żadnym razie nie był zdrajcą.
- Wszyscy chcemy w to wierzyć, Skip.
- On był siłą natury, Terry, a teraz go nie ma. Ja jestem zdezorientowany i ty też. Nagle zniknął. Wszystkie straty wprowadzają zamęt w myślach.
- W takim razie odnajdźmy kierunek, Skip, i uporządkujmy bałagan zostawiony przez pułkownika.
- Nie rozumiałeś go, zupełnie nie rozumiałeś.
- O nie, nie rób tego! Nie zamieniaj naszej rozmowy w film na temat Walta Whitmana czy kogoś w tym rodzaju: jak to krótkowzroczne, ograniczone umysłowo głupki linczują cudownego wizjonera. Nie zamieniaj tego w ukrzyżowanie. Pytam cię, kim był ten facet, a ty mi śpiewasz kretyński motyw filmowy.
- Zaraz, zaraz. Próbuję ci tylko wyjaśnić, czego nie rozumiesz. Znałem go całe swoje życie i przysięgam ci, Crodelle, pułkownik był dokładnie taki, na jakiego wyglądał. On naprawdę był szaleńcem latającym na samolocie z odstrzelonym skrzydłem, palącym cygara, śmiejącym się śmierci w twarz i tak dalej. Ale miał też drugą stronę. Chciał być inteligentny, chciał być erudytą, chciał być układnym biurokratą. Dziwi mnie, że nie zaczął palić fajki. Pragnął snuć intelektualne rozważania, pragnął monitorować systemy informacyjne, w gruncie rzeczy gdzieś na dnie jego serca krył się bibliotekarz.
- I ta strona jego osobowości spierdoliła sprawę, Skip. Zajmijmy się nią.
- Mamy się nią zająć?

- Dajże spokój, Skip, współpracuj ze mną. Musimy wszystko ujawnić. Pułkownik niczym się nie dzielił. Nie przyczyniał się do wspólnego przedsięwzięcia.

- Więc?

Crodelle wylał fusy z czajnika do swojej filiżanki.

- Posłuchaj, Terry, czy teraz mam coś zrobić? Bo nie zamierzam.

- Chcę cię zapytać o archiwa.

- Są na piętrze. Weź je.

- Naprawdę?

- Taa, bierz je. To kupa gówna.

- Zdajesz sobie sprawę, że na tym etapie nie musisz kłamać.

- Wiem. Archiwa są na piętrze. Archiwa są bezwartościowe. To prawda.

Crodelle odprężył się, jakby uwierzył.

- Ten facet był naprawdę kimś. Naprawdę.

- Taa. Taa. Był skomplikowany.

- Jak opisywał swoje relacje z Johnem Brewsterem?

- Brewsterem?

- Tak. Jestem ciekawy. Jakie były ich relacje?

- Napięte. Brewster miał pewne obawy i posadził pułkownika za biurkiem.

- Ha! Obawy?

- Dotyczące jego zdrowia.

- Jego zdrowia. Masz na myśli serce, picie i skłonność do walenia ludzi w szczękę.

- Serce? - powtórzył Skip.

- Przecież to go zabiło, no nie?

- Nie mam pojęcia, jak umarł. Słyszałem, że zginął w zamachu.

- Ja też słyszałem te bzdury. Pułkownik dostał zawału w pokoju w hotelu Rex. Albo na basenie. Albo w restauracji czy gdzieś tam. Tak czy owak nie bronił Alamo.

- Och, och.

- Co.

- Jesteś chłopakiem od Brewstera.

- To mi się nie podoba.

- Taa, ale ja powtórzę: jesteś chłopakiem od Brewstera. Brewster chce obejrzeć archiwa, zanim znajdzie je ktoś inny. Racja?

Crodelle uśmiechnął się.

- Nie wyszczerzaj do mnie zębów, jakbym był idiotą, Terry.
- Nic nie mogę na to poradzić.
- To nie jest żadna zwariowana, nieautoryzowana operacja. Chodzi o plik kartek, które mogą rzucić na pewne osoby nieprzyjemne światło. Na kogoś, kto przypuszczalnie nie zrobił nic, czym musiałby się przejmować.
- Co za bzdury.
- Wręcz przeciwnie. Jeśli wziąć pod uwagę popieprzony charakter tego zbioru. Ale nie w tym rzecz, prawda? Jezu Chryste. W takim razie chodźmy je obejrzyć.
- Tak?
- Tak.

Crodelle poszedł za nim po wąskich schodach. O tej porze dnia na piętrze willi panował żar jak na strychu. Sands wskazał pokój gościnny, równocześnie otwierając własną sypialnię, by stworzyć przeciąg. Crodelle stał, patrząc do wnętrza pokoju gościnnego.

- Gdzie one są?
- Sands wyminął go i podniósł wieko jednej z szafek.
- Sprytnie ukryte.
 - To one?
 - W porządku alfabetycznym. Z odnośnikami. No dalej, sprawdź Brewstera.
 - Dajże spokój. Jeśli starszek traktował sprawę poważnie, dokumenty są zaszyfrowane.
 - Nie są. Sprawdź jakąś informację, która ma odnośniki do Brewstera. Nazwy miejscowości, cokolwiek.

Crodelle podniósł wieko drugiej szafki i zajrzał do środka.

- Jesteś gotów nam je oddać?
- A mam jakiś wybór?
- Załadujmy te ślicznotki do bagażnika. Jeśli odpowiednio je spakujemy, damy radę za jednym zamachem zawieźć wszystkie do miasta.
- Do Szkoły Językowej czy gdzie?
- Do ośrodka MAC-V. W Tan Son Nhut.
- Tam już nie ma MAC-V.
- Zostało niewielkie biuro.
- Kurwa - powiedział Skip.

- Co?
- Nigdzie z tobą nie jadę.

Crodelle wpatrywał się w niego, unosząc brwi. Sands oceniał wielkość głowy rudzielca, rozważając równocześnie, czy nie skorzystać z rady Jimmy'ego Storma i nie walnąć faceta w brzuch, tuż pod splotem słonecznym, ale zrezygnował. Niedawno przegrał jedną bójkę, nie miał ochoty zaczynać następnej.

- Poczekaj - powiedział. - Ubiorę się.

Poszedł do swojej sypialni. Crodelle podążył za nim i patrzył, jak Skip zmienia szorty na długie spodnie, wkłada skarpetki, buty i koszulę. Co jeszcze? Nie wróci tutaj. Na komodzie leżał stos fotografii z Filipin. Wsadził kilka do kieszeni.

Z szuflady komody wyjął zegarek, paszport i berettę kaliber 22.

- Cholera - powiedział Crodelle. - Nawet na to nie licz.

Sands schował paszport do kieszeni, zapiął zegarek na rękę, po czym zrobił krok do przodu i przyłożył lufę do czoła Crodelle'a.

- Okay, okay, okay. Jest zabezpieczona?

- Nie. - Sands usiłował zebrać myśli. - I tutaj wkraczamy na grząski grunt.

- Zabezpiecz ją, cofnij się i pogadajmy.

- Ja będę gadał, a ty zrobisz, co ci każę. Nie muszę naciskać spustu, jeśli zrobimy to dobrze.

- Rozumiem - odparł Crodelle.

- Stań tam.

- Już się robi. - Crodelle stanął nieruchomo z rękami uniesionymi do piersi i rozpostartymi palcami. - Zabezpiecz broń, tylko o to proszę.

- Ani słowa więcej.

- Dobra.

- Mówię poważnie. Siadaj na tym krześle.

Crodelle przyciągnął sobie krzesło i usiadł. Sands otworzył górną szufladę komody, po czym jedną ręką zaczął wyjmować skarpety i bieliznę, szukając opatrunków. Umieścił kilka rolek gazy na komodzie.

- Wstawaj. Bez gadania.

Crodelle wstał. Przyciskając mu lufę do piersi, Sands przysunął krzesło do siebie.

- Siadaj. - Crodelle usiadł. - Skrzyżuj ręce za krzesłem. Otwórz usta. Szerzej.

Wepchnął Crodellowi w usta skarpetę. Oderwał zębami zatrzask z gazy i najlepiej jak potrafił, jedną ręką owinął mu twarz i szyję, a następnie pierś, unieruchamiając ramiona za plecami. Na końcu związał gazę na byle jaki węzeł. Było mu przykro z powodu użytego materiału. Najlepiej nadałby się kabel z lampy elektrycznej, ale nie dysponował nim w domu położonym poza zasięgiem linii elektrycznej.

Sądząc z przyśpieszonego oddechu, Crodelle usiłował skomentować proces, który Sands powtórzył z dwoma pozostałymi rolkami gazy, przywiązując nogi Crodelle'a do krzesła. Skip komentował sam: Co ty wyprawiasz? Co zrobisz potem? Przywiązujesz komandosa z Zielonych Beretów gazą, bo nie masz taśmy? Będziesz musiał zrobić węzeł. Czy do tego nie są ci potrzebne dwie ręce?

- Odkładam broń na komodę, żeby porządnie cię związać - powiedział.
- Masz dwa wyjścia: próbujesz wykręcić numer i przekonujesz się, co z tego wyjdzie, albo siedzisz nieruchomo.

Crodelle nie poruszył się, kiedy Sands wiązał mu dwoma rolkami przeguby i ręce do oparcia krzesła, na końcu robiąc solidne węzły. Skip ukląkł, by czterema pozostałymi rolkami porządnie przywiązać każdą nogę, nie zważając na krwiobieg swojego więźnia.

Bez słowa wyszedł z pokoju w poszukiwaniu taśmy. Po powrocie nie stwierdził, by Crodelle podjął jakieś widoczne próby uwolnienia się. Sands przykleił kilka metrów taśmy do ust, piersi i nóg Crodelle'a, zakrywając nią węzły.

- Zniosę dokumenty na dół. Będę kilka razy chodził tam i z powrotem i przy okazji sprawdzał, co z tobą. Jeśli pomyślę, że coś kombinujesz, przysięgam na Boga, że dłużej nie będę czekał. Zabiję cię.

Kiedy po raz ostatni wszedł na piętro, nachylił się do ucha Crodelle'a, ciężko dysząc z wysiłku.

- Zaraz spalę archiwum pułkownika. A wiesz dlaczego? - Przerwał, jakby rudzielec mógł odpowiedzieć przez duszącą go gazę. Crodelle nie zareagował; oczy miał zamknięte i koncentrował się na oddychaniu przez nos. - Nie? No to się nad tym zastanów.

Własna przemowa go rozczarowała. Zażenowany wyszedł z domu. Na przygotowanym przez Tho stosie śmieci do spalenia ułożył kopiec z kart katalogowych i innych papierów o średnicy chyba półtora metra i wysokości pół metra; pomyślał, że to nędzny pomnik dla dwóch lat jego pracy i Bóg

tylko wie ilu lat życia pułkownika Francisa Xaviera Sandsa. Wiał silny wiatr, niektóre z kart pofrunęły, by wylądować w strumieniu.

Nim stos zajął się ogniem, zabrakło mu zapalek. Poszedł do kuchni, szukając czegoś bardziej łatwopalnego, i usłyszał, jak na piętrze Crodelle wali w podłogę, niewykлучzone, że się po niej przesuwają, jak małpka, która skacze na tyłku. To nie miało znaczenia.

Wziął pełne pudełko zapalek. Na dworze minął stos, wołając Tho, który wyszedł przed swój domek. Miał na sobie długie spodnie i T-shirt i był boso.

- Panie Tho, gdzie jest nafta?
- Nafta? Tak, mam.
- Proszę przynieść naftę i spalić te dokumenty.
- Teraz?
- Tak, teraz, proszę.

Tho poszedł za dom. Wrócił z poobijanym dwugalonowym kanistrem nafty i polał nią stos, a Skip ukląkł, rzucając na podstawę dwie płonące zapalki. Cofnął się, kiedy ogień strzelił w górę. Stojąc obok Tho, przez minutę się przyglądał. Po drugiej stronie strumienia nad zagajnikiem palm kokosowych i papai wzbijał się w niebo szarobrunatny dym z ogniska jakiegoś sąsiada.

Jezu, pomyślał, jakim głupcem był ten starzec.

Tho poszedł po grabie, Skip wrócił do domu.

Ze zdumieniem znalazł Crodelle'a w kuchni; wciąż przywiązany do krzesła, pochylał się, nożem do chleba przecinając gazę, która więziła jego prawą nogę.

Sands wyłowił z kieszeni berettę i wycelował w prostującego się Crodelle'a.

Ten natychmiast z powrotem usiadł.

- Nie musisz do mnie strzelać! Nie musisz do mnie strzelać!
- Wiesz, co robię? Czujesz dym? Palę dokumenty.
- Nie chodziło o dokumenty! Do jasnej cholery, człowieku. Nie musisz do nikogo strzelać.
- Co się stanie, jeśli nie będę strzelał?
- Mogę cię zapewnić, że to koniec całej sprawy. Chcę ruszać rękami, chcę rozmasować nogi. Zupełnie ich nie czuję, odciałeś mi dopływ krwi. Jezu. Pierdolony duppek z ciebie. No, zastrzel mnie. Mam dla ciebie sześć tysięcy dolarów. Pierdol się.

- Co masz?

Crodelle pochylał się i wypluł na podłogę zakrwawioną ślinę.

- Stało się coś kurewsko złego, Skip. Parę dni temu w Sajgonie zlikwidowano agenta BND. Człowieka nazwiskiem Fest.

- Na litość boską - powiedział Sands. - Znam go.

- Znasz Dietricha Festa?

- Nie z nazwiska, ale spotkałem go na Filipinach. I jestem prawie pewien, że widziałem go w Green Parrot tego samego dnia, kiedy spotkałem się tam z tobą.

- No tak - powiedział Crodelle - pojebana sprawa. Wszystko poszło nie tak. Powinniśmy byli to powstrzymać, ale wydarzenia nabrały własnego rozpędu. Celem był członek Wietkongu.

- O, cholera. Trung Than?

Brak odpowiedzi.

- Trung zabił Niemca?

- Wasz nieautoryzowany podwójny agent.

- I gdzie jest teraz?

- Kto?

- Trung Than, do diabła.

- Wędruje sobie po tym padole.

- Żywy.

- Takie jest założenie.

- Chryste, człowiek bez państwa. Jak on musi się czuć?

- Ty mi powiedz. Mniej więcej tak jak ty.

- I rozprawa z Trungiem należała do ciebie? Ty za to odpowiadałeś?

Kto prowadził operację?

- Tego nigdy się nie dowiemy. Zawsze natomiast wiadomo będzie, że to ty doprowadziłeś do tej sytuacji.

- Od kogo pochodziła autoryzacja?

- Autoryzacja to koncept. Nie zawsze jest konkretna.

- Więc jednak chodzi o buntownicze operacje. Twoje, moje, wszystkich pozostałych.

- Wszyscy zapieprzyliśmy, ale ty jako jedyny masz w perspektywie więzienie. Więzienie i hańbę. Nie próbuj w to wątpić, Sands. Kiedy ktoś zacznie śledztwo, ty jesteś facetem, na którego wszyscy z ochotą wskażemy palcami. I co powiesz na pewien pomysł? Uciekaj.

Zza domu dobiegł odgłos skamlającego zwierzęcia. Sands usiłował go zignorować i odzyskać panowanie nad sytuacją, kierując broń w stronę Crodel-le'a, ale czuł całkowitą bezradność.

- A wy, dranie, wywieziecie mnie stąd?
- Nie. Ty masz paszport. Ja daję ci gotówkę. Wskakuj w samolot.
- Jezu Chryste! W samolot dokąd?
- Pieniądze mam w aktówce.

Skomlenie za domem zmieniło się w przeraźliwy pisk, który wyraźnie się zbliżał. Przez siatkę na drzwiach zobaczyli père Patrice'a wlokącego za ucho psa imieniem docteur Bouquet i przekrzykującego protesty zwierzęcia:

- Skip! Twój pies! Twój pies, proszę!

Ksiądz otworzył drzwi i wciągnął do środka psa.

- Zaprowadź go do Tho.

- Tho mówi, żeby zaprowadzić go do domu. - Objąwszy spojrzeniem kuchnię udekorowaną pasami białej gazy i dwóch Amerykanów, z których jeden ścisnął w dłoni pistolet, ksiądz nabrał powietrza w płuca. - Tho mówi, żeby zaprowadzić go do środka. - Kiedy puścił psa, zwierzę uciekło, gramoląc się po schodach na piętro. Mały ksiądz wstrzymywał oddech. Sięgnął za siebie, jakby chciał otworzyć drzwi, ale nie trafił na nie dłonią i został tak z wyciągniętą ręką, jakby to miało mu zapewnić równowagę. - On nie jest problemem, ale może zaatakować moje kury. Lepiej trzymać go tutaj. - Przypuszczalnie dlatego, że jego głos najwyraźniej powstrzymał rozwój tragedii, mówił dalej: - Miałem sen o tobie, Skip. Nie byłeś w moim śnie, ale to był sen o prezydencie Stanów Zjednoczonych. Zwykle Francuzi, Amerykanie, komuniści nie pojawiają się w świecie snów. Chodzą tam, ale nie wierzą w sny, więc są tylko duchami. - W jego głosie zaczynała wzbierać histeria. - Powiem wam, co się przydarzyło człowiekowi z mojej wioski. Na imię miał Chinh. Wyjechał z naszej wioski, kiedy umarł jego ojciec i wierzyciele zabrali ziemię. Chinh stał się wtedy biedny, nie miał nic. Musiał wyruszyć nad morze i jeśli to możliwe, nauczyć się łowić ryby. To była rozpaczliwa podróż, ponieważ nie miał pieniędzy. Po drodze spał w zaroślach. Raz Chinh we śnie usłyszał, że musi zanoćować na dziedzińcu katolickiego kościoła w pewnym miasteczku. Byli tam Francuzi. Znalazł go dowódca warty i kazał mu iść. Chinh powiedział mu: „Śpij tutaj, bo taki miałem sen”. Francuski dowódca rzekł mu na to: „Jesteś głupcem, skoro wierzysz w sny, nie wiesz, że wszyscy co noc śnimy? Ostatniej nocy we śnie usłyszałem, że pod największym bananowcem nad rzeką zakopanych jest siedem kawalków złota.

Myślisz, że poszedłem kopać? Nie rozśmieszaj mnie”. I wyrzucił Chinh z miasteczka. Idąc brzegiem rzeki, Chinh odnalazł największy bananowiec, zaczął kopać i znalazł dokładnie siedem złotych monet. Wrócił do mojej wioski i żył w dostatku. To prawdziwa historia. Opowiedziałem ją francuskiemu księdzu. Stwierdził, że to kłamstwo, że Chińczyk ukradł pieniądze i wymyślił historyjkę, żeby wytłumaczyć swoje nagłe bogactwo. Ja jednak zauważyłem, że Chinh żył długo i dostatnio. Złodziej, który kradnie i oszukuje, nie może w spokoju korzystać z pieniędzy, które ukradł. Historia jest prawdziwa. Kilka lat temu Chinh zmarł, w wypadku. Chorzy przychodzą na jego grób, żeby się wyleczyć, zwłaszcza ludzie chorzy na malarię.

- Thong Nhat.
- Tak?
- Przestań.

Zapadła cisza, pierwsza chwila milczenia, odkąd ksiądz wszedł do pokoju.

- Skip - powiedział ksiądz, jakby dotykał kwestii równie wybuchowej jak dynamit - coś jest nie tak.

- Jezu Chryste - Crodelle zaczął się śmiać.
- Przykro mi z powodu tego zamętu, Nhat. Wyświadczysz mi przysługę?

Ksiądz sprawiał wrażenie, że nie ma ochoty odpowiadać.

- Na stoliku do kawy jest aktówka. Mógłbyś mi ją przynieść?
- Oczywiście. Ale dzisiaj martwię się o ciebie.
- Gdzie ja jestem? - odezwał się Crodelle. - W imię Boga, gdzie ja jestem?

- Nhat, przyniesiesz mi tę aktówkę?

Skip obserwował poruszającego się ostrożnie księdza, który stanął przy stoliku i złożył dłonie na poziomie piersi, i przez myśl przeszło mu pytanie, czy ksiądz się modli.

Crodelle, wciąż się śmiejąc, ponownie splunął na podłogę.

- Nic sobie nie zrobiłeś?
- Jestem minimalnie obity, tylko minimalnie.
- Powiedz mi coś. O ile oczywiście chcesz. Jak udało ci się zejść po schodach i nie złamać sobie karku?
- Skakałem aż do schodów, tam przewróciłem się na bok i zsunąłem.

Coś w tym rodzaju.

- I nie nabiłeś sobie siniaka. Nie dostaniesz Purpurowego Serca.

- Wydaje mi się, że prawy bark uległ chwilowemu przemieszczeniu.
- Dobra.
- Muszę mieć pewność, że rozumiesz tę sprawę z zamordowaniem człowieka z BND. Rozumiesz?

- Jasne. Ja jestem ten zły.
- Jesteś Lee Harveyem Oswaldem, dziecko.

Père Patrice odnalazł w sobie siłę. Stał obok Skipa, trzymając aktówkę w obu dłoniach. Skip postawił ją na blacie i nacisnął kciukiem miedziany zatrzask, który otworzył się z drzeniem.

- Czyja jest ta aktówka?
- Cała twoja. Wyłącznie.

W aktówce była tylko pusta szara teczka i zwitek amerykańskich banknotów owinięty czerwoną gumką.

Nagle zawiązały nim zwątpienie i strach.

- Więc jak, wsadzasz rękę do kieszeni i wyciągasz plik pieniędzy, tak po prostu?

- Tak. Błyskawicznie. Jesteśmy bardzo skuteczni.
- Nie za często, Crodelle. Najczęściej jesteście niewiarygodnie nieudolni. I głupi. Dlaczego nie wszedłeś i nie powiedziałeś: Jest tak i tak, i nie dałeś mi pieniędzy?

- Wiesz, wydawałeś się po uszy zadurzony w pomysł, że twoje głupie archiwa są powodem, dla którego wszyscy rano zrywają się z łóżka. Chyba miałem nadzieję, że możemy spróbować.

Sands wyciągnął do niego rękę.

- Daj mi kluczyki.
- W żadnym razie, synu. Nie dostaniesz wozu. Ja z tobą pojedę.

Pochylając się ku Crodelle'owi na tyle blisko, że oddechem owiewał mu twarz, Skip przycisnął lufę do jego kolana.

- Trzy, dwa, jeden...

Crodelle poklepał się po spodniach.

- Tutaj.
- Więc je daj.

Crodelle wyjął pojedynczy kluczyk przymocowany do papierowego identyfikatora z garażu ambasady.

Wolną ręką Sands wyjął z aktówki kilka dwudziestodolarówek i położył na blacie.

- To dla Tho i pani Diu - powiedział do księdza, po czym zwrócił się do Crodelle'a: - Wychodzę. Jeśli pomyślę, że zaczniesz coś kombinować, zanim przekręcę kluczyk, wrócę i zastrzelę cię. Z radością. Mówię poważnie, Crodelle. To mnie uszczęśliwi.

Kiedy wychodził przez kuchenne drzwi, Crodelle zawołał za nim:

- Gównu mnie obchodzi twoje szczęście, kurwa.

Silnik zaczął pracować, gdy koło samochodu stanął ksiądz. Sands wyciągnął przez okno lewą dłoń, którą ksiądz uściśnął.

- Jest za późno na podróż - powiedział. - Rejony koło trasy dwadzieścia dwa są krytyczne. Wiesz o tym.

- Thon Nhat, cieszę się, że cię poznałem.

- Wrócisz?

- Nie.

- Tak. Może. Nigdy nie wiadomo.

- W porządku, nigdy nie wiadomo.

- Mister Skip, do naszego następnego spotkania będę się modlił za ciebie każdego dnia.

- Doceniam to. Jesteś wspaniałym przyjacielem.

Ruszył po wyboistej drodze. We wstecznym lusterku zobaczył, jak Crodelle przyłącza się do księdza przy furtce; ręce miał skrzyżowane na pierśsiach, nogi swobodnie rozstawione w pozie emanującej brawurą i nonszalancją.

Na siedzeniu obok siebie Skip znalazł żółty sweter Crodelle'a. Wyrzucił go z auta, zamknął okna i włączył klimatyzację.

World Children's Service miało swoje zasady, procedury, wymagania, w tym raz na dwa miesiące trzeba było pojechać do Sajgonu do Wydziału Raportów i Zaleceń. Jeśli w hostelu przy Dong Du Street nie obudził jej gorączkowy zamęt późnych godzin, to na pewno udawało się to jęklwym porannym modlitwom z meczetu. Dzisiaj wieczorem klaksony i muzyka z nocnych barów kazały jej wyjść z łóżka.

W czasie tych wilgotnych nocy ciepłych jak ludzki oddech odczuwała gnuśny i senny żal zrodzony (była o tym przekonana) z zauroczenia samą sobą: powolne, gorące, tropikalne rozczulanie się nad własnym losem. Musiała skierować je na zewnątrz, znaleźć innych, potrzebowała codziennych obowiązków. W przeciwnym razie utonie. Zgnije. Zostanie pożarta przez tę ziemię. Rozkwitnie jako nowa przemoc i rozpacz.

Tutaj w mieście puste zmagania zmieniały się w solidną materię i pragnęła oddać się monstrualnemu cierpieniu, pragnęła zostać rozdarta na strzępy przez każdy ból.

Ruszyła przez ulicę, cofając się przed małą hondą ciągnącą dwumetrową przyczepę załadowaną radosnymi świeżymi produktami. W mieście zbyt wielu jeździło z wyłączonymi reflektorami. Z drzwi za jej plecami buchnęła muzyka go-go. Musiała napić się czegoś zimnego, ale w lokalu było o dziesięć stopni goręcej i tłoczyli się w nim dwudziestoletni mężczyźni z płonącymi duszami. Mimo to weszła do środka. Knajpiany odór piwa, potu i bambusa. Złapała kurczowo torebkę i przez tłum zaczęła przepychać się w stronę baru.

Parę kobiet tańczyło na scenie niewiele większej niż dwie skrzynie po mydle.

- Co dla ciebie? - zapytał ją przy barze żołnierz. Oświetlony od tyłu na czerwono nie miał twarzy. - Ty, ładna pani. - Głos młodzieńca, za to na czubku głowy łysina.

- Słucham?

- Co dla ciebie? Ja stawiam.

- Chętnie napiłabym się piwa. Jest tiger?

- Zaraz przyniosę. Nie odchodź. - Ruszył za stojącymi przy barze mężczyznami w poszukiwaniu tigera. Kathy spojrzała na lewo i zobaczyła małą dziewczkę, która z wypiętym biodrem opierała się łokciem o bambusowy kontuar; spomiędzy jej ust wypływał srebrny dym. Ale - czy to nie jest przypadkiem Lan? Choć to niemożliwe. A jednak.

- Lan! - zawołała Kathy. Lan nie mogła jej usłyszeć.

Kathy podeszła do dziewczyny.

- Cześć, Lan.

Unosząc papierosa do ust, Lan usiadła na opróżnionym przed chwilą stołku. Asystowała Kathy podczas jej pierwszego roku tutaj, w Sa Dec, później kłopoty (relokacja wioski) wezwały ją do domu, a teraz siedziała w tym barze z szeroko otwartymi oczami, czerwonymi ustami i nogami obnażonymi aż do majtek.

- Co u ciebie, Lan? Pamiętasz mnie?

Dziewczyna odwróciła się do barmana i coś cicho powiedziała.

- Co chcesz? - zapytał barman. Kathy nie wiedziała, co odpowiedzieć. Dziewczyna - czyżby to był ktoś inny, nie Lan? - określiła się, oparła łokciami o bar i utkwiała wzrok w żołnierzach, którzy w szkarłatnej poświacie

tańczyli z drobnymi kobietami, przyciskając je mocno do piersi i niemal się nie poruszając.

Żołnierz Kathy wrócił.

- Skarbie, niosę piwa - powiedział. - Nie wierzysz we mnie?
- Zaraz wrócę. - Ściskając torebkę w obu rękach, wyminęła tancerzy i wyszła na ulicę. Teraz wilgotny zaduch ulicy wydawał się świeży. Po kilku krokach weszła do kawiarni i usiadła. Wypiła jedno po drugim dwa piwa, odwróciła krzesło plecami do ściany i poprosiła o trzecie. Z torebki wyjęła notatnik, otworzyła go na poplamionym, zatłuszczonym stoliku, i odszukała pióro. Siedząc bokiem do stolika, jedną dłonią przytrzymując kartkę, napisała:

Drogi Skipie,

Ho ha ha. Tak mawiał mój tata, kiedy był pijany albo wstawiony.

Nawet nie pijany, tylko

Mamasan przyczłapała do niej w swoich klapkach i zapytała:

- Czekasz na autobus?
- O tej porze nie ma autobusów.
- Dzisiaj nie ma autobusu. Weź taksówkę.
- Mogłabym zostać? Czy mogę prosić o herbatę?
- Jasne! Jasne! Taksówkę weźmiesz później, okay?
- Dziękuję.

szczęśliwy. W towarzyskim nastroju, rozumiesz. To tyle o historii rodziny. Teraz przekażę Ci kilka opinii.

Opinii o powiększonej korze nadnerczy Ameryki i jej sakramentalnym kłamstwie. Drogi Skipie: Lepiej uważaj na swoje ludzkie serce, w przeciwnym razie będziesz miał je trwale złamane. Bo dokładasz się do okrutnego i szalonego zniszczenia.

Możesz nie znaleźć miejsca na nawrócenie, choć go szukasz ze łzami.

Z czego to jest? Z Biblii. A ja znowu swoje! Szukasz ze łzami.

W dniu, gdy wyjechałam z Damulog z kośćmi Timothygo, widziałam, jak kąpałeś się w strumieniu.

- Poszła pożegnać się z nim, gdy jechała do Davao City, a stamtąd do Manili. Z polnej drogi zobaczyła go wychodzącego z dwupiętrowego hotelu Freddy'ego Castry, przemierzającego dziedziniec w japonkach i kraciastych bokserkach, z ręcznikiem przewieszonym przez ramię i mydelniczką w dłoni. Zostawiła go w spokoju, sama natomiast weszła do hotelu pożegnać się z rodziną Castry, ale potem usłyszała wesołe pokrzykiwania małych dzieci i skierowała się w stronę małego wąwozu, gdzie zobaczyła Skipa Sandsa myjącego się przed tłumem uliczników. Ze skały wystawała rura i wylewała wodę do wielkiej naturalnej wanny, a dzieci, może ze trzydzieścioro, ustawiły się wokół, jakby to był stadion, boisko, na którym młody Amerykanin mydlił się i mydelniczką polewał głowę, wymieniając okrzyki ze swoją zwiariowaną widownią:

- JAKI JEST WASZ ULUBIONY PROGRAM!
- PROGRAM SKEEPA SANDSA!
- JAKI JEST WASZ ULUBIONY PROGRAM!
- PROGRAM SKEEPA SANDSA!

Otoczony przez dzieci, które rozśmieszaleś. To było coś w rodzaju złotej ery.

Odłożyła papier i pióro, opróżniła butelkę i wróciła do klubu.

Z trzema piwami w głowie gwar wydawał się bardziej niezrozumiały i bezsensowny. Kobiety, która mogła być Lan, nie było, tylko zniekształcony, odtwarzany z niewłaściwą prędkością głos Nancy Sinatry, świergoczące kurwy, opowiadający brednie żołnierze piechoty tak jak ona zalani - tak jak ona wstawieni - tak jak ona szczęśliwi.

- Długo cię nie było! - powiedział ten sam łysiejący żołnierz.
- Cały czas tu byłam.
- Naprawdę? Niemożliwe.

Obeszła go tak, by spojrzeć mu w twarz. Wyglądał bezmyślnie i przyjaźnie. Mógł być sierżantem, ale miał na sobie cywilny strój, więc to było tylko przypuszczenie. Niczego od niej nie chciał. Jeśli zależało mu na kobiecie, miał wokół siebie kobiety. Sam jej o tym powiedział. Miał kobietę w Pleiku. Płacił jej alimenty. Nie była prostytutką. Była jego dziewczyną. Jej rodzinę zamordowano, uratował się tylko jeden siostrzeniec z połową twarzy. Mózg chłopca uległ uszkodzeniu. Za domem znajdowała się betonowa cysterna na

deszczówkę. Czasami chłopiec wdrapywał się na nią, nikt nie wiedział dlaczego, spadał i robił sobie krzywdę. Kilka rodzin mieszkało w tym budynku, w gruncie rzeczy chacie, która jednak była piętrowa i na górę prowadziły zewnętrzne schody, schody z nieheblowanych desek bez balustrady, niewiele różniące się od drabiny. Nocami chłopca trzeba było przywiązywać za nogę do gwoźdźcia w podłodze, ponieważ wędrował, chodził we śnie, więc mógł spaść i złamać sobie kark. Cóż, człowiek czuje smutek z powodu dzieci przez jakiś czas, miesiąc, dwa miesiące, trzy. Czujesz smutek z powodu dzieci, z powodu zwierząt, nie sypiasz z kobietami, nie zabijasz zwierząt, ale potem uświadamiasz sobie, że jesteś w strefie wojny i wszyscy tutaj w niej żyją. Nie obchodzi cię, czy ci ludzie żyją, czy jutro umrą, nie obchodzi cię, czy sam jutro będziesz żywy czy martwy, kopniakiem odsuwasz dzieci z drogi, rucasz kobiety, strzelasz do zwierząt.

1970

Kucał przy oknie i z drzeniem nasłuchiwał falujących drutów wysokiego napięcia, pieszczących ciemność, mruczących bliżej i dalej, wyczuwających w mroku strach. Wysokie napięcie wysysało strumień strachu z każdego promieniującego nim serca i spalało duszę. To była Prawdziwa Śmierć. Dlatego też nikt nie mieszkał w tym sercu, nikt nie patrzył przez te oczy. Odór spalenizny przez całą noc wędrował po pokoju.

Kiedy pojawiły się pierwsze promienie brzasku, do lotu zerwały się mu-
chy. Głos z radia na parapecie powiedział:

- Mam tu dzisiaj chłopaków z Kitchen Cinq. Słyszeliście muzykę Kitchen Cinq, znanych głównie ze swego „szczęśliwego brzmienia”. Chłopcy, powiedzcie coś o tej nazwie. Skąd ją wzięliście?

- No cóż, Kenny, upichcił ją nasz manager Trav Nelson. A ponieważ nam się spodobała, więc...

- Jak ją piszecie? C-I-N-Q - to dość nietypowe.

- „Cinq” to pięć po francusku. Nas jest pięciu, a po francusku to słowo wymawia się „sank”. Wszyscy pochodzimy z Teksasu i mniej więcej tak to wymawiamy: „Kitchen Sank”*.

* Tak wymawiany wyraz ten znaczy: „utonąć, pogрузić się, pójść w zapomnienie”.

- Jesteście znani ze „szczęśliwego brzmienia”.

- Powiedziałbym, że to rezultat różnych osobowości, Kenny, ponieważ generalnie wszyscy jesteśmy całkiem szczęśliwymi facetami.

- Z prawdziwą przyjemnością rozmawiałbym z wami przez cały dzień, ale musimy się pożegnać. Bądźcie nadal szczęśliwi, wielkie dzięki. Kitchen Cinq. Pięciu szczęśliwych facetów. Mówi Kenny Hall, a to jest program „In Sound” z Military Radio Network.

- Do zobaczenia, Kenny. My też dziękujemy.
- Wracajmy do muzyki.

Z głośnika popłynęła piosenka.

- Co się pali? - zapytał, chociaż wiedział.
- Nie wspominaj więcej o spaleniźnie. Mówisz o tym dwadzieścia czterech godzin na dobę.

- Bardzo dobrze.
- To jest to kurewstwo, stary, Mustique. Powinieneś wiedzieć, że to jest to.

- Złapałem. Mustique.
- Pierdolone zielone spirale, które podpalają, żeby odpędzić moskity. Ktoś je pali na dole. Okay?

- Okay.
- Okay, James?
- Jarasz strach - ostrzegł go James. - Słyszysz to mruczenie?
- Och, człowieku.
- Pokonaj strach.

Joker usiadł koło niego na łóżku.

- Chyba muszę powiedzieć, że jesteś kurewsko pojebany, koleś.
- Niezwykle odkrycie.
- No wiesz, nie mógłbyś trochę ochłonąć?

James wzruszył ramionami. Nie miało sensu kontynuować tej idiotycznej rozmowy.

Ming pojawiła się z innego wszechświata i powiedziała:

- Chcecie makaron?
- Nie, nie chcę żadnego pieprzonego makaronu.
- Możemy iść do baru z makaronem?
- Nie. Powiedziałem nie. Myślisz, że chcę patrzeć, jak banda Wietnamców chłepcze zupę z miski?

- Potrzebuję pieniędzy, Kowboju.

- Przeklęte śliskie popierdolone kręcone nitki makaronu, kurwa.

Spojrzenie miała jak u jaszczurki.

- Daj pieniądze, Kowboj. Powiedz mu, żeby dał pieniądze - zwróciła się do Jokera. - Moja siostra jest bardzo głodna i boli ją brzuch.

Joker posadził sobie dziewczynkę na kolanie i powiedział:

- Jesteś śliczna jak dwa nowe asy.

Dziecko powiedziało coś po wietnamsku.

- Zabija ludzi - odparła po angielsku Ming.

James kazał jej uciszyć małą.

- Pierdol się - powiedziała Ming i zabrała dziecko z pokoju.

- To nie jest jej siostra - stwierdził Joker.

- Mówi, że jest.

- To najpewniej jej dziecko.

- No i co z tego? - Wstał, poszedł w róg, odpiął rozporek i odlał się do niebieskiego nocnika w czerwone kwiaty. W domu nie było bieżącej wody.

Nie wiedział, gdzie Ming się załatwia. Kiedy chciało się jej sikać, schodziła gdzieś na dół.

- Chodźmy - powiedział Joker. - Posłuchaj mnie, stary... Kowboj? Kowboj? Wiem, jak to gówny wygląda.

- Muszę ci wierzyć.

- Jest różnica pomiędzy śródmieściem a dżunglą.

- Żadne nie jest prawdziwym życiem.

- Ja tego nie powiedziałem. Posłuchasz mnie? Nie możesz więcej chodzić do śródmieścia.

James ruszył do drzwi.

- Siadaj za kierownicą, dziecinko! Ja nie mam rąk!

Było ciemno, choć jeszcze nie tak późno. Joker rozglądał się, kiedy długo szli do Czerwonego Krzyża i długo stali w kolejce. Zostawił Jamesa samego, gdy ten wykręcił numer do matki. Ledwo James się przywitał, już zaczął żałować, że dzwoni. Matka rozpaczliwie szlochała.

- Od dawna nie mieliśmy od ciebie wiadomości. Nie wiem, czy żyjesz, czy umarłeś!

- Ja też nie wiem. Nikt nie wie.

- Bill Junior poszedł do więzienia!

- Co zrobił?

- Nie wiem. To i tamto. Siedzi prawie rok, od dwudziestego lutego.

- A jaki miesiąc jest teraz?

- Nie wiesz, jaki jest miesiąc? Styczeń. - W jej głosie brzmiał gniew. - Z czego się śmiejesz?

- Nie śmieję się.

- Więc kto się śmieje prosto do mojego ucha?

- Gównu prawda. Ja się nie śmiałem.
- Nie używaj rynsztokowego języka, jak ze mną rozmawiasz.
- W Biblii nigdy nie mówią „gównu”?
- Wyciągnij język z rynsztoka. Ja ci tak każę. Twoja matka, która nawet nie wie, gdzie jesteś!
- W Nha Trang.
- Dzięki niech będą Panu, że wydostał cię całego z Wietnamu - powiedziała.

Ktoś się roześmiał. Przypuszczalnie on, choć nie było nic śmiesznego.

Wczesnym rankiem dwudziestego lutego 1970 roku Bill Houston podróżował państwową furgonetką w towarzystwie dwóch strażników więziennych oraz trzech innych szubrawców trasą osiemdziesiąt dziewięć do Phoenix; w więzieniu Florence odsiedział dwanaście miesięcy z wyroku jeden do trzech lat, choć nie było dla niego całkiem jasne, dlaczego go zamknięto ani dlaczego teraz go zwolniono. Wszystko wskazywało na to, że od dnia powrotu z marynarki nabierało się sporo zarzutów: nadzór kuratorski za kradzież auta, zawieszony wyrok za użycie siły, co oznaczało bójkę z kręcącymi się w pobliżu gliniarzami, którzy od razu mogli sprawców aresztować, nakaz doprowadzenia za niestawienie się przed sądem z powodu oskarżenia o kradzież w sklepie, później na głowę spadła mu kradzież skrzynki piwa, czyli dwudziestu czterech puszek. Pijąc, wędrował zaułkiem przy Czwartej Alei i trafił na otwarte zaplecze jakiegoś baru, do którego dostarczano piwo lucky lager, więc zabrał sobie skrzynkę z wierzchu. To miało być jego szczęśliwe piwo, ale sprowadziło na niego strasznego pecha. Kiedy dwie przecznice dalej jak każdy szacowny obywatel czekał na zmianę świateł - przekładając skrzynkę z lewego ramienia na prawe i zastanawiając się, gdzie znajdzie lodówkę - zatrzymał się przy nim wóz patrolowy. Kilka przesłuchań, miesiąc w więzieniu hrabstwa, a potem życie za pięciometrowymi murami.

Kiedy rok temu przypuszczalnie tą samą co teraz furgonetką i z tymi samymi strażnikami jechał do więzienia po nagrodę, którą obiecywali mu matka i nauczyciele, czuł się dorosły i podekscytowany. Czy to prawda, że w pudle próbują zadźgać cię i zgwałcić? W takim razie dlaczego nic takiego nie widział w więzieniu hrabstwa Maricopa? Co nie znaczy, że go to martwiło. W całym swoim życiu nie przegrał bójki i cieszył się na myśl, że znokautuje tych wszystkich, którzy będą próbowali zrobić z niego śmiecia. Z drugiej strony tam byli mordercy i inni tacy, nie mieli nic do roboty poza ćwiczeniami

i treningiem. Najlepiej nie podnosić głowy. Nauczyć się rzemiosła. Może zajmie się wyrobami ze skóry, pasami i mokasynami, papierośnicami. W końcu na ulicy znano go jako Skórczanego Billa. Pozwalają więźniom wyrażać pochwy na noże? Bardzo w to wątpił.

Przydzielony do baraków o średnim rygorze, stwierdził, że współwięźniowie nie są wcale podlejsi od tych, z którymi siedział w więzieniu hrabstwa, a jedzenie nawet trochę lepsze. Mieli trzystumetrową trasę do biegania oraz skomplikowany zestaw hantli. W drugim dniu pobytu wziął udział w meczu jako lewy skrzydłowy, miał dwie piłki i zdobył bazę domową. Rozegrali dziewięć rund, choć drużyny były tylko ósmiosobowe, za to dysponowali całym sprzętem, w tym hełmami dla miotaczy i pełną ochroną dla łapacza.

W trzecim miesiącu poczuł się w więzieniu jak w domu. Z tej odległości rzeczy, za którymi wcześniej tęsknił, wydawały się małe. Podejmowane prace domagały się od niego całej duszy, w zamian wpędzając w nędzę. Kobiety, z którymi się zadawał, szybko zaczynały go irytować. Alkohol zapewniał miłe chwile, ale też często wpychał w objęcia policji. Kiedy żył pośród wolnych obywateli, nieustannie bolał go brzuch. Nie miał ochoty na przeżywanie niczego poza alkoholem, natomiast tutaj od dnia przyjazdu czuł głód i niczym pies skupiał się na każdym posiłku. Przybrał na wadze osiem kilogramów, same mięśnie: co rano po pięćdziesiąt pompek i przysiadów, cztery razy w tygodniu podnoszenie ciężarów. W sobotnie popołudnia boksował, a kilku byłych zawodowych pięściarzy nauczyło go, że bicie to sztuka. Miał dobry oddech i umiał przyjmować ciosy. Był najlepszym Billem Houstonem, jakiego widział od dnia, gdy wyszedł z marynarki.

Teraz wracał na zachód, do domu w Phoenix. Ze wschodzącym słońcem grzejącym go w plecy żeglował ku życiu, którego nie potrafił sobie wyobrazić. Dali mu numer telefonu kuratora, czek na dwadzieścia dolarów oraz ubranie, w którym aresztowano go trzynaście miesięcy temu. Przyglądał się drodze przed sobą, pustyni znieruchomiełej w porannym słońcu, płaskiej i zielonej po zimowych deszczach, czarnej i prostej nawierzchni autostrady, i miał wrażenie, że budzi się w nim przecucie przygody, tak samo jak wtedy, gdy obserwował kalifornijskie wybrzeże wynurzające się powolutku zza relingu statku, na którym odbywał pierwszy rejs jako siedemnastolatek.

W Phoenix wszedł do pierwszego napotkanego baru i zadał się z pierwszą kobietą, która okazała mu cień sympatii. Powiedziała, że jest epilepticzką, i

chyba faktycznie nią była. Co parę godzin brała tabletkę, środek uspokajający, Seconal. Miała przy sobie kilka pełnych fiolek i twierdziła, że przepisał je lekarz. Wystarczyły jej dwa piwa, żeby się wstawić. Musiał długo z nią rozmawiać.

Na ulicy chciała, żeby szedł z zewnątrz, przy krawężniku, bo twierdziła, że gdyby ją prowadził od tej strony, oznaczałoby, że jest jej alfonsem. Wydawała się wiedzieć wszystko na ten temat, choć nie prosiła o pieniądze. Kiedy poszli do jej pokoju w hotelu z widokiem na Deuce, rejon Drugiej Ulicy, okazało się, że na seconalu polegać nie można. Nocą zaczęła się trząść.

- Co jest? - zapytał.
- Mam atak - odparła. Sprawiała wrażenie, że go nie poznaje.
- Zostało jakieś piwo? - Kupili tylko jeden sześciopak, znalazł kartonowe opakowanie rozplaszczone pod swoim gołym tyłkiem. - Lepiej odwiedzę rodzinę. Dopiero wyszedłem z więzienia.

Noc była chłodna. Bill wędrował po Deuce. Usiadłby gdzieś i się zdrzemnął, ale zbliżał się świt, chodnik był zimny, a bezdomni, którzy spali na ulicy z głowami opartymi na rękach, już zaczynali się budzić, by bez celu ruszyć pustymi ulicami. Bill Houston przyłączył się do parady dusz oczekujących na słońce.

Szedł tak długo, aż wytrzeźwiał, i pozostał w tym stanie do swojego pierwszego spotkania z kuratorem w budynku przy Jefferson Street, jako że abstynencja alkoholowa była warunkiem wcześniejszego zwolnienia. Ale nikt go nie sprawdzał, szybko więc popadł w stare nawyki, zbierając się w sobie tylko na cotygodniową konfrontację z człowiekiem, który jednym telefonem mógł posłać go z powrotem do więzienia. Kurator nazwiskiem Sam Webb, dobrze zbudowany miejski typ ranchera, nazywający Houstona „śródmiejskim kowbojem”, załatwił mu przyuczenie do zawodu. Po dwóch miesiącach na wolności Houston przychodził na spotkania z oddechem cuchnącym whisky, ale Webb tylko się krzywił.

- Mógłbym cię na weekend wsadzić do paki - powiedział - tylko że oni znowu cię wypuszczą. Cele we Florence są im potrzebne dla gorszych chłopców.

Houston skończył szkolenie i zaczął dostawać pełne wynagrodzenie. Prowadził wózek widłowy w składzie drzewnym; podobno była to największa taka firma na południowym zachodzie, nie licząc Kalifornii. Całymi dniami przewoził z potężnych ciężarówek do potężnych magazynów tony

cuchnących wymiotami świeżo pociętych desek, układał je w prostokątne stosy, nigdy inaczej, a potem powoli rozbierał. Inni robili z drewna różne rzeczy, on był tylko pośrednikiem. Prawie nie nawiązywał znajomości, choć sporo pił, unikał kłopotów i prowadził życie samotnika, odczuwając coś w rodzaju niechęci do stania się znowu sobą. Pracował w składzie niemal do końca wiosny, kiedy to z powodu coraz dłuższych nieobecności uznali go za bezużytecznego i wylali.

Misja miała sens, dopóki nie została wypełniona. Niczego nie osiągnęli. Szukali bezpiecznego miejsca na noc. Nie przyjęli ich do obozu Sił Specjalnych. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa sama obecność Sił Specjalnych oczyściła teren z działalności, ale nikogo nie powiadomiono o obecności sześciu zwiadowców. Zgodnie z przestarzałymi zasadami wywiadu zdrzemnęli się i ruszyli dalej, chociaż powinni spać w Nha Trang. Misja nie miała sensu.

To był bardziej zamach niż zasadzka. Przez ostatnie pół kilometra prowadził James. Noc była ciemna, bezgwiezdna, ale ciemność swoje wiedziała. James podążał za nią. Po kilkuset krokach ciemność się poszerzy i dojdą do miejsca, które znają; tam odpoczną i poczekają na świt, niewykluczone też, że poproszą o podjęcie.

Za nim rozległy się trzy krótkie wystrzały. Padł i poczołgał się z powrotem, ale po paru metrach się zatrzymał, ponieważ w tym miejscu jego życie skręcało ostro w lewo. Gdy inni odpowiedzieli ogniem, spadały na niego liście. Na szlaku zadudniły kroki. W drzewa uderzył granat i James wcisnął twarz w ziemię, by ochronić się przed eksplozją. Potoczył się w lewo w zarośla, w kierunku wyznaczonym przez linię jego życia, i wypatrywał błysków na szlaku. Nic. Ogień ustał. Umilkło skrzeczenie owadów. Chwila była pełna siły i spokoju. Powietrze dźwięczało głębią. Brednie splonęły na popiół.

Wężowym ruchem ruszył przez podniecające rany w zaroślach, aż usłyszał jednego ze swoich czołgającego się po szlaku i cmoknął językiem. Odpowiedział mu jęk. Wyczuł kłopoty. Jęki wzniosły się do pieśni, ale nie spowodowały ognia.

- Ranny! Ranny!

- Na szlaku! Na szlaku! - To był głos Brudasa. James usłyszał kroki, wystrzelił trzy razy, żeby kryć tamtego, po czym znieruchomiał. Brudas kucnął nad rannym.

- Łap za kostkę. Idziemy.

- Pierdolić to. Tu nie ma żadnej osłony.

Joker szedł szlakiem, jakby był w parku.

- Po wszystkim. - Przystanął z boku z bronią gotową do strzału. - To był tylko jeden skurwiel.
- Brednie.
- Widziałem każdy błysk. Ani razu nie spuściłem wzroku.
- Patrz tutaj, patrz na mnie! - powiedział Brudas do rannego.
- Nic nie widzę poza kupą gówna.
- Bakers!
- Kto to?
- To ja, Brudas. Nie zamykaj oczu!
- Kurwa, nie jestem na świecie, stary. Nie jestem.
- Jesteś tutaj. Wszystko w porządku.
- Nie czuję tego. Kupa gówna.
- Jesteś tutaj.
- Nie czuję świata, stary.
- Kto rzucił granat?
- Ja - odparł Joker. - Skurwiel trzy razy pociągnął za spust i padł.
- On ma puste oczy. - Brudas nachylił się, by poczuć oddech. - Już po nim. Na dobre.

Teraz byli tu w pięciu. James znowu zaczął dowodzić, każdy z pozostałych złapał za rękę albo nogę i powlekli szlakiem ciało Bakera w stronę odległej o trzydzieści metrów polany.

- Dajcie mu identyfikator.
- Wyleciał w górę. I zaraz umarł.
- Ale mnie się podoba to, co zrobił. Został sobą.
- Tak?
- Nie rozkleił się jak małe dziecko - powiedział Brudas, który sam szlochał.

James nie znał Bakera zbyt dobrze. Wypełniały go wdzięczność i miłość za to, że trafiło na Bakera zamiast na innych. Zwłaszcza na niego.

- Złapiemy kogoś z pobliskich wiosek i wszyscy się dowiedzą.
- Pierdolić to. Winne są Zielone Berety. Wierzysz w to gówna?
- Nie.
- Gdyby wpuścili nas na swój teren, ten facet by żył. Ten facet by się śmiał.

- Trzeba wezwać pomoc i zabrać go stąd.
- Jeszcze nic.
- Brudasio, stary, już po wszystkim, człowieku.
- Zostawcie radio w spokoju. - Brudas głośno szczerknął spustem.
- *Si, señor!* Nie dotknę tego kurewstwa.
- Kto idzie ze mną?

Brudas i Conrad ruszyli na łowy, pozostali czterej zostali ze zwłokami.

- On nie żyje, bo te skurwiele nie wpuściły nas do obozu.

- Jak spotkam w mieście kogoś w bereciku, tak długo będę za nim chodził, aż wsadzę mu nóż w plecy.

- Zaatakujemy tych tchórzliwych dupków.

James przykucnął, plecami opierając się o drzewo, i zrolował jointa. Liżąc papier, czuł metaliczny smak broni na palcach.

Wstał i zapalił; reszta stłoczyła się wokół niego, by ukryć żarzący się czubek papierosa.

- Słyszałeś, co mówił o kupie gówna? Wiedział. Wiedział.

- Rozwaliło mu plecy.

- I dobrze. W przeciwnym razie czekałoby go życie na elektrycznym wózku. To wyrok, stary. Poruszasz się, dmuchając w tubkę.

- Trafiło go niżej. Miałby ręce.

- Nie jeździłbym na wózku. Wisiałbym na uprzęży pod sufitem.

James zostawił ich i znowu usiadł pod drzewem. Nie chciał rozmawiać o takich sprawach, skoro mózg rozdał mu się jak balon i wreszcie ostygł. Odchylił głowę i popatrzył w niebo. Ciemność, nicość, czysta nicość, tylko ciche elektryczne prądy. Dusza wszystkiego.

- Nie wierzę w to gówno - powiedział.

- Te bereciki mają swój plan dokładnie ustalony.

- Nie srają. W gaciach mają zero.

- Walnijmy w te ich tchórzliwe, pierdolone dupy.

- Chodźcie tutaj - powiedział James. Pozostali zbliżyli się i kucnęli wokół niego. - Potrzebuję chińskiego granatu. Jak dostanę chiński granat, zmielę tych skurwieli na pulpety.

- Dzisiaj w nocy?

- Jak tylko będę miał granat.

- Conrad ma.

- Wiem.

- Zepsujemy im noc. Rozwalimy ze dwudziestu skurwysynów.
- Pomiędzy nimi cicho jak myśl pojawił się Conrad.
- Wróciłeś?
- Sam.
- Gdzie Brudas?
- Złapał kobietę.

James wstał.

- Daj mi granat.
- Co?
- Wiesz, o czym mówię. Ten chiński granat.
- Zabieram go do domu.
- Do domu gdzie?
- Do domu w domu.
- Pierdolić dom.
- Jako pamiątkę.
- Nie możesz go tam zabrać.
- Kurwa. Nieważne.
- Skombinuję ci inny.

Conrad nosił granat w kieszeni na piersi. James siłą mu go odebrał.

- Idziesz ze mną?
- Gdzie?
- Z powrotem. Tam, gdzie bereciki smacznie sobie chrapią.
- Nie pierdolisz?
- Nie.
- Pójdę, jeśli poczekaasz na przesłuchanie.

Wrócił Brudas, w pole widzenia noktowizora Jamesa wprowadzając drobne, nagie stworzenie jak w krąg światła. Wydymała błyszczącą dolną wargę, jakby ktoś obrzucił ją wyzwiskami. Wydawała się dostatecznie rozgniewana, żeby zabić, ale nie miała broni. Przygwoździli ją do ziemi i ustawili się w kolejce, ale Brudas już swoje zrobił, a James chciał zachować złość na osobistą Godzinę Zero z Zielonymi Beretami. Kiedy skończyli, nie trzeba było jej trzymać. James ukląkł, przystawił ostrze noża do brzucha kobiety i powiedział:

- Jaki masz stopień, żołnierzu? Pokazywano ci kiedyś, co z czymś takim robić, żołnierzu? Widziałas to już wcześniej, żołnierzu? Jaki masz stopień? Na co patrzysz? Myślisz, że jesteś moją matką? Ty jesteś moją matką, ale kto, do kurwy nędzy, jest ojcem?

Przesłuchiwał ją tak długo, aż dłoń mu osłabła i nie był w stanie utrzymać rękojeści.

Ostatnimi czasy Phoenix wydawało się Billowi Houstonowi o wiele większym miastem. Przedmieścia zapuszczały się daleko w pustynię. Ruch na ulicach był potężny. Często o świcie horyzont przykrywały warstwy brunatnego smogu. Kiedy za bardzo mu to wszystko dokuczało, brał linkę z kilkomma haczykami i szedł nad jeden z szerokich kanałów irygacyjnych, gdzie sumy czekały w beztrioskiej nieświadomości dwudziestego wieku. Powiedziano mu, że sumy przyplłynęły z rzeki Kolorado, i radzono, by używał kawałków frankfurterki jako przynęty oraz plastikowego ciężarka, dzięki któremu haczyk będzie muskał dno, ale on nie miał ciężarka, nie miał nawet wędki i kołowrotka, a szczęście go omijało. To mu nie przeszkadzało. Sednem tego zajęcia było oczekiwanie i nadzieja, obserwowanie wody przepływającej przez odwieczną pustynię, zastanawianie się nad jej biegiem. Houston często zostawał do późna, szpiegując ludzi odwiedzających to samotne miejsce, dzięki czemu pewnej nocy mógł zaskoczyć trzech hippisów handlujących prochami, którzy mieli trzysta pięćdziesiąt dolarów w gotówce oraz zapakowaną w czerwony celofan meksykańską marihuanę. Ze wzrokiem utkwionym w jego dygoczącą maczetę chłopcy powiedzieli, że to meksykański towar średniej jakości, nie specjalnego, choć oczywiście może go sobie wziąć. Houston zostawił im maryśkę, chociaż sam mógł ją komuś sprzedać. Ale taką miał zasadę. Terroryzował i okradał smarkaczy, mógł nawet kogoś dźgnąć nożem, gdyby musiał, zawsze jednak trzymał się z daleka od narkotyków.

Tuż przed porą zamknięcia stał na chodniku przed otwartymi drzwiami baru, skąpany w ciepłym, alkoholowym powietrzu. Dobiegająca ze środka muzyka country trafiała mu prosto w serce. Z baru wyszedł drobny mężczyzna, klnąc na czym świat stoi i usiłując ściągnąć rozdarty przez napastnika T-shirt. Kościsty szczur, za stary, żeby się bić, z krwawiącą wargą i jednym okiem całkiem zapuchniętym. Uśmiechnął się jak ukarane dziecko.

- To mnie wyleczy. To już koniec.

Wiele, wiele razy Bill Houston obiecywał sobie to samo.

Kapitan Galassi wyrażał troskę o poczucie własnej wartości Jamesa. Nie był chłopczykiem-kapitanem, ale prawdziwym żołnierzem: w Wietnamie od sześćdziesiątego trzeciego, udział w walkach i tak dalej, mimo to pozwolił

sobie na troskę o poczucie wartości własnej Jamesa i wyrażał ją na głos, podczas gdy sierżant Lorin siedział w pobliżu z pięściami opartymi o uda i nic nie wyrażał.

- Jak masz na imię, kapralu?
- James.
- Będę się zwracał do ciebie „James”, a nie „kapralu”, bo szybko przejdziesz do cywila. A poza tym w moich oczach nie jesteś żołnierzem. Masz coś do powiedzenia na ten temat?

- Nie.
- Solidnie cię pobili, co? Nieźle załatwili, kurwa. Myślisz, że dostaniesz za to Szkarłatne Serce?

- Jedno już mam. I to też było głupie.
- Widzisz, James, to są żołnierze. To są porządni ludzie. Ściślej rzecz biorąc, moja siostra wyszła za jednego z nich. Wiedzą, po co tutaj przyjechali, i konsekwentnie to realizują. Wiedzą, kto jest wrogiem, i nie zabijają swoich. To są tacy chłopcy, że jak swoi próbują coś im zrobić, jak Amerykanin próbuje ich rozpiardolić i rzuca im granat na kolana, nie zabijają tego Amerykanina, bo ten Amerykanin nie jest ich wrogiem. Tylko trochę go zjebią, bo ten Amerykanin jest pierdolonym synem pierdolonej kurwy.

James pozostawił to bez komentarza.

- Dostałeś od nich to, na co zasłużyłeś. Nadal sikasz krwią?
- Nie, sir.
- Możesz normalnie jeść?
- Nie potrzebuję jedzenia.
- Chcesz mi powiedzieć, że nie rzuciłeś w nich granatem?
- Nie rzuciłem żadnym granatem.
- Skurwiel spadł z nieba.
- Nic nie wiem o żadnym kurewskim granacie. Ale coś ci powiem o Zielonych Beretach: wolą zostawić swoich w dżungli na pewną śmierć niż wpuścić do obozu. I jeden z naszych chłopców został zabity. Rozwiodła się z nim?

- Kto?
- Twoja siostra.
- To nie twój interes.
- Jak masz na imię?
- To też nie twój interes.

- Okay, Jack. Ty dla mnie też nie jesteś żołnierzem. Skoro popierasz te gówniane Siły Specjalne przeciwko swoim zwiadowcom. Pierdol się, Jack.
- Wiesz, co myślę? Myślę, że razem z sierżantem zabierzemy cię w ustronne miejsce i zjemy jak Zielone Berety.
- Zjemy cię w stylu Zielonych Beretów - powiedział sierżant Lorin.
- Z największą przyjemnością. Chodźmy.
- Przepróż kapitana.
- Przepraszam, sir.
- Przeprasiny przyjęte, James. Myślę, że straciłeś panowanie nad sobą i zdolność jasnego myślenia w tej trudnej, pełnej napięć atmosferze czasu wojny. Tak?
- Myślę, że to realna możliwość.

Kapitan Galassi zapalił papierosa. Klimatyzacja w baraku nie filtrowała dostatecznie zapachów z zewnątrz, dobrych amerykańskich zapachów: tłuszcz, pieczone ziemniaki, smażone mięso, całkiem znośny odór latryn, nie taki jak latryn pełnych śmierdzącego gówna żółtków. Kapitan Galassi wydmuchał kłąb dymu, co skutecznie stłumiło wszystkie inne zapachy.

Popierdolony poczęstowałby go papierosem. James żałował, że to nie są czasy starego Popierdolonego, kiedy wariatami byli wyłącznie oficerowie.

- Mogę zapalić, sir?
 - Proszę bardzo.
 - Ale nie mam.
 - W takim razie to nie będzie możliwe.
 - Więc nie zapalę.
 - Co odebrało ci rozum? Brałeś dużo El Ess Deee, synu?
 - Nie biorę prochów. Chyba że takie są zalecenia.
 - Czyje zalecenia? Twojego dealera?
 - Wynikające z charakteru misji, sir.
 - Masz na myśli speed.
 - Mam na myśli to, co powiedziałem.
 - Masz na myśli to, że jesteś mały Speedy Gonzales. Zdajesz sobie sprawę, jaki jesteś pojebany? Daleki zwiad wyprowadził cię poza granice zdrowia psychicznego. Musisz wracać do domu.
 - Dopiero co podpisałem następną turę.
 - Nie zostaniesz. Nie chcę cię na mojej wojnie.
- James nic nie powiedział.

- Masz spodnie brudne na kolanach.
- Kopałem, sir.
- Albo cztery dni temu wieczorem szedłeś na kolanach po Trang Khe Street.

- Cztery dni temu? Nie wiem, sir.
- Dlaczego przestałeś wpadać z kumplami do Midnight Massage?

Brak odpowiedzi.

- Znalazłeś sobie stałą metę. Małą stałą kobietkę na Tranky Street. Byłeś na Trang Khe Street cztery noce temu?

- Tak myślę. Nie wiem.

- Byłeś?

- Tak myślę.

- A może byłeś na patrolu?

- Nie wiem.

- Co się stało?

- Kiedy? Na Tranky?

- Na patrolu, kiedy zamordowano kobietę, ty pierdolony morderco.

James nagle znienawidził tych dwóch sukinsynów, bo jeśli mają zamiar to zrobić, powinni byli dać mu krzesło i papierosa.

- Co się stało z tą kobietą, James?

- Każdego czeka taki koniec, jak jest wrogo nastawiony, to wszystko.

- Byłeś na patrolu?

- Nie.

- Cztery noce temu?

- Nie.

- Nie? Zwracaj się do mnie per „sir”.

- Kto na nas doniósł?

- Nie twój interes - odpowiedział sierżant Lorin.

- Ktoś kłamie.

- Ktoś kłamie na jaki temat? - zapytał sierżant.

James poczekał, aż odezwie się kapitan.

- Ty to zrobiłeś?

- Nie wiem.

- Nie wiesz? Do jasnej cholery, człowieku, mów do mnie sir.

- Nie wiem, sir.

- Zrobiłeś to czy nie?

- Nie pamiętam, jaka to była noc, sir. Chyba w zeszłym tygodniu wypilem za dużo piwa.
- Urządził sobie solidny ochłaj - powiedział sierżant.
- Lubisz piwo, James? No cóż, w Leavenworth nie ma piwa.
- Byłeś tam?
- Nie bądź taki hardy.
- Mam tam kumpli.
- Nie bądź taki hardy.
- Przeprós kapitana.
- Przepraszam, sir.
- Co zrobiłeś tej kobiecie?
- Ona była z Wietkongu.
- Brednie.
- Była kurwą Wietkongu.
- Brednie.
- Ona była kurwą, a to jest wojna. Sir.
- Nie mów mi, co to jest. Wiem, co to jest. Myślę.
- Ja też.
- Planujesz czwartą turę?
- Tak jest, sir.
- Nie, sir. Dla ciebie to koniec.
- Sir, o siedemnastej mam patrol.
- Patrol? Jezu Chryste. Po pierwsze, nie wysyłamy na patrol facetów z połamanymi żebrami i ręką w gipsie.
- To temblak, a nie gips. Zaraz go zdejmę.
- Po drugie, nie wysyłamy na patrol cywilów.
- Nie jestem cywilem.
- No - powiedział kapitan i ogarnął go taki gniew, że zaczął bełkotać - pozwolisz, że ci powiem, że skoro nie jesteś cywilem, to jeszcze o tym usłyszysz? Zamierzam się tym zająć, wrócę do ciebie, to jeszcze nie koniec. Wrócę do ciebie. Może sporo ludzi się tobą zajmie. Może cała armia.
- Nie sądzę.
- Nie sądzisz? To z twojej strony niesubordynacja?
- Tylko coś mówię.
- Co mówisz?
- Nie wiem.

- Co mówisz?
- Myślisz, że do mnie wrócisz, ale ja tak nie sędzę, bo ona była kurwą, a to jest wojna. A takie rzeczy się zdarzają, bo to jest wojna, bo to nie jest tylko wojna.

- No więc co to jest? Wojna czy nie?
- Mówię właśnie.
- Ty mały śmieciu. Byłem na wojnie, zanim nauczyłeś się trzepać kapucyna. W porządku?

- W porządku.
- W porządku - powiedział kapitan. Przez trzydzieści sekund stali i nic nie robili.

- Kapitanie, sir - odezwał się James. - Muszę iść. Muszę się zbierać.
- Nie, James. Nie musisz. Jezu Chryste. Patrol?
- Tak jest, sir.

Kapitan Galassi wstał. Energicznie podszedł do drzwi baraku i otworzył je szeroko. Na dworze był kurz, hałas ciężarówek, helikopterów - ciężki, szary dzień.

- Sierżancie, porozmawiajcie z tym żołnierzem - powiedział i zamknął za sobą drzwi, zostawiając ich w relatywnym spokoju przerywanym cichym szumem klimatyzacji.

Sierżant usiadł za biurkiem kapitana i gestem wskazał Jamesowi krzesło. Ale nie zaproponował mu papierosa.

- Mogłeś zabić co najmniej czterech skurwysynów. Ale tylko ty jesteś ranny. - Po krótkiej chwili Lorin dodał: - Ale ta sprawa z kobietą.

- Takie gówniane sprawy dzieją się ciągle.

Lorin spojrział na niego. Wpatrywał się w niego.

- James - powiedział.
- Co.
- Nie. Ty mi powiedz, co.
- No wiesz, skąd wzięło się to gówno o kobiecie, co to gówno robi w moim filmie.

- Lubisz swój film?
- Bo mam sensory. Jak zaczyna się gówniana sprawa, mój mózg przełącza się na technicolor. Bo mam te czujniki.
- Więc chcesz dalej tu być?
- Taa.

- Oglądać swój film w technicolorze?
- Tak.
- Aż wpadniesz i umrzesz?
- Tak.
- W tym punkcie właściwie się z tobą zgadzam, James. Wypuszczenie cię luzem w Stanach nie wydaje mi się rzeczą zbyt rozsądną. Według mnie należałoby cię trzymać tutaj, aż ktoś cię zabije. Ale jeśli to ma być normalne, kurwa, to to nie jest amerykańska armia, zgadzasz się?

- Wszyscy poruszamy się w ciemności, sierzancie. Błędy są nieuniknione.

- To prawda. Tylko że ten mały błąd z kobietą dotarł prosto do kapitana. I w tej cholerniej sprawie wszystko wskazuje prosto na ciebie.

- Możesz dać mi szluga?
- Za chwilę. Coś ci powiem.
- Okay.
- Myślę, że to realny układ, Kowboju. Musisz wracać do domu.
- Do domu?
- Tam, skąd pochodzisz.
- Nie wiem, co powiedzieć.
- Powiedz, że jesteś popieprzony.
- Jestem popieprzony.
- Jeśli nie chcesz biletu na wyjście z piekła, to znaczy, że masz nierówno pod sufitem, zgadzasz się, żołnierzu?

- Ty mówisz, ja muszę słuchać. Zawsze trafiałeś prosto w sedno, człowieku.

- Wuj Ho wyciągnął kopyta. Wygrałeś wojnę. Już po wszystkim.
- Tak?
- Pakuj się. Wracaj do domu. Natychmiast.
- Teraz?
- Natychmiast. Jedź na Tan Son Nhut i wsiadaj do samolotu. Po prostu jedź. Dam ci urlop, a później załatwimy wszystkie papiery.

Sierzant wyjął papierosy. Poczęstował Jamesa i podał mu ogień zapalką z Midnight Massage.

- Będzie honorowe - powiedział.
- Co?
- Zwolnienie.

- Och... no tak. Honorowe?
- Zwolnienie honorowe.
- Skoro tak mówisz.
- Mówię: honorowe. Zawsze będę to powtarzał.

W środku czerwca Bill Houston wpłacił kaucję za swojego brata Jamesa. James kilka tygodni wcześniej wrócił do Phoenix, ale z nikim się nie kontaktował, dopóki nie aresztowano go za udział w bójce. Wtedy zadzwonił do matki. Uśmiechał się, mijając biurko strażnika. Poza tym sprawiał wrażenie czujnego, jakby coś mogło zaatakować go od tyłu.

- Po pierwsze, nie uśmiecham się dlatego, że jestem dumny. Uśmiecham się, bo cholernie się cieszę, że stąd wychodzę.
- Masz farta, że miałem kilka dolców.
- Przykro mi, że musiałeś wydać je w taki sposób.
- Zwykle marnie ze mną, ale ostatnio sprawy zaczęły inaczej się układać.
- Wygląda na to, że trochę przytyłeś.
- No, byłem we Florence.

Na ulicy James pochylił głowę i zmrugał oczy przed światłem.

- Doceniam to, Bill. Szczerze.
- Rodzina musi się liczyć. Bo nic innego się nie liczy.
- Masz rację.
- Gotowy na hamburgera?
- Jak dwa razy dwa - James wypluł prymkę tytoniu, która podskoczyła na chodniku jak mały balasek. - Ile zapłaciłeś facetowi od kaucji?
- Sto. A jak schrzaniisz i nie stawisz się przed sądem, będę mu winien tysiąc.
- Nie schrzanię.
- Mam taką nadzieję.
- Tę setkę też ci oddam.
- Nie ma pośpiechu. Oddasz, jak będziesz mógł.

Bill Houston prawą ręką sięgnął do lewej kieszeni dżinsów i wyjął kluczyki.

- Masz auto.
- Taa. Rollsa.
- Bez żartów?

To był stary lincoln z maską jak pokład awionetki.

- Taa. W gruncie rzeczy to nie jest rolls, choć się toczy, jak naciśniesz gaz.

Zabrał Jamesa do McDonalds'a, gdzie kupił mu trzy największe burgery i dwa czekoladowe szejki. James zjadł szybko, potem usiadł z rękami skrzyżowanymi na piersiach i na wszystkich patrzył wyzywająco.

- Hej.

James głośno beknął.

Rozmawiali o matce.

- A właściwie to ile ona ma lat? - zapytał James.

- Co najmniej pięćdziesiąt osiem - odparł Bill. - Może pięćdziesiąt dziewięć. Ale wygląda na sto.

- Wiem. Taa. Od dawna tak wygląda.

- No i wiesz, mnie nazywają Bill Junior. Ale czy coś nie przyszło ci do głowy? Bo mnie przyszło dawno temu.

- Co?

- Nie ma żadnego Billa Seniora.

Stary przy sąsiednim stoliku zapytał ich:

- Ile macie lat, chłopcy?

Spojrzeni po sobie.

- Ja mam sześćdziesiąt sześć - powiedział stary. - No wiecie, trasa sześćdziesiąt sześć? Dokładnie tak samo. Sześćdziesiąt sześć.

- Pierdol się - poradził mu James.

Bill Houston patrzył, jak James wyciąga tabakę. Wyjął prymkę z puszki, wepchnął w usta, zamknął wieczko, wytarł palce w spodnie.

- Facet od kaucji powiedział, że gliniarze po raz czwarty w ciągu dwóch tygodni zgarnęli cię za bójki, więc w końcu musieli cię oskarżyć.

- Tak powiedział?

Billa Houstona wpieprzało, niezrozumiale irytowało to, że James odgrywa doświadczonego żołnierza, jakby zbadał jakiś tajemniczy region i był tam poddawany torturom.

- Chcesz jeszcze jednego hamburgera?

- Nic mi nie trzeba.

- Tak? Nic ci nie trzeba?

- Tak.

- Dowody wskazują, że jest wręcz przeciwnie.

Na drugi dzień po wyjściu z więzienia James poszedł do małego biura, gdzie tłusty, smutny mężczyzna pomógł mu wypełnić formularze. Powiedział, że czeki zaczną przychodzić mniej więcej za miesiąc, o ile wszystko w miarę się ułoży. Podał Jamesowi adres miejsca w śródmieściu, gdzie może uzyskać dodatkowe korzyści, i James tam poszedł, ale musiał czekać w kolejce, a potem wypełniać następne idiotyczne formularze.

Przez kilka dni pozwolono mu mieszkać w hostelu we wschodniej części miasta, przy Van Buren Street, ulicy zbirów wyjętych spod prawa i kurew, trzydzieści przecznic od miejsca, gdzie mieszkała jego matka, gdy wyjeżdżał do Azji. Może wciąż tam mieszka.

Rano urządzał sobie marsze, rzadko się zatrzymując. Na zachodzie znajdowały się fabryki i magazyny, w pozostałych kierunkach miasto ustępowało przed podmiejskimi szlakami, pustą pustynią albo nawodnionymi polami uprawnymi. Był początek pustynnego lata, upalny, ale suchy. James nosił słomiany kapelusz i przez cały dzień słońce miał za sobą; gasił pragnienie, w przydrożnych knajpach prosząc o wodę. Kiedy słońce zaczynało go wyprzedzać, odwracał się i szedł w przeciwnym kierunku. Tylko w połowie był włączony. Resztę otaczał mrok. Wyczuwał, jak jego sensory umierają.

Nie skontaktował się ze Stevie. Przyszła zobaczyć się z nim, zanim na dobre opuścił hotel, i wybrali się na drinka, ale w Aces Tavern wrzeszczała na nią tak długo i głośno, że barman kazał mu wyjść. Stevie została, powiedziała, że zobaczyła już, co miał jej do pokazania, wszystko zrozumiała i nie pójdzie nigdzie z facetem, który za jej dobroć odpłaca przekleństwami i obelgami. Kiedy barman wyrzucił go na ulicę, James obejrzał się i zobaczył, że Stevie płacze, kołyszac się w świetle szafy grającej. Pół godziny później znalazła go stojącego na Dwudziestej Czwartej przed stanowym szpitalem dla psychicznie chorych i zagląającego przez bramę na rozległe trawniki, które w świetle łukowych lamp wyglądały srebrzyście i magicznie. Już nie płakała. Powiedziała, że nie potrafi przestać go kochać. James przysiągł, że znajdzie robotę.

Skończył wojnę, mając niespełna czterysta dolarów w gotówce. Wynajął mieszkanie w budynku ze sklejki o nazwie Rob Roy Suites oraz kupił harleya w kawałkach. Zaczął składać go w salonie, choć wiedział, że nigdy nie uda mu się doprowadzić tej pracy do końca. Nienawidził sąsiadki z naprzeciwnka, agresywnej lesby z niewyparzoną gębą. Widać było, że kiedyś była seksowna, ale od zawsze nie cierpiała mężczyzn. James nie miał pojęcia, co robić.

Czego te dobre dusze od człowieka oczekują? Wieczorami najczęściej wychodził do baru oddalonego o kilka przecznic, gdzie niemal zawsze można było wdać się w bójkę, albo pił porto z plastikowych kubków w miejscach zatłoczonych zniszczonymi alkoholikami. Czekał, aż zaczną nadchodzić czeki. Kiedy zaczęły, kupił colta kaliber czterdzieści pięć, prawdziwego sześciostrażalowca. Był przekonany, że w końcu zastrzeli kobietę z naprzeciwka: czuł, że żadna ludzka moc nie jest w stanie temu zaradzić.

Po miesiącu w Rob Roy Suites przeniósł się do Majestic Palms Apartaments na Trzydziestej Drugiej, niedaleko Van Buren. Co rano siadał goły przy oknie bez zasłon, kołyszając kolanami i obserwując niesamowicie tłustego czarnego, w T-shircie wielkim jak namiot cyrkowy, przechodzącego przez ulicę do Circle K na rogu.

James włączył się po okolicy, mijał niechlujne kurwy siedzące na przystankach autobusowych, potraçał starszków drobnymi kroczkami przechodzących przez skrzyżowania i obserwował Meksykanki na cienkich, niebotycznie wysokich szpilkach i w obcisłych różowych spodniach, które wyglądały, jakby były na sprzedaż, choć w rzeczywistości było odwrotnie.

Siadł na przystanku autobusowym. Zaciągnął się koolem. Spluwał między stopy. Trzymał w palcach szyjkę butelki z wódką popov, głowę ku ziemi zginała mu miążdząca nieistotność tych milionów potworów i ich gier.

Siedzący koło niego starszy gość z gazetą rozłożoną na kolanach, który przez zmrużone powieki czytał w oślepiającym słońcu, zaczął przeklinać ludzi, którzy kwestionują wysiłki militarne w Wietnamie.

- Ci chłopcy dobrze robią. To są nasi chłopcy. Robią dobrze - powiedział. Jamesowi przyszła ochota na papierosa i powiedział to na głos. - Nie palę - odparł stary. - Nie piję nawet kawy. Wychowano mnie na mormona. Tak jest. Wychowano na mormona. Ale teraz w to nie wierzę. Wiesz czemu? Bo to fałsz. - James powtórzył, że chciałby zapalić, a mężczyzna wstał i odszedł. Pojawił się pies, stanął i popatrzył na Jamesa.

- Masz niezły pysk, kolego - powiedział James. Podrapał psa za uszami i powiedział: - Tak, kolego, masz niezły pysk.

Pewnego wieczoru w Aces Tavern wpadł na swojego starszego brata Billa i jego starego kumpla Pata Pattersona, który właśnie wyszedł z więzienia stanowego Arizony we Florence, gdzie się poznali. Był to szczupły, wyprostowany młody człowiek, który wyglądał, jakby wylądował tu prosto z lat

pięćdziesiątych, kiedy królowało rockabilly: włosy szesane w czub, krótkie rękawy podwinęte ponad triceps i podniesiony kołnierz.

Bill pokrótce wyjaśnił bratu, jak to jest w więzieniu:

- Ty masz swoich ludzi i oni mają swoich, w zależności od koloru skóry. Nie chodzi o to, kto ma rację, a kto nie. Chodzi o to, kto jest kim, kim są twoi ludzie. Masz wobec nich dług.

- Wiem o tym.

- Wiem, że wiesz. Jasne. Masz doświadczenia z obu stron lufy.

- Nieprawda.

- Ale ja mówię, że musisz mieć mnóstwo doświadczeń.

- To nigdy się nie stało. Nigdy się nie stało.

Bill Junior obrócił w dłoniach szklankę i zmarszczył brwi.

- Wiesz co, James, twoje zachowanie trochę mnie wkurza. - Odchrząknął, upewnił się, że barman nie patrzy, i splunął na podłogę. - Bo to tak wygląda: „James wrócił do świata. A świat to jeden wielki syf, więc James ma ochotę naszczać na niego”. Jak długo planujesz być dupkiem?

- Aż coś mnie przekona, żeby zachowywać się inaczej.

Bill osuszył szklankę, wstał i ruszył do drzwi.

Patterson zwrócił się do Jamesa:

- Mam pytanie do ciebie. Czy nazwa Aces Tavern znaczy to, co w zdaniu: Człowieku, mam cztery asy? Czy się tak nazywa, bo należy do gościa o nazwisku Ace? - Wskazał barmankę i powiedział: - Młoda i gorąca maszynka. - James zgodził się, że dziewczyna jest drobna, ale młodość dawno ma za sobą. Ciało po wewnętrznej stronie przedramion trzęsło się, kiedy wrzucała kufle do zlewu, strzepywała z nich krople wody i stawiała na ręczniku. James zwrócił na to uwagę.

- Nie patrzę na jej ręce - odparł Patterson. - Patrzę, jak kręci tyłkiem.

- Lepiej pójde zobaczyć, co knuje Junior.

- Pierdolić go. Nic mu nie będzie.

James wyszedł na chodnik, ale Billa nigdzie nie było, tylko jakiś młody mężczyzna napastował przechodniów, próbując sprzedać koszulę z własnego grzbietu. James wrócił do Aces Tavern i Pattersona, który go zapytał, czy ma broń. James potwierdził.

- A nie byłeś przypadkiem zwiadowcą w Wietnamie?

James znowu odpowiedział twierdząco.

Patterson miał zamiar obrabować kasyno, które jacyś ludzie prowadzili w samotnym domu niedaleko Gila Bend, i zastanawiał się, czy James nie chciałby

trochę zarobić. Wyjaśnił, że nocny skok na kasyno na pustyni miałyby w sobie coś z działań wojennych.

- W porządku - zgodził się James.

Powiedziano im, że pacjentem jest dziecko, ale to był dorosły mężczyzna po trzydziestce, przypuszczalnie członek Wietkongu. Dopiero teraz ludzie, którzy ich tutaj przyprowadzili, wyjaśnili, że to rolnik, który wykopał i zdetonował pocisk artyleryjski. Sądząc po naturze obrażeń - jedna ręka zmiażdżona, reszta ciała nietknięta, prawdopodobnie osłonięta - ten człowiek najwyraźniej miał zamiar wykorzystać pocisk, żeby zwrócić go przeciwko jego amerykańskim producentom. Sposób, w jaki pacjent nabawił się obrażeń, nie miał znaczenia dla doktora Mainichikoha, a Kathy z całą pewnością nic to nie obchodziło. Z lekarzem w jego land-roverze jeździła po wioskach z większą swobodą niż z jakimkolwiek zespołem WCS, a za podróże płaciła, asystując mu przy zabiegach jako pielęgniarka. Na wsiach doktor Mainichikoh znany był jako „Dr Mai”, co wypowiedane z określoną intonacją wznoszącą mogło oznaczać „Dr Amerykanin”, a dzisiaj spowodowało nieporozumienie: Kathy, bez wątpienia Amerykanka, została wzięta za lekarkę, a niewielki Japończyk za pielęgniarza. Mai nie próbował niczego wyjaśniać, ocenił tylko sytuację i zaczął wydawać polecenia. Lubiała z nim pracować. Był pomysłowy (rzecz bezcenna w tych okolicznościach, gdzie wszystkiego brakowało) i tak pogodny, że sprawiał wręcz wrażenie niewrażliwego na ponure fakty. Jak rozumiała, pochodził z bogatej tokijskiej rodziny zajmującej się importem i eksportem. Nie miała pojęcia, czy robili też interesy z Wietnamem.

Dwaj mężczyźni, którzy ich tu przyprowadzili, zbudowali z brezentu coś w rodzaju szopy. Położyli pacjenta na poplamionym krwią stole z desek, po czym oznajmili Kathy, że są gotowi do sterylizacji narzędzi. Kiedy doktor Mai zaczął badanie, pojęli, jaka jest jego prawdziwa rola, i zapytali, czy mają rozpalać ogień. Odparł, że tak.

Amputację w gruncie rzeczy załatwił pocisk, ale przedramię z resztą wciąż łączyły kawałek kości, mięsień i ciało pod łokciem. W dzień tak upalny, bez instrumentów do zmierzenia, w którym miejscu zaczyna się niewydolność układu krążenia, ocena, co zostawić, a co odciąć, była czystą zgadywanką, ale doktor Mai odznaczał się głęboką wiarą we własną zdolność ustalenia rozmiaru martwej tkanki.

- Łokieć możemy zostawić - oznajmił. - To mały pocisk. W przypadku miny lądowej lepiej odjąć całą kończynę, prawda? Bo i tak umrze.

Kathy mogłaby argumentować, że skoro dla tego pacjenta to jedyna szansa na operację, to im wyżej, tym lepiej, niewykluczone więc, że powinno się usunąć całą rękę, ale doktor Mai nie mówił do niej. Z nawyku przemawiał do siebie, zawsze po angielsku.

- Ten człowiek jest bardzo silny. Zdrowy. Nawet nie jest w szoku.

Pacjent wpatrywał się w brezent chroniący ich przed słońcem i sprawiał wrażenie zdecydowanego, by w żadnym razie nie stracić przytomności. Kilkanaście ran na twarzy i piersi już zostało oczyszczonych i zszytych nicią krawiecką. Jeden odłamek, który trafił w policzek, o mały włos nie pozbawił go oka.

Mieli tylko xylocainę, ale doktor radośnie zastosował blokadę pachową splotu ramiennego i zabrał się do pracy, podczas gdy Kathy wycierała mu pot z twarzy bandaną wysterylizowaną w alkoholu.

Dwaj towarzysze pacjenta przykucnęli pod pobliskim drzewem, gotowi dostarczyć wszystko, co będzie potrzebne, jakby mieli cokolwiek do dostarczenia. Rodzina nie wchodziła im w drogę, wszyscy zebrali się w jednej z chat, wyjątkiem była bezzębna mamasan, odprawiająca całkowicie prywatny rytuał kilka metrów dalej, w palącym słońcu, dymie z ogniska i parze z kociołka, w którym gotowały się narzędzia: był to taniec pełen złowrogich wahań, nagłych skoków i arabesek. Doktor Mai bez komentarza zgodził się na to przedstawienie, a Kathy przyjęła je jako dobry omen dla pacjenta. Idea, że spośród odzianych w łachmany, szalonych, z rozbieganymi oczami i pianą na ustach, spośród wariatów, mamroczących, człapiących, śmiejących się serdeczne spojrzenie wyłowi błogosławionego duchem maluczkiego, płomienno-wizjonera, świętego włóczkę - romantyzm tej idei zawsze ją pociągał.

Doktor Mai wyciągnął maczetę z kociołka, polał ją obficie alkoholem i powiedział:

- Banzai.

Kathy roześmiała się, odciągając skórę w kierunku łokcia.

- W czasach waszej wojny secesyjnej - powiedział doktor Mai, wykonując pierwsze cięcie, by potem okrężnymi ruchami przez warstwę ciała dotrzeć do znajdującej się poniżej powięzi - amputacje były zabiegami przeżajającymi. Teraz możemy pozwolić sobie na optymizm.

- Mojej wojny secesyjnej? - powtórzyła Kathy. - Masz na myśli amerykańską wojnę secesyjną?

- Tak.
- Ja jestem z Kanady. Jestem Kanadyjką.
- Rozumiem. Wojna pomiędzy unionistami a konfederatami.
- Kanadyjczycy nie brali udziału w tej wojnie.
- Rozumiem, Kanada.
- Wiesz, że jestem z Kanady.
- Tak, ale myślałem, że Kanada jest w Stanach Zjednoczonych.
- Leżymy na północ od Stanów.
- Tak często północ występuje przeciwko południu. Bardzo rzadko są wojny domowe wschodu z zachodem.

Kathy puściła skórę, a kiedy ta się skurczyła, doktor Mai, naciskając dłońią na ostrze i kołyszac rękojeścią na boki, przeciął powięź oraz pierwszą warstwę mięśnia. Wraz z kolejnymi kurczącymi się warstwami doktor przecinał następne. Kathy wiązała naczynia krwionośne nitką. Dłońmi uciskała najbliższe ścięgna. Kiedy położone głęboko mięśnie się skurczyły, doktor wyjął z kociołka piłkę i zajął się kością, podczas gdy Kathy polewała ranę solą fizjologiczną z wielkiej strzykawki.

Doktor zrzucił odcięte ramię na ziemię pomiędzy swoje stopy i bandaną otarł twarz. Kathy wyciągała większe nerwy i odcinała tak wysoko, jak to było możliwe. Zawiązała na nowo jedną z żył, z której wciąż płynęła krew.

Oczyściła i spakowała narzędzia, a doktor Mai ujął zwariowaną staruszkę za rękę i puścił się z nią w tany. Odciał ramię tak, że pozostało wkleśnięcie (doktor był doskonałym technikiem i odznaczał się szóstym zmysłem medycznym), mimo to Kathy zastanawiała się, czy powinni byli zostawiać aż tyle ręki. Płynnym wietnamskim doktor poinstruował towarzyszy pacjenta o pielęgnacji kikuta i powstrzymaniu kurczenia się skóry przez użycie plastra i bandaża. Nie dysponował gipsem, bandażem elastycznym, temblakiem ani rozwieraczem, ale to było bez znaczenia. Jedno spojrzenie na twarz pacjenta powiedziało mu, że będzie żył. Kathy miała w torbie siedem ćwierćgramowych porcji morfiny i wszystkie im dała, ponieważ widać było, że ten człowiek przeżyje.

Doktor Mai poszedł do swojego land-rovera, z przedniego siedzenia wziął manierkę i upił wielki łyk, po czym podał ją Kathy. Odmówiła.

- Widzę, że pijesz za mało wody, Kathy.

- Piję dużo.
- Dobrze przystosowałaś się do tropików. Ile czasu ci to zajęło?
- Zanim tu przyjechałam, parę lat mieszkałam na Filipinach.
- A tu jesteś od pięciu lat, prawda?
- Prawie od pięciu lat.
- Tak. Jak długo zostaniesz?
- Aż to się skończy.

W słoneczny listopadowy poranek na dwa tygodnie przed pójściem do więzienia James w sądzie poślubił Stevie.

Jego rodzina przyszła popatrzeć. W niedzielnej sukni z poduszkami na ramionach matka wyglądała jak wieśniaczka z Oklahomy, którą była. Brat Bill miał białą sportową kurtkę na białym T-shircie i kiedy wszyscy stali przed urzędnikiem, pocił się, jakby był na procesie, za to mały Burris wykrzywił się i chichotał jak dziewczyna, w dodatku z włosami sięgającymi prawie do ramion przypominał dziewczynę.

Rodzice Stevie byli przekonani, że córka wychodzi za kryminalistę. Na początku obiecali wziąć udział w uroczystości, w końcu jednak się nie pokazali.

Kiedy nowożeńcy wyszli z sądu, pan młody mógł zobaczyć Deuce, fragment Drugiej Alei, gdzie bezdomni leżeli w rynsztokach, a dalej okolicę, w której mieszkał.

Później w South Mountain Park piekli na grillu małe steki z polędwicy wołowej. Bill Junior upił się tak, że oczy nabiegły mu krwią, Burris, który pewnie skończył czternaście lat, choć nikt by mu nie dał więcej niż jedenaście, jawnie palił papierosy. Matka trzymała się na uboczu, gotowa każdemu, kto chciałby słuchać, głosić kazanie albo opowiadać o rodzinnych tragediach.

Ślub niewiele zmienił. Stevie mieszkała u rodziców, James w swoim mieszkaniu. Miał na głowie zarzut o napaść i rabunek z bronią w ręku. Nie przyznał się do winy i wyszedł za kaucją, ale miał zamiar ponownie stawić się przed sędzią, zmienić zeznanie i dostać wyrok. Szanse miał niewielkie, mimo to adwokat z urzędu nalegał, by przeprowadzić pełny proces i dzięki temu wynegocjować najlepszą ugodę z prokuratorem. James i Pat Patterson, młodzian w stylu rockabilly, na początku radzili sobie świetnie, ale szczęście ich opuściło i policja aresztowała ich bez problemu przed barem w jakąś godzinę po czwartym napadzie. Patterson, który był na warunkowym, wrócił prosto do Florence.

James, jako że był to jego pierwszy kryminalny zarzut, a na jego korzyść świadczyła przeszłość wojenna, mógł się spodziewać nie więcej niż trzech lat odsiadki, a przypuszczalnie dwóch. Stevie przysięgła, że będzie czekać. James mógł uciec do Meksyku, ale był zmęczony, bardzo zmęczony

Cztery dni przed ogłoszeniem wyroku, cztery dni przed przejściem na więzienny wikt, dziesięć dni po ślubie, w czasie których nie miał okazji skosztować posiłku ugotowanego przez żonę, James poszedł na South Central Avenue poszukać śniadania. Usiadł w barze pomiędzy obłąkanymi klientami, mężczyzną robiącym miny, mężczyzną miotającym przekleństwa, i zamówił jajko. Pulchna właścicielka, z wyglądu Chinka, stała przy kasie i jadła płatki z kubka do kawy. Zębami oderwała pół kromki chleba i z pełnymi ustami zaczęła mówić coś w języku, który według niej pewnie był angielskim, choć James nie rozumiał ani słowa - miała tę jęklivą, nosową intonację. Nagle poczuł wyraźnie smak i zapach Nha Trang.

Zaczepił go facet z sąsiedniego boksu. Siedział bokiem, z nogami wyciągniętymi na przejście.

- Jestem nagrany speedem. Tak - powiedział bardzo cicho - jestem chłopczykiem na speedzie.

- Wziąwszy pod uwagę mój obecny stan umysłu, ta sprawa nie wydaje mi się interesująca - odparł James.

- Wiesz, gdzie byłem siedem godzin i dwadzieścia minut temu? Byłem w domu. Wiesz, gdzie jest mój dom? W San Diego. Wiesz, co robiłem? Goły jak święty turecki stałem przed lustrem, wielkim lustrem, okay?, i przyciskałem do głowy lufę trzysta pięćdziesiątki siódemki. Mam zamiar się zastrzelić. Wierzysz mi?

James odłożył widelec.

- Taa. Miałem drobny problem z hazardem. Mały? Kurwa. Hazard odebrał mi wszystko. Żonę. Dzieci. Dom. Jestem bankrutem. Ona wzięła dom. I spłaty na milion lat. Kurwa. Byłem gotowy rozwalić sobie mózg w sypialni mojej siostry. Tak jest. Kurwa, tak. Ale nie chciałem, żeby siostra po powrocie do domu zobaczyła taki bałagan - albo raczej zabrakło mi ikry, żeby się zastrzelić, jeśli mam być szczerzy. Tak sobie myślę, że muszę znaleźć sposób na zakończenie tego horroru szybko, bezboleśnie i tak, żeby nie wiedzieli, że sam to sobie zrobiłem. Więc się ubrałem i zdecydowałem, że tutaj pojedę, tutaj się dostanę tym małym zagranicznym autkiem, garbusem. To małe auto, mojej siostry, nie należy do mnie. Wsiadłem, zapaliłem i ruszyłem na wschód

międzystanową ósmą, mój przyjacielu, poza granice San Diego, i włączyłem długie światła, i powiedziałem sobie, że jeśli pierwsza półciężarówka zamiga do mnie, skręcę i uderzę w nią czołowo, odbiorę sobie życie jak kamikadze. Przez całą drogę trzymałem obie ręce na kierownicy, stary, nie zdjąłem ich, chyba żeby podrapać się w jaja albo zrzucić zakrętkę z buteleczki z amfą i łyknąć kilka tabletek. I coś ci powiem. Przez całą tę drogę, przez co najmniej pięćset siedemdziesiąt kilometrów, nikt na mnie nie zamigał, szanowny panie, ani jedna osoba, nie zdarzyło się, żeby ktoś choć raz mignął. I to jest cud. Cud. Siedzę tu żywy. Nie wiem, co to znaczy. Ale jestem żywy. Tylko to wiem. I poza tym nie wiem zupełnie nic. Jestem żywy.

Nie wyglądał na człowieka, który jest na prochach. Sprawiał wrażenie bardzo spokojnego, siedział nieruchomo, z prawą nogą założoną na lewe kolano i dłońmi splecionymi na udzie. Oczy miał czerwone, ale wypełnione światłem miłości. Zamówił pszenny tost bez masła, łamał go na małe kawałki i wkładał je do ust. Zapalił papierosa, po czym rzucił zapalki na talerz.

- Wybrałeś się na samobójczą przejażdżkę - powiedział James.
- Taa. Na pewno.
- Byłem na kilku takich przejażdżkach.
- Taa.
- Hej. Masz dalej tę broń? Chcesz, żebym cię zastrzelił?

Mężczyzna wyglądał wytwornie w tweedowej sportowej marynarce, beżowym swetrze, jasnoniebieskich spodniach od pizamy i brudnych papuciach.

Z namysłem zaciągnął się papierosem.

- Zostawiłem broń w domu - odparł.

W przeddzień ostatniej rozprawy w sądzie Bill Houston zabrał swojego brata Jamesa na rozmowę. Zaprosił go do kawiarni zamiast do baru; James lepiej niech zrozumie, że sprawa jest poważna.

- Posłuchaj, ty nic nie wiesz. Ja wiem tylko tyle, że musisz trzymać się z daleka od oddziałów o maksymalnym rygorze, bo tam zawsze ktoś się dowala i zawsze zamykają ciebie. Kiedy będziesz czekał na zaklasyfikowanie, mów o wykształceniu. Każdemu doradcy, tego rodzaju ludziom, co będą z tobą gadali, powtarzaj bez przerwy „wykształcenie, wykształcenie”. Chcesz skończyć liceum, chcesz nauczyć się fachu. Mów o takich rzeczach, to wsadzą cię do oddziału o średnim rygorze. I na tym ci zależy. Tam żyje się spokojniej. Ludzie nie są tacy zwariowani. Wychodzisz na dziedziniec, kiedy

chcesz. Jest dobrze. Wierz mi, nie chcesz być w maksymalnym.

- Kto tam jest?
- Gdzie? Na średnich oddziałach?
- We Florence. Na wszystkich oddziałach.
- No, mnóstwo ludzi.
- Twój stary też tam jest? Twój ojciec?
- To nie jest mój ojciec, tylko twój.
- Nieważne. Jest tam?
- Taa. Siedzi w maksymalnym. Nie. Myślę, że wyszedł.
- Jesteś pewien?
- Taa. Myślę, że wyszedł. Ona w każdym razie przestała go odwiedzać.
- Już tam nie jeździ?
- Nie, odkąd ja wyszedłem. O ile wiem. Więc jej mąż musi być gdzieś

indziej.

- Gdzie?
- Nie mam pojęcia. Gdzieś indziej.

Bill uściskiem dłoni pożegnał się z młodszym bratem, nie do końca pewien, że udało mu się do niego trafić. Ruszył do śródmieścia, żeby sprawdzić oferty w pośredniku albo pokręcić się po parku. Nadeszła pustynna jesień, czas na porządkowanie sadów. Obserwował mężczyzn ściąających jęczącymi piłami łańcuchowymi drzewa oliwne rosnące przy alejkach i czuł, jak to wszystko dzieje się w jego wnętrzu.

Żałował, że nie ma motocykla. Zastanawiał się, czy trudno jakiś ukraść. Chodził koło barów, rozglądając się za motocyklem, potem do barów, żeby skorzystać z promocyjnych godzin i niższych cen na porto. Nikt nie lubił porto, ale ludzie musieli brać to pod uwagę, tak jak on, musieli kalkulować, że porto najbardziej się opłaca.

- Gęste i mdlące słodkie - powiedziała kobieta w średnim wieku, w geście smutnego toastu unosząc ku niemu szklankę. - Nie ty! Mówię o porto. Jest słodkie. Ty wyglądasz na kwaśnego. Ja też jestem kwaśna. - Miała problem. Jej zięć zginął w Wietnamie. Houston odparł, że jego brat właśnie stamtąd wrócił. - Nie. Naprawdę? Chodź tutaj, musimy się poznać. - Chwyciła go za rękę i poprowadziła do boksu, żeby przedstawić swojej córce, którą wojna uczyniła wdową po rocznej rozłące z mężem; ślub odbył się na tydzień przed jego wyjazdem do Azji. Został zabity pod koniec swojej tury. Houston spojrzął na ślubną fotografię. To nie było zgodne z jego wyobrażeniem

zabawy. Panie postawiły kolejkę. Młoda wdowa piła za dużo piwa, ale nie załamała się i nie zaczęła płakać. Zamiast tego opowiedziała, jak płakała na pogrzebie swojego młodego męża; była zadowolona, że płakała, bo się bała, że nie będzie w stanie wydusić z siebie łzy. Te ostatnie dziesięć dni, odkąd dostała wiadomość, przeżyła ogarnięta ulgą. Teraz nie będzie musiała witać go w domu i od nowa poznawać. Pod nieobecność męża bardzo się zmieniła. Nie wiedziałyby, jak sobie z tym poradzić. Na pogrzebie dali jej flagę po składaną w trójkąt.

- Tak, dostałam flagę.
- Bez żartów. Flagę? A, masz na myśli amerykańską flagę. Dawną Chwałę. - Houston przyciskał nogę do jej uda na całej długości.
- Ale teraz nie nazywają jej Dawną Chwałę, no nie? Inaczej się nazywa.
- Inaczej się nazywa, tak.
- Gwiazdy i Paski czy coś w tym rodzaju.
- Mój młodszy brat tam był. W piechocie. Dostał Purpurowe Serce.
- Naprawdę? Purpurowe Serce?
- Jasne.
- Co mu się stało?
- Wszedł na pułapkę w tunelu. Na punji, zasadzkę z palików. Albo wbiegł. Jakoś tak.
- Ojej. Jejku.
- Mogło być gorzej. Te małe wietkongi robią cholernie sprytnie pułapki. W jego przypadku to był tylko kawałek bambusa. Ale ma ranę. Wartą Purpurowego Serca.
- Ojej. Był szczurem tunelowym?
- Nie wiem, kim był. Skończył w zwiadzie. Człowieku, często trzymałem go i spuszczałem mu ślinę na twarz. Wiecie, wypuszczałem strużkę i wciągałem z powrotem.
- Fuj! - powiedziały obie kobiety równocześnie.
- Tak my, marynarze, rozprawiamy się ze zwiadowcami.
- Fuj!
- Taa. Kupa gówna, no nie?
- Mój mąż się ze mną rozwiódł - powiedziała matka. - Czujesz się tak samo, jakby umarł. Tylko że nie dają ci flagi, a ja codziennie myślę, żeby go zabić.

- Mówi o twoim tacie? - zwrócił się Houston do dziewczyny.
- Jeśli wierzyc lekarzom - odparła.

Kiedy matka wstała, by pójść do toalety, Houston powiedział:

- Chcesz iść do taniego motelu i pooglądać telewizję albo coś w tym rodzaju?

- Jeśli masz pieniądze, skarbie, ja mam czas.
- Popatrz tu. Widzisz, co to jest?
- To półdolarówka z Kennedym.

- To wszystko, całe oszczędności mojego życia. Przykleję to sobie do dupy za następane pięćdziesiąt centów. Rozbiję sobie butelkę na głowie.

- Ja mam pieniądze, skarbie. Dostaję rentę wojenną.

Dziewczyna nachyliła się ku niemu i lekko położyła palce na włoskach na jego torsie. W pustynne noce temperatura spadała dobrze poniżej pięćdziesięciu Fahrenheita, ale Bill Houston chodził goły pod czarną skórzaną kurtką. Na ulicy znany był jako Skórzany Bill. Reszta jego garderoby składała się z dżinsów i butów pokancerowanych przez koleje życia.

- Lepiej znajdź drzwi, zanim wróci mama - powiedziała dziewczyna.

Kiedy rano otworzył oczy, okazało się, że ona wcześniej znalazła wyjście z motelu. Mężczyzna z poczuciem misji obudziłby się wcześniej i przejrzał jej torebkę. Zamiast tego pograżył się w snach, których nie potrafił sobie przypomnieć.

Przeżył prawie dwadzieścia pięć lat, trudne przejścia koloryzował w myślach jako młodzieńcze przygody, po których pewnego dnia nastąpi okres intensywnego samodoskonalenia, a po nim poczucie sukcesu i swoboda. Ale tego konkretnego poranka czuł się jak człowiek, który wypadł ze statku daleko od wszystkich portów, który utrzymuje się na powierzchni bez przekonania i czeka, aż opuszczą go siły.

Kiedy trafi na brzeg? Kiedy otrzyma dar rozpaczy? Leżał pod pościelą w chłodnym, cuchnącym lizolem pokoju, aż ktoś z kierownictwa zapukał do drzwi. Poprosił o dziesięć minut, wziął prysznic i wrócił do łóżka, by czekać na pukanie, które oznaczać będzie interesy.

James miał współlokatora, także weterana, motocyklistę imieniem Fred. Należący do niego harley zajmował większą część salonu. Pewnego dnia James spostrzegł, że przyjaciela od jakiegoś czasu nie ma, może od miesiąca, nawet dwóch, i próbując wezwać go z powrotem, o ile wciąż żyje, James popełnił mistyczne świętokradztwo, wsiadając na harleya Freda i przekręcając

kluczyk w stacyjce. Trzy kopnięcia i silnik zaskoczył, motocykl z rykiem się zatrząsł.

James zwolnił hamulec, harley skoczył prosto na ścianę. James stwierdził, że leży na podłodze, przygnieciony maszyną. Ledwo dał radę w pojedynkę go podnieść - za dużo picia, za dużo wysiadywania, był do niczego. Nie dziwota, że przegrał w tylu bójkach. Ale przegrywanie sprawiało mu przyjemność, przyjemność sprawiał mu rodzaj przepelnionego słuszością letargu, kiedy zwiżał się w kłębek i ktoś kopał go w głowę, plecy, nogi, przyjemność sprawiało mu leżenie z twarzą we własnej krwi, podczas gdy czyjeś głosy krzyczały: „Przestań! Dość! Zabijesz go!”, ponieważ nie mieli racji. Jeszcze się taki nie trafił, który dałby radę go zabić.

1983

Hao położył „New Straits Times” na kuchennym stole i wyłączył mały elektryczny wiatrak, żeby spokojnie poczytać. Jak rozumiała Kim, nie przeszkadzał mu hałas, tylko wpływ wiatraczka na strony. Co wieczór siadał tutaj z porannym wydaniem „New Straits Times” doktora Bourgoisa, w bieliźnie analizując podawane po angielsku wiadomości. W czwartki albo w piątki przynosił od doktora także „Asiaweek”. Jaki ma sens codzienne czytanie gazety w miejscu, które nie jest twoim domem? Nawet jeśli tu mieszkasz? Nie miała nic przeciwko temu, gdy relacjonował jej różne wydarzenia, ale zabroniła mu wspominać o obscenicznych malezyjskich uroczystościach. Kim czuła się źle w otoczeniu muzułmańskich wpływów, wołań z meczetów i publicznych ceremonii obrzezania trzynastoletnich książąt. Z drugiej zaś strony to miejsce jej odpowiadało. Wróciły jej siły witalne - jakby znowu była nastolatką. Doktor Bourgois leczył ją darmowymi lekami ze swojego szpitala, a w Kuala Lumpur pełno było chińskich ziołarzy, którzy zachowywali ją w dobrym zdrowiu. Kilku obiecywało odporność na wszystko, ale na tym jej nie zależało. Jeśli nie zabije cię choroba, umierasz z powodu pecha.

Mąż przestał czytać i uniósł twarz. Sięgnął po pustą filizankę i utkwiał w niej wzrok, jakby nagle potrzeba zbadania jej wnętrza kazała mu oderwać się od lektury.

- Co się stało? - zapytała Kim.
- Nic.
- Coś się stało. Nie mów, że nic.
- Chodzi o kogoś z Sajgonu.

Stanęła za nim. Przykrył część strony dłonią, ale nachyliła mu się przez ramię i odsunęła jego rękę.

- Kanadyjczyk?
- Amerykanin.
- Nie. Tu jest napisane „Kanadyjczyk”. Umiem przeczytać „Kanadyjczyk”. I „Benet”.
- On nie jest Kanadyjczykiem. I to nie jest jego nazwisko. Ale go pamiętam. Znałem go.
- Gdzie? Tu w Kuala Lumpur?
- W domu.
- W takim razie o tym nie myśl.

Nie myśleć o tym? Ale ja myślę. Myślę o szczęściu... smutku... wdzięczności... całej tej trującej mieszaninie. Którą pijemy.

Szczęście i poświęcenie innych sprowadziło ich tutaj, do pokoi dla służby w domu lekarza z Marsylii. Kim prała i czasami odkurzała, jak robiła to przez całe życie, chociaż lekarz miał innych służących do wykonywania tych prac, a Hao prowadził samochód. Woził dziewczynki do szkoły, na lekcje pianina i tańca. Chodziły do Szkoły Amerykańskiej i świetnie mówiły po angielsku. Z rodzicami Hao porozumiewał się po francusku. Doktor Bourgois pieszo pokonywał kilka przecznic dzielących dom od szpitala, w którym pracował jako administrator. Hao woził jego żonę na zakupy, do klubu brydżowego, do księgarni. Wszystko to dzięki szczęściu i poświęceniu innych. Ale nie wszyscy z własnej woli wybrali poświęcenie. On zrobił to w ich imieniu. I tutaj pojawiał się smutek. Sztuczka, którą spłatał Trungowi Thanowi: to był najpodlejszy postępek w całym jego życiu. A równocześnie niemal nic go nie kosztował. Amerykanie wszystko mu ułatwili.

Jego najpotworniejsza zbrodnia i co z niej wynikło? Amerykanie zamknęli Trunga w obozie jenieckim, skąd wyszedł jako bohater sprawy z domem w Sajgonie i członkostwem partii. Historycy przychodzili prosić o wywiady. Dla Trunga dobrze się stało. Umknął przed wiatrem. A Sajgon nazywał się teraz Ho Chi Minh.

Byli też tacy, którzy z własnej woli, siłą swego serca zdecydowali się na poświęcenie, i tu było miejsce na wdzięczność. Dla pułkownika. Dla żołnierza, którzy rzucił własny hełm na granat, a potem sobą nakrył hełm. I dla innych Amerykanów, którzy pomogli im wyjechać. Amerykanie pamiętali, dotrzymywali przyrzeczeń złożonych jemu, a nawet jego krajowi. Nie złamali danego słowa. Po prostu przegrali wojnę.

Planował, że nazajutrz albo następnego dnia powie Kim, że dostał wiadomość od ich siostrzeńca Minha poprzez wietnamską rodzinę prowadzącą restaurację w Singapurze, długoletnich emigrantów, którzy stworzyli ogólnoswiatową sieć pozwalającą na połączenie się rozproszonych klanów. Minh uszedł z życiem - któż wie, co musiał przetrwać? - i mieszkał blisko Bostonu w Massachussets. Minh miał krewnych w Teksasie, rybaków z Zatoki Meksykańskiej, i istniała szansa, że dadzą się przekonać do pomocy kuzynowi Hao i jego żonie w wyjeździe do Ameryki. Tu znowu szczęście. Minh wybrał właściwą stronę. Szczęśliwe życie!

Jego żona włączyła gaz, czajnik zadrzał na piecu. Hao dopiero teraz zauważył, że odeszła. Myślał, że wciąż stoi za nim i przygląda się twarzy w gazecie.

Przyniosła mu herbatę.

- Co piszą?
- Jest w poważnych tarapatkach.
- Możesz jakoś zaradzić?
- Nie. Znałem go, to wszystko.

8 I 1983

Drogi Eduardo Aguinaldo,

Może już dostałeś list ode mnie. Zakładając jednak, że nie:

Nazywam się William Benet. Mówią do mnie „Skip”. Ty tak do mnie mówiłeś. Czy przypadkiem mnie pamiętasz? Powiedzmy tylko, że nie jestem osobą, którą byłem wtedy, i na tym sprawę zakończmy. Ale czy mnie pamiętasz?

Od dłuższego czasu mieszkam w Cebu. Mieszkalem. Nie byłem tam od około dwóch lat. W mieście znają mnie jako „Williama Beneta, Kanadyjczyka”.

Mam rodzinę w Cebu, ~~kobietę~~ żonę i troje dzieci. To nie jest legalny związek. Zajmij się nimi, dobrze? Żona nazywa się Cora Nig. Jej kuzyn jest właścicielem Nig Fine Store w pobliżu doków. Pomoże Ci ją znaleźć. Kiedy ostatnio sprawdzałem, byłem właścicielem dwóch budynków w tamtej okolicy. Cora powie ci, które to są. Lepiej zna się na gotówce niż na nieruchomościach, może więc będziesz taki dobry i sprzedasz domy, a potem przypilnujesz, żeby dostała pieniądze.

Wiem, że minęło wiele czasu, Eddie. Wiem, że Ci się narzucam, ale

nie mam do kogo się zwrócić. Wszyscy, których znam, to tacy sami jak ja hochsztaplerzy.

Jeśli dostałeś ode mnie dwa listy, wybacz, że dwukrotnie Cię nie-pokoję, ale nie jestem pewien, który do Ciebie dotrze. Pisanie dodatkowych listów to dla mnie żaden kłopot, tyle mogę Ci powiedzieć. Spędzam czas na pisaniu listów, choć nie mam pojęcia, jak je adresować. Warunki są znośne, mycie we wspólnym wiadrze, posiłki złożone z ryżu i kawałków ryby, żadnych robaków, woda smakuje dobrze. To nie jest japoński obóz jeniecki w Birmie. Pamiętasz pułkownika? W porównaniu z jego opowieściami o „Kilo 40” to miejsce jest jak popołudnie spędzone w Polo Club.

Jeśli przypadkiem spotkasz kogoś z naszej paczki z tamtych czasów, chciałbym, żebyś im powiedział, że pułkownik nie umarł. Jego ciało umarło, ale on żyje we mnie. Co do ~~tych~~ ludzi, którzy twierdzą, że wcale nie umarł, ale szaleje po Azji Południowo- Wschodniej ze sztyletem w zębach i zakrwawionym nożem w ręku czy coś w tym rodzaju - myślą się. Z całą pewnością odszedł na tamten świat. Musisz uwierzyć mi na słowo.

Zarzuty przeciwko mnie są poważne, nie da się ich odeprzeć. Niezależnie od tego, czy mnie powiesz, czy zamkną, przez długi czas nie pokażę się w Azji. Więc zaopiekujesz się moją rodziną, przyjacielu?

Twój stary kumpel

Skip

(William French Benet)

Że też wspomniał Polo Club! List znajdował się w pliku korespondencji, którą Eddie zabrał do klubu, żeby przejrzeć przy lunchu. Przyszedł pocztą lotniczą, napisany drobnym pismem i nadany w Kuala Lumpur w Malezji. Oskarżenia? Powieszenie? Za co? Eddie nic o tym nie słyszał. Miał przyjaciela w manilskim „Timesie”, który może zdobędzie więcej informacji. Pułkownik żyje? Eddie nie słyszał, by miało być inaczej, nigdy nie doszła do niego żadna wiadomość o śmierci pułkownika. Nie utrzymywał kontaktów z nikim z „paczki”, ale z całą pewnością wiedziałby, gdyby pułkownik umarł.

Jakże często myślał o Skipie Sandsie. Jakże rzadko cokolwiek w tej sprawie robił. Nie podjął próby odnalezienia go. Wiązał Skipa z morderstwem księdza nad rzeką Pulangi w 1965 roku, bez dwóch zdań najgorszą

rzeczą, jaką w życiu zrobił, a okoliczności, wojna, obowiązek, dobre intencje niczego tu nie zmieniały.

Eddie wstał od stolika pod markizą nad basenem i przez restaurację ruszył do kręgielni. Pracujący tam człowiek bez pytania znał rozmiar jego butów. Kilku smarkaczy zajmowało centralny tor, nie radzili sobie najlepiej z kulą bez otworów na palce, którą trudno było trzymać i która ze swej natury miała niewielki wpływ na kręgle. Po każdej kolejce z ciemności nad przewróconymi kręglami spadał na tor chłopiec i na nowo je ustawiał. Jako nastolatek Eddie mocno rzucał kulami, tak by kręgle latały na wszystkie strony, miał bowiem nadzieję, że trafi któregoś z tych chłopców w głowę, ale oni dobrze znali zasady i trzymali się z daleka.

Eddie rzucił nisko, okazując niejaki szacunek kręglom oraz popijając 7Up i grenadine, jak robił, gdy był chłopcem. Sześć tygodni temu, po suto zakrapianym sylwestrze, przysiągł, że nie weźmie kropli do ust.

Poszedł na górę do holu, gdzie interkomem dał znak Ernestowi w garażu, potem czekał przed drzwiami. Posiadłość i podjazd Polo Club od dziesięcioleci nie uległy zmianie, ciągnący się za jego granicami fragment Park Forbes także dobrze się zachował, ale dalej czał się chaos. Dzielnicę pięknych trawników i dworów otoczyło dławiące miasto. Eddie planował przeprowadzkę. Był bogaty, mógł wybrać każde miejsce, które chciał. Brakowało mu tylko pomysłu.

Imogene nie było w domu. Dzieci na pewno skończyły już lekcje, ale albo odwiedzały kolegów, albo szukały kłopotów.

W gabinecie na piętrze usiadł za biurkiem na fotelu odwróconym do okna i w obie dłonie wziął filiżankę z kawą. Nie lubił kawy. Po prostu ją pił.

- Przyszedł list.
- Co?

To był Carlos, chłopiec na posyłki. Niegdyś piękna Imogene wołała mówić „służący”.

Carlos położył kopertę na biurku.

- Od pana Kingstona. Przywiózł jego kierowca.

Kingston, Amerykanin, mieszkał niedaleko. Nadany w więzieniu Pudu list zaadresowany był do Konsulatu Kanadyjskiego w Manili z prośbą o przekazanie Eddiemu. Kingston dołączył notkę: „Dał mi go John Liese z ambasady kanadyjskiej. Rozumiem, że jest do Ciebie - Hank”. Eddie domyślił się,

że list przeszedł taką drogę, bo Kingston często robił interesy z Imperial of Canada, a Sands udawał Kanadyjczyka.

18 XII 1982

Drogi Eduardo Aguinaldo:

Panie Aguinaldo, nazywam się William Benet. Obecnie przebywam w więzieniu w Kuala Lumpur, gdzie oczekuję na wyrok za przemyt broni. Moi adwokaci mówią, że powinienem spodziewać się szubienicy.

Panie Aguinaldo, umieram i cieszę się z tego. Wyobrażam sobie pana przy wielkim oknie w wieżowcu, spoglądającego ponad smogiem na Manilę dryfującą jak sen w spalinach i dymach, gościa z pewnością pękatego, z potężnym brzuchem, gościa, którego nie znam i który prawdopodobnie mnie nie pamięta.

Piszę jednak do Ciebie, ponieważ jesteś jedynym człowiekiem, który może przekazać wiadomość ode mnie Eddiemu Aguinaldo sprzed osiemnastu lat, młodemu majorowi walczącemu z partyzantką Huk, umawiającemu się z bogatymi Metyskami, grającemu Henry ego Higginsa w My Fair Lady - pamiętasz? - i będącego najlepszym aktorem w całym przedstawieniu. Nikomu poza tym nie mam nic do powiedzenia. Nic do zrelacjonowania mieszkańcom obecnej epoki, spadkobiercom naszych kłamstw. Więc piszę do Eddiego Aguinaldo. Serdecznego Eddiego Aguinaldo, niecofającego się przed ryzykiem, by ostrzec mnie przed niebezpieczeństwem, w którym pogrążyłem się w Cao Quyen w Wietnamie, w tym rozpuszczającym duszę kwasie, w którym faceci jak ja się zanurzali, a równocześnie uprzejmie zakrywali usta chusteczkami i skarżyli się na DDT i herbicydy, choć ich dusze gotowały się w czymś o wiele bardziej trującym niż trucizna.

Mam nadzieję, że zaskoczy Cię wiadomość, iż mieszkałem w Cebu od siedemdziesiątego trzeciego do osiemdziesiątego pierwszego. Potem nigdzie na dłużej się nie zatrzymałem, aż do dnia sprzed kilku miesięcy, kiedy aresztowano mnie w dolinie Belum, po malezyjskiej stronie tajskiej granicy. Absolutnie niewłaściwej stronie w tej sytuacji, możesz mi wierzyć.

Obecnie jestem w więzieniu Pudu w Kuala Lumpur. Jeśli Twoje podróże zaprowadzą Cię w te strony w ciągu kilku następnych miesięcy, wpadnij, żeby się przywitać. Miło byłoby zobaczyć znajomą twarz.

Jak się domyślasz, moje życie dobiega końca pod gradową chmurą. To było żenujące. Czy raczej powinno być. Choć nie czuje się szczególnie zażenowany.

*Z wyrazami szacunku
Skip
William French Benet.*

Eddie ponownie zajrzał do pierwszego listu:

...Mówią do mnie „Skip”. Ty tak do mnie mówiłeś. Czy przypadkiem mnie pamiętasz? Powiedzmy tylko, że nie jestem osobą, którą byłem wtedy, i na tym sprawę zakończmy. Ale czy mnie pamiętasz?

Ten zaadresowano do Eduardoa Aguinaldo, Forbes Park, Makati, Rizal, Filipiny. Nie było numeru domu, nazwy ulicy, mimo to list go odnalazł. A przecież nie miał na imię Eduardo, tylko Edward. Po przyjacielsku, żartobliwie z niego kpiąc, Skip nazywał go Eduardo. Z siebie też kpił. Niewykluczone, że pozostając pod latynoskimi wpływami na tych wyspach nazwanych na cześć hiszpańskiego króla, zapuścił sobie śmieszny wąsik i Eddie mówił do niego „Zorro”. Z całą pewnością pamiętał młodego Amerykanina z fryzurą na jeża i wąsem.

Stał przy oknie swojego gabinetu, patrząc na basen, łaźnię, akację sypiącą wirującymi płatkami na trawnik, i zastanawiał się, czy najszczęśliwszy nie był wtedy, kiedy jako nastolatek przyjechał do Manili na wakacje z Wojskowego Instytutu Baguio i bez żadnych ograniczeń szalał po mieście, i później, gdy jako dwudziestoparolatek jeździł na patrolu do dżungli ze Skipem Sandsem, człowiekiem z CIA.

Z okna rozciągał się widok na wcale nie solidne wieżowce, spowite dymami, tak jak wyobrażał je sobie Skip. Dawniej lepiej położone domy miały widok na pola porośnięte wysoką trawą słoniową, polne drogi, otwarte przestrzenie z kilkoma wysokimi budynkami. Teatr Rizal widać było z odległości trzech kilometrów. Eddie całe swoje życie mieszkał w Forbes Park. Kiedyś na skraju palącego się pola znalazł martwą sukę z nowo narodzonymi szczeniakami u sutków; zabrał maleńkie stworzonka do domu i próbował nakarmić je zakraplaczem do oczu. Taki kiedyś był.

Ostatnio wpadł mu do głowy pomysł na zjadliwą parodię *My Fair Lady*, jednoaktówkę zatytułowaną *Noc poślubna Lizy Doolittle i Henry’ego Higginsa*

z pikantnymi słowami do melodii znanych piosenek *The Street Where You Live* oraz *I've Grown Accustomed to Her Face*.

Problem polegał na tym, że w tym kulturalnym środowisku takie przedstawienie było nie do pomyślenia, podobnie jak Liza Doolittle (taka, jak ją sobie w tym spektaklu wyobrażał). Z tych samych powodów: konformizm, pruderia, kobiece tchórzostwo. Czuł, że nie pasuje do klimatu swoich czasów. Mógł tylko stać na zewnątrz i śmiać się ze swojej klasy, z tych wykształconych naśladowców brytyjskich i amerykańskich zwyczajów- ze swojej żony, jej ojca, dobrego senatora, im podobnych - z tego cienkiego osadu szlachectwa unoszącego się na bagnach.

I z innych także, ze wszystkich swoich rodaków Filipińczyków: przesądnych maniaków, poszukiwaczy cudów, stygmatyków, szalonych biczowników w Wielki Piątek przebiegających z prowincji do prowincji z krwawiącymi ranami, które sami sobie zadali, podczas gdy inni bili ich patykami albo łagodzili obrażenia wodą chlustaną ze starych puszek po zupie, i z tego człowieka z prowincji Cotabato, który co roku w kościele dawał się ukrzyżować przy wtórze głośnych szlochów sąsiadów.

Skip Sands na szubienicę. Ja też.

A czemu nie, do diabła?

Myśli: Jestem porządnym gościem i nieszczęśliwym człowiekiem.

Zbliżając się do schodów sądu w Kuala Lumpur w dzień wydania wyroku, Jimmy Storm spojrział na piętro i zobaczył kilka kobiet w kolorowych sukienkach, przypuszczalnie sekretarek, które urządziły sobie piknik na balkonie. Kiedy unosiły miski z ryżem do twarzy, rozmawiając i śmiejąc się, wydawało się niemal, że śpiewają.

Na najwyższym stopniu przystanął. Nie miał pojęcia, dokąd iść. Sprawdził wokandę wywieszoną w gablotce, równocześnie upuszczając i rozgniatając papierosa obcasem, później pchnął drewniane drzwi sądu, mauretańskiego z zewnątrz, kolonialnego w przestrzennych wnętrzach, rezonujących i cienistych, umniejszających i chłodzących troski tych, którzy przekraczali próg.

Zajął miejsce w ostatnim rzędzie sali sądowej numer siedem, gdzie o pierwszej miał być sądzony chiński handlarz bronią nazwiskiem Law. Na drugą przewidziano rozprawę więźnia podającego się za Williama Frencha Beneta.

Jedna żółta gaśnica. Dwanaście jarzeniówek pod sufitem. Napis po malezyjsku czy w jakim tu języku mówią „DI-LARANG MEROKOK”, co zdaniem Storma przypuszczalnie znaczyło „Zakaz palenia”. Jedenaście przysiężnych elektrycznych wiatraków na wypadek, gdyby klimatyzacja wysiadła. Storm wątpił, by kiedykolwiek to nastąpiło. W Kuala Lumpur wszystko działało bezbłędnie. Ludzie wydawali się kompetentni i przyjaźni.

Z przodu sali za stołem oskarżonego siedział prawnik w szarym garniturze i studiował dowody przeciwko swojemu klientowi, obracając bębenkiem broni wyglądającej na policyjnego smitha & wessona, odcinając kurek i celując przez pusty, pełen namysłu moment w fotel na podwyższeniu, w którym według wokandy wywieszonej na ścianie za chwilę miejsce zajmie sędzia Shaik Daud Hadi Ponusammy.

Nie licząc Storma, prawnik miał salę dla siebie. Wycelował broń w puste biurko sekretarki sądowej, w znak głośniejszy „DI-LARANG MEROKOK”. Nacisnął spust, szczerknęła iglica.

Lunch dobiegł końca. Storm usłyszał kroki odbijające się echem po budynku. Wstał i podszedł do okna z widokiem na podjazd, na który wjeżdżała furgonetka z więzienia Puđu. Na czerwonej masce widniał napis POLIS RAJA DI MALAYSIA. Pośród grupki chińskich i malezyjskich więźniów bez trudu wyłowił fałszywego Kanadyjczyka Beneta, w tylnym oknie furgonetki jego twarz wydawała się biała i drobna.

Storm wrócił na miejsce. Teraz miejsca na ławkach były gdzieś tam zajęte przez kilku dziennikarzy i widzów. Do sali weszła sekretarka i jeden strażnik, za nimi próg przekroczył obrońca Beneta, Ahmed Ismail. Wyglądał na łagodnego i rozpieszczonego ze swymi wielkimi, wilgotnymi oczami dziecka. Ułożył dokumenty w cieniu górującego nad nim sędziowskiego stołu. Fioletowe pluszowe kotary na tylnej ścianie nadawały pomieszczeniu atmosferę starego kina i przez chwilę Ismail wyglądał jak uczeń, który absurdalnie ubrany w trzyczęściowy czarny garnitur przyszedł tu na film.

Schody z celi dla więźniów prowadziły w górę prosto do boksu na środku sali sądowej, tak więc oskarżony Lau, młody Chińczyk, który wchodził po nich, tocząc wokoło dzikim wzrokiem, nagle wynurzył się na powierzchnię w samym centrum swoich problemów.

Wszyscy wstali, gdy wkroczył sędzia Ponusammy. Usadził się za wielkim ozdobnym młotkiem stojącym na biurku. Więzień złapał obiema związanymi rękami za kraty boksu.

Zebrani usiedli.

Rozprawa toczyła się po angielsku. Obrońca wyjaśnił, że jego klient nie zna tego języka i będzie korzystał z usług tłumacza. Chłopca aresztowano za handel bronią i posiadanie dużej ilości amunicji. Sędzia odczytał wnioski, precedensy i całą resztę. Drobnym mężczyzną, tłumacz więźnia, sprawiał wrażenie zdenerwowanego; siedział na krześle obok adwokata, gwałtownie podrygując nogami. Kiedy sędzia zwrócił się do niego, skoczył wyprostowany. Więzień także wstał, choć nikt tego od niego nie wymagał.

Na wieść o aresztowaniu matka młodego Chińczyka popełniła samobójstwo, połykając środek owadobójczy.

- On jeszcze o tym nie wie - wyjaśnił sędziemu obrońca. Chińczyk stał, nic nie rozumiejąc. Tłumacz nie powtórzył mu tego zdania. - Niedługo się dowie i to przypuszczalnie będzie dla niego najsroższą karą.

Sędzia Ponusammy ani razu nie spojrzął na więźnia. Skazał go na sześć lat i sześć razów rattanowym kijem oraz na dodatkowe trzy lata za amunicję.

Podczas przerwy, w czasie której czekali, aż na górę wprowadzą więźnia Beneta, Storm podszedł do prawnika Ismaila.

- Nazywam się Storm.
- Mister Storm. Tak.
- Pański klient Benet.
- Tak.
- Przyprowadzą go tu?
- Tak, za pięć minut.
- Może mu pan przekazać wiadomość ode mnie? Wiadomość od Storma?
- Myślę, że tak.
- Niech pan powie Benetowi, że jestem całkowicie zdolny do wszystkiego, czego on się obawia.
- Na litość boską, człowieku!
- Słyszał pan moje słowa?
- Tak, panie Storm. Mówi pan, że jest zdolny do wszystkiego, czego on się obawia.
- Niech pan mu powie, że jutro będę w więzieniu. Niech pan mu powie, że przyjdzie Storm.
- Czy to metafora?
- Niech pan mu powie.

Kiedy Storm zajmował swoje miejsce w ostatniej ławce, prawnik wciąż się w niego wpatrywał.

Ismail odwrócił się, gdy jego klient Benet wszedł po schodach z rękami skutymi z przodu. To istotnie był, jak od początku wierzył Storm, William Sands.

Podobnie jak jego poprzednik, Sands oparł się o kraty, kiedy wszedł sędzia i zebrani wstali.

Sands wciąż miał krótkie włosy i wąsy - już nie śmieszne czy afektowane, ale długie, zaniedbane i wspaniałe, podkreślające jego smutek. Policzki pokrywał mu kilkudniowy zarost. Miał na sobie podniszczoną niebieską bluzę, która chroniła go przed chłodem klimatyzacji, i sprawiał wrażenie, że jego stan psychiczny balansuje gdzieś pomiędzy posępnością a śpiączką. Był kościsty, miał zapadnięte oczy i wyglądał na kogoś, kto może nawet ma duszę.

Kiedy wszyscy usiedli, więzień wrócił do bezmyślnego wpatrywania się w podłogę. Głowę miał zwieszoną. Tkwił w bezruchu. Zgarbiony. Spoglądał na własną twarz odbitą w pucharze gorzkiej karmy.

Przez trzy kwadranse sędzia odczytywał dokumenty, rozważał wszystkie za i przeciw, głośno się zastanawiał, tak przynajmniej to wyglądało. Młodzieńki Chińczyk, który przed chwilą usłyszał wyrok, sprowadzał broń dla Williama Frencha Beneta, jak zresztą wielu innych. Sędzia odczytywał listę zarzutów, co do których Benetowi udowodniono winę. Określał więźnia jako „jednego z wielkich nielegalnych handlarzy bronią, dręczącą nas plagą, lotra kupczącego naszą krwią”.

Storm uświadomił sobie, że ostatni rząd to nie jest dobre miejsce. Nic nie przeszkadzało, żeby wstał i przesunął się do przodu. Usiadł tuż za więźniem.

Słyszac hałas, Sands się obejrzał. Zobaczył Storma. Rozpoznał go. Odwrócił wzrok.

Sędzia wydawał się mały za gigantycznym stołem. Nazwał więźnia „oszustem i psychopata”. Nakazał mu powstać, po czym skazał go na związanie liną, chłostę i powieszenie.

Nadali sądowi wygląd, jakby to była siedziba rządu. Ale dwie przecznice dalej znajdowały się Małe Indie, gdzie Storm wynajął pokój. Szedł wyprostowany przez tłumy kłaniające się u jego stóp do wtóru skrzekliwych popołudniowych mużułmańskich modłów, które płynęły z publicznych głośników. Dziki uliczny handel: na asfalcie leżał na plecach wróżbita z twarzą zakrytą czarną chustką i mamrotał przepowiednie. Jego wspólnik śpiewnie recytował

nad zbiorem ludzkich kości barwy rdzy, wśród których była czaszka, ułożonych na czerwonym szalu dokoła białego kurzego jaja. Handlowali maleńkimi amuletami zrobionymi ze złotej folii z paczek papierosów marki 555 i brudnego sznurka. Wspólnik zdjął wieko, a ze skrzyni, kołysząc łbem, uniosła się dwumetrowa kobra. Zmusił kobrę do zwinięcia się w kłęb poprzez wymachiwanie przed syczącym gadem jednym z potężnych amuletów. W pobliżu mężczyzna prezentował ważący na oko trzy kilogramy stos zębów, które z powodzeniem wyrwał. Wszyscy oni przybyli tutaj z szalonych zakątków Dalekiego Wschodu ze swymi słomianymi matami i tabletkami na nieśmiertelność. Mieli eliksiry na powiększenie penisa, a także służące do tego samego celu cokolwiek przerażające urządzenie złożone z pasów i pierścieni. Album fotograficzny dokumentujący jego skuteczność. Zioła, maści. Najrozmaitsze mikstury. Lecnicze korzenie w szklanych słojach, unoszące się w płynie niczym amputowane kończyny.

Storm wszedł do małego sklepu z ubraniami. Powietrze przesycone zapachem kadzidełek zapierało dech. Nie można było zrobić kroku, nie ocierając się o dywany i jedwabie. Z meczetu wciąż dobiegały modły. Trzy Hinduski stały nieruchomo i wpatrywały się w niego. Piękne. Wszystkie trzy. Jedna patrzyła gniewnie, pewnie była matką.

- Przyszedłem zobaczyć się z Rajikiem.
- Pan czeka - powiedziała.
- Tędy?
- Tak. Znowu. Jak wczoraj.

Wczoraj? Jej niewiarygodnie śliczna twarz i kryjący się pod nią głęboki chłód. Wczoraj go tu nie było.

Przeszedł przez zasłonę z malowanych paciorków, przedstawiającą boga Krisznę pomiędzy dziewicami kąpiącymi się w wodospadzie, i znalazł się w ciemności.

- Proszę tutaj... Dobrze... Proszę tutaj.
- Nic nie widzę.
- Poczekaj na oczy.

Storm ostrożnie ruszył w stronę głosu Rajika, po czym usiadł na stołku, na którym leżała poduszka.

Rajik uniosł dłoń i pociągnął za sznurek. Za jego plecami zapłonęły słabe lampki choinkowe. Był to zwyczajnie wyglądający Hindus, który siedział przy stole nakrytym do podwieczorku. Miał wyzutą z emocji twarz.

- Zadam kilka pytań. Odpowiesz?
- Zapytaj, zobaczymy.
- Czy w okresie ostatniego tygodnia, a może nawet dłużej... czy choć raz obejrzałeś się na miejsce, gdzie powinien być twój cień, ale cienia nie zobaczyłeś?

- Nie.
- Widziałeś czarnego ptaka?
- Tysiące. Świat jest pełen czarnych ptaków.
- A czy jakiś szczególnie zwrócił twoją uwagę? Ponieważ nie był na swoim miejscu - mógłbym podać przykład ptaka w domu albo czarnego ptaka siedzącego na parapecie. Tego rodzaju rzeczy.

- Nie. Nic takiego nie było.
- Czy widziałeś coś, jakiś rodzaj przedmiotu, jakiś rodzaj... Znowu podam przykład: gnieciesz kawałek papieru i kulka przypomina czyjaś głowę. Albo plama na podłodze - coś, co przypomina czyjaś twarz, twarz kogoś w przeszłości ci bliskiego. Czy w ciągu ostatnich tygodni coś takiego widziałeś? Jakąś rzecz, która nagle pokazuje ci twarz kogoś bliskiego?

- Nie.
- Odmówię za ciebie modlitwę. Jaka to powinna być modlitwa?
- Ty mi powiedz.
- Nie, ja nie mogę ci powiedzieć. To nie jest moja rola. Twoją rolą jest powiedzenie mi, co byś powiedział, gdybyś rozmawiał z Bogiem.

- *Break on Through.*

Rajik zamilkł. Jakby nie znał angielskiego.

- Mogę to zapisać.

Rajik wyciągnął rękę i zgasił lampki. Jego dłonie z szelestem zagłębiły się w kieszenie. Zapalką zapalił kadzidełko. Ciemność otoczyła ich niczym tunel, niczym solidne ściany. W powietrze uniósł się bardzo słodki, mdlący zapach.

- Będę się zbierał, człowieku, skoro tak kurewsko ze mną pogrywasz.

Rajik dmuchnięciem zgasił zapalkę. Nic.

- Twoje oczy.

W ciągu dwudziestu sekund maleńki czerwony koniuszek kadzidełka stał się widoczny, maleńkie oko, które towarzyszy głosowi, albo nos - ta rzecz była twarzą, tylko tyle widział, i mówiła.

- Przedrzeć się - mówisz, jakby chodziło o granicę*.

* Break on Trough to tytuł piosenki zespołu The Doors; po angielsku znaczy „przetrzeć się, przebić”.

- *Break on Through* to piosenka. Moja filozofia, moje motto. Pytasz mnie o słowo i takie słowo mam dla ciebie. *Break on Through*.

- Przyjdź jutro.

- Tak samo powiedziałaś ostatnim razem.

Hindus przemówił bardzo łagodnie, bez nacisku:

- Czy prosiłem cię o pieniądze? Czujesz, że nie możesz mi zaufać? Więc powiadam ci, wróć jutro. Dzisiaj nie mogę dać ci tego, czego dzisiaj nie mam.

- Tak. Tak. Rób, co musisz zrobić. Tak.

Kiedy od masywnej, żelaznej furty więzienia Pudu dzieliło go kilka metrów, Storm poczuł, jak poranne słońce odbija się od jego twarzy. Wartownik otworzył zasuwkę i spojrzął na Storma ze swego mrocznego boksu, zerknął na list polecający po angielsku i zadzwonił. Storm przez kilka minut czekał na ulicy, wreszcie strażnik otworzył metalowe drzwi wielkości człowieka w betonowej ścianie.

Wysoki młody mężczyzna w cywilnym ubraniu poprowadził Storma przez dziedziniec, gdzie dwudziestu paru strażników w zielonych i fioletowych mundurach ćwiczyło przed paradą. Brzydkie dranie. Ale niedługo powiesz Skipa Sandsa, więc życzył im zdrowia.

Storm stał przed gabinetem naczelnika z listem przedstawiającym go jako dziennikarza nazwiskiem Hollis, które widniało w jego australijskim paszporcie. List przedstawiający go jako dziennikarza niewiele mu pomoże. Rozumiał to dobrze. Storm dołączył własną notkę, w której wyjaśniał naczelnikowi, że reprezentuje także organizację dobroczynną i pragnie odwiedzić więźnia z pobudek czysto humanitarnych, a nie jako reporter.

Manual Shaffee, naczelnik więzienia Pudu, powitał Storma kordialnie.

- Jeszcze raz bardzo przepraszam za nasze zasady, które nie pozwalają mi wpuścić pana do więzienia - powiedział. Ale Storm już był w środku, w gabinecie Shaffee z portretami dziewięciu sułtanów zdobiącymi ściany i okrągłą jarzeniówką nadającą powietrzu zielonkawy odcień.

Shaffee był małym tłustym mężczyzną pochodzenia hinduskiego; miał trójkątną twarz i wąsy gryzonia z kreskówek, kurtkę ze złotym warkoczem i pięć różnych medalionów na każdym epolecie. A także baretki na piersiach.

Emanował idiotyczną słodyczą.

- Jest pan muzułmaninem? - zapytał Storm.

- Nie.

- Ja jestem chrześcijaninem, sir - oznajmił Storm.
- Ja także! - powiedział naczelnik. - Nawróciłem się. Niech mi pan wierzy, nie lubię wieszać ludzi.

- Proszę przekazać panu Benetowi ten list, dobrze? Już rozmawiałem z jego obrońcą i wydaje mi się, że widziałem, jak podczas rozprawy więzień kiwnął głową.

- To jest całkowicie sprzeczne z regulaminem.

- Jestem tutaj kierowany wyłącznie miłosierdziem. Proszę pana jak chrześcijanin chrześcijanina.

Naczelnik twierdził, że Benet i tak się nie zgodzi. W jego ustach nazwisko więźnia brzmiało „Benny”.

- Benny nie chce gości - mówił. - Benny niegrzecznie potraktował nawet kanadyjskiego konsula.

- A jego rodzina?

- Nikt nie przychodzi. Kanada jest za daleko.

- Niech pan wyraźnie mu powie, że jestem człowiekiem, który rozmawiał z jego obrońcą. Myślę, że się ze mną zobaczy.

- Ale Benny nie zobaczy się z panem. Powtarzam to panu. Benny splunął kanadyjskiemu konsulowi w twarz. Czy nie nasuwa to panu jakichś wniosków o Bennym?

- Jestem przekonany, że ze mną się zobaczy.

- Odmówił wszystkim odwiedzającym. W przeciwnym wypadku pomógłbym panu.

Ponieważ jednak taką strategię przyjął, ponieważ wolał, by odmowa padła ze strony Beneta, a nie jego, naczelnik musiał mu teraz udowodnić, że ma rację.

- Proszę poczekać - powiedział i wysłał strażnika do więźnia. Naczelnik zapalił papierosa, a Storm nasłuchiwał ćwiczących na dziedzińcu, którzy jednocześnie uderzali kolbami karabinów o popękany beton.

Sands i strażnik zatrzymali się przed drzwiami. Shaffee z udreżoną miną dał im znak, by weszli.

Sands-Benet było boso, w szortach i T-shircie. Miło było widzieć go w fatalnym stanie, załamanego, wychudzonego, miło było zobaczyć go wyglądającego na więźnia.

- Mogę porozmawiać z nim sam na sam?

- Nie.

- Pięć minut.

Twarz naczelnika znieruchomiała. Storm nie naciskał.

- Jak leci? - zapytał.
- Głównie nudno.
- Palisz?
- W końcu zacząłem.
- Masz papierosy? Malezyjczycy palą three fives, tak mi się wydaje.
- Taa - powiedział Sands.
- Dam parę kartonów obrońcy.
- Dzięki.
- Dobry jest?
- Na tyle dobry, że dostanie swoje pieniądze, kiedy ja będę wisiał.
- Rozumiesz, na czym polega układ. Jestem z organizacji humanitarnej, tak jak ty mówię po angielsku.

- Rozumiem.

- Konsul Benny'ego przyszedł go zobaczyć, a on pluł - powiedział naczelnik.

- Jesteś moim pierwszym gościem.
- Spróbuj splunąć na mnie.

Sands wpatrywał się w swoje gołe stopy.

- Naczelnik Shaffee to miły gość - powiedział Storm. - Dlatego się zgodził, żebym z tobą porozmawiał. Chce się upewnić, że jest ci wygodnie.
- Poczulbym się wygodnie, gdybym mógł się stąd wydostać.
- Niemożliwe, stary. Dowiedziono twojej winy i wydano wyrok, a tutaj to nie przelewki. Osiemdziesiąt trzy osoby skazano zgodnie z nowym prawem dotyczącym broni, a osiemdziesiąt dwie powieszono.
- Znam liczby.
- I jak się czujesz na myśl o szubienicy? - zapytał Storm.
- Bez komentarzy! - odezwał się Shaffee, choć nikt go nie pytał o zdanie.

Benet wzruszył ramionami.

- Hej, na tym etapie mnie to nie przeszkadza.
- Bez komentarzy - powtórzył Shaffee. - Ale jestem chrześcijaninem.

Myślę, że zna pan moją odpowiedź.

Storm zrobił krok w kierunku Beneta.

- Czas, żebyś pomyślał o swojej duszy.
- Nie gadaj głupot!

- Oferuję ci szansę na oczyszczenie sumienia.
- Nie mam sumienia - powiedział Sands.
- Więc myśl, że będziesz wisiał, w ogóle na ciebie nie działa?
- Już dość długo żyłem.
- A co z Piekłem, ty skurwielu?
- Będziemy mieć czas podyskutować o tym później. Ty i ja. Mnóstwo, mnóstwo czasu.

- Benny ma książki. Ma najrozmaitsze lektury. Ma Biblię - powiedział naczelnik.

Sands wpatrywał się w swoje brzydkie boscie stopy i coś bardzo cicho powiedział.

- Co on mówił? Co to było? - zapytał naczelnik.
- Powiedz mi, z kim mam się zobaczyć - odezwał się Storm.
- Po co.
- Stary wuj.
- On nie żyje, człowieku. Nie żyje.
- Tak? Ty też podobno byłeś martwy.
- I niedługo znowu będę.

Niepokój naczelnika był teraz namacalny. Wskazał na strażnika.

- Mam świadka. Za kilka miesięcy przechodzę na emeryturę. Mogę mieć poważne kłopoty. - Ale nie zrobił nic, by ich powstrzymać. W tym momencie wydawał się niezdolny do najmniejszej nawet niegrzeczności, która pozwoliłaby mu wprowadzić w życie politykę więzienną.

Storm zrobił następny krok.

- Pomodlisz się? - Pochylił głowę. - Drogi Boże - powiedział głośno, po czym ciszej dodał: - Wiem, że na Filipinach masz rodzinę. Mogę ich odszukać.

Cofnął się i obserwował dygoczącego więźnia, aż wreszcie ten głupi naczelnik też to zauważył:

- Jest chory? Co się dzieje?
- To siła jego sumienia - powiedział Storm.
- Proszę, usiądź - polecił naczelnik. - Tak. Zmagania.

Teraz naczelnik Shaffee i Storm stali jak para więźniów, a Sands siedział w fotelu naczelnika.

Sands zacisnął dłonie na krawędzi biurka, przenosząc wzrok z jednej ręki na drugą.

- Ju-shuan czy coś w tym rodzaju. Prowadzi knajpę w Gerik. Nazywają go mister John albo Johnny.
- Podaj mi wskazówki.
- Nie potrzebujesz wskazówek. Łapie każdego białego, który wysiada z autobusu.
- I to jest człowiek, z którym trzeba się zobaczyć.
- Jeśli czujesz taką potrzebę.
- Zobaczyć się w jakiej sprawie? - zapytał naczelnik. Co nie znaczy, że się nie połapał. Połapał się doskonale, wszystko zrozumiał, ale nie mógł pozwolić, by wyglądało to tak, że popełnił błąd.

Shaffee nie przeszkodził tej rozmowie. Teraz najlepszym wyjściem dla niego było przejęcie inicjatywy.

- Dwaj Australijczycy, na których wykonano egzekucję, nie dostali żadnej pomocy ze swojej ambasady - przypomniał sobie. - Mamy mnóstwo zagranicznych więźniów, handlarzy narkotyków i temu podobnych. Nigdy nie widziałem, żeby ambasada wykazała takie zainteresowanie. Kanadyjczycy są bardzo pomocni dla Benny'ego. Dostaje książki, tego rodzaju rzeczy.

- Będziesz wisiał - mówił Storm do więźnia - ale życie toczy się dalej i wszystko ma swój dalszy ciąg. W środku każdego cyklu jest kolejny cykl.

Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Słyszę, co mówisz, stary, ale nie wiem, co masz na myśli.

Storm nachylił się nad Sandsem i powiedział:

- To tylko maszyna. Odpręż się.

- O ile zostawisz w spokoju moją rodzinę.

- Jesteśmy urzędnikami państwowymi - powiedział Shaffee. - Błagam. Mamy nasze miski na ryż, chcemy, żeby były pełne.

- Nie jesteś tym, za kogo się uważasz - oznajmił Storm. - W środku jesteś martwy.

- Posłuchaj, niezależnie od tego jakiego rodzaju zemsty szukasz, nie uzyskasz jej - powiedział Sands.

- Sprawy muszą rozegrać się do samego końca.

Sands wstał.

- Nie modliliśmy się. - Gestem kazał mu podejść.

- Ja też jestem chrześcijaninem - powiedział naczelnik. - Anglikaninem. Modłę się za Benny'ego. Jest trochę psychiczny. Depresyjny. Ale przez ostatnie tygodnie nastrój ma weselszy.

Sands pochylił głowę, niemal dotykając czołem czoła Storma, i wymierzył mu cios tuż pod mostkiem. Pod Stormem ugięły się nogi, przed oczyma przepłynęła ławica kijanek.

- Auu, tatusiu.

Shaffee podtrzymał go.

- Jest pan chory? Co się stało, sir?

Ani więzień, ani jego gość nie zadali sobie trudu, by odpowiedzieć.

Shaffee nie potrafił znieść przerwy w rozmowie. Musiał mówić.

- Czerwony Krzyż sporządził dla nas raport, moim zdaniem bardzo użyteczny. Tak, mamy w więzieniu obszary, które należy poprawić. Higiena, żywienie, doceniam ich sugestie. Ale nie Amnesty International! Na przykład chińskie gangi. Jeśli członków tych gangów nie zamkniemy bez prawa do wyjścia za kaucją, znajdują się na wolności i będą mogli dotrzeć do świadków. Ludzie piszący ten raport dla Amnesty International nie rozumieli tego. Bardzo źle nas ocenili. Więc widzicie, dlaczego nie chcemy raportów. Dlaczego mamy na to pozwalać? Nie chcemy tu pana, jeśli jest pan z organizacji humanitarnej. Nie chcemy pana, jeśli jest pan dziennikarzem. Nie jest pan chrześcijaninem. Wiem, jak wygląda chrześcijanin, ponieważ sam też jestem chrześcijaninem. - Przemowa dodała mu sił. - Wynoś się! - zawołał. Odwrócił się do strażnika: - Ten człowiek nie ma prawa tu przebywać!

Pół godziny później Storm jadł rostbef w knajpie z wystrojem z bambusa, ale z angielską nazwą - Planter's Inn Pub - i słuchał porażająco pięknego lamentu wygrywanego na miejscowych fletach, w którym powoli rozpoznawał stary przebój Moody Blues *Nights in White Satin*.

Spróbował już w Phangan, taniej wyspiarskiej komunie ćpunów na wschód od Tajlandii, ale to skończyło się klapą. Kupa cofniętych w rozwoju hippisów z rozmytymi oczkami, chciwi handlarze hinduską gandzią, najrozmaitsze odpady europejskiej psychodelii. Pusto w głowach. Mieli tam tylko powietrze. Nie mógł z nimi robić interesów.

To było po ucieczce z więzienia hrabstwa Barnstable w Massachusetts: pewnego dnia Storm zastał drzwi otwarte (z pewnością za sprawą Agencji, a może samego pułkownika) i po prostu sobie poszedł.

To było po wielkiej bitwie morskiej, jedynej wymianie ognia, w jakiej w życiu brał udział. Straż Przybrzeżna zatopiła jego łódź i wiele ton kolumbijskiej

marychy, zastrzeliła jednego i utopiła drugiego z załogi składającej się z trzech Kolumbijczyków.

W Bangkoku usłyszał, że w tym regionie pułkownik może kupować i przetwarzać surowe opium. Przeniósł się z Bangkoku, gdzie kurwy były przyjazne i naćpane, do Kuala Lumpur, gdzie kurwy wypełniały swoje obowiązki z zimną skutecznością automatycznych maszyn do czyszczenia butów. Kuala Lumpur: ta nazwa budziła skojarzenia z angielskimi określeniami zimna i bezwładu, Cold Lump*. Miasto bez kofeiny, czyste mózgi z akrylu, dokładne przeciwieństwo Phangan. Klimatyzacja, którą bez przesady określić można jako brutalną, wszyscy sprawiają wrażenie, jakby mieli problemy z oddychaniem. Bardzo zachodnie, bardzo współczesne, rodzaj azjatyckiego Akronu w Ohio z promocyjnymi cenami, owocami tropikalnymi, ruchem lewostronnym... Zobaczył fotografię Williama Beneta w „New Straits Times” i uświadomił sobie, że rodzaj psychicznej i duchowej grawitacji kierował każdym jego krokiem, że pokonał Zamachowca, wyszedł cało ze starcia z Przemysłowcami, przezwyciężył Więzienie, wędrował pomiędzy Głupcami, a teraz stanie twarzą w twarz z Wisielcem albo Zdrajcą (okaże się, kim naprawdę jest Sands) oraz że pułkownik znalazł się w jego zasięgu.

* „Cold lump” oznacza „zimna bryła”.

Storm pozostał w Kuala Lumpur na tyle długo, by zrobić sobie tatuaż i upewnić się, że Sands naprawdę zawisł. Mieszkał w Małych Indiach w kloace ludzkości o nazwie Bombaj, pod którą znajdował się kantor wymiany. Dali mu mały niebieski elektryczny wentylator i biały ręcznik, ale o mydło sam musiał się postarać. Przez cieniutkie ściany ze sklejkі mógł słuchać siedmiu stacji radiowych jednocześnie.

Tanie hotele są małe. W takich miejscach zawsze jesteś blisko ulicy, niemal na niej. Gwizdy, okrzyki, klaksony jak płacz niemowlęcia.

Korytarze Bombaju przesiąkał mocny, acz nieodpychający zapach curry i kadzidełek Nag Champa. O świcie po pierwszym wezwaniu do modlitwy w nieruchomym powietrzu wyczuwał aromat piekącego się chleba. Później dieslowskie spaliny dominowały atmosferę, unosząc się wraz z miejskim hałasem. W każdym cyklu kryje się kolejny cykl. Nie zdołasz uwolnić się z maszyny.

Co rano czytał Biblię sprofanowaną Magicznym Markerem przez jakiegoś muzułmanina. Albo słuchał radia. Premier w swoich przemówieniach kładł nacisk na spokój emocjonalny.

Albo pisał w swoim notatniku. Próbował poezji. Podziwiał poetę Gregory'ego Corso, człowieka, z którego geniusz wylewał się szerokim strumieniem zapełniającym ryzy papieru. Storm ograniczał się do pojedynczych wersów od czasu do czasu. Nie można wymuszać na Muzach natchnienia.

Albo czytał *Zohar: Księgę chwały*, którą wiele lat temu kupił w angielskiej księgarni w Sajgonie, zanim koleje losu zmieniły nazwę miasta na Ho Chi Minh -

Rabbi Yesa rzekł: Adam staje przed obliczem każdego człowieka, który gotuje się do opuszczenia tego padoku, by mu oznajmić, iż człek ów umiera nie z powodu grzechu Adama, lecz z przyczyny własnych grzechów...

Czytał, aż wzrok mu słabł, linie tekstu rozdwały się i dryfowały po stronicach.

Na pół śpiąc, śnił o tym, jak wreszcie przychodzi do pułkownika i pułkownik mówi: *Wiesz, że istnieje cykl wyobrażeń i żądz, żądz i śmierci, śmierci i narodzin, narodzin i wyobrażeń. Zwabiono nas w usta tego cyklu. I cykl nas połknął.*

Wyobrażał sobie wyraz oczu pułkownika, gdy ten jest świadkiem, jak Storm przerywa cykl z czystej ciekawości samego aktu.

Wędrował po mieście, nie pozwalając sobie na pożądanie kobiet - ich jedwabiste dotknięcia w wąskich alejkach, w autobusach, w kawiarniach.

Podczas czwartej wizyty u Rajika Hindus udzielił Stormowi odpowiedzi, teraz także przemawiając z bezgraniczną łagodnością:

- Nie można cię uleczyć. Nie wolno ci żywić nadziei na uleczenie. Nie możesz być zbawiony.

Cztery dni po egzekucji Storm pojechał luksusowym autobusem z klimatyzacją, a nawet telewizorem, na ostatni przystanek, na koniec samej szosy, do Gerik, sporego, skomplikowanego miasta z drewnianymi budynkami i polnymi drogami. Kiedy wysiadł, był późny wieczór. Chodził pomiędzy kramami sprzedawców na placu, gdzie zatrzymywały się autobusy.

Sands miał rację: Ju-shuan natychmiast go zaczepił. Kwadratowy, ciężki mężczyzna. Miał na sobie szorty i obszerny T-shirt. Szurał stopami w japonkach.

- Hej, cieszę się, że przyjechałeś. Nazywaj mnie mister John, okay?
- Mister John okay.
- Chcesz masaż? Chcesz kobietę?
- A masz chłopca do masażu? - zapytał Storm.
- Chłopca do masażu? Ha! Tak. Chcesz chłopca?
- Czy to za bardzo pokręcone dla ciebie, Johnny?
- Chłopiec, dziewczyna, bez różnicy.
- Dziewczyna mi pasuje.
- Dziewczyna do masażu, dobra. Zatrzymasz się w moim hotelu, okay?

Dwie przecznice stąd. Jesteś z Ameryki? Z Niemiec? Z Kanady? Wszyscy zatrzymują się w moim hotelu.

- Chciałbym coś zjeść.
- Mam jedzenie w moim hotelu.
- Chcę zjeść owoce.

Storm obszedł kramy. Kupił karambole. Mango. Johnny nie odstępował go na krok.

- Chcesz kokosa?
- Jestem pełny.
- To możesz zjeść kolację, a potem robić, co zechcesz. Przyprowadzę ci damę do masażu.

- Kolacja później. Kobieta najpierw - odparł Storm.

Kiedy weszli do hotelu, Johnny wskazał sąsiedni pensjonat.

- Nie zatrzymuj się tam - powiedział. - Nie chodź tam. To złe miejsce.

Wyglądało tak samo jak hotel Johnny'ego.

Johnny umieścił go w pokoju ze słomianą tatami na drewnianej podłodze i muzułmańską toaletą z gumowym węzem.

- Poczekaj pół godziny - powiedział Johnny.
- Nie przyprowadzaj mi takiej, co się nie uśmiecha.

Po dwudziestu minutach Johnny wrócił z dziewczyną.

- Uśmiechaj się - powiedział do niej po angielsku.
- Myślę, że znam twojego przyjaciela - powiedział Storm po wyjściu Johnny'ego.
- Mister John jest moim przyjacielem.

- Myślę, że nazywa się Ju-shuan.
- Nie znam Ju-shuana. Nigdy nie słyszałam o Ju-shuanie.

Ona też była Chinką. Pulchną i przyjacielską. Pachniała kadzidelkami. Przypuszczalnie po drodze wstąpiła do świątyni, żeby się pomodlić albo złożyć ofiarę. Miał nadzieję, że nie po to, by poradzić się mnichów w sprawie jakiejś dolegliwości.

- Wydajesz się smutna - powiedział.
- Smutna? Nie. Nie smutna.
- Więc dlaczego się nie uśmiechasz?

Posłała mu krótki, smutny uśmiech.

Później Storm jechał kolację przed hotelem przy małym stoliku pod markizą, na samej ulicy, przy świetle papierowego lampionu, w wirze ciem i skrzydlatych termitów.

Dzielił stolik z Malezyjczykiem, który usiłował rozmawiać z nim po angielsku.

- Nie zawracaj mi głowy, maestro.
- Cokolwiek powiesz. Cały jestem twój!

Poza małym lampionem i kilkoma słabo oświetlonymi drzwiami otaczała ich ciemność, wilgotna, ciepła, cuchnąca jak oddech.

Z tej ciemności zmaterializował się kościsty Europejczyk, młody mężczyzna z ciałem kanciastym, które wskazywało zarówno na jego młody wiek, jak niewątpliwe brytyjskie pochodzenie; szedł ku nim jak mumia z horroru, w szortach przytrzymywanych paskiem, z głową owiniętą brudnymi bandażami.

Usiadł przy stoliku i powiedział:

- Dobry wieczór. Jak się tu zamawia?

Dołączył do nich Johnny, przedstawił się, zamówił jedzenie dla podróżnika i wymienił kilka zdań po malajsku z drugim mężczyzną, który wypiłszy herbatę, odszedł.

- Nie zna angielskiego. To krewny mojej żony - wyjaśnił Johnny. Nalegał, by zamówili dokładkę ryżu zmieszanego z zielonymi, cytrynowymi w smaku pędami i kawałkami skorupiaków albo chrupiącej wieprzowiny, Storm nie potrafił stwierdzić, co to jest. - Co ci się stało w głowę? - zapytał Johnny nowego gościa. - Mam nadzieję, że już wszystko w porządku.

Młody mężczyzna z energią zabrał się za jedzenie, otoczony chmurą owadów. Przerwał, by odpowiedzieć:

- W zeszłym tygodniu byłem w Bangkoku przejazdem i wpadłem w otwarty ściek.

Wrócił do posiłku. Zjadł wszystko. Zawsze tak robią. W kolumbijskich górach Storm widział raz Brytyjczyka pochłaniającego bydłę wnetrzności marynowane w nafcie, jedzącego jak człowiek umierający z głodu.

- Ciemno jak w studni. Idę sobie spokojnie. Prosto w betonowy rów. Nie było tam przyjemnie, możecie mi wierzyć. Od tamtej pory badam swoje objawy. - Zwracał się głównie do Storma. - Straciłem przytomność z powodu otwartej rany na głowie. Jeszcze teraz wyobrażam sobie hordę mikrobów zajmujących moją czaszkę. Taksówką pojechałem do najbliższego szpitala. Młoda pielęgniarka powiedziała mi: Powinieneś nosić latareczkę, jak wybierasz się na włóczęgę. Latareczkę. Powiedziała mi tak, kiedy przyszedłem, i powtórzyła to, gdy wychodziłem z głową pełną szwów. Nie wychodź bez latareczki. Brzmi jak wers z musicalu.

- Mogę spotkać ciebie z uzdrowicielem. Kobieta - powiedział Johnny. - Ma-sa-ż. Żeby cię wyleczyć.

- Lubię Azjatów - oznajmił Brytyjczyk. - Przekonałem się, że z zasady bardzo ich lubię. Oni nie uprawiają gier jak my. Oczywiście robią to samo co my, ale bez gier. Po prostu są. Po prostu działają.

- To twoja pierwsza wizyta?

- Ale nie ostatnia. A ty?

- Bywam tu od lat sześćdziesiątych.

- Naprawdę. Niesamowite. W Malezji?

- Też. W całym regionie.

- A na Borneo byłeś?

- Borneo nie jest dobre - powiedział Johnny. - Nie jedź tam. To śmieszne.

- Teraz mam latarkę, możesz się założyć. I wcale nie jest mała. Popatrz.

- Z kieszeni spodni wyjął niewielką, ale solidną latarkę. - Wywierci ci dziurę w ciele. - Żartobliwie wycelował w dziecko czające się na granicy ciemności.

- Wywierci ci dziurę w ciele!

- Proszę nie dawać mu monet - powiedział Johnny.

- W żadnym razie - zapewnił Brytyjczyk. - Już i tak mam aż za dużo przyjaciół w tym mieście.

- Masz tutaj dużo przyjaciół? - zapytał Johnny.

- To taka gra z mojej strony - odparł młodzieniec, po czym zwrócił się do Storma: - Widzisz? Mister John nie gra w żadne gry.

- Oglądasz widoki? - zapytał Johnny.

- Oglądam, kiedy nie mam trzydziestu szwów na głowie.
- Oglądasz widoki. Mogę załatwić ci na jutro przewodnika do dżungli.
- Daj mi odpocząć. Dwa dni i mogę wchodzić na Kilimandżaro.
- A ty? - zapytał Storm Johnny'ego. - Wynajmujesz się jako przewodnik?

- Jasne, jeśli chcesz. Ale pójdziemy wolno i nie umiem wspinąć się na górę. Zwiedzimy tylko jaskinie nad rzeką Jelai. Pokażę ci jaskinie, to wszystko.

- Może być.
- Musimy wejść na małą górę.
- Zastanowię się.
- Ta góra to nic. Ciągle to samo: w górę, w górę. Oglądasz widoki? Może zobaczymy słonia.

- Powiedziałem, że się zastanowię.

- W Bangkoku spotkałem misjonarza - powiedział młody człowiek ze szwami na głowie. - Radził, żebym stosował się do psalmu sto dwudziestego pierwszego: „Wznoszę oczy ku góróm”. Wyjaśniłem, że jestem poganinem. Mimo to nalegał, żebym w czasie podróży codziennie czytał psalm sto dwudziesty pierwszy. No więc. Czy on grał w jakąś grę? Po co mówił mi coś takiego? - Kolejny raz napełnił miskę. Storm obserwował go, jak je.

- Ponieważ to była wiadomość.
 - Wiadomość, rzeczywiście. Ale dla kogo?
- Storm nie powiedział mu, dla kogo to była wiadomość.
- Nie lubię rozmawiać o religijnych sprawach - powiedział Johnny. - Przez to dwoje ludzie zaczyna nieprzyjemnie się traktować.
 - Nie, mister John - zapewnił Brytyjczyk - nie będziemy się kłócić, w każdym razie nie o religię. To strasznie nudne.
 - A co z kobietą na noc? Chcesz ma-saż?
- Brytyjczyk sprawiał wrażenie, że ta rozmowa wprawiała go w niepokój.
- Wrócimy do tego później, dobrze? - powiedział.

Nazajutrz Storm wynajął Johnny'ego jako przewodnika po należącym do rządu lesie. Trzy przecznice od hotelu wsiedli do otwartej łodzi motorowej, prowadzonej po rzece Jelai przez mężczyznę okrytego kilkoma przezroczystymi plastikowymi workami w ochronie przed lekkim deszczem.

- Ten człowiek jest z prymitywnego ludu - powiedział Johnny. - Ale teraz mieszka w mieście, z nami. Spotkamy jego krewnych, jego klan. Pomaga im rząd. Żyją tak samo jak tysiąc lat temu.

Płynęli w górę rzeki, płaskiej, potężnej, brunatnej. Nic nie mówili. Silnik cicho warczał. Odór spalin. Miasto się oddaliło. Kilka domów wzdłuż brzegu, potem nic.

Wiele kilometrów dalej dwaj pasażerowie wysiedli z łodzi na drewniany pomost, który nie wydawał się służyć żadnej pobliskiej wiosce ani innej siedzibie ludzkiej.

- Kurwa, gdzie on się wybiera? - Łódź zawróciła i popłynęła w dół.
- Chce zobaczyć się ze swoimi. Wróci. Kiedy przyjdziemy w porze kolacji, będzie tu.

Storm zawiązał sobie na czole bandanę. Zrzucili plecaki i ruszyli wydeptanym szlakiem, raz po raz omijając potężne placki słonego łąjna, z których wyrastały grzyby. Johnny prowadził. Ktoś tu mieszkał: ktoś spiralnie ponacił dzikie kauczukowce, żywica spływała do drewnianych mis przywiązanych do pnia na poziomie kolan.

Na pokrywie wielkiego plecaka Johnny'ego wymalowana była amerykańska flaga. Storm patrzył, jak porusza się po dżungli, powiewając nad szlakiem. W swoim małym plecaku miał tylko papierosy, notatnik, skarpetki i bandany w plastikowym worku, a także latarkę. Oraz baterie. Nie miało sensu nosić broni. Tamtych zawsze jest więcej.

Deszcz ustał. Nieważne, pot czy deszcz, człowiek i tak jest mokry.

- Na imię masz Ju-shuan.
- Ju-shuan?
- Tak mi powiedziano.
- Ju-shuan? To bezsensowny hałas. Ju-shuan to nie jest chińskie imię.

Szli pod górę i ciężko dyszeli, mimo to Johnny przystanął, by zapalić.

Szlak prowadził wzdłuż klifu. Stali, patrząc w dół na nierówny baldachim zieleni i przecinającą go brunatną rzekę Jelai.

- Jak ty masz na imię? - zapytał Johnny.
- Hollis.
- Ile masz lat?
- Czterdzieści z hakiem.
- Czterdzieści z hakiem - powtórzył Johnny - czterdzieści z hakiem. - Chwilę później powiedział: - Czterdzieści z hakiem.
- To znaczy, że mam więcej niż czterdzieści lat.
- Czterdzieści jeden. Czterdzieści dwa. Czterdzieści trzy.
- Czterdzieści trzy.

- Masz czterdzieści trzy lata.

- Tak.

Johnny czarnym sandałem wgniół niedopałek w ziemię.

- Ja cię znam.

- Jasne, że tak. I znałeś Beneta.

Johnny rozejrzył się, szukając kłamstwa. Spróbował słodczy:

- Znałem go, jasne.

- Nie żyje. Powiesili go.

- Jasne, wiem, to sławna sprawa. To miałem na myśli. Słyszałem o tym z gazet, to wszystko.

Znowu ruszył pod górę ze Stormem następującym mu na pięty.

- Dlaczego nie mówisz? Mam mnóstwo informacji o regionie. Dlaczego mnie nie pytasz?

- Zapytam, kiedy będę gotowy.

Przeszli pół kilometra i znowu przystanęli, by odpocząć. W tym miejscu szlak był wąski i mogli tylko oprzeć się o skały.

- Tu jest szczyt. Potem zjedziemy i na dnie będą jaskinie.

Storm zapalił papierosa.

- Powiedziałem siódma i przyszedłeś o siódmej - rzekł Johnny. - Jesteś bardzo punktualny. - Jego twarz nie należała do nieodgadnionych. Wyglądał na zdumionego i zdesperowanego.

- To cały ja.

- Nie spałem prawidłowo - powiedział Johnny swojemu podopiecznemu. - Czuję, jak nocą dusza mnie opuszcza. Wiedziałaś, że się modłę? Ale w ostatnich dniach nic nie idzie jak powinno. Kiedy się modłę, nie widzę żadnego cienia na ścianie - ale nie jestem przesądny.

- Belkoczesz.

Johnny wskazał roślinność na skale:

- W tym kamieniu widzę twarz mojego ojca.

Storm nie odpowiedział. Poszli dalej. Wciąż prowadził Johnny, teraz przez cały czas odwracając głowę na trzy czwarte do Storma.

- Posłuchaj, mówię ci dwie rzeczy. Nie znam Beneta i moje imię też nie jest Ju-shuan.

Na szczycie Johnny zdjął plecak i usiadł obok niego.

- Jest za ciężki. Mam w środku mały namiot. Po jaskiniach możemy rozbić obóz. Mam jedzenie. Chcesz owoc?

Storm pochłoniął mango i obgryzł pestkę. Chmury się rozstały. Na ich głowy ciężko spadły promienie słoneczne, zmieniły baldachim zieleni w żywą, pulsującą istotę, zapaliły jaskrawe refleksy na płynącej w dole rzece. Po raz pierwszy był w prawdziwej dżungli. W czasie wojny widywał dżungle tylko z helikoptera. Gąbczaste, w wielu odcieniach zieleni, takie jak ta: czasami z gęstej roślinności wylatywały pociski smugowe albo nocami oświetlały je race.

- Musimy poszukać patyka. Jak będzie za mokro, zsuniemy się w dół.

Każdy znalazł sobie patyk i ruszyli ku jaskiniom. U stóp urwiska Johnny pokazał mu dziurę wielkości metra kwadratowego.

- Tubylcy zabierali tutaj chłopców, żeby zmienić ich w mężczyzn. Wchodzili do środka, żeby urodzić się po raz drugi. Zobaczysz. Dlatego je wybrali. Zobaczysz. Ale najpierw: czy jesteś głodny?

Usiedli na pniu i palcami jedli ryż z plastikowych woreczków, a rozgniewana małpa rzucała ziemią i szczekała na nich ze skały.

- Zawsze dobrze jest zjeść - powiedział Johnny. - Teraz wejdziemy do środka. Musimy zostawić nasze rzeczy.

Storm przykucnął przed dziurą. Przed jego twarzą sypały się kamyczki - małpa wciąż była na klifie. Zaświecił latarkę: wąski tunel.

- Brednie.

- Tu jest bezpiecznie. Nikt nas nie okradnie.

- To jakaś kurewska rura, człowieku.

- Możemy bez problemu to zrobić. Skręca na lewo. Kiedy nie będziesz widział mojego światła, wejdź, okay? - Z pomrukiem stanął na czworakach i zaczął się czołgać, szurając latarką po podłożu. Storm kucał przed wejściem i patrzył. Po kilku sekundach światło Johnny'ego zniknęło za ostrym zakrętem. Storm ruszył za nim. Latarka w jego dłoni podskoczyła i światło go oślepiło. Za zakrętem zobaczył latarkę Johnny'ego. Po kilku metrach musiał się położyć i z rękami przyciśniętymi do boków przepchać przez wąski otwór. Johnny mówił do siebie po chińsku. Storm wciągnął brzuch, inaczej nie dałby rady dalej iść, ale nie widział sposobu na wycofanie się, a poza tym temu tłustemu draniowi się udało, a on musiał z nim zostać, musiał zrobić wszystko, by z nim zostać. Powiedział sobie, że nieważne, czy będzie żył, czy umrze. Przesuwał się przez ciemność z niewiarygodną zręcznością. Otoczyło go światło. Johnny stał w komnacie, której ściany były tak daleko, że ich nie widział. Przy jego pomocy Storm ostrożnie stanął na śliskim gruncie, choć nogi się pod nim trzęsły.

- Cisza, proszę - szepnął Johnny i poświecił latarką do góry. Wysoki sufit pokrywały nietoperze, wyglądały jak dywan opadłych liści. Dziesiątki tysięcy nietoperzy.

Johnny raz strzelił palcami i każdy nietoperz zadrżał lekko, razem wydały zbiorowy odgłos przypominający oddalającą się i nabierającą prędkości lokomotywę, który szybko ucichł, choć teraz ciemność zdawała się wibrować życiem.

- Popatrz, gdzie drapali na skale. Tubylcy.

Przyświecając sobie latarką, Storm przyjrzał się kilku ledwo widocznym znakom, ale nie potrafił odgadnąć ich znaczenia.

Johnny przesunął snopem światła po mglistych symbolach i zapytał:

- Co to jest?

- Co? Nie wiem.

- Myślałem, że wiesz. Może dowiedziałeś się o tych ludziach na twoim uniwersytecie.

Storm się roześmiał. Śmiech opuścił jego usta niczym wystrzał, nietoperze znowu zahuczały.

Ściskając latarkę pod pachą, wytarł wilgotny osad z dłoni o spodnie.

- Co to za gówno?

- Tak. To łajno. Od nietoperzy.

- Cholera jasna. Jak daleko ciągną się te jaskinie?

- To jest tylko jedna jaskinia. Możemy wyjść z drugiej strony.

- Do kurwy nędzy. Mówisz, że to łatwiejsza droga?

- Tylko żeby wyjść. Musimy precyzyjnie się przez małą dziurę, ale to łatwiejsze od pójścia z powrotem. Bardzo łatwo się precyzyjnie. Za to do środka nie da się tamtędy wejść. Za ślisko.

- Kurwa, człowieku, chodźmy.

- Tędy. - Johnny pierwszy bardzo wolno ruszył ku pustce, która wkrótce zmieniła się w ścianę i następny otwór, trochę większy od pierwszego.

- Ja pierwszy - powiedział Storm.

Teraz musieli tylko pochylić głowy, żeby się poruszać, za to prawie nie można było stawiać stóp. Storm nie widział żadnych nietoperzy, chociaż łajno było wszędzie.

Latarka Johnny'ego zadygotała i spadła na ziemię. Storm ostrożnie zrobił dwa kroki w tył, podniósł latarkę i zobaczył, że Johnny leży na plecach. Rzucił latarkę koło niego.

- Nie widzę cię - powiedział Johnny.
- Storm wyjął zza pasa nóż i oświetlił go swoją latarką.
- Widzisz to, skurwielu? - Przykucnął, ostrzem noża podnosząc T-shirta Johnny'ego.
 - Co ty robisz? - Storm skierował światło na twarz Johnny'ego, który zmrugał powieki i odwrócił wzrok. - Chcę wiedzieć, co ty robisz.
 - Wytnę ci tłuszcz z brzucha.
 - Co ty wyprawiasz! Zachowujesz się jak wariat!
- W pieczarze nietoperze znowu zawyły.
- Obedrę cię ze skóry. Będę rzucał kawałki na stos, a ty możesz patrzeć, jak mały się nimi zajadają. A na razie zajmą się tobą mrówki.
 - Zwariowałeś!
 - Założmy, że nie.
 - Pieniądze! Pieniądze! Mogę ci dać!
 - Powiedziałeś, że znasz Beneta.
 - Tak, to bardzo źle zostać powieszonym. Ale musisz zrozumieć, że to zły los go do tego doprowadził. To była straszna sytuacja.
 - Teraz to jest twoja sytuacja.
 - Ale ja nie mam z tym nic wspólnego!
 - Wróćmy do twojej obecnej sytuacji.
- Johnny powiedział coś po chińsku; brzmiało to tak, jakby sam sobie odpowiadał.
- Okay. Wiem. Wiem, czego chcesz.
 - Więc mi to daj.
 - To - słuchaj, proszę - to nie było z mojego powodu, sir. Proszę, zrozum to.
 - Wszystko mi powiesz.
 - Daj mi latarkę, chcę ją zaświecić.
 - Ale nie na mnie.
 - Tu, z boku. - Johnny poświecił latarką na ścianę. Uniósł głowę i bardzo uważnie poszukał aluzji do swojej przyszłości w twarzy Storma. - Czy mogę ci jedno powiedzieć? Wszyscy jesteśmy jedną rodziną.
 - Johnny. Gdzie jest pułkownik?
 - Och, na miłość boską, pułkownik. Tak. Powiedz mi, czego chcesz. On nie jest daleko. Jest w Tajlandii, za granicą. Możesz pójść tam tymi szlakami.
- Wracajmy do miasta i wszystko załatwię. Każdy, kto idzie gumowym

szlakiem do wioski w dolinie Belum, łatwo może znaleźć pułkownika. Wszyscy o tym wiedzą.

Storm cofnął się o dwa kroki, chowając nóż do futerału.

- Wstawaj.

- Mogę wstać. Mogę to łatwo zrobić! - Podniósł się z lekkością serca człowieka, który o włos uniknął śmierci; Storm poznał to uczucie, kiedy myślał, że Straż Przybrzeżna go zabije. Johnny poprowadził przez kolejne czterdzieści metrów ku połyskliwej dziurze w ścianie.

Storm wyrzucił na zewnątrz latarkę i podążył za nią nogami do przodu. Zsunął się po dwumetrowym spadzie w światło dnia. Nad jego głową kiwały się stopy Johnny'ego. Złapał za nogawkę szortów małego tłuściocha, gdy ten się zsuwał z ramionami wyciągniętymi nad głową, czepiając się skały. Na dole uśmiechnął się głupio i pokręcił głową.

- Chodźmy - powiedział Storm.

Trzymał się blisko Johnny'ego, kiedy obchodzili górę, wracając na miejsce, gdzie jedli lunch.

- Proszę, jesteście! Widzisz? - oznajmił Johnny takim tonem, jakby udowadniał niezwykle istotną prawdę.

- Potrzebna mi mapa.

- Oczywiście! Oczywiście! Mam mapy w hotelu.

- A co masz w plecaku?

- Oczywiście! Zapomniałem, że mam mapę w plecaku! - Przykucnął, szarpnięciem otworzył klapę, po czym wyrzucił woreczki z jedzeniem, niebieskie ponczo, trzymetrowy pas barwnej tkaniny, który rozwinął wokół siebie, a który jak wyjaśnił, był jego kocem, i wręczył Stormowi źle poskładaną, poszarpaną mapę.

- Na nieszczęście napisana jest po malezyjsku. Ale ty chcesz tylko iść gumowym szlakiem i rozmawiać z wodzami po drodze. Ktoś da ci wskazówki.

Storm rozłożył mapę na ziemi.

- Pokaż mi.

- Wrócimy do miasta. Jutro możesz wynająć samochód do tego miejsca, później nie ma dróg. Może zawieźć cię motocykl.

- Czy to tajska granica?

- Tak, ale tu jest wioska, do której chcesz iść.

- Nie widzę wioski.

- Jest tutaj. Nie mogę zaznaczyć. Nie ma ołówka.

Storm najlepiej jak potrafił poskładał mapę na małą kostkę i wepchnął ją do swojego plecaka.

- Idziemy.

Zarzucili plecaki na ramiona i poszli. Wspinając się na zbocze, nic nie mówili. W tę stronę droga w górę wydawała się krótsza niż ta, którą schodzili. Storm wyprzedził Johnny'ego, który nawet schodząc, oddychał ciężko i nie miał nic do powiedzenia.

Kiedy dotarli na szlak prowadzący wzdłuż rzeki, Chińczyk sprawiał wrażenie pewniejszego swojej pozycji.

- Zmartwiłeś mnie! Ale teraz dobrze jest między nami.

- Nie, jeśli chcesz mnie wykiwać.

- Bzdury.

- Wierzę w to! Jesteśmy przyjaciółmi!

W miejscu gdzie woda sięgała brzegu, zatrzymali się, żeby zmyć odchody nietoperzy.

- Nie ucieknę - oznajmił Johnny, brodząc w rzece. - Możesz mi ufać. Zresztą na drugą stronę jest za daleko. A tam widzę krokodyla.

W tym samym momencie skoczył. Storm patrzył, jak Johnny miota się trzy metry dalej. Trafił na głębokie miejsce, bił ramionami w nurt, rzucał się bokiem, wreszcie jego stopy znalazły oparcie. Złapał się roślinności i padł na czworaki, przemoczony i skurczony; uniósł głowę, by łyknąć haust powietrza, znowu ją opuścił. Nie obejrzał się na Storma.

Storm przyglądał mu się tylko przez kilka sekund, później odwrócił się i pobiegł szlakiem, by przed Johnnym dotrzeć do przewoźnika.

Podczas biegu pytał siebie: Po co wspomniałem o pułkowniku, zanim on to zrobił? Ostrzegłem go. Mógł mnie wysłać w jakimkolwiek kierunku.

Usiadł na słomianej tatami w hotelu Johnny'ego i zdjął skarpetki brunatne od krwi. Pomazał ugryzienia pijawek błotem z rzeki, ale jedno ominął.

Zza rogu wyszła stara Johnny'ego, wzbudzając kłęby dymu miotłą.

- Ach! Wróciłeś!

- Nie da się ukryć.

- Gdzie jest mój mąż?

- Z przyjaciółmi w dżungli.

- Więc Johnny zostaje może trochę dłużej?

- Tak, coś w tym rodzaju.
- Chcesz herbaty?
- Nie. Chcę samochód do granicy.
- Masz pieniądze?
- Jestem najbogatszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałaś.
- Jutro rano załatwię ci samochód. Masz przyjaciela w Tajlandii?
- Jasne.
- Twój przyjaciel czeka.
- Taka możliwość niewątpliwie istnieje. - Badawczo wpatrywał się w jej twarz. Ale jeszcze tego nie czuł. Był o wiele bliżej, ale tego nie czuł. - Chyba zmienię hotel - powiedział.

Przez kilkadziesiąt kilometrów, jeśli sądzić ze wskazań niewyraźnego licznika, jechał w Morrisie minor, rozglądając się czujnie na boki. Przy moście nad rzeką, której nazwy nie znał, kierowca poprosił o zapłatę i kazał mu wysiąść, odmawiając dalszej ryzykownej jazdy. Zniszczone przez żywioły deski mostu wyglądały na przegniłe. Storm zaproponował kierowcy więcej pieniędzy, ale ten odpowiedział:

- Kupisz mi nowy samochód?
- Tchórz. Pierdol swoją matkę - powiedział Storm.

Złapał okazję na stosie podpałki w zmodyfikowanej rikszy kierowanej przez starca i ciągnionej przez zwierzę, które mogło być osłem, choć mogło też być skarłowaciałym koniem. Storm miał na sobie dzinsy z obciętymi nogawkami i szczapy kłuły go w uda. W plecaku nie miał nic, żadnej zmiany ubrania, tylko latarkę, nóż i plastikową pelerynę, a także notatnik i mapę Johnny'ego. Po jakichś trzech kilometrach dojechali do wsi. Storm próbował wytargować od starca dalszą pomoc, ale bez powodzenia. Młode kauczukowce zarosły drogę i jego wóz nie da rady przejechać. W progach chat stańczy mieszkańcy i gapili się na gościa. Jakiś mężczyzna podszedł do Storma, niepewnie zatrzymał się tuż poza zasięgiem ramienia, po czym odważnie zrobił krok do przodu i dotknął nieznajomego w rękę. Ludzie krzyknęli. Mężczyzna ze śmiechem się odwrócił.

Storm nie miał pojęcia, jak daleko jest stąd do granicy. Mniej niż dwadzieścia kilometrów, jeśli prawidłowo odczytał mapę.

Zza jednej z chat wyszedł stary drwal z młodzieńcem o płaskiej twarzy i wytrzeszczonych oczach, który prowadził motorower. Chłopak kopnął w pedał,

skoczył na siodełko i tak szybko ruszył, że Storm wątpił, czy spodziewają się od niego, że będzie pasażerem, mimo to usiadł za nim i krzyknął:

- Dokąd jedziesz? Dokąd jedziesz?

Wydawało mu się, że chłopak odpowiedział:

- Road.

Na granicy wioski stara kobieta z wykrzywioną twarzą rzuciła się na ziemię przed motorowerem, wrzeszcząc i jęcząc. Hamulce zapisały, Storm poleciał do przodu, ustami dotykając włosów swojego kierowcy. Chłopak wyciągnął nogi, próbując ominąć kobietę, ale ona kopiąc w ziemię, przekreśliła się jak pływak i nadal blokowała mu przejazd. Storm kołysał się boku na bok, gdy przejeżdżali po niej obydwoma kołami.

- Hm! - powiedziała. - Hm!

Ludzie w progach krzyczeli - roześmiani ludzie - a jakieś dziecko podbiegło i splunęło na nich. Storm czuł, jak wiatr przesuwając strumieniem śliny po jego udzie, gdy nabierali prędkości. Zerwał pęk liści z herbacianego krzewu i stał ślinę. Droga była wyboista, z czerwonej gliny. Od czasu do czasu musieli zwalniać przed wielkimi ceglastymi kałużami. Chłopak dla zachowania równowagi wyciągał nogi na boki.

Przed nimi rosły głównie drzewa gumowe, szlak pokrywał dywan liści, światło przedzierało się przez korony. Motorower dwukrotnie podskoczył na grubym wężu w połyskliwe pasy. Droga zwężyła się do szlaku, ciągle wpadali na korzenie, mały silnik bzyczał jak klakson, brzmiał równie nieważnie, stłumiony odgłosami życia. Trzy godziny, cztery godziny, ale oni nie zatrzymali się na lunch, nie zrobili nawet przystanku, żeby napić się wody. Storm siedział skulony za plecami kierowcy; na wąskim szlaku cienkie gałązki biły chłopca w twarz. Ciągle ją ocierał i za każdym razem jego ręka była bardziej zakrwawiona. Naciskał pedał, krzycząc i szlochając. Posuwali się do przodu na najniższym biegu. Storm czuł, że gumowe podeszwy jego butów topią się na rurze wydechowej, oparł więc stopy o rozporcki, ale w taki sposób, że ciągle się zsuwały.

O pierwszej po południu w wysokim lesie niemal zapadał zmierzch, droga, tutaj wąziutka ścieżka, była niemożliwie błotnista, a potem wyjechali na światło dnia, otwarte przestrzenie z szarą trawą słoniową i szmaragdowymi polami ryżowymi. Ścieżka krzyżowała się z suchym korytem potoku, którego strome ściany wysokie były na dwa metry. Motorower nie dał rady go pokonać.

Zsiedli, chłopak rozpędził się w wysoką trawę porastającą pobocze, po kilku metrach przewrócił motorower na bok i sam też padł. Szybko zerwał się na nogi, ocierając twarz. Krew krętym strumykiem spływała mu po ramieniu, gdzie miał głęboką ranę. Zauważył ją, uśmiechnął się do Storma, a potem nieoczekiwanie z gniewem się rozpląkał. Storm złapał go za rękę.

- Uspokój swoją duszę, człowieku. Nie umarłeś. Kurwa, głęboka ta rana. - Zdjął bandanę z głowy, by obwiązać mu ramię. Ledwo skończył robić węzeł, gdy chłopiec ruszył w dalszą drogę. Zeszli na dno strumienia, wygramolili się na brzeg.

Storm próbował coś powiedzieć:

- Chłopcze. Chłopcze. Dam ci pieniądze, pieniądze.

Ale tamten nie odpowiadał ani nie przystawał. Rowami na polu ryżowym doszli do wioski, gdzie wszystko poruszało się w popołudniowym wietrze.

Na ganku drewnianego domu stał mężczyzna w brązowych spodniach i niebieskiej koszuli, jak jakikolwiek człowiek na rogu jakiegokolwiek miasta.

- Witam was! Wejdźcie na podwieczorek, pokażę wam moje okazy.

- Potrzebna nam woda.

- Wejdźcie do mojego muzeum. Proszę. Wejdźcie.

Wprowadził ich do pomieszczenia przypominającego kafejkę bez krzeseł, tylko ze stolikami, na których stały wielkie słoje. Uniósł jeden, w środku brunatny owad długi pewnie jak jego przedramię, gdyby nie był zwinięty w bransoletkę, unosił się w czymś, co przypominało stare siki.

- Mam sporą kolekcję owadów. Ten parecznik zabił trzynastoletniego chłopca.

- A co z wodą?

- Mam ją najpierw zagotować? Bo jesteś Amerykaninem. - Podczas mówienia brwi mężczyzny rozchodziły się i zderzały. Owadzie oczy i wydadne usta. Wielkie czoło. Tylko wydadne usta odróżniały go od jego okazów.

- Napełnij mi manierkę. To znaczy proszę. Muszę załatwić to gównno.

Dziwny człowiek wszedł z manierką Storma przez otwarte drzwi do kuchni, gdzie widać było łóżko i piec, po czym zanurzył ją ocynkowanej wannie.

Storm podążył za nim, wyrwał mu manierkę z dłoni i wrzucił do niej dwie tabletki. Zakręcił wieczko i potrząsnął.

- Kurwa, ale mi się chce pić.

- Wierzę w to, tak - odpowiedział mężczyzna.

Stali pomiędzy okazami. Storm wypił połowę zawartości łąpczywymi łykami i podał manierkę chłopcu. Ten upił mały łyk, ale zaraz zaskoczony wziął głęboki oddech i woda pocięła mu po brodzie.

- To jodyna.
- Tak. - Mężczyzna powiedział coś do chłopca po malajsku.
- Nie chce mi podać swojego imienia. To jego przywilej. Jestem doktor Mahathir. A jak pana godność, jeśli można?
- Jimmy.
- Jimmy. Tak. Często mówisz brzydkie słowo, Jimmy. Mówisz „gówno”.

To brzydkie słowo, prawda?

- Mam kurewsko niewyparzoną gębę. Skąd bierzesz te słoje, człowieku?

- Jestem naukowcem. Entomologiem.
- Więc srasz tymi wielkimi słojami?
- Och, słoje! Mam ich dwadzieścia sześć. Ludzie mi je sprzedają. Wiedzą, że entomolog potrzebuje słoików na swoje okazy. Tu jest skorpion.

- Taa. Ilu trzynastolatków zabił?

- Ukąszenie nie jest śmiertelne. Tylko na jakiś czas paraliżuje. Miejsce ukąszenia puchnie. To największy skorpion występujący w tym regionie. I dlatego ja go przechowuję.

- W formalinie, tak?
- Tak.
- Czy to gówno jest antyseptyczne?
- Oczywiście.
- Masz słoik czystej formaliny? Ten chłopak rozciął sobie ramię.
- Tak, wyraźnie to widziałem. - Powiedział coś do chłopca, który wyciągnął rękę. Naukowiec delikatnie odwinął bandanę. - Nic nie będzie. Oczyszczymy ranę i zszyjemy. Mogę to zrobić.
- Nicią chirurgiczną? Masz taką nici?
- Nie. Mam nitkę i igłę.
- A xylocainę?
- Nie.
- Lepiej mu to wytłumacz, doktoru.

Chwilę rozmawiali, ale chłopak wciąż wyglądał na bardzo zdenerwowanego.

- Mówi, że musi ukryć ranę. Jego ciało nie może mieć skazy.

- Skazy? Popatrz na jego twarz. Podrapał ją sobie, jadąc przez busz, jakby miał granat przywiązany do dupy.

- Nie wiem. Takie ma przekonania.

- On cię poszyje - wyjaśnił Storm chłopcu, podczas gdy doktor szukał materiałów w kuchni. - To będzie nieprzyjemne.

Doktor wrócił, jedną ręką wlokąc ławkę, w drugiej niosąc butelkę pepsi. W ustach trzymał igłę ze zwisającą z ucha nitką.

- Usiądź, proszę. - Razem z chłopcem usiedli na brudnej podłodze. Doktor położył rękę chłopca na ławce, po czym wsunął igłę z nicią do butelki.

- Teraz to wysterylizuję - powiedział. Wyłowił igłę, ciągnąc za nitkę, zsunął brzegi rany i wbił igłę w ciało. Chłopiec wciągnął powietrze przez zęby, wydając z siebie syk, nic więcej. - To stoik - oznajmił naukowiec.

- Możesz z nim pogadać? Tłumacz.

- Oczywiście.

- Po pierwsze kim była ta stara kobieta, po której przejechał motorowem?

- To była jego babka - odparł doktor, zamieniwszy z chłopcem kilka zdań.

- Pierdolisz. Kim jest ten gość?

- Nie wolno mu podać nam swojego imienia. Ja wiem, kto to jest. Słyszałem o nim. Podróżuje do wioski położonej w górze szlaku.

W milczeniu przerywanym tylko syczeniem chłopca przy każdym szwie naukowiec zakończył pracę. Rana była teraz bezkrwawa, zamknięta pięcioma ciasnymi niebieskimi węzłami.

- Pierwszorzędna robota - oznajmił Storm. - Jesteś Elvisem.

- To. Jest dobrze. Dziękuję.

Chłopiec wstał i coś powiedział.

- Mówi, że stąd musimy iść.

- Nie pierdolisz? Już idziemy od godziny.

- Jutro jest bardzo ważna ceremonia. Ten człowiek solennie się zobowiązał, że weźmie w niej udział.

- Gdzie to się odbędzie? Mówił: „Road”.

- Tak. Napiszę to dla ciebie. Można tak to wymówić. - Na stwardniałej warstwie kurzu pokrywającego stół pomiędzy unoszącymi się w słojach potwornościami wydrapał: „Roo”. - Ja też pójdę.

- Możemy zdobyć samochód?

- Możemy tylko iść. To kilka godzin drogi, ale jest łatwa. Rozumiesz, jesteśmy na równinie. Potem zejdziemy w dolinę.
- W porządku, pierdolić to, idziemy.
- Będziesz nam towarzyszył?
- Nie, stary. Ty jesteś tu, kurwa, nowy. Ja już biorę w tym udział. Naukowiec potarł dłonie i zmarszczył czoło.
- W porządku! Możesz towarzyszyć nam przez jakiś czas, Jimmy, dobrze?

Chłopiec już wyszedł za próg. Storm ruszył za nim. Doktor Mahathir dogonił ich za wsią, kiedy ścieżka znów ustąpiła miejsca polom ryżowym.

- Masz wodę w manierce?
- Do połowy.
- To wystarczy.

Chłopiec nawet się na nich nie obejrzał. Zdjął koszulę przez głowę, nie zatrzymując się ani nawet nie zwalnając kroku. Wszyscy trzej szli tak szybko, że brakowało im oddechu na rozmowę. Po pół kilometrze następujących po sobie rowów i strumieni dotarli na ścieżkę. Mahathir błagalnie zawołał do chłopaka po malajsku.

- Powiedziałem mu, że musimy odpocząć w następnej wiosce. Myślę, że się zgodzi.
- *Señor*, co ten smarkacz knuje? Niech mi powie, co wyprawia.
- Nie może ci odpowiedzieć. Stąd aż do celu musi zachować milczenie.
- Po co?
- Ma funkcję do spełnienia. Będzie uroczystość.
- Jakiego rodzaju uroczystość, panie Robalu?
- Bardzo niecodzienna. Rzadko się zdarza. Będę ją obserwował.

W następnej wiosce zatrzymali się przed małą drewnianą chatą, usiedli na dwóch ławkach w cieniu i wypili mrożoną herbatę bez lodu.

- Gorący dzisiaj dzień - oznajmił entomolog.
- Cholerna racja.
- Tutaj jest dobre miejsce. Dla ciebie dostatecznie daleko. Możesz tu odpocząć.
- W żadnym razie tu nie zostanę. Idę dalej niż wy.
- Dalej to będzie Tajlandia.
- Skoro tak będzie trzeba.

Mahathir zgarbił ramiona, popijając herbatę z plastikowego kubka. Krzywił się, jakby napój źle smakował. Zmarszczył brwi, odchrząknął, wylał ostatnie krople na ziemię i wytarł kubek podkoszulkiem, pilnując, by koszula pozostała czysta.

Wszyscy trzej wstali i ruszyli w drogę. Przy ostatniej chacie Mahathir stanął, objął się ramionami i powiedział:

- Wybacz mi, Jimmy. Myślę, że nie możesz dalej iść. Nie, nie możesz. Przykro mi, że aż tutaj cię przyprowadziliśmy.

Chłopiec coraz bardziej się od nich oddalał.

- Chodźmy, doktoru. Muszę pogadać z pewnymi osobami.

- To nie jest dla ciebie odpowiedni dzień. Zrób to kiedy indziej, dobrze?

Zostawili za sobą rzucające cień drzewa wioski, idąc przez kolczaste zarosła, poznaczone plamami zmytego przez deszcz kurzu.

- To jest złe, wręcz straszne. Tak, to straszne - powiedział Mahathir.

Zaczęli schodzić w dolinę Belum.

- Tam jest - odezwał się Storm. - Proszę, tam jest.

- Kto tam jest?

Przed nimi rozciągał się baldachim dżungli, pod którym w warstwie niewidzialnej dla wzroku tych z Disneylandu w tej samej chwili torturowano zaginionych w akcji.

- Kto tam jest?

- Chodźmy. Chłopak na nas nie poczeka.

Ścieżka prowadziła w dół, wijąc się po zboczu wzgórza albo góry, Storm nie wiedział, jak to nazwać, ponieważ nawet przy stromym nachyleniu drzewa były na tyle wysokie, że zasłaniały i niebo, i dno doliny. Po kolejnym kilometrze wyszli na płaski, trawiasty teren. Ścieżka zawiodła ich do polany i kilku siedzib ludzkich, chat ze słomy i drewna pokrytych dachami z cynkowej blachy. Storm słyszał szum rzeki, głosy ptaków i chyba ludzi.

- Chłopiec tu się zatrzyma. Ja też tu się zatrzymuję.

- Gdzie oni są?

- Podejźmy bliżej rzeki.

Sto metrów dalej nad brzegiem rzeki zobaczyli grupę wieśniaków i stos wysoki niemal na pięć metrów i dwa razy tak szeroki u podstawy. Wszystko wskazywało na to, że przygotowania zostały zakończone. Trzy kobiety owinięte w brudne sarongi krążyły wokół stosu z naręczami gałązek, wtykając

podpałkę tam, gdzie się dało. Dalej mężczyźni w przepaskach na biodrach stali w rzece po kolana, jedną ręką przyskajac sobie wodę pod pachy i mocząc głowy; pochyleni, kołysali głowami z boku na bok, żeby strząsnąć krople z długich włosów.

- Przygotowali stos pogrzebowy.
- Spalą go?
- Chłopca? Nie.
- Więc kogo? - Storm zastanawiał się, czy nie chodzi o niego samego.
- Tym ogniem zniszczą jego duszę.

Z boku stało czterech mężczyzn, także w przepaskach, którzy na nikogo nie zwracali uwagi, jakby czekali, aż ktoś zrobi im zdjęcie, obojętni jak sam stos, górujący nad nimi niczym bóstwo zbudowane z kończyn i kości. Chłopiec unosił ku niemu płaską twarz.

Mahathir odezwał się do czwórki mężczyzn. Jakby swymi słowami prze-rwał paraliżujący ich urok, gestykulując i mówiąc, zbliżyli się do niego.

- Jest problem - powiedział Mahathir - plaga. Dręczy ich plaga złego uroku. Mówią, że jak się przyjrzymy, zobaczymy ślady zębów na ich dobytku. Co to za plaga? Jedni powiadają: małpy, inni powiadają, że jakieś gryzoni. Nie powiedzą. Są rozgniewani, bo się boją. Stracą wszystko. Umrą z głodu.

Jeden z mężczyzn podszedł i przemówił tylko do Mahathira.

- Mówi, że kapłan czeka w specjalnym miejscu. Możemy iść go zobaczyć.

Storm, Mahathir i chłopiec przeszli koło zabudowań. Entomolog poprowadził ich ścieżką na małą polanę, gdzie zobaczyli trzy małe chatynki i samotnego mężczyznę w przepasce.

- Następny skurwiel bez ubrania.
- To kapłan, specjalnie wynajęty na tę ważną ceremonię. Ale nie przejmuj się. To fałszywy kapłan. Szarlatan.

Chłopiec zatrzymał się kilka metrów przed małym dzikusiem, który przykucnął, jakby zaraz miał gwałtownie wyskoczyć w powietrze.

Mahathir położył dłoń na ramieniu Storma.

- Zostań tutaj. To nie jest dla nas.

Po kilku sekundach kapłan odprężył się, wyprostował i podszedł do Storma i Mahathira, omijając chłopca szerokim łukiem. Wyciągnął obie ręce, jakby spodziewał się, że Storm je ujmie, ale dłonie miał zabłocone.

- Powiedz mu, że jak się chce przywitać, niech się najpierw umyje.

- Pewnie wykopywali larwy. Nie bój się. To dobre proteiny. Lepsze niż ryż. Ryż daje energię, nie siłę. Choć jest dobrym źródłem węglowodanów.

Przepaski na łądźwie mężczyzn nad rzeką zrobione były z grubo tkanego płótna, natomiast przepaska kapłana upleciona została w skomplikowany wzór czerwieni, zieleni, brązu. Mahathir długo z nim rozmawiał, często przerywając mu w pół słowa. Widać było, że naukowiec jest podniecony.

- Jest taki rodzaj zwierzęcia - powiedział Stormowi - małpa. Ci ludzie nazywają ją sanan. Nie wiem, co to znaczy. To w ich języku. Wierzą, że to mały człowiek, istota ludzka. Ten sanan teraz toczy z nimi wojnę. Miesiąc temu, myślę, że najwyżej dwa miesiące temu prawie tysiąc sananów przyszło do tego miejsca i zjadają wszystkie jadalne rośliny, i ludzie nie mają co jeść, został im tylko ryż. Mówi też, że miesiąc temu ten tysiąc sananów zaatakował wioskę, ukradł ryż i zniszczył dobytek. Mówi, że sanany pogryzły ludzi i zrobiły niemowlętom głębokie rany. - Kapłan coś powiedział. - Nie wiem, czy śmiertelne. Mówi, że przyszły jak tajfun. Z każdej strony. Nie było gdzie uciekać. - Mężczyzna wskazał w górę doliny. - Mówi, że zaginęło dziecko. Sanany zabrały dziecko. Porwały też drugie, ale następnego dnia rano znaleziono je żywe. Myślę, że koloryzuje. Dla gościa chcą nadać temu podniecający wygląd. Jak to możliwe, żeby tysiąc sananów żyło razem? Tu nie ma dość pożywienia. Tworzą stada złożone z dwóch tuzinów. To ich limit. Ta małpa ma białą twarz z mnóstwem włosów, białych włosów. Wygląda bardzo inteligentnie, przez cały czas ma okrutną minę. To nie jest osoba. Oni myślą, że sanan to mały człowiek. Cóż, od kapłana wymaga się, by takie rzeczy mówił. Tak zarabia na życie. Ci ludzie są przesądni. Zapłacą mu. A jeszcze więcej zapłacą temu młodzieńcowi.

Tymczasem chłopak stał sam w pewnej odległości od nich. Mężczyzna, nie spuszczać z niego wzroku, coś powiedział.

- Mówi, że nie możemy rozmawiać z tym chłopcem, ponieważ dobił bardzo poważnego targu. I pyta o ciebie - powiedział Mahathir Stormowi. - Chce wiedzieć, czy jesteś przyjacielem białego mężczyzny po drugiej stronie.

- Jakiej drugiej stronie?
- Drugiej stronie doliny.
- Nie jestem niczym przyjacielem.
- Jeśli tam pójdziesz, będziesz w Tajlandii.
- Czy to problem?
- To inne miejsce, to wszystko.

- Dzisiaj wieczorem tu zostanę.
- Ceremonia jest jutro. Musi zacząć się o zachodzie słońca i skończyć w ciemności.
- Gdzie będzie spał chłopak?
- W jednej z tych chat. My też tu możemy zostać.
- Coś bym przekąsił.
- Nic nie mają. Ale jest sklep.

Wrócili do wioski. Słońce zniżyło się za wzgórze po drugiej stronie. Wiejski sprzedawca zwinął markizę i zapalił lampion, którego poświata zmieniła go w czarną sylwetkę, we władcę kilku konserw i paczek na dwóch nieheblowanych deskach. Storm kupił paczkę 555 i butelkę piwa tiger, przypuszczalnie liczącego sobie wiele lat, z ledwo widoczną złuszczoną etykietką. Smakowało wcale nie gorzej od świeżego.

- Zgromadzili wszystkie swoje ozdoby i szlachetne kamienie, owinęli gumą, którą od roku zbierali, i sprzedali wszystko w mojej wiosce, gdzie mnie poznałeś. Rozmawiałem z ich wodzem, kiedy przyszedł sprzedać. W taki sposób dowiedziałem się o tym chłopcu. Zapłacą mu. Ten chłopiec zarobi mnóstwo pieniędzy. Ale zniszczy swoją duszę.

- Zawsze tak jest, stary.

Storm dopił pośpiesznie piwo i w ostatnich promieniach światła zawrócił do kapłana i udali się na spoczynek. Mahathir i kapłan osobno, Storm i chłopiec w trzeciej chacie. Leżeli w hamakach otoczeni gęstym dymem, który unosił się z rozżarzonych węgli i miał odpędzić malarię. Storm namoczoną w rzece bandaną przykrył twarz, by ochronić się przed dymem.

Chłopiec całą noc szlochał, psując jego nadzieje na odpoczynek. O świcie Storm wyruszył na drugą stronę.

Trzej mężczyźni pokazali mu przeprawę przez rzekę. Jeden ze śmiechem i uniesionymi wysoko rękami wszedł po pas, by zademonstrować głębokość wody. Storm sądził, że pozostali dwaj chcą mu pokazać inne przeprawy, ale widział stąd ścieżkę prowadzącą w góry, więc pomachał, uklonił się i pokazał środkowy palec, po czym boso wszedł do wolno płynącego nurtu z butami i skarpetkami w jednej oraz plecakiem w drugiej ręce. Na drugim brzegu rzucił swoje rzeczy na ziemię, wygramolił się z wody i sprawdził, czy na nogach nie ma pijawek, ale żadnych nie znalazł. Mężczyźni zachęcali go głośnymi okrzykami, kiedy zawiązawszy sznurówki, ruszył ścieżką. Dopóki nie zniknął

im z oczu, patrzyli na niego zaborczo, jakby to oni go stworzyli i wysłali w świat.

Wysoko na wyjątkowo błękitnym niebie bieleły się cumulusy. Góra wciąż zapewniała mu poranny cień. Szedł szybko. Po godzinie słońce przesunęło się zza grani nad dolinę. Żar spadł na drogę i w końcu na Storma, oszołomił go ciężarem. Ścieżka prowadziła zbieżnym, pod łagodnym kątem, za to sama góra była zbyt stroma, żeby mogły wyrosnąć tu drzewa. Przystawał w cieniu co wyższych krzaków i napawał się wiatrem wiejącym przez dolinę Belum.

Szlak wiódł go na północ, później wysoko na zboczu zakręcił ostro na południe. Teraz zbocze góry było od wschodu, dawało mu cień, usiadł więc i napił się wody. Dotarł do szerokiego rozwidlenia, przez które widział czekającą go drogę, ścieżkę wijącą się na zachód, potem nieco na północ, łagodną do miejsca, gdzie ruszyła prosto na szczyt. Po drugiej stronie Tajlandia.

Nie dostrzegając żadnych poważnych trudności, mógłby skonkludować, że spotkania i negocjacje z ostatnich kilku dni wystarczyły, że stoi przed fizyczną przestrzenią i dotarł już do krainy tego boga, który teraz miał go we władaniu. Przyszło mu do głowy, że po tajlandzkiej stronie wszystko mogłoby być łatwiejsze - droga, nawet publiczny transport - tylko że wtedy nie zapracowałby na wejście.

Po dwudziestu minutach okrążył czubek i wspinał się na północną grań, skąd rozciągał się widok na dwuakrowe siodło ziemi pomiędzy dwoma małymi wzgórzami. W oddali wznosiły się wyższe góry. Tuż pod sobą zobaczył drewnianą chatę z blaszanym dachem oraz małą stodołę albo szopę. Wąski strumyk spływał z zachodniego zbocza za dom. Karłowate kury szukały jedzenia pomiędzy palami domu. W pobliżu Storm usłyszał beczenie kozy.

Ruszył w kierunku strumienia. Szukając miejsca, gdzie mógłby się położyć i napić, poszedł wzdłuż brzegu na skraj polany. Dwadzieścia metrów od obu zabudowań przystanął. Przed większym budynkiem w wietrze na tyle silnym, by odpędzał moskity, na ławce pod słomianym daszkiem siedział biały mężczyzna, oparty plecami o drewnianą ścianę.

Kiedy Storm się do niego zbliżył, mężczyzna bezwładnie uniósł dłoń na powitanie. Miał na sobie jasnoniebieską sportową koszulkę, świeżo uprane i uprasowane szare spodnie i sandały ze sznurka. Szczupły, z wianuszkami srebrnych włosów otaczających spaloną słońcem łysinę. Stopa oparta o kolano.

- Hej, bwana.

- Dzień dobry. Witam cię serdecznie.
- Jesteś Brytyjczykiem?
- Jestem, istotnie.
- Potrzebujesz jeden z tych brytyjskich hełmów dla bwanu.
- Korkowy? Mam dwa. Mogę ci jeden zaproponować?
- Dlaczego sam nie masz go na głowie?
- Nie ma potrzeby. Rozkoszuję się cieniem.
- Co jeszcze robisz?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Przyszedłem z wioski, z Roo - powiedział Storm.
- A tak. Łagodni ludzie.
- Kto.
- Roo.
- Taa. Jasne.
- Nie jedzą sąsiadów. Nie pomniejszają im głów.
- Faktycznie. Tyle się o nich dowiedziałem. Jesteś tu sam?
- W tej chwili tak.
- Kto jeszcze tu mieszka?

Mężczyzna wyprostował nogi, położył dłonie po bokach i usiadł ze sztywnymi ramionami.

- Jadłem lunch, ale ty musisz być głodny.
- Poszczę.
- W takim razie myślę, że chętnie napiłbyś się herbaty.
- Masz lód?
- Nie. Herbata jest w temperaturze strumyka, który jest dość zimny.

Splywa z gór na północny wschód.

- Nie zapytasz mnie, kim jestem?
- Kim jesteś?
- To się dopiero okaże.

Mężczyzna uśmiechnął się. W jego oczach malowało się zmęczenie.

Podniósł się i Storm poszedł za nim do strumyka, gdzie mężczyzna pochylił się, złapał koniec liny i wyciągnął wielki szklany słoć w makramowej siatce.

- Nasza herbata może ma dość płaski smak. Gotuję wodę pół godziny.
- Wejźdźmy do domu, poczęstuję cię.

Storm doszedł do ganku, stanął w progu i patrzył. W domu była heblowana drewniana podłoga. Otwarte i podparte kijami wielkie okiennice wpuszczały

do środka wiatr i światło. Zobaczył kuchnię, gdzie mężczyzna nalewał herbaty do dwóch wysokich szklanek, oraz drzwi prowadzące przypuszczalnie do sypialni.

Na dźwięk nalewanego płynu nogi same zaprowadziły Storma do środka.

- Porządne szklanki - powiedział gospodarz. - Nie jakieś stare słoiki. - Storm pośpiesznie wypił. Mężczyzna bez słowa powtórnie napełnił jego szklankę. Swoją wodę popijał niespiesznie, dłonią opierając się o małą lodówkę, która stała obok zlewu. - Dzisiaj nie ma propanu. Ktoś musi go przynieść z miasta na koniu.

- Gdzie jest miasto?
- Około dziesięciu kilometrów na północ.
- Jesteśmy w Tajlandii.
- Tak, istotnie. Trochę.
- Jaką funkcję tu pełnisz? Jaka jest twoja rola?

Mężczyzna podniósł dzban za sznur.

- Trzymam się na uboczu. - Stał ze szklanką i dzbanem przy drzwiach.

- Wynieś sobie krzesło na ganek, dobrze? - Począł, aż Storm wyjdzie, po czym usiadł na ławce, zakładając nogę na nogę. Storm manewrował krzesłem, żeby wszystkimi nogami stało na deskach, a nie na szparach, później usiadł i z plecaka wyłowił papierosy. Zdecydowany był przeczekać gospodarza. Zapalił zgniecionego papierosa, obserwując kury, które mechanicznie dziobały w poszukiwaniu ziarenek.

- Jeśli ci to nie przeszkadza, zapytam znowu o twoje nazwisko.
- Sierżant J. S. Storm. Sierżant sztabowy. W przeszłości.
- Wolisz, żeby nazywać cię sierżantem?
- Nie. Wolisz, żeby nazywać cię szpiegiem?
- Nie jestem z wywiadu.

Storm czekał.

- Może kiedyś.
- Dla jakiej organizacji pracujesz?
- Allied Chemical Solutions*. Jestem szczęśliwym emerytem.

* „Solution” po angielsku oznacza zarówno „rozwiązanie”, jak i „rozpuszczanie”.

- Rozwiązania jak w zdaniu „Rozwiązujemy problemy”? Czy jak w zdaniu „Rozpuszczamy skurwieli w kwasie”?

- Rozwiązywanie problemów, tak. Ale doceniłem grę słów, sierżancie, nie ma obawy.

- Pracowałeś dla Agencji?
 - CIA? Nie. Moja firma jest całkowicie prywatna.
 - Kiedy tu przyjechałeś?
 - Co najmniej dwa lata temu. Zaraz, niech się zastanowię. Chyba w czerwcu. Na początku pory deszczowej. Tak. Pierwszego czerwca.
 - A co w Sajgonie?
 - Nie podróżuję tak daleko jak niektórzy. Chciałbym tam kiedyś pojechać.
 - Brednie, skurwielu.
 - Słyszałem, że na północy otwierają fabrykę coca-coli. W Hanoi. Storm rzucił niedopałek na podwórko.
 - Mówisz mi, że prowadziłeś operacje w Wietnamie Północnym? Mężczyzna spojrzał na niego przez zmrużone powieki i napił się wody.
 - Co mogło dziać się na północy? Zbieranie informacji. Czy tutaj też się tym zajmujesz? Ta sama operacja od iks lat?
 - Hm - powiedział mężczyzna.
 - Jaka jest sytuacja, człowieku?
- Mężczyzna nachylił się, garbiąc ramiona. Wydawał się nie tyle zakłopotany, co zamyślony.
- Wiesz, dla kogo tu jestem.
 - Obawiam się, że nie wiem.
 - Dla pułkownika.
- Mężczyzna oparł się o ścianę, przekrzywiając głowę.
- Jakiego pułkownika?
 - Pułkownika F. X., stary mistrzu. Pułkownika Sandsa.
- Gospodarz pił wodę. Jego ruchy, chude palce obejmujące szklankę, kruchość skóry pokrywającej jabłko Adama poruszające się przy przełykaniu, wszystko to nadawało mu wygląd całkiem starego człowieka.
- Sierżancie, nie przypominam sobie, kiedy ostatnio miałem tu białego gościa. Twoja obecność to rzecz doprawdy niezwykła. Myślę jednak, że zjawiałeś się tu w sposób, który w każdym innym miejscu wydawałby się dziwny. Czy mogę zadać ci pytanie: Byłeś przyjacielem pułkownika?
 - Byliśmy ze sobą bardzo blisko.
 - Chodziło mi o to, że byłeś przyjacielem, a nie wrogiem.
 - Przyjąłem. „Kto idzie”. „Przyjaciel”.

- W takim razie na zdrowie.
- Gdzie on jest?
- Niestety, pułkownik nie żyje.
- Nie sądzę.
- Tak, to prawda. Umarł dawno temu. Ktoś powinien ci być o tym powiedzieć, zanim zadałeś sobie tyle trudu.
- Nie sądzę.
- Nie potrafię odwieść cię od tego przekonania, ale prawdą jest, że pułkownik umarł.
- Tak mówili wiele lat temu. Jego żona dostawała wdowią rentę w Bostonie, podczas gdy wiadomo było, że on żyje, działa w tym rejonie świata.
- Nie wiedziałem o tym.
- Ja wiedziałem. I wiem, że pułkownik nie umarł.
- Rozumiem. Nie umarł.
- Nie, kurwa.
- Wiesz to na pewno?
- Nie, kurwa. Ale znam pułkownika. Realizuje plan B.
- A na czym polega plan B?
- Pozwolił się pojmać w sześćdziesiątym dziewiątym, sam się na to zgodził, człowieku, bo to była część scenariusza Op Psy, a głównie, do jakiego to doprowadziło, leży ukryte za kurtyną, ale ja mogę ci to dać na kurewskich kamiennych tablicach: on wciąż utrudnia innym bycie komuchami.
- I to jest plan B.
- Dokładnie.
- Zwierzył ci się z tego planu?
- To głównie się nie uda, jeśli opowiadasz o nim na prawo i lewo. To jednoosobowy spektakl.
- Jednoosobowy spektakl. - Mężczyzna się uśmiechnął. - Oto cały pułkownik.
- Co masz w szopie?
- Wiesz, był kapitanem, kiedy go poznałem. Chociaż nie oficjalnie. Oficjalnie wystąpił ze służby.
- Storm zapalił następnego papierosa i z trzaskiem zamknął zapalniczkę.
- Tak?
- W taki sposób w tamtych czasach pracował jego oddział. Podawali się za cywilów, ochotników. Ameryka nie przyłączyła się do wojny przeciwko

Japonii. Za to kapitan tak. Niektórzy z was, jankesów, bombardowali Japońców na długo przed ich atakiem na Pearl Harbor.

- Druga wojna światowa. Deuce.

- Dla was, jankesów, to była najlepsza ze wszystkich wojen. Dla mnie najlepsza z wojen toczyła się tutaj, na Malajach, od pięćdziesiątego pierwszego do pięćdziesiątego trzeciego. Walczyliśmy z komuchami i pobiliśmy ich. Kapitan okresowo towarzyszył nam przez cały ten czas, brał też udział w operacji Helby tutaj, w dolinie Belum. Niewykluczone, że obaj szliśmy przez tę polanę. Że wałęsaliśmy się po moim salonie, zanim go zbudowałem. Ha, może nawet robiliśmy to więcej niż raz. Nie pamiętam. Byliśmy razem na Długim Patrolu za Ipoh - sto trzy dni szlamu i tak dalej. Sto trzy dni biegu. W takiej sytuacji poznajesz człowieka. Gdyby żył, wiedziałbym to na pewno. Nie musiałby mi mówić. Nie wtedy, kiedy znasz człowieka.

Storm prawie mu uwierzył.

- No to co mu się stało?

- Pytasz o legendę czy o fakty?

- Zależy mi na prawdzie.

- Powiedziałbym, że prawda jest w legendzie.

- A co w takim razie z faktami?

- Niedostępne. Ukryte w legendzie.

- Ile melodyjek znasz, skurwielu? Bo zaczyna brakować mi drobnych.

Mężczyzna wstał.

- Coś ci pokażę. Chodź ze mną, proszę.

Poprowadził Storma za strumień, przez wzgórze do małego stawu w zagajniku wysokich drzew i krzewów, gdzie światło przedzierało się przez chłodne i wilgotne liście kolokazji. W stawie taplał się bawół, widać mu było tylko nozdrza. Storm i jego gospodarz obserwowali, jak dwójka małych dzieci napelnia cztery wiadra i zawiesza sobie na nosidłach. Wyglądały na przeżalone. Mężczyzna coś do nich powiedział i dzieci skończyły pracę, później odeszły.

- Tutaj.

Tuż za zagajnikiem, tam gdzie rozciągał się rozległy widok na góry, mężczyzna postawił stopę na kopcu, a dłoń położył na sięgającym mu do pasa cienkim paliku.

- Oto jednoosobowy spektakl.

Storm zamknął oczy, szukając prawdy. Nie wyczuł jej.

- W żadnym razie.

- Odbywa się tutaj.
- Wiesz, ile fałszywych grobów widziałem?
- Nie będę zgadywał.
- Skurwiele pokazywali mi jego kości. Smakowałem jego tak zwane prochy, stary. Gotowałem jego tłuszcz i smarowałem sobie nim ramię. To gówno nie przejdzie. Jestem kiperem, stary. Moja krew mówi mi, że on żyje.
- Mnie mówiono, że pochowano go tutaj.
- Jeśli to jest jego grób, to nie umarł w Wietnamie.
- Słusznie. Jeśli to jest jego grób.
- No to jak jest? Kiedy go pochowano? Kto go pochował? Ty?
- Nie ja.
- Kto go pochował?
- Nie wiem. Powiedziano mi, że umarł nagle, w niewyjaśnionych okolicznościach. Z przykrością mówię, że ktoś mógł podać mu truciznę. To jedna z możliwości.

Monstrualny fałsz. Ale kto za nim stoi?

- Spotkałem cię w Sajgonie. W sześćdziesiątym siódmym albo ósmym.
- Niech się zastanowią. Sześćdziesiąty siódmy albo ósmy. To możliwe.
- Jesteś Pitchfork.
- Używam wielu nazwisk.
- Nie baw się ze mną. Poznałem cię w Sajgonie. Jesteś starym kumplem pułkownika. Dałeś mu jajko.
- Jajko?
- W obozie jenieckim, kiedy był głodny. Dałeś mu jajko.
- Naprawdę?
- Tak mówił.
- Skoro mówił, to musiałem tak zrobić.
- Wyglądasz tak samo. Zawsze tak samo wyglądasz? Nie starzejesz się?

Jesteś Szatanem?

- Teraz to ty uprawiasz gierki.
- Nie pokazuj mi grobów.
- To co w takim razie mogę ci pokazać?

Tylko żywy pułkownik by go zadowolił. Pułkownik taki jak w przeszłości, z kubańskim cygarem w ustach.

- Tutaj leży pułkownik.

- W takim razie co ty tu robisz?
- Opiekuję się grobem - odparł Pitchfork.

Czy to był grób pułkownika, czy kogoś innego, czy żył, czy zginął, jego strefa pozostała. A Storm w nią wkroczył.

- Chcę zobaczyć, co jest w szopie.

Odwrócili się od grobu i weszli na wzgórze. Słońce padło im prosto w twarz, ale na wschodzie, za ich plecami, zbierały się chmury.

- Znosi się na deszcz - zauważył Storm.
- Nie w tym miesiącu. Nigdy nie pada w kwietniu.
- Pokaż mi, co jest w tej szopie.

Drzwi zabezpieczała leżąca w poprzek deska. Pitchfork usunął ją i cofnął się, otwierając drzwi na oścież. Storm zrobił krok do przodu. W smugach światła zobaczył, że coś długiego i solidnego leży na ziemi. Nie potrafił sobie wyobrazić, co to może być. Wbrew sobie głośno przełknął. Potwór bez końca. Patrzył, jak twarz potwora wylania się niczym wywoływana fotografia, i pośpiesznie przeszukiwał w pamięci niezliczone maski pułkownika.

Pitchfork szerzej otworzył drzwi.

- Co to jest?
- Pień mahoniu.
- Pień?
- Mahoniu. Trzymałem tu drewno na opał. Tyle mi zostało. Dopóki nie załatwię więcej.

Kolejny fałszywy i nieprawdziwy prorok. Kolejny pojebaniec głoszący objawienia.

Storm wyjął nóż i od tyłu złapał starego za gardło, przyciskając mu ostrze do boku, pomiędzy żebrami, nad wątrobą.

- Gdzie jest pułkownik?
- Zabity w akcji.
- Zaginiony w akcji.
- Nie. Umarł.

Storm zacisnął uchwyt na gardle.

- Skurwielu, powiesz mi albo cię rozpierdolę. Kto wykopał grób?
- Nie wiem. - Pitchfork zaskrzeczał jak żaba.
- Powiedz mi kto, albo cię wykończę.
- Nie wiem, kto go pochował. A kiedy mnie wykończysz, jak mówisz, nadal nie będę wiedział.

- Co tu robisz?
- Zmęczył mnie świat.
- Kim jesteś?
- Jestem Andres Pitchfork.
- Dawno temu był taki moment, kiedy żaden z was, skurwieli, nie mógł mnie okłamać, ponieważ to ja rozdzielałem kłamstwa. Połowa tego gówna pochodziła z mojej dupy.

- On nie żyje.
- Posłuchaj - powiedział Storm; czuł, że serce mu pęka - muszę się wy dostać z tej maszyny.

Puścił go. Pitchfork usiadł ciężko na ziemi, zaciskając i prostując dłonie, ale nie dotykając szyi.

- Podejrzewam, że go załatwiłeś - powiedział Storm.
- Podejrzewałbym to samo, gdybym był w twojej sytuacji.
- A jaka jest moja sytuacja?
- Nieznana.

Po minucie spróbował wstać. Storm schował nóż i pomógł mu.

- Masz pojęcie, jak głęboko ten człowiek wypalił na nas swoje piętno, stary? Jak bardzo głęboko to piętno sięga?

- Nie.
- Tak głęboko jak gorące i ciemne jest piekło, bracie.
- Nie nazywaj mnie bratem.
- Nie odrzucaj mnie, bracie.

Pitchfork ruszył w stronę domu. Storm odprowadzał go wzrokiem. Pitchfork wyszedł, niosąc karabin z krótkim magazynkiem i składaną lufą.

Zatrzymał się dziesięć kroków przed Stormem.

- Myślę, że to jedna z maszyn używanych w czasie drugiej wojny.
- Myślę, że to garand z M1. Broń komandosów. Mnóstwo ludzi zginęło z tej broni.

- Słyszałem, że skakałeś z samolotów.
- Wiesz? W czasie samej wojny skoczyłem tylko raz. Kapitan Sands pilotował samolot. To był mój pierwszy i ostatni skok w czasie tamtej wojny. Chociaż w latach pięćdziesiątych kilka razy skakałem z malajskimi skautami.
- Uniósł broń, odbezpieczył i z odległości trzech metrów wycelował starannie w Storma. Palec trzymał pewnie na spuście. - Teraz już sobie pójdziesz.

Storm odwrócił się i pomaszzerował na południe, w kierunku szlaku, tą samą drogą, którą przyszedł.

Myślał, żeby iść dalej w głąb Tajlandii, ale los kazał mu zawrócić. Gdzieś w trakcie odysei lat wynegocjował przejście, nie rozpoznając strażnika ani nie składając koniecznej ofiary. Człowiekowi umyka prawdziwy charakter takich istot, dopóki nie znajdzie się za przejściem. Dopóki nie rozwieją się pozory.

Co mogło zostać pominięte, czego nie załatwiono?

Ze szczytu szlaku przyjrzał się odległości, którą tego dnia pokonał, i zobaczył, jak daleko doszedł. Popołudniowe słońce, wynurzywszy się spod chmur, eksplodowało w dolinie.

Nie czuł zmęczenia. Tylko siłę i żar. Wierzył, że zdąży dojść przed zachodem słońca. Spieszył się. Z tą samą prędkością, z jaką zbiegał w dół zbocza, światło dnia cofało się ku szczytowi i zobaczył swoje przeznaczenie splecione z losem słońca.

Wszedł w cień. Dolinę otulała chwila, która nie była ani światłem, ani nocą. Wraz z tą zmianą zwierzęta ucichły. Później, kiedy Storm zszedł z góry, zaczęły od nowa, głos zabrał pierwszy nocny chór owadów i żegnających słońce ptasich śpiewów. Wciąż nie widział kolumny dymu ani płomieni nad Roo.

Dotarł do miejsca, gdzie Fałszywi Przewodnicy wysłali go w drogę z błogą świadomością, że ominie tę najważniejszą rzecz. Nie zdejmując butów, uniósł plecak wysoko nad głową i własnym ciałem rozdzielił wodę.

Nie zaczęło się nic nieodwołalnego. Na ziemi w sąsiedztwie wielkiego stosu migotały świece w odwróconych połówkach łupin kokosowych. Wieśniacy, ubrani w barwne i czyste stroje, zajmowali się nieistotnymi sprawami, wchodzili i wychodzili z chat, zachowywali spokój, klaskali niespiesznie, choć tylko niektórzy, przekazując rytm z tej pary dłoni do tamtej, nikt jeszcze się nie zaangażował, atmosfera dopiero zaczynała się tworzyć. Może go widzieli. Może uznali, że go nie widzą. Kapłan w ozdobnym nakryciu głowy, ze sznurkami i piórkami wplecionymi we włosy, stał obok stosu; obiema rękami trzymał butelkę napoju orzeźwiającego i rozmawiał z Mahathirem. Chłopiec sprawiał wrażenie, że jest z nimi, a równocześnie osobno.

Mahathir zobaczył Storma idącego brzegiem i uniósł rękę. Kapłan wydawał się nieporuszony jego widokiem, za to Mahathir nie krył wzburzenia.

- Niedługo ceremonia.
- Czuję to - odparł Storm.

- Nie poszedłeś do Tajlandii. Dlaczego? Dlaczego nie zostałeś ze swoim przyjacielem?

- Jeśli nie wiesz, nie mogę ci powiedzieć.

- Ale, Jimmy, to nie jest dla ciebie dobry pomysł. Ten człowiek ma coś do zrobienia. Ja jestem naukowcem, więc oczywiście mogę obserwować. Ale dla ciebie to nie jest dobry pomysł.

Chłopiec stał sztywno, ze ściągniętą twarzą, ciężko dysząc. Nikt z ple-mienia Roo na niego nie patrzył.

Zaczęły gromadzić się kobiety, młodsze, drobne dziewczynki w saron-gach, ze szminką na ustach i różem na policzkach, z paciorkami wplecionymi we włosy. Za nimi stali mali chłopcy ze stopami wbitymi w ziemię, za to nieustannie poruszającymi się ramionami, wibrujący podnieceniem i dzieciń-stwem. Tacy szczęśliwi z posiadania własnych żywych ciał, podskakujący w swoich niewolniczych strojach. Sodomici Prawdy.

- Nie ma specjalnego stroju? Gdzie jego kostium?

- Nie będzie miał na sobie ubrania. Będzie nagi.

- Nieprawda.

Storm podjął rytm, najpierw w swoim wnętrzu, później coraz głośnie-j klaszcząc w dłonie. Wszyscy patrzyli na niego, choć w ich wzroku nie było ani aprobaty, ani dezaprobaty. Mahathir wykonał gest, jakby chciał go uci-szyć.

Storm stanął obok chłopca i rzucił tłumowi wyzwanie.

- JA DOKONAM PRAWDZIWEGO ZADOŚĆUCZYNIENIA!

Klaskali, choć teraz zwrócił na siebie ich uwagę.

- TYLKO JA DOKONAM PRAWDZIWEGO ZADOŚĆUCZYNIENIA! - Przycisnął ręce do boków i schylił głowę.

Kapłan rozmawiał z Mahathirem.

Storm uniósł głowę.

- Powiedz mu, że to ja. Chłopak jest oszustem.

- Nie powiem mu.

- Więc powiedz chłopcu.

- Nie mogę.

- Człowieku, nic dobrego z tego nie przyjdzie, jeśli robi to dla pieniędzy. Musisz robić to dla sprawy, człowieku, dla sprawy. Potrzebujesz przy-czyny, musisz odbierać znaki i wiadomości.

Kapłan nagłym tonem przemówił do Mahathira, ten jednak zachowy-wał milczenie.

- Chcesz zająć miejsce tego człowieka?
- To nie jest jego miejsce, tylko moje. Przysłano mnie. - Storm zwrócił się wprost do kapłana. - Ten skurwiel nie wie, co robi. Ja wiem, co robię. Wiem, gdzie to pasuje, wiem, co jest prawdziwe.
- Nie mogę mu tego powiedzieć. Nie wiem, co się wydarzy. Mogą nas zabić.
- To łagodny lud, człowieku. Łagodny, tak czy nie?
- Rozumiesz, co robisz? Nie.
- Zdejmuję tego biedaka z haczyka.
- Nie, nie rozumiesz.
- Myślałem, że jesteś muzułmaninem. Wierzysz w te brednie?
- Ten rejon, gdzie drzewa są tak wysokie, gdzie pojazdy nie są w stanie dojechać, gdzie nikt nie przychodzi, ten rejon jest zupełnie inny. Bóg inaczej traktuje ludzi w tym rejonie.
- Taa, ja to pojąłem. Zastanawiam się tylko, czy ty też.

Kapłan przemówił z wielkim naciskiem. Tym razem Mahathir udzielił mu obszernej odpowiedzi, której kapłan słuchał z pochyloną głową, potakując, przerywając.

Później kapłan zwrócił się do chłopca. Ten nie protestował i Storm zrozumiał, że oszustwo zostanie ujawnione.

- Synu, zabrałeś się za tę sprawę, nie rozwiązawszy pewnych rzeczy w swoim wnętrzu.
- On to robi, żeby uratować rodzinę.
- Dostanie pieniądze. Powiedz mu. Dostanie pieniądze. Hej, człowieku, pieniądze są twoje. Nie próbuję zgarnąć cudzej wygranej.

Mahathir znowu powiedział coś chłopcu, który zrobił kilka kroków do tyłu, a potem przepchnął się przez krąg kobiet i małych chłopców. Stał na uboczu.

- Wiedziałem - odezwał się Mahathir. - Nie jestem przesądny. Ale przewidywanie przyszłości wcale nie jest takie niezwykle. Wielu ludzi to potrafi. To się zdarza. Ja zobaczyłem twoją przyszłość. Próbowałem ci powiedzieć.

Kapłan stanął za Stormem, wykrzyknął coś przez zduszone gardło i położył mu dłoń na głowie.

Oklaski ustały. Staruszka jęknęła. Storm uniósł wysoko ręce i zawołał: - **JA DOKONAM ZADOŚĆUCZYNIENIA, SKURWIELE! JA DOKONAM ZADOŚĆUCZYNIENIA!**

Kapłan klasnął w dłonie raz. Dwa razy. Znowu wybijał rytm. Inni go podjęli.

Mężczyźni otoczyli ich kręgiem. Kapłan wykonał zapraszający gest i do środka kręgu wszedł naczelnik wioski, dołączając do kapłana, Storma i Mahathira. W dłoni miał siekiere.

Będzie co będzie, przyrzekł Mocom Storm.

Kapłan donośnie zwrócił się do naczelnika.

- Mówi mu, żeby zebrał bóstwa wioski.

Naczelnik uniósł rękę i kręgi rozdzieliły się przed czwórką kobiet, z których każda trzymała jeden róg koca. Położyły go przed kapłanem: leżał na nim stos drewnianych rzeźb, w większości rozmiaru dłoni, kilka sięgających wyznawcom Roo do pasa. Cztery kobiety odrzuciły głowy i zapłakały jak dzieci, kiedy naczelnik rzucił się na rzeźby z siekiere. Rąbał je na szczapy, które kobiety zbierały, by dorzucić do stosu.

- Niszczą domowe bóstwa i rzucają do ognia, ponieważ bóstwa im nie pomogły - powiedział Mahathir. - Bóstwa muszą umrzeć. Świat może się skończyć ze śmiercią tych bóstw. Ofiara z duszy obcego może powstrzymać koniec świata. Wówczas narodzą się nowi bogowie.

Storm obserwował obserwujących. Ich twarze były ledwo widoczne w świetle świec rozstawionych na ziemi. Nie wyglądali na radosnych ani poważnych - otwarte usta, kiwające głowy, klaszczące nieustannie dłonie - wyglądali natomiast na przygotowanych duchowo.

Kapłan stanął obok naczelnika i głośno przemówił.

- Idź tam - rzekł do Storma Mahathir. - Teraz zdejmą z ciebie ubranie. - Kiedy Storm szedł w kierunku kapłana, Mahathir dodał: - Niech Bóg ma cię w opiece!

Kapłan trzymał w dłoni kawałki rzeźb. Naczelnik schylił głowę i wskazał przemoczone buty Storma. Storm zrzucił je kopnięciem. Naczelnik zgiął się mocniej, dotknął stopy Storma, wziął w dwa palce skarpetkę. Storm, kładąc rękę na jego ramieniu, ściągnął skarpetki, po czym się wyprostował. Zbliżyły się do niego dwie młode kobiety, szarpnęły za guziki i rozporek. Przyszło mu do głowy, żeby zażartować, ale nie potrafił nic wykrztusić. Zdjęły mu plecak, koszulę, pomogły zrzucić szorty i spodenki. Skończywszy, wróciły do kręgu. Rytmiczne klaskanie nie ustawało. Teraz klaskali wszyscy. Storm stał nagi.

Naprzeciwno niego kapłan zza swojej przepaski wyjął poskładany kawałek papieru, wygładził go, podsunął Stormowi pod oczy - Storm nic nie

zobaczył - i przemówił głośno do plemienia Roo. Znowu pokazał kartkę Stormowi. Powiedział coś do naczelnika.

Naczelnik zawołał i jakiś mężczyzna przyniósł mu włócznię.

Odezwał się kapłan. Naczelnik wręczył mu włócznię. Kapłan nadział papier na jej grot, podszedł do stosu. Wspinając się na palce, wyciągnął włócznię tak daleko, jak potrafił, wepchnął papier pomiędzy kawałki drewna i zrzucił go z grotu.

- Czekajcie - powiedział Storm.

Kucnął przy plecaku, z którego wyjął notatnik w plastikowym woreczku. Wydarł ostatnią stronę i wstał, trzymając papier w dłoni.

- To wiersz, człowieku.

Kapłan podszedł do Storma z wyciągniętą włócznią, przyjął dar i dorzucił do świętego stosu.

Storm krzyknął:

- ZADOŚĆUCZYNIENIE, DZIECINKO! ZADOŚĆUCZYNIENIE
DZISIAJ WIECZOREM!

Kapłan głośno przemówił, rzucając na ziemię włócznię. Storm pochylił głowę.

Na kocu, teraz w drzazgach, pozostały ostatnie resztki bóstw. Kapłan wziął je w dłonie. Naczelnik odciągnął koc kilka metrów od stosu; w tym czasie plemię Roo poszerzyło krąg. Naczelnik starannie rozprostował koc na brzegach, po czym spojrzał w niebo, jakby kierowały nim niewidoczne gwiazdy.

Kapłan przycisnął do piersi resztki rzeźb. Podszedł do Storma.

Znowu coś powiedział.

- Ukłęknij - usłyszał Storm głos Mahathira dobiegający zza kręgu wynawców Roo. Wykonał polecenie. Kapłan także ukląkł, cicho przemawiając. Naczelnik pomógł Stormowi położyć się na plecach na zniszczonym kocu. Kapłan rzucił na brzuch Storma resztki rzeźb i ułożył je w mały stos.

Kiedy znowu się odezwał, Storm usłyszał Mahathira:

- Chce, żebyś wiedział, że to tylko symbol. To ogień na twoim ciele, ale go nie zapalą. Nie spłoniesz fizycznie.

Wybrany do odbycia pokuty, ponieważ nikt inny nie pozostał. Pokonujący niezmierzone strefy, gdzie światło nie jest ani mocne, ani słabe, gdzie nigdy dość światła, żadnej podpowiedzi, żadnej wskazówki, jak wrócić do domu. W jego prawdzie pozostała jeszcze jedna postać do obnażenia.

Wszyscy zdjęli maski, każda fałszywa twarz się rozplynęła, każdy pozór prócz jednego, jego własnego.

Storm odwrócił głowę, by widzieć kapłana, który wrócił do stosu. Schylił się po butelkę z napojem i rozlał płyn wokół podstawy stosu. W powietrzu uniół się odór ropy. Naczelnik przyniósł dwie rozżarzone połówki orzecha kokosowego, każdy z obecnych wykorzystał świecę do rozpalenia ognia.

Płomień wolno nabierał mocy. Kiedy pełzał w górę stosu, klaskanie nabrało tempa. Wilgotne drewno pękało i strzelało. Płomienie dotarły do szczytu. Rozległ się krzyk. Ogień zahuczał i Storm poczuł, że jego nagą pierś owiewa wiatr. Usłyszał kobietę wrzeszczącą jak cyklon. Kapłan chodził tam i z powrotem, polewając pomarańczowe płomienie płynem, który zapalając się, syczał i parował. Kapłan rzucał na opary błękitny cień.

Z drzew rosnących nad wodospadem dobiegł odgłos drapiących pazurów i przekleństwa demonów spychanych w nicość.

Inne kobiety też zaczęły krzyżeć. Mężczyźni wyli. Sama dżungla wrzeszczała jak pełny meczet. Storm leżał nagi na plecach, obserwując dymy i parę unoszące się z potężnego płomienia. Czekał na czyste światło, na pokojowe bóstwa, na twarz ojca-matki, na światło z sześciu światów, na brzask piekielnego dymnego światła i białego światła drugiego boga, na głodne duchy włączące się w swej głodnej żądzy, na bogów wiedzy i bogów gniewu, na sąd pana śmierci przed zwierciadłem karmy, na ukaranie demonów, na ucieczkę w jaskinię łona, które na nowo wyda go na ten świat.

Jego wiersz wirował w powietrzu jako popiół. Brzmiał następująco:

Wietnam

*Od Diabła kupiłem okulary marki Ray-Ban
Na zapalnicze napis Tu Do Bar 69
Zimne Piwo Gorąca Dziewczyna Przepraszam, Szefie
Stary, ta zapalniczka trafiła w sedno
Stary, kiedy będę w grobie, nie chcę iść do Raju
Chcę leżeć i patrzeć na Raj
Wystarczy, że będę widział skurwiela
Nie musisz mnie tam zamykać*

Włącz gaz w mojej klatce

*Piję truciznę
Przyślij mi zabójcę
Piję truciznę
Martwe demony w moich flakach
Piję truciznę*

*Piję truciznę
Piję truciznę
I wciąż się śmieję*

Wiatr był ostry, popołudniowe słońce całkiem ciepłe, przynajmniej jak na koniec kwietnia, przynajmniej jak na Minneapolis. W pogodny suchy dzień potrafiła przejść czterysta metrów bez poczucia niewygody, odpocząć tylko przez minutę, i znowu pokonać taki sam odcinek do następnego przystanku. Zostawiła samochód na parkingu, zostawiła laskę w samochodzie, spacerkiem przeszła trzy przecznice do Missisipi. Idąc mostem, czuła, jak od przejeżdżających poniżej samochodów drżą jej łydki. Bolały ją oba kolana. Szła za szybko.

Mając hotel Radisson w zasięgu wzroku, wkroczyła na Kellogg Street, żeby przejść na drugą stronę, i mała ciężarówka, jedna z tych wynajmowanych na przeprowadzki, o mało jej nie potrąciła; kierowca ostro przyhamował, ale się nie zatrzymał, auto przejechało tak blisko, że czerwone litery na boku przez pół sekundy były wszystkim, co istniało. Uskoczyła, krew szybciej popłynęła jej w żyłach - tym razem o mało nie zginęła.

Upuściła torebkę do ścieku. Ostrożnie przyklękając na jedno kolano odziane w poliestrowe spodnie, nagle przypomniła sobie czasy, kiedy kwestia własnego przeżycia zupełnie jej nie interesowała. Wspaniałe czasy.

Ginger czekała pośród paprotek tuż za drzwiami kawiarni. Jedna z tych kobiet, do których wszyscy mówią „mamo”, chociaż nie jest starsza od pozostałych. Ile czasu minęło? Piętnaście, szesnaście lat. Wtedy Timothy wyjechał na Filipiny, a Kathy za nim podążyła. Ginger przypuszczalnie mieszkała w okolicach Minneapolis przez połowę dekady - przez obie połowy, ale nigdy nie zadała sobie trudu.

- Mogę nadal mówić do ciebie „mamo”?
- Kathy!
- Muszę usiąść.
- Dobrze się czujesz?

- O mało nie potrafiła mnie ciężarówka. Zgubiłam torebkę.
- Przed chwilą? Ale nic ci nie jest?
- Tylko się zadyszałam.

Ginger rozejrzała się, czekając, aż im powiedzą, gdzie mogą usiąść. Przytęła piętnaście kilo.

- Wszędzie bym cię poznała - powiedziała Kathy.
 - Och... - odparła Ginger.
 - Ty tego samego nie możesz powiedzieć.
 - Cóż, nikt nie młodnieje. Co ja wygaduję! Tak się cieszę, że cię widzę,
- i... - Wysiłek włożony w kłamstwo wykrzywił jej rysy. Dała sobie spokój.

- Na mnie czas odbił wyraźniejsze piętno.
- Wcale nie jest tu tłoczno. Niedziela.
- Może tam?
- Koło okna! Żaden widok, ale przynajmniej...
- Mam mniej więcej pół godziny.
- Przynajmniej jest tam światło. To znaczy widok też jest - powiedziała

Ginger - ale wyłącznie na samochody.

- Mam wygłosić mowę.
- Mowę? Gdzie?
- Albo kilka uwag. W sąsiedztwie odbywa się coś w rodzaju recitalu.
- Gdzie dokładnie?
- W hotelu Radisson. W jednej z sal konferencyjnych.
- Recital. Masz na myśli fortepiany i tak dalej?
- Mam nadzieję, że mają bezkofeinową kawę.
- Teraz wszyscy mają bezkofeinową.

Zamówiły kawę, a Ginger poprosiła o cynamonowy rogalik, ale zaraz skinęła na kelnerkę, by to odwołać. Kelnerka naala kawę do dwóch kubków.

- Czy mogłabym prosić o prawdziwe mleko? - zapytała Kathy.
- Zaraz wracam. - Kelnerka poszła i więcej jej nie widziały.
- Co to za recital?
- Nie wiem. Koncert dobroczynny MacMillan House. Na rzecz wietnamskich sierot. Więc padło na mnie.
- A, racja. Napisałaś sobie mowę?
- Właściwie nie. Zastanawiałam się... no wiesz, to mowa w rodzaju „Dzięki za pieniądze, dajcie nam więcej”.
- Odwieczna przemowa.

- Dlatego przykro mi, że nie możemy zjeść razem lunchu.
- Nie ma sprawy. Idę z Johnem do teatru za rzeką. Na musical. *Dźwięki muzyki*.

- Och, to jest świetne.
- To prawda, to prawda.
- Widziałam film.
- Chociaż tytuł zawsze wydawał mi się głupi - stwierdziła Ginger. - Bo przecież muzyka to zawsze są dźwięki, no nie? Mogli zatytułować to po prostu *Muzyka*.

- Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

Torebka Ginger, mała, z miękkiej szarej skóry, spoczywała na stoliku obok kubka. Ginger otworzyła ją i podała Kathy kopertę.

- Bardzo mi przykro, Kathy.
- Nie. Dlaczego? Nie widzę powodu.
- List trafił do biura w Ottawie i leżał tam tydzień. Znalazł go Colin Rappaport i...

- Więc wciąż pracujesz w WCS.
- Wciąż? Na zawsze.
- Co u Colina?
- Chyba wszystko w porządku, choć w gruncie rzeczy nie utrzymujemy kontaktów. Pamiętał, że wyjechałaś do Minneapolis, więc bez uprzedzenia po prostu wysłał list do naszego biura. Przypuszczam, że próbował znaleźć twój numer telefonu, ale bez powodzenia. Kathy Jones to popularne nazwisko, a on nie znał twojego nazwiska po mężu. Wciąż jesteś mężatką?

- Tak. Jest lekarzem.
- Z prywatną praktyką?
- Nie, izba przyjęć w St. Luke.
- Podejrzewam, że to bije Kanadę na głowę.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Chodzi mi o społeczną służbę zdrowia, choć nie wiem. Sama nie wiem, o czym mówię!... Jak się teraz nazywasz?

- Benvenuto. A ty? Wciąż jesteś z Johnem?
- Tak. I to się nie zmieni, tak myślę.
- To straszne! Wiesz, to pytanie o męża: „Wciąż jesteście razem”.
- Twój mąż nie jest adwentystą.

- Carlos? Nie. On wierzy wyłącznie w naukę.
- Och, Carlos. Benvenuto.
- Jest Argentyńczykiem.
- A w którą stronę się skłania? To znaczy religijnie.
- Wierzy wyłącznie w naukę. Nie jest pod żadnym względem uduchowiony.

- Nigdy nie widuję cię w naszym kościele. Gdzie chodzisz? No wiesz....
- Przestałam chodzić.

Udręczona cisza. Kathy zauważyła liczne obrazy na ścianach. Sztuka niefiguratywna. To była artystyczna kawiarnia.

- Straciłaś wiarę?
- Tak sądzę.

Ginger wciąż miała ów wygięty w wieczny łuk, ocieniony strachem wyraz twarzy - zawsze wyglądała na zmartwioną i wycofaną na pozycje obronne, na granicy łez wywołanych poczuciem winy, zawsze wyglądała tak, jakby zaraz miała wyznać, że nienawidzi samej siebie - fałszywy wyraz, bo dla każdego była przyjaciółką.

- Może nie straciłaś wiary, Kathy. Może nie do końca. Nasz pastor mówi, że najzdrowsze dusze to te, które były w najokrutniej szych miejscach. Ale nawet tam kościół może pomóc. Przede wszystkim może pomóc w okrutnych miejscach, nie sądzisz? Dlaczego nie pójdziesz ze mną w sobotę? Chodź.

- Minęło wiele lat, Ginger. Nie czuję powołania.
- Mimo to przyjdź.
- Myślę, że nigdy nie czułam. Myślę, że chodziłam ze względu na Timothy'ego.

- Timothy czuł z całą pewnością! To z niego promieniowało. Zalewało wszystkich, którzy go otaczali, i unosiło nas jak fala przyływu.

- Wiem - powiedziała Kathy. - Ale...

Przy sąsiednim stoliku siedziały dwie kobiety, jedna stara, druga w średnim wieku, Kathy przypuszczała, że to matka i córka. Starsza mówiła monotonnym głosem, córka słuchała w pełnym nienawiści milczeniu. Kathy dodała kilka słów: „i... ale... więc...”.

- Cóż - powiedziała Ginger - tak czy owak... - Wskazała list leżący koło talerza Kathy. - Więc Colin przysłał go do św. Pawła. A ja nadal jestem u św. Pawła.

- A ja jestem w Minneapolis.

- Od jak dawna wykładasz w college'u dla pielęgniarek?
- Od czterech, nie, pięciu lat Od siedemdziesiątego siódmego. W październiku minęło pięć lat.
- Czy to był twój przyjaciel?
- Kto?
- Benet.
- Och!

Biała koperta, wypakowana co najmniej kilkoma kartkami, z prawym rogiem pokrytym wielobarwnymi znaczkami, nadana została w wwiezieniu Pudu w Kuala Lumpur w Malezji przez W. Beneta. Kathy ostrożnie ją otworzyła. Wycinek z gazety: fotografia mężczyzny w kajdankach. Czy to nie ten Kanadyjczyk, William French Benet, którego niedawno skazał malezyjski sąd? Skazany na szubienicę za handel bronią? Kanada oprotowała wyrok. Później go powieszono. Ów więzień napisał do niej, człowiek skazany. Oto jego list. Więźniowie dostają najróżniejsze adresy, adresy wszelkiego rodzaju organizacji dobroczynnych, człowiek skazany chwytą się brzytwy, ale jak trafił na nazwisko Kathy Jones? Koperta zawierała kilka - wiele - zapisanych ręcznie kartek z notatnika, złożonych wokół fotki formatu pocztówkowego: mnóstwo ludzi i najróżniejsze dziwne bagaże wokół filipińskiego jeepneya bez jednego tylnego koła. Na każdej twarzy uśmiech, każda klatka piersiowa wydęta dumą, jakby włóczykami pokonali pojazd.

„Dawno, dawno temu” - tak zaczynał się list -

Droga Kathy Jones,

Droga Kathy,

Najdroższa Kathy,

Krew napłynęła jej do członków i twarzy, jakby wpadła do gorącej wody: to samo uczucie ogarnęło ją dwadzieścia minut temu, kiedy o mało nie zmiażdżyła jej ciężarówka.

Dawno, dawno temu była wojna.

Odłożyła list. Rozejrzała się po restauracji.

- Dobrze się czujesz?
- Wzięła kartki i złożyła wokół fotki.
- Czy to coś złego?
 - Mamo.
 - Tak.
 - Pamiętasz Timothy'ego?
 - Co?
 - Czy pamiętasz Timothy'ego? To znaczy czy pamiętasz go dobrze?
 - Oczywiście - odparła Ginger. - Często o nim myślę. Znajomość z nim mnie zmieniła. Jego obecność zmieniała otoczenie. O tym mówiłam wcześniej. On naprawdę wpływał na otoczenie.
 - Nie spotykam nikogo, kto by go znał. Już nie.
 - Chciałam ci powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu Timothy'ego. Wtedy od razu do ciebie napisałam, ale teraz widzimy się twarzą w twarz - wiem, trochę czasu minęło, tyle lat, ale...
 - Dziękuję.
 - Był wyjątkowym człowiekiem.
 - Nie mam o nim żadnych wspomnień.
 - Och.
 - Wspomnienia pojawiały się jak uządlenia os, auć, znikąd, ale teraz przestały. Czasami jednak mam naglące, to naglące wrażenie.
 - Rozumiem... Albo nie, nie rozumiem.
 - Pięść łapie mnie za serce i szarpie jak pies, który chce powiedzieć: „Chodź, chodź”...
 - Cóż, przypuszczam, że to... no... w pewnym sensie rozumiałe. I...
 - Nie znam cię dość dobrze, żeby tak rozmawiać, prawda?
 - Nie, Kathy! To znaczy tak...
 - Wybacz - powiedziała Kathy.
 - Jasne. Jasne. Jasne.

W damskiej toalecie postawiła torebkę koło umywalki i spryskała twarz wodą - dziękując Bogu, że zrezygnowała z makijażu. Spojrzała w lustro. Obok na płytkach graffiti wykonane markerem:

*elektryczne dziecko
brzydko się bawi*

W łazience cuchnęło. W Wietnamie krew i wnętrzności leżały wszędzie, ale wszystko należało do Boga, składało się na bezosobowy Boski brud. Tutaj w publicznej toalecie czuła wydzielinę innych kobiet i to był obcy zapach.

Zamknęła się w kabinie i usiadła z listem na kolanach. Mogła przynajmniej go przeczytać. Czując mdłości w gardle, rozłożyła strony.

1 kwietnia 1983

Droga Kathy Jones,

Droga Kathy,

Najdroższa Kathy,

Dawno, dawno temu była wojna.

Kiedyś w Azji toczyła się wojna, a jednym z jej tragicznych aspektów było to, że nastąpiła po II wojnie światowej, nowoczesnej wojnie, która jakimś sposobem zdołała po części zachować czy ożywić chwałę i romantyzm wcześniejszych wojen. Ale tej azjatyckiej wojnie nie udało się z piekielnych mitów wydobyć żadnego romantyzmu.

Pomiędzy jej uczestnikami zmienionymi nie do poznania, więcej nawet, zmienionymi tak, że sami siebie nie poznawali, byli młoda kanadyjska wdowa i młody Amerykanin, który na zmianę myślał o sobie jako o Spokojnym Amerykaninie i Brzydkim Amerykaninie, choć wcale nie pragnął być ani jednym, ani drugim, tylko Mądrym Amerykaninem lub Dobrym Amerykaninem, ale który z czasem zaczął postrzegać siebie jako Prawdziwego Amerykanina, a w końcu po prostu jako Pierdolonego Amerykanina.

To ja. Nazywam się William Benet. Znałaś mnie jako Skipa. Ostatni raz spotkaliśmy się w Cao Quyen w południowym Wietnamie. Wciąż noszę wąsy.

Po wyjeździe z Wietnamu rzuciłem pracę dla potężnych kryminalistów, ~~dla których pracowałem~~ którym służyłem, kiedy Cię znałem, i zacząłem pracować dla kryminalistów średniej wielkości. Parszywe

godziny, żadnych dodatkowych korzyści, ale zasady etyczne bardziej wyraziste. I stawka jasna. Prosperujesz, dopóki cię nie złapią. Wtedy tracisz wszystko.

W czym się specjalizowałem? W tym i owym. Przemysł. Handel bronią i tak dalej. Raz ukradłem cały frachtowiec raz i sprzedałem w Chinach. Frachtowiec. (Nie mogę Ci powiedzieć, w jakim mieście go sprzedałem, ponieważ - ktoś nasz drogi, ukochany, wspaniały naczelnik Shaffeee przypuszczalnie czyta moje listy przed wysłaniem.) Przędę wszystkim handlowałem bronią.

I z tego powodu trafiłem do pudła tutaj, w Kuala Lumpur. W Malezji to przestępstwo karane jest śmiercią, bo tak zdecydował ten sam rząd, który kupuje broń od Ameryki. Jesteśmy z tej samej bandy, ale jak powiedziałem, z mojej strony teleskopu zasady moralne są czystsze. Albo jak X powiedział do X, mam jeden statek i nazywają mnie piratem. Ty masz flotę i nazywają Cię imperatorem. Nie pamiętam, kto to powiedział.

Ujmując rzecz w skrócie, od czasów, kiedy znałaś mnie jako Bene-ta, korzystałem z wielu tożsamości, przy czym żadnej nie nadał mi rząd. Prowadziłem życie wesołe i szalone, prawdziwe życie awanturnika, i nigdy nie liczyłem, że będzie trwało długo. Kiedy odejdę, co nastąpi szybko, nie będzie mi przykro, nie będę niczego żałował. Zresztą jak mawiał mój wuj, przygoda nie jest zabawna, kiedy trwa, zabawna staje się dopiero później. A może Ty mi to powiedziałaś? Tak czy owak ta przygoda dobiegła końca. Część z tego, co piszę, to dobra mina do złej gry, odrobina brawury, ale w większości to prawda. Jeśli ten list do Ciebie dotrze, z przykrością Ci donoszę, że już mnie powiesili.

Mam żonę-konkubinę i troje dzieci w Cebu na Filipinach. Tak po prostu się stało. Myślę, że ona powiedzialaby to samo. Ale lubię te dzieci. Są nastolatkami, uroczymi smarkaczami. Od dłuższego czasu ich nie widziałem. W Cebu zrobiło się dla mnie za gorąco, w sensie przestrzegania prawa, a ona nie chciała przeprowadzić się do Manili. Kocha swoich krewnych i tak dalej, nie mogłaby ich opuścić. Nazywa się Cora Nig.

Jeśli masz odrobinę rozsądku, dawno skończyłaś z podróżami, gdybyś jednak przypadkiem była w tych stronach, wpadnij do Nig Fine Store koło doków, zapytaj o Corę i przywitaj się.

Naczelnik mówi mi, że dzisiaj przychodzi kanadyjski konsul i będę mógł dać listy do wysłania. Z konsulem darzymy się szczerą nienawiścią i nie zgadzam się na widzenia z nim, ale musi tu wpadać, zwłaszcza w „ostatnich dniach”, żeby zachować pozory dla prasy. Przypuszczam, że list wyjdzie jutro; jest to pozdrowienie i pożegnanie od (mam nadzieję, mam nadzieję) starego przyjaciela.

Trzymają mnie tu od dwunastego sierpnia. Dzisiaj jest pierwszy kwietnia, prima aprilis, odpowiedni dzień na ~~doprowadzenie do~~ zakończenie wieloletniej porażki, ale mnie wyznaczono na szóstego kwietnia.

Tak długo czekałem na napisanie tego listu, więc nie będę miał czasu na zastanawianie się, czy do Ciebie dotarł, czy mi odpowiesz.

Zjadłem kolację. Teraz rozpocznę sześciodniowy post i na szubienicę pójdę tylko z nakarmioną duszą. Co więc miałem na mój ostatni posiłek skazanego? To samo co zawsze, ryż w rybnej zupie i dwie bułeczki. Bon apétit!

Kathy, wierzę, że Cię kochałem. Z żadną inną kobietą to mi się nie przytrafiło. Zabieram ze sobą wspomnienia o Tobie. I w zamian Ci dziękuję.

*Z wyrazami miłości
Skip.*

2 kwietnia

Wczoraj wieczorem przyszedł naczelnik, by nawrócić mnie na Jezusa i zabrać moją pocztę, ale nie dałem mu tego listu. Chyba poczekam kilka dni. Chyba nie chcę

Ktoś wszedł do toalety. Kathy rozpoznała głos starej kobiety, która siedziała przy sąsiednim stoliku.

- Czy Eugene powiedział, na co umarł jego syn?
- Eugene nie miał syna.
- Na atak serca?

Drzwi kabin otworzyły się i zamknęły.

Kathy spojrzała na zegarek. Była spóźniona. Włożyła kartki do torebki, wstała i wyszła, mijając starą kobietę, która przy lustrze z przekrzywioną głową wpatrywała się w podłogę.

Wróciła na salę do Ginger, przeprosiła i pożegnała się.

Ruszyła w kierunku hotelu Radisson Riverfront, pierwszego budynku za rogiem. W holu rozejrzała się za ludźmi biorącymi udział w imprezie Mac-Millan Houses. Domyśliła się, że impreza ma jakiś związek z dziewczynami - jest organizowana dla nich lub przez nie - ponieważ wiele ich było w holu, bardzo młodych, dwunasto-, trzynastoletnich, ślicznych, wybuchowych i barwnych, z mocnym scenicznym makijażem, z niedoskonałościami bezwstydnie uwydatnionymi przez piękno: chudymi nogami, niskimi taliami, udami poznaczonymi plamami, przypuszczalnie z zimna.

Zgodnie ze wskazówkami na miedzianej tabliczce koło windy z holu weszła w długi korytarz, na którego końcu przy stoliku siedziała kobieta z dwoma pudełkami po butach. Z otwartych podwójnych drzwi sali dobiegał wzmocniony przez głośniki miły głos czytający przemowę z kartki.

- Przyszła pani na pokaz mody MacMillana?
- Doskonale. Jestem we właściwym miejscu.
- Od A do L czy od M do Z?
- Szukam pani Rand. Mam przemawiać.
- No cóż, pani Keogh jest na dole..
- Nie wydaje mi się, żebym знаła panią Keogh. Umawiałam się z panią Rand.

- Pani Rand jest na podium.
- Sądzi pani, że powinnam wejść i usiąść?
- Och - odparła kobieta. Pomysł najwyraźniej wydał jej się nieodpowiedni. - Będzie przerwa.

- W takim razie może złapię ją w czasie przerwy. Siądę sobie tutaj. - Poza krzesłem, na którym siedziała kobieta, i stolikiem na korytarzu nie było tu żadnych sprzętów. - Albo poczekam w holu. Spróbuję znowu za kilka minut.

- Jeśli to pani nie przeszkadza. Jeśli pani taka miła. Przykro mi...
- Nie - odparła Kathy upokorzona, z płonąca twarzą. - Spóźniłam się. Bardzo mi przykro.

W holu usiadła w fotelu obitym brązową skórą i ozdobionym miedzianymi okuciami, potem otworzyła torebkę.

2 kwietnia

Wczoraj wieczorem przyszedł naczelnik, żeby nawrócić mnie na Jezusa i zabrać pocztę, ale nie dałem mu tego listu. Chyba poczekam kilka dni. Chyba nie chcę się żegnać. Na Jezusa też się nie nawróciłem.

Kiedyś myślałem, że jestem Judaszem. Ale nie, myliłem się. Jestem młodzieńcem w Ogrójcu, tym, który był przy aresztowaniu Jezusa, niechlujnym gościem, który wysłiznął się z ubrania, kiedy żołdacy go schwycili, i „nago uciekł od nich”.

Wydaje mi się, że interesuje Cię idea Piekla. Pamiętam Cię jako eksperta w tej kwestii. Dziewiąty krąg Piekla u Dantego zarezerwowany jest dla zdrajców -

Braci

Kraju i sprawy

Gości

Panów i dobroczyńców

Zdradziłem

Moich braci z lojalności do moich panów

Moich panów z lojalności do mojego kraju

Mój kraj z lojalności do moich braci

Moja zbrodnia polegała na myśleniu o takich sprawach. Na przekonaniu, że mogę sam ustalać priorytety lojalności.

Zmieniając obiekt lojalności, w końcu ~~zdołałem~~ zdradziłem wszystko, w co wierzyłem.

Muszę się powstrzymać od zapisywania każdego drobiazgu. Czuję, że mógłbym zanotować każdą przelotną myśl i opisać każdą cząsteczkę tej celi, każdego momentu w moim życiu. A mam mnóstwo czasu. Mam cały dzień. ~~Za to ograniczoną ilość papieru i może twojej~~ Za to niewiele papieru i słabą wiarę w Twoją cierpliwość, więc ujmę swoje myśli w ryzy.

3 kwietnia

Dzisiaj rano powiesili albo innymi słowy udusili chłopaka, przywódcę chińskiego gangu. Robią to tutaj, na dziedzińcu więzienia Pudu, ~~nie tak daleko od śródmieścia Kuala Lumpur~~, około stu metrów od miejsca, gdzie siedzę, choć z mojej celi nie widzę szubienicy. Cele wzdłuż korytarza mają doskonały widok. Ale nie skazani na śmierć, my nie. Trzymają nas po drugiej stronie budynku. Jeśli oprę się brodą ~~mogę~~ na kracie w oknie, widzę dachy domów po drugiej stronie ulicy. Szubienicę zobaczę po raz pierwszy i ostatni zarazem.

Jest chłosta, to kara początkowa, ale nie słyszymy krzyków. Ja w każdym razie nie słyszę. Ten chłopak dzisiaj rano był czwartym powieszonym, odkąd wsadzili mnie tu w sierpniu. Przypuszczam, że mógł się tego spodziewać, chłosty także. Chińskie gangi są okrutne, okrutne i podle.

Może pokrywam swój strach. Nie chcę wydać się nonszalancki. Albo chcę, ze zdenerwowania, ale nie chcę, żebyś myślała, że do pętli odnoszę się z nonszalancko. Za trzy dni od dzisiaj będzie po wszystkim. Umrę. Z pustym żołądkiem. Bez ostatniego posiłku, zato z modlitwą niewierzącego. Jeśli wciąż wierzysz, Kathy, pomódl się za mnie. Módl się za mnie, jeśli wciąż wierzysz.

4 kwietnia

Myślałem, że w Wietnamie Południowym posadzono mnie na ławce rezerwowych. Przesunięto na miejsce, gdzie mogłem rozmyślać o wojnie. Ale na wojnie nie można siedzieć na ławce rezerwowych, na wojnie nie można myśleć, nigdy nie można myśleć. Wojna to działanie albo śmierć. Wojna to działanie albo tchórzostwo. Wojna to działanie albo zdrada. Wojna to działanie albo dezercja. Rozumiesz, na czym polega ta idea? Wojna to działanie. Myślenie prowadzi do zdrady.

Wuj opowiadał mi, że kiedyś widział żołnierza rzucającego się na ręczny granat. Sądziś, że ten facet najpierw myślał? Nie. Odwaga to działanie. Myślenie to tchórzostwo.

Żołnierz przeżył. Tb Granat był zepsuty. Zalóżę się, że później żołnierz o tym myślał, dużo myślał. Pomiędzy ludźmi, których chciał ocalić, których by ocalił, gdyby granat pod nim eksplodował, był mój wuj. Wuj Francis przeżył tamten wieczór, ale w końcu wojna go zabrała. Przez lata słyszałem plotki, że wciąż żyje, ale wuj należał do ludzi wywołujących plotki, ten mój stary wuj Francis. Człowiek z co najmniej trzema grobami, o których słyszałem, a przypuszczalnie jest ich więcej, gdybym zadał sobie trud i zaczął wypytywać. Ja jednak wiem, że umarł i został pochowany w Massachusetts.

Jestem dziedzictwem mojego wuja. Kiedy umarł, jego duch wkroczył we mnie. Umarł niedługo po naszym ostatnim spotkaniu, Kathy. Zaledwie kilka miesięcy później, tak sądzę.

Myślę, że raz go spotkałaś. Nazwałaś go draniem. Był jednym z tych facetów, którzy wyglądają, jakby zbudowano ich z małych głazów, przy czym największy jest w środku. Miał siwe włosy ostrzyżone w cegielkę. Pamiętasz tę fryzurę? Pamiętasz mojego wuja? W gruncie rzeczy trudno go było zapomnieć. Mawiał często: Łatwiej uzyskać przebaczenie niż pozwolenie; Nie zastanawiaj się nad szansami; Żałujesz nie tego, co robisz, ale tego, czego nie robisz; tego rodzaju rzeczy. Umarł i jego duch wkroczył we mnie. Pojawiły się wątpliwości, czy istotnie umarł, ale nie z mojej strony. Gdyby jakimś cudem wciąż żył, jego duch nie mógłby we mnie wkroczyć.

Nie myśl, proszę, że popadam w mistycyzm. Wydaje mi się, że kiedy umiera ktoś bliski, dość powszechnym doświadczeniem, zjawiskiem dość naturalnym w tej sytuacji jest to, że człowiek zaczyna dostrzegać wpływy zmarłego i może ~~kultywuje~~ rozwija te wpływy. W ten sposób ~~zmarły żyje nadal~~ nasi mentorzy żyją w nas. Tylko to mam na myśli. Nie mówię o opętaniu przez duchy przodków ani nic w tym rodzaju.

5 kwietnia

Tak więc pozostaje Bóg.

Jestem niebezpiecznie blisko odrzucenia wybaczenia. Śmierci impertynenckiej z powodu gniewu na samego siebie. Śmierci bez modlitwy. Czternaście lat przeżyłem bez modlitwy. Czternaście lat przechodziłem na drugą stronę ulicy, kiedy sądziłem, że mojemu cieniowi grozi zetknięcie z kościelnym murem.

*Wiem, że jeśli pomodlisz się za mnie
Twoje modlitwy dotkną Boga
A Bóg dotknie mojego serca
I będę pokutował*

Myślę, że przyciągnęło mnie do Ciebie to, że byłaś wdową jak moja mama. Syn jednej wdowy, kochanek drugiej. Przerazałaś mnie. Twoja namiętności Twoja wiara. Twoja żaloba i tragedia. Mama też miała te cechy, ale zawoalowane i uprzejme. Uciekłem więc od Was obu. A potem nie odpowiadałem na Twoje listy. A teraz proszę, list ode mnie, na który nigdy nie odpowiesz.

OK...

OK, Kathy Jones. Nasz zabawny mały naczelnik stoi i czeka na ten list. Ostatnia szansa na pociąg pocztowy. Jutro rano odchodzę.

Naczelniku, jeśli to czytasz, au revoir.

Ty też. Au revoir, Kathy Jones.

Gdybym miał zrobić to znowu, nie uciekłbym.

*Wyraży głębokiej miłości
Skip.*

Tak, pamiętała wuja. Jego wygląd robił wrażenie. Do głowy przyszedł jej wyraz, którego nigdy nie używała: męstwo. Niebezpieczny, choć nie dla kobiet i dzieci. Tego rodzaju typ.

Skipa nie pamiętała tak dobrze. Bardziej chłopiec niż mężczyzna. Żartował, robił uniki, stosował niedomówienia, kłamał, nie dawał nic, co zapadłoby w pamięć. To jego obecne wcielenie: mimo iż serce jej się krajało, nie była pewna, czy w to wierzy.

Znowu spojrzała na zdjęcie kilkudziesięciu Filipińczyków otaczających jeepneya i poczuła głębokie wzruszenie, większe niż na widok prasowej fotografii Skipa, niewyraźnej blaknącej twarzy z okaleczoną arogancją i żalem nad sobą, większe niż gdyby przysłał jej zdjęcie przedstawiające w czasach Damulog ją, jego czy oboje razem.

Włożyła wszystko do torebki i zamknęła oczy. Nie pamiętała, czy pożegnała się z Ginger. Zachowała się nieuprzejmie?

- Pani Benvenuto?

Kobieta sprzedająca bilety na stojąco była niewiele wyższa niż na siedząco.

- Tak.

- Przykro mi, nie zdawałam sobie sprawy.

- Wszystko w porządku.

- Teraz jest przerwa. Pani Rand przypuszczalnie zeszła do piwnicy.

Tam są garderoby.

- Już idę.

Kathy podążyła za nią wyłożonym kafelkami, pełnym ech korytarzem, myśląc o filmach gangsterskich i „Ostatniej mili”. Kobieta poprowadziła ją do drzwi dość blisko położonych wielkiej sali, a potem po schodach w dół. Kiedy Kathy weszła do wielkiego, niskiego pomieszczenia, ściany świergotały, a młode modelki biegały w obcisłych gorsetach, głuche na opiekunkę, która chodziła za nimi, wołając:

- Dziewczęta! Dziewczęta! Dziewczęta! Dziewczęta!

Urocze modelki przyjęły pozy. Strzeliły flesze. Dziewczyny krążyły po boksach zrobionych z ruchomych ścianek.

- Pani Keogh! - zawołała kobieta od biletów. Opiekunka dziewczyn pomachała dłonią i podeszła. - To jest pani Benvenuto.

- Przykro mi, że się spóźniłam.

- Wszystkie jesteście spóźnione! Cieszę się, że pani przyszła. Powiem pani Rand. Jeśli chce pani usiąść na widowni - czy to pani odpowiada? - jeśli zechce pani poczekać na widowni, ona panią wezwie i przedstawi po swojej przemowie o Locie Sierot. Mamy tu parę dziewczyn z tego samego lotu - z tego samego - z pani lotu. Trzy dziewczyny.

Mówiła o ewakuacji z Sajgonu, o katastrofie lotniczej, w czasie której Kathy złamała nogi. Czterdzieścioro uratowanych poleciało następnym samolotem. Tylko kilkoro dzieci zostało adoptowanych w Stanach, a troje tu, w Minneapolis.

- Trzy sieroty?

- Tak! To rodzaj spotkania po latach. Li... gdzie jest Li? Nie ubrała się jeszcze! Dziewczęta! - zawołała pani Keogh.

Kathy zostawiła ją bez pożegnania, ponieważ młoda Euroazjatka minęła ich w drodze do wyjścia i Kathy poczuła, że musi się jej przyjrzeć. Poszła za dziewczyną po betonowych schodach. Dziewczyna samotnie opierała się o ścianę w zaułku. Przesunęła się lekko, by zrobić Kathy przejście. Kathy zatrzymała się dwa kroki za nią, spoglądając na rzekę na jednym i ulicę na drugim końcu alejki. Sądziła, że rozpoznaje tę Euro- albo Amerykoazjatkę, która musiała mieć cztery albo pięć lat w tamten poranek, gdy doszło do katastrofy, sądziła, że pamięta, jak dziewczynka stała na swoim siedzeniu w samolocie, pamiętała jej niezwykle długie nogi, okrągłe oczy i brązowe refleksy we włosach. Kathy siedziała tuż obok niej na drugim pokładzie samolotu, szczęśliwym pokładzie. Wiele z jej dzieci tam było i uratowało się.

Wprowadziła swoje dzieci do samolotu, pomogła usadowić inne, wyszła z samolotu, by wrócić do Sajgonu, i w ostatniej chwili dostała miejsce od znajomego z ambasady, który zdecydował, że nie pojedzie, jeszcze nie - nie pamiętała jego nazwiska, nigdy więcej się nie spotkali - skorzystała więc z okazji, nie dlatego, by uciec przed klęską, ale by pomóc, być pożyteczną, złagodzić przerażenie małych pielgrzymów. Nie знаła nawet celu ich pielgrzymki. Pewnie była nim Australia. Nie udało się. Ostatecznie podróż tej dziewczynki zakończyła się u św. Pawła. W butach na sześciocentymetrowych obcasach, w niebieskiej spódniczce i żółtym T-shircie opinającym stanik, ze szminką i tuszem na rzęsach wyglądała jak mała kurwa, arogancka i ponura, z rudawymi włosami rozwiewanymi przez wiatr pędzący przez zaułek na Missisipi. Otworzyła torebkę, wyjęła papierosy i zapalniczkę. Wydęła policzki, osłaniając płomień dłonią, i zapaliła papierosa z filtrem. Wypuściła obłoczek dymu, który wiatr porwał jej z ust.

Kathy znowu przecisnęła się obok dziewczyny, zesłała po schodach. Zrezygnowała z szaleństw w piwnicy i ruszyła do sali, przyzwoitej przestrzeni na imprezy, z solidnymi tapicerowanymi siedzeniami i stromym wzniesieniem, chociaż ściany odbijały lekkim echem słowa wypowiedane przez głośnik, a przez mikrofon spółgłoski syczące brzmiały przenikliwie, wszystkie „p” natomiast dudniły. Rozpoczęła się druga część imprezy. Sala pociemniała, za to światła na scenie nabrały mocy i dzięki nim Kathy widziała, gdzie stawiać stopy. Wiele siedzeń pozostało pustych. Nie chcąc robić za dużego zamieszania, usiadła na pierwszym wolnym miejscu przy przejściu. Na scenie potężna kobieta z wydatną szczęką i siwymi włosami, ubrana w różowy kostium, najprawdopodobniej pani Rand, mówiła o sierotach. Wszystko wskazywało na to, że pani Rand usiłuje nadrobić drobne opóźnienie, wychodząc poza przygotowany tekst, dzielnie improwizując. Mówiła o „sierocym locie”, który tak wiele dzieci przetransportował do nowego życia w ostatniej godzinie tej strasznej, strasznej wojny, o locie 75, którym Kathy także leciała i który losy niczym smok zrzuciły na ziemię; a Kathy pomyślała, z całą pewnością nie po raz pierwszy, że wojna nie była tylko i wyłącznie straszna. Zapewniała wrażenie, na początku przerażające, w ostatecznym rozrachunku oszałamiające, że coś szalonego, magicznego, niezwykłego zdarzy się następnego dnia rano, że sama śmierć może eksplodować z materii oddechu, który teraz wydajesz, zdemaskowana jako przyjaciel; i Kathy żałowała mijającego czasu, kiedy siedziała w samolocie C-5A Galaxy, który podskakiwał

na polach ryżowych nagle tak twardych jak skała, i słuchała, jak aluminiowy kadłub rwie się na strzępy i miecze, współczuła tylko otaczającym ją dzieciom i żałowała, że nie udało się wywieźć ich z wojny; kiedy złamanie nóg oznaczało nie szok i ból, a tylko gorycz, że nie jest w stanie pomóc innym. Pani Rand przedstawiała trzy dziewczyny z Lotu 75, w tym Li, wszystkie Amerykoazjatki, wszystkie ubrane w ao dai, rozszerzone tuniki i satynowe spodnie, po kolei przechodzące przez scenę od lewej do prawej, urzekająco zakłopotane i upozowane, dusze trzepoczące w ciele, i sadowiące się na składanych krzesłach, tak by widać było ich buty, czarne czółenka z sześciocentymetrowymi szpilkami. Pani Rand opisała katastrofę sprzed ośmiu lat niemal co do dnia (choć pomyliła się o miesiąc), jedną z najgorszych katastrof lotniczych w historii, jak ze smutkiem stwierdziła, w której ponad połowa z trzystu dzieci i dorosłych znajdujących się w samolocie, niemal wszyscy z przedziału bagażowego, głównie dzieci poniżej drugiego roku życia, została zabrana do Nieba. Awaria mechaniczna. Przez kilka lat Kathy wierzyła, że zestrzelił ich pocisk. Pani Rand wiedziała więcej o katastrofie niż sama Kathy i opisała ostatnie sekundy, samolot rozpadający się na płonące części, które gotowały się na zalanych wodą polach ryżowych, chmury dymy z palącego się oleju. Kiedy samolot uderzył o ziemię, Kathy musiała zamknąć oczy. Pamiętała jedynie dźwięki, przede wszystkim przenikliwy chrzęst rwanego metalu - bardzo wokalny idiom złożony z wielu samogłosek i szorstkich spółgłosek, gardłowych, wspaniałych samogłosek, wszystkich samogłosek, A, E, I, O, U, naglających, zdumionych, gigantycznych. A potem czarna cisza przerywana błaganiami, okrzykami i szlochami, w tym jej własnymi. Jedno lub dwoje dzieci wybuchnęło śmiechem.

Dziewczyny opuściły scenę przy skromnych oklaskach. Pani Rand mówiła o MacMillan Houses i dobrej, dobrej pracy wykonywanej przez organizację, o doskonałych kontaktach z rządem Wietnamu. Kathy nie słuchała, przygotowywała własne wystąpienie, cudownie jest zobaczyć tak wiele osób, tego rodzaju wysiłki wymagają czegoś więcej niż tylko prywatnych darczyńców, stąd konieczność rządowych grantów i odpowiedniej legislacji, stąd konieczność zwrócenia się do kongresmenów, senatorów, a nade wszystko do waszych serc, nadzieja dana kolejnym istnieniom, niezwykła wdzięczność, nie, połącz nacisk na prywatnych darczyńców, mogą z tego być roczne opłaty pocztowe dla jednego biura, jedzenie dla jednych ust na rok, nie, nie ust, dla jednego dziecka, dobre jedzenie dla jednego z tych cudownych dzieci tyle

może kosztować, budynki i wyposażenie, edukacja, wasza szczodrość czy raczej edukacja drogą wyjścia z nędzy, wasza serdeczna szczodrość czy raczej schronienie, jedzenie i ciepło dla młodych ciał, wykształcenie drogą wyjścia z nędzy, prawdziwa nadzieja dla tych, co dopiero wchodzą w życie, wszystko zależy od waszej niezłomnej, serdecznej szczodrości czy tylko niezłomnej. Albo tylko serdecznej. Oraz, nie, poświęcenie. Dotrzyj do nich. Nie tylko od wielkiej szczodrości ludzi takich jak wy i ja, panie i panowie, ale od waszego niezłomnego poświęcenia. Nie ustawaj. Po jej prawej w półmroku połyskiwał pierścienek na palcu dżentelmena, który opierał policzek na dłoni. Miał zamknięte oczy. Niektórzy z mężczyzn, godząc się na tę udrękę, musieli zrezygnować z pierwszego w sezonie golfowego popołudnia. U siedzących w pobliżu kobiet widziała jasne, zainteresowane twarze osób dokładających starań, by nie zasnąć. Mały chłopiec z palcem wetkniętym w nozdrze, palcem nieruchomym, tkwiącym w miejscu. Scena przed nią splaszczyla się, straciła jeden z wymiarów, sączył się z niej hałas. Coś zaraz się zdarzy. Ta chwila, to doświadczenie wydawało się najcieńszą z gaz. Kathy siedziała na widowni i myślała: ktoś tutaj ma raka, ktoś ma złamane serce, czyjaś dusza jest zagubiona, ktoś czuje się nagi i obcy, myśli, że kiedyś znał drogę wyjścia, ale jej nie pamięta, czuje się obnażony ze zbroi i samotny, na widowni są ludzie ze złamanymi kośćmi, inni, których kości złamią się szybciej lub później, ludzie, którzy zrujnowali sobie zdrowie, wielbili własne kłamstwa, pluli na swoje marzenia, odwracali się plecami do swoich szczerych przekonań, tak, tak, i wszyscy zostaną zbawieni. Wszyscy zostaną zbawieni. Wszyscy zostaną zbawieni.